

Książka ściągnięta z
serwisu

[Www.Eksiazki.Org](http://www.Eksiazki.Org)

Jarosław Abramow - Newerly

Nawiało nam burzę

Wstęp

Praca nad tą książką sprawiła mi moc niespodzianek. Nigdy nie przypuszczałem, że napiszę sagę. Po Kładce przez Atlantyk, dokumentalnej opowieści o życiu Tadeusza Gonsika, sądziłem, że nabrałem już wprawy w tym gatunku prozy i łatwo mi pójdzie. Okazało się, że nie. Zmaganie z materiałem trwało trzy lata. Moim bohaterom wciąż coś się przypominało. Musiałem się cofać, łątać, poprawiać rwącą się fabułę. W pewnych chwilach tęskniłem już za swobodną fikcją. Na początku jednak, nieświadom tej łątaniny, ochoczo zabrałem się do dzieła.

Zacząłem od rozmów z Olgą Wawrow. Jej opowieść o przedwojennych Hadyń-kowcach wydała mi się nieco zgrzebna i szara. Postanowiłem ją ubarwić. Zderzyć ze współczesną akcją w piekarni w Toronto. Polsko-ukraińska ekipa z egzotycznymi typami kusiła. Dodałem do tego jeszcze własne wątki biograficzne i ten kolaż spodobał mi się. Wkrótce jednak stwierdziłem, że zabieg jest sztuczny. Kłóci się z surową formą dokumentu. Wynika z braku wiary w autentyczne tworzywo. W połowie pracy wyłączyłem ten rozrywkowy nurt, wkładając go do oddzielnego utworu - Młyn w piekarni. Niewiele to dało. Tekst dalej rósł.

W celu osadzenia Hadyńkowiec bardziej w epoce uznałem za słuszne nakreślić dzieje Galicji za austriackich czasów, II Rzeczypospolitej i kolejnych okupacji.

Tekst zmieniał się w historyczny szkic. Tymczasem zwiększała się liczba moich bohaterów - Polaków i Ukraińców. Kuzyn Olgi Wawrow, Bohdan Wynnyczenko, przybył ze Lwowa do Toronto pod koniec pracy nad tą książką. Jego powojenne losy wydały mi się tak ciekawe, że postanowiłem je włączyć do opowieści. Znów doszło parę rozdziałów. Spotkanie z nim przekonało mnie jednak, że ten polsko-ukraiński nurt jest najważniejszy, że owa burza nawiana do Hadyńkowiec 17 września 1939 roku znad Zbrucza

wcale nie jest lokalna i ma uniwersalny zasięg. Jej plony zbieramy do dziś. Nie jest to tylko sprawa jednego narodu i jednej wioski, ale dotyczy nas wszystkich. Ludzi z dawnego bloku sowieckiego rozsianych po całym świecie.

Temat dostatecznie wielki, by starczył na tomy. Nie trzeba go powiększać. Raczej skupić się na zbieraniu rozproszonych ziaren. I to właśnie okazało się najtrudniejsze. Owo stopniowe dokopywanie się do realiów i szczegółików oddających prawdę ówczesnego obyczaju i języka. Źmudne „krawiectwo poprawkowe” - jak to żartobliwie określiłem.

Z początku zaznaczałem język Olgi Wawrow specjalnym fonetycznym zapisem. Jej śpiewny kresowy akcent wydał mi się szczególnie miły. Owe: - U nas we łsi, prolszę pana, załsze lułdzie mótwili itp. Potem uznałem, że to może być zbyt nużące przy dłuższej lekturze i zrezygnowałem. Zachowałem tylko specyficzną składnię pani Olgi, wyławiając z jej zdań te proste, ludowe zwroty, czasem o poetyckiej sile, jak ten choćby: „wrażenie było takie, proszę pana, jakby się wioska zapaliła”. Również nie poprawiałem błędnie wymawianych słów typu „fulwarek”, „katafalek”, „żrebiak”, „młockarnia” czy „kukurudziannik”. W spisanych przez nią wspomnieniach zachowałem jej oryginalny styl.

Podobnie postąpiłem z zapiskami Leszka Wawrowa. Jego dziecięcy dzienniczek i późniejsze notatki mało zmieniałem. Stwierdziłem, że świetnie zapamiętuje konkret. Wyczulony jest też na prawdę języka, rzecz dla mnie najważniejszą.

Redaktorki mego tekstu nie miały łatwego zadania. Przedstawiłem materiał na kolejne dwie książki. Znowu trzeba było go ciąć i skracać. W końcu o Hadyńkowcach i rodzinie Wawrowych pisałem. Zrezygnowałem więc z szerszego tła i autobiografii. Ograniczyłem się tylko do niezbędnych informacji. Nie uchowało się wstrząsające świadectwo Isydora Dienera o

zagładzie kopyczyńskich Żydów.

Podobnie teksty ulotek, odezw czy innych dokumentów. Może najbardziej żałuję usunięcia rozdziału o zachowaniu się polskich literatów we Lwowie w 1939 roku, nad którym najdłużej pracowałem. Efektownie kontrastował z opisem postawy prostych ludzi z Hadyńko-wiec. Jego treść nazbyt jednak odbiegała od mojej wsi.

Kończąc tę autorską spowiedź chciałbym podziękować Oldze Wawrow i Jej rodzinie za pomoc przy pisaniu książki, zwłaszcza memu imiennikowi Jarosławowi Waw-rowi - Majorowi za uchylenie rąbka tajemnicy znad granicy i wprowadzenie nieco humoru do tekstu. Podziękowanie należy się również Leszkowi Wawrowowi, inicjatorowi tej sagi. Jego upór, zapal i wiara w sens mego przedsięwzięcia - podobnie jak historyczna konsultacja, sporządzenie dokumentacji i aktywny udział w dochodzeniu do rodzinnej prawdy - wspierały mnie do końca. Udostępniony mi wierny zapis jego własnych wspomnień również niezwykle wzbogacił tekst.

Dziękuję wydawnictwu „Twój Styl” za edycję tej sagi w trudnych, wolnorynkowych czasach. Redaktorkom zaś książki - Małgorzacie Wojciechowskiej i Elżbiecie Jasztal-Kowalskiej wyrażam mą wdzięczność za świetny krój tego obszernego materiału, który w każdym rękodziele jest ważny, również w krawiectwie poprawkowym.

JAROSŁAW ABRAMOW-NEWERLY Sypie drobny, suchy śnieg. W nocy ten śnieg ma się zmienić w deszcz, by rano zaskoczył słońcem, z ostrym wiatrem od bieguna i temperaturą minus dwadzieścia.

Wierzyć się nie chce, że tak będzie - ale będzie. W Kanadzie prognoza zawsze się sprawdza. Te nagłe skoki pogody nie najlepiej wpływają na nastrój, który u mnie dodatkowo pogarsza fakt, że nie mogę pisać. Jakiś paraliż twórczy. Wciąż obiecuję sobie, że dziś postawię to pierwsze, kluczowe zdanie - i nie stawiam.

Odkładam do jutra...

Od dawna powinienem zacząć tę książkę. Zabieram się do niej od roku. Ma się dziać na Podolu, w zapadłym kącie Polski, której już nie ma - gdzieś między Kopyczyńcami a Czortkowem, blisko Husiatyna i dawnej granicy na Zbruczu. Skąd ten Zbrucz? Dlaczego mnie tak pociąga? Może dlatego, że w 1924 roku przekraczał go nielegalnie mój ojciec uciekając z Sowietów do Polski i o tej ucieczce słyszałem od dziecka? Te egzotyczne, kresowe nazwy zawsze mnie fascynowały.

Buczacz, Wołkowysk, Sircze...

Może więc w świecie najwcześniejszego dzieciństwa trzeba szukać źródeł późniejszych fascynacji? I tym tropem iść? Nie wiem. Wiem tylko, że ja idę teraz za tropem Webstera - mego psa beagla, który ciągnie mnie mocno w sobie znanym kierunku. On nigdy się nie myli. Sunie z nosem przy ziemi twardo zmierzając do celu. Jak po sznurku.

Idę więc za Websterem i podobnie jak on czuję nosem, że w tej historii podolskiej coś jest - tylko nie wiem co. Na próżno szukam tego pierwszego, kluczowego zdania, które by mnie otworzyło i poddało właściwy ton. Pozwoliło złapać wiatr w żagle i uskrzydlić. Nic mi nie wpada do głowy... Nie zacznę przecież od tego - kpię sam z siebie - że pada drobny, suchy śnieg, a ja idę za swym psem, chociaż to szczerą prawdą.

Jedno jest pewne. Rzecz, którą planuję, dawno ułożyła mi się w głowie, drzemie gdzieś w podświadomości i czyha tylko na odpowiedni moment, by z niej wyskoczyć.

Potrzebny ten impuls, klucz-wytrych z tym pierwszym zdaniem, by ją przenieść na papier. Bo to, że ona we mnie jest - nie mam wątpliwości.

Mój ojciec ów stan wewnętrznej gotowości, zmiany myśli w słowo zabawnie określał. Gdy po długich przygotowaniach i obwąchiwaniu tematu czuł, że wena twórcza w nim rośnie, myśl pęcznieje i domaga się ujścia,

radośnie zacierał ręce, tajemniczo pociągał nosem i uroczyście oświadczał: -
No, synu, ciesz się!

Twój Tatko znów jest w ciąży! Czuję, że coś nowego wkrótce się
narodzi! - i korzystając z tego błogosławionego stanu szybko siadał do biurka.

A ja bezwolnie id[^] za Websterem patrząc w jego tropy czarno odbite w
śniegu - i nie mogę ruszyć z miejsca. I nagle olśnienie: będzie to skok. Skok
nagły i niespodziewany. Nie tyle pogody, co człowieka. Przez rzekę Zbrucz,
oczywiście, którą mój ojciec przekraczał w 1924 roku, a tamten zbieg sto lat
przed nim. A może wcześniej. Jeszcze za cara Pawła I. Trudno to dziś dociec...

Jedno jest pewne. Sypał wtedy drobny, suchy śnieg, który w nocy miał
się zmienić w deszcz - gdy ten życiowy skok się dokonał...

Tak właśnie zacznę! - pomyślałem.

Wróciłem do domu i z pasją rzuciłem się do biurka.

Sypał drobny, suchy śnieg, który pylił jak mąka. Brzozy nad rzeką
gięły się rozpaczliwie targane przez wiatr zza kordonu, który ciął jak
brzytwa. Zazwyczaj wyraźne ruiny zamku i cerkiew na wzgórzu po tamtej
stronie Husiatyna ginęły we mgle. Wszystko skryła śnieżycą.

- Czarcia pogoda. Dawno takiej nie było - mruknął Fiodor Nikołajewicz
Ławrow mocniej naciskając papachę. Skurczony w siodle nie ponaglał konia.
Kołysał się w nim wolno jakby gwizdząc na wybryki natury. Co jakiś czas
odruchowo głaskał konia i wzdychał ciężko: - Tak, tak, Rusłan. Napytali my
sobie biedy, dmżok! Zwykle objeżdżał na nim podległe mu strażnice. Ławrow
namiętnie kochał konie, a ten kruczy ogier, którego sprzedał mu po długim
targu handlarz z Be-sarabii - był jego dumą. Dumą i wielkim zmartwieniem.
Choć nie czystej krwi Arab, brał najwyższe przeszkody i w powietrzu śmigał
jak ptak. W całym pułku nie miał sobie równego. Najstarsi dońcy, a w końcu
dońcy - jeźdźcy na schwał, musieli uznać jego wyższość. Co gorsza wyższość
Rusłana uznać musiała również gniada klacz Matriona, a wraz z nią graf

Dymitr Sołogub, dowódca ich pułku. To zaś nie wróżyło nic dobrego.

Ławrow był świeżo upieczonym oficerem, prymusem szkoły w Kazaniu, który w nagrodę za świetną promocję skierowany został do straży zachodnich krańców Imperium. Był to dowód wielkiego zaufania, którego Ławrow w żadnym wypadku nie chciał zawieść. Właśnie tu, nad dalekim Zbruczem, pragnął najwierniej służyć cesarzowi i Rosji.

Z zapałem objął dowództwo nad sotnią i był wzorowym dowódcą. Zbyt wzorowym, co drażniło starszych kolegów. Zmęczeni koszarową nudą woleli rznąć w karty niż ćwiczyć żołnierzy, mozół musztry zostawiając swym wachmistrzom. Ławrow gardził taką postawą niegodną carskiego oficera. Bez wytchnienia szkolił swych kozaków. Podnoszenie ich sprawności bojowej wziął sobie za punkt honoru. Wciąż w polu, rzadko bywał w kasynie. Ganiał ich cza-sem do zajeżdżenia koni, ale siebie też nie żałował.

Zawsze na czele sam dawał przykład. Gdy trzeba było, forsował rzekę, wpław w listopadowy chłód i wraz z dońcami na rozkaz: „Zsiadł!” - czołgał się skrycie za koniem. Niezmordowany w grze wojennej był jeźdźcem wybornym, rębajłą przednim i strzelcem o prawdziwie sokolim oku. W pełnym galopie mógł trafić w butelkę i wychylony spod brzucha konia znieść szablą kręgle ustawione na trawie.

Tym imponował i mimo iż służbista, był lubiany w sotni. Nie znęcał się nad żołnierzami bez potrzeby, a jeśli karał - to sprawiedliwie. Każdy wiedział za co.

Dowódca pułku zaraz zwrócił uwagę na młodego oficera. Z początku darzył go sympatią i wyróżniał przed frontem żołnierzy. Ta łaskawość Ekscelencji - graf a Knuta, jak go przezywali ze względu na stosowaną z lubością karę chłó-sty i powiedzonko: „Jiatiuszka knut najlepiej nauczy!” - nie dziwiła zbyt starszemu pułkowej. Popijając herbatkę z tulskiego samowara i powtarzając porzekadło: - „Łaska Pańska na pstrym koniu jedzie”

- oficerowie czekali na to, kiedy Ławrow z roli faworyta spadnie do roli błazna i ciury pułkowej. A że tak będzie - byli pewni. Nie tacy kozacy jak Ławrow podskakiwali i spadli nisko.

Choćby taki Sieriożka Kurpin, ulubieniec grafa, podejrzany niesłusznie o romans z jego żoną tak został zadręczony, że w końcu z rozpaczyny palnął sobie w łeb.

Przed śmiercią zostawił pułkownikowi kartkę: „Ekscelencja daruje. Dłużej nie mogę. Jestem niewinny. Niech Bóg i Najjaśniejszy pan mi wybaczą...”

Może oni wybaczyli, ale nie graf. Do dziś drwi z Kurpina mimo jego tragicznej śmierci...

Co tu dużo gadać. Nawet ze swego dieńszczyka¹ Jaszy, zacnego muzyka znad Wołgi, oddanego mu duszą i ciałem, zrobił pirata. Jasza chodzi jak korsarz z czarną przepaską na oku. I wiadomo, kto mu to oko wybił.

- Wyjątkowo wysokiej rangi kanalia. Najwyższej. Nic dziwnego, że stopnia dla niego nie mają - szydził po cichu sztabkapitan Jerosiejew, robiąc alu-zje do długiego czekania pułkownika na upragniony awans generalski...

- On tak mówi - przestrzegł Ławrowa jego bliski druh Marczenko - a sam gorszy.

Lizus i rab. Wszystko grafowi doniesie. Ty uważaj na niego, Fiedia...

Fiodor uważał i starał się nie mieszać do pułkowych intryg. Nasłuchał się wiele takich historii. Zresztą sam widział, jak na placu ćwiczeń katuje się żołń Ordynans nierzy, batoży bez sensu, a gdy ledwie żyją i ociekają krwią, pułkownik podchodzi do nich i dźgając ich szpicrutą jak padlinę mówi czule: - Widzisz, syneczku? Nie ma to jak ojczulek knut. Teraz już będziesz wiedział, kochasiu...

„Ojczulka knuta” i „mateczkę nahajkę” uważał za najlepszych wychowawców i zapatrzony w pruski dryl (jak jego cesarz Paweł I) stosował

go z lubością.

Ławrow był z innej szkoły. Unikał chłosty i nie tymi sposobami chciał ćwiczyć swych żołnierzy.

Sadystyczne upodobania pułkownika rosły wraz z jego rozgoryczeniem. Po latach wiernej służby czuł się rozczarowany. Dowodzenie pułkiem kozaków dońskich o tysiące wiorst od stolicy cesarstwa, ukochanego Pitra, uważał za rodzaj zsyłki.

Swoistą katorgę.

- W końcu nie wypadłem spod ogona sroce - buntował się. Jestem ze starego, zasłużonego rodu, wychowanek Korpusu Paziów i dawno powinien być ze mnie generał-lejtnant. Gorsz durnie do wodzą dywizją...

Za brak awansu winił dworską kamarylę, owe stado małąp i pudrowanych goryli we francuskich perukach - jak ich nazywał - którzy nigdy nie wachali prochu.

Szczególne gromy ciskał na swego kuzyna, dowódcę lejbgwardii, wpływowego drania, z którym miał pecha wygrać w karty wioskę Dubrowkę pod Żytomierzem z dobrą setką pańszczyźnianych dusz.

- Teraz mści się na mnie, szympans! I knuje w Carskim Siole...

Prawda zaś była taka, że z powodu znanego okrucieństwa grafa, a nie knucia w stolicy, Petersburg wolał nadal mieć go na granicy, przedkładając raczej sadyzm nad złodziejstwo...

Na dworze wiedziano, że kto jak kto, ale graf Sołłogub, pan z panów, właściciel wielkich włości w Rosji, nie będzie się bawił w przemysł i łapownictwo. A jego słynny batiuszka knut może być niezłym biczem i straszakiem na komorze celnej.

W końcu austriacki Husiatyn to prężne targowe miasto Galicji na szlaku Lwów - Stanisławów i towary stamtąd płyną do Rosji jak rzeka. Nie zaszkodzi więc mieć na granicy takiego srogiego stupajkę. Pułkownik wielu

kupców już przykładowo pouczył swym „ojczulkiem”. A z nowym czort wie? Może okazać się łatwy chleb? W końcu nie każdy umie powstrzymać się, gdy łapówki same wchodzą mu do rąk. A graf Sołogub umie...

- I takiemu panu my się z tobą narazili, Rusłan! - mruknął do swego konia Ławrow smętnie kołysząc się w siodle. - To już lepiej było nam, bratku, skrócić kark i połamać wszystkie nogi, niż wyprzedzić o długość jego ukochaną klacz Matryonę.

Teraz, Rusłan, my obydwaj wyciągniemy kopyta. Już on nam tego nie daruje...

Przypomniał sobie, jak pułkownik po wygranej gonitwie składał mu gratulacje.

Ściskając rękę ze znanym uśmiechem wycedził przez zęby: - Nu, ładno, Ławrow. Popisałeś się. Maladiec. Tylko zakarbuj sobie. Choć ty Ławrow - to nie od Ławry Kijowskiej. I nikogo na kolana nie rzucisz, by się, do ciebie modlić i do twojego Rusłana. Jak do świętego Spasa! Nie licz na to, uważajemyj durakl - i odwracając się pociągnął za sobą swą biedną, przegraną klacz...

Szczególnie ten uważajemyj durak zgębził Ławrowa. Wróżył sądny dzień. Dużo gorszy niż ten z tą diabelską, przeklętą pogodą.

Nie mylił się. Sądny dzień nadszedł szybciej, niż przypuszczał.

Wkrótce pułkownik zarządził manewry właśnie jego sotni. Zajechał w asyście całego sztabu ze sztabkapitanem Jerosiejewem na czele. Choć sam Jero-siejew po cichu był dużo gorszego zdania o grafie niż on, Fiodor wiedział, że nie znajdzie w nim sojusznika. Przeciwnie. Jerosiejew pogrzebie go przy pierwszej okazji chcąc bardziej podlizać się swemu dowódcy. Już to jak tańczył przed nim i po każdym słowie stawał na baczność, mimo że siedział w siodle, najlepiej o tym świadczyło.

- Pogrzebie mnie jak nic. Uważajemyj durakl - powtórzył słowa

pułkownika i czekał na pierwszy cios.

Graf Sołłogub wstrzymał powitalną komendę i wolno defilując na swojej Matronie z satysfakcją wytykał Ławrowowi uchybienia w rynsztunku kozaków i koni. Ten miał źle przytroczoną szablę, tamten krzywą kulbakę i zbyt popuszczone popręgi.

Wyraźnie czepiał się szukając pretekstu. Ławrow ze spokojem znosił te szykany zapewniając Ekszelencję, że jego żołnierze w mig usuną te usterki. I rzeczywiście, gdy doszło do tradycyjnej komendy: „Szable w dłoń”! - jeden błysk przeciął powietrze.

Widok ten mógł zadowolić nawet najbardziej wymagającego dowódcę. Ale nie grafa.

Pułkownik patrzył na Ławrowa szklanym okiem, a złośliwy uśmieszek nie schodził mu z warg. Ściągając cugle swej klaczy rzekł chłodno: - A teraz, mój sotniku, skoro z ciebie taki chwyt i sokół, pokaż no swoim zuchom, co robi jeździec, gdy koń pod nim padnie...

Ławrow zdębiał. Asystujący pułkownikowi oficerowie spojrzeli po sobie. Tego jeszcze nie było. Graf Sołłogub kontent z wrażenia, jakie zrobił, dokończył grzecznie: - Zademonstruj no, syneczku...

- Nie bardzo wiem, Wasza Wysokość - wybąkał Ławrow.

- Nie wierzę. Taki chwyt musi wiedzieć...

Oczywiście, że wiedział. Zbyt długo ćwiczył to ze swoją sotnią. Należy szybko wyplątać się spod konia, odczołgać i okopać na wybranej pozycji. Nie będzie tego jednak robił przed frontem swojej sotni. Pełzał jak rak pod kopytami koni swych podwładnych, a oni z wyżyn siodeł będą oceniać jego żalosne podrygi. Wiedział, że Knut nie spocznie, nim go do cna nie zbłaźni i nie utytła w tym brudnym śniegu. Widział już swoją twarz ubabraną błotem... - Już się z tego nie dźwignę.

I nie odzyskam autorytetu. Do końca życia będę błaznem!

Pośmiewiskiem pułku - myślał.

- Ja wyraźnie powiedziałem, Ławrow! - powtórzył ostrzej pułkownik.

Nigdy przedtem żaden oficer nie otrzymał takiego rozkazu.

- Ja nie mogę - wyszeptał.

- To jest rozkaz, Ławrow. Wykonać! - zniecierpliwiał się niemal najeżdżając na niego swoją klaczą... Lepsza śmierć niż taki wstyd, uznał Ławrow, i czepiając się ostatniej szansy wykrztusił z siebie: - Ośmielam się najpokorniej zameldować, Wasza Wysokość, że regulamin służby tego nie przewiduje...

- Wot tobie i regulamin! - pułkownik chlasnął go szpicrutą przez twarz.

- Z konia, dumki - wrzasnął.

I wtedy stało się coś, o czym długo potem mówiono w pułku.

Przeszyty bólem i upokorzeniem Ławrow poderwał się. Nie wiedząc kiedy wyrwał szablę z pochwy i jednym cięciem zdmuchnął z głowy barankę pułkownika. Szamerowana czapka potoczyła się w błoto.

- Jeszcze słowo, graf, a spadnie i głowa! - ostrzegł.

Był gotów na wszystko. Wiedział, że nie ma wyjścia. Tym nagłym cięciem odciął sobie drogę. Czeka go sąd i Sybir. W najlepszym razie. Więc niech choć przedtem porachuje się z tym szubrawcem...

Z szablą w dłoni i wzrokiem straceńca natarł na pułkownika: - Paszoł won, uważajmyj durak, bo rozsiekam na kawałki!

Zaskoczony pułkownik odskoczył w panice. Z łysą głową, bez swej dumnej baranki wyglądał żałośnie. Po prostu śmiesznie. Nerwowy chichot przeszył końce szeregu.

Nie da się ukryć. Mieli satysfakcję. Długo czekali na ten moment. Ich wszechwładny Knut - car i pan - cofa się przed najmłodszym podwładnym pułku.

Król jest nagi. Odarty z szat przez swego pazia. Trwało to chwilę.

Ocknąwszy się z osłupienia graf Sołłogub wyszarpnął rewolwer i wymierzył w pierś porucznika: - Ja cię na pal wbiję, w dyby zakuję, durak! Co to, bunt?! Jak mi zaraz nie padniesz i nie przeczolgasz się przed frontem sotni, zabiję jak psa. Liczę do trzech - i na raz wystrzelił w górę. - Dwaa - przeciągnął wolno i wycelował w pierś Ławrowa.

Fiodor nie czekał do trzech. Jednym cięciem wytrącił rewolwer z ręki pułkownika i chlasnął go na płask ostrzem szabli. Tak spoliczkowany graf zachwiał się i nie zdążywszy krzyknąć: - Brać go! - zwalił się w śnieg.

Pozostało jedno. Spiąć się i co koń wyskoczy gnać na tamten brzeg. To była jedyna szansa... - Wóz albo przewóz! I tak jestem trup - uznał i oczekując palby za sobą przywarł mocniej do grzywy konia. Ku jego najwyższemu zdumieniu żaden strzał nie padł. Nie czuł też za plecami spodziewanej pogoni. Nikt z jego kozaków nie puścił się za nim w pościg.

- Maładcy - szepnął. - Niech Bóg ich ma w swej opiece...

Sobie znanymi skrótami gnał ku granicy, której jeszcze wczoraj tak wiernie strzegł. Dźgany ostrogami Rusłan pędził jak wiatr płynąc niemal w powietrzu.

Jak czarny pocisk zmiotł suche czubki oczeretów i dopadł rzeki. Skuty lodem Zbrucz odbił od kopyt konia. Szklany dźwięk: Dzyń-dzyń, dzyń-dzyń! - ponaglał ostro. - A może to w uszach mi dzwoni? - pomyślał.

Upragniony brzeg rósł. Ruiny zamku i kościoł na wzgórzu ogromniały. Galopowały złote kopyły cerkwi. Dopiero gdy przesadził graniczny szlaban, a z budki strażnika rozległ się głos: - Haiti Haiti - zrozumiał, że jest zbawiony. I że to nie w uszach mu dzwoni, ale dzwony w tym kościele na górze biją na poranne nabożeństwo.

- To niezły znak - ucieszył się i klepnął konia. Zdyszany Rusłan prychnął raźnie. Straszne napięcie opadło i ktoś z uczuciem największej ulgi krzyknął nie jego głosem: - Może ty jeszcze pożyjesz, Fiedia? I nie taki z ciebie

uważajmyj du-rakl\ Dwóch austriackich strażników, wciąż zdziwionych skąd się u nich wziął ten rosyjski oficer w pełnym rynsztunku bojowym, ostrożnie, z bronią gotową do strzału wolno zbliżało się do niego.

Ławrow z wolna tracił nadzieję. Przesłuchania trwały, a on wciąż siedział. Co prawda nie wydano go w ręce swoich, ale obcym też nie spieszo było z jego zwolnieniem.

- Doczekałeś się, Fiedka. Powinszować. I wszystko przez jednego drania. Od niego zacząłeś i na nim skończysz swą błyskotliwą karierę. Za jednym cięciem. Ciach! - splunął do cebra i zaczął krążyć po celi.

Co jakiś czas robił kilkanaście przysiadów i gdy się zdyszał, trochę mu ulżyło.

Przywykł do ćwiczeń w polu i dusił się w tym bezruchu.

Do celi wszedł strażnik z menażką i pajdą razowca.

- Waserzupa i krupa, panel - krzyknął raźnie.

Był to miły, rumiany chłopak pogodny jak słońce i wraz z nim wpadał do celi jaśniejszy promień. Poczciwość biła z jego dobrodusznej twarzy. Fiodor zaraz znalazł w nim druha. Był to miejscowy Rusin z pobliskich Kociubiniec. Nazywał się Wynnyczenko. Danyło Wynnyczenko. To on przynosił Ławrowo-wi tytoń i najświeższe wiadomości. Co ważniejsze - doglądał Rusłana, o którego Fiodor bardzo się troszczył.

Wciąż drżał, czy jego koniowi, na którym tak szczęśliwie salwował się ucieczką, niczego nie brakuje. Stale dopytywał się, czy jest należycie karmiony i szczotkowany. Czy nie zastał się w stajni. A jeśli się nie zastał, to czy ci, co na nim jeżdżą, aby go nie zajeżdżą?

Danyło przysięgał, że może się nie bać, że Rusłan jest królem stajni.

- Bien - ucieszył się baron i zwrócił się do hrabiego: - Alors, cher comte, mentenantvotretourl...

Hrabia zadał Fiodorowi serię pytań dotyczących szkół i przebiegu

służby, po czym dodał, że oglądał na maneżu jego kruczego ogiera i po exterieur2 doszedł do wniosku, że ma do czynienia z nie byle jakim koniarzem. Ławrow potwierdził, że konie i wojsko to jego pasja...

- Ja szlachcica po koniu poznam. Jak ma szkapę pod tyłkiem - znaczy nicpoń i kiep! Kawał hultaja; panie - hrabia zakręcił laską...

- Ten koń stał się naszą kartą przetargową - wszedł mu w słowo baron.
- Rosjanie szczęśliwie odstąpili chwilowo od wydania pana, poruczniku - i zadowolili się jeno pańskim koniem i rynsztunkiem. Aż się zdziwiłem tą nagłą zmianą...

Ławrow przeraził się. W żadnym wypadku nie chciał stracić konia. Byłaby to największa podłość. I zdrada. Gorsza niż śmierć. - Dać im Rusłana? Niedoczekanie ich! Po moim trupie! - pomyślał i próbując się opanować oświadczył: - Koń jest mój. Kupiłem go za własny żołd i pułk do niego nic nie ma. Siodło i rynsztunek chętnie zwrócę. Proszę bardzo...

- Dyskusja jest bezprzedmiotowa, poruczniku, bo ja wydałem rozkaz masztalerzowi, by wyszykował pańskiego konia i odstawił do granicy. Myślę, że już to zrobił - odparł grzecznie baron.

- Nie! - Ławrow zerwał się. - Jak on to i ja! - wykrzyknął. - Razem uciekliśmy i razem wrócimy. Tylko śmierć nas rozdzieli...

Jego wściekłość powiększał fakt, że czuł, czyja to sprawa.

Jerosiejew od dawna czyhał na jego konia. Teraz skorzystał z okazji, swo-locz.

Za Boga! Za Boga nie odda mu Rusłana! Raczej razem z nim skoczy w przepaść...

- No, no - kiwnął głową z uznaniem hrabia. - Woli chłop stracić królestwo, a nawet głowę niż konia? To lubię. To lubię, panie dziejku. Podobasz mi się, mój chłopcze - klepnął go w plecy.

Próba wypadła nadspodziewanie dobrze. Nie tyle seria życiowych

pytań, co ten nagły, raptowny zryw przekonał hrabiego Cieleckiego, że znajdzie w tym młodym, przystojnym Moskalu niezłego koniuszego. A może i kogoś więcej.

- Sojusz dwóch obcych grafów sprawił, że uwolniłem się od trzeciego. Czy to nie dziwne? - myślał głośno Ławrow stojąc przed cerkwią świętego Onufrego na wysokim wzgórzu. Ruski Husiatyn, jak go tu nazywali miejscowi Polacy, rozciągał się przed nimi jak na dłoni. Przyglądali mu się w milczeniu.

1 Teraz, drogi hrabio, pana kolej.

2 Wygląd zewnętrzny.

To od Danyły Ławrow dowiedział się też, że posłańcy z jego pułku kilkakrotnie tu byli domagając się jego wydania. Rozmowy toczyły się na moście, więc Danyło mógł widzieć. Szczególnie jeden kozak na siwym bachmacie, wyższy szarżą, w bekieszy, najgłośniej krzyczał żądając jego deportacji. Tak się pieklił, że koń pod nim siadał. Ławrow bez trudu odgadł, że to sztabkapitan Jerosiejew.

Widział już siebie na moście, wziętego w dwa konie, bez oficerskich pagonów, ze związanymi do tyłu rękami, jak wloką go w pogardzie i poniżeniu, by wtrącić do kazamato w i postawić przed wojenny sąd.

Badający Ławrowa komendant miasta, baron von Strotzky, wytworny pan w monoklu, mimo że sam graf" nie żywił sympatii do ich grafa. Gdy Fiodor mówił mu o sadyzmie Knuta, krzywił się z niesmakiem: - Mein Gott! Nie do wiary - i kiwał ze współczuciem głową.

- Prywatnie mi sprzyja. Ale cóż on może? I tak decyduje cesarz. A cesarz - wiadomo. O jednego Ławrowa z naszym carem nie będzie się bił. Zdmuchną mnie jak pyłek. Ot, co!

Danyło zabrał menażkę i przyrzekł, że jutro dowie się czegoś więcej.

Ławrow wyciągnął się na pryczy i nabił fajkę tytoniem.

Nie zdążył zapalić, gdy do celi wszedł zmiennik Danyły, milczący, ponury drab, który powiódł go na przesłuchanie.

Minęli koszarowy dziedziniec i weszli do gmachu z czerwonej cegły, w którym Ławrow już był.

- Znaczy znów ten graf będzie mnie pytał - stwierdził.

W jego kwaterze zastał starszego pana w kontuszu, bryczesach i wysokich sztybletach. Po dumnym, szlacheckim obliczu ozdobionym bokobrodami i wąsem znać było ważną personę...

- Znów graf - westchnął Ławrow - dziwnie mnie oni prześladowają...

Rzeczywiście, komendant przedstawiając gościa wyjaśnił mu, że hrabia Józef de Zarembo-Cielecki jest starostą miasta i chce z nim pomówić... - Lepszy horodniczy niż żandarm - pomyślał więzień z ulgą.

Hrabia podał mu rękę, którą Ławrow uściśnął z szacunkiem. Baron von Strotzky wskazał mu krzesło i wyszedł zza biurka. Dał do zrozumienia, że rozmowa będzie prywatna. Fiodor siadając między tymi grafami pomyślał, że zawsze oni lepsi z dwóch stron niż koledzy z pułku. To go lekko pocieszyło.

- Herr Ławrow! - zaczął baron po niemiecku i przeszedł na francuski. - Pan hrabia Cielecki zna pańską historię ode mnie i pragnie panu zadać parę pytań. Nie taję, że pytania te będą ważne, kto wie, czy nie życiowe. Mam nadzieję, że jako oficer i bojar rosyjski, rozumie pan nasze intencje i będzie pan odpowiadał godnie, szczerze i zgodnie z prawdą...

- Ręczę za to oficerskim słowem honoru, panie pułkowniku! - zapewnił Ławrow unosząc się w krześle.

CZĘŚĆ I Wynnyczenko trzymał za uzdę konia. Rusłan zadzierał wysoko łeb i bił kopytem w ziemię. Z chrapów wydobywały mu się ciche parsknięcia. Fiodor nie miał wątpliwości, że Rusłan też czuje wyjątkowość sytuacji.

U ich stóp wił się Zbrucz. Szare tafle kry skrzyły się lodowato w marcowych smugach słońca. Tłukąc się wzajem o siebie spływały wolno czarnym korytem rzeki.

Dzwony cerkwi zaczęły bić i Ławrow poczuł się jak na własnym pogrzebie. Oto przychodzi mu chować dawnego Fiedkę, sotnika kozaków dońskich, syna znanego bojara spod Rostowa, i rodzić się tu znów. Jako kto? Myśl, że na zawsze opuszcza armię i żegna się z karierą wojskową, o której od dziecka marzył, nie była mu miła.

- No, nic. Grunt, że żyjemy - spojrzał na Rusłana. - Tylko jemu i opatrności boskiej zawdzięczam, że jestem tu, a nie tam - spojrzał na swoich za kordonem.

Teraz należało się głębiej pokłonić Bogu i podziękować za to cudowne ocalenie - uznał i wolno wszedł do cerkwi.

Wkrótce potem, kołysząc się w siodle, przybywał do pałacu w Hadyńkow-cach, by objąć swój ą pierwszą życiową posadę. Nie miał najmniejszego pojęcia, że jego widok zrobił wielkie wrażenie na całym fraucymerze, młodziutkiej klucznicy, dalekiej krewnej hrabiny Cieleckiej, nie wyłączając...

Siedzimy w przeszklonym biurze przy głównym wjeździe do piekarni „Ontario Bread Company Limited”. Leszek, którego poznałem w 1993 roku, i jego brat Jarosław, obecni współwłaściciele piekarni, to pra-pra-pra-prawnukowie Fiodora Ławrowa, którego desperacki skok przez Zbrucz rozpoczął tę sagę.

- Legenda rodzinna głosi - mówi Leszek - że nasz protoplasta zabił tego grafa.

Mój tato wciąż to powtarzał. Stryj Karol też...

- Tak jest. Ściął mu łeb jak nic - poparł go brat Jarosław zwany w piekarni Majorem, który zdążył urodzić się w rodzinnych Hadyńkowcach,

podczas gdy o dziesięć lat młodszy Leszek ujrzał świat w Prudniku na Ziemiach Odzyskanych.

- Trudno mi w to uwierzyć - wyraziłem wątpliwość.

- On go zabił! - upiera się Leszek. - Podobny wypadek zdarzył się jego prawnukowi, a mojemu Dziadkowi Teodorowi IV. Nie ma co tego ukrywać!

- To brzmi nieprawdopodobnie, wręcz groteskowo. Gdyby go zabił, Austriacy natychmiast by go wydali - broniłem się.

- Nie wydali go, bo wtedy były napięcia między Austrią i Rosją. Wiem. Sprawdzałem to.

Leszek Wawrow powiedział mi, że od dwudziestu pięciu lat planuje utrwalić ginący już świat młodości swoich rodziców. Skrzętnie robi notatki i zbiera rodzinne dokumenty.

- Wiele przeszli. Mieli bogate życie. Warto z nimi porozmawiać - powiedział. - W wypadku ojca jest już za późno. Przed dziewięciu laty dostał wylewu i nie mówi.

A szkoda, bo świetnie opowiadał. Ale żyje moja matka, która dużo wie i pamięta.

Nie chciałbym się znów spóźnić. Pan w Kładce przez Atlantyki uratował od zapomnienia „Atlantyde” Tadeusza Gonsika - przedwojenny polski Nowogródek, może więc i ten świat nad Zbruczem pana zainteresuje? Chętnie pana poznam z moimi rodzicami...

Akurat szukałem nowego tematu. Rozmowa nic nie kosztuje. A nuż rzeczywiście będzie coś ciekawego? Wsiedliśmy w samochód i pojechali w stronę High Parku.

Podjechaliśmy do dwupiętrowego budynku z czerwonej cegły - domu państwa Wawrowych. Leszek nacisnął środkowy dzwonek. A gdy drzwi otworzyła drobna kobieta o lekko perkatym nosie, ciemnych, bujnych włosach i dużych, jakby zdziwionych oczach, przedstawił mnie: - To jest pan

Abramow, autor Aliantów, Pana Zdzicha i książki o panu Gon-siku.

- Wiem. Ja je wszystkie czytała¹ - stwierdziła z dziewczęcym uśmiechem.

- A to jest moja mama, Olga Wawrow - Leszek dokończył prezentacji.

- Proszę wchodzić i rozgościć się - rzekła pani Olga i wskazała schody prowadzące na górę. - Proszę siadać. Ja zaraz coś przygotuję...

- Chwileczkę, mamó. Ja nie chcę, by mama karmiła, tylko powiedziała coś o swoim życiu na Podolu - przerwał jej Leszek.

- A co mi mówić, Lesiu. Życie jak życie. Nic specjalnego ja w nim nie widzę - wzruszyła ramionami.

- Jak to nic?! Lata wojny, trzy okupacje, deportacje, reemigracja, banderowcy to nic?! Mama, jako Ukrainka, ma ciekawe spojrzenie...

- Jąkają ta Ukrainka. Dawno przestała nią być - zaprzeczyła i szybko zaczęła nakrywać do stołu. Po chwili ze spaceru wrócił pan Wawrow. Ciężko szurał zimowymi butami i wieszał płaszcz w przedpokoju. Gdy Leszek chciał mu pomóc, odepchnął go i dał znak, że sam sobie poradzi. Nałożył ciepłe futrzane papucie i siadł w fotelu pod swoim portretem. Miał te same gęste, krzaczaste, brwi i ciemne, wyraziste oczy co dawniej. Powoli wytarł szczerwienia-ły z mrozu nos i z grymasem niechęci dotknął lewej nogi. Leszek szepnął mi, że ojciec miał prawą część sparaliżowaną i dotąd lewa strona mu nie dokuczała.

Widząc, że przyglądam się fotografiom i portretom na ścianach Leszek zaczął mi objaśniać: - Ta czarno-biała fotografia całej naszej rodziny była robiona w 1956 roku na życzenie stryja Karola z Kanady. Jarek ma na niej siedemnaście lat, właśnie co zdał maturę, a ja jestem po pierwszej klasie. Nasza trzyletnia siostra Ewa jest strasznie naburmuszona, bo absolutnie nie chciała pozować do tego zdjęcia... A ten kolorowy portret, gdzie wszyscy znów jesteśmy razem, mógł powstać dopiero po trzydziestu latach, kiedy brat

Jarek połączył się z nami w Kanadzie...

1 Pani Olga ma piękny, kresowy zaśpiew, który tak lubię. Trudno go w piśmie odtworzyć. Zamiast mówić „wszystkie, zawsze” - mówi: „wszyuskie, zausze” - i to uroczo brzmi, „prau-dę powiedziauszy”.

- A ten chłopczyk na koniu w marynarskiej czapce? - spytałem.

- To Jarek przed naszym domem w Hadyńkowcach...

- Na karej klaczy Mańce - dodała pani Olga.

- Z całej batkowszczyzny, czyli ojcowizny, na Ukrainie zostało tylko to przedwojenne zdjęcie na koniu, które przerobiliśmy na kolorowy obraz. Żeby przesłonić czarną wizję strat - zaśmiał się. - A tu mama z tatą w maju 1937 roku piękni i młodzi na miesiąc przed ślubem...

- A-aa - potwierdził pan Wawrow poruszając się w fotelu.

Pod kwitnącym drzewem barczysty, przystojny chłopak, z buńczucznym czubem włosów na głowie pewnie obejmował w pół uśmiechniętą, śliczną czarnulkę mrużącą oczy przed promieniami wiosennego słońca. Twarze mieli szczęśliwe, pełne nadziei.

- Ja, ja. Nie majak miesiąc maj w naszych stronach. Na Podolu - westchnęła pani Olga ustawiając filiżanki na stole...

To było moje pierwsze i ostatnie spotkanie z panem Wincentym. W trzy dni po tym spotkaniu zmarł i odbył się jego uroczysty pogrzeb. Po pogrzebie Leszek powiedział: - Czy to nie dziwne? Ja go wtedy też ostatni raz widziałem. Razem z panem. Jest w tym jakiś znak. Powinien pan przystąpić do rozmów z moją mamą. Absolutnie - przekonywał mnie.

W niedługim czasie zacząłem regularnie przychodzić na Indian Grove i spisywać wspomnienia Olgi Wawrow nie bardzo wiedząc, co z tego wyjdzie. Powoli sterta notatek rosła, a mama Leszka stała się moim głównym przewodnikiem po tym nieistniejącym już świecie, do którego tak tęsknili ona i jej mąż, Wincenty Wawrow.

W siódmym tomie pomnikowej pracy Romana Aftanazego Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej, obejmującym województwo ruskie, ziemię halicką i lwowską, natrafiłem na dokładny opis dworu w Hadyńkowcach. I historię rodu Cieleckich. Jest też fotografia pałacu z czasów jego największej świetności, przed spaleniem przez Rosjan w 1915 roku. Po 1920 roku Artur Cielecki odbudował dwór w kształcie znacznie skromniejszym, bez pierwszego piętra, skrócony o jedną oś od strony wschodniej.

Aftanazy twierdzi, że pierwotna nazwa wsi Hadyńkowce brzmiała Wiszen-ka. Z powodu jednak wielkiej ilości zmij miejscowi Rusini zaczęli wieś nazywać Hadyńkowce. Od słowa hadyna - po ukraińsku zmija. Widać w okolicach płynącej przez wieś Niczławy zmije znalazły dla siebie dogodne siedlisko. I z niewinnej, kwitnącej Wiszenki uczyniły Hadyńkowce, czyli zmijowisko. Myślę, że ta jadowita, trująca nazwa przez wieki nie pasowała do mieszanej ludności wsi, która od pokoleń żyła tu we względnej zgodzie, szanując i tolerując swą inność.

Wracając do mego bohatera, Ławrowa, to kluczową rolę w jego życiu odegrał hrabia Cielecki. Polegała ona na tym, że pozwolił mu się ożenić ze swoją klucznicą, daleką krewną, której imienia i nazwiska pamięć rodzinna nie ocalała. Wiadomo tylko, że była szlachcianką z krakowskiego. I że dla niej Ław-row zmienił wiarę i z prawosławia przeszedł na katolicyzm. Ich ślub odbył się w kościele.

Po wyjściu z aresztu Fiodor został sotnikiem kozaków dworskich hrabiego Cieleckiego. W nagrodę za wierną służbę hrabia dał mu dwadzieścia osiem mórg ziemi w jednym kawałku, co ważne, na którym mógł gospodarować ze swą młodą żoną.

Rodzinna legenda głosiła, że Wincenty, stryj Wincentego Wawrowa, po którym ojciec Jarka, Leszka i Ewy odziedziczył imię, zginął bohatersko w

bitwie pod Brzeżanami. Leszek zapamiętał opowieść ojca, jak to jego stryj Wincenty, gorący patriota polski, w czasie odwrotu wojsk austriackich, gdy wszyscy w popłochu uciekali, pozostał w swojej transzei. Nie pomógł krzyk oficera: - Ławro!

Zuriick1 Zbyt duża hurma Moskali wali!

- Moment! - odkrzyknął stryj. - Niechta jeszcze jednego Moskala ustrzelę! - I tak strzelał zaciekle, że zamek mu się z gorąca zaciął i Moskale roznieśli go na bagnietach.

Pani Olga natarczywie pytana przez Leszka dokładnie nie wiedziała, w którym roku Wincenty zginął i w jakiej armii służył. Leszek zdecydował się w końcu napisać do jego syna Jaśka Wawrowa, który wciąż mieszkał w rodzinnych Hadyńkowcach.

Ostatnio udało mu się wydobyć z Zabuziańskiego Archiwum Akt Nowych metryki rodziny Wawrowych. Potwierdziła się opowieść ojca, że dopiero dziadek Teodor Ławrów IV chcąc spolszczyć rosyjskie nazwisko zmienił je na Wawrow. Ten poległy na wojnie brat Teodora Wincenty w metryce chrztu wciąż miał Ławro, a siostry Karolina i Aniela - Ławrów. W końcu wszyscy przyjęli tę spolszczoną wersję nazwiska - i dzieci Teodora nazywają się już Wawrow.

Syn Wincentego Ławro, Jaśko Wawrow lub jak dziś po ukraińsku Iwan Wawriw, nie repatriował się do Polski w 1945 roku. Podczas wojny stracił nogę walcząc w Armii Czerwonej. Właśnie z nim Leszek korespondował w nadziei, że zdobędzie bliższe dane z życia jego ojca Wincentego. Jako doświadczony kanadyjski biznesmen wiedział, że nic za darmo i dla zachęty

1 Do tyłu!

wsunął do koperty sto dolarów, które na Ukrainie wciąż są dużą sumą. Nie przewidział, że list trafi do rąk córki Jaśka, Sławki, która za dolary pięknie podziękowała konfiskując je dla siebie. W odpowiedzi wygrzebała

paczkę starych fotografii, które znalazła w skrzyni swej babki, stryjenki Kaśki, wdowy po Wincentym Ławro. Wysłała list tak chaotyczny, że trudno się było z niego w czymkolwiek zorientować. Po tym doświadczeniu Leszek wysłał drugi list do Jaśka zaznaczając z góry, że dopiero po jego odpowiedzi nastąpi wypłata. Z listu Sławki była tylko ta korzyść, że wśród przysłanych zdjęć znalazła się fotografia Teodora Wawrowa, dziadka Jarka, Leszka i Ewy.

- Ja wiedziała, że gdzieś to zdjęcie teścia Teodora jest - rzekła pani Olga wzruszona - ale stryjna Kaśka nigdy nie chciała go nam pokazać, bo miała je tylko jedno i bała się, że my jej nie oddamy. Na tym zdjęciu jest po jednej stronie brat stryjny Kaśki, Piotr Furmaniuk, przyszedł na Sejm polski, a po drugiej jej mąż Wincenty Ławro. W środku zaś stoi mój teść Teodor, ojciec Wicka.

Piotr Furmaniuk bardzo przyjaźnił się z Teodorem i po jego śmierci pomagał memu Wickowi. Zagwarantował między innymi za niego i Wicko w siedemnaście lat objął sklep kółka rolniczego. Gdy my pytali o tę fotografię stryjanek Kaśkę, to zawsze mówiła: - Nie ma żadnego zdjęcia! - A tu nagle w pięćdziesiąt lat po jej śmierci jest. Przesłała je nam jej wnuczka Sławka za sto dolarów. Szkoda, że mój Wicko tego nie dożył i nigdy nie widział twarzy swego ojca. Ale to przynajmniej dobre, proszę pana, że wnuki i prawnuki mogą tu w Kanadzie widzieć, jak Teodor Wawrow, Łysyj Fedko wyglądał - dokończyła.

Zatem jedna jedyna podobizna dziadka Teodora, który umarł w 1920 roku, dotarła w końcu do archiwum Leszka.

Z tego listu Sławki - na ile można było zrozumieć - wynikało, że jej dziadek Wincenty Ławro jako młody chłopak wyjechał za chlebem do Ameryki. Podobno pracował w kopalni w Teksasie. Potem wrócił do Hadyńkowic. W 1914 roku powołany do austriackiego wojska zginął w bitwie pod Brzeżanami¹.

‘ Te informacje potwierdził i rozszerzył Petro Szarawski, pasierb Jaśka Wawrowa, który odpowiedział na drugi list Leszka wysłany do jego ojczyma. Oto co napisał Petro: „...Wawrow (Ławro) Wincenty Teodorowicz urodził się w Hadyńkowcach w 1884 roku. W 1906 roku ożenił się z Katarzyną Furmaniuk, która wtedy miała piętnaście lat. Była z tej samej wsi. (...) W 1913 roku Wincenty Wawrow wyjechał na zarobek do Ameryki. Pracował w kopalni węgla w Teksasie. Po roku wrócił do domu. W tym samym 1914 roku wybuchła wojna, Halicja była w Austrii i walczyła przeciw Rosji. Wincenty został zmobilizowany i wysłany na front. Jesienią przy forsowaniu rzeczki Złota Lipa w powiecie brzeżańskim w tarnopolskiem zginął od kul ruskich żołnierzy. Jest pochowany koło miasta Brzeżany. (...)

Wawrow Jan (Jaśko) Wincentowicz urodził się 12 stycznia 1913 roku. W 1921 roku poszedł do pierwszej klasy szkoły w Hadyńkowcach, którą skończył w 1925 roku.

Nauka w tej szkole była po polsku i po ukraińsku. (...) W lutym 1936 roku ożenił się w cerkwie z dwudziestoletnią Anastazją Zacharczuk.

21 listopada 1936 roku urodził im się syn Bohdan. Po ukończeniu siódmej klasy w HadyńSyn jego brata Teodora, ojciec Jarka, Leszka i Ewy urodził się 16 stycznia 1915 roku pod okupacją wojsk rosyjskich, które zajęły Hadyńkowce. Na chrzcie dali mu imię Wincenty na cześć poległego przed kilku miesiącami stryja.

- Stryjeczni bracia Jaśko i Wicko razem się chowali, przyjaźnili i razem głośno kawalerowali we wsi, proszę pana - ciągnęła swe wspomnienia Olga Wawrow. - Wuj Piotr Furmaniuk, jeden z tej fotografii, co przeżył wojnę, ojcował i jednemu siostrzeńcowi i drugiemu. Później obydwaj kuzyni Wicko i Jaśko ożenili się ze swymi ciotecznymi siostrami. Wicko ze mną a Jaśko z Nastuńką Zacharczuk...

Oglądam następną fotografię z archiwum Leszka, na której starsza

kobieta siedzi w krześle po obu stronach mając dwie córki.

- To jest moja babcia Anastazja Nawrocka, po lewej stronie stoi ciotka Marynka, która wyszła za Nykołę Zacharczuka, a po drugiej moja mamcia Pawlina, która wyszła za mego tatę Martyna Wynnyczenkę. My więc byli z Wiekiem też podwójną rodziną, bo Jaśko był kuzynem Wicka, a ja kuzynką Nastuńki Zacharczuk. Przed wojną my byli w wielkiej przyjaźni. Dopiero później, gdy przyszła wojna, Jaśko poczuł się Ukraińcem, proszę pana, a Wicko został Polak. Jaśko poszedł do ukraińskiego wojska, co było Czerwoną Armią, a Wicko do Kościuszkowców. Syn Jaśka Wawrowa, wnuk Wincentego Ławro, co zginął w walce z Moskalami pod Brzeżanami, Bohdan Wawriw zdecydował się wrócić do rodowego nazwiska Ławrow.

Wzięty do Czerwonej Armii opuścił Hadyńkowce i po wojsku zaczął nowe życie w Rostowie nad Donem. Już jako Moskał, proszę pana - dokończyła.

W ten sposób, pomyślałem, ród, który jego przodek Fiodor Ławrow, sotnik kozaków dońskich, tak brawurowo jednym skokiem przeniósł za Zbrucz, on znów zawrócił nad Don. Dziwne są ludzkie losy...

kowcach poszedł do szkoły zawodowej w Jaworowie. Powołany do Czerwonej Armii w 1956 roku po trzech latach wrócił na krótko do Hadyńkowiec, poczerń wyjechał na budowę „Dnie-prowskoho Kanału” w donieckiej obłasti. Tam się ożenił i pozostał na stałe. Ostatni raz odwiedził swego ojca w 1981 roku. Nie koresponduje.

Jan Wawrow w kwietniu 1944 roku został zmobilizowany do Czerwonej Armii. (...)

22 lutego 1945 roku duży jak palec odłamek trafił go w udo i ugrzązł w tylnej jego części. Po wyciągnięciu odłamka, zaszyciu i wyzdrowieniu Jan ruszył znów na front. Koło miasta Lijepaja na Łotwie został ranny drugi raz. Tym razem pocisk rozrywający rozszarpał mu nogę poniżej kolana, a drugą

lekką zraniał. (...) Po kilku dniach w transporcie ciężko rannych przywieźli go do Dźwińska. Tych, którzy przeżyli ten atak, przedstawiono do odznaczeń i orderów. (...)

W Dźwińsku Janowi amputowali nogę powyżej kolana, bo zaczęła wychodzić mu kość.

Stamtąd wysłano go do Wołogdy, gdzie amputowano mu resztę nogi. W 1945 roku wrócił do Hadyńkowiec jako inwalida wojenny drugiej kategorii, odznaczony Medalem Za Wojenne Zasługi, Medalem Za Odwagę, Orderem Wielkiej Wojny Ojczyźnianej I Stopnia i Orderem Zwycięstwa.

W 1948 roku urodziła mu się córka Sławka. Skończyła dziesiątą klasę w 1965 roku, a w rok później wyszła za mąż za Bohdana Głuchowskiego..."

A nazwisko Ławrow ma w Rosji stare tradycje. W XIX wieku wsławił je jednej strony Piotr Aleksiejewicz Ławrow - filozof i publicysta, pułkownik artylerii, główny ideolog narodnictwa, pójsia w lud, założyciel pisma „\Vpi < riod”, z drugiej zaś konserwatywny carski generał-lejtnant Stiepan Nilowicz Ławrow. W 1994 roku pojawił się na krótko w Moskwie wiceminister Spraw zagranicznych - Piotr Ławrow.

W rodzinie istniał zwyczaj, że najstarszy syn nosił imię Teodor. Fjodor Ławrow miał jedyne dziecko syna Teodora II, któremu urodził się również syn Teodor III.

Dotąd rodzina gospodarzyła na całych dwudziestu ósmiu morgach nadanych Fiodorowi w jednym kawałku przez hrabiego Cieleckiego. Od Teodora III królestwo zmieniło się w księstwo dzielnicowe. Miał on bowiem a; siedmioro dzieci i zwarty kawałek ziemi uległ podziałowi. Najstarszym jego (synem był Teodor IV - urodzony w 1862 roku, dziadek Jarka, Leszka i Ewy. Po nim przyszły siostry Maria i Karolina, następnie brat Antoni, który za chlebem wyjechał do Ameryki i tam zmarł. Po Antonim urodziła się Aniela, która wyszła za mąż za Krasnowskiego i była teściową Gnacha, pocztmistrza z Ha-

dyńkowiec, o którym będzie jeszcze mowa. Wreszcie najmłodszy bracia Teodora IV - Jakub i Wincenty. Obydwaj przed I wojną światową pociągnęli za bratem Antonim do USA.

Dziadek Leszka, Teodor IV, też miał sporo dzieci, z których przy życiu zostało pięcioro. Najstarsza była Paulina urodzona w 1893 roku, a najmłodszy - Wincenty, ojciec braci Wawrow, którego od Pauliny dzieliły aż dwadzieścia dwa lata. Między nimi były dwie siostry Maria i Józefa. Józefa starsza od Wicka o osiemnaście lat praktycznie go wychowała. Jako dwunastoletnia dziewczynka uległa wypadkowi.

Spadła z drabiny i wywichnęła łopatkę. Nikt jej nie nastawił, pozostawiając rzecz naturze. W następstwie tego plecy się wygięły w kształcie garbu. Józka, jako ułomna, nigdy nie wyszła za mąż, chociaż kręcił się koło niej kawaler, ale matka go przegnała, twierdząc, że na ziemię leci, nie na nią. Trudno dojść, czy była to miłość do Józki, czy do ziemi. Ziemia budziła wtedy wielkie pożądanie i każdy chciał ją posiadać, nawet z garbatą panną. Józka długo nie mogła tego przeboleć i do końca życia miała do matki żal. Ale wola rodziców była wtedy święta i Józka całe życie została w domu. Najpierw u matki, potem u brata Wicka.

Stąd Jarek pamięta ją jeszcze z Ha-dyńkowiec, a Leszek i Ewa z Prudnika.

Między Józka a najmłodszym Wiekiem był jeszcze Karol, starszy od brata o sześć lat. Urodził się w 1909 roku. Teodor IV wcześniej zmarł, gdy mały Wicko miał pięć lat, a Karol jedenaście, i odtąd ich matka musiała sama chować dzieci. Jako dwudziestolatek, Karol uciekając przed poborem do wojska pospiesznie odstąpił jej swoją część ziemi, którą potem sprzedała. Matka na gwałt pożyczyła pięćset dolarów od swojej siostry Antoszki Rasiewicz (z domu Hryb), której mąż pracował w Ameryce. Za dwieście pięćdziesiąt dolarów Karol kupił bilet kolejowy do Gdańska i „szyfkartę” na

statek do Kanady.

Resztą - dwieście pięćdziesiąt dolarów, które mu zostały - wsadził do portfela na początek nowego życia w Kanadzie.

Bracia uściskali się w Hadyńkowcach i Karol ze swym kuferkiem opuścił dom, do którego już nigdy nie wrócił.

- Moja teściowa Hanuśka, proszę pana, zawsze patrzyła się na ogród i powtarzała: - Tędy Karol poszedł do Kopyczyniec, bo nie chciał iść na stację w Hadyńkowcach, żeby go ktoś nie widział.

W Kopyczyńcach czekał już na niego Jarosław Pohorecki z dokumentami i zaproszeniem do Kanady. I tak, proszę pana, matka go pożegnała z tym kuferkiem i ćwierć tysiącem dolarów, jak poszedł za ogrody. Wypatrywała potem ciągle i nigdy już nie zobaczyła...

W czterdzieści lat po wyjeździe Karola Wawrowa, gdy Leszek odwiedził swoją ciotkę Leonkę Źarską, córkę Antoszki Rasiewicz z Hrybów, w Przemkowie pod Zieloną Górą, przypomniała mu, że gdyby nie jej mama, to ani Karolko, ani Wicko z rodziną nigdy nie znaleźliby się w Kanadzie.

- My dali Karolkowi pięćset dolarów, bo potrzebował te pieniądze naraz. Twoja babcia Hanuśka przyszła do mojej mamy i powiedziała, że jej potrzeba pięćset dolarów, bo Karolko jutro wyjeżdża do Kanady, tylko żeby nikomu o tym nie mówić...

- No, ale moja babcia oddała wam te pieniądze. Wiem, że sprzedała zaraz krowę i kawałek pola pod lasem z udziału stryja Karola - przypomniał jej Leszek.

- No, tak, ale jakby my tych pieniędzy wam nie pożyczyci, to byście Kanady nie widzieli - powtórzyła z wyrzutem, dając mu do zrozumienia, że to jej pośrednio wszystko zawdzięczają.

- Było w naszej wsi dwóch braci Nawrockich. Pańko i Mechańko - opowiada dalej Olga Wawrow. Jesteśmy znów w Hadyńkowcach choć

naprawdę na Indian Grove. Portret Jarka zrobiony według starej fotografii wisi na ścianie. Mały Major siedzi z fasonem na koniu, w zawadiacko zsuniętej na tył głowy marynarskiej czapce, spod której wystaje jasna grzywka. W tle chata strzechą kryta. I studnia z kołowrotem...

- Dziadko Pańko wyjechał do Kanady w 1911 roku. Chciał zarobić troszku pieniędzy, by dokupić ziemi. I tak był bogaty gospodarz, miał aż dziesięć mórg, ale i sześcioro dzieci, a każdemu musiał coś zostawić. Przed wyjazdem wydał już dwie najstarsze córki za męża: Zofkę za Prysiaźnego, a Marynkę za Nykołę Zacharczuka, ale w nowym domu, który zdążył pobudować, był jeszcze syn Hrehory, wujko Hryćko, moja mamcia Pawlina, Natalka, ciotka Kalka, jak ja ją nazywała, i najmłodszy syn Antoszko. Dziadko Pańko zostawił dzieci z żoną Anastazją, z domu Babyn, proszę pana, ukochaną Naścią i wyjechał za chlebem. Liczył, że posiedzi cztery, pięć lat, ale wybuchła wojna i ten pobyt mu się przedłużył. Wyjeżdżał z ciężkim sercem, bo czuł, że jak wróci, to swojej ukochanej Naści już nie zobaczy. Żegnał się więc z nią długo i czule. Kochał ją bardzo, ale był ciężki. Wielki raptus, ostry. Wszystko musiało być, jak on chciał. Nikt nie miał prawa pisnąć, proszę pana. On był panem i władcą. Jak cesarz Franciszek Józef nosił wąsy i żeby one mu się tak fajno kręciły, to na noc wkładał taką czarną przepaskę i w niej spał...

- Binde...

- Możliwe... W Kanadzie miał dobrą pracę, proszę pana. Pracował „na Westach”, na Zachodzie Kanady, przy kolei, układał tory. Wojna go całkiem odcięła od rodziny.

Nic nie wiedział, co w Hadyńkowcach się dzieje. W 1915 roku zmarła na tyfus jego żona Anastazja, babcia Naścią. Moja mamcia wraz z braćmi, Kryciem i Antoszką, oraz małą Natalką sama została na gospodarce...

W 1918 roku Ukraińcy ogłosili swoją Republikę w Czortkowie i komendantem miasta został Mykoła Bajrak, a jego zastępcą porucznik

Wynnyczen-ko, stryjko Iwanko, brat mego tata. Wśród ponad dwudziestu wojaków z Ha-dyńkowiec był również mój ojciec, Martyn Wynnyczenko. Wielu z nich nie wróciło z wojny. Jak Klim i Mychajło Bodnarukowie, Osip Firmaniuk czy Ste-pan Chomyszyn...

Dom Wynnyczenków był blisko Nawrockich. Rodzice tata wtedy zachorowali na tyfus i on ich leczył. Jako brat zastępcy komendanta miał dostęp do leków, przywoził je i tymi lekarstwami swoich rodziców wyleczył. Od nich, proszę pana, dowiedział się, że moja mamcia też leży chora. Po sąsiedzku wstąpił do niej i zaczął ją leczyć. A moja mamcia prawie umierali. Ledwie dychali i majaczyli w gorączce...

Tato codziennie do niej przyjeżdżał na koniu z Czortkowa. Podawał lekarstwa i siedział przy łóżku. Nie odstępował na krok. Mocno trzymał za rękę. Wierzył, że mamcia wyzdrowieje i on ją uratuje, proszę pana. I rzeczywiście. Po maluśku, po maluśku ją z tego tyfusu wyciągnął. Mamcia była mu bardzo wdzięczna za ten ratunek...

No i zakochali się, proszę pana. Jak to młodzi. Wojna im sprzyjała. Mój tato nie miałby żadnych szans u dziadka Pańki. Dziadzio by go zara przegnał. Ale był w Kanadzie, babcia Naścią umarła i mamcia sama była teraz gospodynią. Rządziła sobą i młodszym rodzeństwem...

Mój tato pochodził z biednej rodziny. Jego ojciec, Danyło Wynnyczenko, najmował się u gospodarzy. Trafił do grekokatolickiego księdza - Klementa Sonewickiego, którego stu pięćdziesięciomorgową gospodarzę prowadził. Ksiądz Sonewicki był znanym krzewicielem oświaty wśród miejscowych Ru-sinów, jak my nazywali wtedy Ukraińców. I on pomógł Danyłowi. Poznał się na zdolnościach jego najstarszego syna, Iwana, przyjaciela z klasy jego syna Wołodymyra, i obu posłał do gimnazjum, a potem na Uniwersytet. Dzięki temu brat tata, stryjko Iwanko, skończył studia i był przed wojną adwokatem w Mielnicy.

Natomiast mój ojciec, Martyn, i jego starszy brat Petro, który wyjechał do Kanady, już takiej edukacji nie mieli. Tato pozostał na małej działce, którego ojciec ciężką pracą się dorobił. Za uciulane u księdza Sonewickiego pieniądze kupił skrawek pola, półtorej morgi. Przy gospodarce mego dziadka Nawroc-kiego to tyła co nic. Ale moja mamcia na to nie zważała, proszę pana, i gdy tato powiedział jej: - Pawlinko, ja się chcę z tobą żenić, nie ma co zwlekać, wojna, wiadomo co nam zgotuje? - zgodziła się zaraz.

Na froncie ginęli ludzie, płonęły dwory, chaty i lasy, w jednej chwili tracono wszystko i nikt nie myślał wtedy o ziemi, tym bardziej, że łatwo było w niej spocząć na wieki. Nie wiadomo też było, do kogo w przyszłości będzie należeć.

Front polsko-ukraiński ruszył na dobre...

Ten burzliwy rok 1919 tak wspominał wujko Hryćko, brat mojej mamci: - Wiosna, roboty w polu moc, a tu przychodzą i mówią: - Jedź Kryciu na zaręczyny z siostrą Pawliną do Czortkowa.

Co ta robić? Zakładam kasztanki do wożą. - Ubieraj się, Pawlinko - mówię - jedziemy. - Przyjechalim na miejsce, do komendantury, a tam oficerów i wojaków rój! W pokojach ruch, nastrój bojowy. Legitymują. Pytają: kto? co? Na widok tak strojnej, harnej panny miny im się poprawiły, a jak usłyszeli, że my do samego zastępcy komendanta porucznika Wynnyczenki i jego brata Martyna - to zara jeszcze większe „encyki”1 bili. Migiem ich odszukali, a oni od razu na naszą cześć wydali przyjęcie.

- Na tym przyjęciu - mówi Olga Wawrow - tato dał mamci zaręczynowy pierścionek z czerwonym oczkiem, który ja potem od mamci dostała jak wychodziła za mąż za mego Wicka. Ustalili też dzień ślubu. Tato wziął urlop z wojska i przyjechał konno z Czortkowa. Mamcia w domu wyszykowali wesele. Po skończonej ceremonii ślubnej całym orszakem z cerkwy poszli do siebie. Ledwie siedli za weselnym stołem, a tu ktoś krzyknął

za oknem: - Polaki następują! Sajuż w Czortkowie!

Tato niewiele myśląc uściskał mamcie i co koń wyskoczy, omijając Czort-ków, przez Probużną i Husiatyń zbiegł za Zbrucz dognać swoich...

A mamcia - jak stała, w tym wianku na głowie została ni to panna, ni mężatka...

Wujko Hryćko sprytnie chwycił bochen chleba ze słoniną, dwie nasze kasztanki i uciekł z nimi na Pańską Dolinę. Tam, w lesie Cieleckiego, w pobliżu cegielni przesiedział trzy dni, w deszczu i chłodzie czekając, aż sytuacja się 1 Pokłony.

wyjaśni. Dopiero jak mu dali znać, że front przeszedł, z lasu wyszedł. W ten sposób siebie i dwie kasztanki uratował. Pan wie, że we wojnę, każde wojsko co pierwsze to za konie się łapie i rekwiruje. My już do tego przywykli...

Z dalszej relacji pani Olgi wynika, że wraz z wypartą za Zbrucz Ukraińską Galicyjską Armią zniknął za Zbruczem również pan młody - Martyn Wynny-czenko.

Ślad po nim zaginął i los świeżo poślubionej żony nie był miły. Ludzie we wsi wiedzieli, że nawet do nocy poślubnej nie doszło, wszystko na łapu capu, przerwane, coraz bardziej ten ślub traktowali jak fikcję, a panią młodą za pannę. Ponieważ była bogatą gospodarską córką - co śmielsi zaczęli słać starostów i prosić o jej rękę. Rozsiewali też wieści, że Wynnyczenko dawno nie żyje: - Po ciężkim tyfusie brzuszny zjadł na raz dwadzieścia siedem gołąbków i umarł - mówiono.

Skąd tyle i kto je wymyślił - Bóg raczy wiedzieć. To jednak, że nie od kuł zginął, ale od tych gołąbków z kaszą, powtarzano najczęściej. Na kapuściane głowy nie ma rady. Zawsze zwyciężą.

- Mamcia jednak w śmierć tata nie wierzyli, a wszystkim zalotnikom mówili, że raz już za mąż wyszła i drugi raz ta nie myśli! Po jakimś czasie

nadszedł do teściowej mamci, Naści Wynnyczenko, list od stryjka Iwanka, który pisał, że obaj z bratem Martynem żyją i są w Kamieńcu Podolskim. To był rok 1920 i inna sytuacja na froncie. Obaj bracia byli już w armii Petlury, który w sojuszu z Piłsudskim zamierzał iść na Rosję. Przeformowani i szkoleni w tej starej, kresowej strażnicy, czekali na znak do wspólnej ofensywy...Stryjko prosił, by moja mamcia do nich przyjechali... Młoda mężatka bez wahań spełniła prośbę stryjka Iwanka i udała się w podróż.

- Tak więc ojciec przeżył i tyfus, i gołąbki...

- O, ja. - zaśmiała się.

- A skąd się wzięło dwadzieścia siedem?

- To proste. Tato nam później tłumaczył. - Kucharz dał mi dwa - mówił - podkuchenny dodał drugie dwa, sam ukradłem trzy, to razem robi siedem, a dwadzieścia to mi mołojcy we wsi z dobroci serca dobrechali, bym sobie wreszcie zdechł i do ciebie nie wrócił, Pawlinko! A ja im na złość zmartwychwstał! - śmiał się.

I tak to było z tymi gołąbkami z kaszą, proszę pana. A ja mam z ryżem. Pan zje i sam powie, że one bardzo fajne są. Mój Leszek strasznie je lubi - dokończyła.

W tym czasie Hadyńkowce przeżyły parę wstrząsów.

Na jesieni 1919 roku w lesie zabito polskiego żołnierza, hallerczyka, który szedł samotnie do Czortkowa. Podejrzenie padło na ukraińską część wsi. Wysłano ekspedycję, karną. Zgoniono wszystkich mężczyzn pod kościół i co dziesiątemu wymierzono karę chłosty. Potem okazało się, że tego żołnierza zabił zwykły bandyta, którego złapano i przykładowie ukarano, ale mało to pocieszyło wychłostanych, którzy długo pytali: - Za co nas Polaki, niewinnych, pobili?

W 1919 roku aresztowano również działaczy ukraińskich. W lwowskim więzieniu „Na Brygidkach” znalazł się hadyńkowiecki ksiądz,

gospodarz Da-nyły Wynnyczenki - Klement Sonewicki z synem Wołodymyrem, przyjacielem szkolnym Stryja Iwana, Wasyl Bajrak (krewny komendanta Czortkowa), Nykoła Węgier, Stepan Żurba, Stepan Pohorecki...

Sam porucznik Wynnyczenko, jak większość ukraińskich oficerów, został internowany. Trafił do obozu w Szczypiornie.

- Po wyjściu z obozu stryjko Iwanko szybko wyjechał na studia do Pragi - mówi Olga Wawrow - a z moim tatem Martynem było troszku inaczej, proszę pana. Mamcia mi o tym dokładnie opowiadali.

Słońko zachodzi, mamcia widzi, że coś się rusza od strony ogrodu. A trza panu wiedzieć, że dom dziadzia Nawrockiego stał bokiem do drogi, tak że zajazd był i z frontu, i z ogrodu. Ciężkie wozy z pola zajeżdżały od tyłu. Przez płot z desek mało co ta widać, więc mamcia wyszli na ogród, patrzy, a tam na drodze wielki wojskowy furgon stoi nakryty weretą ściągniętą motuzkami1.

Przy tym furgonie dwa fajne duże niemieckie gniade konie. Przy nich stoi ukraiński dziadźka w wojskowej, austriackiej kurtce bez pagonów i w cajo-wych, cywilnych spodniach. Na głowie ma czapkę Siczy Zaporoskiej. Kłania się grzecznie mamci i mówi: - Dobryj wieczer...

- Dobryj wieczer - mamcia mu na to i czeka co dalej. Furtki nie otwiera, bo strach. Nie wie kto. A ten dalej mówi: - Ja jestem ze Szmańkowiec, jadę z za Zbrucza i wiem, że mój kompan z wojny Martyn Wynnyczenko tu mieszka. Ciekaw jestem, czy on wrócił z Kamieńca Podolskiego, czy też aby nie zginął?

- Męża wciąż nie ma - mówi mamcia. - Chorował bardzo ciężko na tyfus, ale dalej ja, niestety, nic nie wiem...

- To ja ci powiem! - rozległ się głos tata, który nagle wyskoczył z za furgonu i chwycił mamcie w objęcia. Taki był mój tato Martyn. Bez żartu ani rusz. Musiało być hecnie, proszę pana...

W ten sposób po dwóch latach rozłąki przywitał się z mamcia. Ale też

nawiózł z tej wojny. Cały ten zdobyczny furgon był jego. W domu bardzo się przydał. Tato zaraz wziął w ręce całą dużą gospodarkę po dziadku Nawrockim i zaczął ją pro wadzić. Pomagali mu w tym bracia mamci: Antoszek i Hryćko, którzy już byli duże chłopcy.

1 Derką ściągniętą powrozami.

r F''

Mamcia była ze mną w ciąży, proszę, pana, gdy po dziewięciu latach zjechał z Kanady dziadko Pańko Nawrocki. Wrócił jesienią 1920 roku. Przez naszą wieś świeżo przeszli krasnoarmiejcy i ślady wojny były wszędzie. Dziadek przyjechał z zapaleniem płuc, bardzo chory, a wieść o śmierci żony, ukochanej Naści, mocno go przybiła. Leżał smutny, ledwie dychał. Z nikim nie mówił. Do izby zabronił wejść bez przywołania. Wreszcie jak troszku oprzytomniał, wezwał mamcie i pyta: - Za kogo ty, dońko, wyszła?

- Za Martyna Wynnyczenkę - mówi mamcia.

- Toż to bidniak! Nie gospodarz. Swynopas bez pola. Co ty za durnotę, dziecko, zrobiła? Księżego parobka wzięła za męża?

- Gdyby nie on, to tato na cmentarzu by mnie widział. Jak mamcia bym na tyfus zmarła. On mnie z choroby wyhołubił. Życie uratował...

- Czort z nim! - uniósł się. Wściekłość go ożywiła. Oprzytomniał.

Mamcia zaczęli mu tłumaczyć, że Martyn dobry mąż, kochają się, ze łzami błagała, by jej przebaczył, ale on ta tylko usta zaciął i fuknął: - Myłczył Słowa więcej!

Uznał to za osobistą zniewagę. Po dziewięciu latach w Kanadzie przywiózł osiem tysięcy dolarów, złoto i amerykańskie gadżety. Za te pieniądze na wiosnę kupił od hrabiego Cieleckiego łan pola - dwadzieścia morgów w jednym kawałku i razem ze swoimi miał teraz trzydzieści. Majątek. Jeszcze wtedy hasło: „Dworska ziemia od polskiego pana do polskiego chłopca” nie obowiązywało i hrabia Cielecki chętnie Ukraincom za

dolary grunt sprzedawał chcąc zdobyć środki na odbudowę swego pałacu.

Dziadko po tym kupnie z dumą powtarzał: - Hrabia Cielecki pierwszy, Pańko Nawrocki drugi. Nie mam równego we wsi...

Ojciec mego tata, Danyło Wynnyczenko, kupił w końcu półtorej morgi pola i chatkę w Hadyńkowcach po dawnym świniopasie, który wypasał księdzu bydło, postawił dom i gospodarzył, ale w oczach dumnego Pańki wciąż tym „swynopasem” i parobkiem był. Na morgi wtedy mierzono wartość człowieka, proszę pana...

Kiedy dziadko poczuł się lepiej, to pierwsze co zrobił, to wszedł do stodoły, wyciągnął wóz tata, wypchnął go za bramę i spuścił z górki. Wojskowy furgon potoczył się w dół po kamieniach i trzasnął dyszlem w drzewo. Odbity od pnia wpadł do rowu i wywrócił się. Podparty laską Pańko patrzył z triumfem na kręcące się w górze koła i złamany dyszel.

- Nie będzie się ta cudzy shit szmorgał po moim obejściu - wysapał z gniewem.

Jak ja się urodziła, proszę pana, to my wciąż mieszkali u dziadka Nawroc-kiego.

Ale co to było za życie? Mamcia mówili, że lampy wieczór nie mogła zapalić, by mnie przewinać, bo dziadzio mógłby się zbudzić. Musieli tańczyć koło niego na palcach. Jemu też było z nami źle i chciał nas wypchnąć. W końcu przywołał mamcie i mówi: - Za wsią koło stacji są trzy morgi pola po twojej matce Anastazji. Bierz półtora i budujcie się. Drugie półtora dam Natalce, jak wyjdzie za mąż...

Zgniewany na mamcie swego gruntu żałował.

Rodzice wynieśli się. pod stację i zaczęli siębudować.W tym nowym domu, który mój tato postawił, urodziła się moja młodsza siostra Naścia. Miała imię po ukochanej żonie dziadka, ale to go ta też nie zmiękczyło. Wciąż mamci dokuczał, że za bidniaka wyszła. Pracy tata nie szanował, chociaż

widział, że zdolny i mimo że syn wyrobnika, wzięty gospodarz. Mego ojca to bardzo bolało. Ambitny był. Ale nic nie mówił szanując swego teścia.

Wreszcie dziadko Pańko postanowił zadbać o swą gospodarkę i obdzielić resztę dzieci. W domu było jeszcze dwóch synów - wujko Hryćko i Antoszek oraz córka Natalka - ciotka Kalka, moja ukochana ciocia, proszę pana.

Najpierw wziął się za Hryćka. Bez dziadka Hryćko się rozpuścił. W domu mało co siedział - po wsi hulał. Na dwudziestu dwóch weselach był za družbę - to najlepiej świadczy. Ładny, bogaty, podobał się. Żadnej pannie ta nie przepuścił.

Dziadkowi to nie w smak było, że z Hryćka taki leser i fifak wyrósł, i próbował mu cugli skrócić. W pole gnał. A Hryćko, jak zmierzch zapadł, za stóg się chował, zmieniał głos i krzyczał: - Hop! Hop! Panie Nawrocki! - że niby jakiś parobek go woła.

A sam na koń i do wsi. Potem my się zawsze śmiali, jak ktoś się lenił, i wołali: - Hop! Hop! Panie Nawrocki!

Dziadko go rugał, że on tylko o konie dba, bo na nich po wsi hula, a Hryćko się bronił.

- Gdyby nie ja, to by tata ich nie mieli. Ja ich uratowałem uciekając na Pańską Dolinę! - przypominał.

W tej sytuacji dziadko postanowił Krycia żenić. W całych Hadyńkowcach nie znalazł dla niego godnej panny i zdobył dopiero w Kociubińcach. Ta Maria urody nie miała, ale pole. Jedynaczka. Z dobrej, gospodarskiej rodziny. Dziadkowi to wystarczyło. Hryćkowi mniej. Dziadko kazał mu się z tą Marią żenić. Hryćko błagał, prosił: - Batku! Ona nie harna! Ja jej nie kocham! Brzydka Łupacha! - krzywił się.

- Mowczy, dumny! Pilnuj końskiego ogona! - dziadko tupnął nogą i ożenili Hrycia w Kociubińcach...

Hryćko dostał cztery morgi pola jak wszystkie dzieci. Moja mamcia też dostali cztery morgi, to było już pięć i pół, a z tata półtora robiło siedem, proszę pana. Najmłodszy syn, Antoszko, zgodnie z tradycją został w domu i w nagrodę za opiekę aż do śmierci nad dziadkiem miał dostać jeszcze dziesięć mórg ziemi. Taką premię, proszę pana. Bonus, jak tu się mówi...

1 Ładna.

Mój tato pobudował się koło stacji, ale brakło pieniędzy na wykończenie. Chciał też dokupić własnej ziemi, żeby dziadko mu wciąż nie wymawiał, że w Nawrockich się wzenił. A na to jedna rada. Kanada, proszę pana.

Napisał więc do brata, Petra Wynnyczenki, który w 1911 roku drogą przez Hamburg przybył do Winnipegu, by mu przysłał zaproszenie i „szyfkartę”, bilet na statek, a on mu potem te pieniądze zwróci...

Wujko Hryćko jak usłyszał, że mój tato jedzie, to też na wyjazd się zgłosił.

Ukrywał to przed dziadkiem. Dziadko wyjazd mego tata rozumiał, sam za chlebem jeździł, ale syna Hryćka nie. Hryćko miał dość chleba u siebie. Chałupę z żoną i zabudowaniami dostał. Niech gospodarzy. Hryćko też, jak mój tato, z tą Marią dwie córki miał. Gdzie mu się pchać do Kanady? Wujkowi Hryćkowi jednak nie chciało się na tej gospodarce być, no i pragnął zwać od swej Łupachy. Zamiast za stóg siana - schować się w Kanadzie...

- I Hop! Hop! Panie Nawrocki! - wtrąciłem.

- Ja. Dziadko Pańko jak się w końcu dowiedział, zły był. Nie chciał tego wyjazdu. Ale co miał zrobić? Hryćko już sam gospodarz. On decydował...

Mój tato zdążył jeszcze pięknie pokryć słomą stodołę, gdy brat Petro przysłał mu to zaproszenie wraz z „szyfkartą”.

Wiosną 1926 roku tato pożegnał się ze mną, młodszą siostrą Naścią i mam-cią i ruszył w drogę. Wraz z nim jechał wujko Hryćko. My ich razem na

kolej odprowadzali. Hryćko przystojny, z walizką w ręku śmiał się do mamci:
- Nie bój się, Pawlinko! Już ja ta twego Martynka przypilnuję! I przywlokę za
uzdę. Jak te dwie kasztanki z Pańskiej Doliny...

- Sam się przy wlecz! - dopiekła mu mamcia.

Dziadka Pańki na stacji nie było. Zgniewany był na Krycia. Czuł, że on
z tej Kanady nie wróci. I nie mylił się. Dziadko mądry był.

I tak to, proszę pana, w dwa szwagry, mój tato i wujko Hryćko, jednym
statkiem, drogą przez Gdańsk, ruszyli do Kanady...

Po przyjeździe brat Petro załatwił memu tatowi pracę przy wyrębie
lasu. Ale ta praca zaczynała się na jesieni, a do tego czasu tata pracował u
farmera pod Winnipegim. Ten farmer, Ukrainiec, Bajrak się nazywał. Żaden
krewny naszych Bajraków z Hadyńkowiec, ale zawsze krajan. On bardzo
mego tata szanował i dawał mu tyle zjeść, ile on chciał. Strawy nie żałował.
Ale syn jego Majk, który nie mówił po ukraińsku, wciąż czepiał się mego tata
i innych. Raz stary Bajrak przyniósł nową oprząż i wręczył tatowi mówiąc: -
Ty Martyn znasz się na koniach, gospodarz jesteś. I ją uszanujesz. Nie
zniszczysz. Ona mnie drogo kosztowała. Używaj więc jej i strzeż...

Tato schował ją do swej skrzyni, rano przychodzi, a tam zamiast tej
nowej oprząży - stara leży. Nową ktoś ukradł. Tato przestraszył się i dawaj
szukać po skrzyniach innych parobków. Nigdzie nie ma. Zajrzał do skrzyni
Majka Bajraka i widzi, oprząż jest. Ten Majk Bajrak pewny, że ojciec nic mu
nie zrobi, zabrał ją sobie. Stary farmer specjalnie mu jej nie dał, bojąc się, że
syn mu ją zniszczy. Bardziej ufał memu tatowi. I kiedy tato z powrotem tę
oprząż dla siebie brał, wpadł do stajni ten Majk i w krzyk! Oprząż tatowi
wrywa, klnie i grozi. Tato po angielsku nie rozumiał, ale z wściekłej miny
poznał i broni się. Ten dalej się szarpie i pchnął mego tata. No, to tata rąbnął
go tak, że ten Majk spadł pod koryto. Krew mu z nosa poszła. Tato zostawił
go, włożył nową oprząż koniowi i spokojnie ruszył w pole. Pod wieczór

wraca, a tu policja na niego czeka. Ten Majk ją wezwał. Stary Bajrak przysięgał, że to nie on, przepraszał, ale co ta! Stało się. Tata musi płacić grzywnę. Takie prawo w Kanadzie. Albo płaci pięćdziesiąt dolarów, albo idzie do więzienia na dziesięć dni.

- To wolę do kozy - zdecydował. Potem opowiadał, że nigdy w życiu nie było mu tak dobrze jak w tej ciupie w Winnipegu. Lepiej niż byłoby w hotelu, w którym zresztą nigdy nie był. Jeść dawali regularnie trzy razy na dzień, stół zaścielony obrusem, gazety po angielsku, po polsku i po ukraińsku...

- Podjadł ja tam sobie, poczytał i wypoczął za wszystkie czasy. Bo przedtem wojna, harówka, budowa. Pierwsze i ostatnie moje wakacje w życiu. Super holliday - śmiał się.

Żałował tylko, że ten areszt taki krótki, proszę pana. Po wyjściu pojechał na farmę po swój ą walizkę.

Stary Bajrak chciał go zatrzymać, ale tato wiedział, że ten jego syn Majk żyć mu nie da. Poza tym jesień szła i praca przy zrywce drzewa czekała. Na bindudze...

Ścięte bale spuszczały w dół do jeziora. Żeby lżej szły, to w zimie ten stromy stok polewali wodą. W tym lodowym korycie drzewa ślizgały się łatwiej. Mój tato był tym polewaczem. Brał wodę z przerębła i beczkowitzem wioził kołami na górę.

Stamtąd polewał ten tor, by śliski był. Potem wspominał: - Gdym tak patrzył na te ścięte bali, jak one ta lecą z trzaskiem w dół, to często myślał o moim furgonie, co mi mój teść Pańko z góry spuścił do rowu.

Gdyby on mnie tak nie poniewierał, za parobka nie miał - to ja by ta nigdy do tej Kanady nie jechał. On mi te kłody pod nogi rzucał...

Bolał nad tym i tęsknił za domem. Praca była ciężka i niebezpieczna. Często przy trzydziestu stopniach, a z wiatrem więcej.

Raz zdarzył się mu wypadek, proszę pana. Lód na jeziorze pękł i tato wpadł do wody. Nie puścił jednak lejc z rąk i po tych lejcach jakoś się wykaraskał. Konie go wyciągnęły. Moment, a by zamarzył i poszedł pod lód.

- Rozebrał ja się do naga - mówił. - Rozpalił na górze ogień i tak wokół tego ognia biegał, rozcierał się, suszył i grzał. I żeby potem choć katar miał! Nic!

- dziwił się.

Na wiosnę brat Petro załatwił mu stałą pracę przy kolei, gdzie sam pracował.

Wtedy mój tato mógł już zwrócić za „szyfkartę” i słać dolary do domu.

Moja mamcia za to kupowali meble, narzędzia, sprzęt, garnki, nawozy, nawet obrazy. Na prośbę tata do jego części ziemi dokupiła pola, żeby miał więcej i nie był już taki hołysz w oczach dziadka. Mamcia często biegli do domu dziadka po brata Antoszka, by jej pomógł i jechał z nią na zakupy do Probużnej.

Za każdym razem wóz wracał pełny. Dziadko widział to. I cierpiał w duchu, że jego syn Hryć taki nie jest. Nie pomaga. Nie pisze. Jak wyjechał, tak wsiąkł, za tym oceanem...

Tato mówił, że jak razem byli w Kanadzie, to on mu wciąż powtarzał: - Patrz, Hryciu. Idą Święta. Ja mojej Pawlince parcel zrobił i ty zrób Marii. Też masz żonę i dzieci. Poślij im coś... - Ja, ja - przyrzekał Hryć. Ale gdzie ta! Za cały czas coś raz parę dolarów tej Marii posłał, a i to dlatego, że mój tato go przymusił...

Memu tatowi przy tej kolei bardzo dobrze było, proszę pana, pracę miał stałą, zarabiał, planował być jakie dziesięć lat i tak jak dziadko kupił łąn pola od hrabiego Cieleckiego. Mieszkał w Winnipegu u Wasyla Duszana. Po powrocie do Hadyńkowiec, jak my w domu czyścili szkła do lamp naftowych, za dnia, żeby na wieczór były czyste, i ręce z tego miały

posmolone, to tato zawsze powtarzał: - W Kanadzie nikt kopciem rąk sobie nie brudzi. Podchodzi do ściany, cyk i światło jest! - Abo to prawda?! - My ta nie wierzyły. Były pewne, że tato bajki nam opowiada.

Tak, że memu tatowi bardzo dobrze tam było, gdy nagle dostał od swego teścia, a mego dziadzia list, o którym nie wiedział co myśleć: „Doryhyj synu - pisał Pańko - przebacz mi. Ja według ciebie bardzo zgrzeszył. Teraz to wszystko wiem. Ty wracaj! Tu masz Kanadę. Po co tobie po obcych krajach szmor-gać się, u ludzi najmować, gdy ty tu w Hadyńkowcach jesteś pan i gospodarz! Pola w domu masz dość”.

A mamcia do listu dopisali: „Dorohyj Martynku! Ty wracaj jak najszybciej. My tu z Oldzią i Naścią na ciebie czekamy. Tata dodali nam dziesięć mórg i wszystko do pola!”.

Tato nie wiedział, skąd ta zmiana. Jak w bajce. Wiedział tylko, że „wszystko do pola” to znaczy cały dobytek Nawrockiego. A to majątek!

Tak mi to opowiedziała Olga Wawrow. Dodała, że po wyjeździe jej ojca Pańko ogłosił swoisty przetarg wśród swoich dzieci. Kto zaoferuje mu lepszą opiekę i weźmie do swej chaty, ten w nagrodę dostanie dziesięć mórg pola...

- I wybrał moją mamcie - zakończyła pani Olga.

Przyznam, że to mi całkowicie wystarczyło. Dalej nie dochodziłem. Tymczasem dociekliwy Leszek wciąż węszył i czuł nosem, że tu pod spodem coś się kryje.

- Mamuśka nie mówi całej prawdy - stwierdził. - Musimy pogadać z ciotką. Ona jest mniej oględna, dużo wie od swego ojca, Martyna, i wali prosto z mostu. Nie trzeba z niej, jak z mojej mamy, prawdy hakami wyrywać...

Ciotka - to najmłodsza siostra Olgi Wawrow, Irka Wynnyczenko. Ircia. O dziesięć lat młodsza. Została po wojnie z ojcem w Hadyńkowcach. Wyszła

za mąż za Antona Petryka, ojca Bohdana, który dziś kieruje piekarnią na nocnej zmianie. Młodo owdowiała. Mąż na jej oczach zmarł na zawał serca mając ledwie czterdzieści pięć lat. Olga Wawrow ściągnęła ją do Kanady w 1979 roku. Tu spotkała swego dawnego krajana z Hadyńkowic, Stepana Bodnaruka, i wyszła za niego za mąż. Mieszkają w Etobicoke w ładnym bungalowie z pięknym ogródkiem.

- Ciotka Irka pracuje tu w Ukraińskim Domu Starców, „Dimu Pieriestari-tych, imienia Iwana Franka” jako pielęgniarzka, ale dziś, tak jak Bohdan, idzie na nocną zmianę i możemy spokojnie pogadać - wyjaśnił mi Leszek.

Jesteśmy w ukraińskim domu. Na ścianach portrety patrona „Dimu Pierie-stariłych”

i Tarasa Szewczenki. Ludowe wyszywanki. Siedzimy za stołem. Nie pustym, oczywiście. Gościnność podobna do Olgi Wawrow. Dziedziczna. Po Mamci. Już na wstępie Leszek mówi, że ciekaw jest, jak to było z tym polem od Pańki Nawrockiego, które nagle jej rodzicom zapisał...

- Jakby tu skazały - zaczęła ciotka Irka. Rozmowa toczy się po ukraińsku.

Trudniejsze zwroty Leszek tłumaczy.

Po wyjeździe Martyna Wynnyczycki Pańko Nawrocki postanowił ożenić najmłodszego syna, Antoszka, i osadzić go na swej gospodarce. Znów szukał dla niego posażnej panny. I znów znalazł w Kociubińcach. Ta Zofka co prawda miała aż dwadzieścia trzy lata, a Antoszko ledwie dziewiętnaście, ale Pańko się tym nie przejmował.

Znał matkę Zofki, która była dobrą gospodynią, i uznał, że Zofka też taka będzie. W myśl przysłowia: „Jaka marchew, taka nać, jaka córka, taka mać...”.

Niestety, Zofka okazała się niegospodarna. Gospodarka mało ją

obchodziła...

Z zawodu krawcowa, zanim wyszła za mąż za Antoszkę, kochała się na śmierć w Nykole Zacharków. Chodzili ze sobą, ale on ją rzucił dla pięknej Adzki Rasiewicz, która też miała morgi. Zofka wariowała. Uszyła sobie ślubną suknię i kładła się w niej na katafalku godzinami udając martwą. Chciała się w tej ślubnej sukni truć i popełnić samobójstwo. Nie zrobiła tego. Wyszła za Antoszkę.

Ale głęboka rana w sercu została. Pańko o tych wszystkich panięńskich szaleństwach Zofki nie wiedział. Dowiedział się po ślubie, gdy było za późno.

Życie pod jednym dachem nie układało się. Stary, powalony przez ciężkie suchoty, prawie nie wstawał z łóżka. Pluł krwią i mało co jadł. Wyglądało, że długo nie pociągnie i wkrótce umrze.

Pamiętnego lata 1928 roku urodzaj był wielki. Zboże w workach wypełniło całą stodołę, strych i sieni. Do tych worków w sieni dobrały się kury, które weszły z podwórka przez uchylone drzwi. Zaczęły dziobać ziarno. Do izby dolatywał ich radosny trzepot i pogdakiwanie. Leżący obok Pańko nie mógł znieść tego marnotrawstwa. Jego gospodarski instynkt buntował się. Poruszył się nerwowo w łóżku i rzekł do swej newistki, synowej po ukraińsku: - Zofka! Wygoń kury z sieni i zawrzyj drzwi!

Zofka akurat spojrzała w okno. Pech chciał, że drogą jechał właśnie Nyko-ła Zacharków ze swoją Adzką. Wracali do Kociubiniec. Adzka przywarła ramieniem do męża, a on objął ją czule. Razem kiwali się na wozie radośni i szczęśliwi... W Zofkę jakby piorun strzelił. Odskoczyła od okna i chwyciła za żeliwną pokrywkę.

Zaczęła się nią wachlować. Przytknęła do czoła. Mało ją to ostudziło. Kipiała.

Czuła, że zaraz wybuchnie. Przestała nad sobą panować. Kiedy więc z izby znów doszedł do niej głos starego: - Zofka! Wygoń kury z sieni i zawrzyj

drzwi! - jakby bies w nią wszedł. Rąbnęła pokrywką o stół, zgięła się w pół, zadarła wysoko kieckę i w furii wypinając się nagim tyłkiem na teścia wrzasnęła: - Pociluj mene w sraku \ Po ukraińsku strasznie to brzmi. Po polsku też. Dla każdego byłoby to ciężką obelgą. Zofka nawet nie o Pańce myślała, a o Nykole - na niego chciała się wypiąć, ale nie mogła. I całą złość wylała na teścia.

Stary Pańko więcej się nie odezwał. Sięgnął po blaszane pudełko z „przednim winnickim”, którego od lat używał, i wolno nabił fajkę. Pykał z niej cicho i pokasływał. W zadumie gładził swe białe, cesarskie wąsy. Kiedy wieczorem z pola wrócił jego syn Antoszko, wezwał go i powoli powiedział: - Idź do Pawlinki pod stację i powiedz, żeby do mnie jutro przyszła...

Antoszko pewny, że ojciec do łoża śmierci córkę wzywa, posłusznie spełnił rozkaz. Gdyby wiedział, że sam na siebie kręci sznur, nigdy by do siostry nie poszedł. A ojca w domu przytrzymał.

Kiedy Pawlina nazajutrz przyszła, Pańko krótko zarządził: - Wyprowadzaj ze stodoły konie, zaprzęgaj fury, bierz dobytek i ziarno - ładuj wszystko na wozy. Jedziemy do ciebie. Ja tu dłużej ani chwili nie mogę być...

Wszyscy oniemieli. Najbardziej Pawlina. Po ślubie z tatem najmniej się tego spodziewała. Równie ogłuszony był Antoszko. Zofka, widząc, co narobiła, zamknęła się w komorze, skąd dochodziły jej stłumione, przeciągłe ryki.

Co dziwniejsze, stary Pańko wcale nie myślał umierać. Wezbrana złość ożywiła go, pokraśniał na licach i nabrał sił. Wdział swą czarną marynarkę, po gospodarsku wpuścił w cholewy spodnie i wsparty o lasce po pańsku dyrygował wszystkim, by wiadomo było, kto tu gospodarz. Twardym, bezwzględny okiem egzekwował swoje rozkazy. Do pomocy córce wezwał parobka Ładź-kę Zygruja i jego siostrę Hankę. Dobrał jeszcze drugą dziewczkę i pastucha ze wsi. Razem wytoczyli na podwórze wozy i wyprowadzili ze

stajni dwie pary silnych, gospodarskich koni.

Za nimi wyszła młoda kasztanka używana pod wierzch i do bryczki. Ta bryczka też wyjechała. Rok temu Pańko obstalował ją u stelmacha w Trembowli i był z niej bardzo dumny. Tylko on i hrabia Cielecki taką jeździli. Nikt inny we wsi.

Dziewki wyprowadziły z obory pięć krów sementalerek i dwie jałówki. Pastuch ciągnął młodego byczka za łańcuch. Dorodną maciorę zarodową wsadzono do skrzyni.

Gęsi, kury i kaczki do klatek. Zygraj kładł worki zboża na wóz. Te nieszczęsne podziobane przez kury w sieni też. Cały tegoroczny zbiór. Pawlina wynosiła z domu pościel i rzeczy.

Stary Pańko stał w słomkowym kapeluszu i jak dyrygent wskazywał łaską co jeszcze wziąć. Widać było, że nic prócz domu nie chce synowi zostawić. Do nitki gotów ogołocić.

Antoszek najpierw w niemym osłupieniu patrzył na tę swoją ruinę, wreszcie w desperacji próbował zapobiec totalnej klęsce. Ale pod groźnym okiem Pańki gasł.

- Hospody pomyśluj\ - jęczał widząc jak nowe rzeczy wyjeżdżają z jego domu. Tylko na łaskę boską mógł liczyć. Bo na łaskę swego ojca, niestety, nie. Stary Pańko zaciął się. Zbyt mocno go ta Zofka ubodła.

Pańko pojął, że jego wszystkie plany wzięły w łeb. Miał dwóch synów i nie ma.

Jeden dureń, drugi fifak. Zniknął za oceanem i na ziemię nigdy nie wróci. Komu ją da? Został tylko ten bidniak Wynnyczenko, którym tak gardził.

- Ja go zwał swynopas, a on mi nigdy tak nie odpłacił jak ta Zofka, czy ten tu - spojrział z pogardą na syna. - I doczekał się, durny! Teraz Wynnyczenko będzie mój syn! Ze swynopasa zrobię pierwszego gospodarza!

Dam mu pole! A on ta już będzie wiedział co z nim zrobić. Twardy chłop. Nie taki kiep jak Tońko. Pod kiecką u baby - splunął z niesmakiem.

Spojrzał na krzątającą się przy wozach Pawlinę. Ta przynajmniej dobrze trafiła.

Może dlatego, że ja jej męża nie szukał? Sama go sobie wybrała. Idąc za sercem - pomyślał z goryczą.

Zrozumiał swój grzech wobec Martyna. I postanowił go odkupić. Najdrożej jak umie. Zapisać mu wszystko...

Konie kucnęły w zadach. Pierwszy wóz potoczył się wolno wyładowany po wierzch.

Za nim ruszył drugi, w którym Ładźko Zygruj wioził ziarno i wszelki dobytek.

Trzecia jechała bryczka, na której szczycie, jak na wzgórzu siedział Pańko Nawrocki na własnej pierzynie i rzucał ostatnie mściwe błyski na pogrom, jaki po sobie zostawił.

Takie żniwo przyniosło to „kurze” ziarno. I ten jeden bezmyślny, ordynarny gest Zofki. Tego dogrzebaliśmy się z Leszkiem w bungalowie jego ciotki Irki, która nie bała się odkryć tej nagiej prawdy o wielkim spadku, tak głupio przesranym, mówiąc z prosta, przez Zofkę Nawrocką i tak cudownie bogacącym jej rodziców - Pawlinę i Martyna Wynnyczenków.

Nazajutrz Pawlina w Kopyczyńcach sporządziła prawny akt zapisu ziemi u notariusza. Wtedy też Pańko Nawrocki napisał list do zięcia, a Pawlina się dopisała: „Dorohy Martynku! Ty wracaj jak najszybciej. My tu z Oldzią i Naścią na ciebie czekamy. Tata dodali nam dziesięć mórg i wszystko do pola!”

Teraz dokładnie wiadomo, co do tego pola wjechało...

- Po tym liście mój tato Martyn postanowił wrócić do Hadyńkowic. Zanim to jednak nastąpiło, proszę pana - mówi Olga Wawrow - to my same z

mamcią mieszkały z dziadkiem. On coraz bardziej zapadał na płuca, leżał w domu i rzadko wstawał z łóżka. A ja się bawiła, szczęśliwa. Chodziła sobie na łąki, biegała wśród traw, co czasem były wyższe ode mnie, a w rzeczce łowiła raki i czerepańki...

- Co to czerepańki?

- Czerepańki my mówili na małże. Takie ślimaki w czarnych, płaskich muszlach. Po naszymu czerepańki...

Raz nazbierała tych czerepaniek, płuczę je sobie fajnie w korycie, płuczę - a dziadzio widzi, co ja robię, podchodzi do mnie i grzecznie prosi: - Oldziu, dziecko. Nie rób tak. Koń z tego pije wodę. On ją musi mieć czystą.

Inaczej nie tknie. Krowa brudną wodę wypije, świnia też, a koń nie. Ty mu tę wodę brudzisz. A twoja mamcią ciężko nosiła ją z pól. Jak pobrudzisz, trza będzie znów nosić. Nie rób tego - i poszedł pewny, że ja go posłucham.

My wtedy nie mieli jeszcze studni i brali wodę ze źródeł w polu. Ich pełno było na łąkach. A woda w nich czysta, krystaliczna. Zimna jak lód.

Odwracam się, widzę, że dziadek poszedł - to co ta! Ja sobie dalej te czerepańki w tym korycie płuczę. Nie boję się... Dziadko przez okno widział, proszę pana, że ja go nie usłuchała. A konie jak przyszły z pola, też brudnej wody nie tknęły. I mnie wydały. Mamcią pytają - Co to? - A dziadko jej mówi ze łzami w oczach: - Ja ją grzecznie prosił, ale ona mnie nie usłuchała. Dalej wodę brudziła płuczając w niej te swoje czerepańki.

Wtedy mamcią chwycili za palicę, co podpierала bramę, i zaczęła mnie nią tłuc, że ja mało nóg nie pogubiła. Biegła z krzykiem, a mamcią za mną po podwórku gnali i bili tą palicą gdzie popadnie. Po płocie, po wozie, z wielkim hałasem.

Ja tylko pamiętam dzikie romany, białe polne stokrotki my tak nazywali, jak przez nie śmigałam po całym obejściu. Pełno ich wtedy w trawie na podwórku rosło, nie były jeszcze kołami zjeżdżone.

- To dziadek kazał mamie?

- Nie musiał. Mamcia sami wiedzieli, co dziadko chce. Że zawsze trza go słuchać...

Szczególnie gdy się tyle dostało, pomyślałem.

Na Wielkanoc 1928 roku przyjechał do nas stryjko Iwaś. My go tak nazywali. Iwaś lub Iwanko... Zaraz wziął mnie z Naścią do cerkwy. Mamcia nas pięknie ubrała. My mieli popelinowe płaszczyki, czerwone kapelusiki i czarne lakierki. Ludzie się pytali, czyje to dzieci? Myśleli, że to wnuczki księdza So-newickiego. Stryjko Iwanko bardzo był z nas dumny. Kupił cukierki. A jak w jesieni zapisali mnie do szkoły, to przywiózł mi z Krakowa ukraiński bukwar i uczył liter...

Wciąż mamcie pytał o mego tata: - Co u Martynka? Kiedy on z tej Kanady wróci? Dość, że brat Petro w niej przepadł! Tu też ktoś musi walczyć o nasze sprawy...

Stryjko zawsze polityką się zajmował. Jak mój Leszek...

Od wojny się z moim tatem nie widzieli, bo najpierw stryjko był internowany, a potem studiował w Czechach...

Aż raz pod wieczór psy się rozszczękali, my wybiegli na dwór, a tu z dorożki nasz tato wysiada. Ubrany po pańsku. Obok Jankiel jego walizki niesie. O zapłatę się targuje.

- Co Jankiel chce? Od stacji parę kroków! Ja prawie nie jechał...

- Ale maneli jechali. Ich cały stos. Koń się zadychał. Co mu żałować tej Kanady, panie Wynnyczenko? Pan przyjechałeś, niech i un się cieszy, jak te pana dziecka, co piszczą z uciechy, że ich kochany tatę nie przepadł gdzieś za ocean i znów jest z nimi...

Tato roześmiał się i dał mu dolara. Jankiel pokłonił się nisko i odjechał.

Mamcia widząc tata aż krzyknęła. Tato chwycił ją na ręce, okręcił parę razy i po podwórku szczęśliwy biegał. Potem mnie i Naście porwał i w górę

rzucał. My piszczały, a mamcia wołali: - Martynku! Ta dość! Upuścisz...

Jak nami się tato nacieszył, to wszedł przywitać się z dziadkiem. Dziadzio był już bardzo chory. Kaszlał i gorączkował. Wszyscy Nawrocycy chorowali na płuca.

Choroba rodzinna. Tato ukląkł przy łóżku i pocałował dziadzia w rękę. Ten pogłaskał go i wzruszony zapłakał.

- Sława Bohu, żeś ty jest. Sława Bohu - powtarzał. - Ja tak czekał. Tak czekał na ciebie, synu...

To było pod jesień, proszę pana, bo my jak raz kopali ziemniaki w polu, i tato nazajutrz już nam pomagał. To był rok 1928, a w następnym urodził się mój brat Sławko. Jarosław, który do dziś mieszka w Oryszkowcach. Zaraz zaczęła się gospodarka. Tata przyjął Ładźkę Zygruja do pomocy przy koniach, a jego siostra Hanka dalej pomagała mamci w kuchni. Ja dostała od taty złote kolczyki i dużą lalę z zamykanymi oczami. Naści przywiózł burego misia. Mamcia kupili w Probuźnej kolorowe, drewniane koni i bryczki. Ja tej lali dała imię Maryjka i jak ją wozila, to dzieci we wsi wołały: - Maryjka Kanadyjka! Olga jedzie z Maryjka Kanadyjką! - i zbiegały się zewsząd. To była wielka sensacja.

Taka lala we wsi. Potem się nią bawiła moja młodsza siostra Ircia, która teraz jest tu, w Toronto, i wyszła za mąż za Stepana Bodnaruka...

Dziadko Pańko krótko cieszył się moim tatem. Jakies dwa tygodnie po jego powrocie zmarł. Mamci pole „na Kucie” zapisał. Tato mógł gospodarzyć. Miał w domu Kanadę.

Pamiętam w naszym domu różaniec i modły. Trzy doby płaczki zawodziły i płakały.

Dziadzio leżał ubrany w czarny, świąteczny garnitur w pięknej dębowej trumnie, którą tato zamówił u stolarza Kostiwa, teścia Galanta. Głowę miał na białej poduszce, ręce złożone. Spokojny, jakby spał. Ja myślała,

że zaraz wstanie i podniesie się. Ludzie do niego podchodzili i żegnali się. Moja mamcia bardzo płakali. Duże woskowe gromnice palili się i te płaczki cały czas śpiewały i zawodziły. Trzy dni, proszę pana. Coś dzień dłużej wypadło. Ludzie we wsi potem mówili, że Zofka z Antoszkciem cieszyli się z tego: - Dobrze im! Niech ta Wynnyczenko płaci za starego! Jak wszystko wzięła!

Bo żałobnikom za każdy dzień lamentu trza było płacić. I karmić, proszę pana...

Potem w naszej cerkwie była wielka panichida. Chór pięknie śpiewał. Zjechała się cała rodzina z okolicy. Tłum ludzi. Przyjechał stryjko Iwanko z Krakowa, gdzie musiał jeszcze raz robić dyplom. Dziadzio był pierwszy gospodarz we wsi. Pełno wozów stało przed cerkwą. Powóz hrabiego też. Hrabia Artur przyszedł ze swoim lokajem, który złożył u trumny dziadka wielki wieniec z sinych i żółtych kwiatów.

Cieleccy na fulwarku mieli dużą szklarnię i ogrodnika. Ja też dziadkowi zrobiła fajny wianek...

Po moim dziadku Pańce ja bardzo płakała. Potem w domu mamcia z tatem mnie pocieszali. Tato do snu bajkę mi czytał. Krótko, bo w domu goście byli. Stryjko Iwanko. Długo z tatem dyskutowali.

Stryjko Iwanko lubił rządzić. Jak dziadko Pańko. Wszystko musiało być podług niego. Tato bardzo go słuchał. I szanował. Adwokat. Jak przyjeżdżał, to cała wieś się schodziła po poradę. Stryjko wysłuchiwał skarg i wykrzykiwał: - Teraz przychodzisz, durny?! Dlaczego ty takie durne rzeczy narobił? Co ja ci teraz poradzę? Jak ty tyle namotał?

Ale pomagał. Tylko łatwo wpadał w gniew, jak miał do czynienia z durnymi... Z nami zaś, dziećmi, swawolił. Jeszcze jak był kawalerem, to często do nas przyjeżdżał.

Czasy były wesołe, gdy stryjko Iwaś był jeszcze kawaler i żył dziadko

Pańko - westchnęła.

- A Mechańko? Mówiła pani, że było dwóch braci Nawrockich. Pańko i Mechańko...

- W Hadyńkowcach. A w Kołomyi trzeci, proszę pana. Maksym. Maksym Nawrocki. Ale te starsze bracia zmarły przed dziadkiem i ja ich już nie znała, prawdę powiedziawszy...

Pamiętam, proszę pana, że silny wiatr od łąk kiwał glinianym garnkiem na kołku w płocie. Ja drewnianą bryczką obwoziła po podwórku swoją lalę. Nagle chłopak w pumpkach do kolan odpiął furtkę i wprowadził do środka dwa swoje konie. Z wielką pewnością podszedł do studni i pchnął korbę kołowrotu.

Ja wstrzymała wózek i spojrzała na tego chłopca w pumpkach. Wielu korzystało z naszej studni, ale nikt tak sienie panoszył. Ciągnie wiadro jak swoje, nie pyta.

Dziwny. A koń jego jeszcze dziwniejszy. Łaciaty. Pierwszy zwyczajny, a drugi cudaczny. W białe, czarne i czerwone łaty. Jakby go ktoś po-paćkał farbą.

Całkiem nie koń.

Podjechała bliżej. On nie zwracał na mnie uwagi, ale gdy podeszła do konia to ostrzegł mnie krótko: - Ej, ty! Nie podchodź! Takie małe kopie!

A potem powiedział mi, że znam jego siostrę Maryjkę, która jest żoną kuzyna mojej mamy, Antoniego Prockiwa ze Szwajkowiec, i prosił, żeby ja pozdrowiła rodziców. Od Wicka.

Stała przez chwilę patrząc za nim, jak idzie z tymi swoimi końmi w stronę pól, gdzie pracują ludzie - po czym szybko pobiegła do domu. Mamcia właśnie szykowali dla świń w dużym, żeliwnym saganie. Szarpnęła ją mocno: - Mamciu! Ja takiego konia jeszcze nie widziała! Cały łaciaty. Jak krowa! - dopiero potem przypomniała sobie o chłopcu i jego prośbie. Pozdrowiła od

Wicka.

Mamcia zaraz wiedzieli kto to.

- Ich dwóch, tych Wawrowów - zamyśliła się potrząsając saganem. -

Starszy Karol chyba wyjechał do Kanady - rzekła powoli - a ten młodszy Wicko z matką i siostrą został. Ich ojciec - Łysy Fedko, dawno zmarł. Maryja wyszła za mojego kuzyna Prockiwa, Paulina za Firmaniuka, a młodszej Józki nikt nie chce, bo z garbem, biedna. I ten Wicko sam gospodarzy. Harny parobek...

- Może ta i harny, mamciu, ale on mi się ta wcale nie podoba...

- Koń jego ładniejszy?

- Ta pewnie! Koń fajny, łaciaty, a on brzydki wargaty! - skrzywiła się z niesmakiem.

- Nie mów tak, Oldziu - upomnęła mnie mamcia. - To j est też dziecko swo-jej matki...

Tak ja oceniła mego przyszłego męża po pierwszym spotkaniu, proszę pana. Koń w łaty wypadł lepiej niż wargaty Wicko...

- Ale ja ta nigdy memu Wickowi tego nie mówiła. Ta skąd! On by się n mnie bardzo zagniewał. Tylko mojej mamci to wtedy powiedziała. A teraz mam dzieci wargate i tak je kocham, proszę pana...

W styczniu 1931 roku Syniuta - strzelając zza drzewa do sań - zabił w kę pyczyńskim lesie hrabiego Baworowskiego.

Ten strzał wstrząsnął nie tylko Hadyńkowcami, ale całą Polską. Potem na stąpiły kolejne akty terroru. Napad na ambulans pocztowy w Bóbrce, posteru nek policji w Majach, bank w Borysławiu. Wreszcie w sierpniu tego roku za strzelono pośła na Sejm - Tadeusza Hołówko. Uwieńczeniem tego planowa nego terroru tajnej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i jej skraj nego skrzydła pod dowództwem Stepana Bandery było zabójstwo ministr spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego w kwietniu 1934 roku

na ulic Foksal w Warszawie.

Od Syniuty więc, skazanego potem przez sąd w Czortkowie na śmierć przez powieszenie, zaczęła się we wsi nowa era...

W życiu Olgi Wawrow zbiegła się ona z końcem szczęśliwego dzieciństwa* gdy mieszkała jeszcze u dziadka Pańki w środku wsi. Potem - kiedy wynieś się z niej daleko, hen aż pod stację - już tak sielsko nie było. Strach coraz bliżej podchodził pod próg - aż całkiem wygnał z rodzinnego domu.

Na razie jednak było jak w raju.

- Tam, w Hadyńkowcach, ja miała pełno koleżanek - wspomina pani Olga - A najbliższa była Milka Firmaniuk. Do dziś my do siebie piszemy. Właśni przysłała mi list z Hadyńkowiec. Milka wyszła za mąż za Stacha Kulczyckiego go z za stawów. Z Milką my się nie rozstawały na krok...

Najbliższy nasz sąsiad, Nykoła Węgier, był bogatym gospodarzem i „prę siaznym”, pisarzem gminnym.

Miał żonę Paraszkę ładną i bogatą. I dzieci były ładne. Było ich pięciorgo: Sławko, Zenko, Olga, Romanka i Łódzko. Ja najbardziej przyjaźniła się z Olgą i Zenkiem. Wraz z Milką zawsze my się bawili we czworo. U Węgrów od południowej strony był ogród pełen kwiatów. Od wiosny do jesieni. Rosły tam piwonie, georginie, malwy, mieczyki, narcyzy, astry. Nawet te rzadkie, kędzie rzawe też.

Raz, pamiętam, narwałałam u nich żółtych lilii, włożyłam w duży dzban i postawiłam na oknie. Węgry wracali z pola, zobaczyli je, ale nic nie mówili. Dopiero mamcia powiedzieli mi, że brzydko cudze kwiaty rwać bez pytania* Nawet u przyjaciół. No, i ja się bardzo zawstydzila. Potem nie musiała już rwać, bo Zenko zawsze sam mi przynosił. Pamiętam, jak podarował mi pięć białego bzu. Pachniało w całym domu...

I tak jak strumyk płynie wesoło do rzeki i potem w nią wpada - tak z

moim dzieciństwem, proszę pana. Jak moja ukochana ciotka Natalka, ciocia Kalka, wyszła za wujka Polka Babyna i wyprowadziła się, dziadzio Pańko zachorował, a mamcia wzięli mnie do siebie do domu pod stację - ten wesoły strumyk skończył się. I zaczęła się rzeka. Rzeka zmartwień, przede wszystkim...

Pierwsze, co ja mocno przeżyła, proszę pana, po śmierci dziadzia Pańki - to tragedię u Węgrów... Najpierw umarła Oldze babcia. Niby staruszka, więc normalne.

Wkrótce po pogrzebie Nykoła Węgier wybrał się wozem z parobkiem po drzewo na opał. Pojechał do lasu aż pod Tudorów. Po drodze natknęli się na moc grzybów.

Wysypało się ich tak, że zdjęli z koni weretki i zaczęli w nie zbierać. Po powrocie żona Nykoły Paraszka i Olga zaczęły je gotować. I jak to przy kuchni - wciąż kosztowały.

Sławko i Zenko troszku tych grzybów pojedli, Romanka późno wróciła z próby w czytelni „Proswita” i całkiem ich nie tknęła. Dzięki temu wyszła z tego najlepiej i nam to opowiedziała.

Nazajutrz pochorowali się wszyscy. Najciężej Olga z matką. Wzięli je do szpitala w Czortkowie, ale tam stwierdzili stan beznadziejny i oddali do domu. W domu umierały. Najpierw matka Paraszka, potem Olga...

Mój Wicko się w Oldze Węgier kochał i chciał się z nią żenić. Całą noc czuwał przy jej łóżku. Aż do śmierci. I bardzo po niej rozpaczał...

Tak, że po tym pierwszym pogrzebie babci Olgi - dwa następne były prawie równocześnie. W odstępie tygodnia...

Pogrzeb Olgi odbył się w niedzielę. W piękny, sierpniowy dzień 1935 roku.

Przyszedł tłum ludzi. Cała nasza szkoła. Jak grabarze do ziemi ją kładli, to my wszystkie rozpaczali. Taka młoda, ładna. Do dziś mam ją w

oczach. I tymi grzybami tak głupio się zatrula. Los. Los widać tak chciał...

Nie zmije więc, a grzyby potwierdziły najpierw jadowitą nazwę wsi.

Siedzimy na Indian Grove pod portretem małego Majora na koniu i dalej wspominamy przedwojenne Hadyńkowce. Wydają się równie odległe jak indiański gaj, który tu kiedyś rósł. Stąd pewnie nazwa tej ulicy...

- To było w maju 1936 roku, proszę pana, już w naszym domu przy stacji za wsią.

Tam od strony drogi rosły wiśnie, które mamcia sadzili jeszcze jak tato był w Kanadzie, i gruby orzech w dwa pędy. U nas w Hadyńkowcach było pełno wiśni, stąd wieś nazywała się kiedyś Podwisienka, proszę pana...

Jednego ranka mamcia stają nade mną i mówią: - Zbieraj się. Pojedziesz do wsi powiadomić ludzi, że my jutro sadzimy ziemniaki.

Żeby tu przyszli...

Na podwórzu czeka już Mańka, moja ukochana, młoda kara klacz. Na niej siedzi Jarko, widzi pan? Ona na czole miała białą gwiazdkę. I wszystkie cztery pęciny też białe...

Siadam na nią i jadę za stawy. Po najęciu ludzi skręcam „na Kut”, gdzie orka pod te ziemniaki, a potem wracając do domu czuję, że moja Mańcia coś nerwowa. Uszami strzyże, łbem kręci. Nagle jak ci się nie zerwie i hop w furtkę. Ja mało ta nie spadła, ledwie głowę zdążyła złożyć na jej szyi, a już my byli w środku. Ja cała spocona, czerwona, włosy roztargane. Polepiona tymi płatkami wiśni, zdmuchuję je z twarzy. Czoło zadrapane o gałąź, bluzka na ramieniu rozchełstana, bo musiała nią przy tym nagłym skoku Mańki przez furtkę gdzieś haratnąć. Mamcia widząc mnie w tym stanie ręce załamali: - Co z tobą, dziecko?! Jak ty wyglądasz? Spójrz na siebie!

A ja jeszcze bardziej czerwona stoję jak wryta, bo widzę, że my na tym podwórku nie same. Jakiś obcy pan rozmawia z moim tatem pod płotem. To jego moja Mańcia tak się wystraszyła. Że aż w drzewa wiśni poniosła...

Elegancki, w ciemnym garniturze, biała koszula fajno wyłożona na kołnierzu.

Młody, przystojny, patrzy na mnie zdziwiony. Ja się go tak zawstydziła, że on mnie widzi w tym stanie, weźmie za smołucha jakiego, proszę pana, więc z konia myk i do domu czym prędzej związała. Tam mamci pytam, co to za lalusz z naszym tatem przy płocie rozmawia. A mamcia mi mówi, że to chyba nowy inspektor od plantacji tytoniu. I rzeczywiście. Po chwili wszedł tato i potwierdził, że ten lalusz to inżynier Jan Korsak, przydzielony tu do uprawy tytoniu na nasz okręg.

Bardzo ludzki gość. Dużo ludziom pomaga i objaśnia...

Minął może tydzień, proszę pana, i mamcia znów mówi: - Wstań, Oldziu, dziecko. Ziemia piękna po deszczu, jak raz do sadzenia tytoniu.

Weź miskę, nabierz ładnej rozsady i doflancuj w miejsca, gdzie sąbraki.

Wstaję więc szybko i biegnę na ogród...

Ranna mgła unosi się w powietrzu. Blaszany dach stajni skrzy się srebrnie. Nasze wiśnie całe w kwiatach i gdzie spojrzysz - pięknie... Prawdziwy maj. I raj, proszę pana... Zawsze kochałam przyrodę, ale tego dnia najwięcej...

Z chęcią rzucam się do sadzenia tego tytoniu. Rowek po rowku sprawdzam i gdzie brakuje, wtykam flancę. Lubię robić w polu i mamcia nie na darmo mnie chwala...

Nagle czuję, że ktoś nade mną stoi. Podnoszę głowę - a to nasz inspektor tytoniowy, ten lalusz w garniturze, uśmiecha się do mnie i mówi cicho: - Dzień dobry, panienczko...

Następnie bierze moją czarną od ziemi rękę i wita się. Ja czuję, że raki piekę, z pąsowo-różowej robię się szkarłatna, a pan inspektor patrzy na mnie, jak ja te flance sadzę, po czym spokojnie bierze ode mnie rozsady i kółeczek i

pokazuje, jak go fachowo trza wbić. Przez jakiś czas my tak klęczeli jedno przy drugim i zamiast na tytoń patrzyli na siebie. Trwało to moment, ta chwilkę! Pan inspektor-instruktor wstał, otrzepał kolana i równie grzecznie pożegnał się: - Do widzenia, panienczko...

Za chwilę już go nie było. A ja tę chwilkę na całe życie zapamiętała. Miała wtedy może piętnaście lat. Nie więcej...

Rozmowę przerwał dzwonek do drzwi. Pani Olga spędziła z kolan kota Myckę i powoli poszła otworzyć. Po chwili na dole rozległ się niski, dźwięczny głos o kresowym zaśpiewie: - Dzień dobry, panienczko. Czy aby nie przeszkadzam?!

- Ta gdzież! Proszę wejść. My bardzo rade...

Po chwili do pokoju wszedł starszy, smukły mężczyzna w ciemnym garniturze i białej koszuli wyłożonej na kołnier.

- Jan Korsak jestem - przedstawił się i mocno uściskał mi dłoń. To był ten sam inspektor tytoniowy, który tak spłoszył karą klacz Mańkę, że poniosła w wiśniowe drzewa...

Hrabia Artur Cielecki, znany działacz społeczny i poseł na Sejm dokonał w 1921 roku parcelacji swoich dóbr. Z części majątku Hadyńkowce powstała osada Zaremba, nazwana tak od rodowego herbu hrabiego Artura, a z Orysz-kowiec kolonia Czarnołozy.

Hrabiemu, podobnie jak rządowi, zależało na wzmocnieniu żywiołu polskiego na Kresach Wschodnich. Hasło: „Ziemia od polskiego pana do polskiego chłopca!” z wolna znajdowało odzew wśród tutejszych ziemian. Ziemię przyznawano Polakom za wybitne zasługi dla kraju. Większość osadników stanowili żołnierze odznaczeni w walce o niepodległość i wojnie 1920 roku.

Państwo udzielało nowym kolonistom pożyczek i kredytów bankowych na bardzo dogodnych warunkach w celu szybkiego rozwinięcia

gospodarki. Osadnicy z centralnej Polski, zwani często Mazurami, byli w stosunku do miejscowej ludności uprzywilejowani. Powstałe kolonie były w pewnym sensie kwitnącymi oazami promieniującymi na okolicę.

Zakładano polskie organizacje „Strzelca” i „Sokoła”, Związek Kółek Rolniczych i Gospodyń Wiejskich, Spółdzielnie Mleczarskie, Związek Hodowców Koni. Powstawały polskie szkoły. Zaczęto rozwijać harcerstwo i tworzyć kluby sportowe...

W jednym ze spółdzielczych sklepów Kółka Rolniczego zaczął pracę siedemnastoletni Wicko Wawrow...

Do końca I wojny światowej nie było w Hadyńkowcach kościoła. Tylko murowana, grekokatolicka cerkiew księdza Sonewickiego. Polacy modlili się w małej, dworskiej kaplicy na cmentarzu. Ksiądz dojeżdżał z pobliskich Żabnic. Tam była parafia. Dlatego wszystkie metryki Wawrowych stamtąd pochodzą. Dopiero Jarek ochrzczony został w Hadyńkowcach.

Hrabia Artur przeznaczył budynek po gorzelni na nowy kościół. Po przebudowie i adaptacji tam teraz odbywały się nabożeństwa. Zbudował również Dom Ludowy i szkołę. Przy końcu stulecia zlikwidował dworską karczmę, a dom oddał sprowadzonym przez siebie siostram zakonnym, które tu prowadziły ochronkę dla polskich dzieci.

Podobny dom dla sióstr ukraińskich planował zbudować grekokatolicki biskup Hrehory Chomyszyn¹. Nie zdążył go jednak ukończyć. Budowę przerwała wojna.

- Najmłodsza siostra dziadka Pańki Nawrockiego, Maryjka, wyszła za mąż za stryjecznego brata biskupa Chomyszyna i wójta Mykoły. Tak, że my z nimi spokrewnione. Biskupa Chomyszyna matka była Polką, proszę pana. Tylko ojciec Ukrainiec. On był z mieszanej rodziny, jak to często u nas - mówi Olga Wawrow.

Obok polskich organizacji i stowarzyszeń istniały podobne ukraińskie.

Tak więc działała bardzo prężna rolnicza kooperatywa, stowarzyszenie sportowe „Łuh”, Dom Kultury „Proswita”. W Towarzystwie „Proswita” była czytelnia z wypożyczalnią książek. Istniało kółko teatralne i zespół taneczny. Była orkiestra dęta, którą kierował Stepan Żurba. Kobiety zrzeszone były w Związku Ukrainek. Ukraińska kooperatywa mleczarska zdobyła sobie silną pozycję w Polsce i miała swoją filię w Hadyńkowcach.

Polski sklep spółdzielczy Kółka Rolniczego miał więc poważną konkurencję ukraińską i żydowską. Ta ostatnia mocno osłabła. Tylko Mordko na górze miał swój mały sklepik. I Sruł, co handlował igłami. Resztę stanowili domokrażcy i hurtownicy.

Takim hurtownikiem był we wsi Elo Hus. Dostarczał głównie beczki kwaszonej kapusty dla wojska. Jego matka, którą Olga Wawrow pamięta, sama tę kapustę kisiła.

- Jak się weszło do ich domu - mówi pani Olga - to dychnąć nie było czym. Taki ten zapach kapusty silny był, proszę pana. Raz Husowa spróbowała naszej i rzekła do mamci: - Wasza lepsza. Z cebulką i marchewką...

My bardzo dbali, żeby tego zapachu nie było. Beczki stawiali w komorze. A jak ta czasem w domu przyszło, to mamcia zaraz denka przecierali i te beczki starali się szybko wypchnąć. Elo Hus chętnie od nas kapustę brał. I na jesieni woził ją do Trembowli. Tam stał 9 Pułk Ułanów i on ułanom tę kapustę woził.

W Hadyńkowcach były dwa młyny, proszę pana. Duży wodny nad Niczła1 Biskup Chomyszyn to ciekawa postać. Patriota ukraiński - był lojalny wobec rządu polskiego. W duchu chrześcijańskim nawoływał do zgody. Uznawał tylko legalne formy działania i był przeciwny wszelkim akcjom terrorystycznym. Tym legalizmem państwowym naraził się mocno nacjonalistom ukraińskim, którzy go często atakowali.

wą w stronę Probużnej z czasem zmieniono na motorowy. Arendował go od dworu Żyd Szlomko, który go potem od hrabiego Cieleckiego wykupił. Drugi mały był na północnym krańcu wsi - koło Tyklówki. Na początku wieku młyn miała rodzina babki Wicka Wawrowa z domu Podłubnej. Ale tuż przed wojną już nie istniał.

W czasie gdy ja chodziła do szkoły, jej kierownikiem był Pawło Wizniura. Po nim Olena Sonewicka i Olga Chomyszyn-Szarawska, proszę pana... W szkole były cztery klasy. Uczono nas po polsku, ale ukraiński też był...

Pod młynem Szlomki była głęboka woda i my tam wyprawiali święto morza...

Całkiem egzotycznie brzmi dziś „święto Jordanu”¹. Wiernych obu obrządków zapraszali na nie księża grekokatoliccy. Przypadało w drugiej połowie stycznia.

Właśnie w czasie święta Jordanu doszło do historycznej chwili w rodzime Wawrowych. Oldze Wawrow udało się wydobyć to wspomnienie od ciotki męża, Anieli Krasnowskiej.

W pewną zimową niedzielę - mówiła ciotka Aniela - my, dzieci, przez okno patrzyliśmy jak w święto Jordanu ludzie z cerkwy wychodzą. Mój brat Teodor, a twój teść, Oldziu, wyszedł przed dom i też do tego patrzenia się przyłączył.

Widzi, jak ta procesja z cerkwy idzie na rzeki święcić wodę, bo krzyż lodowy już tam był. A w Jordan dziewczęta szły i we włosach miały wpięty zielony mirt... Na jedną z nich mój brat Fedko zaraz zwrócił uwagę: - Nie była może zbyt piękna - mówił potem - ale zdrowa! I silna! Jak szła z tym mirtem na głowie i miała takie czerwone papule, to na tym mrozie jak róża wyglądała. Z nią się ożenię! - zdecydował - takiej zdrowej mi trza! Ja chorowity, zdrowia tęgiego nie mam - a ona jak rzepa! Będzie dobrą matką i

gospodynią! - i z tą Anną Hryb, którą czule zwał Hanuśką, się ożenił...

Ona urodziła mu dwanaścioro dzieci i nawet na chwilę nie przerwała pracy w polu... My się śmiali, że Hanuśką zesłała do piwnicy po kartofle, a w fartuszkach przyniosła dziecko... Jak owdowiała, to sama najmłodsze dzieci odchował. Jerzy Julian Szewczyński tak je wspomina w książce *Nasze Kopyczyńce* (Malbork, 1995): „Mimo ostrej zimy starano się (...) by tradycja krzyża wykutego z lodu była zachowana. Uroczystości rozpoczynało bicie dzwonów w kościołach i cerkwiach. Ze świątyni wyruszały procesje z krzyżami na czele, potem liczne chorągwie niesione przez młodzież i starszych. Za nimi księża i tłum wiernych.

Wszyscy zmierzali nad rzekę Niczławę pod niewielkie wzniesienie, z którego wytryskało źródło z ciepłą wodą, zaś na nim stała figurka świętego Jana. Słychać było śpiew (...)

Tym pieśniom wtórowały dzwonki ministrantów... U źródła rozpoczynała się uroczystość poświęcenia wody po odczytaniu Ewangelii w obu językach. Wojsko w tym czasie prezentowało broń (...)

Polacy i Ukraińcy zatrzymywali się przed pomnikiem Niepodległości w Kopyczyńcach, tuż przed gmachem „Sokoła”. Kłaniali się sobie wzajemnie i wymieniali pocałunki pokoju”.

ła, w tym twego męża Wicka, który miał wtedy pięć lat. Jordan i lodowy krzyż im służyły. Żyli w zgodzie i szczęśliwi - dokończyła.

Tak to siarczysty mróz i czerwone papule Hanuśki zdecydowały. Pięknie te policzki nazwał Teodor IV. Papule. Bardzo ciepło brzmia...

- Po wyjściu za mąż za mojego Wicka - podjęła swą opowieść pani Olga - ja zamieszkała u mojej teściowej Hanuśki. Ona wciąż silna była i zdrowa, chociaż tych rumianych papuli nie miała, wciąż jak dawniej energiczna, krzątała się w domu i robiła w polu, mimo że miała już siedemdziesiąt pięć lat. Ale w rok po naszym ślubie, proszę pana, dostała

nagle paraliżu i odjęło jej władzę w nogach.

Nie mogła chodzić i cały czas już siedziała. My się nią opiekowali. Głównie jej córka Józka, która z nami mieszkała. Teściowa Ha-nuśka więc siedząc wciąż na tym łóżku nudziła się i jak nie czytała, to lubiła opowiadać o dawnych czasach. Ja tego chętnie słuchała, bo ona fajno opowiadała. Ja się zaraz czuła troszku jak w kinie...

Ja od dawna chciała wiedzieć, proszę pana, jak to było z tym słynnym zabójstwem, co go mój teść Teodor dokonał w piwiarni jeszcze za austriackich czasów...

- No, właśnie. Leszek wspomniał, że po zabiciu grafa przez Fiodora Ław-rowa w rodzinie był drugi wypadek zabójstwa. Popęłnił je jego dziadek Teodor IV Wawrow.

- To prawda. Teściowa Hanuśka mi to dokładnie opowiedziała: „To było za naszego cesarza Franciszka w oberży w Kopyczyńcach, Ol-dziu - mówiła Hanuśka. - Mój Fedko wybrał się popołudniu w sobotę do tej austerii na piwo. A tam w okolicy grasował wtedy słynny zbój Szela z Ko-tówki. Tak się po tym słynnym zbuntowanym Szeli nazwał. „Ja Szela z Ko-tówki też rąbię w główki. Krew panom puszczam i porządek robię” - chwalił się.

Bali się go wszyscy i dawali, co chciał. Ten Szela miał zwyczaj wchodzić do karczmy i wołać do pijących: - Stawiaj!

I każdy mu stawiał. Niektórzy unikali tej gospody w Kopyczyńcach nie chcąc mu się narazić. Ale mój Fedko nie wiedział o tym, nie był stamtąd. Wszedł sobie do tej austerii, siadł przy szynkwasiu i zamówił u Żyda litrową halbę piwa.

Karczmarz mu nalał i Fedko ją sobie spokojnie popijał. Nagle wszedł Szela, stanął nad nim, podparł się pod boki i ryknął: - Ej, ty! Durny sieluch!1 Stawiaj!

Karczmarz się skulił, ludzie struchleli, mój Fedko siedzi.

- Słyszysz, co Szela do ciebie mówi?! - wściekły trzasnął pięścią w szyn-kwas, aż wszystko podskoczyło...

1 Głupi wieśniak.

- Moment - Fedko wolno wstał z zydlu i spokojnie dopił swoją halbę, żeby nic nie zmarnować...

I kiedy Szela chwycił go za kołnierz, potrząsnął nim i ryknął: - Liczę, do trzech, sieluch. Stawiaj, bo w łeb! - mój Fedko nagle odwinął się i jednym ciosem palnął go łąlitrową halbą w głowę. Szela zwałił się jak snop. Fedko straszną siłę w rękach miał. Jak palnął, to strach! To po nim twój mąż Wicko ją ma, Oldziu-rzuciła..."

- Przepraszam, pani Olgo, ale coś mi tu nie gra. Przed chwilą jego siostra Aniela Krasnowska mówiła, że on chorowity. Cherlak. Dlatego mu te zdrowe, czerwone papule Hanuśki tak zaimponowały. A tu nagle siłacz.

- Ja ta nie wiem - odparła dyplomatycznie pani Olga. - Sama go nie znała, Wicko też. Ale całkiem nie musi się zgadzać. Pan wie. Siostra patrzy tak, żona tak.

Ciotka Aniela powtarzała za bratem, że on chorowity - a żona Hanuśka uznała, że on chłop na schwał. Siostra z bratową nie muszą się zgadzać. Ja powtarzam za teściową Hanuśka. Twierdziła, że Fedko był zdrow jak rydz, póki nie zapadł na płuca...

- Jasne. Proszę mówić...

„No więc jak mój Fedko tą halbą tego Szelę palnął - opowiadała teściowa Hanuśka - to cała karczma zdębiała. Zawsze było odwrotnie. Szela po łbach tłukł, a tu sam padł i leży jak snop. Leży i ani ta drgnie. Czekają, aż w końcu Żyd zza szynkwasu ostrożnie wyszedł i lekko go trącił. Szela nic. Kapnął mu parę kropli piwa z halby na twarz - drugie nic. Zbój leży jak trup. W końcu przytknął mu ucho do serca - trzecie nic. Szela okazał się trupem.

Wtedy Żyd podniósł gwałt i wezwał żandarmów. Fedko spokojnie

czekał. Nie czuł się winny. Nie chciał przecież tego Szeli zabić. Bronił się. Musiał niechcący trafić go tą halbą piwa w skroń. Jak żandarmi przyszli i zobaczyli, że ten Szela nie żyje, to też odetchnęli. Dość mieli jego burd. Wszyscy w austerii się za moim Fedkiem ujęli. Mówili, że Szela pierwszy napadł, ale za naszego cesarza Franciszka, dziecko, prawo to było prawo. Jak trup leży, to sąd musi orzec, nie ludzie. A to była sobota, urzędy zamknięte. Wzięli więc mego Fed-kę na szyldwach i przetrzymali do rozprawy. Na rozprawę pełno świadków przyszło, wszyscy zgodnie zeznali, że mój Fedko nie winien, bronił się. Sąd z głosem świadków liczył się, dał im wiarę i Fedkę zwolnił. Jak on z sądu wyszedł, to wszyscy wiwatowali na jego cześć, dziękowali mu, że od tego straszego zbója Szeli ich uwolnił. I takie mu piwo w końcu postawił, moje dziecko” - dokończyła...

Innym razem znów, proszę pana, gdy ja się wieczorem tymi garnkami w kuchni tłukła i mego Jarka w kołysce huśtała, teściowa Hanuśka tak popatrzała na mnie, popatrzała ze swego łóżka, smutno westchnęła i rzekła: „Dziękuj Bogu, Oldziu, że masz zdrowego syna...

- Mama też ma - mówię. - Karolka w Kanadzie, mojego Wicka tu...

- To prawda - przyznała. - Ale przed nimi byli Fedko, Staszko i Władko. Trzech synów jak z bajki. I jeden za drugim poszedł. W tym samym roku. Jakby zły czar kto rzucił” - zaczęła płakać. Zawsze jak o nich mówiła, to płakała, proszę pana.

Przez tyle lat...

- I co to było?

- Choroba. Choroba ich wzięła. Zaraza we wsi szalała. Dyfteryt i szkarlatyna. W parę tygodni było po nich...

„Jak my ich pochowali - mówi Hanuśka - to mój Fedko wpadł w rozpacz: - Czym ja się Panu Bogu naraził - wołał - że ich wszystkich naraz wzięł?! Żaden się nie ostał! Nikt we wsi trzech synów naraz nie stracił, tylko

ja. Co mi z córek?

Mógłby se jedną wziąć, byle mi choć Władka lub Staszka zostawił - biadał w kółko.

Aż wreszcie wykrakał.

W trzy tygodnie po nich córka Zofka zachorowała. Była w twoim wieku, Oldziu. Jak na ciebie patrzę, to ona mi zaraz staje przed oczami. Jak więc Zofka zachorowała, to my już dłużej nie czekali. Fedko konie zaprzął i do doch-tora do Kopyczyniec ruszyli. Ja Zofkę w chustę zawinęła i tyłem do męża z nią siadła.

Jedziemy. Droga ciężka. Błoto. Czarna ziemia lepi się do kół. Ujechali my może ze trzy kilometry za tory kolejowe, gdy nagle konie stajają wryte. W biały dzień. Fedko odwraca się i pyta: - Jak dziecko, Hanuśka?

Ja patrzę, a nasza Zofka nie żyje. Błada i martwa... Wróciliśmy do domu. I wtedy on powiedział, co ujrzał.

- Minałem tory kolejowe - mówi. - Nagle mgła jakby mlekiem oblał. Konie dęba stanęły, a z tej mgły wynurza się panna młoda w snopie światła. W białej sukni i z białym, długim welonem. Włosy ma jasne, rozpuszczone. W ręku trzyma bukiet kwiatów. Patrzy i uśmiecha się do mnie smutno. No, to ja już wiedział, że nasza córka nie żyje. Przyszła po nią. I rzeczywiście. Pytam Hanuśki, a ona mi mówi, że Zofka właśnie umarła...

Na dowód, że nie kłamie przeżegnał się i na krzyż święty poprzysiął..."

- Teściowa Hanuśka przepłakała wiele dni, proszę pana, a mąż Fedko jak Hiob biblijny biadał. Wciąż o swój los złe moce winił... Nic dziwnego więc, że gdy po tej tragedii wreszcie w 1909 roku urodził im się syn, właśnie brat Wicka Karol, który nas tu do Kanady ściągnął, to radość była wielka. Ale i strach, by z nim się to nie stało.

I teść Teodor postanowił się zabezpieczyć. Zaraz po porodzie

przyszedł do nich do domu jego sąsiad i przyjaciel Stepan Pohorecki wraz z żoną i mówi: - Sąsiedzie Fedko. My ze sobą jak bracia żyjemy. Sprzedajcie mi swego syna Karola. Wy go sobie dalej chowajcie, ale wasz syn będzie mój. Kupiony - i położył na stół parę grajcarów. Uścisnęli sobie ręce. W ten sposób chcieli wygnać zły los i zdjąć klątwę z tego domu.

Pohorecki teraz jako przybrany ojciec miał Karola chronić. I ochronił. Chłopiec świetnie się chował i na nic ta nie chorował, proszę pana...

Z moim Wiekiem zrobili inaczej. Sąsiad Rubaszewski był jego chrzestnym. Gdy po chrzcie wrócili z kościoła, wyjęli z pieca ogień, położyli płonąca żerdź na progu i przez ten zagwiący się próg domu chrzestni z Wiekiem na rękę przeszli...

I Wicko też zdrowo się chował.

Powie pan - przesąd. Zabobon. Ale ten przesąd się sprawdził. Teściowa Hanuśka na pewno tego nie wymyśliła. Tak było, proszę pana...

Podobnie jak ciężko wytłumaczyć różne zjawy, o których moja mamcia opowiadali, co ukazywały się nad naszą mohylą. To było w Święto Zmarłych. W Zaduszki, proszę pana... Wyszli na cmentarz sprawdzić, czy świece, które ludzie zapalili, na grobach migają. Od dziadzia domu to parę kroków. Ledwie tam weszli i widzą, że z czubka mohyły jakby skrawek słońca się urwał. Taki świetlisty balon, który wzbił się w niebo i zaczął szybko pędzić na mamcie. Po chwili spadł między groby i wciąż świecił tak, że mamcia musieli zmrużyć oczy. Przerażona uciekła do domu, a jak się obejrzała, to cały cmentarz płonął, jakby się palił - po czym nagle wszystko zgasło. Mamcia długo bali się sama na cmentarz iść...

O, widzi pan, co mi się przypomniało - podjęła po chwili. - Babcia Naścia Wynnyczenko mówiła, że między cerkwą szkołą była studnia zabita deskami, proszę pana. Ja ją jeszcze pamiętam. Te deski były już stare, wygnite. I moja babcia mówiła, że jak była dzieckiem, to do Hadyńkowiec

jeden sławny, stary wróżbit przyszedł. On chodził od wsi do wsi i wróżył ludziom. I gospodarzowi Babynowi, z tej rodziny, co to później profesorami we Lwowie byli, ten wróżbit wywróżył, że jego syn w studni zginie. Więc Babyn wziął deski i tę studnię zabił. Za rok czasu może jego mały synek na tych deskach położył się i umarł. Tak, proszę pana. I to nie bajka żadna, bo ja tę studnię widziałam. Ja mówię. Co komu sądzone, to go nie minie. To z góry idzie. I ten wróżbit widać musiał to widzieć. Choć sam ślepy był - babcia Naścia mówiła...

W moim życiu jak przychodzi liczba sześć - to zawsze coś się dzieje, proszę pana. A był rok 1936...

Wybrała się ze swoją przyjaciółką Milką Firmaniuk do sklepu Kółka Rolniczego. W tym sklepie już pracował Wicko. Ten chłopak wargaty od konia w łaty. Obsłużył nas grzecznie. Wyszliśmy z tego sklepu i Milka mówi: - Jest taka wróżba. Chłopcy we wsi gadali. Jak nocą niebo czyste, to trza przez dziewięć wieczorów liczyć kolejno po dziewięć gwiazd. Nie przerywać. Potem czekać co dziewiątej nocy się przyśni...

Za parę tygodni pytam Milkę, co się jej przyśniło. A ona mówi: - Śnił mi się twój kuzyn Zenko Chomyszyn, a tobie co?

- Mnie przyśnił się ten Wicko ze sklepu. My z nim byli razem na folwarku.

- To pójdziesz za niego - oświadczyła Milka.

- Ta gdzie? Przecież on od trzech lat za rękę z Filką Kostiw się wodzi!

Wracam do domu, proszę pana, a mamcia mi mówią, że był przed chwilą Misko Zacharczuk, ciotki Marynki syn, i powiedział, że Wicko chce przyjść i oświadczyć się o moją rękę.

A koło mnie kawalery kręciły się we wsi, choć ja miała ledwie piętnaście lat.

Mówili, że u Martyna Wynnyczenki dzieci ładne i dobrze wychowane.

A z Olgi będzie fajna gospodyni...

No i była środa, pamiętam. Psy w ogrodzie rozszczekali się. Tato wyszedł przed dom i po chwili wrócił. Z nim Misko Zacharczuk i Wicko Wawrow idą.

Mamcia prosi ich do stołu.

- My nie głodne - dziękują.

Ale to nie do mojej mamci takie gadanie, proszę pana. Ona ta nigdy bez strawy nikogo nie wypuściła. Gościnna strasznie. U nas zawsze był świeży chleb, prosto z pieca. A tego wieczora upiekła dodatkowo makowiec. Mimo więc, że oni nie głodne byli, mamcia pokroiła chleb, zrobili kanapki, dali herbaty, a na koniec ten makowiec. Myjemy ten makowiec, jemy, proszę pana, aż wreszcie Wicko odzywa się do mego tata: - Panie Wynnyczenko. Ja się chcę z waszą córką Olgą żenić. Mnie na tym bardzo zależy i nie myślę długo chodzić. Jako kawaler wychodziłem się ta dość! Mój tata popił herbaty, pomilczał, w końcu odparł: - To ode mnie nie zależy. Jeżeli wy się chcecie pobrać i ona się zgodzi, to ja nie będę mówił nie. Proszę bardzo. Dalej mi jeszcze dwie córki w domu zostaną...

I z tym my się rozstali, proszę pana.

To była środa. A w piątek Wicko był w Czortkowie i jak wrócił z pociągu, to do nas wstąpił. Ze stacji miał krok. To było wieczorem, już po robocie. Ja czuła się troszku zmęczona i położyła się na bombetlu. To taki nasz sprzęt o trzech funkcjach: w dzień jest ława i skrzynia - a w nocy łóżko. Rozkłada się i śpi na bombetlu...

Tylko co legła - ktoś puka do drzwi. Była pewna - dzieci sąsiadów, a to Wicko. W sekundę zdjął z siebie kożuch i mnie tym kożuchem nakrył. Pamiętam, jak mi się ciepło zrobiło. Na sercu też...

Wicko u nas długo nie pobył. Powiedział tylko, że zgodził orkiestrę Opackiego z Czortkowa, będzie przedstawienie w Polskiej Czytelni, i pyta,

czy ja mogę z nim pójść? A mamcia na to: - Trza tata spytać...

- Jak go ładnie poproszą, to się zgodzi - rzekł Wicko. Tato ledwie siadł, zaczął czytać, a psy od nowa rozszczękały się. Tato westchnął: - Muszę ta moją pannę wydać za męż, bo z nią mam sam kłopot. Nic tylko drzwi otwieram. Kawalery walanon stop! - i poszedł wprowadzić gościa.

Za chwilę wszedł Dyżko Nenczyn. (On też za mną chodził. Parę razy my poszli za stawy. I nad rzekę. Dyżko milczał i wzdychał. Wreszcie wziął mnie za rękę i powiedział: - Ty, Oldziu, tak mi się podobasz, że ja by zawsze chciał z tobą być... - Odważył się w końcu, bo bardzo nieśmiały chłopiec był).

Więc Dyżko wszedł, proszę pana, a mój Wicko zaraz na niego z góry: - Panie Nenczyn! Proszę siadać! - wskazał mu miejsce, jakby to on był tu gospodarz.

Dyżko zgłupiał i tak się biedak spieszył, że język w gębie zgubił. Siadł i tak siedział. Nie odezwał się. Za chwilę wstał, pożegnał się i wyszedł smutny.

Na drugi dzień Wicko mi mówił, że Dyżko przyszedł do niego do sklepu i prosił, żeby mu mnie ustąpił.

- To nie miejsce w przedziale, by ja ci ustępował. Olga nie dziecko, swój rozum ma. Niech sama wybiera. Zostawmy to jej... - Tak się stawiął, bo wiedział, że ja jego wybiorę, nie Dyżka, proszę pana...

No, i przyszło to przedstawienie. Wicko pyta, czy moi rodzice wiedzą, że on mnie chce wziąć na ten występ. Ja mu przypomniała, że mówiła z mamcią, ale ona mi odparła, bym spytała tata, a ja się troszku boję.

- To ja spytam - uspokoił mnie. - Na pewno się zgodzi! I w ten sam dzień przyszedł do nas i pyta mego tata: - Panie Wynnyczenko. Czy wasza córka Olga może iść ze mną na przedstawienie? Ja już bilet dla niej mam - i pokazał ticket...

Tata nie spojrział nawet, bo czytał ciekawą książkę, a jak czytał, to świata nie widział, i mruknął tylko: - Niech ta idzie - i czytał dalej.

Ja szybko się ubrała i zaraz my poszli.

Przedstawienie naprawdę było fajne. Najpierw wystąpiły nasze, z wioski. W chórze i tańcach. Potem wyszedł Wicko w mundurze strzelca w rogatywce. Śpiewał piosenki i sam sobie przygrywał na mandolinie. Zebrał duże brawa, a ja mu dała największe. Potem do tańca zagrała orkiestra Opackiego, co ją Wicko sprowadził z Czortkowa... To była elegancka, droga orkiestra. Muzykanci w czarnych frakach i białych, sztywnych krochmalonych kołnierzykach grali jazz na trąbkach, a córka Opackiego w krakowskim stroju biła w cymbały. Bardzo się podobała. My z Wiekim cały czas tańczyli. Ja się wytań-cowała za wszystkie czasy...

Po powrocie mamcia mi mówi, że tata tego wieczora czytał do późna w nocy i jak doczytał książkę do końca, to spytał: - A gdzie oni właściwie poszli, Pawlinko?

- Do Polskiej Czytelni - odparli mamcia. - Przecież świetnie wiesz, że ten Wicko Polak...

- Ouu! - tato aż stęknął i poskrobał się w głowę. Nic nie powiedział. Potem dostało mu się od mamci, że się tak zaczytał...

A jak ludzie dowiedzieli się, że Olga Wynnyczenko była z Wiekim Waw-rowem w Polskiej Czytelni - to tak jakby wioska się zapaliła, proszę pana. Podobne wrażenie.

I długo tego „pożaru” nie można było ugasić...

Siedzimy u Leszka. W samym sercu polskiej dzielnicy. Tuż przy Ronces-valles i High Parku...

Salon zavalony książkami. W zasadzie biblioteka. Leszek wciąż jępowięk-sza. Jako historyk pasjonuje się głównie dziejopisarstwem. Od Herodota począwszy. Jest dociekliwy i ścisły. Fakty muszą się zgadzać. Historii swego rodu pilnuje jak cerber. Od lat prowadzi kronikę. Ma swój dzienniczek jeszcze ze szkoły. Pisany dzień po dniu. Pod tym względem jest

niezwykły. Ale to dobrze. Taka dokumentacja jest bezcenna.

Córka Leszka, Renia, mieszka w Szwajcarii. Zdaje maturę w Neuchatel. Planuje studiować prawo. Jest kopia młodej pani Olgi. Tak jak Renia musiała Olga Wynnyczenko wyglądać, gdy szła z Wiekim Wawrowem do Polskiej Czytelni na występ orkiestry Opackiego z Czortkowa w 1936 roku. Ten sam profil, oczy, usta. Ten sam seks, który chłopcy wyczuwają już od szkoły. Dlatego przynoszą biały bez z ogrodu. Jak Zenko Węgier...

Renia też nie narzeka na brak powodzenia. Kawalery młode walą non stop. Leszek nie może powtórzyć błędu dziadka Martyna i zaczytać się. Musi czuwać...

- Jak chcę ją zdenerwować - zdradza Leszek - to mówię: Renia! Jaka z ciebie Kanadyjka?! Ty jesteś Murzynka, tyle że biała. Masz grube, murzyńskie wargi, spłaszczony, zadarty nos, wystające kości policzkowe, skośne tatarskie oczy! Ty jesteś visible minority¹, jak mówią delikatnie Kanadyjczycy...

Wtedy Renia rzuca się na mnie z pięściami, wymyśla mi od rasistów. Wyrosła wśród dzieci wszystkich ras i jest typową Kanadyjką. Ten problem dla niej nie istnieje. A ja, jako Polak z ukraińską krwią, w duchu cieszę się, że w tej mojej kanadyjskiej córce dawka polskiej krwi jest wzmocniona dzięki mojej żonie Irenie. Bo w jej rodzinie już sami Polacy. Od pokoleń...

‘ Wyróżniający się wyglądem cudzoziemiec.

Wracamy do „pożaru” we wsi.

- To rzeczywiście był skandal - zapala się Leszek. - Córka ukraińskiego patrioty, bratanica bohatera walk o samostijnu Ukrainu¹ Iwana Wynnyczenko, wychodzi za mąż za Polaka Wicka Wawrowa! A co robił sam Wicko, zanim się oświadczył? Tu jest luka, o której mama nie chce mówić. Teraz ją trochę przyduśłem, to zdradziła parę szczegółów. Ale w zasadzie wiem to od taty. Jak byliśmy tu razem we dwóch w Kanadzie, to często mi opowiadał...

Z dokumentacji Leszka wynika, że młody Wicko, choć po wyjeździe brata Karola do Kanady sam został na gospodarce, miał czas na bujne kawalerowa-nie. Domu się nie trzymał. Ciągnął do ludzi. Tu odżywał. Na zabawie, festynie, zawodach. Grał w siatkówkę i piłkę nożną. Na festynach najszybciej skakał w worku i wdrapywał się na słup. Zawsze zgarniał z czubka nagrodę. Ręce miał z żelaza. Niski, barczysty z wyższymi dawał sobie radę. Draby we wsi wołały go unikać. Do śpiewu i tańca pierwszy, głośno kawalerował we wsi. Grał na mandolinie. Pięknie śpiewał. Nie tylko koń Jacko w plackach wyróżniał się. Pan Jacka też...

Jego pierwsza miłość nazywała się Ryśka. Ryśka Kapustyńska. Była córką fornala hrabiego Cieleckiego. Kapustyńscy wraz z młodym hrabią przyjechali do Hadyńkowiec ze Słobódki.

Ryśka od razu zrobiła wrażenie. Najpiękniejsza panna we wsi. Wszyscy się w niej kochali. A Wicko najwięcej. Postanowił się z nią zenić.

Matka Hanuśka próbowała mu ten ślub wybić z głowy.

- Co ci z niej! - tłumaczyła - Biedna córka fornala, bez ziemi wyrobnica! Żona jest do roboty, nie do zabawy. A jej tylko tańce w głowie. Latawica! Lala malowana...

Ale Wicko uparł się. Wtedy Hanuśka zdenerwowała się, poszła, sprzedała krowę i pieniądze położyła mu na stół: - Masz. Żeń się. Tylko żebyś potem nie narzekał, że cię przed nią nie ostrzegłam...

Wicko wziął pieniądze i poszedł z Ryską do Probużnej na zabawę. Ale na tej zabawie otworzyły mu się oczy. Ryśka tańcowała ze wszystkimi, którzy ją o to poprosili. I wydawała się szczęśliwa, nie widząc nawet, że jej kawaler, Wicko, coraz posępniej patrzy spod ściany. Gdy po skończonej zabawie jak zwykle odprowadzał dziewczynę na folwark i zatrzymali się w dworskiej alei lipowej, rzucił jej swój ulubiony zwrot: Wiz czyperewiz. I gdy nie zrozumiała, dodał: - Już mnie więcej nie ujrzysz! - Tak właśnie, mimo że błagała go o

przebaczenie, chciał odciąć tę pierwszą miłość. Za jednym ciosem.

1 Niepodległą Ukrainę.

Gdy wrócił do domu, matka już spała. Rano położył jej pieniądze na stół i oświadczył: - Mama wezmą. Nic mi po nich... Nie zenią się.

Matka dołożyła do tych pieniędzy parę. złotych i kupili u Studzińskich na Zarembie nowego, rocznego konia. Opłacało się.. Wóz Wicka potoczył się różniej...

Pocieszyła go Filka Kostiw ze znanej, gospodarskiej rodziny.

W przeciwieństwie do Ryski była panną posażną, z ziemią. Tyle, że Ukra-inka.

Trudno się było jej równać z Ryską, ale miała swoje zalety. Drobna i bystra, zawsze wesoła, potrafiła go ożywić. Nie nudził się przy niej. Mieli o czym mówić. Nie była latawicą. Wierna, wpatrzona w niego jak w obraz. Nie oglądała się za innymi. To raczej Wicko czasem strzelił okiem w bok..

Związek ich przedłużał się. Coraz jawniej wodzili się za ręce i we wsi brano ich za parę. Uznano, że ślub to kwestia czasu.

I tu - kłopot. Jej bracia, Sławko i Romko, byli zaciekłymi nacjonalistami ukraińskimi. Ojciec Filki, który pracował na kolei, zmarł, a matka była pod wpływem synów. Zgadzała się na ślub pod warunkiem, że odbędzie się w cerkwi, a pan młody przejdzie na ich, ukraińską wiarę. Ponieważ kuzyn Wicka, Jaśko Wawrow, tak właśnie zrobił zeniąc się ze swą Naścią Zacharczuk, była pewna, że i Wicko tak zrobi. Czekwała tylko na jego słowo. Poza tym bracia Filki nic do Wicka nie mieli. Wiedzieli, że zaradny, dobry gospodarz. Tylko matka wciąż powtarzała Filce: - Wicko jako mąż nie będzie cię szanował. I trzymał się domu. Ludzie dla niego ważniejsi niż ty...

Ale ona nie zważała na to. Kochała Wicka.

Wicko uznał, że czas się domówić. Tylko nie za cenę wyparcia się wiary. Nie chciał iść w ślady Jaśka i szczerze to Filce wyznał.

- Jak chcesz wyjść za mnie, to musisz stać się Polką. Jestem Polak i chłopcy będą Polaki... A córki jak zechcesz... Wiedziała o tym i zgodziła się chętnie.

Jednak na drugi dzień mocno zdenerwowana oświadczyła: - Matka chce szczerze by ja została Ukrainką. Bracia także... Matki ja słuchać muszę. Jak każe, tak zrobię...

- Więc rób - odpowiedział jej. - Twoja matka, twoja wola. Wybrałaś. Ja dwóm bogom służyć nie będę... Z tym się rozstali...

A na drugi dzień Wicko przyszedł do Martyna Wynnyczenki i wypowiedział znane już słowa: - Panie Wynnyczenko. Ja chcę się z waszą córką Olgą żenić. Mnie na tym bardzo zależy. Nie myślę długo z nią chodzić. Wykawalerowałem się ta dość. Pragnę wreszcie założyć dom. Chcę mieć żonę i dzieci...

- Dziś, po sześćdziesięciu latach, proszę pana - mówi pani Olga - myślę, że prawdziwie żyć można tylko w swoich rodzinnych stronach. A najlepiej w maju. Bo maj w Hadyńkowcach był cały w kwiatach. Wszystko kwitło. Narcyzy, piwonie, bzy, jaśminy. W tych jaśminach mam zdjęcie z moim narzeczoną Wiekim. W maju 1937 roku. Robił je Stach Zieliński z Oryszkowic. My z Wiekim rok wcześniej spotkali się na weselu, jak żenił się jego kuzyn Jaśko Waw-rów z moją kuzynką Naścią Zacharczuk. To ja wtedy była za drużkę, a on za drużbę. Tańczyli my jeden taniec, troszku gadali. A potem, pamiętam, raz my się przypadkiem spotkali na folwarku, bo akurat hrabia Cielecki zgodził orkiestrę...

A mnie do domu przy stacji ze wsi zawsze odprowadzał Antoszko Zacharczuk zwany Tońkiem. Miał przykazane przez siostrę mamci Marynkę i wujka Mykołę, żeby się mną opiekował. Takie security, proszę pana. I on to bardzo solidnie robił. Teraz też. Więc ja mówię Wickowi, że tam na mnie na mostku czeka Tońko i ja już muszę iść. A Wicko na to: - Nie bój się. Ja ta zaraz

z nim załatwię... Poszedł na mostek i szybko zarządził: - Możesz iść, Tońko! Zwalniam cię. Ja dziś mam służbę i Olgę do domu odprowadzę...

Tońko grzecznie usłuchał. To mi bardzo imponowało.

Wicko był starszy, znany nam ze sklepu Kółka Rolniczego. My tam chodziły, bo za darmo dawał nam cukierki. Potem mówił mi, że to był jego chwyt reklamowy. Tym chciał przyciągnąć Ukraińców, którzy ten polski sklep omijali. Właśnie kusząc dzieci i młodzież. Dla reklamy też sprowadzał różne zespoły. Gdzieś tam słyszał, że fajna orkiestra gra - to zaraz jechał i ją godził. Wtedy modne były nowe tańce. Więc on przywiózł orkiestrę z Trembowli. Ona grała same argentyńskie tanga i rumbę. Na płótnie namalowane były palmy i morze, a muzycanci w kowbojskich kapeluszach pod tymi palmami grali i śpiewali. To było takie fajne, proszę pana. My wszystkie ich podziwiałały. Polacy, Ukraińcy, Żydzi. Potem tylko śpiewali Tango Milonga, Księżyc na Tahiti, Rumba-Bumba...

Ja była bardzo dumna, że taki sławny kawaler, dużo starszy, do domu mnie odprowadza. Na nic ta nie liczyła. Wiedziała, że on z Filką Kostiw się wodzi za rękę i mają się ku sobie.

Ciotka Filki, Janka Furmaniuk, bardzo tego małżeństwa chciała. Ta Janka była synową posła na Sejm, Piotra Furmaniuka. Zaś siostra posła Furmaniuka to stryjanka Kaśka, żona Wincentego Wawrowa, co poległ pod Brzeżanami na początku wojny, i matka Jaśka Wawrowa. Wicko więc był bratankiem jej męża, Wicka. Sama wdowa, rozumiała też wdowę Hanuśkę i starała się jej pomóc. Lubiła Wicka i wciąż polecała go bratu. On troszku Wickowi ojcował. Przez niego Wicko dostał ten sklep Kółka Rolniczego. On za niego poręczył...

Ja znów wcale nie miała wyjść za Wicka - ciągnęła dalej - tylko za Staszka Kulczyckiego. Jego matka z moją mamcią i tatem uradzili, że my się ze Staszkiem pobierzemy, jak on wyjdzie z wojska. Prawda, ja miała ledwie

piętnaście lat, ale rodzice szukali mi już kawalera z dobrej rodziny, A Kulczyccy z Tyklówki takie byli. Ich najstarszy syn, Jaśko, ożenił się z Natalią Chomyszyn, córką wójta Nykoły, brata biskupa Hrehorego. My ze Staszkiem znali się ze szkoły i wołali na niego „Staszek zza stawów”, bo za stawami z matką mieszkał. Jak się zjawił Wicko, to Staszek już rok służył w wojsku. W 25 Pułku Piechoty w Piotrkowie Trybunalskim. I stamtąd słał do mnie listy. W ostatnim, pamiętam, pisał: „Już niedługo, kochana Oldziu, służba mi się kończy. Za pięć miesięcy się spotkamy.

Aż mi serce żywiej pika w piersi i chętniej wyskakuję z okopu na bagnety, jak wspomnę, że Cię wkrótce zobaczę, moja mała czarnulo!”

Ja mu już na ten list nie odpisała, bo co miała pisać? Że jak wyjdzie z wojska, to ja wyjdę za Wicka? Ja wołała Wicka. Wszystkie panny woleli. Moi rodzice zresztą też. Bo Wicko miał swój dom, a Staszek nie. Staszka matka, wdowa, z najmłodszym synem gospodarzyła, a on musiał pójść i się budować. Moi rodzice same się budowały i znały ten ból. Wszystko trza stawiać, kupić. - A jak jest stare rzeszoto, to po co nowe kupować - mówili. Wicko takie stare rzeszoto miał.

Ja do niego do domu miała iść...

Stach miał przyjechać na wiosnę, ale umarła mu babka i puścili go w styczniu na urlop akurat na ukraińskie święta Bożego Narodzenia.

W drugi dzień świąt mamcią mówią do tata: - Idź z nią razem do czytelnicy, Martynku, i spójrz, co ona tam robi, żeby znów wstydu nie było...

Tata poszedł do czytelnicy wymienić książki, a ja z Milką na przedstawienie. Koło cerkwy była taka kładka przez rów. Jak przy szłyśmy, ja na kładkę wstąpiła, a Stach, który stał z młodzieżą pod cerkwą, podbiegł do mnie i wyciągnął dwie ręce, by mi pomóc.

- Dobryj den, Oldziu! - krzyknął wesoło.

- Ja idę! - odparła mu i odkręciła się do niego plecami. Szybko przeszła

przez tę kładkę bez jego pomocy.

Milka została ze Staszkiem przy tej kładce, a ja podeszła do grupki dziewcząt przy cerkwie. Wkrótce Milka ze Staszkiem razem na tę kładkę weszli, proszę pana, i pobrali się. Do dziś Milka żyje w Hadyńkowcach. A Staszek Kulczycki, choć Polak, nie repatriował się z nami do Polski, tylko z Milką został...

I całe szczęście, że ja się wtedy odkręciła do Staszka plecami i nie podała mu ręk - ciągnęła dalej - bo Wicko stał z chłopakami pod czytelnią i wszystko widział. Potem podszedł do mnie i rzekł: - Ja z tobą na występ nie pójdę, wczoraj byłem, ale bilet dla ciebie ma Misko.

On z tobą pójdzie. Jak przedstawienie się skończy, to będę tu czekał...

Misko Zacharczuk, mój kuzyn, mnie pilnował, bo chciał, bym ja szybko wyszła za Wicka. Miał w tym swój interes, proszę pana. Chodził bowiem z Aleksandrą Bodnaruk, czyli Siašką, jak my ją nazywali. Siaška była piękną panną z trzema morgami pola. Misko bał się, że wolny Wicko może pójść do Siaški i zdmuchnąć mu ją wraz z polem. Dlatego tak namawiał Wicka do ożenku ze mną. I z takim żarem stał po jego stronie. I wszystko mu robił. Wicko kawalerował głośno z mandoliną i śpiewem, podobał się pannom we wsi i był groźny konkurent.

Wicko zdecydował - podjęła po chwili pani Olga - że my właśnie w tym pięknym miesiącu maju, proszę pana, zaniesiemy na zapowiedzi. Ja mu powiedziała, że to może troszku za wcześnie, trza się wstrzymać, to on mi przerwał: - Nie ma co zwlekać! W najbliższą niedzielę przyślę do twego tata mego starostę.

On ta za mnie wszystko z twoimi rodzicami załatwi!

Tym starostą Wicka był szwagier Anton Firmaniuk, mąż jego starszej siostry Pauliny, zwany we wsi Smuczok. Bo wszystkie zarobione w Kanadzie dolary przessał. Przecmokał, proszę pana. Stąd ten smoczek. O nim też i

Paulinie mówiono często „kaparnicy”, że takie niby rozrzutne... No i w niedzielę przyszedł Smuczok fajnie ubrany, w garniturze, pokłonił się grzecznie memu tatowi i mamci i usiadł w kuchni z moim tatem radzić. Tato postawił na stół butelkę, mamcia zrobili kanapki, i one tak sobie w tej kuchni radzą, a my w drugim pokoju z Wiekiem czekamy. Radzą i radzą, drzwi od pokoju otwarte, mowa ich głośna, więc często dochodzi. Słyszemy, że mój tato mówi i mówi, a starosta za nim tylko powtarza: - Tak, tak, panie Wynnyczenko, tak, tak, tak.

Wicko się w końcu zdenerwował, co one tam tak długo radzą, i poszedł sprawdzić.

Wraca i mówi: - One oba pijane. Każdy stoła się trzyma. A Smuczok, durny, tak się schlał, że z czuba mu się kurzy jak z pieca. Z takim starostą to ja bez ziemi wyjdę. Sam jutro z twoim tatem muszę się rozmówić...

Nazajutrz przyszedł i my już razem siedli za stołem. Wicko miał trzy morgi pola i tyle samo chciał mieć od mego tata. Tato nie bardzo chciał dać. W końcu powiedział, że te trzy morgi da, ale jeden mórg dostaniemy dopiero po jego śmierci.

- Na dożywocie chcę go sobie zostawić - wyjaśniał.

- Ja na niczyją śmierć nie myślę czekać, panie Wynnyczenko. Do swoich trzech morgów chcę mieć pańskie trzy. Rachunek prosty. Jak dwa razy dwa... Tato kiwnął głową, że rozumie, ale przy swoim trwał: - Po mojej śmierci - welcome\ Bierzcie sobie ten mórg! Proszę bardzo... Trza by było długo czekać, proszę pana, bo stary Wynnyczenko, jak o nim wtedy mówił Wicko, miał ledwie czterdzieści lat. I zdrow był jak rydz. W końcu nic nie uradzili przy tym stole i rozeszli się z niczym.

Następnego dnia przyszedł do nas Misko Zacharczuk i mówi do mego tata: - Wujek! Tak się nie robi. Ludzie widzą. To wasza pierwsza córka, najstarsza, a wy jej jeden mórg ziemi żałujecie? Trza im dać za życia, nie po

śmierci - agitował tak, bo o swoje morgi z Siašką się bał! A jak one były wtedy drogie, proszę pana, to najlepiej świadczy powiedzonko mamci, która często powtarzali: - Gdyby świnia miała morgi, to też by za mąż wyszła... - W końcu tato się zawstydził, ustąpił, wszystko jak to on w żart obrócił: - Niech ta idzie! Inaczej kawalery zamęczą mnie na śmierć i ja żadnej książki w życiu nie przeczytam. Furt im tylko drzwi będę otwierał. A czytać muszę, więc bierzcie sobie ten mórg and „siarap”!

- Shut up! \ Milczeć, tak?

- Ja. Mój tato po powrocie z Kanady często angielskie słówka wracał...

Tak my szybko pojechali do Kopyczyniec do notariusza spisać akt. Ja z rodzicami, a Wicko z matką, Hanušką. Dopiero jak ten kontrakt u notariusza podpisali - ponieśli na zapowiedzi i ustalili z księdzem Mykietinem dzień ślubu w cerkwie.

Nasza cerkwa była grekokatolicka, nie prawosławna, należała do Rzymu, proszę pana, i był taki zwyczaj, że jak Polak żenił się z Ukrainką, to ślub był w cerkwie, a jak Ukrainiec z Polką, to w kościele. Potem decydowały papiery. Jak akt ślubu albo chrztu przesłany został z cerkwy do kościoła - wtedy się było Polakiem. Katolikiem. A jak zostawał w cerkwie - to Ukraincem... Nasze papiery ksiądz Mykietin zaraz przesłał do parafii w Żabińcach i ja została Polką. Katoliczką. Mąż mi podarował w prezencie ślubnym piękną książeczkę do nabożeństwa i Pismo Święte po polsku, wyuczył wszystkich modlitw i pacierzy i odtąd ja już nigdy do naszej cerkwy w Hadyńkowcach nie chodziła.

Zawsze do kościoła...

Nasz ślub w cerkwie wypadł w czwartek 24 czerwca 1937 roku. Czas był krótki.

Tato aż się po głowie poskrobał, jak usłyszał, bo na niego spadał cały ciężar wyprawienia wesela.

Ze Lwowa przyjechała kucharka Stefa, a siostry mamci, Marynka i ciocia KalkaNatałka, zajęły się pieczeniem chleba. Trza go było napić może nie tyle, co u moich synów w piekarni, ale ta dość! One szykowały przyjęcie, a ja się zajęła swoją ślubną suknią. Szyła mi ją krawcowa ze Szwajkowiec, Stefa Słota, a wyprawę druga krawcowa, Teofila Galant, żona naszego dróżnika, Janka Galanta. Janek Galant był hallerczykiem. Znali się dobrze z moim Wiekim, bo razem bili w siatkówkę i piłkę nożną. Galant był odpowiedzialny za stan naszej murowanki, która biegła aż do Czortkowa. On tej drogi pilnował i ją naprawiał. To byli bardzo miłe, porządne ludzie, te Galanty. I ona fajnie mi tę wyprawę uszyła.

Teraz ten czas przed ślubem nie szedł, a biegł. W przeddzień ksiądz Pawło Mykietin wezwał do cerkwy mego tata, aby podpisał zgodę, na mój ślub. Bo ja wtedy miała ledwie szesnaście lat. Tato podpisał...

Maj i czerwiec to była pora ślubów w naszych stronach. Najbardziej pasowała.

Jeszcze przed zniwami. Wiosna. Wszystko kwitnie, rośnie, zieleni się jak raz czas na młodych. Ten czwartek też taki był. Zielony, kwitnący i w słońcu...

O godzinie dwunastej, proszę pana, zajęła przed nasz dom furmanka z orkiestrą. Grajki wysiadły i ustawiły się rzędem na podwórku. Czekali na pana młodego.

Wicko przybył w asyście dwunastu swach i dwóch głównych starostów na pięknie umajonym wozie - z polską flagą biało-czerwoną. Za nim jechało dwanaście fur gości. Ukraińcy mieli na swoich wozach sino-żółte flagi, a Polacy, jak Wicko, biało-czerwone. Na ich widok orkiestra zagrała marsza. Moja mamcia i ciocie popłakały się ze wzruszenia. Wreszcie mamcia otarli łzy i mówią do mnie: - Proś drużki i wychodź witać młodego i gości!

Ja tak zrobiła. Na progu moi rodzice stali. Mamcia z chlebem, tato z

kieliszkiem wódki i pięknie gości do środka zapraszali. Tam już wszystko było...

Wnieśli korowaj - wielki pleciony kołacz weselny z drożdżowego ciasta na dużych, blaszanych formach - i na stół kładą. Ten kołacz mamcia sama piekła specjalnie na mój ślub. Na stole już lekkie przekąski były. Galaretką z zimnych nóg, kiełbasy. Chleb i wódka. W czasie gdy goście zakąszali - mnie koronę z mirtu pletli...

Ja sama wyszła przebrać się w swoją ślubną suknię. Kiedy wróciła, to siostra Wicka, Józka, podała mi piękny bukiet z muszkatelem, pelargonii hodowanych w ogrodzie. Drużki chwyciły mnie na ręce i poniosły na krzesło z wysoko ułożonymi poduszkami. Na tych poduszkach mnie posadziły. Na głowę nałożyły koronę uplecioną z mirtu. Z paroma wstążkami. Nad tę koronę drużbowie nadstawili duży talerz i przyśpiewkami zaczęli wywoływać rodziców, krewnych i gości, by kolejno rzucali na ten talerz datki dla młodych. Orkiestra cały czas grała.

Na ostatku do tego talerza podszedł mój Wiko. Wolno sięgnął do portfela i sypnął z niego całą garść grubych banknotów. Gości aż zatkało.

- Ta tyle?! - zdziwili się.

- A one gdzie pójdą?! - krzyknął. - Ona dla mnie tak droga, że ceny ustalonej dla niej nie mam! - i pocałował mnie jak wszyscy. Bardzo się to gościom podobało, ten jego gest.

Drużbowie znad głowy mi ten talerz zdjęli, a drużki zsadziły z poduszek. Na środku pokoju czekały już na nas dwa krzesła. My na nich siedli, a moi rodzice i matka Wicka, Hanuśka, wzięli ten duży kołacz i z nim stanęli przed nami. My się pokłonili nisko, pocałowali ten kołacz i ręce rodziców, a oni nas pobłogosławili. Potem wolno wyszliśmy z domu.

Na progu mamcia w kożuchu odwróconym futrem na wierzch pokropili na wodą święconą. Jak pokropili, to drużbowie wzięli mnie na ręce i

posadzili n pierwszej furmance. Mamcia teraz chodzili między furmankami i sypiąc ziai nem pszenicy powtarzali: - Żebyście ta nigdy w życiu głodne nie byli!

Wicko siadł na drugą furmankę ze Stefka, córką wujka Hryćka Nawrockie go, i Hanią Zacharczuk, córką wujka Mykoły i cioci Marynki Nawrockiej, sio stry mamci...

Zwykle w drodze do cerkwy kobiety na wozach śpiewały, ale Wicko surc wo im zabronił.

- Żeby mi baby nie zawodziły! - rozkazał i one tego rozkazu usłuchał) Żadnych śpiewów nie było, tylko orkiestra cały czas fajnie grała...

Ponieważ ślub był w cerkwie, ksiądz Mykietin nałożył nam korony na głó we. Chór pięknie śpiewał, a na organach grał Stepan Żurba. Ja się bardzi wzruszyła, proszę pana, bo to było moje pożegnanie z naszą cerkwą. Wiece już ja tu nie miała przyjść. Te organy ufundował wujko Anton Zawerucha, ja wrócił z Kanady do Hadyńkowiec. I Stepan Żurba pięknie na nich grał. Aż z serce ściskało.

Po ceremonii ślubnej Wicko przytulił mnie mocno i powiedział: - Taka to moja mała żona. Teraz już jesteś moja, Ołdziu...

Wtedy przy studni z tym koniem Jackiem w placki nigdy nie myślała, że tei wargaty chłopak w pumpkach będzie moim mężem. Gdzie ta! A teraz tak m się podobał. Dziwne, co? Ale tak było...

Po ślubie, jako młoda para, wracaliśmy już jednym wozem. Na progu znów witali nas rodzice chlebem i solą. Jak goście weszli do środka, to tata często wał ich wódką i prosił za stół. To już była czwarta godzina. A na stole pełni dań.

Przede wszystkim duszenyna po naszymu, duszone mięsa. Karmanadli polędwica z kminkiem pieczona w piecu, gulasz z zapiekany m sosem, duzi wszelkich kiełbas.

Jadło się to z chlebem razowym. Olbrzymie bochny mam cia piekli w dużych koszach, posypywali je mąką razową i te bochny po wyjęciu ich z pieca drewnianą łopatką tak fajnie chrupały i pachniały, że hej! Izb weselna pięknie umajona, a wyszorowana podłoga biała jak stolnica!

Po obiedzie mój Wicko wraz z moim tatem bawił gości.

To mojej rodzinie bardzo się podobało, że on taki grzeczny, uprzejmy, d< każdego zagada... Zaczęli mówić, że u Martyna dobry zięć...

Nie wszyscy na mój ślub zjechali. Nie było stryjka Iwanka. Zbojkotowa go, tylko przysłał z Melnicy wyprawę. Był zły na mego tata, że wydał córkę za Polaka. „My powinni przykład dawać, a ty coś zrobił? Durnotę taką!” - pisał w liście.

Mój tato bardzo to przeżył. Najstarszy Iwan, kształcony, adwokat, miał wielki mir zarówno u niego, jak i u drugiego brata, Petra Wynnyczenki, w Kanadzie. Ale co zrobić? Tak było...

Potem stryjko Iwanko się przeprosił i przyjechał do nas ze swą świeżo poślubioną, młodą żoną Jarosława. Ona była dużo młodsza od niego, też po szkołach, z bardzo dobrej, ukraińskiej rodziny Łazarenko. Jej ojciec był znanym profesorem gimnazjum w Kołomyi. Ta stryjanka Jarosława była tak piękna, proszę pana, że ja nigdy w życiu tak pięknej kobiety nie widziałam...

Wujko Antoszko z ciotką Zofką też na moje wesele nie przyszli...

- Pamiętali to „kurze” ziarno...

- Do końca życia mamci tego nie przebaczyli. To prawda - westchnęła...

Strasznego pecha na tym ślubie miała najmłodsza siostra Olgi Wawrow, Ircia - Irka Bodnaruk, która w przeciwieństwie do starszej siostry Olgi, zawsze mówi twardo „matka”, nie „mamcia”. Stłukła kubek - „horniatko”, który stał przy wiadrze dla gości. Matka zaczęła na nią krzyczeć i trocheja „po-szturkała” przy gościach. Ircia tak się tym przejęła, że ze wstydu uciekła i zamknęła w stodole.

Przesiedziała tam cały dzień, tylko przez szparę w deskach obserwując ślub siostry. Widziała jedynie tańczące nogi. Pamięta dużą, białą kokardę Olgi przy sukni do ziemi i jej białe pantofelki. Do dziś do matki ma o to żal. Nie może przeboleć tego stłuczonego kubka, który popsuł jej całe wesele.

- Matka mnie zawsze za kosy targała - mówi Irka po ukraińsku. - Zawsze. Byłe co - to za warkocz i pah-pah! A ja w tej stodole tak płakała. Tak płakała. Tak chciała z nimi wszystkimi być - skarżyła się w swym bungalow w Etobi-coke po sześćdziesięciu latach...

- Moje wesele zaś - mówi dalej Olga Wawrow - szło na okrągło non stop do dwunastej w nocy. Wtedy nadszedł czas, by przytańcować korony z kawalerami, co nie żonaci, i z pannami. Orkiestra grała, a ja swoją koronę zdejmowała, kładła na głowę każdego kawalera czy panny, okręcała się parę razy i do następnej osoby. Trwało to mnóstwo czasu...

- Ze mną Olha tej korony nie przytańcowała, bo byłam w stodole i sama na klepisku podrygiwałam w takt muzyki. Ale i tak starą panną nie zostałam. Wysłałam za mąż za mojego Antoszka - śmieje się Irka Bodnaruk...

- Kiedy wreszcie wszystkim te korony przytańcowała, proszę pana - mówi dalej Olga Wawrow - to mąż czekał już na mnie w krześle. Drużba zatańczył ze mną jeden taniec i posadził mnie mężowi na kolanach. Mamcia podeszli do nas, wyjęli z fartuszka chustkę, zdjęli mi z głowy koronę, schowali ją do swego fartuszka, a tą chustką przewiązali mi głowę.

Wtedy ja już była mężatka i mogła przetańcować z mężem nasz taniec. Po tym tańcu my już nie mieli tak wiele do roboty. Mamcia powiedzieli: - Dzieci. Wy pomęczone mocno są. Uczta weselna potrwa do białego rana. W domu dla was miejsca nie ma, więc my wam przygotowali spanie w stodole na kuniczynie.

Tam ją fajnie przykryli świeżą pościelą...

W tej świeżej pościeli na świeżym sianie w stodole, proszę pana, my z

Wiekem spędzili naszą noc poślubną. Powietrze było też świeże, pachniało sianem i kuniczyną, tylko ja była bardzo zmęczona. Przytuliła się do mego Wicka, objęła go, i nie wiem ta, kiedy zasnęła.

Rano po śniadaniu mąż mówi: - Jedziemy do mnie do domu...

Mamcia dali nam kołacz na drogę i pojechali my do domu Wicka. Dom Wicka budowany przez jego ojca Teodora stał w środku wsi. Był już stary, ale duży, jeden z większych we wiosce - z drzewa, fajnie rzeźbiony. Bo ojciec Wicka lubił rzeźbić w drzewie. Pełno było tam różnych figurek zwierząt i ptaków, również mebli, które on sam robił. Miał talent do tego...

Na progu czekała już na nas teściowa Hanuśka z chlebem i solą. Ja pochyliła się i pocałowała ją w obie ręce, a ona pocałowała mnie w czoło i pobłogosławiła. Po obiedzie mówię do Wicka: - Musimy znów wracać do mnie, bo ja nie wzięła ze sobą żadnych rzeczy. Nie mam ta nawet w co się ubrać...

No to my pojechali z powrotem do mego tata, a tam moje młodsze rodzeństwo - brat Sławcio i siostra Ircia - doczekać się mnie nie mogli. Wciąż przy płocie stali i nas wypatrywali. Gdy mnie wreszcie zobaczyli, zaraz donieśli wielką nowinę, że pies Nera przepadł. Wystraszył się orkiestry. Jak bębny zawarczały, to on jak ta pognał, to nie wrócił. Dotąd go nie ma. Strasznie się martwili i rozpaczali.

- Nie bójcie się - pocieszał ich tato. - Nera zgłodnieje, to do miski wróci...

A nas zaprosił na kolację, która od dawna na stole czekała. Po tej kolacji wzięłam ze sobą mało rzeczy, tylko troszku ubrania i pościel. Dopiero nazajutrz my przyjechali z Wiekem wozem mnie wyprowadzić. Sławcio od bramy biegł i krzyczał: - Nera wrócił! Nera się znalazł!

Nie musiał krzyżeć, bo Nera obok jeszcze głośniej czekał na powitanie. I podskakiwał z radości... Teraz rodzice powiedzieli: - Bierście

więcej rzeczy - i sami nam na wóz kładli. Mamcia do fury przywiązali obiecaną krowę. Tato wszedł do obory i po chwili wyniósł cielaka. Rzucając go nam na wóz powiedział: - Krowa z domu, to niech i jej ciele idzie...

Ale to nic, proszę pana. Moja ukochana kara klacz Mańka, której mi tato wcale nie dał, słysząc, że my odjeżdżamy, wyrwała się ze stajni i do nas biegnie. Tato otwiera bramę, błogosławi: - Z Bohom, dzieci - a Mańka myk w bramę i już przy nas kroczy. Parska przy wozie szczęśliwa, że znów jest ze mną...

Tatowi głupio było w tak uroczystej chwili się z nią szarpać i nazad do domu wlec, więc powiedział tylko, że jutro ją sobie od nas odbierze. Ale nigdy nie odebrał. Na zawsze mi Mańkę zostawił...

I to był dla mnie największy prezent. Lepszego ja w ślubnym wianie nie mogła dostać, jak tę mojąkarą klacz Mańkę, co z białą gwiazdką i Jarkiem na grzbiecie patrzy na mnie teraz ze ściany. Ja nigdy już w życiu takiego konia nie miała, jak ta moja Mańka kochana. Co wtedy tak wiernie po ślubie szła przy moim wozie, proszę pana. I beze mnie nie chciała zostać w domu mego tata...

Leszek przyszedł do matki na Indian Grove w nadziei, że dowie się czegoś więcej o swej rodzinie w Hadyńkowcach. W końcu okazja wielka. Miał przed sobą Jana Korsaka, człowieka, który pamiętał nie tylko jego matkę jako piętnastoletnią panienczkę i jego ojca jako młodego subiekta, ale i dziadka Martyna w pełni sił. Trudno z tego nie skorzystać. Spytał więc wprost: - A jaki był mój dziadek Martyn Wynnyczenko?

- Bardzo przyjemny, świątły gospodarz. I plantator. Jeden z najlepszych w moim okręgu.

W stajni u tatusia pamiętam piękne, zarodowe konie... Krowy też rasowe, kolczykowane, każda z rodowodem. To już było nowoczesne rolnictwo. Obliczone na zysk. Gnojownia pod dachem, żeby nawóz się nie

marnował, ścieki z obory i stajni odprowadzane do specjalnej studzienki. Podłoga podwójna. Wyżej deski, niżej cement. Odchody miały więc swe ujście i bydło stało w suchym. Te ścieki ze studzienki wybierano do dużej beczki na specjalnym wozidle i podstawiano pod plantację tytoniu...

- Ja - potwierdziła pani Olga. Tato porobił takie długie rurki z dziurkami, puścił je między grządki i te rurki tak fajnie podlewali tym gnojem z beczki tytoń u samej łodyżki. Potem liście były mocne, zdrowe...

- A kiedy pan pierwszy raz ujrzał mego ojca? - spytał Leszek po chwili.

- Chyba w 1936 roku...

- W sklepie?

- Ścisiej - przed sklepem. Jakiś dziadźka z bańką szedł drogą i chłopak przed sklepem kusił go, by zajrzał do środka. A ten potrząsał brodą i mruzczał, że nie może, bo to polski sklep. Bardzo mi się ten młody subiekt spodobał, że on, Polak, tak po ukraińsku zachwala swój towar, i wstąpiłem do jego sklepu zmiasttego dziadźki...

- To nasz Matwiej! - zaśmiała się pani Olga. - Jak on szedł obok sklepu i my go z Wiekiem wołali: - Chodź, Matwiej! Dostaniesz coś! - to zawsze mamrotał: - Swij do swoho. Swij do swoho \ - i szedł do ukraińskiej kooperatywy. My potem to swij do swoho, swój do swego, z Wiekiem za Matwiejem powtarzali. On był troszku myszygene, pomyłony, ten Matwiej, ale swoje ta wiedział...

- I co pan zobaczył w tym sklepie? - dusił Korsaka dalej Leszek.

- Gdybym wiedział, że pan mnie będzie przepytował na tę okoliczność po sześćdziesięciu latach w Toronto, to bym sobie zapisał - zaśmiał się pan Jan. - Ale poważnie, proszę państwa. To był bardzo ładnie urządzony sklep. Z myślą o kliencie. Towar na półkach mądrze wyłożony. Posegregowany. Każdy miał swoje miejsce. O takich sklepach mówiło się przed wojną: szwarc mydło powidło...

Wszystko w nich było. Cykoria do kawy i nafta do lamp, smar do wozów, ser, gwoździe, grabie i śledzie w beczce...

- Pocztowe. Śledzie pocztowe, my ich nazywali. Nie trza ich było moczyć. Od razu dali się jeść. A smaczne! Boże! My ich tyle sprzedawali. Wicko nie mógł nastarczyć beczek z Probużnej. Wciąż za nimi jeździł...

- No, właśnie. Ja go pytałem, jak on to robi, że wszystko w tym sklepie ma. A on mi odparł, pamiętam: - Po półkach się orientuję, panie szanowny. Mam więcej luzu, znaczy towar idzie, trza go do przodu wypchnąć i dopełnić, a mniej chodliwy na tył schować. Proste...

Ruch w tym sklepie był duży. Ich tylko dwoje. Pański tatuś za ladą i ułomna kobieta w kasie...

- Ciotka Józka. Starsza siostra tata. Ona w tym sklepie pracowała...

- Możliwe. W każdym razie obydwójce byli bardzo grzeczni. Doradzali. Bo ten sklep prowadził skup i chłopci przychodzili z towarem. Tatuś od nich kupował. Często jajami płacili. To była waluta wymienna.

- Mój tato mówił, że miał taki chwyt reklamowy. Jajka kupował nie na sztuki, a na wagę. Za kilo płacił więcej i chłopci mu chętniej dostawiali. W ten sposób walczył z konkurencją.

- Q, ja - wtrąciła pani Olga. My mieli ją dużą, proszę pana. Z jednej strony kooperatywa ukraińska, z drugiej strony Żyd Mordko ze swoim sklepem na górze.

Mordko był stary kupiec i od dawna ten sklep miał. Gdy Wicko objął swój, to Mordko się z niego śmiał: - Ty, Wicko, nie tykaj się za handel. Ty w polu siej.

- I jeszcze Wickowi przepowiadał: - Twoja mamę pole będzie musiała sprzedać, by cię z długów wykupić.

Tymczasem mój Wicko tak biznes rozkręcił, że Mordko musiał zamknąć interes i w polu siać...

- A czy w domu moich rodziców pan był? - Leszek zwrócił się do Jana Korsaka.

- Byłem. Tam też była plantacja tytoniu. Pamiętam, że ten dom był blisko rzeki.

Raczej stary. Dużo starszy od domu pana Wynnyczenki. I mniejszy...

- Ta pewnie! - wtrąciła pani Olga. - Dom mego tata przy chatce rodziców Wicka był jak pałac. Dlatego my planowali stawiać swój. Już zwieźli na podwórko materiał. Cegłę, blachę... Gdyby nie wojna, to by my mieli wtedy fajny nowy...

Pierwszym zwiastunem nadchodzącej burzy był wspomniany już mord hrabiego Baworowskiego w kopyczyńskim lesie. Zeznanie świadka, miejscowego chłopca o nazwisku Puk, stało się głośne w okolicy.

- Puk jechał saniami, proszę, pana, i wszystko widział. Hrabia Baworowski był bardzo lubiany. Chamie chodził na ukraińskie festyny i zabawy. Tańczył na nich - opowiada Olga Wawrow.

Wybór padł więc na człowieka Ukraińcom życzliwego, podobnie jak na posła Tadeusza Hołówkę znanego z proukraińskich wystąpień w Sejmie. Ale tacy właśnie ludzie zarówno dla OUN, jak i KPZU¹ byli najgroźniejsi. Choć nacjonałiści ukraińscy od sowieckich komunistów różnili się w celach - metody mieli te same.

Niszczyli każdego, kto myślał inaczej i nawoływał do zgody i kompromisu.

Kolejnymi ofiarami OUN było dwóch pobereżnyków - gajowych w lasach hrabiego Cieleckiego.

- Jednego zabili chyba w 1934 roku, a drugiego później - wspomina pani Olga. - A hrabiego zastrzelił Syniuta. Syniutę złapali, skazali i powiesili w Czortkowie.

A my jako dzieci wołali: - Ty Syniuto! - jak kto co zrobił i był z niego

taki baciarski. Chętny do bitki...

W odpowiedzi na akty terroru, palenie dworskiego zboża i akcje OUN, nastąpiły pacyfikacje ukraińskich wsi i zamykanie prawosławnych cerkwi, głównie na Wołyniu. Bo tu, w Hadyńkowcach i okolicy, na tej jednej ekspedycji karnej w 1919 roku na szczęście się skończyło. Prawosławnych cerkwi nie zamykano, bo ich prawie nie było. Przeważał kościół grekokatolicki.

Na wiosnę 1933 roku Metropolita Andrej Szeptycki², głowa Kościoła grekokatolickiego w Polsce, zorganizował wielką manifestację religijną pod hasłem „Ukraińska młodzież Chrystusowi”. Hadyńkowce wzięły w niej masowy udział. Główne uroczystości odbyły się we Lwowie. Na wzgórzu przed katedrą Świętego Jura zgromadziły się tłumy. Władysław Świątkowski nawoływał młodzież ukraińską do życia w duchu chrześcijańskim, rozwijania własnej kultury i języka, unikania gwałtów.

Mimo kordonu sanitarnego odcinającego ZSRR od reszty świata w Hadyńkowcach wiedziano, co się dzieje za Zbruczem.

1 Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy.

2 Szeptycki sympatyzował z Ukraińską Narodowo-Demokratyczną Organizacją (UNDO), mającą swoją legalną reprezentację w Sejmie. Choć gorąco pragnął niepodległego państwa ukraińskiego i sam walczył o nie na arenie międzynarodowej przez blisko trzy lata objeżdżając w tym celu Europę, Amerykę i Kanadę, po decyzji ambasadorów przyznającej ostatecznie w 1923 roku Galicję Wschodnią Polsce podpisał po powrocie deklarację lojalności u prezydenta Wojciechowskiego i odtąd stał na gruncie praw obowiązujących w II Rzeczypospolitej.

Był często w otwartej opozycji zarówno wobec terrorystycznych aktów OUN, jak i odwetowych akcji rządu.

Już na występach szkolnych w czytelni „Proswity” dzieci recytowały

wiersz, który Olga Wawrow do dziś zna na pamięć: - Tam w Sowitach kraj w ruini Nawet mołytw woroh nie dast!1 - Koniec sierpnia, jak zwykle po żniwach pełno pracy w domu - rozpoczyna kolejną opowieść Olga Wawrow - a tu wpada do mnie na podwórze moja przyjaciółka Milka i woła: - Chodź, Oldziu, ubieraj się, pójdziemy sobie popatrzeć na Ryškę Kapu-styńską...

- A co się stało? - pytam.

- Nie wiem dokładnie - mówi - ale ze szpitala w Czortkowie przywieźli ją konającą i w domu w dwa dni potem umarła...

Więc ja szybko chap-chap ubrała się i idę. A od nas na fulwarek do niej szmat drogi. Ja już była z moim Jarkiem w ciąży, ale co ta! Ciekawa byłam. Czasu po drodze my miały dość, więc pytam Milki, co za powód tej śmierci.

- Jakiś batiaryga z Probużnej do niej chodził i podobno ona z nim była w ciąży.

Próbowała się jej pozbyć, coś się porobiło i wdało się zakażenie. Nie chciała powiedzieć, kto jej to dziecko zrobił, i tak umarła...

Nie wiem, czy to prawda, proszę pana, ale tak we wiosce mówili. Furtkę zamkniesz, języka ludziom nie. Pletli więc sobie. Ja u Ryski na fulwarku nigdy nie była. Dom jej był nowy, blachą kryty, bo ojciec z Kanady dolary słał.

Wewnątrz tego domu było bardzo biednie i pusto. Ryśka leżała pośrodku izby na katafalku. W kącie stało jeszcze jedno łóżko zaścielono wysoko haftowanymi poduszkami. Więcej ja żadnych innych sprzętów nie widziała...

Ryśka ubrana była w białą suknię. W złożonych rękach trzymała bukietek lilii.

Twarz miała siną, jak to po zakażeniu, ale wciąż bardzo ładną. Nikogo z jej rodziny przy niej nie było - ani matki, ani brata, tylko tłum ludzi. Wchodzili i wychodzili. Jak na paradzie. Każdy chciał ją zobaczyć i pożegnać.

Taka piękna, młoda. Wszystkim żal jej było. I ojca, co jak wróci z Kanady już swej jedynej córki nie zobaczy. A bardzo ją kochał. Chciał u hrabiego Cieleckiego, z którym razem ze Słobódki przyjechał, i był u niego forysiem, kupić ziemi, by wreszcie Rystkę jako gospodarską córkę dobrze wydać. A tu taka tragedia.

Drzwi do kuchni były uchylone i Milka, zawsze bardzo ciekawa, otworzyła je szerzej i kiwnęła na mnie ręką: - Chodź, Oldziu, zobaczmy co ta w środku!

My z Milką weszły i ujrzały kuchnię, w której prócz pieca nie było nic. A ona tak czarna i usmolona ta kuchnia była, że ja drugiej takiej w życiu nie widziała. Tak my szybko wycofały się i z powrotem te drzwi przymknęły.

1 Tam, w Sowietach, kraj w ruinie/wróg nawet modlić się nie pozwala.

Po chwili nazad ruszyły na wieś. Milka mieszkała parą domów przede mną, więc wcześniej się. pożegnała.

A ja doszła do mego domu i widzę, proszę pana, że mój Wicko stoi przy bramie ze swoją starszą siostrą Maryją i bardzo przejęci o czymś mówią. Jak mnie zobaczyli - urwali. Miny mieli ponure.

- Co wy tak szepczecie przy bramie?

- Później ci powiem - odrzekł Wicko i pyta, gdzie ja była.

Więc mówię, że poszliśmy z Milką na fulwarek popatrzeć sobie na Rystkę Kapustyńską...

Spojrzeli po sobie i nic nie powiedzieli. Ja jednak od razu wiedziała, że oni przy tej bramie o Ryście Kapustyńskiej cały czas mówili, tylko przy mnie nie chcieli. I urwali...

Tyle Olga Wawrow.

Leszek przypomniał sobie, jak to ojciec jemu przedstawił.

- Jak Ryśka umierała, to przysłała do mego tata swego brata z prośbą, żeby przyszedł, bo chce mu coś ważnego przed śmiercią powiedzieć. Ale mój

tato nie poszedł. Kiedy go spytałem - dlaczego, odparł: - Po co? My wszystko co mieli sobie powiedzieć - powiedzieli. Ja nie miałem nic do dodania. A gdybym poszedł, to wszyscy by mówili: - No, tak. Wicko się w niej kocha i jest z nią. - Honor twojej mamy bym zhańbił. A ja miałem młodą żonę, dom, rodzinę, dziecko w drodze, więc po co?!

I nie poszedł. Na pogrzeb też. Twardego miałem tata - rzekł nie bez dumy.

- Często się zastanawiam - podjął po chwili - po co Ryśka tak bardzo chciała zobaczyć się z moim tatą. Jak pan myśli?

- Nie wiem - odparłem.

- A ja wiem. Ona mu chciała po prostu powiedzieć, że miał rację. Bo miał.

Wszystko dokładnie przewidział. Wiedział, co robi. Mimo że bardzo ją kochał, nie ożenił się z nią. I wiem, że każdy z nas w życiu przez taką Ryśkę Kapustyńską musi przejść. I zdecydować: Wiz czy perewizl Ja też miałem swoją „Ryśkę”. Nic o Ryśce Kapustyńskiej nie wiedząc, postąpiłem tak samo z Yvonne jak ojciec trzydzieści lat wcześniej. To dziwne jak w genach mamy wszystko zakodowane, prawda?

Dotychczasowa hierarchia trwała wieki. Był dwór i wieś. Chłop bacznie podpatrywał pana i chętnie go naśladował. Bez względu na narodowość. Jak Pańko Nawrocki, który jak dziedzic chciał jeździć bryczką...

Śmierć hrabiego Artura Cieleckiego, który przez pół wieku rządził w pałacu i odbudował go po spaleniu przez Rosjan w 1915 roku (w tym samym roku urodził się Wincenty Wawrow i od tego pożaru liczone mu wieki), była dla wsi wielkim przeżyciem. Jeszcze większym stał się przyjazd młodego hrabiego. Był nim bratanek Artura Jerzy Cielecki. Stary hrab legalnego potomstwa po sobie nie zostawił. Natomiast miał aż troje dzieci z ni prawego łoża. Córkę Józkę z piękną Julią Kołpak, służącą we dworze, i dwóch synów.

Wspomnianego już Syniutę z praczką Antoniową i drugiego chłopca którego urodziła mu niejaka Poburkowa, również służąca w pałacu. Jak wid hrabia Artur daleko za pałac nie wychodził. Brał co pod ręką...

- Ta Poburkowa miała już jednego syna, proszę pana - opowiada Oli Wawrow - ale był brzydki i garbaty. A ten hrabiego fajny, ładny. I zdoln Hrabia go wykształcił i ten syn został adwokatem. Po śmierci ojca sędził się spadek z hrabią Jerzym, ale proces przegrał. Po rozprawie poszedł do restauracji, zasłabł i umarł. Ludzie mówili, że z żalu po tej stracie...

Młody hrabia objął Hadyńkowce w 1930 roku, zjeżdżając tu ze swej rodzinnej Słobódki z żoną Zofią z Nałęcz-Skałkowskich i córką Kubą (tak nazywano zarówno we wsi, jak i we dworze).

Młodzi Cieleccy zdobyli sobie sympatię wsi.

- Mój Wicko zawsze chwalił się, że jak hrabia go widział, to wołał: - Serwus, panie Wawrhów! Jak się pan ma, drhogi panie - i podawał mu rękę. Ta „drhogi panie i serhwus” mówił - wspomina pani Olga.

Stepan Bodnaruk opowiadał, że raz krowy mu weszły na pańskie. Hrab jechał konno i to widział. Powiedział tylko: - Nie ukarzę cię, chłopcze, a muszę jakoś wyglądać przed moim gajowym. Daj więc parhę grhoszy księd; na tacę ifertigl Jegopobereżnyki były gorsze. Trza im było dać sztraf, a i to człowiek mó zarobić w mordu - śmiał się.

Młody hrabia przywiózł ze Słobódki własną służbę - mówi pani Olga. Wśród niej był kowal Bruhal. Dworska kuźnia - ważna rzecz dla wsi. Każd (był ciekaw, kto w niej kuje.

- Jasne.

- A Polak Bruhal - ponoć jego ojciec był Bruhl, Niemiec, i tego Bruhla Bruhala zmienił, tak ludzie we wsi mówili - ożeniony był z Ukrainką Niną i nią miał dwoje dzieci. Syna Staszka i córkę Stefę.

Ten syn Staszek był zawodowym, polskim oficerem. Podporucznikiem

proszę pana. I to bardzo podniosło rangę ojcu. Ludziom imponowało, że kiwał ma syna oficera.

To Bruhala wyróżniało...

- Syn oficer, nie żona Ukrainką?

- Żona nikogo nie dziwiła. Małżeństw mieszanych u nas było dość. Cgóry do dołu.

Biskup Chomyszyn przykładem.

- I co wtedy decydowało o narodowości?

- Zwyczaj, proszę pana. Syn dziedziczył ją po ojcu, córka po matce. I Bruhala tak było. On chodził ze Staszkiem do kościoła, a ona ze Stefądo cerkwy.

Ja S tery z matką nigdy w naszym kościele nie widziała. Tak to u nas było, proszę pana. Moja teściowa Hanuśka, chociaż sama Rusinka z domu Hryb, swoich synów Karola i Wicka wychowała na Polaków. I bardzo tego po śmierci męża przestrzegała. Gdy było polskie Boże Narodzenie czy Wielkanoc, zawsze powtarzała: - Muszę ugotować im rosół na ich święto, żeby wiedzieli, że teraz je mają...

Byli na wsi bogacze jak Pańko Nawrocki i bidniacy jak Danyło Wynnyczenko. Ważne jednak, by ten skrawek ziemi mieć. Jak legitymację. Szacunek do bogatej, gospodarskiej córki był tak wielki, że trwał i po ślubie.

- Moja babcia Naścia Wynnyczenko, proszę pana - mówiła pani Olga - do końca życia pytała nas z żalem: - Jak to jest, dzieci? Że wy do swojej mamy mówicie „wy”, a do tata „ty”?

To jasne. Jej synbyłbidniak, aPawlinabogaczka. Teraz jednak, gdy i on po teściu odziedziczył fortunę, miał już inną pozycję. Do tego Kanadyjczyk, bywały w świecie, szybko zdobył mir wśród Polaków i Ukraińców. Z nielicznymi Żydami we wsi, młynarzem Szłomką, Elą Husem czy Jankielem, miał też świetne stosunki.

Podobnie ze sklepikarzem Mordką czy handlarzem Srulem. Często siadywali razem na przyzbie i gadali.

W przeciwieństwie do brata Iwana Martyn do wielkiej polityki się nie pchał.

Wolał spokojnie gospodarzyć na swoim. To kochał najbardziej. Choć bez wykształcenia, swój rozum miał. Z każdej sytuacji wybrnął. Zaradny jak nikt. Z przeczytanych książek też umiał zrobić użytek. Nigdy dowcip go nie opuszczał.

Gdy sąsiedzi ukraińscy skarżyli się na rząd, że nie daje im kupić ziemi, odpowiadał: - To ożeń się z nim. Weź sobie zięcia Polaka i już. Mnie mój Wicko może kupić tyle ziemi, ile tylko zechcę...

Ale nie chciał. Miał jej tyle, że sam ledwie mógł obrobić. Musiał najmować ludzi.

W spadku po teściu Martyn odziedziczył parobka Ładźkę Zygryja. Woło-dymyr on się nazywał, ale we wsi wołano na niego Ładźko lub Chaziaj.

- Chaziaj stąd - wyjaśnia Olga Wawrow - że jak do wsi weszli Moskale, to do jego matki mówili: - Chaziajka dajjajic. - Każda gospodyni była u nich chaziajką.

Ludzie we wsi śmiali się, że na Zygryjkę bez ziemi wołają chaziaj-ka. Jaka ona ta pani! No i została Chaziajką, a jej synowie Chaziaje...

Wiele przezwisk u nas we wiosce było. Bodnarukowa, nie krewna Stepana, przybiegła raz z wielkim krzykiem, że u niej na podwórku jest bomba z wojny, niewypał. Trza go natychmiast od niej wziąć, bo wybuchnie. Strażacy pobiegli i zamiast bomby znaleźli pustą łuskę po pocisku artyleryjskim. Wybuchł śmiech z tego, niewypał był straszny, a Bodnarukowa została „Bombą”. Jej syn Romek zaś - Romkiem „Bombą”...

Zygryj, podobnie jak Wasyl Bazyłykut, był wyrobnikiem, najmował sk ludzi.

Terminował u mego tata. Pojętny był parobek i mój tato bardzo go p lubił. Raz Ładźko przyszedł do niego i mówi, że on chce się żenić z Pawli Kołpak, siostrą tej Julii, kochanki hrabiego Artura, równie jak tamta piękni panny. I Ładźko prosił mego tata, by się zgodził być jego starostą. Tato: zgodził. Już w dniu ślubu, gdy wszystko było gotowe, a panna młoda czeka przed cerkwą, Zygruj zaczął błagać mego tata i swego drugiego świadka, b dzo poważanego we wsi Iwana Firmaniuka, by pomogli mu rozmówić sii księdzem. Ma pięć złotych i myśli, że to na ślub starczy. A księdzem był u r wtedy w Hadyńkowcach, dość krótko zresztą, Stepan Turczyn znany z tego, tego łupił swych parafian. Poszli więc z Ładźką do Turczyna, a on ani chc słyszeć o pięciu złotych. Dwadzieścia żądał. Zygruj tyle nie miał i wpadł rozpacz.

Żaden nie chciał ustąpić... Mój tato widzi, że ze ślubu Zygruja będzie ch ja, bo ksiądz nie ustąpi, a goście weselni przed cerkwą czekają. Chcąc unikr skandalu zaproponował, że oni z Firmaniukiem za Ładźkę założą te piętnaś złotych, a on im potem odda. Ksiądz Turczyn się zgodził i bez żadnych j przeszkód udzielił ślubu.

Ten ślub Zygruj dzielnie spłacił na raty wdzięczny swemu staroście Mar nowi, że mu honor uratował. To potem bardzo zaważyło na życiu mego rm Wicka, proszę pana...

Podobnie ważną rolę odegrała inna pożyczka - tym razem udzielona rod nie Pohoreckich przez matkę Wicka, Hanuśkę, po pamiętnej pacyfikacji ^ przez Polaków w 1919 roku.

Wśród wychłostanych Ukraińców znalazł się Stepan Pohorecki, który stępnie więziony był „Na Brygidkach” we Lwowie. Jego wyjście uzależnić od wpłacenia kaucji 50 dolarów. Rodzina tyle nie miała i zwróciła się o pon do Wawrowych.

Trudno było odmówić pomocy chrzestnemu, który kupił syna Karola i

tak skutecznie chronił go przed złymi mocami...

Hanuśka wysupłała ostatni grosz, część pożyczyła od „kaparników” - /
cia Firmaniuka „Smuczka” i córki Pauliny, którzy świeżo wrócili z Kani z
dolarami, pobiegła do sąsiadów i wręczyła im żadaną sumę. Po wyjści
więzienia Pohorecki przyszedł podziękować za okazaną mu pomoc i od
pieniądze.

Podobnie jak ksiądz Sonewicki czy Iwan Wynnyczenko Stepan Pohore
był budzicielem świadomości narodowej wśród Ukraińców. Prowadził sz” ką
działalność oświatową. W duchu patriotycznym wychował swoich syn<
Myrona i Jarosława. Kształcił ich w gimnazjum, a potem na Uniwersyte< Jego
dom był rodzajem świetlicy, w której zbierano się by podyskutow wysłuchać
odczytu, pożyczyć gazety i książki. A choćby pograć w szachy, których
Pohorecki był wielkim entuzjastą. Uważał, że szachy są szkołą logicznego
myślenia, i chętnie uczył młodych. Jednym z nich był Wicko Wawrow.
Zarażony przez Pohoreckiego szachami - do końca życia pozostał im wierny.
Były jego namiętnością. Kochał w nie grać i wciąż wyrywał się z domu na
małą partyjkę, ku rozpaczy Olgi Wawrow, która z góry wiedziała, że partyjka
będzie wielka. I długa...

Do Pohoreckich Wicko trafił przez brata, który jako chrzestny syn
Stepana, często do nich chodził. Gdy Karol Wawrow zdecydował się
wyjechać do Kanady, właśnie Pohoreccy mu w tym pomogli. Mieli u siebie w
domu cichy punkt przerzutowy, w którym chętnym na wyjazd załatwiali
niezbędne papiery. Wypełniali formularze i zdobywali zaproszenia. Karol
otrzymał je od swej ciotki, Marii Kamińskiej z Winnipegu, o której nigdy nie
słyszał. Ale Pohoreccy kazali mu tak w biurze zeznawać i odpowiednio
pouczyli. Po przyjeździe do Kanady przekonał się, że ta ciotka, którą mu
znaleźli, dawno nie żyje, jest typową martwą duszą, wskrzeszoną dla
urzędników z Immigration Office.

Pohoreccy przyspieszyli mu też paszport zagraniczny. Sprawa była tym pilniejsza, że Karolowi groził pobór do wojska, przed którym chciał uciec. Wezwanie czekało już na niego w RKU. Ale Pohoreccy i tam mieli swoich ludzi, którym udało się to wezwanie na tyle opóźnić, że Karol zdążył wsiąść na statek i odpłynąć. Miał szczęście, bo już wkrótce po jego wyjeździe policja trafiła na ślad tej działalności przerzutowej i postanowiła z nią skończyć. Pohoreccy wcześniej się jednak o tym dowiedzieli i najbardziej zagrożony aresztowaniem Jarosław w ostatniej chwili zdążył się wyniknąć do Kanady. Został tu notariuszem i do dziś żyje w Toronto. On właśnie rozpoczął kanadyjski ród Pohoreckich. Ostatnio, już jako bardzo stary człowiek, odwiedził rodzinne Hadyńkowce.

Fakt, że w 1919 roku wysmagano mu i na krótko uwięziono ojca, pozostawił w nim taki ślad, że do dziś nie cierpi Polaków i nie chce mieć z nimi do czynienia.

Legalna UNDO i podziemna OUN walczyły ze sobą o wpływy w Hadyń-kowcach.

Starsi mieszkańcy wsi, byli wojacy Petlury, skłaniali się raczej ku legalnym formom walki.

Powoływali się przy tym na autorytet kościoła i Władysław Świątojurskiego - Andreja Szeptyckiego, który potępiał terror jako zbrodnię prowadzącą do nikąd.

Działali w „Proswicie”, sportowym „Łuhu”, mleczarskiej kooperatywie. Młodszy, często wykształceni w polskich gimnazjach i uczelniach, byli bardziej radykalni i podatni na wpływy OUN. Nacjoniści negowali całkowicie istnienie państwa polskiego na tych terenach. Uważali je za okupanta. Tylko walkę zbrojną o samostijnu Ukrainu uznawali.

Restrykcyjna polityka lokalnej administracji wzmacniała tylko antypolskie nastroje. Gdy rząd w latach trzydziestych, ulegając cytowanemu

już hasła: „Polska ziemia od polskiego pana do polskiego chłopca”, wprowadził ustawą zabraniającą Ukraińcom kupowania gruntów z parcelacji, dotknęło to boleśnie wielu gospodarzy, którzy jak Pańko Nawrocki czy Martyn Wynnyczenko za zarobione w Kanadzie dolary kupowali od polskich panów wytęsknione morgi.

Scena, którą w domu często powtarzał Wincenty Wawrow, najlepiej ilustruje skutki tej ustawy.

- Raz wpadł do mnie zrozpaczony chłop do sklepu i mówi: Ja ne znalazczo ja je Ukraineć. Ja dumaw, szczo ja tutejszy/...

Dopiero w gminie, gdy chciał kupić grunt, go pouczyli... Pozbawienie go prawa kupna ziemi, na której od wieków żył, uświadomiło mu nagle jego narodowość.

Przed wojną dom Pohoreckich był ośrodkiem myśli narodowej. Tu zbierała się najbardziej ofiarna młodzież, by walczyć o samostijnę Ukrainu. O drogę do celu spierano się. Szczególne spory wybuchały wtedy, gdy Pohoreckich odwiedzał Iwan Wynnyczenko. Jako wzięty adwokat, utrzymywał szerokie kontakty z wybitnymi przywódcami UNDO, posłami na Sejm, parę razy był przyjmowany na audiencji prywatnej przez metropolitę Szeptyckiego i biskupa Chomyszyna, którego znał jeszcze z Hadyńkowic. Świetny orator (w końcu adwokat), miażdżył i wyśmiewał argumenty młodych, szczególnie syna Pohoreckiego, Myrona, który był pod silnym wpływem podziemnej OUN i Stepana Bandery.

Ruch Stepana Bandery wydawał się przegrany. Niczego nie zyskał. Zamach na ministra Pierackiego sprowokował tylko wzmożoną akcję policji polskiej, która wyłapała prawie wszystkich przywódców i pozbawiła partię głowy. Jedni - jak Bandera czy Stećko - siedzieli w więzieniu, inni - jak Roman Szuchewycz czy Nykola Lebed - musieli uchodzić za granicę. A i to ich nie uratowało, jak w wypadku Lebeda, którego sprzyjające niby Ukraińcom

hitlerowskie Niemcy na usilną prośbę rządu polskiego w końcu wydały. W 1936 roku odbył się proces Lebeda.

Został osądzony i podobnie jak Bandera odsiadywał wysoki wyrok.

Paradoksalnie jednak, mimo likwidacji partyjnej góry, na dole OUN działała. Choć głośne zamachy terrorystyczne niemal całkiem ustały, cicha robota w terenie trwała. A nawet nasilała się. Jakby ci działacze na dole czekali tylko na odpowiedni moment. A tym momentem, wiadomo, była wojna. Dom Pohoreckich w zgodnych dotychczas polsko-ukraińskich Hadyńkowcach był tego najlepszym przykładem.

Wydawałoby się, że gdzie jak gdzie, ale tu, ten skrajnie narodowy ruch - głoszący wyłączne prawo panowania jednej nacji i usuwanie siłą drugich, uznanych za śmiertelnych wrogów - nie chwyci. W końcu o czysto rasowego Polaka czy Ukraińca w Hadyńkowcach było trudno. Wszystko w tym tyglu galicyjskim się przemieszało, pożeniło i nawet najbardziej zaciekli nacjonałiści nie mieli pod tym względem czystego sumienia. Ani krwi. Może dlatego byli tak zaciekli. Przynależność narodowa była kwestią wyboru. Kto za kogo się uważał i do jakiego kościoła chodził - tym był.

I w zasadzie ten program OUN w Hadyńkowcach nie chwycił. Zyskał sobie jedynie wąską grupkę zwolenników wśród gimnazjalistów i studentów skupionych wokół Myrona Pohoreckiego. Reszta wsi była obojętna. Tutejsza. A powszechne potępienie Syniuty i wołanie przez dzieci: „Ty Syniuto!” zamiast: „Ty bandyto!” - też o czymś świadczyło.

Trzon tej inteligentnej grupki stanowili: Jarosław Węgier, starszy brat Zenka, co przynosił biały bez Oldze Wawrow, syn „presiaźnego” Nykoły, Ste-fa Bruhał, siostra Staszka i córka kowala Bruhala, Myrosław Bodnaruk, najstarszy brat Stepana z Toronto, wreszcie Nykoła Kozak. Wokół nich kręciło się paru młodszych chłopców wiejskich, takich jak: Wasyl Doczak, Romek „Bomba”, czy Dyżko Nenczyn.

Przywódcy tej grupki nie wciągali ich jednak do swych ideowych sporów wiedząc, że nie dorastają do nich poziomem, nie są po prostu partnerami w dyskusji.

Pasjonowała ich wtedy teoria. Artykuły w „Surmie”, programowa książka Dmytry Doncowa Nacjonalizm czy wreszcie Uchwały Wielkiego Zboru Ukraińskich Nacjonalistów. Zastanawiali się, czy tak ostro sformułowane tezy o przegnaniu wszelkich „zajmańców”¹ i karanie śmiercią hruni, zdrajców narodowej sprawy, są niezbędne. Pod tym względem różnili się. Co do jednego byli zgodni - że niepodległość Ukrainy można wywalczyć tylko z bronią w ręku. W walce zbrojnej. I szykowali się do niej apelując do serc tych chłopców, którzy akurat to hasło świetnie rozumieli. W końcu nie trzeba wyższej szkoły, by zabijać...

W tej agitacji przodowała Stefa Bruhal. Jej celne dowody były jak młot kowalski.

Nie darmo była córką kowala. Z czasem stworzyła wokół siebie małą ideową kuźnię, w której wykuwała przyszłe kadry OUN. Dla Bruhala i jego syna fanatyzm ukraiński Stefy był prawdziwym ciosem. Szczególnie ojciec, stary legionista, ulubiony kuźmistrz hrabiego Jerzego - nie mógł tego przeżyć. Wciąż dochodziło do ostrych starć z córką. Skakali sobie do oczu. Było to tym przykrzejsze, że podobni byli do siebie bardzo. Obydwoje jasnobloni, o dumnej, lekko wypchniętej górnej wardze, która ojcu przydawała charakteru, a córce seksu. Przystemplował ją bardzo. Tylko smoliste, skośne oczy i ognisty temperament po matce wskazywały na gorącą, młodojęcką krew. I tu był ten paradoks, ten ponury żart genów, że smagły jak matka Staszek był polskim oficerem, a pszenna, tak polska z urody Stefa - ukraińską nacjonalistką.

W dzieciństwie kochali się bardzo i starszy Staszek opiekował się młodszą siostrą. Z czasem zmieniło się wszystko. Teraz traktował ją jak obcą i o waż' Tak nazywano tych, którzy zajęli ukraińskie ziemie.

nych sprawach, czy nawet głupstwach przy niej nie mówił w strachu, że zar; przekaże swoim. Odkąd kiedyś zginęła mu z domu instrukcja piechoty - n miał do niej za grosz zaufania. Był pewien, że to jej sprawka.

Gdy Stefa kłóciła się z ojcem, a matka stawała po jej stronie cicho wtórując, stary Bruhał dostawał szału: - Obieście rezunki! Hajdamaczki! A ty najgorsza Nina! Bo tak ją wychi wałaś! - i już zrywał się z ławy gotów walnąć żonę, gdy Staszek osadzał j ostrym rozkazem: - Siad! Siad, ojciec! Spoczniej! - i stary posłusznie siadał. Jako plutonów rezerwy przywykł spełniać rozkazy. Własnego syna też. Ścisnął tylko swo olbrzymie kowalskie pięści i grzmiał bezsilnie: - Uch. Załukłbym, ścierwo. Załukł! Jak bym walnął...

- Ojciec wali w kowadło. Tłuc żonę każdy bałwan potrafi. Nie sztuka...

Pod tym względem dom Pohoreckich był szczęśliwszy. Tu takich podzi, łów w rodzinie nie było. Panowała pełna zgoda...

Dzięki Stefie Bruhał Pohoreccy zdecydowali się wziąć na służbę w żarnie za miskę zupy bękart Zielińskiej, Kornelkę Stefaniuka. Choć biedak był polskiej matki i ojca - fakt ten nie grał roli. Trudno do zaszczutego, bitego p: stosować kryteria rasowe. Albo się nad nim litować, albo nie.

Idąc do Pohoreckich Stefa ujrzała jak trzech krzepkich pastuchów przywii zało Kornelkę do drzewa motuzkami i waliło kamieniami jak do tarczy. Bii dak kulił się i w skrajnym lęku błagał ich swym dziwnym, chrapliwym głosen - Pomyłujcie! Ne byjte! Wony mene wbjut, ludy! - Ale oni nie mieli litości. G< towi ukamienować bękart.

A gdy dręczyli go i poniżali coraz bardziej, Stefa nie wytrzymała. Krzyła najgłośniej jak umiała: - Won od niego, łotry! Bo już wołam policję! Posterunkowy Zięba zare będzie! I zrobi z wami porządek!

Przelekli się i uciekli. Podeszła do niego. Wciąż był w szoku. Drżał i w^chrapywał z siebie jakieś słowa. Odwiązała go szybko. Wstrząśnięta tą be:myślną, okrutną zabawą poprowadziła za sobą. Szedł posłusznie jak pies..."

Pohoreckich opowiedziała wszystko. Wynieśli mu miskę zupy. Rzucił się r nią łapczywie siorbiąc głośno. Ręką wyławiał kartofle i łykał nie gryząc. W dać, że dawno nie miał nic w ustach.

Odkąd umarła mu matka, nikt się nim nie zajmował. Jeszcze za życia ubł; gała księdza, by go wyuczył na diaka. Śpiewałby wtedy w cerkwi. Choć krzj wy i brzydki - miał piękny głos po ojcu. Ten Stefaniuk był wędrownym gra kiem.

Jeździł z harmonią od wsi do wsi i koncertował. Nadstawiał potem kc miniarski cylinder i panny rzucały mu parę moniaków na szczęście. On ZE zostawiał im w zamian dzieci nie żądając reszty. Jedną z obdarowanych był praczka Zielińska.

Ksiądz zlitował się nad nią i wziął chłopca. Pech chciał, że Kornelko dostał ciężkiej anginy z dyfterytem, mało nie umarł. Naloty w gardle miał jak śliwki. Stara Zygrjka ledwie go odratowała. Po tej anginie stracił głos. Chrypiał i zamiast śpiewać - charczał. Zachorował podczas mutacji i to też miało swój wpływ. W każdym razie, gdy ten charkot nie przeszedł, ksiądz z bólem go zwolnił. Nic w cerkwi po skrzeczącym diaku...

Kornelko znów został bękartem, a po śmierci matki - sierotą. Los bękartów zaś i sieroty - to już pies na łańcuchu ma lepiej. Przynajmniej za szczekanie dadzą mu budę i miskę. A Kornelko nawet tego nie miał. Jak prosił o zupę, to gnali go precz: - Won ty, krywyj pomiot suczy! Czort, hadyna! - i groźnie chwyтали za palicę. Do ludzkiej pięści więc przywykł bardziej niż do wyciągniętej dłoni. Nic dziwnego, że gdy mu ją Stefa podała - kulił się i czekał na cios. To, że zamiast dostać w mordę został pogłaskany, zszokowało go bardziej niż okrutna gra pastuchów. Do tej był przyzwyczajony od dziecka. Zawsze się z nim tak bawili...

Pohoreccy ze zdziwieniem stwierdzili, że choć ten krzywy Stefaniuk cherlak - pomoc z niego większa niż z innych parobków. Sam się garnie do

pracy, nie trzeba go gnać. Przy tym sprytny. Czego nie da rady ręką, nadrabia głową. Zauważyli też, że słucha ich politycznych sporów i wcale go nie nudzą. W Ste-fę patrzy jak w obraz. Jej słowo jest święte. Ona też to zauważyła i przyniosła mu bukwar¹.

Pokazała litery. Po kilku dniach z dumą odczytał jej tytuł na pierwszej stronie gazety. Wtedy postanowiła go uczyć. Chwytał w lot. Szczególnie historię, której słuchał jak bajki. Losem atamanów kozackich przejmował się bardziej niż swoim.

Życiorysy Petlury i Skoropadskiego znał na pamięć. Nie mówiąc o Chmielnickim, którego wielbił. Był on dla niego wzorem...

Wszyscy coraz poważniej odpowiadali na jego pytania. I zajęli się jego szkoleniem. Okazał się wielce przydatny jako kurier. Szczególnie w chwili gdy policja mocno deptała im po piętach i paru łączników aresztowała. Wtedy spróbowali posłać Kornelkę. Jego krzywa, mizerna postać nie wzbudzała podejrzeń.

Trudno go było posądzić o wykonywanie tajnej misji. Najpierw posłano go blisko, potem dalej. Do Tarnopola i Lwowa. Przywoził z Prowydu dyrektywy, których uczył się na pamięć. Robił to bezbłędnie. Fakt, że może się na coś przydać, sprawiał mu największą satysfakcję. Z wdzięcznością przyjmował pochwały. A już od Stefy szczególnie. Wtedy prostował się cały i rósł w oczach. Twarz mu promieniała i z brzydkiej robiła się całkiem miła. Nawet ładna. Szczególnie płomienny, magnetyczny wzrok zwracał uwagę...

W domu Pohoreckich Kornelko odżył. Nikt mu nie wymyślał od bękartów i nie nazywał krywyjl Był Kornelką. Rzadziej Stefaniukiem.

Kiedy Stefa krzyknęła raz na niego: - Stefaniuk - poprawił ją szybko.

- Wolę „Stepowy” - bąknął. - Bardziej atamański niż Stefaniuk...

1 Elementarz.

Roześmiała się.. Trudno było jej sobie wyobrazić takiego atamana. Ale

on sienie śmiał. Stał dziwnie poważny. Wkrótce zapomniała o całej rozmowie...

- W domu Pohoreckich, proszę pana - ciągnęła Olga Wawrow - Kornelko Stefaniuk miał silne oparcie. Ludzie, widząc, że on tam jest, już go się tak nie czepiali.

Ten dom się nazbyt liczył...

- No, właśnie. I jak to jest? - spytałem - że w tym tak silnie narodowym domu bywał pani mąż. W końcu kierownik polskiego sklepu. Polak.

- Ale miał matkę Ukrainkę. Annę Hryb. Pohoreccy pamiętali, że im pomogła. Brat Wicka, Karol, był chrześniakiem Stepana. A to, że mój tata Martyn, brat stryjka Iwanka, którego Pohoreccy bardzo szanowali, był Wicka teściem, też miało swój wpływ, proszę pana. Tak, że mój Wicko, choć Polak, był dla nich swój, proszę pana...

- Polacy też mogli mieć do męża żal - dodałem. - O to kumanie się z Ukraińcami...

- Niektórzy ta mieli - przyznała. - Ale on miał opiekuna. Posła Piotra Furmaniuka, który mu troszku ojcował. Poseł Furmaniuk bardzo rozwijał spółdzielczość wiejską na tym terenie i to on wciągnął Wicka do tego sklepu i ruchu ludowego. To też ważne, że syn posła Furmaniuka, Józek, ożeniony był z Janka, siostrą matki Filki Kostiw, z którą Wicko chodził...

- No, właśnie. I Kostiwowie się na Wicka nie zgodzili, a na Józka tak. Przecież Józek Furmaniuk też Polak!

- Jak Furmaniuk, to musiał być Polak. Ukrainiec byłby Firmaniuk. Tak jak Mielimaki - Polacy, a Mielimuki - Ukraińcy. Ale znów Rasiewiczze byli u nas i Polacy, i Ukraińcy. Po nazwisku nie poznał. Z Furmaniukami zaś proste. Moja najlepsza przyjaciółka Milka była Firmaniuk. Ukrainka.

- I Kostiwowie syna polskiego posła chcieli?

- Nie Kostiwowie, a Rasiewiczze, proszę pana. Janka z domu była Rasie-

wicz, jej ojciec Polak. A matka Ukrainka Kateryna Kinasz. Z Kinaszem Ukraincem miała starszą córkę, matkę Filki Kostiw, a z Rasiewiczem, drugim swoim mężem, Polakiem - Jankę. I Janka była Polką, a matka Filki Ukrainka. Tak, że Kostiwowie nic do Janki nie mieli.

Furmaniuk stał w jawnej opozycji wobec rządu. Wiele rzeczy krytykował. Przede wszystkim brak reformy. Parcelacja dużej własności ziemskiej, jego zdaniem, rozładowała by biedę na wsi i wstrzymała chłopów przed emigracją za chlebem.

Głośno protestował przeciwko pacyfikacjom i ekspedycjom karnym, zmienianiu na Wołyniu cerkwi prawosławnych w kościoły i nawracaniu ludzi na siłę. - To psuje jeno krew i przysparza nam wrogów - mówił. - Ukrainiec nie może kupić ziemi, a nasz kolonista dostaje ją za darmo! Jego jaja dla państwa są droższe niż ukraińskie. Płacą mu za nie więcej. A sobiepanstwo po urzędach?! Przyj dzie nam płacić za tę państwowotwórczą działalność naszych panów starostów. Wystawi im ten lud rachunek! - przestrzegał.

Furmaniuk współdziałał w Sejmie z posłami ukraińskimi i razem gasił pożary na tych terenach. Przestrzegał wyborców przed nielegalną drogą. I spiskowaniem.

Zdawał sobie sprawę, z agitacji OUN i KPZU i starał się temu zapobiec. - Nie daj Bóg ruchawka, czy wojna! Z miejsca podniosą łeb. A pan Hitler nie śpi. Ten drugi drań za miedzą też! - wskazywał ręką na wschód.

Wicko często cytował jego sądy na dowód, że nie wszyscy przed wojną byli ślepi i nie widzieli zagrożenia. Furmaniuk widział. Był za rządem zgody narodowej, z udziałem wszystkich stronnictw, jak za Witosa w 1920 roku. - Tylko narodowa jedność nas zbawi! - mówił.

Wicko zgadzał się z nim, tylko uważał, że Stronnictwo Ludowe Furmaniu-ka za bardzo jest chłopskie. Skupia się na problemach wsi, a w mieście przecież też może mieć swych zwolenników. Są sprawy wspólne.

Ogólne...

Wicko jak Furmaniuk widział mnóstwo krzywd i niesprawiedliwości. Do końca życia pozostał krytyczny wobec sanacji. Sądził tak, mimo że jemu osobiście powodziło się świetnie. Miał przed sobą najlepsze widoki: dużą gospodarkę, którą zamierzał unowocześnić na wzór teścia Martyna. Martyn, podobnie jak jego teść Pańko, znał kanadyjskie farmy i taką w Hadyńkowcach chciał mieć. Był nowoczesnym farmerem, co zauważył Jan Korsak, wchodząc do niego pierwszy raz na podwórze.

W pracy i mowie pozostały mu również kanadyjskie ślady. Jak Pańko Na-wrocki narzędzia nazywał po angielsku. Nie wołał: - Daj mi młotek i gwoździe! - tylko - Ładźko! Hammer i „nejle”! - i Ładźko Zygruj mu ten „ham-mer” i „nejle” podawał.

Kiedy Wicko przyjechał do Kanady, to te angielskie słówka znał od swego teścia z Hadyńkowiec. Można więc śmiało powiedzieć, że obaj z Pańką Nawrockim byli prekursorami amerykanizacji języka technicznego na naszych Kresach.

- Tuż przed wojną, proszę pana - opowiada pani Olga - my mieli się z Wiekiem budować. Zwieźli już wszystko. Wicko zostawił sklep Józce, tylko go doglądał, a sam zajął się gospodarką. Mój tato namówił go, by kupił młockarnię i zniwiarkę.

I Wicko kupił, bo we wszystkim słuchał mego tata. Radził się go jak ojca. Swego ojca nie miał, zawsze do niego tęsknił i stąd do mojego tak lgnął. Tato go też polubił i traktował jak syna. Oni razem tworzyli taką fajną parę. Jak dwa Michały. Wicko za tatem krok w krok. Rozumieli się...

W 1938 roku urodził się nam syn Jarko, który wcale nie miał być Jarko, proszę pana. Mąż zgodnie z tradycją Wawrowych chciał, by pierwszy jego syn nazywał się Teodor. Ale mnie ta Teodor całkiem sienie podobał. Mojej mamci też... Ja nie 1 Od ang. nail - gwóźdź.

chciała, by go we wsi nazywali Łysy Fedko. Nawet z tą czupryną byłby łysy. Nic by mu nie pomogła...

- Czemu?

- Bo jego dziadko Teodor, ojciec Wicka, był łysy. I na wsi wołano na niego Łysy Fedko! Na mego Jarka też by tak wołali. Byłby Łysym Fedką jak jego dziadko. Pan mi wierzy. Ja troszku ludzi u nas we wsi znam. Karolko przecież od małego nazywany był Łysyj Fedko...

- I zmieniła pani na Jarosława?

- Nie ja. Po porodzie leżała w domu. Ale moja mamcia bardzo chcieli Jarosława.

Akurat Jarko zachorował, my się przestraszyli i pospieszyli z tym chrztem. Wicko z mamcia chwycili go i pobiegli do kościoła. Księdza z Żabnic nie było i zdecydowali ochrzcić Jarka w cerkwie. Jak wrócili, to ja się dowiedziała, że mu ksiądz w metryce dał Jarosław Teodor...

- Więc jednak Wicko przypilnował...

- Ale w 1945 roku jak my uciekali z Hadyńkowiec, a Moskale zdążyli już ze wszystkich kościołów metryki wziąć, trza mu było wystawić nową. Ksiądz się spieszył, nerwowy, machnął ręką i mruknął: - Ta jedno imię mu starczy! - i tego Teodora całkiem wyrzucił.

- Tego roku my mieli piękne zbiory i szykowali się stawiać nowy dom - opowiada dalej pani Olga - gdy wpadł mój tato i od progu woła: - Wojna! Słyszałem, jak Hitler przemawiał w Reichstagu! Niemcy przekroczyli granicę na wszystkich frontach!

- Gdzie ta wojna? My fajnie młócimy w nowej młockarni, a tu wojna?!

Z wrażenia wzięłam mego Jarka na kolana, tulę go, i wciąż nie wierzę, by to mogło być. Co prawda ruch we wsi był. Mego Wicka nie wzięli do armii, bo jedyny żywiciel rodziny, ale inni poszli. Dużo młodych z naszej wsi powołano. Staszek Bruhal na ostatnim urlopie w sierpniu mówił, że ich pułk

stoi w koszarach pod bronią i czeka, że go wagonami przerzucą na zachód, bo Hitler wciąż o ten Gdańsk i kurytarz się kłóci i stawia nam ultimatum. Ale my nie Czesi, bez strzału się nie poddamy...

Wpadł do mnie również Stach Kulczycki zza stawów i mówi: - Bywaj Oldziu! Nie wiadomo ta kiedy się zobaczymy, bo stan pogotowia i przepustek nie dają. Opiekuj się Milką - bo oni właśnie świeżo ślub wzięli...

Jak my z Wiekiem z pola wracali, to z dworskiej alei wyjechał na koniu młody hrabia Cielecki, w mundurze i z szablą, zasalutował i też się pożegnał: - Dzień dobrzy i do widzenia, panie Wawrhów! Szczęść Boże!

- Szczęść Boże, panie hrabio - Wicko pokłonił mu się.

- Terhaz ja nie hrhabia, panie Wawrhów, a rhotmistrz 9 Pułku Ułanów. Kula nie wybierha. Na wojnie my wszyscy rhówni...

I pojechał. Jak ruszył na tym koniu, tak już nie wrócił. Jego żona z córką Kubą byli. Ludzie na fulwarku ich widziały - na krótko zatrzymały się u kowala Bruhala. Ale hrabiego nigdy już nie zobaczyli...

Tak więc wojna wybuchła, lecz my jej w Hadyńkowcach nie widzieli. Dalej w polu sobie robili.

Raz nad Kopyczyńcami pojawiły się niemieckie bombowce, przeszły nisko nad koszarami i rzuciły parę bomb koło budki dróżnika pod Chorostkowem. Ale my tego też nie widzieli, proszę pana, tylko za jakiś czas opowiedział nam to dróżnik Galant i ciotka Karolka Rasiewicz, której córka Mańka z zięciem Józefem Antoniowem mieszkała w Kopyczyńcach. Te bombowce na ogonie, dla niepoznaki, miały polskie szachownice, a na kadłubie niemieckie czarne krzyże. Na stacji kolejjarze memu tatowi mówili, że Niemcy w radio chwalili się, że zburzyli nasze węzły kolejowe na trasie Tarnopol, Kopyczyńce, Czort-ków, Zaleszczyki - ale to propaganda i nic takiego nie było...

Do wejścia Moskali był u nas spokój. Tylko na drogach pojawiło się

pełno uciekinierów, którzy pieszo i wozami ciągnęli naszą murowanką na Czortków ku granicy rumuńskiej. Dużo tam było wojskowych i cywilów.

O wejściu Sowietów nikt u nas nie myślał, chociaż w połowie września przyszedł do mego tata poseł Furmaniuk i radził, by w razie gdyby Ruscy przyszli, mój tato uciekał.

- Oni w pierwszym rzędzie na petlurowcach będą się mścić - mówił. Mój tato machnął ręką: - Ja prosty wojak, niech raczej pan, panie pośle, ratuje się i na rumuńską stronę uchodzi...

- Ja?! - krzyknął Furmaniuk. - Ja choć Piotr - nie łotr, panie Wynnyczenko! Jak ta sanacyjna klika! Jak oni nas, ludowców, traktują? Gorzej niż was, Ukraińców!

Co zrobili z naszym sekretarzem PSL Musiałem, znanym osadnikiem i jego gospodarką? Zajechali niby to szukać broni, sterty zboża rozrzucili, dom skotłowali, a samego Musiała na policji tak pobili, że ledwie wyżył. Moja interwencja w Sejmie nic nie dała. Komisarz dalej się panoszył, dopiero teraz wieje... - Ja na własne uszy słyszała, jak Furmaniuk to mówił do mego tata, proszę pana. I to prawda.

Mój Wicko, jako kierownik sklepu, często jeździł do składnicy Kółka Rolniczego do Kopyczyniec. Raz przed Zielonymi Świątkami obchodził sklepy po towar.

Policjant znał go, że on z PSL, ludowiec, zatrzymał i zaciągnął na posterunek.

Tam komisarz zaczął mu wmawiać, że on przed wyborami agituje. Wicko bronił się: - Ja za niczym nie agituję, panie komisarzu, a za towarem do mego sklepu jadę!

Jaz nic nie winien, a wy mnie zamykacie. To niesprawiedliwe. To nie jest demokracja, panowie...

- Demokracji ci się zachciewa? To idź tam! Za Zbrucz! Jak ci się nasza

Polska nie podoba. Tam ci dadzą demokrację! - wyśmiał go.

A nie podobało mu się wiele. Bo on zawsze z biednymi był. Ten mój ^ko. Za traktowaniem wszystkich równo. Często dawał za przykład egzek row podatkowych.

- Raz biedna kobieta, wdowa, nie miała czym płacić, to egzekutor zaje furą, wyniósł jej z chałupy wszystko, nawet poduszkę brudną z łóżka ścia i kazał wykupić za cztery złote. A jak hrabiemu Cieleckiemu, który zalegL duzo więcej, lokaj doniósł: - Panie hrabio, egzekutor za podatkiem przys - to hrabia zły, że mu śniadanie przerwał, wyskoczył przez okno na og chłopa w pysk prask, aż mu czapka zleciała, egzekutor w nogi, a dług urno, no. To prawo bezprawia, nie sprawiedliwość. Taka to równość - powtarz, - A to prawda, bo lokaj hrabiego mu to mówił. Za zadrypaną poduszki zdarli cztery złote, a setki złotych hrabiemu Cieleckiemu darowa O wojnie z Rosją też mój tato pierwszy doniósł. Naczelnik stacji na kraj tałkowym radiu złapał odezwę prezydenta Mościckiego i ruskiego komisa Mołotowa, powiedział tatowi, a tato nam.

Potem z kukurudzianników zaczęli zrzucać ulotki. Mój Wicko na polu I schował się pod wóz i gdy samolot przeleciał, to jedną taką ulotkę wziął i pr niósł do domu.

Myją w domu czytali. Rusczy w niej wołali, by za widły bn panów bić...

Wtedy też prezydent Ignacy Mościcki, tuż przed opuszczeniem terytorii Polski, wygłosił przez radio orędzie do Narodu. W tych dwóch odezwać! Mościckiego i Timoszenki zderzyły się ze sobą dwa światy, dwie epoki, d\ kultury i dwie prawdy. Tę z ulotki przyszło nam dopiero poznać.

- Wcześniej jeszcze, przed tą ulotką, zaraz po wiadomości od mego tat; opowiada pani Olga - mój Wicko chciał się upewnić i pobiegł na pocztę, li pocztmistrz Gnach miał już telegram, że Rusczy przeszli Zbrucz i idą na n, Ponieważ za pierwszej wojny brali ludziom bydło z pól, ja pobiegła szybko

naszej Kseni, by czym prędzej przygnała je do nas.

Ledwie wyszła przed dom Pohoreckich, proszę pana, a tam jakby huraga Rój dzieci i krów. Wszystko tłoczy się, pcha w to wąskie przejście. Krzycz; ryczy. Pastuchy nie mogą bydła zagonić, no, rejwach i harmider straszny...

Zdziwiony tym huraganem Stepan Pohorecki wyszedł przed dom, patrzy i to tak, patrzy, i mruży do siebie: - Nimcijidut...

- Ne Nimci - mówię. - Moskali] - Oo?! - stęknął i podrapał się w głowę. Widać nie Moskala czekał i ba dzo się zmartwił.

A tak koło południa będzie, ja ujrzała pierwszy ruski czołg. On sobie tak ji chał z górki po drugiej stronie Niczławy, tak toczył się fajno, proszę pana, kurzu strasznym, bo deszczu u nas dawno nie było. Wreszcie podjechał bliżej, uznał, że przez rzekę nie da rady przejść, trza mu objeżdzać, dał do tyłu i odjechał.

No to ja już wiedziała, że Moskale są w Hadyńkowcach i to wszystko prawda...

Może za dzień jaki, późnym wieczorem, przyjechał stryjko Iwanko i zatrzymał się w domu mego tata przy stacji. Przybył chłopskim wozem. Przebrany. Żonę, piękną Jarosławę, i syna Bohdana wysłał do teściów do Kołomyi na wakacje, a sam pojechał do kolegów adwokatów do Czortkowa, żeby się czegoś nowego dowiedzieć. I tu zastała go wojna. W Czortkowie usłyszał, że Kopyczyńce wzięte, a Ruscy i tam weszli, to postanowił im zejść z oczu i w Hadyńkowcach z bratem Martynem się naradzić.

Stryjko mówił, że jego kolega, ukraiński adwokat Mychajło Roślak powiedział mu, że tuż przed wejściem Ruskich zatrzymał się w Czortkowie Rydz-Śmigły w drodze na Zaleszczyki i spotkał ze swoim przyjacielem adwokatem, którego stryjko też znał. I Rydz-Śmigły w sekrecie wyznał mu, że nie myśli uchodzić z Polski, tylko staje na czele ostatniej linii obrony wzdłuż

Karpat. Tu na Pokucie ściąga całe wojsko, okopuje się i czeka na pomoc sojuszników. Idzie październik, zaczną się deszcze, drogi dla czołgów i niebo dla samolotów nie będą takie łatwe. Był dobrej myśli: - Wytrwamy - mówił. - Jak pod Warszawą w dwudziestym roku. A potem karta wojny się odwróci...

Wicko nie lubił Śmigłego-Rydza, ale wtedy milczał, jak go stryjko Iwanko bronił.

- Co miał robić? On by tę ostatnią linię na Dniestrze tworzył. I bił się. Ja go znam z dwudziestego roku - wołał do tata stryjko. - Gdyby nie bolszewicy, zaraza! Nie udało się nam, Martynku, tej szarańczy w porę zgnieść, gdyśmy z Kamieńca Podolskiego ruszyli na Kijów, to teraz z powrotem do nas przyszła. Nie poparł naród Atamana. Krzyczał, że on z Lachami. A z kim miał być? Z komunistami?! Durni uwierzyli w ich sowiecką Ukrainę. Ziemię i chleb. Będą ją mieli u nas w Galicji też. Zrównają lud pracujący miast i wsi. Nas, Ukraińców, i was - wskazał Wicka i mnie. - Bo choć Oldzia twoja córka, Martynku, a moja bratanica, nie nasza już ona, niestety. Polka. Z Polakiem jest. Ale to nieważne - machnął ręką - teraz wspólny nam grób. Jak Hitler ze Stalinem dłoń sobie podali. Teraz te Stećki i Bandery, jeśli cudem wyszły z polskiego więzienia, wreszcie rozumieją, że ich niemiecka karta psu na budę się zdała. Podobnie jak te wszystkie terrorystyczne zamachy...

Wciąż prosił tata o wódkę. Mamci kanapek nie tknął. Nigdy ja go w takim stanie nie widziała. W tej chłopskiej szubie całkiem nie stryjko Iwanko, z którym my się razem bawili...

Zawsze praktyczny mój tato prosił go, by on czym prędzej do Rumunii uciekał, bo Moskale mu nie darują.

- Tyś, Iwanku, oficer u Petlury, znany adwokat i działacz UNDO - oni wiedzą, kto to Wynnyczenko!

- Ty też Wynnyczenko! - odparł stryjko.

- Aleja chłop, a ty prawnik. A prawnikom oni dadzą swoje prawo. Z

nagana. I ty przed tym naganem wiej, Iwanko! Żeby cię ich kula nie dosięgła, bracie...

Stryjko Iwanko niby się zgadzał, głową kiwał, ale ta nie był pewien... - Bardziej zagrożeni zostają - powtarzał i opowiedział, co słyszał od tego adwokata Roślaka w Czortkowie.

Otóż w połowie września podszedł do Roślaka polski prokurator Władystw Cyżkowicz i powiedział mu tak: „Panie mecenasie. Ja wiem, że wy, Ukraińcy macie do nas żal za naszą politykę. Ja jako prokurator mam czyste sumienie, ak sądzić mnie będą za moich poprzedników. Jako Polaka. Jak pan myśli? Czy w tej sytuacji powinienem się ewakuować do Rumunii? Wraz z żoną i dziećmi?” Zdziwiony Roślak odparł, że on by ta raczej został i nie narażał siebie i bliskich na niepewny los w Rumunii. Ten prokurator się z nim zgodził i dodał „Zdaję sobie sprawę, że w naszym więzieniu siedzi wielu niewinnych ludzi Nie ja ich kazałem aresztować, lecz wojsko. Niemniej są w moim ręku, bo JE mam klucze od tego więzienia. Sytuacja jest niepewna. Jutro mogą tu wejść Niemcy lub Rosjanie. Co by pan zrobił na moim miejscu?”

Ten ukraiński adwokat całkiem zgłupiał, ale w końcu odparł, że on by tL wszystkich wypuścił i już. Z tym się rozstali.

A siedemnastego września z samego rana do kancelarii adwokackiej Roślaka przyszedł ten polski prokurator, Cyżkowicz, wyjął klucze od więzienia w Czortkowie i powiedział: „Panie mecenasie. Daję je panu, a pan zrobi z nimi co chce. Tylko proszę pana w razie wrogich wystąpień Ukraińców wobec mnh łaskawie zaświadczyć o tym i wziąć mnie w obronę. Mnie i moją rodzinę...”

Roślak mu to przyrzekł. A niedługo potem stryjko Iwanko na ulicy spotka jednego ze zwolnionych więźniów, którego bronił w procesie, i ten mu to potwierdził. Że ukraiński adwokat Roślak wraz z polskim dozorcą chodzili kolejno od celi do celi i ich wypuszczali. Roślak jeszcze ostrzegał, by unikał

głównych dróg, bo tam już mogą być Moskale. I nie szli w grupie, by nie zwracać uwagi...

Na razie Moskale nikogo nie aresztowali. Na czele Rewkomu1 stanął miejscowy komunista, malarz pokojowy Lewicki. A na pierwszym ruskim czołgi wjechał do Czortkowa drugi miejscowy komunista - Derkacz. Nasi ukraińscy adwokaci ich bronili w tych procesach, choćby Roślak, i ci komuniści im przy sięgali, że włos nikomu z głowy nie spadnie. - Nowa Ukraina was potrzebuje* i szanuje. Właśnie was, inteligentów pracujących. - Tak wołał Lewicki m 1 Rewolucyjny Komitet.

pierwszym zebraniu w starostwie. I zgłosił Roślaka do nowego Rewkomu. Roślak sam się zdziwił. Ale widać pamiętali, że on ich z tego polskiego więzienia wyciągnął...

- Ja w Melnicy też tych miejscowych komunistów broniłem - ciągnął stryj-ko. - To może nie będzie tak źle z tymi Sowietami, Martynku? I da się z nimi jakoś żyć?!

- Co ty, Iwan?! Oszalał?! Innych za durnych masz, a sam największy! To po coś ty szkoły w Pradze kończył, jak ty ich moskiewskiego bukwaru i polit-gramoty nie przejrzał?! Nie wiesz, że to ich stary chwyt. Zwabić podstępem najlepszych, by potem zniszczyć. Mają pamiętać, żeś ty ich bronił?! Właśnie dlatego cię wsadzą.

I uszanują. Iwan, za twoją dumotę!

- Może ja i durny, Martynku. Zapomniał w naszym sądzie o ich prawie. I naganie.

Może ty masz rację. Naradzę się ze Sławką. Ona tam pewnie już czeka w Melnicy. I może rzeczywiście trzeba będzie wiać za San czy Dniestr. Do Dniestru od nas bliżej - rzekł z pokorą.

Jednak kiedy siedział już na wozie, uśmiechnął się i rzucił: - Strachy na Lachy! Choć ja oficer jeszcze za cesarza i ponoć adwokat, Martynku, teraz ja

prosty, ukraiński chłop, pane. Gido ni czytały, nipsisaty - zaśmiał się i wbił mocniej papachę na głowę. W tej czapie z batem w rękę trudno było w nim poznać dawnego stryjka Iwanka, zawsze w garniturze pod krawatem...

My z mamcią uszykowały mu na drogę jeść, oni się po bratersku objęli, stryjko Iwanko jeszcze tak po ojcowsku klepnął mego tata.

- No, Martynku. Trzymaj się, mały. Dam ci znać, jak wrócę. Z Bohom! - przeżegnał się i machając na pożegnanie tą chłopską czapą ruszył do Melnicy. Jak ruszył tym wozem - tak i nie wrócił. My go już więcej nigdy nie widzieli...

Batku Stalin dawaj mylą, bo wże wuszy mająt kryla! - zaczęła pani Olga.

- Znaczy: „Tatku Stalin dawaj mydła, bo już wszom wyrosły skrzydła?”

- Ja. I drugie powiedzonko ja sobie przypomnęła. Jak z Rosji szedł transport do nas, to my wołali: Spiczka, krupkał, spiczka, krupkał - tak w rytm kół, a jak wracał: - Ring boks, ring boks...

- To znaczy?

- „Zapałki - tytoń, zapałki - tytoń”, a ring boks to skóra, którą z garbarni wywozili. Wszystkiego zaczęło brakować. Wicko, nim jeszcze wymienili złote na ruble, zdążył sprzedać naszego konia za trzydzieści srebrnych złotych. Tego konia kupił u Studzińskich na Zarembie.

‘Najpodlejszy gatunek machorki, którą rosyjscy żołnierze palili w gazetowych skrótach.

Koło młyna Szlomki, gdzie pod dużą olchą grała zawsze orkiestra i my często mieli festyny, teraz Rusczy urządzili wiec i ich komisarz mówił, że pańska Polska się skończyła, a nowa Ukraina przede wszystkim o biednych zadba i ziemię im da.

No to bidniaki się ucieszyły. Widzą, pana w pałacu nie ma, to dawaj! Wszystko „rozkrakali”. Z fulwarku wynosili meble, plusz z kanap cięli w

paski na łąpcie i w tych łąpciach po wsi chodzili...

Moskale na Wygodzie za lasem zaczęli dzielić ziemię. Żyd Szlomko z młyna uciekł, a jego kierownikiem został Wasyl Bazyłkut. Ten sam, który napiwszy się, lubił swoją Helenką potelepać. Teraz dali mu wóz z koniem i jeździł do rejonu ze sprawozdaniem. Ludzie się śmiali: - Wasyl pole przepił i znów pan. Na wozie. Co mu ta pracować! Jak on dziś kołował młyna!

Jego brat Milko, szewc, też buty przestał szyć i zrobił się ważny towarzysz. W Probużnej dali mu biurko i urzędował w mieście, proszę pana...

Ruscy zaraz ogłosili we wsi wybory. Kazali, by my głosowali za włączeniem do wielkiej Ukrainy. Mieli my wybrać swoich deputatów. Punkt urządzili w pałacu Cieleckich. To były moje pierwsze wybory, bo w Polsce ja jeszcze nie miała swych lat. Za młoda była...

W ten dzień zgonili wszystkich na fulwarek, nawet moja sparaliżowana teściowa Hanuśka musiała pójść, dali nam kartki do ręki, kazali szybko wrzucić i takie to były wybory.

Na razie ich żołdacy chwaliły się, że u nich w Sajuzie wszystko jest...

- A pomarańcze też są? - spytała ich Milka.

- Są. Maszyna nafabrykieje produkuje... No to my się tak śmiały z tych fabrycznych pomarańczy... Na mitingu każdy był ciekaw, jak z podatkami. Jakiś bidniak spytał komisarza: - Podatki macie?

- Kakije podatki! U nas nikakich podatkow niet! No, to chłop się ucieszył.

- Widzisz?! - mówi. - Podatków nie ma. Nie to co za Polski...

A potem jak nałożyli kontyngenty, to dopiero zobaczył... Dla nas z Wiekiem to co ta! Odstawić im te pięć, sześć metrów zboża. Ale dla tych, co się tak cieszyli - kłęska. To samo z mięsem. Jak my mieli cielaka czy krowę, to im zagnali na tę „miasopostawkę”. Bo za Ruskich były ziernapastawka i miasapastawka dla derżawy, proszę pana. Ale taki bidniak, co tej krowy nie miał

i za Polski płacił dwa, trzy złote podatku, teraz musiał dać trzydzieści kilo mięsa. A skąd? Trza mu było kupić. Za co? Moskale nie darowali. Jeszcze zboże mokre, złuszczyć je, pomłócić, a już ich agenci zajeżdżają furą i krzyczą: - Dawaj ziarno! - A nie dasz - toś wróg narada i sawieckoj władzi. Sabotaży sta...

1 Kierownik, przewodnicząca, przewodniczący.

Wszystko u nas wykupywali, proszę pana. Raz Żyd w Kopyczyńcach handlował na ulicy. Ludzie go otoczyli. W kramie miał rozłożony siny kamień na dyka babę.

Dziką babę po polsku. Na ziarnie pszenicy, szczególnie jak jest mokra, odkłada się taka czarna głownia, którą my nazywali dyka baba. I ten siny kamień był przeciw niej. Jego się moczyło, on się fajno rozpuszczał i kropiło się nim pszenicę.

Kilogram tego kamienia starczał na zasiew morga pszenicy. My go też z Wiekiem zawsze w sklepie mieli.

I podszedł ruski żołdat, widzi ten siny kamień i pyta: - On charoszyj! - Charoszyj - mówi Żyd.

- To dawaj wsiol - i cały kamień kupił. Na trzy morgi siewu chyba. Upchnął go po kieszeniach w chałacie, wsadził do worka na plecach i poszedł. Nawet nie wiedział na co, ale wziął. Bo był i ludzie brali...

Wtenczas to się zaczęło. Jakie były towary, jakie skóry, jakie żelazo po sklepach, to wszystko jedno wybrali, z magazynów wzięli i wyszło, że nic a nic nie ma, tylko ta spiczka i krupka...

Jan Korsak, który właśnie nadszedł, opowiedział, co działo się po wejściu Rosjan do Czortkowa i ogłoszeniu przez nich wyborów: - Przedwyborczy wiec, proszę państwa, odbył się w największej sali w Czortkowie - w gmachu naszego „Sokoła”.

Przyszło dużo inteligentów ukraińskich ciekawych jak to przyłączenie

do wielkiej Ukrainy będzie wyglądać. Wśród nich widziałem adwokata Roślaka, Elektorowicza, ich wielce szanowanego nestora Gorbaczewskiego i Iwana Hiczyja, świetnego jurystę, wybitnego specjalistę od prawa legislacyjnego. I ten Hiczyj po przedwyborczym spiczu Osałenki, I sekretarza partii w Czortkowie, zabrał głos.

- Dokładnie przestudiowałem ordynację wyborczą - mówi - i brak mi jednego paragrafu. Co się mianowicie stanie, gdy dany kandydat nie otrzyma wymaganej liczby głosów? Tujest chyba jakaś luka prawna, którą należy uściślić...

Wtedy Osałenko na niego wszedł.

- U nas nie ma żadnych luk! - krzyczał. - Nasi sowieccy ludzie są na tyle wyrobieni klasowo, że sami zgodnie głosują na kandydatów komunistycznej partii.

Dziwię się, że tu pada takie nieodpowiedzialne pytanie!

Biedny Hiczyj zapłacił za swą jurystyczną dociekliwość. Bo wkrótce do Czortkowa zjechało NKWD i przystąpiło do aresztowań. Na pierwszy ogień poszli długoletni burmistrz Czortkowa Stanisław Michałowski i prokurator Władysław Cyżkowicz, który posłuchał rad Roślaka i został. Wraz z Cyżkowiczem aresztowano dyrektora szpitala Zawadzkiego, dwóch bogatych kupców żydowskich i znanego lekarza ukraińskiego Petra Sinieńkiego. Szczególnie to ostatnie aresztowanie wzburzyło Ukraińców i dla ugłaskania nowej władzy postanowili w imieniu wszystkich organizacji ukraińskich wystosować kurtuazyjny list do komendanta armii - Timoszenki. Delegacja na czele z seniorem mecenasem Gorbaczewskim udała się do Karpenki, który został hołowu Czortkowa, i uroczyście mu ten list wręczyła. Karpenko przyjął ich nader serdecznie i przyrzekł osobiście przekazać go towarzysowi Timoszence, bo właśnie jedzie do jego kwatery głównej w Monasterzyskach...

Jakież było zdziwienie Ukraińców, proszę państwa, gdy za parę dni w

tarnopolskiej gazecie „Wolne życie” ujrzeli na pierwszej stronie tytuł: Lud pracujący i wszystkie organizacje ukraińskie w Czortkowie witają wejście Armii Czerwonej! Z wielkim kacem udali się o wyjaśnienia do Karpenki, który tym razem przyjął ich zimno i spytał, kogo oni właściwie reprezentują.

- Ukraińskie stowarzyszenia i organizacje - odparli.

- Takich u nas nie ma. Według naszego prawa.

- Jak to?! Przecież nas wybrano legalnie w tajnym głosowaniu...

- Dlatego one są tajne i nielegalne - uciął. - U nas głosuje się jawnie.

Zrozumiano?! I radzę nie dyskutować, bo kto inny z wami porozmawia!

Wiedzieli kto i więcej nie pytali. Szybko wyszli. Wiem to od Roślaka, który tam był. Wyrzucili go już z Rajkomu, ale chwalił się, że zdążył przed tym wprowadzić w szkołach zmianę języka polskiego na ukraiński. Szybko przyniósł do Rajkomu swoją maszynę do pisania i zredagował ten okólnik. Prędko rozesał przez gońców do wszystkich szkół w rejonie. Okólnik dotarł, a Roślak wyleciał. Kiedy zgłosił się po odbiór swej maszyny do pisania sekretarz mu oświadczył: - Wasza maszyna nie jest wasza, lecz nasza. Stała się własnością ludu pracującego miast i wsi i zostanie w Rajkowie... Tak zapłacił za swą nadgorliwość... Jako Polak miałem niejaką satysfakcję - uśmiechnął się pan Jan.

Stepan Bodnaruk opowiedział mi o losie młodzieży ukraińskiej skupionej wokół Pohoreckich.

- Pamjataju, to było w kinci listopada - zaczął po ukraińsku.

Trudniejsze zdania Leszek z matką mi tłumaczyli. - NKWD zrobiło rewizję w domu maszynisty w Sz wajkowcach i na strychu znalazło u niego listę członków organizacji. Na tej liście był mój starszy brat Myrosław Bodnaruk, krawiec z zawodu, Stefa Bruhal, Jarosław Węgier, Wasyl Duszan, no i syn Pohoreckiego Myron. Jego młodszy brat Jarosław mieszka tu w Toronto.

Nikt nie spodziewał się aresztowania i wszyscy nocowali w domu. Po brata zajechali furą we czterech, otoczyli dom i wyciągnęli z łóżka. Nie dali nawet wziąć ciepłych rzeczy, twierdząc, że zaraz wróci. Stefa mieszkała na folwarku u ojca. Bruhala Kacapy z kuźni nie ruszyli, bo ktoś im musiał konie kuć. Ale w kuźni ukrywał się jego syn Staszek, który był ranny. Pod koniec września zbiegł ze szpitala w Kopyczyńcach i wrócił na folwark. Oni go nie szukali, bo przyszli po Stefę. Zrobili tylko w domu rewizję, nic nie znaleźli. Trwało to ze dwie godziny. Na nic zdał się lament matki, że ona niewinna.

- Jak niewinna, to ją puścimy. Nie bojsła - uspokajali ją.

Jak ich tej nocy wzięli, to my zrazu nic nie wiedzieli. Potem ktoś doniósł, że ich trzymają w więzieniu w Czortkowie. Za jakiś czas Pohorecki dał znać z więzienia, że ich mają przenieść i będą gnać przez Szmańkowce. Podał dzień i godzinę. My tam z innymi czekali. Był Bruhal z żoną, pamiętam, stary Ny-koła Węgier, pisarz gminny, bo jego syn Jarko miał tam iść. Kornelko Stefhiuk też z nami stał. Trzymał paczkę dla Stefy, którą bardzo chciał jej podać. Razem z Romkiem „Bombą” przyszli. My czekali parę godzin, nim wreszcie ten konwój nadszedł. Matce udało się flaszką wódki przekupić konwojenta i pozwolił dać bratu jedzenie i kozuch. Brat z tego kozucha bardzo się ucieszył. Zaraz go włożył. Tak ja go wtedy ostatni raz widział. W tym kozuchu. Oś i tak to było, proszu pana - umilkł i otarł chusteczką czoło.

Po chwili zaczął znów: - W tym konwoju Stefy nie było, kobiety widać gnali osobno i Bruhalowie byli bardzo rozczarowani. A najwięcej Kornelko. Płakał. Tę swoją paczkę dla Stefy dał w końcu Myroszce Pohoreckiemu czy Jarkowi Węgrowi. Już nie pamiętam... Potem ludzie powiedzieli, że ich wszystkich aż pod Humań zagnali i tam dopiero rozstrzelali. Stefa Bruhal też w tym Kumaniu zginęła...

- Taak - westchnęła Olga Wawrow. - Czasy były batrackie¹, jak mawiał

Wicko. Dnia i godziny człowiek nie znał...

- A jak było z Furmaniukiem? - spytałem.

- Furmaniuka posła wywieźli pierwszym transportem, który odszedł z naszej stacji w Hadyńkowcach w lutym 1940 roku. Wraz z nim wzięli żonę i synową Jankę. Józek ukrywał się. Chciał się przekraść przez granicę do naszej armii we Francji, ale w Probużnej rozpoznał go jakiś agent i Józka Furmaniuka saniami dowieźli do tego transportu, gdzie był już jego ojciec i żona. Jak go Janka zobaczyła, to z jednej strony zmartwiła się, a z drugiej ucieszyła, że razem w tym wagonie pojedą. Piotr Furmaniuk po drodze w transporcie zmarł, a oni, młodzi, wyżyli.

Józek wyszedł z armią Andersa i był pilotem w Anglii, a Janka wróciła do Hadyńkowic...

Najcięższy los spotkał osadników polskich.

Wiara chrześcijan i Żydów w Galicji była wyjątkowo silna. Rozwijała się tu od wieków. Wśród Ukraińców Kościół grekokatolicki (unicki) był prawdziwą potęgą. Na jego czele od austriackich czasów stał już wcześniej wspomniany Bandyckie.

ny metropolita Andrej Szeptycki¹ - duchowny wielkiego formatu i autorytetu.

Podobnie rzecz się miała z Kościołem katolickim wśród Polaków.

Wincenty Wawrow wspominał w rozmowie zachowanej na archiwalnej taśmie, przeprowadzonej z nim w Związku Polaków w Kanadzie w 1981, że małżeństwo w Hadyńkowcach było tak święte, że jeśli ktoś odszedł od swej ślubnej żony i związał się z nową kobietą, to zarówno ksiądz grekokatolicki, jak i katolicki do domu do niego już nie przyszedł. Był w jakimś sensie wyklęty. Teraz jasne, dlaczego wujko Hryćko uciekł do Kanady przed swą Łupachą. Innego wyjścia nie miał. Byłby przez wieś potępiony...

Jeśli chodzi o ludność żydowską, to właśnie tu, na Podolu, pojawiły się

dwa wielkie prądy religijne - frankizm i chasydyzm.² Istnienie od lat obok siebie różnych wspólnot religijno-narodowych odbiło się w obyczajach i języku. Wincenty Wawrow do końca życia używał wielu słów z jidysz.

Jak ktoś był lekko postrzelony, to mówił na niego myszygene, płaszcz nazywał chałatem, a klikę czy grupę - kahałem... (Oni idą całym kahałem - mówił).

Z chwilą wejścia Sowieców wszystkie te trzy religie i ich duchowni stali się obiektem ostrych ataków i prześladowań. Solą w oku był ukraiński Kościół grekokatolicki i jego przywódca Andrej Szeptycki. Ze względu na sojusz z III Rzeszą, która patronowała ukraińskiemu ruchowi nacjonalistycznemu, nie mogli Szeptyckiego jawnie zniszczyć, prowadzili więc z nim cichą wojnę podjazdową.

Siedzimy z Leszkiem w piekarni w jego biurze i Bohdan Petryk (syn ciotki Irki)

tłumaczy nam list od Bohdana Wynnyczenki ze Lwowa.

„... Kiedy w 1939 roku weszli do nas Sowieci, moja matka była u swoich rodziców w Kołomyi. Bolszewicy z początku nic memu ojcu nie robili, a nawet awansowali go na hołowu w Mielnicy.

Bardzo krótko mój ojciec był hołową w Mielnicy, bo już w październiku go aresztowali w naszym domu. Mnie wtedy było sześć lat.

1 Jako grekokatolicki metropolita lwowski był od 1901 roku faktycznym duchowym przywódcą narodu ukraińskiego. Walczył o jego pełną niepodległość. Robił to w imię latynizacji Kościoła Wschodniego, który pragnął z powrotem złączyć z Rzymem. Dla tej świętej sprawy gotów był poświęcić wszystko. Ścierpieć ataki z dwóch stron. Polaków i Ukraińców. Pierwsi uważali go za renegata, drudzy za Polaka.

2Urodzony pod Borszczowem Jakub Frank pierwsze swoje kazanie o potrzebie połączenia trzech monoteistycznych religii wygłosił w synagodze w

Kopyczyńcach w 1756 roku.

Natomiast twórca chasydyzmu Izrael ben Eliezer urodził się w Okopach Świętej Trójcy, gdzie Zbrucz wpada do Dniestru.

Ojciec zdążył nakryć mnie kołdrą i schować tak, że oni mnie nie zabrali. Tylko ojca. Na drugi dzień przyszli po mnie chłopci i ukryli na wsi. Ani tej wsi, ani nazwisk tych chłopów ja nie parni ętam. Za jakiś czas oni odwieźli mnie do matki do Kołomyi.

Moja matka nigdy drugi raz za mąż nie wyszła i wciąż czekała na powrót ojca. Ona wierzyła, że on żyje. Oficjalnie nie dostała zawiadomienia o jego śmierci. Stale pisała listy do KGB, pytała o los swego męża - a oni nie odpowiadali. Dopiero jak nastąpiła u nas pieriestrojka, to w KGB w Tarnopolu powiedzieli jej, że mój ojciec trzymany był w więzieniu w Czortkowie i potem zlikwidowany. Ale gdzie - to oni sami nie wiedzą, bo w aktach tego nie mają.

Niedawno w nowym USB Ukrainy dowiedziałem się, że oni to aresztowanie ojca w 1939 roku wiążą z przynależnością jego do UNDO. Wtedy wszystkich członków tej organizacji likwidowano..."

Przez chwilę milczeliśmy. Wreszcie Leszek odezwał się: - Ja. Taki był koniec stryjka Iwanka. To jednak nasz dziadek Martyn, chociaż prosty chłop, mądrzejszy był od swego brata Iwana. Przewidział prawo nagana!

CZEŚĆ II O dniach, kiedy Rosjanie ustępowali przed Niemcami, tak mówi Ol, Wawrow swoim śpiewnym akcentem: - Nawiało nam burzę. Ulewa była straszna, proszę pana. Jakby się chmu oberwała.

To było akurat na świętego Iwana - siódmego lipca. Patrzymy Wiekim, a tu Niemcy na komach jadą. Każdy z nich ma po pięknym wian] kwiatów, z sino-żółtymi wstążkami, co im ukraińskie dziewczęta dały. Niei ców nasi Ukraińcy we wsi bardzo witali. Kwiatami i chlebem z solą. Ci Niei cy na tych komach jadą z tymi wiankami i tak patrzą, gdzie by się ta skryć pi dach przed tym deszczem. A my z Wiekim mieszkali w środku wsi, tuż kc

cerkwy, tak że oni innej drogi nie mieli.

Musieli koło nas przejechać. Naś jeden stanął i wskazał nasze podwórko.

Podjechali pod płot, Wicko im brar otworzył i oni sobie tymi końmi wjechali prosto do naszej stodoły. My mii dużą, blachą krytą, nową stodołę, fajnie odylowaną. Ona im się widać spod bała - bo mogli wszyscy się w niej zmieścić.

Pozsiadali z koni i nie bard wiedzą, co z tymi wiankami robić. A u nas przy sieczkarni była taka dłu skrzynia, to oni w tę skrzynię te wszystkie wianki powkładali. Ja do Wic mówię: - Ta ich tyle, że i krowa się naje do syta. - Tak sobie pomyślała, wie pi Bo w tej skrzyni troszku jak w żłobie wyglądały.

Jeden z tych żołnierzy był Ślązak i Wicko zaczął z nim rozmawiać. Ten Śzak popatrzał tak na nasz dom, popatrzał, i mówi do mego Wicka: - Małe te doma u wos są. Jak budki. U nos większa...

Wicko odparł, że matka sama na gospodarce została i nie mogła nowe postawić. A jak my mieli się budować, materiał wszystek już zwieźli, to w szli Rosjanie i prywatne budowy wstrzymali. Kołchoz zaczęli zakładać...

- U nos ni bydzie żadnygo kołchoza! - zaśmiał się. - Niemce nie Rusy. 1S wom doma stawić doma! Nie bójta się! - zapewnił Wick''...

No to my się troszku uspokoiili. Może nie będzie tak straszno. Teścioi Hanuśka, matka Wicka, co znała Niemców z tamtej wojny, jak tych żołn rzy z okna zobaczyła, to też nas pocieszała: - Austriackie gadanie, dzieci. Oni tak tym Hitlerem straszą. Hitler jest z Wiednia, jak nasz cesarz Franz Josef był, i na pewno będzie lepszy niż Stalin. Nie każe nas gnać do wagonów i kołchozów.

A trza panu znać, że nas do kołchozu nie wzięli, bo my mieli za mało ziemi.

Kurkule więc my z Wiekiem nie byli jak mój tato Martyn z mamcią,

których wnet rozkurkulili. U nas nie mówiło się „kułak”, tylko kurkul albo kur-gul, proszę pana. Z ukraińskiego. To Ruscy wołali „kułaki”...

Jak ta ulewa przeszła - ciągnęła dalej - to ci Niemcy sobie odjechali zostawiając te wianki w skrzyni. Ja zaraz odjęła te sino-żółte wstążki: przydadzą się pod pomidory, pomyślała. Fajne do wiązania krzaków. U mnie ta, jak u mojej mamci, nigdy nic się nie zmarnowało, proszę pana...

- Gdyby Ukraińcy wiedzieli, że ich powitalne wianki pani krowy zjadły, nie byłoby fajnie...

- Co by mieli wiedzieć?! Ja ich do moich krów nie prosiła.

A my z Ukraińcami dobrze żyli. Bo choć ja wyszła za Polaka, to moja rodzina bardzo Wicka lubiła. On był popularny ze sklepu, ze wspólnych zabaw, które organizował... A to mu jeszcze pomagało, że on do każdego był grzeczny. Ten mój Wicko. Pamiętam, jak moje ciotki nie mogły się go nachwalić: - Jakyj to dobryj chłopeć - powtarzały - jak idę, to wse skażepomajbi - znaczy wszystko, co wie, opowie. To się bardzo podobało, że on tak starszych umie uszanować. Ukłoni się, czapkę pierwszy zdejmie, zagada. Polak, Ukrainiec - bez różnicy...

Za pierwszych Ruskich to my się starali tę „ziernopostawkę” i „miasopo-stawkę”

im oddać, by się nas nie czepiali. I w nic się nie mieszać. Ja za moją mamcią powtarzała: - Kartofle jeść i siedzieć. To może się tę wojnę jakoś przesiedzi.

Jak tamtą... - Mój tato też tak mówił. Szczególnie po aresztowaniu brata Iwana.

Nie mógł przeboleć, że go wtedy tym wozem z mamcią puścili.

- Popatrz, Pawlinko - powtarzał. Jak to jest?! Ja, prosty chłop, żyję, a Iwan nie...

- Może nie zginął, Martynku - pocieszali go mamcią. - Ciebie też

pochowali w Kamieńcu Podolskim, mówili żeś zmarł na tyfus, czy otruł się gołąbkami, a tyś po roku wyskoczył z za tego wojskowego furgonu. Może i Iwanko wyskoczy...

- I ty tak biadasz, Martynku, a co biedny Alojzek ma powiedzieć?! -
mojej mamci szło o Alojzka Krasnowskiego, proszę pana, syna cioci Anieli Krasnowskiej, najmłodszej siostry Łysego Fedki - Teodora Wawrowa, ojca Wicka.

Aniela z Krasnowskim była w seminarium duchownym, obydwój wystąpili z klasztoru, pobrali się i wyjechali do Ameryki. Alojzek tam się urodził i wychował. Aniela Krasnowska z córką Mańką, która wyszła za Gnacha, we lała życie wśród swoich i wróciła na Tyklówkę, a oni zostali. Krasnowski dbał nią i wysyłał jej pieniądze z Ameryki. Alojzek był marynarzem na statku. A sierpniu odwiedził matkę, a we wrześniu wybuchła wojna i już został...

- Nic mu Rosjanie nie zrobili?

- Ani Rosjanie, ani Niemcy. On był amerykański obywatel, miał zagranic; ny paszport i na tym paszporcie całą wojnę przesiedział u nas na Tyklówce.

Jak Niemcy z tymi wiankami do nas wstąpili, to nasi Ukraińcy z wioski zi brali się u Jurkowskiego, gdzie była Sił-Rada i zaczęli tworzyć swój uriai Chcieli się porachować z Polakami. Mychajło Kozak nie cierpiał Wicka i kro czał, że czas mu połamać kości. Kozak prowadził ukraińską kooperatywę „Si ski Gospodar” i był zły na Wicka, że on w naszym Kółku tak fajno działa, rr wszędzie znajomych i pomógł Kuśnierzowi otworzyć polski sklep Spóźnieb Spożywców „Sноп” obok niego. Wicko jeździł w tej sprawie do centrali „Sp (łem” w Czortkowie. Jakem Firmaniuk też nie lubił Wicka. I oni oba najgłośnn wołali, że trza Wicka zdrowo pobić. Sławko Kostiw, który krył się u nas r wyżce przed ruskim wojskiem, trochu Wicka próbował bronić, ale oni go z;

krzyczeli. Chwycili za palice i szykowali się do nas iść. Jak to Ładźko Zygr usłyszał, to krzyknął: - Co wy powariowali?! Zięcia wujka Martyna chcecie bić?!

To ich ostudziło, ale za to z tej zemsty to od mego tata, od nas i od Dobrzai skiego zgarnęli zboże do ostatniego ziarnka... Niemiecki urzędnik przyjech, z usłużnymi Ukraińcami i zabrali dosłownie wszystko...

Gdy Ruscy uciekli, to na stacji w Hadyńkowcach rozbił się transport beczę ze smarem i wazeliną. Mój tato pomyślał, że mogą się przydać, i kilka tyć beczek stoczył z górki do siebie i schował w stodole. I to nas uratowało. B gdy nam zabrali wszystko zboże i kartofle, to przed zniwami nie było co jeśći Wtedy tato władował te beczki na wóz i ruszył za Zbrucz. Tam ten smar pc wymieniał na kaszę, mąkę i się z nami podzielił. Żarna też, pamiętam, prz] wiozł. Dobrze, że wcześniej przewidział i te beczki ze stacji wziął. Jak je górki toczył to się śmiał: - Jeszcze się zwróć! Kto smaruje ten jedzie. I zwr< ciły się...

Po tej konfiskacie my zmądrzeli. Porobili z Wiekiem i tatem fajne przepi< rzenie w naszych stodołach z podwójną ścianą, by zawsze trochu zapasó1 skryć i drugi raz nie dać się zaskoczyć...

Jak Niemcy weszli, to nasi Ukraińcy byli pewni, że będą rządzić. - Ne di Boh, by my mieli wolną Ukrainę. To by było najgorsze - powtarzali mamcia.

- Dlaczego? - spytałem.

- Mamcia mieli złe doświadczenia z tamtej wojny, kiedy my mieli prze parę miesięcy Ukrainę. Jeszcze przed poznaniem tata i tyfusem. Sama byli r WOJSKO wszysuco rekwirowało. Raz wpadli i z dzieci koszule zdarli, bo trza im było na bandażu. Teraz mój tato mamcie pocieszał: - Nie bój się, Pawlinko. Żadna wolna Ukraina ci nie grozi. Hitler jej nie da.

Choć wielu się łudzi. Trzech naszych durniów wybrało się nawet, by ją

zobaczyć...

Mój tato myślał o Myroszce Bajraku, Wasylu Duszanie i Dyźce Firmaniu-ku, proszę pana. Jak Niemcy pognali Ruskich na wschód, to oni wzięli konie, wóz i pojechali za Zbrucz na wielką Ukrainę posady szukać. Mój tato śmiał się: - Mnie ta miejsce na tej posiadzie zróbcie!

W Husiatynie na granicy zobaczył ich Babyn, profesor ze Lwowa, i próbował wstrzymać: - Dzieci! Co wy robicie?! Aresztują was! Wpadniecie w „chałepę”¹ i nikt was nie wyciągnie. Śladu po was nie będzie - mówił im! - ale oni go nie słuchali i pojechali.

Ten Babyn profesor, proszę pana, był bardzo mądry człowiek. Nasz krewny. Moja babcia Naścia, żona dziadka Pańki, co umarła na tyfus, była z Baby-nów. Ci Babynowie mieszkali u nas przez podwórze, a potem we Lwowie się wykształcili i profesorami byli. Do nas, do Hadyńkowiec, często przyjeżdżali. Jak Niemcy weszli i Ukraińcy zaczęli się przeciw Polakom burzyć, to Babyn profesor co niedziela stawał przed naszą cerkwą i nawoływał do zgody. Mówił, by my się nie dali skłócić. Bardzo mądry człowiek. Niemcy go rozstrzelali. Tak jak Ruscy mądrych nie chcieli...

- No i co z tą dzielną trójką, pani Olgo?

- Za dzień już byli nazad. Konie ziemi nie dotykały, tak oni gnali z powrotem.

Jak mój tato Martyn spytał: - Jak tam Dyżko z moją posadą? Załatwiłeś mi coś? - ten odparł wściekły: - Nie dały żadnej samostijnej Ukrainy. Nic tam nie ma! - i tak się skończyła ich wyprawa za Zbrucz...

- A jak to po przyjsciu Niemców było, pani Olgo? - dopytywałem się dalej...

- U nas na wiosce, proszę pana, nie tak źle. Niemcy specjalnie nie gnietli.

Pozwalali gospodarzyć. Zwrócili memu tatowi ziemię. Kołchoz

rozwiązali.

- Ale hrabia Cielecki do pałacu nie wrócił?

- Hrabia nie, ale hrabina Zofia z Kubą były na fulwarku. Po cichu zatrzymały się u kowala Bruhala. Ludzie mówili, że przyjechały zabrać rzeczy, które on im przed Ruskimi przechował. Ja słyszała też, proszę pana, że im się we Lwowie źle działo i hrabina Cielecka musiała nawet przez pewien czas wszy 1 Kłopot. Nieszczęście.

karmić¹, żeby zarobić na życie. Karmiciele wszy u nas we wsi chodzili z takim pudełkiem przywiązany do ciała i te wszy tam karmili przez gazę. Jak naka mili, to zdawali pudełko i dostawali za to zapłatę. Ludzie we wsi mówili, 2 hrabina też z takim pudełkiem chodziła. Pan wie. Języka jak furtki nie zi mkniesz. Za jakiś czas odjechała z córką Kubą do Lwowa.

A dwór Cieleckich dostał się pod zarząd niemiecki. Szkoła wciąż była \ pałacu jak za Sowietów i ludzie na fulwarku dalej pracowali.

Bruhal w kuźni, ojciec Ryski Kapustyńskiej w stajni. Stary Kapustyński p< śmierci Ryski wrócił z Kanady. To ja panu mówiła. Milko Bazyłykut, prosz pana, z towarzysza znów był szewc. My się śmiali, że musiał Hitler przyjść, b' go z powrotem na zydel wsadzić. Przestał jeździć wozem na zebrania Sił - Rady w Probużnej, tylko znowu buty szył.

- Niemcy mu nic nie zrobili?

- Nie. Cicho na tym szewskim zydlu przesiedział. Dopiero za drugich Ru skich znów za biurkiem zasiadł. Wasyl Bazyłykut też wrócił do młyna. Alt Niemcy nikogo z tych, co pracowali u Moskali, nie ruszyli. Przynajmniej ja nie słyszała...

Trza im było tylko na czas oddać kontyngent. Czasem szylwarek Czy forspan, czyli podwodę. Ale my sobie z tym dawali radę. Młodzi byli. Wicko w gospodarce sprytny był. Wszystko umiał zrobić. Konia podkuć, pług naprawić. A jak nie umiał, to pytał tata. I mój tato mu mówił. Oni się ze sobą

bardzo zgadzali.

Wicko mego tata we wszystkim naśladował. A mój tato był po farmerskiej szkole...

- Nawet Pańko go uznał...

- No, właśnie. Żal, że zbyt późno, proszę pana.

Mój tato dla Wicka taki nie był. Wiedział, jak z nim było. Tak, że my mieli w nim wielką pomoc. Ja mogła iść w pole, bo w domu było komu zostać z chorą teściową Hanušką i małym Jarkiem. Nimi zajmowała się Józka, starsza siostra Wicka...

- Ta, co pracowała w sklepie...

- Ja. Ona w pierwszych latach odchowała mi Jarka. Bo na wsi, pan wie, robota zawsze jest. Jarko u moich rodziców przy stacji też był. Pierwszy wnuk.

Najstarszy, to bardzo go kochali. Jarka zdążyła jeszcze zobaczyć moja babcia Naścia Wynnyczenko, proszę pana... To był jej pierwszy prawnuk. Jarko urodził się we wrześniu 1938 roku, akurat po święcie Matki Bożej, a w tydzień po tym był Czystny Hrest, ukraińskie święto i duży odpust w Szwałkowcach. Babcia Naścia jak raz wracała z niego i wstąpiła do nas odetchnąć. Jak sobie 1 To znaczy była wajglistką, jak popularnie nazywano ten nowy zawód - od nazwiskaslyn-nego biologa, profesora uniwersytetu we Lwowie, Rudolfa Weigla.

Niemcy w grudniu 1942 roku uruchomili pod nadzorem Wehrmachtu Instytut Behringa, który produkował dla wojska szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu. Profesor Weigl dalej prowadził prace badawcze.

pojadła i odetchnęła, to wzięła mego Jarka na ręce i zaczęła bujać. A Jarko jej zsiusiał się po prostu z wrażenia. Babci Naści to jednak nic nie przeszkadzało i ucieszona krzyknęła: - Zuch chlopec! Budę wojak!

- I majorem został.

- Tak jest. Babcia Naścia mu wywróżyła.

Tak, że babcia Naścia zdążyła jeszcze Jarka pobłogosławić, bo może w dwa tygodnie potem upadła w sieni, złamała nogę w biodrze, wdały się komplikacje i wkrótce umarła.

Bardzo ta śmierć była nagła i niespodziewana. Bo do tego czasu babcia Naścia czuła się świetnie.

- Tak, że wojny nie dożyła...

- Nie. Może to i szczęśliwie. Bo potem było coraz gorzej.

- Szczególnie na Zarembie - dodałem.

- Na Zarembie Ruscy Ukraińców nie ruszali. Tylko kolonistów wywieźli. I na ich miejsce sprowadzili Łemków. Ojciec Borysa, Petro Kotański, wtedy z nimi przyjechał. Wielu Ukraińców cieszyło się, że Mazurów wywieźli. Wołali: - Mają Mazury! Jadą z góry na pazury! - i z radością witali Niemców. Ja panu tego nie będę kryć. Witali ich jak te dziewczęta z wiankami, o których ja już mówiła. Podczas tej burzy, co ją u nas wtedy nawiało. W pierwszy dzień po ich wejściu do naszych Hadyńkowiec, proszę pana...

Mój Wicko był akurat u mego tata - opowiada dalej Olga Wawrow - gdy wpadł jak bomba Stepan Pohorecki z Kornelką Stefaniukiem. Świeżo wrócili ze Lwowa, wysiedli z pociągu i po drodze wstąpili do mego tata, który mieszkał przy stacji. Kornelko niósł wielką paczkę, a Pohorecki wołał od progu: - No, Martyn! Ciesz się! Dożyliśmy! Mamy wreszcie wolną Ukrainę! I nasz rząd we Lwowie! Czytaj! - i położył na stole afisz z odezwą. Obydwaj z Kornelką byli tak podnieceni, że sięść nie chcieli.

Zaraz pędem pobiegli na wioskę, by obwieścić ludziom tę wielką nowinę. Ja potem widziała ten afisz przed naszą cerkwą. Ale już panu dokładnie nie powiem, co tam stało...

- Sołtysem u nas we wiosce został Jakem Firmaniuk, średni gospodarz,

proszę pana, który pilnował, by my na czas dali Niemcom kontyngent. Raz, pi1 Chodzi o akt proklamowania państwa ukraińskiego, tak zwany akt 30 czerwca, którego tekst ogłoszony został przez lwowskie radio i opublikowany w ukraińskich gazetach. Szeroko rozpropagowany na plakatach w całej Małopolsce Wschodniej.

jany, wjechał na koniu na nasze podwórko i zaczął wymyślać memu Wickowi: - Ty miałeś zostać moim zięciem, a nie Wynnyczenki! Bo ja miałem się żenić z Pawliną, a nie Martyn! Rozumiesz durniu?! - i gdy Wicko coś chciał rzec, przerwał mu: - A jak nie rozumiesz, Lachu, to ja cię tą lachą nauczę - i zdzielił męża w głowę. - Rób, co każę! - najeźdzał Wicka koniem. - I milcz, bo ci tu przyślę policję i sprawdzimy, co tam masz w stodole. A jak znajdę choć jeden worek ziarna, j eden! - trząśł laską - to marny twój los! Teść cię nie obroni! Ten swy-nopasl Swynopasl Co się na mnie spasl! I wziął mi Pawlinę! Czort! Hadyna \ - i klnąc mego tata w żywy kamień tłukł tą laską o płot.

- To pewnie jako sołtys i pani ojca nękał?

- Eee, nie. Mój tato był bardzo poważany we wsi, zięć Pańki Nawrockie-go, i Jakem się go troszku bał. Więc po pijanemu czepiał się Wicka. Ale mój Wicko umiał sobie z nim radzić...

- I policja wtedy nie przyszła?

- Nie. Chociaż my się bali. Ja już panu mówiła, zaraz na początku jak Niemcy weszli i zarekwirowali wszystko zboże, to my w stodole zrobili podwójną ścianę i tam trzymali ziarno. Taki sam schowek miał mój tato. Jakem Firmaniuk myślał o policji ukraińskiej, którą Niemcy utworzyli, a jej komendantem został Ładźko Zygruj. Ale mój tato pożyczył mu - pamięta pan? - z Iwanem Firmaniukiem, bratem Jakema, piętnaście złotych na ślub u księdza Turczyna i Zygruj się teraz wywdzięczał. Jak się szykowała jakaś akcja, to zawsze mego tata uprzedzał.

A Niemcy czasem nic nie robili, a czasem bez winy karali. Ja panu dam przykład.

Jak Rosjanie uciekli, to w lesie zostawili pełno broni. Między innymi jaszczce, proszę pana. Te jaszczce były z fajnej, grubej blachy i dwóch gospodarzy postanowiło je sobie wziąć. One stały puste bez pocisków armatnich. Więc oni blachę fajnie pocięli i robili z niej parowniki, kotły ze szczelnym wiekiem na paszę dla świń. Jeden z tych gospodarzy, Uhlar, miał konia i tym koniem blachę z jaszczy woził. A drugi, Firmaniuk, mu w tym pomagał.

Ludzie chętnie te kotły kupowali. Pan wie. We wojnę kaźden czepiał się czegoś, by zarobić na ten chleb. Co jakiś czas Uhlar jeździł z synem do lasu po materiał, jak mu się kończył, Firmaniuk im pomagał. Aż wreszcie ktoś doniósł Niemcom i ich złapali. Żandarmi nie uwierzyli, że oni parowniki dla świń z tych jaszczy robią - tylko pytali, gdzie broń i pociski mają. Za partyzantów ich wzięli. W areszcie katowali. Kazali wskazać ten bunkier w lesie. A jak oni mogli go wskazać, skoro żadnego bunkra nie mieli?! Nie mogli. I Niemcy ich za karę, że ukrywają w lesie broń i nie chcą zdradzić skrytki, postanowili dla przykładu rozstrzelać. Wtedy stary Uhlar klęknął przed nimi i zaczął ich błagać: - Zlitujcie się! Syn młody, durny! Jemu ledwie czternaście lat! Nic nie wie! To ja ciąłem te jaszczce na parowniki dla świń! On tego nie umie! Dzieciak! Mnie zabijcie!

W końcu się ulitowali i tego syna puścili. A Uhlara z Firmaniukiem powieźli na nowo budowane lotnisko w Jagielnicy wraz z innymi zakładnikami i tam rozstrzelali. Potem ten syn we wsi mówił, że tylko swemu tatowi życie zawdzięcza. To była taka głupia sprawa ta ich śmierć. My się wszyscy dziwili.

Niemcy chcieli tym odstraszyć ludzi od lasu...

- A partyzantki wtedy nie było?

- Banderowska i sowiecka troszku później nastąpiła. Na razie Sowietci uciekli, a Ukraińcy wierzyli Niemcom i do lasu nie szli. Tylko ten Uhlar z Firmaniukiem...

- A o naszym, polskim, podziemiu pani słyszała?

- Wiem, że z Wiekiem rozmawiał jeden oficer, który przyjechał z Probużnej.

Zamknęli się i coś tam szeptali. On dał memu Wickowi jakieś kartki do czytania.

- Pewnie gazetkę?

- Ja nie pytała. Lepiej było wtedy nie pytać, proszę pana. Wicko tylko potem powiedział, że to z Probużnej oficer. I by ja nie mówiła, że on tu był.

- A jak zwolennicy Stećki i Bandery przyjęli upadek ich rządu? I runięcie swych nadziei?

- Pohorecki ze Stefaniukiem, myśli pan?

- Wszyscy. Dużo ich było?

- Ja wiem? - wzruszyła ramionami. - Chyba nie aż tak. Ale byli głośni, proszę pana. Szczególnie Kornelko Stefaniuk. Wszędzie go było pełno. Gadał na wiecach.

Wskakiwał na beczkę pod olchą koło młyna i czytał odezwy. W wyszywanej ludowej soroczce². Na głowie miał czapkę „mazepinkę” z tryzubem pośrodku i machał rękami krzycząc o samostijnej Ukrainie! Ludzie z niego się troszku śmiali, że tenpokorc i bajstruk Zielińskiej tak się nagle mądruje i wychrapuje jakieś hasła, ale jak zobaczyli, że znani gospodarze, jak Pohorecki, go słuchają i dają się mądrować, to baczniej nadstawili ucha. I on coraz bardziej rósł na wodza.

Przy budowaniu Mohyły Kornelko też się zasłużył, proszę pana. Wtedy, za Niemców, nasi Ukraińcy zaczęli sypać blisko cmentarza duży kopiec ku czci wszystkich swoich pomordowanych za Ruskich. Chcieli mieć

taką drugą Mohylę jak ta tatarska za stawem, która była z daw1 Jarosław Stećko proklamował swój rząd w imieniu Stepana Bandery, nie Adolfa Hitlera. Uzgodnił ten akt ze swym prowidnykiem, nie fuhrerem. Przejmując władze, we Lwowie liczył, że Hitler ustąpi wobec faktów dokonanych. Rozwścieczony tą samowolą fuhrer cały ten rząd kazał aresztować, a jego siedzibę, Lwa-Gród, jako Lemberg wcielić do Generalnego Gubernatorstwa.

2 Koszula ukraińska.

I nych wojen i my dokładnie nie wiedzieli, czy tam leżą Turcy, czy nasi, Polacy...

A ten nowy kopiec sypali we wiosce. Zwołali w tej sprawie wiec i wtedy Kornelko wykrzykiwał: - Ani odnoho koniapolskoho ni chcemy!

Pan rozumie?! Tylko ukraińskimi wozami chciał tę ziemię wieźć. Bez Polaków!

Nawet koni polskich nie chciał. Taki mądry był. Ale co pan chcesz? Studentów i gimnazjalistów - jak Myroszkę Pohoreckiego, Sławkę Węgra czy Stefę Bruhał Ruscy rozstrzelali i wsi przewodził teraz Kornelko, czy Doczak. A do nich doszli jeszcze młodszy, jak Mopsy...

- Mopsy to kto?

- Moi kuzyni bliźniaki. Milko i Iwanko Zacharczuki. My ich tak nazywali. Mopsy.

Synowie wujka Nykoły i ciotki Marynki. Najmłodszy bracia Antoszki, co mnie tak dzielnie pilnował. I Wicko go zwolnił ze służby, pamięta pan?

- Yhm. To te Mopsy przystały do banderowców?

- Tak. Ale później. Za drugich Ruskich. To była tragedia, proszę pana. Ten podział w rodzinie. Ale co robić. Wojna dla takich. Wtedy rosła jak grzyby. I mają swoje wielkie dni. Jak Kornelko! Gdzież ja by na niego przed wojną spojrzęła. On brzydki! - wzdrygnęła się. - A jak stał się tym ich prowidny-kiem, to znaczy przewodnikiem, w UPA, to wziął sobie

najpiękniejszą pannę we wsi. Jak Ryśka Kapustyńska. Smukłą, zgrabną, o głowę od niego wyższą. Z pięknym czarnym warkoczem. On jej sięgał potąd, pokorcz. I co pan zrobi?! Nic. Zakochała się w nim, durna. Patrzyła jak w obraz, wszędzie po tych wiecach wodzili się za ręce.

Wszyscy dziwili się. Co ten bajstrukfy zadał, że ona tak za nim? Głowę całkiem straciła?! Gospodarska córka, z ziemią, i ten bękart Kornelko tak ją zawojował! Ale czymś jej widać zaimponował...

- Co to była za panna?

- Olga Bandura, proszę pana. W końcu wzięła z nim ślub. A gdyby nie wojna, to on by ta nawet nie śnił o takiej pannie. Stary Bandura, Polak ożeniony z Ukrainką, przegnałby go jak psa. Ale wyjechał do Polski...

- A pani mama była z ojcem szczęśliwa? - spytałem po chwili.

- O, ja. Tato kochał mamcie do jej śmierci...

- To znaczy?

- Do kwietnia 1943 roku, bo wtedy mamcia umarli. Ja panu mówiła, że wszyscy Nawroccy chorowali na płuca. Choroba rodzinna. I mamcia też mieli suchoty. Ale nikt nie przypuszczał, że to pójdzie tak galopem. W tydzień. Mamcia od dawna chorowali i leczyli się u doktora Brandmana. Doktor Brandman był znanym lekarzem w Probużnej. On dawał lekarstwa i parę lat było okay. Mamcia pracowali, czuli się świetnie...

Aż pewnej nocy do mego tata do stajni zakradli się złodzieje. Taio był bogaty gospodarz i parę razy już próbowano go okraść. Raz na dach ktoś rzucił siekierę, ale wtedy nic nie było. Dom na pustkowiu, przy stacji, kusił. Tym razem ci złodzieje buchnęli nie w główne drzwi, tylko drugie zaszczipione na zimę. Wywalili je, a tam stał źrebiak. Oni tego źrebiaka wrzucili grzbietem do żłobu, by im nie wadził. I on się w tym żłobie strasznie tłukł i telepał. Moja mamcia usłyszeli to, zbudzili tata i mówią: - Idź Martyn, sprawdź, bo w stajni coś bardzo się tłucze...

Tato wziął lampę naftową i wyszedł na dwór. A do stajni kawałek. W połowie drogi ujrzał złodziei z latarkami. Zaczął krzyczeć. Mamcia okno otworzyli i też wzywali sąsiadów na pomoc. A oni daleko. Do tego środek nocy. Wszyscy śpią. Na szczęście Stach Kostiw wstał za potrzebą i posłyszał tata krzyk. Mówił potem, że to była druga w nocy. Jak posłyszał, to podniósł krzyk: - Już idę do ciebie, Martyn! Idę! - wołał. - Lecę! Gdzie oni?! Dawaj ich! Misko i Zenko z siekierami od pola łapać ich! - powtarzał, choć sam był daleko. Ale ci złodzieje spłoszyli się. Zostawili tata, chwycili tylko oprząz i uciekli...

Jak tato do nas rano przyszedł - to okazało się, że z tego krzyku całkiem głos stracił. A mamcia niby dobrze, wystraszona tylko, a za trzy dni dostali zapalenia płuc. To był kwiecień, noc zimna, w samej koszuli przeziębili się.

Dostali dużej gorączki, zasłabli, trzęsło nią jak w febrze. Tato wziął wóz, pojechał do Probużnej i przywiózł doktora Brandmana. On mamcie dokładnie opukał, dał zastrzyk i jak mamcia go spytała, czy ona z tego wyjdzie, odparł jej: - Ja by się nie nazywał lekarz, pani Wynnyczenko, gdyby ja pani z tego nie wyciągnął. Niech się pani nic nie martwi i leży spokojnie...

Mamcia ucieszyli się, chcieli wstać, ale tata jej nie dał.

A kiedy Brandman wyszedł, to już na wozie, jak wracali, powiedział memu tatowi: - Życie pańskiej żony, panie Wynnyczenko, wisi na włosku. Śmierć tuż, tuż. I ja już nic na to nie poradzę. Niestety...

My nie chcieli wierzyć. Jak ja ostatni raz przyszła, to mamcia siedzieli na łóżku i śmiali się z kawału tata. A potem rzekli: - Idź, Oldziu, tam na ganku jest ryba pobita, usmaż ją, bo szkoda, by się popsuła. Ja by to zrobiła, ale tato mi broni. Cały czas przy mnie wachluje, trzyma za rękę i hołubi w strachu, by ja mu - jak wtedy przed ślubem - nie uciekła. A to nie tyfus, Martynku. Nie bój się. Tak szybko od ciebie nie odejdę, mój wojaku... - I

pogłaskali tata po twarzy. Tato ją pocałował i odrzekł, że on ta wcale się nie boi, tylko mu miło wachlować przy niej jak dawniej.

- To już prawie dwadzieścia cztery lata - rzekł - jak ja od ciebie zmykał na koniu za Zbrucz, Pawlinko. Zostawiając w wianku na głowie. W przyszłym roku srebrne wesele, a ty dalej bez srebrnego włosa. Czarna panna harna.

- E, tam, harna. Sam widzisz, Martynku, jąkają harna...

- Trza będzie te srebrne gody jakoś uczcić...

- Trza - rzekli mamcia bez wiary w głosie i znów do mnie: - Nie stercz, Oldziu, tylko zajmij się rybą i słuchaj, co mówię!

Moja mamcia, jak dziadko Pańko, lubiła posłuch i nie mogła znieść, że w domu się marnuje...

- Ja wzięła tę rybę z ganku - ciągnęła pani Olga - posmażyła ją i spoko poszła do domu. Rano my z Wiekiem robimy między szczepami w ogroc a tu zajężdza wujko Polko Babyn, mąż najmłodszej siostry mamci, Natal mojej ukochanej ciotki Kalki.

On jak raz wiozł obornik na pole przy sta wstąpił do mego tata. I wujko Polko mówi do mnie: - Wiesz, Oldziu, z twoją mamcia źle. Leży cały czas na łóżku i patrz sufit...

To my szybko z moim Wiekiem końmi pognali na stację, a jak przyjęci proszę pana, to mamcia już nie żyli. A mój tato siedział przy niej jak słup. nie mówił, nie słuchał. Ja go takim nie widziała. Był bardziej biały i mar niż mamcia. No to my się wszystkim z Wiekiem zajęli. Przebrali mamcie nie, ustawili katafalek i mój Wicko ją na tym katafalku ułożył. Pamiętarr jak niósł mamcie na rękach - to płakał. To pamiętam. Mój ojciec tak nie kał, jak Wicko. Tato tylko łkał cicho w sobie. Bardzo to przeżył... A tej r co ja nasmażyła, nikt nie tknął, proszę pana. Trza ją było kotom dać.

Dziś myślę, proszę pana, że gdyby ci złodzieje w nocy do stajni nie pi

szli albo gdyby mamcia tego źrebiaka w żłobie nie usłyszeli, to by pewnie 5 Po wojnie suchoty już leczyli. Tato wolałby stracić konie, niż płakać po zo A tak poszło wszystko galopem. Osiemnastego kwietnia, akurat w palm< niedzielę, mamcia umarła.

Wszystko los. Co komu pisane w niebie, proszę pana. My tego nie znimy...

Ciekaw byłem, co Jarek, który wtedy miał cztery lata, zapamiętał. Gdy spytałem, odparł: - Utkwił mi obraz nie tyle babci Pawliny - co wielkich wieńców z j edl które wtedy w kuchni robili. Cięli duże gałęzie i z nich je pletli. Te wieńce brze pamiętam, ale babci ni w zęb. No, tak. Nie będę bujał. Taka jest prav kurczą...

- Przed śmiercią mamci, w końcu lata, pamiętam - mówi znów Olga W rów - przyjechał syn Maksyma Nawrockiego, brata dziadka Pańki, i zdążył; bić nam zdjęcia. Sfotografował wtedy ostatni raz mamcie i pierwszy raz Jark naszej karej Mańce - co tu na ścianie. Po tym zdjęciu, proszę pana, mój Jarko chciał zejść z konia i krzychał wciąż: - Pata-taj! Pata-taj! Ja do lasu chce!

Podskakiwał na Mańce szarpiąc jąza grzywę. Jak ja go próbowała zdjąć wierzgał i nie dał się zsadzić. Wicko śmiał się, że Jarko kiwalerzysta, szwi żer. Nagle Mańka, jakby wiedząc o co chodzi, nie bardzo chcąc robić pata z Jarkiem na grzbiecie, klęknęła sobie jak wielbłąd w ZOO, położyła fajr Jarko z wrażenia zsunął się na ziemię. Nigdy przedtem ani potem tego nie biła. Po czym zerwała się i z wesołym rzeniem wbiegła do stajni. Ja to uznała za dobry znak. I to zdjęcie mi jeszcze milsze. Z tej małej czarno-białej fotografii kazała namalować kolorowe obrazy i one teraz wiszą u mnie i u moich dzieci na pamiątkę. Fotografie zdjęcia na odwrocie poznać, stąd wiem, że to było piętnastego września 1942 roku.

Gdy spytałem Majora, czy pamięta to robienie zdjęć, odparł: - Coś pamiętam, ale jedno wiem. Nim oni mnie na Mańkę chcieli wsadzić, to ja już

na niej siedziałem, kurczą.

- Skacząc z drzewa?

- Skąd! Z ziemi. Dałem jej pojeść trawki, ona nisko pochyliła głowę, ja się chwyciłem za jej grzywkę, z grzywki podciągiem na grzywę i po grzywie pata-taj, pata-taj! A jak Mańka podniosła łeb, to ja się zsunąłem jak po zjeżdżalni i wsio.

Dziwna jest pamięć dziecka. Mały Major całkiem inaczej zapamiętał wejście Niemców niż jego matka.

- Oni byli tacy eleganccy, ogoleni, fajnie ubrani - mówi. - W wysokich butach.

Każdy z nich miał plecak z sierści cielaka, a jak uniósł klapę, to wyjmował z niej brązową, ebonitową puszkę z masłem i czekoladę. A ich samochody z przodu miały koła, a z tyłu gąsienice. Były tak ciężkie, że jadąc po naszej drodze zerwały przed domami wszystkie mostki. Tylko jeden ocalał, bo był z grubych kolejowych podkładów. Wtedy nie mogłem wszystkiego zobaczyć, bo naszą drogę te wozy tak zorały, że gdybym wyszedł, to bym utonął w błocie z głową, kurczą.

Dosłownie...

Obserwując Niemców nisko z ziemi, mały Major widział lepiej niż dorośli.

Dostrzegł od razu nowoczesność i zmotoryzowanie tej armii. Nie konie z wiankami, lecz wozy z gąsienicami.

- W jakiś czas po śmierci mamci, proszę pana - mówi dalej Olga Wawrow - mój tata przywiózł doktora Brandmana i trzymał go w schowku na zboże w stodole przez jakieś dwa tygodnie. Potem coraz bardziej bał się, bo ludzie we wsi zaczęli coś gadać, i załatwił, że w nocy przyjechał ktoś z Czarnokonic i Brandmana wziął do siebie.

Dużo więcej o Brandmanie powiedziała mi siostra Olgi Wawrow, Irka,

żona Stepana Bodnaruka. Odwiedziłem Bodnaruków wraz z Leszkiem.

Po śmierci matki Ircia wraz ze starszym bratem Jarkiem zwanym Sławkiem została na miejscu i widziała więcej od Olgi, co się dzieje w domu ich ojca, Martyna.

Mając niecałe dwanaście lat musiała tam być gospodynią. Od niej dowiedziałem się, że w jakiś czas po doktorze Brandmanie w ich schowku za przepierzeniem zaczęła się ukrywać jego córka i żona Jankiela z czteroletnią dziewczynką.

- Ta córka doktora była młoda, harna panna. Strasznie harna. Chyba Ruta miała na imię...

- W jakim języku ciocia z nią rozmawiała? - spytał Leszek.

- Po polski. Ona mówiła do mnie po polski - odparła i przeszła na ukraiński. - Ja im nosiłam jedzenie, wodę, zabierałam wiadro. One siedziały na wyżce za podwójną ścianą. W rogu stodoły. Pod blaszanym dachem żar był jak w rondlu.

Można się było ugotować. Po paru minutach byłam czerwona jak rak. Powietrze stało. Ciężko było oddychać. One miały miednicę z wodą, moczyły w niej chustki, przykładaly je sobie do twarzy i tak się chłodziły. Ja raz Rucie Brandman powiedziałam, żeby ona zeszła ze mną do chaty się ostudzić. Nasza chata z gliny w lecie była chłodna. Ona się bała, że ktoś ją zobaczy, ale w końcu zeszła. Jak zeszła, to u nas w kuchni była tak szczęśliwa, o Boże! Wciąż powtarzała: - Jak tu u was fajnie! Jak w niebie! Jak w niebie! - i z radości zdjęła z uszu kolczyki, a z palca pierścionek i mi podarowała.

- Masz, Ircia - powiedziała. - A jak przeżyję wojnę, to cię ozłocę za to, że ty taka dla mnie dobra.

Ja ją bardzo lubiłam i wciąż do niej biegałam. No, ale durna, głupia dytyna, zaraz wpięłam sobie te kolczyki w uszy i włożyłam pierścionek, wpychając pod niego gazetę, by mi z palca nie spadł. I tak paradowałam po

podwórku.

Pochwaliłam się naszej sąsiadce Gieńce Prockiw, co to ja mam. No i wydało się.

Gieńka przybiegła do batki i mówi: - Wiem od Irci, że wy ukrywacie Żydów, Martynie. U mnie jak w studni. Umarło! - zaklinała się. - Ja nic nikomu nie powiem, ale ona głupia wypaple. I będzie nieszczęście. Wy jej powiedzcie...

No i tato powiedział: - „Siarap”! Jak wrócił z Kanady, to zawsze „siarap”

krzyczał, jak chciał, by ja mordę zamknęła. I zapowiedział, że jak nie chcę, by nas wszystkich Niemiec wytlukł, to mam milczeć jak grób.

- I zabrał pierścionek...

- Nie miał co zabierać, bo ja wcześniej pochwaliłam się Oldze i Olha wzięła te kolczyki z pierścionkiem.

- O! - zawołał Leszek. - To to jest ten pierścionek, który mama kazała mi wieźć do Częstochowy i ofiarować Matce Boskiej Częstochowskiej. Bo on ponoć jest nieszczęśliwy. Ale mama twierdzi, że dostała go od Wicka, jak wrócił z wojska. I to jest jakiejś Niemki...

- Ne znaju, Lesiu - odparła Irka Bodnaruk. - Wiem, że ja go twojej mamie dałam...

- Yhm - mruknął Leszek. - Trzeba by to sprawdzić.

_> Olga Wawrow sprawę tych kolczyków i pierścionka przedstawia inaczej: - Jak ja zobaczyła je u siostry na podwórku tata, to się przestiaszyła, że ona zaraz ludziom powie. I od niej wzięła. Na szczęście Ircia ma taki charakter, że wszystko rozda i łatwo się z każdym dzieli. Więc chętnie mi dała. Ja ten pierścionek z kolczykami schowała. A ten drugi, nieszczęśliwy, jak mówię, to był trofiejny z wojny. Wicko zdobył go od ruskiego żołdaka za wódkę. Ten zrabował go jakiejś Niemce. - Giermańcy płacą - śmiał się i

wysypał Wickowi całą złotą górę z mieszka...

- A ta Jankelowa dytyna - ciągnęła Irka Bodnaruk - to była niezwykła! Ja takiej drugiej nie widziałam. Cztery latka to miało, nie grymasiło, siedziało sobie cichutko i malowało... Tylko dwie kredki miała. Czarną i czerwoną. I tymi kredkami wszystkie słupy i belki w tym schowku zamalowała. Każdą deskę. I jakie to były obrazki! Boże! Wesołe! Radosne! Lale w wózku, fikające pajace, konie w polu - ja nadziwić się nie mogłam, jaki u niej talent. Toż to małe. Mniej niż cztery latka... I ta bidna dytyna dawno pomeła, a jej rysunki w tym schowku jakby wczoraj namalowane. Wciąż żyły na tych słupach. Ja jeszcze mojemu Bohdanowi je pokazywałam. On je zna. A może nawet i Borys. Dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych, gdy powaliła staru stodołę, wraz z nią zginęły...

- A co stało się z Rutą Brandman i Jankielową żoną z córeczką? - dopytywałem się.

- Mój batko dłużej bał się trzymać i doktor Brandman załatwił dla Ruty nowe lokum w Czarnokońcach. Jankiel zaś, który uciekł z ruską armią, zostawił swoje oszczędności u znajomego chłopca, który przyrzekł mu opiekować się jego córką i żoną. Jankiel przeżył w Rosji, wrócił z armią i po wojnie ich szukał. A one jak wtedy polami do Czarnokoniec szły, kryjąc się między stertami, bo to żniwa były, to natknęły się ukraińskich chłopów, którzy ich załukli...

Na ślad śmierci doktora Brandmana natrafiłem we wrocławskim czasopiśmie historyczno-publicystycznym „Na Rubieży”. W spisie ofiar zamordowanych w Probużnej przez ukraińskich terrorystów z OUN napisano krótko: „Luty 1944.

Zastrzeleni przez policjanta ukraińskiego: Brandman, lat czterdzieści dziewięć, narodowości żydowskiej, lekarz. Brandman lat czterdzieści sześć, żona wyżej wymienionego lekarza...”

O ich córce Rucie w tym suchym, krótkim spisie nie ma ani słowa...

- Taak - westchnął Stepan Bodnaruk. - Sąsiadów się człowiek bał najwięcej. Bo są ludę i ludyska, a Żydów u nas zaczęli już gnać do wagonów w czterdziestym pierwszym roku...

- Ja to świetnie pamiętam - weszła mu w słowo żona - bo te kolumny przechodziły koło mojego domu i na naszej stacji ich ładowali. Ja raz kręciła wodę w studni i jeden Żyd dał mi znak ustami, że chce pić. Odłączył się od kolumny i podszedł do studni. I Niemiec go za to zastrzelił. Oni byli głodni i wymęczeni tym marszem.

Moja matka zawsze dla nich waryła kuleszu...

- Co to „kulesza”?

- Mamałyga. Kulesza po ukraińsku - wtrąca Stepan Bodnaruk, który rozumie i czyta po polsku. Po rosyjsku się nie nauczył. - Kacapski język, proszu pana. Ja go ne znoszu - krzywi się.

- I jak matka stawiała na drodze z „kulesza” czy chlebem, to oni się rzucali, biedni.

Ja panu powiem więcej. To może dziwne, że ze ślubu mojej starszej siostry, Naści, z Zenkiem Żurbamało pamiętam, nie powiem nawet, jak była ubrana i gdzie stała orkiestra, ale to widzę świetnie, jak ktoś z weselników krzyknął nagle: - Żydów pędzana stację!

My wtedy szybko pogasiliśmy lampy, bo pędzący ich czasem lubili strzelać, wyciszyli się i rzucili do płotu patrzeć. Bardzo dużo ich wtedy szło. Bardzo dużo. Tłum z całej okolicy...

- To który to był rok?

- Czterdziesty pierwszy. Wrzesień. Bo we wrześniu Naścia ślub z Zenkiem Żurbą brała. U nas już wtedy zaczęli ich wywozić i zaraz getto w Kopyczyń-cach zrobili. Ci policjanci bili ich kijami, krzyczeli. Zabitych rzucali na wóz.

Płacz kobiet, dzieci. Straszne, straszne - westchnęła.

- To niemiecka policja ich biła?

- Ta gdzie! - rzucił Stepan Bodnaruk. - Nasza, pane. Paru z naszej wsi wstąpiło zaraz do policji i parując w granatowych mundurach byli pany. Taki Głuchowski!

Wpierw służył Kacpom, potem Niemcom. Zabił dwoje nauczycieli, którzy szli drogą do Czortkowa, i obrabował. Straszny bandyta. Uciekł do Niemiec na roboty, jak tylko Szwabom na froncie zaczęło być krucho.

- Na wesele Naści z Zenkiem to jeden z tych policjantów wszedł. Po tej akcji czekał na pociąg do Probużnej. Usłyszał u nas orkiestrę i przyszedł. Nie wygonisz go przecież. I jak mu ktoś podał studzieniec¹, to odparł: - Ja mięsa na dziś mam dość. Starczy mi. Ja chacz haryłki - i pił szklanę za szklanką...

Ludzie po każdym transporcie biegli rano na stację i na placu zbierali po Żydach dolary i rzeczy. Czasem Żydzi te dolary darli. Raz mój brat Sławko pobiegł i przyniósł czarne, słoneczne okulary. Jak matka je zobaczyła, to wyrwała mu je z ręki i cisnęła za płot. Dostał straszną burę.

- Jak mi drugi raz tam pójdziesz - rugała go - to cię spiorę! Pamiętaj! Na łzach ludzkich się nie dorobisz! - I więcej nie chodził. Bał się. Matka ostrza. Pac-pac i już. Długo nie myślała...

- Taak. Te wywózki straszne - przerwał pani Irce jej mąż. - Wpierw Polacy, potem Żydzi z tej stacji odjeżdżali... Jak w czterdziestym roku Moskale 1 Nóżki w galarecie.

Mazurów z Zaremby wywozili, to musiałem się stawić z saniami. Kazali o dwunastej w nocy przyjechać do Sił-Rady na forszpan. Nie mówili po co i na jak długo. Ale tylko ukraińskim gospodarzom. Wickowi, Dobrzańskiemu i innym Polakom nie kazali się stawić. W chacie na skraju Zaremby żyła bogata kolonistka Jaroszka, to jej pierwszej kazali ładować się do sań. A mróz był wtedy ze trzydzieści stopni.

Ptaki w polu padały. I ona w tych saniach musiała czekać parę godzin, aż ostatecznie sanie załadują i nasz konwój ruszy. Celowo tak robili. Ludzie donieśli, że Jaroszka - kurgulka, więc ją Kacapy gnębili...

A ja swoimi saniami wziąłem najbiedniejszą rodzinę. Dwoje dorosłych i pięcioro dzieci. Bidniaki straszne. Szczurki się nazywali. Te dzieci bose, nagie, w cienkich szmacinach dygocą z zimna. To ja ściągnąłem z konia weretę, grubo tkaną, kupioną tkaczy na Majdanie, tam cała wieś tkaczy, i okryłem te małe Szczurki. One ze sobą wzięły do sań psa i koniecznie chciały z nim jechać na Sybir, ale Kacapy im zabroniły. Zwierząt nie brali, tylko ludzi. Więc te Szczurki mnie tego Pikusia dały na przechowanie. Ten Pikuś po nich tak płakał, że pod oczami miał rowki całe wygnite od łez. W końcu zdechł z żalu...

Moskale przyrzekli naszym bidniakom chaty po Mazurach. Wielu zaraz pobiegło się obłowić. Mój sąsiad paradował w kozuszkach, który tylko na Za-rembie osadnicy nosili.

Ale to nie koniec. Siedzę ja sobie parę miesięcy temu na ławce w naszym parku Bloordale i tuż obok słyszę nagle polską mowę. Nadstawiam więc ucha ciekaw, o czym te panie rozmawiają. A jedna z nich mówi, że tu, w Toronto, do polskiego kościoła tak samo daleko, tylko wtedy szła na nogach, a teraz jeździ autem.

Włączyłem się do rozmowy i pytam, skąd one są? I tak słowo do słowa okazało się, że te panie to te same małe Szczurki, które ja wtedy okryłem weretą. Rodzice zginęli, a one wszystkie przeżyły. Dwoje mieszka w Ameryce, a troje w Kanadzie.

Zaraz zaczęły mnie pytać o Pikusia, a jak im powiedziałem, że po nich tak rozpaczają, że rowki mu pod oczami od łez wygnięły, aż w końcu zdechł - to tak płakały tu, w tym Bloordale Park, że nie mogłem ich uciszyć. W pół wieku po tamtym, lutowym piątku. Aż podbiegł do nich piesek, taki sam,

jakiego zostawiły w Zarembie, i jedna z nich krzyknęła: - Pikuś! Pikuś! Chodź tu!

Ionesco w swym modnym ongiś teatrze absurdu zadziwiał ludzi Łysą Śpiewaczką.

Tu historia jest o wiele bardziej niezwykła. I dramatyczna. Jak życie...

- Mnie o byle co matka za kosy targała - wspomina z westchnieniem Irka Bodnaruk.

- Kosy to warkocze. Ciotka zawsze przez matkę, babcię Pawlinę, za warkocze była targana - „chrapnął” z uciechy Leszek.

- Nie tylko za kosy! Wszędzie! Ja była dzińhorna”.

- Zdziorna...

- A matka pah-pah! I już. Nerwowa była...

Olga Wawrow powiedziałaaby „mamcia nerwowa byli”, ciepło, z szacunkiem, w liczbie mnogiej - Irka Bodnaruk mówi twardo „matka”, bez zbytnej uwagi i sentymentu.

Leszek tłumaczy to historyczno-geograficznie. Dzieli rodzeństwo na przedkanadyjskie i pokanadyjskie. To przed wyjazdem dziadka Martyna i to po jego powrocie. Przed Kanadą urodziły się. Olga i Naścia, po Kanadzie - Jarek-Sławek i Irka-Sławka. W papierach też Jarosława, jak wspomniałem. Olga Wawrow przechrzcila ją na Ircię, ja to podtrzymuję, nie chcąc całkowicie zajarkować i zajarosławić książki, która i tak jest mocno „zasław-kowana”.

Także spora różnica wieku między pierwszą a drugą parą pewne rzeczy tłumaczy.

Ale nie wszystko...

- Pani wtedy była w szkole w pałacu? - pytam panią Irkę.

- Tak. Ciągle w tej samej klasie, bo co zdałam, to nowa władza mnie cofała. I znów zaczynałam. Najpierw za Polski, potem za pierwszych Ruskich, potem za Niemców, później za drugich Ruskich. Boh ty mój! Ta moja

edukacja - zaśmiała się.

- Perfect - wtrącił Leszek. - Ciocia siedziała na miejscu i języki same do ciotki przychodziły. Polski, rosyjski, niemiecki. Ukraiński, oczywiście. Ciotka-poliglotka...

- Typrawdu skazał. Z polskiej szkoły znaju: - Hej strzelcy wraz nad nami orzeł biały! z niemieckiej O Tannenbaum, o Tannenbaum, z ruskiej Sziraka strana maja radnaja...

- Hadyńkowiecka szkoła najlepsza - „chrapnął” Leszek.

- Niedługo po śmierci mamci, proszę pana - opowiada pani Olga - wzięli wszystkich mężczyzn na forszpan do Probużnej. Wicko pojechał dwoma końmi - naszym i kasztanem swego szwagra, Zenka Żurby. Mąż coś długo nie wracał z tego forszpanu. Ja bielila chatę, gdy widzę - na drodze jedzie Wanda Rasiewicz, synowa ciotki Karolki, naszym koniem bez Wicka. Więc pytam - Gdzie on? - A ona mi na to: - Wicka na roboty do Niemiec wzięli wraz z innymi mężczyznami i trzymają w szkole na drugim piętrze.

Ja niewiele myśląc wprzegam konia w wóz, biorę wódkę, biorę jedzenie, małego Jarka na kolana, siostra męża, Paulina - ona była żoną Ukrainca Fir-maniuka - siada obok. Jedziemy... Jezus Maria! myślę, będzie co będzie!

Przed szkołą w Probużnej nie było żadnych innych kobiet. Strażnika jakoś ubłagała i wpuścił mnie do środka. Budynek był otoczony przez ukraińską policję, proszę pana. Ja wbiegła na drugie piętro i widzę - mój Wicko jest. Stoi wśród innych mężczyzn i czeka na wywózkę. Jak mnie zobaczył, ucieszył się i zaraz mi szepnął: - Dobrze, że jesteś, boja będę skakał. Zrób coś z tą cholera - i wskazał na policjanta, co chodził w przód i w tył z karabinem. Mnie ta nie trza było wiele...

Jak burza zbiegła ze schodów, a ten strażnik jak raz stanął w kurytarzu i zastąpił mi drogę. Zaczął się śmiać, umizgać, coś ta pleść, że taka młoda,

harna. Więc ja też do niego zębę szczerzę, czaruję, choć w środku ściśnięta jak pięść. My sobie tak fajno gadamy, aż tu nagle na dworze krzyk i harmider. Ten policjant cap za karabin i biegnie. Ja za nim, bo wiem o co ten krzyk...

Widzę, mój Wicko po rynnie zdążył się już spuścić i pędzi do wysokiej siatki.

Skacze na nią, jedną ręką łapie płot, kozuszek, co go ma, wolną ręką odwi-ja, by o drut nie zahaczyć, i jednym skokiem go przesadza. Spada w tłokę, łakę dla bydła, i dalej wbiega w pole orne takimi zygzakami, bo oni już do niego strzelali. Paru wskoczyło na rower i puściło się drogą za nim. Wicko doleciał do miejsca, gdzie gospodarz pasł konia, wskoczył na niego i dopadł lasu. Ja nie czekając więcej wołam do Pauliny: - Trzymaj dziecko, bierz konia i jedź - bo słyszę, że któryś z policjantów mówi: - Czekaj. Tu gdzieś była jego żona...

I polnymi ścieżkami, jak konie cugowe, nawet ziemi nie dotykając pogałam i za pół godziny byłam w Hadyńkowcach...

Mały Major z kozła obserwował, jak ojciec zjeżdża po rynnie z drugiego piętra, i tak o tym mówi: - To była sekunda, kurczą, jak ojciec przesadził ten dwumetrowy płot i biegł zakosami. A oni do niego strzelali, pamiętam, bo kurz wznosił się od pocisków, takie chmurki w polu. Strzelali z wolnej ręki, pojedynczymi strzałami, ojciec kluczył, więc ciężko im było go trafić. Chciał dobiec drogi, ale widać musiał spostrzec ich na rowerach, bo odbił od niej i pogał w drugą stronę, gdzie stał ten koń. Wskoczył na niego i zniknął w lesie. Gdyby oni też wzięli konie, czy motory, to by go mieli. A w polu na rowerach byli bezradni. Rola miękka, świeżo zbronowana. Stracili głowę.

Olga Wawrow ciągnęła dalej: - Wicko wpadł do Firmaniuków i oni dali mi znać, że głodny i prosi jeść. Potem zajrzał do mnie, popił kwaśnego mleka i zaraz ukrył się u sąsiada Ko-stiwa, Ukraińca, tego samego, którego my

przechowali, jak uciekł z Probużnej, z ruskiej armii. Teraz Sławko mu się wywdzięczył. Ułożył u siebie i Wicko zmęczony tą ucieczką zasnął. Rano budzi się i widzi, że z nim razem na łóżku śpi policjant ukraiński. Zerwał się więc w strachu, a ten policjant też wstał i krzyczy do Sławka: - On nam wczoraj zwiął po rynnie ze szkoły w Probużnej i ja go muszę tam odstawić. Zbieraj się, Łaszku - i ciągnie Wicka. Widząc to Sławko jak na niego nie wskoczy: - Co ty zwariował?! Z mego domu ciągniesz mi gościa?! Ty chyba na głowę upadł?!

Jeszcze nie wytrzeźwia!

- Muszę - upierał się policjant. - Jak ja go puszczę, to mnie wsadzą za niedopełnienie obowiązków. Taki Ordnung. Wykonuję rozkaz...

- Jak ty go wykonasz, to więcej się nie pokazuj! Ja cię nie chcę znać, hru-niu.

- A trza panu wiedzieć, że Sławko Kostiw pędził u siebie samogon i świetnie żył z policjantami. Oni tam często u niego bywali. I popijali. Tak, że ten policjant poskrobał się w głowę, podumał i mówi: - Chyba, że on mi przedstawi zaświadczenie z gminy. Ja mogę poczekać. No, to Sławko szybko pobiegł do mego tata i tato zdobył w gminie od Jake-ma Firmaniuka przepustkę i Wicka z tych robót wyreklamował.

- Czyli ten Jakem Firmaniuk nie był taki zły dla swego niedoszłego zięcia?!

- Jak trzeźwy - to tak. Mój tato umiał z nim gadać. Pewnie ta i do ręki przemówił. W każdym razie Wicko przespał się z ukraińskim policjantem na jednym łóżku i został wyreklamowany. Jak ja mu potem mówiła, że go Niemcy z robót zwolnili, to wołał: - Oni mnie zwolnili? Ja sam się zwolniłem - dumny z tej ucieczki.

Fakt, że gdyby nie był taki sportsman, nie miał tych swoich żelaznych rąk, to by im tak łatwo nie hycnął przez płot. Te żelazne ręce go uratowały.

Wtedy \ potem.

Pan wie, że Wicko lubił grać w szachy i karty. To była jego pasja. I często wymykał mi się z domu na chałupy. Tym razem poszedł po sąsiedzku do Romanki Węgier. Ja go prosiła, by nie szedł, bo to niebezpieczne - ale gdzie tai Pobiegnął. Karty ważniejsze. No i trza trafu, tego wieczoru przyszli banderowcy.

To był koniec okupacji niemieckiej i oni byli już w lesie. Weszli i do Wicka: - Co ty tu Lachu robisz w ukraińskiej chacie?!

- Gram w oczko - mówi Wicko i pokazuje talię kart.

- To chodź przed chatę. Tam sobie w oczko pogramy - rzekł jeden z nich i zaczynają go ciągnąć.

Ci banderowcy nie byli z naszej wsi, jacyś obcy. Nie dali sobie powiedzieć, że to sąsiad, tutejszy, tylko siłą ciągnęli na dwór. Wicko wiedział, że jak go przed dom wywloką, to zastrzelą. W mieszkaniu u Romanki nie chcieli świadków, więc się wczepił w ciężki, dębowy stół. Oni go ciągną, a on się tak wbił w blat, że nie byli w stanie go oderwać. Czuł, że jak puści - to po nim. Nie dali się przekonać, jak im Romanka mówiła, że choć Wicko Lach, to jego matka dobra Ukrainka Anna Hryb, teść Martyn Wynnyczenko, stary petlurowiec, a brat Iwan zastępca komendanta Czortkowa w ich ukraińskiej armii zabity przez NKWD...

- Tym gorzej - powtarzali. - Znaczy hruń i zdrajca - i ciągnęli go dalej. Na szczęście ktoś pobiegł po Ładźkę Zygyryja. Ładźko nadbiegł z policjantami i zaraz na nich: - Co tu za hałaburdy?! Czego wy się go czepiacie?! Puścić go, mówię. Ja za niego odpowiadam na moim terenie!

I Wicka puścili. Z Zygyryjem banderowcy się liczyli, bo oprócz tego, że on był komendantem ukraińskiej policji w Hadyńkowcach, to u nich w UPA też jakaś szarża. Ściśle z nimi współpracował.

W ten sposób komendant ukraińskiej policji, Ładźko Zygyryj, z

honorem oddał ślubny dług, który zaciągnął przed wojną w czasie kłótni z księdzem Turczynem u swego gospodarza, Martyna Wynnyczenki. Zwrócił życie jego zięciowi Wickowi - i w rodzinie zostało...

W październiku 1997 roku Leszek przeprowadził w Jeleniej Górze wywiad z Marią Antoniów i jej córką Halusią Łabus oraz mężem Józefem i nagrał ich wspomnienia.

Maria Antoniów, z domu Rasiewicz, to córka Karoliny Wawrow, siostry Teodora, zwanego we wsi Łysym Fedką - dziadka Leszka, Jarka i Ewy. Ojciec Marii Antoniów, Karol Rasiewicz, był przed wojną wójtem w Hadyńkowcach. Pochodził ze starej polskiej rodziny i chlubił się, że wśród swych przodków ma Potockich. Dom Rasiewiczów sąsiadował z domem Wawrowych i mała Marysia, zwana w rodzinie Mańką, wychowywała się ze swymi kuzynami - głównie Karolem, który był jej rówieśnikiem.

Leszek wiele dowiedział się od niej o wczesnym dzieciństwie ojca, jeszcze więcej o dzieciństwie swego stryja Karola. Mała Mańka Rasiewicz bowiem za austriackich czasów chodziła z nim razem do ochronki. Ochronka mieściła się w starej karczmie pożydowskiej. Austerię tę hrabia Artur Cielecki przerobił na dom dla sióstr zakonnych, które sprowadził do Hadyńkowic, by szerzyły wiarę i oświatę wśród wiejskich dzieci. Stryjek Karolek jednak był bardzo oporny i uczyć się nie chciał.

- Ojciec, Łysy Fedko, któremu wtedy „łysiło się” - mówi pani Maria - zamykał Karolka za karę w chlewiku przywiązując łańcuchem. Ale i to nie pomagało. Karol jako „podkawaler” do szkoły też nie chciał chodzić, tylko bardzo lubił pieniądze. Na grajcarey był okropnie łasy.

Pani Maria pamięta swego wuja Wincentego Wawrowa, ojca Jaśka, jak ruszał na front w austriackim mundurze. Bardzo nie chciał iść i płakał, przyciskając do piersi swego rocznego syna Jaśka.

- Też był wysoki blondyn, tylko więcej do mojej mamy podobny -

wspomina.

Pamięta wejście Rosjan w 1915 roku i spalenie przez nich pałacu Cielec-kich podczas odwrotu. Przed ich wejściem straszono dzieci, że Moskale mają po jednym oku i żywcem ludzi jedzą. Jak smok wawelski. Gdy wkroczyli, mała Mańka wdrapała się, na strych i widząc Rosjanina na sąsiednim podwórku krzyknęła: - Mamo! Mamo! Ten Moskał pożarł stryjankę! - choć żołnierz ów ledwie się do niej zbliżył. Strach ma wielkie oczy.

Mąż pani Marii, młynarz Józef Antoniów, był tego strachu pozbawiony. Niczego się nie bał. Pani Maria sama z rodziny młynarzy - rodzice jej babki, Józefy Podlubny, mieli młyn w Hadyńkowcach na skraju wsi - miała od dziecka sentyment do tego zawodu i ten młody, śmiały młynarz bardzo się jej spodobał. Gdy wyszła za niego za mąż, pracował we młynie w Białej. Potem w Czar-nokońcach. Tuż przed wojną kupili dom w Kopyczyńcach i tam zamieszkali przy ulicy Jabłonowskiej.

Józef Antoniów podczas okupacji niemieckiej działał w ruchu oporu: był żołnierzem obwodu AK dowodzonego przez Romana Grodzickiego „Surmę”, ściśle współpracował z komórką „Żegoty” w akcji niesienia pomocy Żydom. Nie bał się narażać i ukrywać u siebie Żydów. Jako młynarz, jeżdżąc po wsiach, pomagał im znaleźć kryjówki wśród chłopów i załatwić aryjskie papiery. To u niego szukał ratunku bogaty młynarz Bergman z Czortkowa po ucieczce z getta. Antoniów załatwił mu kryjówkę u bardzo biednego furmana ukraińskiego z Czarnokoniec, który do końca wojny go przechował.

Córka Antoniów, Halusia Łabus, która wtedy była dzieckiem, wspomina dziewczynkę żydowską, którą rodzice przechowywali u nich w domu. Jej matkę ojciec ukrył w pobliskiej komórce. Pamięta jak ich sąsiad, ukraiński inżynier, który pracował w banku, podszedł do jej ojca i niedwuznacznie groził: - Ja wiem, Józef, że wy w domu trzymacie Żydów.

Pamiętajcie, że też macie dzieci. Żeby się to dla was źle nie skończyło...

Inni też Żydom pomagali. Olga Wawrow powiedziała mi, że w Hadyńkowcach kierownik szkoły Pawło Wizniura przechował swego ucznia Szojłę. Szojła pomagał mu doić krowy i uczył jego dzieci niemieckiego.

- Dopiero za drugich Ruskich, jak Szojła wyszedł, my się dowiedzieli, że on żyje. Myśleli, że dawno zginął, proszę pana...

Podczas okupacji polskie podziemie dużo broni kupowało od Węgrów, których jednostki stacjonowały w okolicach Kopyczyniec.

Łatwo się było z nimi dogadać, bo prawie wszyscy, jako byli obywatele c.k.

monarchii austro-węgierskiej, mówili po niemiecku. Wśród starszych oficerów nietrudno było znaleźć żołnierzy z czasów pierwszej wojny, którzy razem z Polakami służyli w tej samej armii. W końcu nie tak dawno żyło się pod jednym Cesarzem i bratanek Węgier ze wspólnej kampanii wojennej nie był rzadkością.

Węgrzy szli na wschodni front z przymusu i chętnie sprzedawali broń. Wspomina o tym Stepan Bodnaruk. Maria Antoniów mówiła, że jej mąż brał udział w takich zakupach. Przechowywał przez krótki czas tę węgierską broń u nich w domu. To on też, najprawdopodobniej, zaopatrywał w pistolety i granaty żydowską samoobronę w majątku Baworowszczyzna. Z relacji Marii Antoniów wynika, że jej mąż tych Żydów na folwarku dobrze znał i często do nich jeździł. Strażnik był przekupiony i nie utrudniał kontaktów. Parę razy pani Maria towarzyszyła mężowi w tych wyprawach.

Stepan Bodnaruk twierdzi, że tę węgierską broń nie tylko Polacy kupowali, ale również banderowcy, którzy zbroili się na potęgę. Właśnie kiedy wezwany na forszpan przez gminę jechał wraz z konnym policjantem od Zygrzy-ja do Czortkowa i mijął jednostki węgierskie, policjant kazał mu się zatrzymać i przez jakiś czas konferował z dowódcą Węgrów. Bodnaruk nie

słyszał, o czym mówili, ale z gestu policjanta, który klepnął konia i uściskał rękę Węgrowi, domyślił się, że się dogadali i dobili targu. Policjant wrócił wielce rad, zatarł na wozie ręce i mruknął: - Ten Madziar dobra ludina. Łój dobra!

Po chwilowym rozbiciu i wyparciu przez Niemców radzieckiej partyzantki wielu banderowców zaczęło się przebierać w sowieckie mundury i udawać, że są z jego oddziałów. W ten sposób wprowadzali ludzi w błąd i nie wiadomo było już, kto kim jest.

Od połowy 1943 roku działalność terrorystyczna UPA zaczęła się nasilać, aż przybrała masowy charakter. Najbardziej ucierpiała polska osada Majdan - wieś owych tkaczy, u których weretę dla swego konia kupił Stepan Bodnaruk. To, że jej mieszkańcy byli stosunkowo zamożni, też miało swoje znaczenie. Położona w pobliżu Hadyńkowiec, oddalona od Kopyczyńiec zaledwie o siedem kilometrów osada, napadnięta została przez banderowców aż dwukrotnie. Pierwszy raz pod koniec okupacji niemieckiej.

Po pierwszym ataku, w którym dokonano podpaleń i mordów, dowództwo obwodu AK w Kopyczyńcach postanowiło przeprowadzić akcję odwetową. Wyznaczono ją na połę we kwietniu 1944 roku. Przewidywano spalenie dwóch ukraińskich wsi - Tudorowa i Białej, których mieszkańcy brali czynny udział w mordowaniu Polaków na Majdanie.

Akcja ta jednak miała dotyczyć jedynie mienia, nie ludzi. Ludzi kazano oszczędzić. Do tego odwetu nie doszło, gdyż weszli Rosjanie. To wejście zamiast położyć kres terrorystycznym akcjom UPA tylko je nasiliło. Majdan „pod ochroną”

NKWD przeżył drugi, dużo straszniejszy atak banderowców w styczniu 1945 roku.

- Na razie - opowiada Stepan Bodnaruk - Niemcy uciekali w tym samym kierunku, co Polacy w 1939 roku. Na Zaleszczyki i Rumunię. Liczyli,

że tamtędy przejdą, bo Czortków i Tarnopol były już zajęte. W środę przed południem 26 marca chodzili jeszcze z koszykami po wsi rekwirując chleb i jajka, a w czwartek przy pompie były już Kacapy. A tych Niemców później widziałem na polach, jak ich gnali na wschód boso w kolumnie tłukąc kolbami...

My mieliśmy z ojcem dwa fajne kasztany, to je zaraz szybko schowaliśmy do stodoły. Mój ojciec jak tych pierwszych Kacapów u nas zobaczył, to załamał ręce i rzekł: - No, dzieci. Tak myprapafy.

Te same słowa powiedział do Olgi Wawrow jej ojciec - Martyn Wynny-
czenko...

- U nas w domu kwaterował kapitan z dwoma ordynansami. On nawet był dość fajny, grzeczny Żyd z Rostowa, proszę pana - mówi Olga Wawrow. - Ciekawił go los naszych Żydów w Hadyńkowcach, a gdy usłyszał, że Szojła ocalał, kazał sobie przyprowadzić jego i kierownika szkoły Wizniurę. Uściskał Szojłę, a Wizniurze w nagrodę dał karton papierosów i pudło amerykańskich puszek.

- Wy gieroj, tawariszcz Wizniura. Czeławiekl - klepnął go w plecy. - A za was, Szojła, my Giermańców jak wszy, swołocz, razgnietiom. Wot tak - wdepnął but w ziemię...

Wicko i ja, proszę pana, doświadczeni za pierwszych Ruskich, pochowali wszystko, głównie konie. Naszą kochaną karą Mańkę. Ja się o nią najbardziej bała. No i trza pecha, jeden z tych ordynansów, dziobaty Kałmuk, wy-patrział ją i doniósł swemu kapitanowi. Ten jak zobaczył Mańkę, aż przysiadł z zachwytem: - A ja jaj! Wot łoszadz! Czudna \ - cmokał. - Ja ci za nią dam dwa nasze najlepsze konie. Bieri, każdyj twojl - wskazał na ich wojskowe remonty1...

- Mnie ta nie trza waszych koni! - mówię. - Ja Mańki za żadne skarby nie dam!

Ten kapitan w końcu dał spokój. Ja odetchnęła i mówię do Wicka: -
Idź, zamknij sztabę i schowaj klacz.

Nie mija chwila, a wjeżdża na koniu czekista w barankowej czapce i
woła: - Gdzie łosządź?!

- Nie ma - mówię.

- Dawaj! - wyjął pistolet i zmierzył do Wicka.

Nie było rady. Zabiłby go. Wicko wyprowadził Mańkę. Ten zarzucił na
nią siodło i ciągnie do bramy. Ona mu pod tym siodłem tańczy, wierzga, rży
straszliwie. Serce się ściska. Koń wystany, wycackany. Boże! Do dziś tę
Mańkę mam w oczach jak on ją, biedną, prowadzi pod tę górkę, a ona mu tak
skacze po tym błocie i ogląda się na nas. Ratunku czeka. Boże! Chowiała się
przecież jak dziecko. Od źrebiaka.

Za Mańkę ten czekista dał nam swego gniadego, ubłoconego konia. Ja
płakała, płakała i z tego żalu w końcu usnęła. Budzę się, myślę, trza zobaczyć
tego konia. Ja poszła z nim nad Niczławę, fajnie go z błota obmyła i po tym
myciu widzę, że on całkiem niezły koń. Więc się trochę pocieszyła i prował
Konie specjalnie przeznaczone dla wojska.

dzę go do domu. Nie doszła drogi, a tu nowe Ruski wozami jadą.
Widząc mnie z tym koniem stają i obstepują zewsząd.

- A-ja-jaj! Wot kakaja losządź! Czudo! - krzyczą. - Dawaj jejo! I bieri na-
szu!

Wyrywają mi go z rąk i dają swego konia nie większego niż baran. Kuc
chudy jak gnat. Jakiś pokorcz. Ja tak pokracznego konia nie widziała.

Popatrzała ja na tego konia, popatrzała i nawet już nie płakała, tylko
się śmiała. No bo co? Na szczęście u ciotki Kalki-Natalki stał tabor z końmi
przy armatkach. Wzięła ja tego kuca, flaszkę wódki do niego z kawałem
boczką i pokazuję im: - Wymienicie mi go? Za spirt i salo?

- Kanieczno! Dawaj chazajka! Bieri! Katorowo chcesz! - wzięli

wódkę z boczkiem i pytają, którego ja chcę. A tam stała taka fajna, krągła gniada klacz ze stepu. Za pługiem całkiem nie umiała chodzić. Trza jąbyło uczyć. To ja ją szybko wskazała. Zaramijąwyprzęgli, a w jej miejsce wstawili mojego pokracznego kuca. Tak, że ja w jeden dzień cztery różne konie miała. Ale mojej Mańki nie mogła przeboleć. O, Boże, co to za klacz była! Dobrze, że jej zdjęcie z wojny ocalało. I na ścianie sobie wisi - wskazała kolorowy obraz z Majorem.

- Ale ciężko byłoby ją uchronić. Za piękna była. Nie ci, to tamci by ją wzięli - dokończyła.

- Ten front przyszedł szybciej, niż myśleli - mówi Stepan Bodnaruk - bo już 27 kwietnia zaczęli brać nie tylko konie, ale i ludzi. Ogłosili pobór wszystkich mężczyzn do wojska. Na ten pierwszy senterunek¹, proszę pana prawie nikt nie przyszedł. No to Kacapy zarządziły drugi senterunek z terminem na 1 maja grożąc, że kto się nie stawia, tego rozstrzelają. Chodzili z bębniem po wsi i ienprikaz czytali. Brali mężczyzn od siedemnastu do pięćdziesięciu pięciu lat. No to ludzie się wystraszyli i pod naganem poszli. A ci co nie poszli - uciekli do lasu. W partyzanty.

2 maja zgromadzili nas wszystkich w szkole w Probużnej - stamtąd pod strażą przewieźli do Szepietówki i Włodzimierza Wołyńskiego.

- Ja odprowadziła mego Wicka do szkoły w Probużnej, proszę pana - podjęła opowieść Olga Wawrow.

- Tym razem nie uciekł po rynnie...

- O, no - uśmiechnęła się. - Wtedy prawie wszystkich mężczyzn wzięli. Polaków brali do naszego wojska, a Ukraińców do Czerwonej Armii. Z tym, że trzeba się było upierać przy tym polskim wojsku, bo najchętniej brali do ruskiego. Wicko się uparł i poszedł z polskim, ale jego kuzyn Jaśko Wawrow walczył w Czerwonej Armii.

1 Pobór do wojska.

- Przecież on nie Ukrainiec?!

- Wicko też mu mówił: - Ty oszalał, Jaśko?! Twój ojciec Wincenty w grobie się przewraca! Padł w bitwie pod Brzeżanami w walce z Moskałem, a ty do Moskali idziesz?! Siostrzeniec polskiego posła Furmaniuka?! Jaki z ciebie Ukrainiec?! - A Jaśko na to: - Masz rację, Wicko. Ale jak ja już raz wszedł między wrony, ożenił się z Ukrainką, to trza mi krakać jak one - machnął ręką i nie poszedł z Wiekiem. Silnie wsiąkł w Zacharczuków.

- Tych od Antoszka i Mopsów? Banderowców?

- Ja. Tu jest fotografia przed ich wymarszem na front. Mój Wicko, Jaśko Wawrow i Zenko Węgier. Ten od białego bzu w ogrodzie.

To polskie wojsko Ruscy tworzyli za Zbruczem w Sumach, proszę pana, i ja tam do Wicka jeździła. To był dla mnie najgorszy okres. Została na gospodarce sama z małym Jarkiem, chorą teściową Hanuśką i ułomną siostrą Wicka Józka. Do tego była w ciąży. Znikąd pomocy. Bo mamcia nie żyli, a mego tata też Ruscy wzięli. Nie na front, bo już starszy był, ale na roboty w głąb Rosji. Jak wzięli, tak przepadł.

Zostawił dom z małą Ircią i Sławkiem oraz ciężko chorą żoną.

- Przecież mama umarła?!

- Tato ożenił się drugi raz, proszę pana. To było krótkie i dziwne małżeństwo.

Mój tato wziął za żonę Marię Chomyszyn, córkę wójta Nykoły i bratanicę biskupa Chomyszyna ze Stanisławowa. Ona była kiedyś zakonnica, ale jak zakony Ruscy rozwiązali, to zamieszkała z moim tatem w domu przy stacji. Blżej o tym małżeństwie opowiedziała mi Irka Bodnaruk. Jej sądy jak zawsze są krótkie i dosadne.

- Ja myślę, że to nie bułą prawdywa żinka - zaczęła po ukraińsku. - Ja nigdy ich nie widziałam, by spali w jednym łóżku. Zawsze ona tu, batko tu. Mój batko bardzo ją szanował, bo ona była po szkołach, kształcona, z takimi

manierami.

Zawsze jak spod igły. Czyściutka, odprasowana. Biała soroczka pod szyją, chustka na głowie, poważna, sztywna. Mimo że już nie zakonnica - miała coś z monaszki. Ja się jej trochę krępowałam. A dzieńhorna byłam, więc musiałam uważać - zaśmiała się. - Za kosy mnie nie targała jak matka, ale wciąż upominała, że tak się nie mówi, tego nie robi...

Pamiętam, jak jej podałam filiżankę bez spodka, to zaraz kazała mi go przynieść.

Powiedziała, że to brzydko, żebym nigdy tak nie podawała. I ja nie podaję, widzicie! - wskazała nasze filiżanki na eleganckich spodkach. - Ona mnie tego nauczyła.

Ja myślę, że to była buciem żinka, niby żona - stwierdziła. - Dla zmylenia Moskali. Ona dalej była siostrą, a z moim tatkiem żyła dla bezpieczeństwa...

- By Kacapy dały jej spokój. Ot co! - uciął krótko Stepan Bodnaruk.

- Przed wywiezieniem tatki do Rosji na Sybir w batalionach roboczych - 119 wspomina dalej pani Irena - ta Maria bardzo chorowała. Pamiętam, gdy się żegnali, to ona zrobiła mu znak krzyża na czole, pobłogosławiła i powiedziała: - Jak wrócisz, Martynie, to mnie już tu nie zastaniesz. Ostatni raz się widzimy - uniosła się na poduszkach...

- E, ta! Prędzej ja nie wrócę, Mario - odparł tato i mocno ścisnął ją za rękę.

- Nie, nie, ty wrócisz. Ja się o to będę gorąco modlić. Najpierw tu, a potem tam - wskazała niebo. - O nich się nie martw. Damy sobie radę, prawda? Mój czortyku - ona mnie tak zawsze nazywała.

Bo ja byłam czortyk. Wszędzie wlażłam. No i rzeczywiście. Jak zostaliśmy sami, póki co to nam pomagała. Ale mało co mogła. Gasła w oczach. A oczy jak dwie studnie. Głęboko zapadły się. Tylko na dnie coś

błyskało. Rzadko je otwierała.

Powieki spuszczone, ręce jak na katafalku. I modliła się. Wciąż się modliła. Po ruchu warg poznawałam, że ona jeszcze żyje. Musiałam ją karmić, bo sama nie mogła. Jadła jak ptaszek. Tycio, tycio.

Kiedy zrobiło jej się całkiem źle, kazała wezwać księdza. Przyszedł ksiądz Mykietyn i udzielił jej ostatniego sakramentu. Na parę godzin przed śmiercią przywołała mnie ze Sławkiem, ale on był w polu, i powiedziała: - Nie martw się, Irciu. Twój batko wróci. Ja to wiem. Masz go pozdrowić ode mnie. I uściskać.

Słyszysz?! Bo ja to sprawdzę - pokiwała mi słabo palcem. I jak następnym razem weszłam do izby, to już nie żyła...

- I pani ojca od niej pozdrowiła? - spytałem.

- Rozumie się. Mój batko powiedział, że czuł to. Wziął mnie na kolana, pogłaskał i rzekł: - Znajesz ty, dońko, siostra Maria Chomyszyn to była bardzo mądra i światła osoba. Ja ją prawdziwie podziwiałem. Szkoda. Szkoda, że odeszła. Widać Boh tak chciał - rozłożył bezradnie ręce. - Ciężko. Ciężko nam będzie bez Marii. I jej świętego ducha...

Po tym domyśliłam się, że ona była buciem żinka - dokończyła...

Ducha w ludziach rzeczywiście zabrakło, bo NKWD i jego agenci robili wszystko, by go zdławić.

Wrogiem numer jeden była Armia Krajowa, której dowództwo liczyło, że Sowieci po przekroczeniu dawnej granicy na Zbruczu uszanują jako swego alianta. W końcu żołnierze AK w ramach planu „Burza” dokonali szeregu dywersyjnych akcji¹.

¹ Najbliższym przykładem jest rozkre_cenie torów na pięćdziesięciometrowym odcinku przy stacji Hadyńkowce i urządzenie tam zasadzki na duży transport niemiecki jadący na front. Podobnym głośnym wyczynem było sparaliżowanie telekomunikacji niemieckiej wokół Kopy-

czyniec. W obydwu akcjach brał udział dywersyjny pluton Hieronima Barzydło („Beja”).

Po wykorzystaniu taktycznego współdziałania z AK na linii frontu, kroczące za Armią Czerwoną oddziały NKWD przystąpiły do czystki i rozbrajania. W ramach poboru wcielano młodzież do Armii Berlinga lub, co gorsza, do „Istriebitielnych Batalionów” przeznaczonych do walki z UPA i ukraińskim podziemiem. Do tych strielkow zwanych tu „strepkami”, brano najczęściej młodziutkich, piętnastoletnich chłopców, głównie Polaków, by skłócić ich z Ukraińcami i rozpalić ogień wzajemnej nienawiści.

W Hadyńkowcach pojawił się buciem handlar - niby handlarz. Tak o nim mówi Olga Wawrow: - My z Wiekiem młócili na kieratowej maszynie u Zenka Węgry i jego siostry, mojej przyjaciółki Romanki. Romanka Węgry wyszła już za Nykołę Ly-twyniuka, który był kuzyn Wicka. Ich matki z domu Hryb. I u Romanki w domu, proszę pana, zatrzymał się handlarz starzyzną, który twierdził, że jest halowa prowodu¹. To było za pierwszych Ruskich. I ten handlarz rekrutował młodzież do UPA. Szukał we wsi chętnych.

Było zimno, ta maszyna często psuła się, pas się zrywał, trza go było naprawiać i my szli grzać się do Węgrów, gdzie ten handlarz mieszkał. Wicko często tam chodził. Raz wraca i mówi: - Ten handlarz mi się całkiem nie podoba. On ich wszystkich wsypie. To Moskal.

Idź w przerwie w maszynie, zaskocz go i zobacz, co on robi.

Ja cicho weszła i widzę, że on siedzi schylony z rękami pod stołem. Jak mnie ujrzał, pchnął szufladkę, aż trzasnęło. Wyjął ręce na stół i pyta, co ja chcę u niego kupić.

- Ta nic - mówię. - Ja przyszła zagrzać się, bo zmarzła. On sięgnął do worka, wyjął jakieś chusty i zachwala mi.

- Kup! Ja handlar, ty młodycia: ubijemy interes! - i prosi, bym przymierzyła.

Ja ta tej chusty nawet nie tknęła, powiedziała, że chusty mam. Po chwili rzekła mu, że maszyna już na pewno naprawiona, i wyszła. Zaraz tam do niego przybiegła Janka Bodnaruk, siostra Romka „Bomby”, i on jej tę chustę wepchnął. Jak powiedziała o tym handlarzu Wickowi, to on zacisnął ręce: - Mówiłem, że czekista! Nagan w szufladzie i spis! On ich wszystkich wytraci.

Jak mu durni uwierzą.

I zaraz w oczy Romance i Nykole powiedział: - Strzeżcie się! To buciem handlar. Żaden prowidnyk.

Ale Lytwyniuk nie słuchał, sam go wiozł wozem do Oryszkowiec.

- Trza mu było kark skrócić za Hadyńkowcami, nie wieźć! - złościł się Wiko. I zaciskał tylko te swoje żelazne ręce. Jak by go ta w nie chwycił, to by tylko chrupnęło. Miał w nich straszną moc, proszę pana. Jak raz w złości palnął konia - to koń padł!

1 Przewodniczący.

No i trza mu było kark skrócić. W tydzień po tej młócce Lytwyniuka z Ro-manką, Kowalczuka, Myrona Pohoreckiego, Ładźkę Pohoreckiego, Stefę Bru-hal, Myrosława Bodnaruka, brata Stepana - wszystkich NKWD areztowało, a handlarz znikł. A potem plotkę, puścili, że listę organizacji znaleźli u maszynisty w Szwałkowcach. Już w 1957 roku w czasie naszej wizyty na Ukrainie Ładźko Pohorecki, który jedyny prócz Romanki ocalał, bo się w nic nie mieszał, opowiadał, że jak go przesłuchiwali w NKWD w Czortkowie, to widział przez uchylone drzwi, jak ten handlarz przemyka się po kurytarzu.

- U nas za pierwszych Kacapów - włączył się do rozmowy Stepan Bodna-ruk - był w kołchozie weterynarz z za Zbrucza. Jak Moskale uciekli, to on sobie został i dalej leczył konie. Nasze, niemieckie. Bardzo miły. Równy,

wesoły chłop... A jak Kacapy znów weszły, to ten weterynarz tylko palcem pokazywał, co kto za Niemców mówił i robił. Wszystko wiedział. Tych co pracowali w gminie czy w policji, a nie zwiali, zaraz wy aresztowali. Jakema Firma-niuka wywieźli, Ładźkę Zagryja rozstrzelali. Choć ten weterynarz z nim się przyjaźnił. Wiedział, że Ładźko nie jest zły chłop. I dużo ludziom pomaga. Ale może właśnie dlatego go wydał. Kacapy z góry planowali, że wrócą i uciekając zostawili tu swoich ludzi.

- To wojsko z Wiekiem stało w Sumach, sto pięćdziesiąt kilometrów na wschód od naszej granicy na Zbruczu, i ja w tych Sumach była - mówi Olga Wawrow.

- Jak pani tam dotarła?

- Na palec. Na palec najszybciej, proszę pana.

- To znaczy?!

- Brało się dwie flaszki wódki, jedną na tam, drugą na powrót, ładowało do plecaka troszku jajek, gęsi pieczonej albo kawałek cielaka i stawało na drodze.

Jak nadjeżdżała wojskowa ciężarówka, to się machało trzymając palec na korku flaszki...

Zawsze machaliśmy we dwie. Bezpieczniej. Ja jechała z Leonką Rasiewicz, która wyszła za Stacha Żarskiego, kuzynką Wicka.

- Z tych Rasiewiczów od Karoliny Wawrow? Polaków?

- Nie. Ukraińców. Oni z Hrybów. Najmłodsza siostra mojej teściowej Ha-nuśki, Antoszka, wyszła za Ukraińca Michała Rasiewicza. Chociaż jego brat Jaśko, ojciec Adźki, uważał się za Polaka. Michał Rasiewicz, jak mój tato, chciał do Kanady i jak go pytano po co, bo miał dużo pola, odpowiadał: - Ja nie jadę po dolary. Ja jadę świat zobaczyć.

I Leonka, jego córka, która wyszła za Stacha, została Polką tak jak ja.

Wtedy na murowance zaraz zatrzymał się jeden i wziął nas do

szoferki. Za tym Zbruczem, proszę pana, to ja widziała tylko step, step i badyłe. Ziemia całkiem zestepowała, pługiem nie tknięta. Rozpacz. To u nas raj. Jakoś do tych Sum przyjechały i pytamy o wojsko. Pokazuj ą nam w polu jakichś męż-czyn.

Idziemy z Leonką. Pytamy o naszych.

- Polacy już odmaszerowali - mówią. - Bo nas właśnie rozdzielili, a tu są Ukraińcy.

Więc my dalej szukałyśmy. Wskazali nam las, gdzie Polacy odmaszerowali. Zaczęły tam iść. Na wozach, widzę, nasze kobiety siedzą, wśród nich Kaśka Źarska, która tu końmi z Zaremby przyjechała. Leonką została ze swoją szwagierką, a ja sama poszła dalej. Idę tym polem, idę, niby ten las blisko, a ja dojść do niego nie mogę. Nagle słyszę, ktoś mnie woła. Patrzę, a to Ludwik Źarski, mąż Kaśki, w swoim ubraniu idzie, bo im mundurów jeszcze nie dali. Więc mówię do niego: - Ludwik! Ja tu twoją Kaśkę przed chwilą widziałam! Tam na dole. I Leonką też tam jest.

To on się ucieszył, zapewnił, że z moim Wiekiem razem jest i ćwiczą ich w sadzie pod lasem. Chcę tam iść, a Ludwik mnie błaga, żeby ja mu przyprowadziła jego Kaśkę, bo on tak daleko nie może iść. I on tu na nas zaczeka. Ja nie bardzo chciała, bo zmęczona i do Wicka spieszo mi było, ale widzę, że mu tak zależy, więc idę. Przychodzę w to samo miejsce, a tam ani wozów, ani Kaśki, ani Leonki.

Odjechały. Zawracam więc do Ludwika, a Ludwika też nie ma. Znikł. Wokół żywej duszy...

A to już szaro się zrobiło, drobny deszcz zaczął mżyć, ja sama na tym polu - nie fajno, proszę pana. Ale co ta! Nic mnie nie zbawi, myślę. Trza mi iść! Idę, idę, doszła do tego sadu, pytam strażnika, gdzie Polacy są, a on mi na to: - Właśnie odmaszerowali - i pokazuje banię cerkwy w dali. No to ja się całkiem załamala. Widzę, że ja do Wicka za dnia już nie dojdę, jak oni tak

wciąż maszerują. Noc zapadnie i co ja tu zrobię? Ale idę do tej cerkwy. Mrok i deszcz większy, potknęła się o bruzdę, siadła na kamieniu i myślę, co mi dalej robić.

Nagle w mroku słyszę głos Ludwika: - Olga! Olga! Gdzie ty?!

- Tuu! - krzyczę - na kamieniu siedzę! Nadleciał ucieszony: - O Chryste! Chwała Bogu, że ja cię znalazł, bo Wicko groził mi, że jak ja sam wrócę, to mi łeb urwie! Bez ciebie mam mu się nie pokazywać. Więc ja chodzę po tym polu i wołam...

- A dlaczego nie czekał?! Co ty ze mną w ciuciubabkę grasz?! Ja ani Kaśki, ani Leonki nie znalazła, ty odszedł. Co ja miała robić?! - i z tych nerwów rozplakała się. Okazało się, że my z Leonką i Kaśką minęły się, Ludwik poszedł z nimi pod cerkwę, powiedział Wickowi, że mnie widział, i Wicko go nazad za mną posłał. Sam nie mógł iść, bo oni wciąż maszerowali. Ruscy ich tak musztrowali.

Ludwik jakoś był wolny. On Stacha Żarskiego młodszy brat Wicko się ze Stachem przyjaźnił, więc go Ludwik słuchał (Żarscy wszyscy) byli u nas kołodzieje. Fajne koła i wozy robili. Żarscy to też nasza rodzina...

No to wreszcie ja do Wicka dotarła, bo Polacy przy tej cerkwie stali i Ludwik mnie do nich zaprowadził.

- Mieli jakieś koszary?

- Ta gdzie! Nawet i baraków. Goły plac. Oni pod namiotami i w tej cerkwie spali.

W budkach ja tylko strażników ruskich widziała, którzy ich na tym placu pilnowali. Bo my właśnie koło takiej budki siedli. Ja wyjęłam z plecaka prowiant, te jajka, proszę, pana, gęś, czy tam kawałek pieczonej cielęciny, już nie pamiętam, i my sobie z Wiekiem fajno jemy i gadamy. Tego jedzenia dużo, co ja nawiozła, Wicko popatrzał tak na tych strażników w budce i mówi: - Oni też pewno głodne są, a ty tyle mi nawiozła, że ja sam tego nie zjem. Co z

tym zrobię?! Dam im trochu - i zaniósł. Oni rzucili się, bo dawno takiego mięsa w ustach nie mieli, i jak sobie pojedli, to pytają, gdzie ja mam zamiar spać?

- Nie wiem - mówię. - Pierwszy raz ja u męża w Sumach. Oni widzą, że my by chcieli razem być, ja taki kawał tu jechała, naradzili się, jeden z nich klepnął Wicka w plecy i mówi: - Dawaj, pan! U nas kwartira wam budiet! - i zaprowadził nas do domu, gdzie oni kwaterowali. Tam były dwie izby, a w jednej kobieta z dzieckiem na ręku. Ten strażnik wskazał nam miejsce i powiedział, że my możemy tu spać, bo oni i tak w budce do rana wartują. My się chcieli ułożyć na podłodze, ale ta kobieta nam nie dała, odstąpiła swoje łóżko, a sama z dzieckiem przeniosła się do drugiej izby.

My więc z Wiekiem mieli całą noc dla siebie. Tylko nie mogli spać, bo to dziecko strasznie płakało. Ta kobieta je wciąż uciszała...

Pamiętam, że izba była bardzo czysta. Pościel w niej bielutka. Mebli prawie żadnych, za to podłoga jak stolnica. Deski fajno wyszorowane. Ta kobieta była bardzo gościnna. Z rana zaraz zrobiła nam czaj, wyjęła czarny, wojskowy chleb, marmoladę z buraków, bo więcej nic nie miała. Jak ja jej dała naszego jedzenia, to mało po rękach mnie nie całowała.

No i na drugi dzień trza mi było nazad wracać z tych Sum.

- Znów na palec?

- Za drugą flaszkę. Dobrze, że my jej nie wypili.

Kilka razy jeździła do tych Sum i zawsze szczęśliwie. Drugim razem my wracały we trzy. Z Leonką i Paulina Firmaniuk, siostrą Wicka, której syn Gienko też był w wojsku. Kierowca zatrzymał się, mnie i Leonkę bierze do szoferki, a Paulinie mówi: - Babuszka - typieszkom! U mienia dla tiebia miesta niet. - Rzeczywiście ciasno było. My się ścisnęły, chude, młode, a Paulina pod pięćdziesiątkę, przy kości, nie bardzo chciał ją brać. Ona mu się jednak na siłę pchała, bo zawsze bardzo energiczna była. Ten szofer się w

końcu zdenerwował i krzyknął: - Babuszka! Podumaj! Nu kakja tiebia wazmu?! Na gołowu?! - i nadstawił śmiesznie plecy.

Jak my sobie wyobraziły Paulinę u niego na barana, to tak się śmiały, że w Czortkowie dopiero przestały. Bo tam nas ten szofer wysadził.

- A Paulina poszłapieszkoml - Dała sobie radę. W pół dnia po nas przyjechała.

Kiedy ja jeszcze raz chciała do Sum jechać, to Kaśka Źarska, która u Ludwika była, powiedziała mi, że ich już tam nie ma.

- Odmaszerowali?

- Ja. Tym razem na front. A Wicko zakazał mi jeździć za nim. Tak, że ja już tylko listów od niego czekała. Jeden albo dwa na tydzień. I przez te listy mało życia nie straciła. Ale to znowu długa historia...

Na prośbę Leszka pani Olga tę historię z listami spisała i ją przepisuję chcąc zachować oryginalny styl.

„Wrzesień 1944. Dzień był po deszczu, ale jasny. Plotka idzie z ust do ust, że do naszego młyna ma przyjechać jakaś wielka ruska komisja z Probużnej. Ale kiedy, nikt nie wie. Ja wyszła przed dom, patrzę - rzeka pełna wody, to może i młyn ruszy, a tam nasza kokorydza była.

- Ta pójdę - zdecydowałam.

Ruszyłam na ogrody i dalej łąką do młyna. Na hrebli spotkałam listonoszkę Teklę Kołpak i pytam jej, czy jest coś od mojego Wicka z frontu? A ona tak jakoś dziwnie speszona mówi: - Twoje listy zabrała holowa Sił-Rady Poluńka Rasiewicz.

Więc ja nie idę już do młyna tylko do Sił-Rady i myślę, co by mogło być, że moje listy zabrała Poluńka Rasiewicz. Przychodzę do budynku Sił-Rady, a tam jak zwykle strażnik dyżurny zatrzymuje mnie i pyta: - Do kogo?

- Ja do holowy Sił-Rady.

- Holowa Sił-Rady jest w swoim pokoju, ale zajęta, trza poczekać.

Ja czekam, czekam, nic. Wreszcie nie wytrzymałam i mówię do tego dyżurnego, że ja tylko na chwilę po swoje listy przyszłam. Wiele to czasu nie zajmie.

- Zaczekaj, spytam - odrzekł i poszedł patrzeć do jej pokoju. Po chwili wraca i mówi: - Holowa Sił-Rady powiedziała, żeby ty szła.

To ja weszła. Pamiętam jak dziś. Poluńka siedzi za stołem podparta jedną ręką pod głowę, a w drugiej trzyma moje listy. Obok niej Maria Prockiw ze Szwajkowiec, z domu Słota. Jak ja weszła, to Poluńka zwróciła się do mnie i mówi: - Ile razy prosiłam tę listonoszkę, żeby nie podawać poczty przez czyjeś ręce, tylko mnie! - i oddała mi paczkę listów od Wicka.

Ja podziękowałam jej i poszłam. Idę znów do młyna. Młyn jest nienowyy, ale jeszcze w dobrym stanie, trochu podmurowany, a trochu drewniany. Przed wojną trzymali go Żydzi Szlomko i Wajron a teraz nasze ludzie. Wchodzę ja do młyna, a młyn dalej nie uruchomiony. To wszystko kręci się po młynie i czeka na tę ruskąkomisyję. Roboty żadnej. A ja jestem ciekawa, co mój mąż pisze. Listy trzymam w kieszeni i wołam do mojej sąsiadki Milki Nenczyn, że ja idę do domu i za godzinę wrócę.

Idę z powrotem łąką, bo wojskowe ciężarówki wielkie błoto na drodze zrobiły, a u nas czarnoziem i wtedy iść trudno. Wchodzę na podwórze i mówię do męża siostry, Józki, że mam od Wicka listy. Wchodzimy do domu, ja wyciągam te listy z kieszeni i mówię do Józki i teściowej Hanuśki, co z nimi było. Że z organizacji je czytali. Bo chcieli wiedzieć, co się dzieje na froncie. Od Poluńki Rasiewicz wymagano kontyngentów na rzecz UPA, ona im ich nie dawała, bo mówiła, że dwóm bogom nie będzie służyć, i pocztę polową sobie kazała nosić, żeby nie przechodziła przez banderowską cenzurę.

W listach mąż jak zwykle mnie pocieszał, że wojna wkrótce się skończy i Niemiec na wykończeniu.

Siostra Józka mówi, że obiad prawie gotów: - Zjesz go i wtedy

pójdiesz z powrotem do młyna. - Ja tak zrobiła. Zjadła obiad z dzieckiem Jarkiem, teściową Hanušką i znów łąką do młyna poszła.

Wchodzę do niego i widzę, że moja sąsiadka Milka siedzi na worku ze zbożem, więc i ja siadłam. Pytam, czemu nie idzie młyn? A ona mi mówi, że wciąż na tę komisję z Probużnej czekają. Patrzą, Bazyłykut jest, Zadorowski jest, ale nic nie robią, tylko się kręcą. Posiedziałam więc z godzinę na tym worku i mówię do sąsiadki Milki: - Przyniosę ci trochę jeść, bo ty głodna jesteś od rana.

I wychodzę znów z młyna na te łąki. A słońko na zachodzie tak się już zaczerwieniło. Patrząc, a naprzeciw mnie wojsko uzbrojone idzie. Idą w stronę młyna. Zbliżam się do nich, a oni do mnie. Myślę sobie: coś to nie tak. Jeden z nich mówi do mnie: - Zdrastwujcie!

- Da zdrastwujcie! - mówię mu.

Ubrani w krótkich kurtkach, czapki z gwiazdą, z automatami, przez pas i plecy zapasowa amunicja. Ale twarze blade. Jakby nigdy słońca nie widziały. Szło ich z ośmiu, w dwie czwórki...

Przychodzę na podwórze, a Józka już czeka na mnie i mówi, że wioską ta sama ilość żołnierzy szła, i za ogrody z drugiej strony też. Wszyscy w stronę młyna.

I mówi dalej, że Maria Procki w domu Wawrow, jej siostra, mówiła, że w Szwałkowcach wczoraj taka sama ruska komisja była.

Teraz ja pytam sama siebie, czego ja poszłam wtedy w ten ogień?! Dlaczego ja nie kapnęła się, że coś się święci. I wchodzę do mieszkania, biorę dla sąsiadki Milki chleb pod pachę i idę znowu do młyna. A na dworze już ciemno i słyszę z automatu wystrzał, taka dłuższa seria. Ale idę. Nie cofam się. Przychodzę do młyna i stoję pod drzwi. Zamknięte. Biorę za klamkę i otwieram, a za mną wyrasta żołnierz i mówi: - Zachodte do seredynty! Ja dalej trzymam się klamki i mówią, że ja przyniosła tylko tej dziewczynie

chleb, bo ona od rana nic nie jadła. Patrząc do środka i widząc, że wszystkie kobiety stoją rzędem pod ścianą. Stoję i mówię: - Milka! Masz chleb!

Ten żołnierz woła do Milki: - Berychlib!2 Ja go jej daję i dopiero wtedy czuję, że słabnę. Ten żołnierz zmierzył mnie z góry w dół, a ja była ósmy miesiąc w ciąży, i mówi, że mogę iść.

Ja chcę iść i nie mogę. Nogi z łożu. Odchodzę parę metrów ścieżką od młyna i widzę, stoi jakiś chłopiec. Podchodzę do niego, a to syn Poluńki Rasiewicz, Antoszek. On mnie pyta, czyja nie widziała jego mamy. Ja mu mówię, że widziałam jeszcze rano. I on poszedł przez kładkę w drugą stronę, a ja do domu.

Przyszła tak zgrzana, że jak weszła, to była cała mokra. Pytała sama siebie, czego ja szła ten trzeci raz z tym chlebem do młyna, i to we wieczór?! Za jakieś dwie godziny wioską przez drogę po tym czarnym błocie ludzie jak konie cugowe gnali z tego młyna...

Pamiętam tej nocy mój sen. Szłam drogą na cmentarz. I minął mnie wóz. A na tym wozie trzy wiadra krwi stały. Krew się w nich chlustała. I właśnie wtenczas zamordowano trzy osoby: Poluńkę Rasiewicz, Wasylę Bazyłykuta i Wołodymyra Zadorowskiego...

Rano budzę się nerwowo, bo stał mi w oczach ten sen i zaraz przypomniałam sobie o tym wczorajszym młynie. I mówimy z męża siostrą Józka o tym samym, jakbyśmy się zmówiły. Za chwilę widzę - kobiety przy studni biorą wodę. Więc ja też za wiadro, przechodzę przez ulicę do studni, a rozmowa toczy się o wczorajszym dniu we młynie.

Któraś z kobiet tam wczoraj wieczór była i mówi, że jak weszła ta komisja - to najpierw kazała zatrzymać motory (widać na pokaz je puścili). Z zatrzymanych motorów zażądali zdjęć pasy, a ludzi ustawili pod ścianą. Kobiety po jednej stronie, mężczyźni po drugiej. Zaczęli sprawdzać nazwiska. Wywołali jedną kobietę, która im się wydała podejrzana. To była Zosia

Ślusarka, co mówiła tylko po polsku, a oni szukali kołowy Sił-Rady. Zosia zaś była córką kolejarza Ślusarza, który przyjechał z centralnej Polski z rodziną i osiedlił się w Hadyńkowcach. Pracował u nas na stacji przy kolei.

A Poluńka Rasiewicz miała na tyle czasu, że się przebrała za chłopkę. Pantofle z nóg zrzuciła, jakąś chustkę na głowę wdziała i tak stała pod ścianą. Ale któryś z banderowców ją poznał i wydał. Wtedy oni zostawili Zosię, a wzięli się do Poluńki.

Bazyłykut i Zadorowski schowali się między worki zboża, ale ich też zna1 Wchodź do środka! 2Bierz chleb!

leźli. Bo jak sprawdzili kobiety i wykryli Poluńkę, to zaczęli kontrolować mężczyzn. Natrafili na Kowpaka, który też był czymś w tym młynie. Pytają go, jak on się nazywa? A on odpowiada:f - Sone wieki...

- Nam nie nużen Sonewicki - i puścili go.

Za kilka dni NKWD aresztowało Wołodymyra, syna księdza Sonewickego, a w grudniu wywieźli na Sybir ich całą rodzinę. Stareńką mamę, córkę i syna Wołodymyra. Ten syn był troszku myszygene. Pomyłony. Jak go pytano: - Pa-nyczu, kotra hodyna?to odpowiadał: - Ja nepanycz. Ja pan!

Sonewicki był prawnik, ale w tym zawodzie nigdy nie pracował, bo nie mógł.

Teraz wracam znów do młyna, co mówili ludzie przy studni.

Znaleźli Wasyla Bazyłykuta i Ładźka Zadorowskiego i zabrali ich wszystkich na furmankę. Poluńkę Rasie wieź jeden pchnął kolbą, bo stawiała się do nich.

Podobno jak jej grozili śmiercią, hardo odpowiadała: - Ja się już nażyłam. Mam czterdzieści lat i nie boję się. A dwóm bogom służyć już nie umiem. - Powłóczyli się jeszcze trochu wokół młyna i pojechali tą furmanką w dół uliczki Berezki, która szła na pole. Jeszcze byli na tej ulicy u kogoś w domu i zrobili tam coś w rodzaju śledztwa.

Rano Bazyłykuta Helenka zrobiła wielki krzyk, to była Wasyla żona, i po polu zaczęła go szukać w stronę jak się idzie na Tyklówkę. A z Tyklówki szedł właśnie Alojzek Krasnowski, syn cioci Anielki, który był obywatel amerykański. Jego całą wojnę nic się nie czepiali.

I Alojzek widzi, że ludzie i „strepki” czegoś szukają, więc im mówi, że obok drogi, która idzie na Tyklówkę, on widział parę metrów wyżej na polu ziemia świeża i słoma rozrzucona, ale nie szedł bliżej patrzeć.

I tam właśnie znaleźli w grobie trójkę tych ludzi zamordowanych. Drutem kolczastym do kupy powiązanych...

Ja potem widziała Wasyla Bazyłykuta w domu na katafalku już przebranego i to jego stare ubranie na kurytarzu całe w krwi i błocie. Helenka bardzo po nim rozpaczała. Ona była sierota, nie miała rodziny. Tylko został jej syn, jedenaście lat, który miał na imię Jarosław.

Kazika Przybylskiego, co w tym młynie był mielnikiem, też by pewnie zabili. Ale on, jak później opowiadał, szybko zorientował się w sytuacji i uciekł na trzecie piętro. Strażnik go zatrzymał, ale on powiedział, że od rana w tym młynie siedzi, i chce sprawdzić, czy jego zboże wysypane. Ten strażnik go puścił. Kazik się wdrapał na strych, tam było małe okienko, a w nim kratka.

- Gdzie ja tyle siły wziął - mówił potem - że tę kratkę głową wypchnął i przecisnął się!

Wyszedł na dach, a w tym młynie była taka przybudówka i on na nią skoczył. Potem z tej przybudówki do rzeki Niczławy, która tam płynęła. Jakiś czas przesiedział w wodzie, a potem na kolanach za rzekę na ogrody i tymi ogrodniami dotarł do ludzi zza stawu. Ukryła go Błaszka. To była polska rodzina. I dopiero wtedy zobaczył, że jedną nogę ma zwichniętą. (Kazik nam to wszystko w Prudniku opowiadał, gdzie był naszym sąsiadem).

Na drugi dzień ktoś go zawiózł wozem do Czortkowa do

Cieszyńskich. U Cieszyńskich była synowa-wdowa Maria i tak Kazik się z tą Marią ożenił. Mąż tej Marii, Emil, został zabity za pierwszych Ruskich. Cieszyńscy mieszkali blisko mostu na Serecie. Raz Emil wyszedł i nie wrócił. Maria na próżno go szukała.

Potem okazało się, że któryś z Rusków na moście strzelił do niego. Ciało wrzucili do Seretu. Potem za Niemców go wyłowili. Wtedy znaleźli też ciała dziewięciu księży, których pochowano nad rzeką. Marii po Emilu został syn Edward, który wtedy miał siedem tygodni. To była wojna...1”

Na tym urywa się tekst Olgi Wawrow spisany drobnym maczkiem na kratkowanym papierze. A ja widzę, że nie mam nic do dodania...

- Dla mnie, jak już panu mówiła - przypomina Olga Wawrow - nastał straszny czas.

Wicko na wojnie, tato w Rosji, ja sama na gospodarce...

Czwartego listopada urodził mi się syn. Bardzo fajny. Zdrowy. Włosy ciemne, oczy duże, bystre. Ciężki. Ponad cztery kilo ważył. Od razu chwycił każdego za palec i ssał mocno. Ale wdało się zakażenie. Pępek widać nie czysto odcięto i on mu spuchł, szzerwieniał i stał się jak ogień. Okłady z maści nic nie dawały.

Teściowa Hanuśka różnych rad udzielała, siostra męża, Józka, to robiła, ale nic nie pomagało. Dziecko w oczach słabło. Przestało ssać, płakało, chudło. Ten pępek twardy jak orzech. Ja po tym porodzie też na nic. Nie miała sił wstać.

Gorączkowała. Z dzieckiem coraz gorzej. Trza je było ochrzcić. Moja kuma Leonka Żarska pobiegła z nim do księdza Mykietina. Chłopcu my dali na imię Janek.

Jaśko, proszę pana. No, i jak było coraz gorzej, wezwali lekarza z Probużnej.

Ale to był młody chłopak, felczer...

- Nie doktor Brandman.

- Brandman by go może uratował. A ten coś ta zapisał, radził do Czortkowa, aleja nie mogła, bo sama leżała, i nim go zawieźli, to w nocy umarł. Wie pan, jak to na wsi. Pełno zajęć, nikt nie ma czasu. Dwa tygodnie ten Jaśko żył. Ja nie mogła sobie darować, że tak zdrowego, pięknego chłopca urodziła i on mi w dwa tygodnie poszedł. Gdybym nie leżała, może by ta co pomogła. Ale ja sama ledwie żyła...

Musiła wyglądać jak śmierć na chorągwi, bo Leonka Źarska napisała do 1 Ta akcja UPA - niby rosyjska komisja - miała wyraźnie polityczny charakter.

Chodziło o ukaranie zdrajców współpracujących z komunistami w Sił-Radzie i we młynie. Narodowość nie liczyła się. Uwolnili Polkę - Zosię Ślusarz, a zabili Ukraińców Bazyłykuta i Zadorowskiego. Ukrainka Poluńka Rasiewicz była przedwojenną ideową komunistką.

Stacha, że z Olgi chyba nic nie bę_dzie, tylko patrzeć jak umrze. Stach to powtórzył memu Wickowi i Wicko przysłał trzysta rubli z nakazem, by mnie ratować. Za te ruble mój tato kupił świniaka, który uratował mi życie. I jeszcze miała sto rubli by zapłacić Tabiszom za trumienkę dziecka.

Edźko Rasiewicz, który ukrywał się. w domu mego tata przy stacji, przyszedł do mnie. (Jego żona Luźbina była ze Słobódki. W Słobódce mieszkał jej brat, siostra mężatka, której mąż był na wojnie, młodsza siostra panna i matka. To było bogate gospodarstwo. W nocy przyjechali banderowcy furą i wszystkich zamordowali.

Rasiewicz został wezwany do NKWD, miał też wyrok UPA i odtąd ukrywał się z żoną i małym dzieckiem w domu mego tata przy stacji. Tam było bezpieczniej. Zawsze dla pewności chodził z karabinem bojąc się napaści. Pierwszy też z rodziną wyjechał do Polski).

Jak mnie wtedy Edźko zobaczył, w tym stanie, to krzyknął: -

Natychmiast jedź do szpitala, bo co ja Wickowi powiem?! Że wszyscy durni i nikt nie powiedział: jedź babo do szpitala!

Nasza dziewczyna Melańcia widząc mnie nad grobem wystraszyła się i powiedziała do siostry męża, Józki: - Pani doroha! Olha umrze, pan Wicko z wojny nie wróci, kto mi zapłaci?!

Próbowano ją zatrzymać na wszelki sposób. Najstarsza siostra Wicka, Paulina, nawet żartowała: - Nic się nie martw, Melańciu. Olha umrze, Wicko z wojny wróci, to się z tobą ożeni...

- A ja znaju, czy win mene schocze?! - i niepewna tego ożenku na wszelki wypadek odeszła. A mnie na drugi dzień siostra Wicka Paulina i brat Sławko zawieźli do Probużnej do szpitala. Tam obejrzał mnie ten sam felczer, młody chłopak Polak, i mówi, że stan ciężki, on tu nic nie może pomóc, żeby mnie wieźć do Czortkowa.

Tam Ruscy w szpitalu mają więcej lekarstw.

Co mi ta Ruski pomogą? - pomyślała, ale była tak słaba, że mi było obojętne. I powiem panu jedno. Gdyby nie ta ruska lekarka, która się mną zajęła jak matka, to ja by z panem dziś nie rozmawiała. Ona mnie uratowała. Bo już zakażenie się wdało, ropa wszędzie - i normalnie bym z tego nie wyszła. Sławko przyniósł ćwiartkę świniaka i ona kazała mi podać penicylinę. Wtedy Ruscy już ją mieli z amerykańskich dostaw. To był duży wojskowy szpital. I ta lekarka trochę penicyliny dla ciężko rannych miała i ze mną się podzieliła. Po paru zastrzykach gorączka spadła, a ja poczuła się lepiej. Organizm młody szybko zareagował. I jak przedtem nawet powoli nie mogła chodzić, to po tych zastrzykach ziemi nie dotykała. Mogła biec jak dawniej.

Po wyleczeniu mieszkała jeszcze tydzień, dwa u tata przy stacji. Pamiętam, że raz przyszedł do mnie syn Galanta Henio. Jego starszy brat, Tadzio, poszedł z Wiekiem na wojnę. A ten Henio miał chyba niecałe siedemnaście lat i go na front nie wzięli. On jechał do Czortkowa i musiał

czekać na pociąg, to przyszedł mnie odwiedzić. Przywitał się ze mną grzecznie, pocałował w rękę i mówi: - Dobrze, że pani wyzdrowiała. Wojna wkrótce się skończy, mąż wróci cały i wszyscy pojedziemy do Polski.

Galanty i Lipińscy szykowali się już do wyjazdu.

Wróciła od taty do domu. Jarkiem przez ten czas zajmowała się Józka. On się do niej przyzwyczaił jak do matki.

I wtedy właśnie wezwano mnie do NKWD. Nie wiedziała, czego się mnie czepiają, była niewinna, wzięła listy od męża i poszła. Za biurkiem czekista spojrzał na mnie i mówi: - Nastia?

- Nie. Olga - odpowiadam. - Nastia jest żoną Jaśka Wawrowa, czyli Iwana Wincentowicza, a ja Wincentego Teodorowicza. Stąd wam się pomyliło. Obaj Wawrowowie są w wojsku. Mój mąż w polskiej armii - i pokazuję mu listy od Wicka.

On je sobie obejrzał, popatrzał na stemple, popatrzał...

- To powiedz, co ludzie we wsi mówią?

Ja wzruszyła ramionami i mu tak ostro odparła: - Phi! A co ja ta wiem!

- Jak to nie wiesz? Musisz wiedzieć! Żyjesz we wsi.

- Właśnie, że nie żyję - mówię. - Chorowałam i leżałam w domu mego taty przy stacji, a potem w szpitalu w Czortkowie po urodzeniu syna, który zmarł.

On nie bardzo chciał wierzyć, zezłościł się tą moją odpowiedzią, że ja taka harda, i krzyknął: - Ha! Nie chcesz tu mówić, to powiesz w Probużnej. Tam ja z tobą inaczej pogadam. Masz się zgłosić! - i dał mi nakaz z terminem.

Ja od razu wiedziała, o co chodzi, jak on mnie z Naścią pomylił. Ona była starszą siostrą Zacharczuków - Mopsów, którzy byli u Bandery. Myślę sobie, jak nikomu nie powiem, że NKWD jej szuka, to UPA się na mnie zemści. Poszłam więc do niej i mówię: - Słuchaj, Naściu. Oni mnie dziś za ciebie wzięli i coś wiedzą. Ty uważaj. Ona zmieniła się na twarzy i rzuciła

przez zęby: - To ta Josepowa kurwa Stefa. Jej robota!

Potem zła, że jej się to wymknęło, zmieniła temat, podziękowała mi, że ja do niej przyszła, my chwilę jeszcze pogadały o Jaśku i Wieku, co ta u nich w wojsku słycać, i ja poszła...

A trza panu wiedzieć, że jej chodziło o Stefkę Kostiw, córkę Josepa Kostiw-a.

Stefka trzymała najpierw z banderowcami, miała pseudonim „Róża”, a potem poznała przystojnego ruskiego czekistę i zaczęła się z nim ciągać.

Raz banderowcy zatrzymali się w nocy we wsi i pewni swej kwatery spokojnie zasnęli. Z rana otoczyły ich „strepki”. Ja sama widziała, jak ci banderowcy przez okna skakali ratując się na bosaka kto może. Dwóch z nich „strepki” zabiły. Ich ciała leżały na polu. Te „strepki” były bardzo młode, dzieci po kilkanaście lat, tylko ich dowódca był starszy i oni go nazywali dziadek.

- To byli Polacy?

- Tak. Ludzie we wsi się. trochu śmiali, że ci banderowcy przed tymi dziećmi tak zmykali i co to za armia. A ci znów wściekli byli, że ktoś ich wydał. Szukali i w końcu doszli, że to Stefa temu swemu czekiście donosi.

Ojciec Stefy, Josep Kostiw, miał cztery córki. Filkę, Gienkę, Pawlinę i najmłodszą Stefę, jeszcze pannę. Gienka wyszła za Karola Lipińskiego, Polaka, który pracował jako robotnik przy kolei u nas na stacji. I stała się Polką.

Lipińscy mieli pięcioro dzieci. Trzech chłopców, dziewczynką i niemowlę, może z miesiąc. Filka wyszła za Galanta też stając się Polką. Janek Galant był hallerczykiem, dróżnikiem na naszej murowance. Naprawiał ją między Hadyńkowcami a Probużną i Oryszkowcami na Sz wajkowce. We wojnę lutował garnki i naprawiał je.

Mieszkał w Hadyńkowcach na skraju lasu. Dorabiał sobie jako stolarz

przy teściu, bo Josep Kostiw był cieślą. Najstarszy ich syn, Tadzio Galant, bił się na froncie jak Wicko i z wojny nie wrócił, a Galantom w domu zostało dwóch młodszych synków - Henio i Ziunio. Bardzo grzecznych, dobrze wychowanych chłopców. Pawliną wyszła za Mechaluka - Ukraińca.

No i jednej nocy, proszę pana, banderowcy najpierw zajechali do Lipińskich.

Gienka zdążyła nakryć pierzyną córeczkę Lusię, która spała z nią od ściany - i oni jej nie wykryli. A Józio Lipiński był z babcią Josepycha w warsztacie i ona go w tym warsztacie schowała. Całą resztę - Lipińskiego, Lipińską, dwóch synków i niemowlę wzięli na furę i wywieźli. To samo zrobili u Galantów. Nie byli tylko u Mechaluków i jedna Pawliną z tych siostr ocalała.

Filkę Galantową „strepki” na drugi dzień znalazły w studni na fulwarku hrabiego Cieleckiego razem z tym najmniejszym dzieckiem Lipińskiego, co miało miesiąc.

Gienia Pohorecka mówiła, że strzały się tak sypały, że cembrowina aż się chwiała. Czyjś mózg walał się w trawie. Dalej dowódca „strep-ków” zakazał szukać i nie wiadomo, kto tam w tej studni na dnie był.

Nad Stefą przed śmiercią strasznie się znęcali. Obcięli jej pierś, a drugą przypalali pogrzebaczem. Łamali jej kości. Straszne...

Podobnie męczyli Janka Galanta. Trzymali go tydzień u „Kłapocia”. Tak my nazywali Bajraka. „Kłapoc” mieszkał w domu po Srułu, którego ja widziała, jak Niemcy gnali na stację do transportu. „Kłapoc” trzymał z banderowcami. Galantowi kazali zrobić własną trumnę. Ludzie we wiosce mówili, że jak go znaleźli, to skóry na ciele nie miał, bo pasami z niego darli i lali atrament. Tak za zdradę Stefki się na nim mścili...

Z Galantów nikt nie przeżył.

Z Lipińskich ten Józio wyjechał ze stryjkiem Lipińskim do Polski, a

Lusię Lipińską wywiozła ciotka Pawlina Mechaluk, która też z nami wyjeżdżała i potem mieszkała w Głubczycach. Tak, że stara Josepycha została w Hadyń-kowcach sama.

Ten Józio Lipiński bardzo ładny był, włosy bielutkie, wykształcił się, został lotnikiem i zginął w katastrofie lotniczej pod Gdańskiem. Jak to los czasem niektórych wybiera, prawda? Tu ocalał, a w Polsce zginął. Ja dziękowałam Bogu, że mój Wicko był na froncie i z nim nie zrobili tego co z Galantem. Przynajmniej jakby zginął - to na wojnie.

Długo wyrzucała sobie, że trza mi było nie mówić Naści Wawrow o tej rozmowie w NKWD. Ona zaraz doniosła braciom, a bracia w UPA. I wyszło na Stefę. Ale oni chyba wcześniej ją mieli na oku...

I tak to, widzi pan. Zachciało się Stefie ciągać z przystojnym czekistą i jedenaście osób przez to zginęło. Takie to były czasy.

Pamiętam ich pogrzeb. Po nabożeństwie w naszej cerkwie i kazaniu księdza Mykietina przyjechał z Rajkomu szef NKWD. Na podwórku szkolnym zwołał wiec i na nim przemawiał.

- Jak można tak męczyć ludzi?! W ten sposób?! - oburzał się. - To nie mieści się w głowie! Tylko bestie i faszystowskie zbiry tak robią! My uczciwi, spokojni sowieccy ludzie potępiamy tę zbrodnię! Odcinamy się od niej. Sprawcy tego ohydneho czynu będą surowo ukarani. Nasze praworządne, ludowe państwo nie da sobie zakłócić pokojowej pracy przez paru wyrzutków i degeneratów! Zgnieciemy banderowską gadzinę! Gdyby nie ta dzielna kobieta - wskazał na Josepychę z Lusią Lipińską na rękę - to by to biedne dziecko też nie żyło. Znaleźlibyśmy je w studni jak tamte niewinne ofiary!

Wielu ludzi płakało. Pierwszy raz u nas we wsi tylu bliskich sąsiadów zginęło...

W Probużnej w NKWD miała szczęście, proszę pana - opowiada dalej

pani Olga. - Jak się do nich zgłosiła, to przepytawał mnie inny czekista. Ja mu powiedziała, że była w szpitalu, chorowała, ledwie wyżyła.

- Coś na umarłą nie wyglądasz. Cera gładka, buzia rumiana, tylko szczyp-nać - zaśmiał się i pogładził mnie po policzku. Nie mógł znaleźć żadnego papieru. Moje wezwanie uznał za pomyłkę. Jeszcze my się trochu podroczyli i puścił. Gdyby ta trafiła na tamtego, to on by mnie dobrze potelepał. Za to, że ja mu się tak stawiała...

- I kto, według pani, wydawał te wyroki? - wróciłem do sprawy UPA i morderstwa Stefy.

- Ja ta wiem? - odparła Olga Wawrow prawie tak jak wtedy w NKWD. Chyba „Bławatny” - rzekła po chwili ostrożnie. On był ich głównymprowid-nykiem.

Potem Kornelko Stefaniuk „Stepowy”, Romek „Bomba”, Wasyl Do- czak. - To był ich zarząd.

Jedyny jaśniejszy punkt w tym strasznym 1944 roku był nagły powrót mego tata Martyna - podjęła znów. - My się go wcale nie spodziewali. To był najfajniejszy gift pod choinkę, proszę pana. Bo on akurat przed Bożym Narodzeniem dotarł do nas z za Uralu. Jak wszedł z brodą po pas, w szmatach, to ja była pewna, że to dziad jakiś! Chciała go przegnać. Dopiero gdy zawołał: - Oldzia doroheńka! - i rozwarł ramiona, ja poznała mego tata. My rzucili się sobie na szyję. Ale strach było go tknąć, bo wszy po nim skakały strasznie. Trza go było szorować w balii.

A całe ubranie wrzucić do pieca i spalić.

- I jak on uciekł?

- Trochu na nogach, trochu koleją. Ciężarówek się bał.

- A kolej ą jak jechał?

- Na torbę. Na torbę po cukrze, proszę pana. Mój tato zawsze sprytny był. Na stacji zobaczył, że straż kolejowa krzyczy do tłumu: - Propusk dawaj!

- i oni wszyscy podnosili rękę z bumagą. Więc tato wziął szarą torebkę po cukrze, złożył ją fajno w propusk i też podniósł w górę. Strażnicy kolejowi nie mieli czasu sprawdzać w tłumie i ich przepuszczali.

- Ich?

- Bo we dwóch jechali. Tato i Kość Duszan. Sąsiad z wioski. Kość się tata czepił, bo wiedział, że z Martynem nie zginie. On ta w każdej sytuacji da sobie radę. I dał. Dotarli zza Uralu do Hadyńkowiec.

- A jak wydostali się z łagru?

- To nie był łagier, proszę pana, a pasiołek. Kołchoz przymusowej pracy. Tam ich tak nie strzegli. Brygadzista był z mego tata zadowolony, bo on przodował i wyrabiał normę. Do tego zgadali się, że walczyli na jednym froncie. Ten brygadzista też był pod Kamieńcem Podolskim. Dopiero pod koniec wojny przeszedł do czerwonych. A przedtem był biały. Jak mój tata powiedział mu, że on zna nie tylko ruskich strażników, ale i kanadyjskich - to ten zaraz kazał to sobie opowiedzieć. Jak usłyszał o tych kurczakach i sznycelkach, gazetach w czterech językach w kanadyjskim „dzejlu” to złapał się za głowę i krzyknął: - Jobjego mać! Wot Kanadijcy! Tiurma u nich kok restaran! - i kazał sobie non stop opowiadać. To była jego ukochana bajka. Wciąż prosił tata: - Martyn Danyłycz!

Skażytiepra kanadijskuju tiurmu w tym Winnipegie!

- i cieszył się jak dziecko. Za to dawał memu tatowi propusk na miasto.

A tata widzi, że ten kołchoz nie kanadyjski „dzejl”. Głód tu straszny, dojdą mrozy - to koniec. Zginie. Teraz już codziennie z rana któryś z jego kolegów z tych roboczych batalionów nie wstawał z pryczy. „Oho - mój tata pomyślał - ja tu zimy nie przeżyję. Trzeba uciekać póki ciepło. Jak umrzeć to w drodze do swoich - uznał. - Tu i tak śmierć”.

Naszykował więc zapasów i zdecydował, że wrzesień po żniwach najlepsza pora.

Miał propusk od brygadzysty i chciał ruszyć na miasto. Jak Kość to usłyszał, prosi, że on też chce iść. Tatowi głupio było mu odmówić, bo u brata Kością mieszkał w Winnipegu, jak razem pracowali w Kanadzie. Opowiedział temu brygadziście jego ulubioną bajkę i ten dał propusk na miasto i dla Kością.

Ucieszony Kość przekonywał tata, że we dwóch będzie im lżej. Tato potem śmiał się, że lżej to było Kościowi. Kość mały jak żuczek, na półkę wlaź i znikł. A tato większy, to go Ruski wciąż ciągali. Raz konduktorkę po butach całował, by go z wagonu nie strącała, a ona go kopała i spychała pod koła. Ale jak ich z jednego pociągu wyrzucali, to łapali drugi. We wojnę w Rosji zamęt był i jakoś na tej torbie po cukrze przyjechali. Jedli, co im w ręce wpadło.

Raz jastrząb upolował kure, tatowi udało się mu ją wyrwać. Upiekli na ognisku i mieli. Innym razem kołchoźnikowi spadł z wozu worek owsa, znaleźli go na drodze, sprzedali i znów mieli. Ale bidowali strasznie. Od tego czasu tato powtarzał: - Kto nie był w głodnego rękach - ten nie wie.

Jak przyszedł do wsi i zobaczył swoje pole - to zapłakał. Wszędzie były zebrane kartofle, tylko nie na jego polu. Pomyślał, że albo wszystkich wywieźli, albo wybili.

- A kto miał robić? - mówi Irka Bodnaruk. - Macocha umarła, siostra Olga sama ledwie żywa po tym porodzie, a my dzieci... I tak wspomina ten powrót ojca: - Był wieczór. Ciemno. Edżko Rasiewicz, co się u nas krył, słyszy szmer. Wygląda - drab jakiś. Do bramy się pcha. Więc cap za karabin i mierzy w niego. W ostatniej chwili coś go tknęło i krzyknął: - Stój! Kto idzie?!

- Swój! To ja! - odkrzyknął batko.

- Jezus Maria! Martynie! - przeraził się Edżko. - Toż ja bym was zabił, człowiecze! Byłem pewny, że to banderowiec mi bramę wyważa.

- A to nie banderowiec, lecz cień gospodarza! - zaśmiał się batko. I

dopiero wtedy my po tym śmiechu wszyscy poznali, że ten straszny, brodaty dziad to nie zbój żaden, tylko nasz batko.

Przesłuchujemy z Leszkiem na Geoffrey Street taśmę z jego rozmową z ciotką Marią Antoniów i jej córką Halusią Łabus nagranych w Jeleniej Górze.

Pani Maria podczas drugiego wejścia Rosjan pracowała w „Prijomdomu”. Był to łagier, w którym trzymano młodzież. Do tej pracy wysłała ją nasza polska organizacja. Jej mąż zaś przez krótki czas zarządzał młynem w Czarno-końcach, gdzie pracował przed wojną, a na jesieni 1944 roku, po likwidacji przez UPA załogi młyna w Hadyńkowcach, został nowym jego kierownikiem.

To stanowisko zwalniało go z wojska. Jako kierownik młyna, nie podlegał przymusowej mobilizacji.

- Nie chciałam, by on szedł do młyna - mówi z taśmy Maria Antoniów
- ale mąż nigdy mnie nie słuchał i niczego się nie bał.

- Co mogą zrobić?! Ja nikomu krzywdy w życiu nie zrobiłem, ludzie mnie znajapowtarzał.

- Ale ten młyn Cieleckich jest przeklęty! Zrozum! - tłumaczyłam mu. - Kto bierze go, ten ginie. Zauważ! Najpierw Szlomko z Wajronem, potem Bazyłykut z Zadorowskim, a teraz ty się pchasz?! Mało ci tamtych?!

- Do trzech razy sztuka, Mańciu! Zawsze kraczesz. I czarno widzisz. Mam we wsi wsparcie, ludzie czekają z ziarnem. Nie bój się. Nie dadzą mi zginąć. - I objął ten młyn. W dni powszednie mieszkał w Hadyńkowcach, a z soboty na niedzielę wracał do domu do Kopyczyniec. W poniedziałek rano brał świeżą bieliznę i ruszał znów do młyna.

- Gdzie on mieszkał, ciociu? - spytał Leszek.

- U Bodnaruków, rodziców Stepana. Celowo u nich. Nie u Polaków. Stary Bodnaruk szanowany gospodarz, ojciec narodowego bohatera, co zginął za samostijnu Ukrainu - gdzież lepsza kwatery?! W ich domu czuł się

bezpiecznie. I wygodnie. Miał trzy kroki do młyna. Zabrał z domu poduszkę, pierzynę, bieliznę pościelową i u nich w tygodniu spał. Miał tam swoje łóżko.

W sobotę jak zwykle przyjechał do domu. Poprzedniego dnia Ukrainiec Mielcarek udając pijanego próbował mnie ostrzec: - Sąsiadko! Nie puszczaj męża w poniedziałek do młyna! Nie puszczaj go za Boga!

Trzymaj w domu!

- Dlaczego?!

- Ja jestem pijany, nic nie wiem, ale niech on tam nie jedzie. Nie jedzie. Bo będzie nieszczęście. Ja nic nie wiem. Pijany jestem - i odszedł. Ja to Józkowi powtórzyłam, ale on machnął ręką: - Pijackie gadanie, Mańciu. Nie słuchaj, W sobotę wieczór ktoś do niego strzelił zza studni. Kula przeszła mu nad głową.

Ale i ten strzał go nie wstrzymał. Kiedy go błagałam, by został, odparł: - Nie zginę, Mańciu. Kto ma strach za pazuchą, ten się wita z kostuchą! A mnie nie powita, bo się jej nie boję. - To było jego zawołanie. Przed każdą akcją.

Gdy wkładał za pazuchę pistolet lub jakąś bibułę. Wracając krzyczał: - Widzisz?!

Józek jest, bo Józek w czepku urodzony. - I opowiadał, jak się śmierci wywinął.

Teraz też wierzył, że tak będzie.

W poniedziałek rano, osiemnastego grudnia, jak zwykle ruszył do pracy piechotą.

Wziął ze sobą pieniądze, bo we wtorek rano w Probuźnej był targ i chcieliśmy na nim zrobić zakupy na Gwiazdkę. Umówiliśmy się, że ja do mego we wtorek rano przyjdę do młyna. W poniedziałek wieczór zasnęłam normalnie. O drugiej w nocy zadzwonił budzik.

Zdziwiłam się, bo go nie nastawiałam. Ale szybko znów zasnęłam.

Rano, tak jak się umówiliśmy, poszłam do niego do młyna. Przychodzą
- zamknięty.

Stukam, pukam - nic. W końcu ktoś mi otworzył. Pytam o kierownika.
A ten chłop mówi, że on nic nie wie, od rana go nie było. Więc idę do
Bodnaruków. I widzę, że na podwórzu wisi jego pościel. Ale są na niej
rdzawe plamy, które nie dały się sprać. Pełna złych przeczuć pytam o męża.

A Bodnaruki zmieszane mówią, że w nocy po niego przyszli. Nie dali
się ubrać, w bieliźnie wyprowadzili na dwór, wsadzili na wóz i powieźli.
Dokąd - nie wiedzą.

- O której godzinie? - pytam.

- Coś druga była - odparli. Wtedy ten budzik zadzwonił.

- A te plamy po krwi? - wskazuję na powłoczkę.

- Aaa - mówią. - Mąż się stawiał, nie chciał z łóżka wstać, któryś go
szturchnął i trochę krwi się polało...

- Kto go bił?!

- Z UPA. Ukraińcy - mruknął Bodnaruk.

- Wy też Ukraińcy! - krzyknęłam. - Spod waszego dachu wzięli
człowieka, który wam zaufał, i wy nic?! Pozwoliliście na to?!

- A co my mogli? Z bronią przy szli w sześciu, szczęście, że nas nie
zabili.

- Przecież to wasi, z wioski.

- Nie nasi. Obcy. My ich nie znali - zapewniali.

- I gdzie męża wywieźli?!

- Na dworską aleję. W stronę folwarku.

Tyle się dowiedziałam. Gdy w Kopyczyńcach poszłam na komendę
prosić o milicję i „strepków”, by go szukali, to jeden Moskał, który tam był,
zaśmiał się: - Tylu naszych na froncie ginie, a ty nam każesz za jednym
Polaczkiem się uganiać?! Jak żyje, to wróci, a jak nie żyje, to my mu nic nie

pomożemy.

Udałam się więc sama na poszukiwania. Czułam, że go zamordowali, chciałam tylko znaleźć ciało, by go pochować. Niestety. Nikt mi nic nie umiał powiedzieć. Mąż przepadł jak kamień w wodę. W zimie te poszukiwania utrudnione, ziemia zmarznięta, śnieg. Czekałam do wiosny. Ale na wiosnę też nie znalazłam. Mówiono, że wrzucili go do studni na folwarku Cieleckich. Ale wydobyć go nie chcieli. Mam żal do Bodnaruków. U nich mieszkał, powinni go ostrzec, że UPA chce go zabić. To mnie, Polkę, w Kopyczyńcach ten Mielcarek ostrzegł i wiedział, a oni, Ukraińcy, w środku wsi nie wiedzieli? Gdzie pełno krewnych i co drugi Bodnaruk w UPA?

Choćby ten Romek „Bomba”. Trzymali z nimi. Dlatego Józka nie ostrzegli. Jak u nas Żydzi mieszkali, to my za nich odpowiadaliśmy. Własnym życiem i życiem naszych dzieci. A oni nic nie mogli, nic nie wiedzieli. Nie, nie. Byłam w kon - spiracji i wiem. Zdradzili go. Taka jest prawda. A wszystko przez tę jego głupią pewność. Ufał Ukraińcom, sobie, że śmierć się go nie ima. To mu kostucha pokazała. Tak go powitała, że do dziś ciała nie można znaleźć. Taki miałam prezent na Gwiazdkę. To było najstraszniejsze Boże Narodzenie. Pierwszy raz bez Józka...

- Roman „Bomba” nie jest z tych Bodnaruków. Żaden krewny Stepana. Sprawdziłem to - rzekł Leszek. - Ale „Bomba” mógł wydać wyrok. Z „Bławatnym” i Komelką. Był w ich sztabie...

A taką wersję śmierci Antoniowa przedstawia Stepan Bodnaruk, świadek tego wydarzenia.

- Akurat Kacapy dały mi przepustkę z wojska i spałem w domu. W nocy jacyś ludzie zaczęli tarabanić do drzwi. Ojciec im otworzył. Weszli, uchylili pierzynę, przystawili mi automat do ucha i pytają: - Ten kto?!

- Mój syn Stepan - mówi ojciec.

- Dobra! - zdjęli mi lufę z głowy i zaczęli sprawdzać inne łóżka. Ja

udałem, że śpię. Nakryłem się pierzyną, odwróciłem do ściany i drzę, by mi kulki nie wpakowali za to, że ja krasnoarmiejec. Kacapom służę. Antoniów spał w drugiej izbie, więc zaraz go mieli. Nawet mu się ubrać nie dali.

- Na bosaka nie pójde! Czego wy ode mnie chcecie?! Jestem młynarzem, nie zbrodniarzem. Nic wam nie zrobiłem! - bronił się.

- My już wiemy, coś zrobił. Zbieraj się!

- To dobra liudina - wtrącił ojciec.

- Zostawcie go. On niewinny - błagała ich matka.

- Stul mordu, stara! I ciesz się, że ty na wozie nie jesteś, Laszko!

Bo moja matka była Polką. Z domu Górską. Jej starszy brat, Władysław - policjant.

Jeszcze za Austrii. Twierdził, że to on aresztował Lenina, gdy służył w policji w Zakopanem. Żał, że aresztował, a nie zastrzelił, co?! Nie byłoby Kacapów u nas - zaśmiał się.

- Pan myśli, że to prawda? - wtrąciłem.

- Wuj tak mówił. W sekrecie, bo Kacapów się bał. Dlatego już w 1926 roku wyszedł z policji. Ale służył w Zakopanem na pewno. Jako emeryt przyjechał do Hadyńkowic do rodziny i ożenił się z Józka Ślusarką - córką Ślusarza, co robił na kolei.

- A Zosia Ślusarka z młyna to krewna? - spytałem.

- Młodsza siostra mojej ciotki Józefy. Josepy, jak ją nazywaliśmy - odparł. - Bracia wuja Władysława policjanta i mojej matki wyjechali do Kanady i ich synowie są dziś milionerami. Mają tu wielkie farmy.

- I nic mu Rosjanie nie zrobili?!

- On emeryt, nie mieszał się i Kacapy dały mu spokój. A banderowcy chcieli go zabić. Ja przypadkowo usłyszałem i ostrzegłem wuja Władka. Długo nie nocował w domu. W Polsce po wojnie miał wpis w dowodzie, że nie może dostać żadnej państwowej posady...

Gdy Olgę Wawrow spytałem o tego wuja Władka, to odparła nieco zakłopotana: - On przede wszystkim był pijak, proszę pana. Długo o Józkę Ślusarkę się starał, ale ona go nie chciała. Wolała młodszego. W końcu się na niego zgodziła mówiąc: - Taki ta widać mój garbaty los.

To zdanie świetnie pamiętam, bo ludzie we wsi je powtarzali...

- A Antoniowa nie można było ostrzec? - spytał Leszek.

- Ja w domu nie byłem. Przypadkowo nocowałem - odparł Stepan Bodnaruk.

- A rodzice?

- Nie wiedzieli. Ci banderowcy nie byli od nas. Nikt ich nie znał.

Musiał być wyrok wydany - kierownik sowieckiego młyna, no to ciach! Dużo to wtedy trzeba było?!

To była przykra sprawa. Dla rodziców i dla mnie. Oni to bardzo przeżyli, że z ich domu go wzięli. Ojciec się tym gryzł. Hardy był. Szczycił się tym, że ludzie go za człowieka mają.

- Jeszcze przed śmiercią ojca, po wejściu Rosjan - mówi kuzynka Leszka Halusia Łabus - wielu Żydów, którym za Niemców pomagał, przychodziło do nas, często mieszkało. Między innymi ten młynarz z Czortkowa Bergman, co ocalał u tego biednego furmana w Czarnokońcach. Pamiętam, że bardzo na niego narzekał: - Ciasno miałem, źle mnie karmił, pierogi zawsze postne dawał, bez omasty...

- Sam biedak. Co miał dać?! - bronił go ojciec.

Kiedy Bergman wciąż na niego narzekał, mój ojciec się zdenerwował i wygarnął mu: - Słuchaj! Ty wstydu nie masz! Chłop ci życie uratował, własną głowę nadstawiał, a ty o pierogach mówisz?! Zamiast całować go po rękach?! Pięknie się odwdzięczasz, cholera...

- Ty nie krzycz Józek. On nie ma źle. Ja mu całe swoje kamienicę w Czort-kowie zapisał.

- Z NKWD w środku - zaśmiał się tata, bo Rosjanie już mu ją zarekwirowali. - Dużo on z tego będzie miał! Nie wzbogaci się. To były przykre sprawy.

Leszek wyłączył dyktafon.

- Ale czasem są dowody wdzięczności. Mam tu dokument dotyczący prano cy mojej ciotki w „Prijomdomu” w Kopyczyńcach i jej dalszej działalności w Polsce - rzekł Leszek i podał mi pożątkłą kartkę maszynopisu.

Było to „Poświadczenie” Edwarda Apanela, któremu Maria Antoniów uratowała życie, gdy aresztowany przez NKWD i umieszczony w łagrze w Kopyczyńcach miał być zesłany na Syberię.

Wracamy do taśmy.

- Jak to było z tym Apanelem? Ciozia go sobie przypomina? - pyta Leszek.

- Oczywiście. Wtedy mój syn Kazik zgłosił się na ochotnika do Kościuszkowców, walczył na froncie i ten chłopak bardzo mi mojego Kazika przypominał. Stał mi się bliski. Postanowiłam go ratować, bo oni ich wszystkich wysyłali do kopalń Donbasu i dalej na północ.

- On pisze, że ciozia wykupiła go od komendanta łagru.

- Za dwa litry spirytusu. Dwa litry spirytusu mnie kosztował, pamiętam. Ja miałam fundusze z polskiej organizacji na wykup tych chłopców. Na szczęście komendant był pijus i jego pijaństwo bardzo pomagało w tej akcji. Za spirt gotów był wszystko zrobić. To był duży plus. Ten jego nałóg.

Maria Antoniów wraz z dziećmi i Paczkowskim-Apanelem repatriowała się w połowie kwietnia 1945 roku do Polski.

- Mielśmy papiery na wyjazd, ale mama wciąż zwlekała licząc, że na wiosnę uda się jej znaleźć ciało ojca, co niestety okazało się niemożliwe - mówi Halusia Łabus. - Terror UPA rósł z każdym dniem. Wciąż mordowano

Polaków w straszny sposób. Naszego księdza z Kopyczyniec wezwano na pogrzeb, jak przybył, to w trumnie zastał szmaty, a żałobnikami na cmentarzu okazali się banderowcy.

Koledze mego brata przed zabiciem rozcięto nożem usta od ucha do ucha i na szyi powieszono kartkę: Majete Polszczu od moria do moria...

Wszędzie słyszałam ich hasło: „Za San Lasze, bo to nasze!” Ludzie rzucali wszystko i wyjeżdżali byle ujść z życiem. Strasznie przeżyliśmy spalenie Majdanu w styczniu 1945. U nas kwaterował sowiecki oficer, bardzo miły chłopak, lejtnant. Jak zobaczył z okna łunę nad Majdanem i usłyszał, że wieś się pali, to pobiegł szybko do koszar, by nieść pomoc. Po chwili wrócił złamany: - Nie ma rozkazu. Zabronili nam!

Pamiętam, jak bił pięścią w stół i wykrzykiwał wściekle: - Uch kanalii, swołoczy! Zbiry! Tam giną ludzie, a nam każą stać z bronią u nogi - niemal płakał z bezsiły...

Olga Wawrow ze spalenia Majdanu zapamiętała dużego, żółtego psa z nad-smoloną sierścią, który jak oszalały wpadł na jej podwórko.

- On miał czerwone z żaru oczy. Bez rzęs. Z rozpaczą szukał swoich gospodarzy.

Zadbany, z fajną obrozą, musiał mieć u nich dobrze. U nas nic nie jadł, nawet wody nie tknął, tylko ich szukał. Potem wrócił na Majdan i warowa zgliszczach. Ja go chciała wziąć, bo to duży, morowy pies, żal mi go było się nie dać. I przy tej spalonej chacie w końcu zdechł...

Coraz częściej w naszym domu - mówi dalej pani Olga - szukali kwa Ruscy i banderowcy. Raz, pamiętam, wieczorem ktoś tarabani do dn
Otwieram - nikogo nie ma, proszę pana. Tylko z mroku słyszę głos: - Masz ich karmić i trzymać! Dopóki nie przyjdę - ktoś rozkazał i znik a dwóch wsunęło się do środka. Byli obcy i ja ich nie znała.

Dała im do jedzenia chleb, mleko, bo nic innego nie miała. Dała im c

sta pościel i ci chłopcy zmęczone zaraz posnęli. Rano kazali sobie w< grzać. Myli się w balii i golili. Byli strasznie brudni i zarośnięci. Jak chc wyjść, to my im dawali chustki i spódnice, oni przebierali się za kobiety i szli do klozetu.

Inaczej strach, bo po wsi w dzień pełno Ruskich się włóc ło. Ci chłopcy byli bardzo grzeczni i kulturalni. Widać studenci po szkole, nocy zastukał ten sam gość, znów skrył się w ciemności, wywołał ich i 01 nim poszli. To musiał być ktoś z wioski, tylko ja go w tym mroku nie pozn; W jakiś czas po nich wpadła ruska lotna z Czortkowa, obławę po wsij robić.

Ordynans wszedł i mówi: - Tut mój kapitan budiet spać. Jewo kwartira!

Po chwili wchodzi ten kapitan, w ręku trzyma gazetę zrolowaną i tą gaz mnie po policzku gładzi.

- Wot kukają chaziajka. Kurnosaja... Ty ze mną dziś będziesz spać - i i pogwizdując siada do stołu. Skręcił z tej gazety papierosa i uśmiecha się. Mówię o kapitanie Józce, a ona mi radzi: - Kładź się koło dziecka i już.

- Dużo mi ta dziecko pomoże...

Rozpacz mnie wzięła. Co mi robić?! - myślę. Patrzę na obraz i proszę Matko Boska ratuj mnie! - Widzę okno w izbie rozpięte. Ten kapitan gada kuchni pewny, że już mnie ma, spokojnie pali papierosa i rozmawia z Józł Ja tymczasem cicho po łóżku Jarka do okna hop, nogi spuszczam i myk podwórze. Potem słyszałam wrzaski, przekleństwa. Mój kapitan biegał z n ganem i krzyczał do Józki, żeby mnie szukała, bo inaczej chałupę spali.

Pobiegał, pokrzyczał i położył się sam. O drugiej w nocy padł strzał i zbiórkę.

Zajechał umówiony forszpan, powsiadali na fury i pojechali na obł we do innej wsi.

I tak to Matka Boska z obrazu mnie uratowała. Doradziła, co trza mi robi Spytałem Jarka, co pamięta z tego okresu.

- Pamiętam jak żołnierz na kwaterze leżał na łóżku i strzelał do much pistoletu.

Nudziło mu się, to walił w sufit.

Ja też miałem rewolwer. Wraz z pasem oficerskim, w pięcioiej, skórzanej k burze. Jeden Rosjanin dał na drodze. Wyjął z bę_bna ładunki, zarepetował i wręczył: - Na, malczyk! Strielaj Giermańca! I na Bierlin!

Jeszcze mi ten pas pomógł zapiąć, dwa razy nim okręcił i pokazał innym.

- Smatritie, rebiata, kakoj kamandir! Gieroj Czapajew \ - zaśmiewali się, bo mnie ta kabura sięgała do pięt. Ale nagan był. Brałem go w dwie ręce, unosiłem nad głowę i: trach! trach! - strzelałem. Szczęśliwy, kurczą. Lepszej frajdy nie mogli mi zrobić. Oczywiście zaraz mi ten nagan z pasem ktoś zabrał, ale co go ponosiłem to moje.

Ci frontowi żołnierze - ciągnął Major - byli bardzo prości i weseli. Zawsze z harmonią. Siadł ci taki na becze, harmoszkę rozciągnął i dawaj zapiewać! Inni do niego zaraz dołączali i był chór. Zaczynały się tańce. Pamiętam, jak jeden puścił się w kozaku, to naszą studnię przeskoczył. A potem szedł na kolanach jak bez nóg. Cyrk, kurczą.

Nie mieli żadnych wymagań. W śniegu się obmył i okay. Wszystko umiał zrobić.

Jeden sałdat cały dzień siedział u nas w kuchni i klepał młotkiem kawałek aluminiowej blachy wyciętej ze strąconego samolotu. Z rana była blacha, a wieczorem łyżka do zupy. Zjadł sobie nią potem naszej zacierki, oblizał, zatknął za cholewę buta i wsio. Inny znów z puszki od konserw zrobił sobie kubek.

Doprawił do niej elegancko ucho - i miał.

Natomiast ci z oddziałów specjalnych NKWD, którzy szukali banderowców, byli całkiem inni.

- Bez harmoszki?

- Za to z rożnami. Mieli dwumetrowe pręty, z przodu zakończone w ostry szpic, a z tyłu z uchwytem na rękę. Te pręty były cienkie i lśniące, wyszlizgane od ciągłego klucia. Przeszpilali nimi stogi siana czy słomę w stodole. Zawsze z tymi rożnami chodzili i dźgali. Po tym ich poznawałem.

- Pamiętam dzień Zwycięstwa w Hadyńkowcach, proszę pana - mówi Olga Wawrow. - Ruski jechał na gniadym koniu ze wstążkami i grał na trąbce. Wie pan, jak to za Sowietów. Jeść nie ma co, ale trąbki i wstążki zawsze muszą być. Ten sałdat jechał na tym koniu, trąbił i krzyczał: - My faszysta pobili! Gitler kaput! Da zdrastwujet tawariszcz Stalin! Ale my się ta wcale nie cieszyli. I nikt im wianków z kwiatów nie robił...

W tym czasie siostra męża, Józka, miała piękny sen.

- Idę drogą na cmentarz - mówi - i podchodzę do figury świętego Józefa w rogatywce, który tam stał. Rozglądam się, żeby ludzie nie widzieli, i pytam cichutko: - Święty Józefie? Powiedz mi. Będzie Polska?!

A Święty Józef kiwa głową i odkrzykuje po polsku: - Będzie! Będzie!

Ale tak głośno krzyczy, że ja uciekłam i obudziłam się. - Łzy Józce ciekły po twarzy, pamiętam, jak ten sen opowiadała.

Mój Jarko bardzo ją kochał. Józka ułomna, dużo się z nim bawiła. V snych dzieci nie miała. Jarko wolał być z cicią Józka. Ona więcej w dc była, boja w pole musiała iść. Ona uczyła go modlitwy pod wiśnią, bajki czytała. Starsza ode mnie, więcej cierpliwości miała.

Józka wierzyła w ten sen i czekała na Polskę. Nie wyjechała. Została z c rą matką. Dopiero jak teściowa Hanuśka zmarła w trzy lata po wojnie, to v ło się nam z Wiekiem ściągnąć Józkę w 1958 roku do Polski.

Zamieszkała z nami w Prudniku i Leszek z Ewą ją poznali i bardzo poli li.

Szczególnie Leszek zamęczał ją, by mu bajki opowiadała. Bardzo lubił

słuchać.

My wciąż nie wiedzieli, czy będzie Polska w Hadyńkowcach, czy i Ludzie różnie mówili. Ale coraz bardziej wyglądało na to, że będzie to jest. Sowiety. Mąż był w wojsku, ale ja się bała, żeby on tu wrócił. Je żołnierz przyjechał na urlop, paradował w polskim mundurze i Ukrai go zabili.

Tak, że robiło się u nas coraz mniej fajno, proszę pana.

- Mnie Kacapy wzięły do Czerwonej Armii - mówi Stepan Bodnaru
Walczyłem na Węgrzech i w Austrii. Potem na Bałkanach. Raz, w Bułg; idąc do ataku podniosłem z ziemi ot co - i wyjął z portfela małą karteczki jednej strony był Jezus ukrzyżowany, a z drugiej napisy w trzech językach polsku, po angielsku i po niemiecku, że tu są kwiaty z grobu Chrystusa w rozolimie. -
Widzicie? - pokazał.

- Ja ją wsunąłem do kieszeni i pobiegłem ataku. Zaczęło się piekło. Przy mnie wybuchł pocisk, który rozerwał paru łęgów. Widziałem, jak memu przyjacielowi Saszce głowa frunie w powiet Potem mną coś szarpnęło, odrzuciło, błysnęło i koniec...

Obudziłem się w szpitalu. W tej bitwie 4 kwietnia 1945 roku zginął c mój pluton.

Ja jeden ocalałem. Dzięki temu Chrystusowi. To mój talizrr Odtąd zawsze go noszę. Ponad pół wieku... Dlatego ten pyłek z kwiatów chę się stał - przeciągnął palcem po karteczce i z powrotem włożył ją do p fela. - Potem, jako inwalidę, zwolniono mnie z wojska. Wróciłem do dom w domu - gorzej niż na froncie. Niby pokój, a wojna. Nie wycofasz się, b dzień ci, w nocy ci pukają. I wciąż jesteś na pierwszej linii.

Wkrótce po moim przyjeździe szedłem w płaszczu podbitym kożuszką dwóch banderowców zatrzymało mnie na drodze.

- Dawaj! - krzyczą. - Rekwirujemy dla armii.

- To nie dość, że Kacapy wszystko biorą, wy też?!

- Ściągaj! - rozkazują mi.

- Strzelajcie, a ja nie ściagnę! - i wolnym krokiem oddaliłem się. Czek aż mi kulę władują, ale nie władowali. Człowiek szarpany był z dwóch stron. W końcu jedni i drudzy dali mi spokój. Przestali mnie nękać.

- Dlaczego?

- Bo ogłuchłem. Jak banderowcy wołali mnie do lasu, to rozkładałem ręce, nadstawiałem ucha i w kółko pytałem: - Co?! Co?! - W końcu machnęli ręką. Kacapy też. Jak długo z głuchym można rozmawiać?! Męka. Ale dzięki temu przeżyłem.

Inaczej bym gryzł ziemię jak brat. Czy Olha Bandura...

- Pan ją znał?

- Pewnie. To była moja dziewczyna. Chodziliśmy razem. Kacapy złapały Olhę i strasznie bili na NKWD, chociaż ona wtedy nie była w UPA. Stary Bandura przyszedł do nich, zaświadczył, że to jego córka i razem z nim wyjeżdża do Polski. Na tej podstawie Olhę zwolnili. Potem Bandura zostawił żonę z dziećmi i z inną kobietą wyjechał transportem. A Olha poznała Stefaniuka - ona Kornelce przypominała Stefę Bruhał, w której się kochał. Wciągnął dziewczynę do banderowców i ona z nim poszła do lasu.

Wzięli ze sobą ślub, a niedługo potem zginęli.

O tym ich ślubie nieco więcej opowiedziała mi Olga Wawrow.

- Bandurowie mieszkali dwa domy od nas. Olga była troszku młodsza ode mnie.

Bardzo ładna, gospodarska panna. Ale nie miała szczęścia. Jej pierwszy narzeczony, Sławko, ją rzucił, bo rodzice kazali mu się żenić z bogatszą panną.

Wtedy ona zaczęła się wodzić za rękę z Myrosławem Pohoreckim, proszę pana. Oni już mieli ze sobą brać ślub. Byli zaręczeni, kiedy Ruscy Pohoreckie-go wzięli i rozstrzelali. Wtedy dopiero kolega Myrosława,

Kornelko, zaczął ją pocieszać. Tak to było.

Kornelko z Olgą wzięli ślub w naszej cerkwie. Te śluby banderowców odbywały się zawsze w nocy. Ich czoty¹ otaczały cerkwę i ksiądz dawał im ślub nie wpisując nic do księgi. Ale ktoś doniósł. Olgę zaciągnęli na NKWD i strasznie bili chcąc z niej wydobyć nazwisko tego jej banderowca. Ona się jednak nie przyznała i to ją uratowało. Bo wkrótce stary Bandura pojechał wozem do Probużnej, przedstawił dokumenty na wyjazd i zeznał: - Jaka ona banderowka? Ona jest moja córka. Ja jestem Polak i razem z całą rodziną jadę transportem do Polski. - Na tej podstawie ją wypuścili. I dopiero wtedy poszła z Kornelkiem do lasu. A przedtem mieszkała obok mnie. Jaja codziennie widziała. Ludzie mówili, że ona ze Stefaniukiem miała nawet dziecko, proszę pana...

- Po tym ślubie Kacapy długo nie mogli ich wykryć - ciągnął Stepan Bod-naruk. - Zawsze wymykali się im z obławy.

Głównym ich prowidykiem w UPA był u nas „Bławatny”. On we wsi miał żonę i dziecko.

1 Straże.

- Czekaj! Ja powiem! - przerwała mu Irka Bodnaruk. - Jak ja kręciłam wodę ze studni dla moich krów, to Kramarczuczka, sąsiadka, zawsze mi ją podkradała. Ona nie miała studni, nie chciało jej się kręcić, brała moje wiadro, przelewała i poila swoją krowę. Mnie to w końcu zeżhło i mówię: - Ja ci nie będę wody kręcić! Nie jestem twoja dziewczka. Jak żeś taka mądra, szukaj sobie innej studni dla swojej krowy.

I ona poszła...

Następnej nocy banderowcy otoczyli nasz dom. Do mego batki wszedł „Bławatny” ze swoim sztabem. „Stepowy” też z nim był. I mówią: - Jak to jest, Martynie?! To my za wolną Ukrainę krew przelewamy, nie szcędzimy własnego życia i naszych dzieci, a ty kubła wody krowie żałujesz?! To jaki z

ciebie patriota?! My takich patriotów w studni jak koty topimy...

Batko tłumaczy im, że nic nie wie, nie on wodę kręci i nikomu jej nie żałuje. To jakieś nieporozumienie. Mogą brać, ile chcą. Oni jeszcze pogrozili, pogrozili i poszli. Rano batko mnie wzywa i pyta, komu ja wody ze studni żałuję. Więc mówię, że Kramarczuczka bezczelna pełne wiadro mi kradnie, nie myślę za nią kręcić, więc ją przegnałam. Batko mi rękę na kosach położył i mówi: - Dytyno! Niech kradnie. Dolej jej jeszcze, jak chcesz, by my żywi wyszli. I „siarap”! - przycisnął palec do ust.

Wtedy zrozumiałam, czyjej ja krowie wody żałuję. Mogliśmy za to drogo zapłacić.

Na szczęście batkę znali, wiedzieli, że z Sybiru niedawno uciekł, i mu tylko pogrozili. U Kramarczuczki była żona „Bławatnego” z dzieckiem. Ona się na mnie poskarżyła i stąd ta wizyta...

- A Rosjanie po tej ucieczce z Sybiru ojca nie szukali?

- Może szukali. On się najpierw u Olhy krył, a potem w Czortkowie zmienił literę w nazwisku. Z Wynnyczenki zrobił się Wyłyczenko. I jakoś go zgubili.

- Kacapy mieli inne zmartwienia, niż za twoim batką ganiać - wtrącił Ste-pan Bondaruk. - Najpierw Polaków musieli przegnać. I napuszczali Ukraińców. My im drogę robili. A jak Polaki wyjechali, to za nas się wzięli. Ot i tak. Przeżył człowiek.

Raz szukali banderowców i szli w górę wsi. Dom po domu czesali. Doszli do mnie.

Nic nie znaleźli. Ale kilkanaście domów wyżej mieszkał ojciec. I ja wiedziałem, że u niego na strychu są banderowcy. Jak ich złapią, to i ojca wezmą. Jak tu go ostrzec? Dom obstawiony, pełno wojska. No, nic, myślę. Spróbuję. Wziąłem worek, upchnąłem pustymi workami w środku, zarzuciłem na plecy i idę niby w polu robić.

Idę z tym workiem, idę, czekam, aż ktoś krzyknie: Stój! - ale nie krzyczy.

Udało mi się przejść przez ten kordon. Dotarłem do ojca i mówię, że Kacapy są u mnie i lada chwila tu będą. Pytam ojca, gdzie schował banderowców? Pokazał na dach stodoły. Wchodzę, wspinam się do nich po drabinie na zwyżkę, a z góry spuszczają się dwa automaty. Lufy mam na głowie, ludzi nie widzę.

- Wiejcie, na Boga, bo Kacapy już idą - mówię.

- Niech idą. My nie mamy gdzie wiać i będziemy się bronić!

Widzę, straceńcy, szkoda słów, wracam do ojca i mówię, że oni nie wyjdą. Będą się bronić. Ojciec, pamiętam, zbladł jak ściana, przeżegnał się i jęknął: - Tak myprapaly, Stepan - i opadł na ławę. Czekał na najgorsze. Na szczęście Kacapy przestali iść w górę wsi - i ojciec ocalał.

- Z moim batką podobnie było - przerwała mu pani Irena. - Przyjechał do nas Jarko Bazyłykut. Syn Wasyla...

- Tego zabitego we młynie przez UPA?

- Tak. On z matką mieszkał w Czortkowie i czekał na wyjazd do Polski. Przyjaźnił się z moim bratem Jarkiem i oni się razem bawili. Batko go ostrzegł, żeby on pilnował pociągu i przed nocą wrócił do Czortkowa. Ale on się z bratem rozbawił, zagadał, jak to dziecko, i gdy pobiegł na stację, to mu pociąg już uciekł.

Przyszedł i prosi żeby go przenocować.

Batko załamał ręce, ale nie miał wyjścia. Nie wyrzuci dziecka. Położył go z naszym Jarkiem na bombetlu. Ledwie zdążyliśmy zasnąć: Łup! Łup! Łup! - tarabaniądo drzwi i każą otwierać.

Batko po ciemku szura butami, pokasłuje, niby to się ubiera, i myśli, gdzie tego chłopca skryć. Spojrzał na nasz komin, złapał Jarka za kark i wepchnął do pieca chlebowego. Wciąż pokasłując i udając chorego poszedł

otworzyć im drzwi. A oni po tego Jarka Bazyłykuta przyszli.

Omiatają latarkami izbę, przetrząsają, ale chłopca nie widzą. Łóżka się zgadzają, rzeczy jego nie ma. Aż tu jeden rzucił snop światła na piec, zatrzymał na żelaznych drzwiczkach. Potem przesunął niżej. Na ziemię. A tam na blasze stały nowe, świeżo kupione buty tego chłopca. Ja struchlałam. Czekam, kiedy ten banderowiec te drzwiczki otworzy. On nachylił się, wziął te buty, potrząsnął nimi i pyta: - Czyje one?!

- Syna - odpowiada batko.

- Ja też mam syna. Twój ma tu drugie, a mój na bosaka do cerkwy lata - zabrał je i zadowolony wszedł strych rewidować. Rozgrzebali cały dom, powywracali, skotłowali, zrabowali trochę rzeczy i poszli.

Jak biedny Jarko z tego pieca wyszedł, to ja go nie poznałam. Był blady jak trup. Trząsał się, o tak. Nie mógł mówić. Rano mój batko dał mu buty naszego Jarka, odprowadził na stację, a przed wyjściem z domu powiedział: - Dziecko, żebyś ja cię tu drugi raz nie widział. Ty tu do nas nie przyjeżdżaj.

Jeśli nie chcesz wpaść znów w taką „chałepę” - wskazał na piec. - Ty cudem żyw...

I ten Jarko nigdy już do nas nie przyszedł. Wkrótce wyjechał z matką do Polski. Tak się na Bazyłykucie mścili, że on u Sowietów kołowa młyna. I synowi hołowu chcieli ukreć. Tak jak syna Ładźki Zadorowskiego, który był biednym kaleką, też zakatrupili.

- Skąd wiedzieli, że Jarko Bazyłykut u was? Przecież wasz dom przy stacji stał na stronie...

- Ne było strony, pane - rzekł Stepan Bodnaruk. - Wszystko widzieli. W dzień Kacapy we wsi rządziły, a oni patrzyli ze stryszków. W nocy przychodzili i rachowali się, sokyrnyki. To byli często miejscowi z SKW.

- Co to SKW?

- Samoobronne Kuszczowy Widdili. UPA te ochotnicze oddziały

tworzyło. W każdej wsi był ich staniczny, który podlegał prowidnykowi. Te Kuszczowy Widdili nie miały broni, tylko siekiery. Stąd my ich nazywali sokyrnyki...

- Siekiernicy...

- Tak. Często te sokyrnyki byli gorsi od leśnych oddziałów. Bardziej okrutni...

- Przed samym wyjazdem do Polski - mówi z taśmy Halusia Łabus - mieszkała u nas babcia Karolka ze swoją synową Kaśką Rasiewicz, bratową mamy. Wszyscy mieliśmy jechać w tym transporcie. Raz ciocia Kasia mówi: - Dość mam tej bidy w Kopyczyńcach. Idę się najieść, napić świeżego mleka. I przynieść mleka dla dzieci. - Miała córkę Krysę i syna Rysia jeszcze w beciku.

W Szwajkowcach zostawiła swój dom, trzymała krowę, kury, których jej po sąsiedzku doglądała siostra, mająca męża Ukraińca.

- Przywiozę wam też - obiecała. Babcia z mamą odradzały jej wyprawę na wieś, szczególnie po śmierci taty, ale ciocia Kasia nie dała sobie nic powiedzieć.

Przed wyjazdem śmiała się: - Dobra, dobra. Nawiozę sera, jajek, mleka - to przestaniecie się bać.

Jak wyjechała, tak nie wróciła. Kuzynka mamy, Maria Procki w ze Szwaj-kowiec, mówiła potem, że ciotka Kasia poszła do siebie. Wydoiła krowę, na-szykowała prowiant i piła w kuchni mleko. Chciała przed zmrokiem pójść do siostry i tam przenocować. Miała do niej parę kroków przez ogrody. Spóźniła się. Zmrok zapadł.

We wsi pojawili się banderowcy na koniach. Wywlekli ją z chaty. Na stole zostało po niej rozlane, niedopite mleko. A ją samą znaleziono w studni...

- I za co Kaśkę Rasiewicz zamordowano? - spytał z taśmy Leszek.

- Polka. Z polskiej rodziny Tabiszów. Mąż w naszym wojsku, brat w

Kanadzie.

Wystarczy. Chatę zrabowali, krowę wzięli...

- Siostra Wicka, Maria Prockiwi, przedstawiła śmierć Kaśki tak - mówi Olga Wawrow. - Kaśkę Rasiewicz na drodze we wsi zatrzymał ruski żołdat i spytał: - Ty banderowka?

- Niet. Ja Palaczka - odparła.

A to był banderowiec przebrany za sowieta...

I jeszcze Maria mówiła, że Kaśka wstąpiła do Bajraka i tam przypadkowo natrafiła w kuchni na dużą ilość jedzenia. Widząc kocioł z kaszą, kilka zarżniętych kur na stole, spytała zdziwiona: - Co wy ta tyle gotujecie? Na cały oddział?

I oni się przestraszyli, że Kaśka może donieść. Dlatego ją zamordowali.

Tak ludzie we wsi to tłumaczyli...

- Na pogrzebie cioci nie byłam - mówi Halusia Łabus. - Pochowano ją ponoć pośpiesznie, bez trumny, bo ciało wyłowione ze studni skręcone było w kucki.

Zawinięto tylko w płachtę i włożono do grobu. Tak, że nasz wyjazd do Polski wesoły nie był. Babcia Karolka w tym samym czasie straciła synową i zięcia. Syn Tadzik w wojsku był wdowcem, a córka Maria w wagonie wdową. Kochać Ukraińców nie miała za co. Podobnie jak my...

- Najmłodsza siostra teściowej Hanuśki, matki Wicka, Antoszka, próbowała z banderowcami rozmawiać - mówi Olga Wawrow. - We wsi nazywano ją adwokatką. Ona, Ukrainka Hryb, liczyła, że do nich trafi. Ale nie było z nimi rozmowy.

Swoich też mordowali, proszę pana. Już po moim wyjeździe do Polski opowiadano mi, że NKWD złapało Jankę Bodnaruk, siostrę Romka „Bomby”. Janka była z banderowcami i chwaliła się, że jest u nich wysoko. Moja przyjaciółka Milka raz spytała jednego, co u nich w UPA znaczy Janka: -

Janka?! - zaśmiał się. - Janka znaczy tyle, co jałówka.

Niewiele więc. Ale coś ta jako siostra Romka „Bomby” wiedziała. Romek był w sztabie i kręcił troszku na dwie strony. Za pierwszych Ruskich działał z nimi, za Niemców zrobił się wielki banderowiec. Jankę z aresztu Rusczy zwolnili i dali jej list do Romka. W tym liście niby go ostrzegali przed planowaną ruską akcją, żeby się ratował. Janka z tym listem ukrytym na piersiach biegła do brata i na skraju lasu banderowcy ją złapali. Widać coś podejrzewali. Więcej już nie wróciła. Zabili Jankę, jej siostrę Dolkę, Romka „Bombę” i jego matkę, starą Bodnarukową. Wszystkich wykopano w dole leśnym związanych razem kolczastym drutem.

- Bali się, że Romek „Bomba” ich wsypie. Jak buciem handlar mego brata Myrosława - wtrącił Stepan Bodnaruk. Nie mieli do niego zaufania. Romek był w sztabie, a sztab dla Kacapów najważniejszy. Tam się pchali, by kierować i prowokować. UPA im była na rękę. Rznąła Lachów i nie trzeba ich było gnać do wagonów. Sami się pchali sławiąc Boha, że żyją. Jak banderowcy zrobili brudną robotę, to Kacapy dopiero się za nich wzięli. Bo dotąd z UPA bułą buciem wojna.

- Ale banderowcy się u nas długo trzymali, Stepan - przerwała mężów Irka Bodnaruk. - Siedzieli w bunkrach i Moskale nie mogli ich złapać...

- Prawdu każesz - zgodził się Stepan.

- Ja pamiętam świetnie. Mój batko pracował wtedy na kolei, wraca ze stacji i widzi, że na podwórzu pełno desek i belek nawieszonych. Wchodzi do domu, a „Bławatny” ze „Stepowym” w niemieckich mundurach czekają na niego w kuchni i mówią, że chcą tu schron budować.

- W którym to roku było? - dopytywał się Leszek.

- - W czterdziestym szóstym. Coś tak. Olha, moja siostra, już wyjechała do Polski. Batko banderowców w końcu przekonał, że przy trakcie niebezpieczniej, lepiej w lesie i oni z tym bunkrem przenieśli się dalej. Byłam

wtedy n; batkę strasznie zła, że on im tego bunkra nie dał robić. Jak poszli i batko rzuci to swoje: „Siarap”, to chciałam go podrapać.

- Ze względu na „Bławatnego”, z tymi bławatnymi oczami?!

- Sure, Lieszek. Ty zgadł. Durna koza - puknęła się w czoło. - Co ja wie działałam?! Harny chłop, więc niech kopie. Co mu bronić - zaśmiała się.

- A bronili się rzeczywiście długo - dopowiada Stepan Bodnaruk. - „Stepowego” z Olhą wykończyli dopiero w 1951. Ktoś musiał ich zdradzić. Bc dotąd się wymykali.

Kacapy były bezradne. Nie znały ich bunkrów. Musiel mieć ich kilka i wciąż zmieniać. Raz w lesie ich spotkałem. To było parę lat p(wojnie. Pod koniec zimy. W marcu. Śnieg szklął się już i topniał na tej polanie Wyszli z za starych świerków. W mlecznej smudze słońca wyglądali jak zjaw) leśne. Kornelkę ledwie poznałem. Zarośnięty, jeszcze bardziej się skurczył.

Natomiast Olha ta sama. Jak siadła na pniu i spod mazepinki z tryzuben wypuściła swój wspaniały, czarny warkocz - serce zabiło mi mocniej.

- No, i co?! Poddaliście się komunistom, mołojcy?! - Kornelko na mój wi-dok z pogardą potrząsnął automatem.

- Nikt się nie poddał - mówię. - Ale jakie wyjście?!

- Nasze. Nasze - wycharczał z naciskiem. - Niedługo ich rządów.

Wkrótce Zachód ruszy. Truman spuści na Kreml bombę i puff! - prysną jak bańka Wszystko buciem.

Buciem kolos. Silny w pysku! A przyjdzie wojna, wiejajal szczury. Jak w czterdziestym pierwszym.

Będzie! Będzie wolna Ukraina! - rzucił po chwili z pasją. - Ja ci to mówię „Stepowy”! A jak doczekamy i Zachód ruszy, no to - zarył butem w śnież odkrywając zbutwiałe liście - nie będzie litości. O, nie! Sokyrnykow nie starczy. Przyjdzie ich rznąć, rznąć aż się wyrznie do cna czerwoną hadyngę.

Ale nie zdradzisz nas?! - nagle wymierzył mi automat w pierś. - Nikomu słowa, zrozumiano?! - rozkazał.

- Tak jest - zapewniłem go.

- Przysięgnij! - wzniosł w górę pięść. - Haj żywe nasz Stepan!

Prowidnył Stepan Bandera!

- Haj żywe! - odkrzyknąłem na baczność.

- Wolna, samostijna Ukraina lub śmierć!

- Lub śmierć! - powtórzyłem jak echo.

Teraz zrozumiałem, dlaczego ona z nim szła. Był w nim żar i magnetyzm.

Obezwaładniał. Zapomniałem, że to pokorcz Kornelko. Nasz bajstruk Stefa-niuk.

Przede mną stał ataman wolnej Ukrainy - „Stepowy”! Jemu przysięgałem. I jego nieugięta moc porwała mnie. Niewątpliwie.

A za dwa lata zobaczyłem ich znów. Przed budynkiem NKWD w Probużnej. Ponieważ nie w wolnej Ukrainie, więc nie żyli. Leżeli obok siebie w brudnym śniegu.

Kacapy rzucili ich na pokaz, by pochwalić się, że ich wreszcie mają. Bez trudu ich poznałem. Olha była jak wtedy. Równie har-na. Gdyby nie wąska strużka krwi na skroni - pomyślałbym, że śpi. On był bardziej poharatany i pilnujący ich żołdat rzucił mu na twarz „Wilna Ukrainę”.

- Wot i „Stepowy”. Wielki ataman - trącił butem trupa. - Nawojował się z nami, swołocz - zaśmiał się. Ludzie przyjęli to niemo. Co odważniejsi modlili się w ciszy i żegnali na ich widok. - To dlatego, że Kacapom się żywcem nie dali, ludzie modlili się za nich - wyjaśnił Stepan. - Bo najpierw Kornelko zabił Olhę, a potem zastrzelił się sam. W tym bunkrze. Kiedy widział, że nie ma wyjścia.

- „Bławatny” jeszcze dłużej się bronił - wtrąciła Irka Bodnaruk. - Jego

żonę parę razy próbowali schwytać. Raz w koszuli wyskoczyła z okna na Majdanie. Bo tam się ukrywała. Wreszcie ją wzięli. Torturowali. Liczyli, że wyda męża. Nie wydała. W końcu ją zabili. „Bławatny” z garstką straceńców ze swej sotni krążył po lesie i nękał ich. W końcu zginął, a jego córeczkę Darię ludzie przechowali.

Przeżyła...

- „Bławatnego” też Kacapy żywcem nie wzięli, Sławka. Wysadził się granatem. Jak się do niego zbliżali...

- A taki bul chłop. Boże! - westchnęła z podziwem. - Podobnie było z moim kuzynem Mopsem. Milkiem Zacharczukiem.

Mopsy Milko i Iwanko byli w UPA. Młode chłopaki. Imponowała im partyzantka.

Pamiętam, raz wpadli do domu, jak batki nie było, szukać mojej koleżanki Bernatki, córki Edźka Rasiewicza, który się krył u nas. Chcieli ją postraszyć i pobić. Jak ich nie wpuściłam, to wyważyli połówkowe drzwi od ganku. Mleko w glinianych faskach rozbili. Bałaganu narobili...

A potem „strepki” w walce z banderowcami zastrzeliły Milka i jego ciało, tak jak „Stepowego” i Olhy, Ruscy wyrzucili przed budynek NKWD w Pro-bużnej. Ktoś powiedział, że on tam leży, i wujko Nykoła pojechał go zobaczyć. Stał na ulicy wraz z ludźmi, popatrzał na Milka jak na obcego, odwrócił się plecami i odszedł.

Słowem się nie zdradził, że to jego syn. Nikt z rodzin nie przyznawał się do tych zabitych. Wujko Nykoła dopiero w domu zapłakał. Był wdowcem, jak mój batko, bo ciocia Marynka, starsza od siostry Pawliny o dwa lata, też umarła na suchoty. W tym samym mniej więcej czasie, co moja matka...

Tak to było, proszupana - dokończyła po ukraińsku.

- Na jesieni 1945 roku, proszę, pana - opowiada Olga Wawrow - mój tato Martyn ożenił się. trzeci raz. Miał wtedy czterdzieści osiem lat, a Baba,

jak my ją nazywali, trzydzieści sześć. To była silna, zdrowa gospodarska córka, z domu Stodoła, proszę pana - tyle, że oszpecona. W dzieciństwie, tak jak Józka, miała wypadek. Spadła twarzą na żelazny sagan. I rozbiła nasadę nosa o kant garnka.

Nikt o to nie zadbał, jak to na wsi. Wszystko źle się zrosło i ją szpeciło. Mój tato na to nie zważał. Potrzebował kobiety do gospodarki i się z nią ożenił.

Baba miała na imię też Maria. Z mieszanej rodziny. Matka jej była Ukrainką, a ojciec Polak.

Ale stary Stodoła był w Kanadzie. W Winniepegu, proszę pana, i o tym ślubie córki nie wiedział. A oni bali mu się pisać... Nie bali się Stodoły, a Ruskich.

Tato nie był bidniak. Ziemi miał dość. Chociaż... też bidniak! - dodała po chwili - bo go Ruscy rozkurkulili. Wzięli wszystko. Morgi przestały coś znaczyć.

Kołchoz wszystkich zrównał. I zniszczył.

Mój tato Martyn - ciągnęła dalej - miał z Babą jeszcze jedną córkę - Lesię, która wyszła za mąż za Piotra Kotańskiego z Zaremby, syna tych Łemków, których Ruscy w październiku 1940 roku sprowadzili na miejsce wywiezionych Polaków.

Urodził im się syn Borys, który tu teraz pracuje w piekarni razem z moimi chłopcami. My go sprowadzili z Hadyńkowiec do Kanady.

Ta córka tata, Lesia, matka Borysa, skończyła technikum lekarskie we Lwowie i była felczerką, ale bardzo młodo umarła. Na raka, proszę pana. I Borys chował się u dziadków. W domu mego tata przy stacji. Tak, że po wojnie znał go lepiej i dłużej niż ja. Bo my wyjechali z Hadyńkowiec w 1945 roku, a mój tato żył aż do 1983 roku. Borys był z moim tatem aż do śmierci. Pamięta pogrzeb dziadka Martyna, na którym my, niestety, nie byli. Żyjąc tu

w Kanadzie...

Pani Olga przerwała. Widać było, że ta sprawa wciąż jest dla niej bolesna i żywa. Wyraźnie ją poruszyła. Po chwili podjęła znowu: - Ja miała bardzo ciężką sytuację. Cała moja najbliższa rodzina została w Hadyńkowcach. Ojciec, siostry, brat, ciocie. Pan wie, jaka ta rodzina duża była, prawda? Ale mąż Polak. Ja się miała za Polkę. I za taką mnie ludzie uważali.

Chodziła zawsze do kościoła, nie do cerkwy. Coraz trudniej mi było we wsi żyć.

Grożono. Przylepiano kartki¹. Wołano: - Jak dowho Polaky budut tu chodyty?

¹ W Kopyczyńcach rozlepiono w tym czasie ulotkę w języku ukraińskim z ultimatum do Polaków: Powtarzała mi moja przyjaciółka Milka Firmaniuk, żona Staszka Kulczyc-kiego z za stawów, że „Kłapoć” Bajrak wciąż do niej mówił: - Jak długo Olga będzie tu po wsi chodzić i tyłkiem kręcić? Czemu za San nie wieje?

Groźba poważna była, proszę pana. Ludzie ginęli. Często w ostatniej chwili. Jak Władek Gnach, zięć ciotki Wicka - Anieli Krasnowskiej. Gnach był u nas pocztmistrzem w Hadyńkowcach. Cała jego rodzina - żona Mańka Gnach z dwiema córkami i matką, ciotką Anielą, była już w Czortkowie na stacji. A on wybrał się po cielęcinę do Sz wajkowiec. Miał przy sobie pięć paszportów i pieniądze.

Wstąpił do Jana Rasiewicza, kowala, szwagra ciotki Karolki Ra-siewicz i ojca Adźki Zacharków.

Banderowcy weszli do kuźni. I Gnacha nawet wypuścili. Ale potem jak usłyszeli, że Polak, to od furtki cofnęli. Przestraszyli się, że może ich wydać. Poza tym zobaczyli u niego te paszporty, których widać potrzebowali. No i Władka zamordowali. Mańka Gnach najpierw sama poszła go szukać, ale

jakaś pijana baba na skraju wsi zatrzymała ją i zaczęła krzyczeć: - Za San Laszko! Wtikaj! Jak dowho tu budesz?! - a po cichu szepnęła: - Muszę tak krzyczeć. Uciekaj, kobieto, bo cię zabiją jak męża!

Więc Mańka zawróciła i wezwała „strepki” z Czortkowa. Ja widziała od siebie ze wzgórza, proszę pana, jak ona z nimi chodziła po polu i szukała ciała Władka.

„Strepki” z łopatami kopali. Jej brat, Alojzek Krasnowski, też wtedy z nimi kopał...

Po jakimś czasie Mańka Gnach wykopała ciało Władka nad rzeką. Młodsza jego córka, Bronka, trzynastoletnia dziewczynka, prasowała mu akurat koszuli. Oni jej kupili takie małe żelazko i ona nim ojcu tak fajno prasowała mankiety u rękawów, kołnierzyki. Bardzo to lubiła. Gnach był strasznie z niej dumny. Zawsze powtarzał: - Bronią to moja mała gospodyni...

Jak Bronią usłyszała o śmierci ojca, żelazko jej z rąk wypadło, dziecko przeżyło szok. Mańka do nikogo się nie odzywała. Powiozła ciało męża do Kopyczyniec i tam na miejscowym cmentarzu pochowała obok rodziców. Władek stamtąd pochodził.

Przystojny brunet z falującymi włosami. Zaradny. Wesoły. Wszystkie my go Mańce zazdrościły. I tak głupio przez tę cielęcinę i paszporty zginął. Ja zawsze mówię: czy na dobre, czy na złe, los człowiekiem rzuca. Wszystko w rękach bożych, proszę pana.

We wiosce mówiono, że Władka Gnacha wyprowadzili z kuźni od Rasiewicz a i zabili albo u Bajraka „Kłapocia” w stodole, albo u Hanki Chomyszyn, Ukrainki, żony bratanka biskupa. Natomiast miejsce, gdzie leżał Władek, ktoś Wtikajcie skorisze za San. Inaksze budę źle. Dam nakaz chłopcom i wony was znyszczut. Doju termin 12 sierpnia. - Sotnyk UPA - Łoboda. (Uciekajcie szybciej za San. Inaczej będzie źle. Dam chłopcom rozkaz i oni was zniszczą. Daję termin 12 sierpnia - Sotnik UPA - Łoboda).

Jerzy Szewczyński, za którym ulotkę cytuję, twierdzi, że była to robota NKWD.

1 Uciekaj, jak długo tu będziesz?

Mańce wskazał, ale ona do końca życia nie chciała zdradzić kto. Bała się, że mogą się, na nim mścić.

A po morderstwie Gnacha, jak Mańka ze „strepkami” go po wsi szukała, sprawą zainteresowało się NKWD, proszę pana, i przeprowadziło na miejscu dochodzenie.

Aresztowali wtedy Jaśka Rasiewicza, jego córkę Adżkę i jej męża, Nykołę Zacharków, i wywieźli do Rosji. I oni już do Hadyńkowiec nie wrócili. Po dziesięciu latach zsyłki ojciec Adżki, Jaśko Rasiewicz, tuż przed śmiercią wyrobił im polskie paszporty i oni przyjechali do Kluczborka, dopiero po pięćdziesiątym szóstym roku.

Tylko Zofka Nawrocka mogła się cieszyć z tej zsyłki, pomyślałem. Z tej strasznej kary, jaka spotkała piękną Adżkę i jej Nykołę, przez których wypięła się wtedy na teścia Pańkę, tracąc cały majątek.

- Po tej historii z Władkiem Gnachem - mówi Olga Wawrow - ciotka Aniela Krasnowska z Mańką, proszę pana, musiały wyrabiać sobie nowe paszporty i wyjechały dopiero następnym transportem. Razem z ciotką Karolką Rasiewicz i jej córkami - Mańką Antoniów i Hanią Barabasz.

Wicko z wojska pisał, żeby ja też składała papiery na wyjazd do Polski. On szczęśliwie przeżył, choć szlak bojowy miał trudny. Był w artylerii, w brygadzie haubic ciężkich, wojnę skończył w stopniu starszego sierżanta, zdobywał Wał Pomorski, Kołobrzeg, a na końcu Berlin. I z Berlina listy do mnie słał.

Była to najtrudniejsza decyzja w moim życiu.

O naszym wyjeździe z Hadyńkowiec, proszę pana, wiedział tylko mój tato, oczywiście siostra Wicka Józka i jego matka Hanuśka, druga siostra

męża, Paulina Firmaniuk, Leonka Żarska no i Antoni Prockiw, mąż Marii, trzeciej siostry Wicka.

Nie powiedziałam nic o tym mojej najbliższej przyjaciółce Milce Kulczyckiej, z którą my sobie w przeddzień tak fajno gadały. Ona do dziś ma o to do mnie żal.

Aleja się bała, że Milka w domu co powie.

Ostatniego wieczoru przyszła do nas na zwiad matka Romka „Bomby” - stara Bodnarukowa. Wtedy ona jeszcze była z banderowcami. Potem może zresztą też.

Zginęła za syna. Józka akurat piekła w piecu rogaliki, bułeczki maślane na drogę, gdy Bodnarukowa weszła.

- Rogaliki dziecku pieczemy - ja wskazała Jarka. - Proszę siadać, częstować się.

- Nie, nie. Ja tylko na chwilę. Po drodze wpadła. - Rozejrzała się, widzi, żf.

nic nie spakowane, i poszła.

A my wszystkie rzeczy mieli pochowane. W kuchni nie uyłó nic.

Nazajutrz rano mój brat Sławko pogańł naszą krowę do Czortkowa. Tam sąsiad Józek Rubaszewski, chrzestny Wicka, wszystko przygotował. Bardzo mi pomógł. Po moim bracie Sławku, proszę pana, zajechał w chwilę ze Szwaj-kowiec szwagier Wicka, Antoszko Prockiw, wozem w dobre konie. Drugim przybyła Leonka Żarska. Na trzecim jechałam ja z Paulina. Jarko siedział na pierwszym wozie i bawił się batem.

- Idź, Jarcu, pożegnaj się z babcią. Pocałuj jej ręce. Nie wiadomo kiedy ta j ą znów zobaczysz...

- Nie pójdę - odparł.

- Ty do babci możesz pójść, a babcia do ciebie nie może. Chora na łózkú leży - tłumaczę mu.

- Niech leży. Ja wolę bat! - odpowiadał i dalej się nim bawił. Nie było siły.

Nie poszedł. Ja się za niego tak wstydziła, że on taki...

Z ciężkim sercem zostawiałam teściową Hanuškę, miałam wyrzuty sumienia, że jadę bez niej. Kiedy poszłam się z nią żegnać, to pocałowała mnie w czoło, pobłogosławiła i rzekła: - Jedź, dziecko. Ty ze mną ślubu nie brała, tylko z mężem. Mąż tam w Polsce na ciebie czeka i ty musisz do niego jechać. O mnie się nie martw. To były ostatnie słowa mojej teściowej Hanuški. Mamy Wicka. Poszłam do siostry Nadzi - żony Zenka Żurby.

- Bądź zdrowa, Nadziu - mówię. - Możesz do mnie w Czortkowie przyjść.

Pobiegła jeszcze szybko na cmentarz pożegnać się z mamcią. W alejce było pełno żółtych liści. Smutno. Październik. Bała się, że w cmentarnej kaplicy są banderowcy, ale na szczęście ich nie było.

O pierwszej w południe wszystko było gotowe. Ruszyliśmy w trzy furmanki. Ja z Paulina na trzeciej, najgorszej. Oni pojechali przodem, a naszą furmankę za wsią, na osiedlu Pastusze, zatrzymał jakiś chłop.

- Twoja oprząż zła - mówi. - Konia dusi. Chodź do mnie, poprawimy! - i ciągnie nas na swoje podwórko. Paulina nie bardzo złapała, o co mu chodzi, gada z nim i ja widzę, że zaraz da się w tę zasadzkę wciągnąć. Więc szybko wyjęła jej lejce z rąk, podcięła konie, chłop odskoczył, a my pognali, że koła ziemi nie dotykały.

Dopiero na murowance odetchnęła. Tam główny trakt i zawsze troszku bezpieczniej niż na tym Pastuszu.

Potem moja przyjaciółka Staszka Kostiw, córka ciotki Antoszki, tej adwo-katki co z banderowcami paktowała, mówiła mi, że ja słusznie się bała. We wiosce wielu Ukraińców żałowało mego wyjazdu.

- Szkoda, że my Olgę do Polski puścili. Ona za dużo wiedziała -

mówili. A drudzy znów odpowiadali: - No, dobrze. Ale Olga ma tu dużą rodzinę. Nie bardzo można było ją tak zlikwidować.

Nie wiadomo więc, co by zwyciężyło. Mogła wylądować w ostatniej chwili w studni. Jak Kaśka Rasiewicz, proszę pana. Czy Władek Gnach. Wtedy wiele nie było trza. Jedno odezwanie na drodze starczyło...

W Czortkowie my czekali na ten transport do Polski sześć tygodni. Ludzie spali na stacji, bo nie wiadomo było kiedy pociąg podstawią. Kładli na peronie słomę, budowali takie szatrol, jak my mówili, zasłaniali płachtami i tak koczowali pod gołym niebem całymi rodzinami. Kobiety z dziećmi, niemowlęta. Nie było gdzie wody grzać, bo ognisk nie dawali palić. A to listopad, mróz chwytał. U nas na Podolu zima wczesna, sroga... My szczęśliwie mieszkali z Rubaszewskim, którego na swą kwaterę wziął ruski rewizor kolejowy Kochanian. Od kochania więc zapamiętała. Starszy, Ormianin, bardzo fajny gość. Dużo nam pomógł. Informował o pociągach. (Rubaszewski się z nim zaprzyjaźnił. Później w Prudniku opowiadał, że niedługo po naszym wyjeździe ten Kochanian umarł na serce). Wtedy on mieszkał w jednej izbie, a Rubaszewskiemu z nami dał swoją kuchnię. I my w tej kuchni na macie w trzynaście osób spali. Upchani jak śledzie. Trza było całą noc na jednym boku spać. Nie dało rady na drugi się obrócić. Ale szczęśliwi byli, że nie na stacji. W szatro gorzej. Bogu więc dziękowali, że mamy dach nad głową. I ciepło.

Codziennie przychodził do nas mój tato Martyn, który pracował w Czortkowie.

Przynosił nam jedzenie. My w stajni trzymali naszą krowę wraz z końmi innych.

Naszyc koni, powiedzieli, nie wezmąz braku miejsc. Mieli w stajni kury, gęsi.

Ja wzięłam ze sobą kota Myckę. Wujko Polko Babyn, mąż ciotki Kalki-

Natalki, dowoził nam sieczkę, kuniczynę, świeże mleko dla Jarka. Bo moja krowa wtedy się nie doiła. Jak my odjeżdżali, to ciotka Kalka upiekła nam gęś na drogę i takie fajne, krągłe bochny chleba. My jeden taki bochen dowieźli do Prudnika.

Raz mój tato Martyn przyszedł i zobaczył, jak Jarko cupnął sobie na progu stajni, podparł się ręką i o czymś ta duma. Jak to dziecko. Tato popatrzał tak na niego, popatrzał i zapłakał. Ja go nigdy tak płaczącym nie widziała. Nawet po śmierci mamci.

- Niech tato nie płacze - proszę. - Nie trza...

- Jak to nie trza, Oldziu?! - mówi. - To ja po to tyle lat pracowałem, ziemię kupowałem, do Kanady jeździłem, żeby mój wnuk teraz siedział tu jak na żydowskim podsieniu?! I dziadował?! Po świecie się tułał?! I ja nic mu nie mógł pomóc?! - ścisnął pięści i płakał. Strasznie rozpaczał.

To, że ja go opuszczam i jadę do Polski, rozumiał. Tak samo jak teściowa Hanuśka powtarzała: - Jedź, dziecko. Ty ze mną ślubu nie brała... - Ale to, że swemu wnukowi w spadku nie może nic zapisać - bo sam dziad i bidniak - Rodzaj budy, szalasu.

tego zrozumieć nie mógł. I nigdy się z tym nie pogodził. Nigdy. Cały świat się memu tatowi zawalił...

Jarko wciąż się wyrywał do domu: - Ja chcę do cici Józki, do dzieci - wołał.

Raz mi uciekł. Patrząc, nie ma dziecka. Matko Święta! Pytam ludzi. Ktoś mi powiedział, że widział takiego małego chłopca, jak szedł drogą do mostu na Serecie. Wskazał kierunek. Pobiegła w tamtą stronę i już za mostem widzę, jest mój Jarko. Maszeruje... Ja go chwytam i krzyczę: - Gdzieżeś ty, dziecko, mi szedł?!

- Do Hadyńkowiec! - mówi.

Boże! Takiego stracha mi nagnał. Była pewna, że ja go już ze

„strepkami” po polu będę szukać...

Spytałem Majora, czy pamięta ten marsz.

- Sure. To był prosty manewr. Byle dojść do murowanki. A potem jak po sznurku. I doszedłbym, kurczę. Tylko matka mnie złapała. Wyrywałem się. Za Boga nie chciałem jechać. Tu mi było dobrze. Bawiłem się, miałem swoich kumpli...

- Ukraińców?

- A kogo?! Razem z nimi krzychałem: - Za San Lasze, bo to nasze, kurczę! - Nic nie kapowałem. Nic. Dopiero w Prudniku zobaczyłem, że ja jakoś inaczej mówię. I koledzy w szkole mnie ni w ząb nie rozumieją. Patrzą jak na wariata. Bo ja do nich po ukraińsku, kurczę - zaśmiał się. - Ale tak było. Ja, ja. Nie będę kłamał...

W Czortkowie ja dostała list od Wicka, który pisał mi, że wyszedł z wojska i, jako żołnierz-osadnik, w ramach odszkodowań dostał mienie ponemieckie na Ziemiach Odzyskanych w Kozuchowie. Ale w Prudniku była już ciotka Aniela Krasnowska z MańkąGnach. I HaniąBarabasz...

Wreszcie ten rewizor kolejowy Kochanian powiedział Rubaszewskiemu, że są dla nas wagony. I my się załadowali. To były towarowe wagony ze starymi osiami. Chyba już za Polski stały nieczynne na bocznicy. Zdezelowane, proszę pana. W deskach miały na palec szpary, które my musieli zatykać słomą i sianem. Do tego koła były bez hamulców, a osie im się grzały. My polewali je wodą z kubka, ale to nic nie pomagało. Iskrzyły dalej. W strachu, że wagon może się zapalić, kolejarze nas odłączyli.

Nasza krowa pojechała dalej i wcześniej od nas była w Polsce, a my zostali w Kopyczyńcach. Na ten nowy wagon, wcale nie lepszy niż stary, my czekali trzy dni. Szczęście, że na dworcu, nie w polu, bo w polu na te transporty napadali Ukraińcy.

Ruscy specjalnie zatrzymywali pociąg i wcale ludzi nie bronili. Myślę,

proszę pana, że nasz transport ja od takiej napaści uratowała. Stanęliśmy w polu pod Lwowem. Ludzie z wagonów wyszli i kręcą się po torach. A mnie na pierwszym postoju uciekł kot Mycko. Ja go na chwilę dała potrzymać Marysi Rubaszewskiej, ona go wzięła na kolana, zagadała się, Mycko myk i - poszedł! Nie ma go.

Ja po nim bardzo płakała. Bo to był fajny kot. Mądry. Łowny. W trzech kolorach.

I żeby się troszku po moim Mycce pocieszyć zeszła sobie po nasypie w dół ścieżką i idę z koleżanką. Słońko już zachodzi czerwono, niziutko, my się tak oddaliły od naszego transportu, on na nasypie w górze został... I widzę, że dwóch chłopów z wioski sunie do nas ścieżką po zielonym życie. Podchodzą i mówią: - Dobryj den.

- Dobryj den - odpowiadam.

I pytają wskazując na nasz transport: - Wy siudy? Tudy?^ - chcą wiedzieć, w którą my stronę jedziemy. A z prawa było na Lwów, z lewa na Czortków. Mnie coś tknęło i tak pewnie im odpowiadam: - Ha! My j idem siudal Dobre, szczo my zwidty wy rwałysia!2- i pokazuję ręką na lewo. Na Czortków...

Oni uśmiechnęli się. Pożegnali się. Pewni, że my są Ukraińcy wiezieni z Polski, spokojnie poszli sobie. Inaczej by zaraz całą wsiana nasz pociąg napadli. I obrabowali. Bo my dopiero nocą ruszy li na Lwów...

Czasem Bóg z nieba sam ześle odpowiedź. Ja aż się dziwię, że ja im od razu tak pewnie odpowiedziała: - Ha! Wiadomo, że my tam! - pokazując na wschód...

No, a jak już minęli granicę na Sanie i stanęli w Przemyślu, to proszę pana - inny świat. Niebo i ziemia. Nas już z kawą i zupą czekali. Przedstawiciele PURu3 i Czerwonego Krzyża dawali nam biały chleb, mleko dla dzieci, cukierki. Z Przemyśla my dalej szerokotorówką, po ruskich

szynach dojechali do Oświęcimia.

Dla mnie to wtedy była zwykła stacja przetokowa, na której wsadzają nas na polskie tory. Nic nie wiedziała, że za Niemców był tu ten straszny obóz. I tyle ludzi zginęło...

W Oświęcimiu czekał na nas Wicko z Fredkiem Rasiewiczem, kolegą z wojska. To był starszy brat Edzka. Tego, który ukrywał się u mego tata.

Potem Wicko znów zniknął, a nasz transport pojechał do Krakowa. W Krakowie znów był Wicko i starał się w PUR-ze, by nasz wagon zamiast do Kozuchowa pojechał do Prudnika. Potem na dwa dni gdzieś się zgubił. My się 1 Wy tu? Tam?

2 Jedziemy tu! Dobrze, że wyrwałyśmy się stamtąd!

3 Polski Urząd Repatriacyjny. f znaleźli w Oleśnie. Tam udało mu się odłączyć nas od Kozuchowa i skierować na Głubczyce. Wrócił do Prudnika i czekał na nas. My jeszcze ciągle jechali w tym wagonie, jechali i byli na miejscu tuż przed Bożym Narodzeniem. Jak raz na Gwiazdkę. Dwudziestego drugiego grudnia. Ponad miesiąc zajęło nam, by z dawnej Polski przyjechać do tej nowej, Lubelskiej i wysiąść nie w niej, tylko na byłej ziemi niemieckiej. W Neustadt. Bo tak Prudnik przed wojną się nazywał.

Neustadt, czyli Nowe Miasto. I ono dla nas też całkiem nowe było, proszę pana...

CZĘŚĆ III - My wysiedli, ale wciąż wierzyli, że wsiądziemy - podjęła swą opowieść Olga Wawrow. I wrócimy do Hadyńkowiec. Żyli na dziś. Nie urządzali się., czekali, że jutro będziemy tam. Tu byli nie całkiem u siebie, proszą pana.

Jak Wicko wyszedł z wojska, to dostał odprawę. Dali mu dużą gospodarkę w szczecińskim. Pojechał tam, obejrzał ją, podumał i powiedział: - Bardzo fajna, fajniejsza od naszej, budynki lepsze, nowe maszyny, ale ja jej nie wezmę, Oldziu. Wolę kolej. Jako kolejarz, zawsze wam wagon załatwię, a

jako osadnik wojskowy nie. Ogłoszą senterunek, za kołnierz wezmą i do armii znów trza będzie pójść. Durnojobom służyć! A ja właśnie od nich uciekł - mówił. On ich tak brzydko nazywał, mój Wicko. Tych politruków. Durnojoby, proszę pana-uśmiechnęła się. Tak, że my wciąż na walizkach siedzieli. W pogotowiu. Nawet wszystkich maneli z Hadyńkowiec nie rozpakowali, by móc je szybko na transport nieść.

Wicko Prudnik za stację przesiadkową uznawał. I na stacji zaczął pracować. W Szybowicach. Jeden stop1 przed Prudnikiem. Maleńka stacyjka. Budka ze szlabanem.

I on tam semaforzy wjazdowe przestawiał. Jako nastawniczy. Ja się śmiała, że on troszku jak latarnik w tej budce siedzi. Wolał semaforzy niż gospodarstwo. To jeszcze na jego decyzję wpłynęło, proszę pana, że Wicko znał los naszych osadników wojskowych na Zarembie i gdzie indziej: - Nie będę następnym Mazurem do wywózki - mówił. - Studziński miał lepszą gospodarke i co? A przy kolei ja blisko. Bezpieczny.

A mógł w wojsku wysoko zająć. Chcieli go dać na szkołę oficerską, bo wyróżniał się. W pułku haubic ciężkich. Był tam kwatermistrzem. Przed nim kwatermistrz pułku, Rosjanin, za kradzież poszedł do karnego batalionu. - To 1 Jeden przystanek. tak jak na śmierć - mówił Wicko. Mało kto z tego batalionu wracał. Jak dowódca wezwał Wicka, to pierwsze spytał: - Nie boisz się po nim objąć tej funkcji?

- Nie - odparł mój mąż. - Ja nie kradnę i ze wszystkiego się wyliczę. - I wyliczył się. Do pomocy wziął sobie Józia Sperlinga, proszę pana, bardzo miłego, młodego chłopca, z którym razem pilnowali tych dostaw dla pułku. Tego Józia ja poznała, bo mąż się z nim przyjaźnił po wojnie. Wicko uczciwy był, miał doświadczenie ze sklepu Kółka Rolniczego, to fajnie mu szło zaopatrzyć żołnierzy. Ale na kurs oficerski nie poszedł.

Wicko, proszę pana, swój honor miał. I szanował się. Na kolei też

kariery nie zrobił. Był wciąż nastawniczym w najniższej grupie. Mimo że tym razem parę kursów skończył. Zawsze z wyróżnieniem. Dyplomy do domu przynosił. Ale zawiadowca stacji w Prudniku Brzosko wyraźnie mu powiedział: - Zapiszcie się do partii, Wawrow, a będzie awans. Weźmiecie po mnie stację. Jak pójdę na emeryturę, w dyrekcji wam to załatwię.

Wicko mu podziękował i przyszedł z tym do domu. Pokusa była duża. Awans wielki.

Nie tylko lepsza pensja, deputaty i mieszkanie, ale całkiem inna pozycja.

Prudnik był po wojnie ważnym węzłem kolejowym. Tuż przy granicy. Zawiadowca Brzosko miał pod sobą czterech dyżurnych ruchu, a każdy z nich zarabiał od Wicka o niebo więcej. Brzosko starszy gość, przedwojenny kolejarz, bardzo Wicka lubił.

Widział, że on zdolny, uczciwy, dobry organizator jest i żał go na bocznice.

Chciał mu pomóc. Wicko miał wtedy trzydzieści lat. Ja ledwie dwadzieścia cztery, proszę pana. My młodzi byli. Świat przed nami. Chociaż my myśleli, że on już za nami. I my stare są. Śmieszne, ale tak było.

Nazajutrz, proszę pana, jak Brzosko go spytał, czy ma napisane podanie, Wicko odparł: - Nie napiszę, panie zawiadowco.

- Jak to? Dlaczego?

- Boja nie będę zlizywał tego, na co żem już raz w życiu napluł.

- Twój wybór, synku - klepnął go. - Ja to rozumiem, ale może ci być ciężko.

Licysz się z tym?

- Wiz czy perewiz, panie zawiadowco. Będzie, co będzie. Trudno.

- No, cóż - westchnął. - Nie na te czasy tyś, bracie, ale ładnie. Bardzo ładnie - uściśnął mu dłoń i więcej o wstąpieniu do partii nie mówił. O awansie

też. Wicko dalej semafor w Szybowicach przestawiał.

- Pani pracowała w domu?

- Ja. Z Hadyńkowiec my przywieźli naszą krowę, sementalerkę, jeszcze od Studzińskiego z Zaremby, ale w domu, który nam PUR przydzielił na Matejki 14, miejsca dla niej nie było. W mieście o oborę trudno. Na Matejki 23 mieszkał samotny kolejarz, u którego na podwórku była poniemiecka stajnia. My się z tym kolejarzem zamienili na mieszkania i w tej stajni trzymali naszą krowę.

Nasz dom stał na końcu ulicy za miastem. Dalej już były pola i łąki. I zaraz tory, a przez tory stacja przeładunkowa z dużym elewatozem na zboże.

- Znów dom przy stacji, pani Olgo. Jak u ojca Martyna. Tylko bardziej na zachód...

- Właśnie. Choć takiej gospodarki jak u mego taty nie było. Ale zawsze ta coś.

Mieli może z pół morgi pola. Posadzili zaraz kartofle, warzywa. Oprócz tej krowy z Hadyńkowiec ja trzymała świnie, kury, gęsi, kaczki. Krowa z Hadyńkowiec dość szybko nam padła. My kupili poniemiecką. A później, po urodzeniu Leszka, to już krowy nie trzymali, tylko mieli kozę Baśkę, która pasła się przy torach.

Oczywiście ja miała też kota Myckę. No i była taka mała gospodarka. Pan wie, że ja to bardzo lubię. Tu na Indian Grove też mam mały ogródek i w ziemi w nim kopię. To fajnie tak z rana, jak słońko niziutko, wyjść sobie przed dom, popatrzeć jak to wszystko kwitnie, rośnie, co się samemu posadziło. Ja zawsze w ogrodzie mam pełno kwiatów. Tu też.

Wicko troszku mi pomagał po pracy. W cięższych robotach pożyczał konia od kolegi z frontu, Władka Trojniaka z Szybowic, i tym koniem pole mi orał.

- A kto pasł krowę? Jarko?

- Jarko był za mały. Dopiero potem. Do krów my mieli po wojnie pastucha Lute.

Niemca. I on mnie i Wandzie Rasiewicz te krowy pasł, proszę pana. Za miskę zupy.

My go z Wandą karmiły.

On śmieszny był, ten Luta. Mało co ta mówił po polsku i jak chciał mi powiedzieć, że świnia głodna w chlewie kwiczy, to wołał: - Pani! Pani! Świnia śpiewa!

Jak ja go pytała, co jadł, to zawsze mówił: - Luta jad kapusta. Gut kapusta z kartofel! - i klepał się po brzuchu.

I my go nazwali Luta-Kapusta. On dość wcześnie wyjechał z rodzicami do Niemiec.

Jak my przyjechali, to Niemców z Prudnika już gnali do wagonów. Stały na boczniczy i oni w kolumnie szli pod strażą do tych wagonów.

- Bydlęcych?

- Rozumie się. Jak nasze. Może one były i nasze. Kto wie? Niemcom pozwalano brać ze sobą to, co mogli w rękach wziąć, i na wózek. Potem te puste wózki na stacji musieli zdać. Czasem nasi podbiegali i im te walizki z rąk wyrywali. Niemcy oddawali posłusznie, bo nie chcieli być bici. Wiedzieli, że ludzie są na nich strasznie złe. Nic ich ta nie żałują, choć sami ledwie co z tych wagonów wyszli.

Więc powinni rozumieć.

- Może dlatego cieszyli się, że tam byli, pani Olgo. I mieli satysfakcję, że teraz ze Szkopami wyrównali rachunki.

- Pewnie. Ja sama widziała, jak nasi im te walizki wyrywali z rąk. Nienawiść do Niemców była straszna... A chciwość i drapieżność jeszcze większe...

- Jak oni tak do tych transportów szli, proszę, pana - mówi dalej pani

Olga - zostawiając nam wszystko, to ja sobie przypomniała tego Ślązaka na koniu, co go wtedy burza do nas nawiała do stodoły w Hadyńkowcach. Jak przyszli Niemcy.

- Z tymi wiankami dla krów. I wstążkami pod pomidory.

- Ja. Co on się. tak śmiał do mego Wicka: - Małe te doma u wos są. Jak budki. U nos większa.

Po czterech latach my te nasze małe budki musieli opuścić i wprowadzić się. do ich wielkich domów. Teraz my mogli się. śmiać, jak oni do transportu szli, bo Ślązaków też tam troszku było. Czy to nie dziwne? Czyja nie mam racji, że los nami rzuca? Wszystko w rękach bożych. My ta nic nie wiemy, co za rok. A nawet za chwilę, proszę pana...

- Jak ja patrzyłem na Prudnik po wyjściu z wagonu? Jak cieleń na helikopter - odparł na moje pytanie Major. - Wszystko było dla mnie nowe. Dosłownie wszystko, kurczą. Ja przecież w mieście nie żyłem, tylko na wsi. A to było piękne miasto, ściślej miasteczko. Wtedy jeszcze nazywało się Prądnik. Później zmienili na Prudnik, żeby z Prądnikiem się nie myliło. Spokojne. Cichutkie. Wojną nietknięte. Dopóki Rosjanie nie weszli. Weszli, popili i na cześć Marszałka Stalina pół rynku spalili. Jak myśmy przyjechali, to te domy stały w ruinie.

Czarne szkielety - wstał i wyszedł do kuchni. Byliśmy na jego „kotyczu”¹ w Cawaja nad Georgian Bay - pięknej zatoce jeziora Huron. Wrócił po chwili i podjęliśmy przerwana rozmowę.

- Wszystko w Prudniku było nowe? - zacząłem - I dziwne. Nie trzeba było wody ciągnąć ze studni. Sama szła z kranu. Podobnie ze światłem. Pstryk - i jest. Obeszło się bez nafty i lampy. Wychodek w domu. O, to ważne. Gaz w kuchni. No, cuda, kurczą...

- Nawet gaz?

- Sure. W Prudniku działała gazownia i w naszej kuchni był gaz. Ale

myśmy kuchenki gazowej nie mieli i palili węglem. Nie było centralnego ogrzewania, tylko takie wielkie, kaflowe piece pod sam sufit, a pokój był wysoki na trzy metry. Ja do tych pieców zbierałem węgiel. Chodziłem na tory. Zawsze z węglarki i przyczep coś spadło. Wrzucałem do kubła i przynosiłem.

Zaraz po przyjeździe nie bardzo wiedzieliśmy jak z tymi wygodami się obchodzić.

Pamiętam, jak w zimie przyszedł do ojca sąsiad, Ślązak Pułtzer, i wytłumaczył mu, że rury wodociągowe trzeba zabezpieczyć, bo inaczej popękają. Ojciec mu podziękował i zaraz okienko w piwnicy zabił. Ale ponieważ 1 Od ang. cottage - domek letni. do wszelkich wygod człowiek jest bardzo bystry, w mig te. przepaść cywilizacyjną pokonaliśmy. Szybko w tej wiedzy zrównaliśmy się z autochtonami, jak nazywaliśmy miejscowych Niemców. Bardziej mściwi chcieli ich wyrząnąć, a mniej - wsadzić do rezerwatu. Na pewno zaś wywieźć. Z Prudnika Niemców zaczęli wyrzucać tuż po naszym przyjeździe. Na początku 1946 roku.

- Mama mówiła, że wrywano im walizki i zabierano wózki.

- Oczywiście. Ja sam pobiegłem na stację, żeby taki poniemiecki wózek zdobyć. On najczęściej był na łożyskach albo na takiej okrągłej, żelaznej tulei zamiast kółek. Ale akurat wtedy wszystkie wózki zabrali. A był mi bardzo potrzebny...

- Do zabawy?

- Do zabawy, do szabru. Inne chłopaki miały i jeździły nimi po domach. My nawet wtedy nie tak grabili, co niszczyli. Jak szarańcza przez te domy szli.

Dosłownie. Co na drodze, to nieprzyjaciel. Największa frajda rozbić coś. Słuc szwabski żyrandol, czy lustro. Obraz pociąć na kawałki. Kupę nawalić. O! To był fason. Wandalizm był straszny. Aż wstyd mówić.

Człowiek mały, durny. Wypuszczony z klatki, jak pawian w salonie rozrabiał...

- A jak w szkole było? - spytałem.

- Ciężko. Poszedłem do drugiej klasy. Ale w domu uczył mnie polskiego wuj Rasiewicz, boja ni w ząb, kurczą. Tylko po ukraińsku. Ponieważ w klasie nie mogłem się z kolegami rozmówić, to milczałem. Co się będę wygłupiał. Słuchałem i milczałem. Przez pół roku do nikogo się nie odezwałem. A potem od razu przemówiłem płynnie. Aż wszyscy się zdziwili. Ja też...

- W klasie byli Polacy?

- Głównie. Trochę Niemców. Potem Niemcy powyjeżdżali. Też szybko nauczyli się po polsku. Byli tłumaczami swoich rodziców. Chodzili z nimi do sklepów, urzędów i tłumaczyli. Mieliliśmy dobrą nauczycielkę polskiego. Przedwojenną. Z Czortkowa.

Ale z odrabianiem lekcji był klops. Brakło czasu, kurczą...

- Szaber go pochłaniał?

- Krowa. Trzeba było ją paść. Z początku miałem pół etatu pastucha, a potem awansowałem na cały - jak Luta wyjechał. A kiedy do krowy doszedł brat, no to koniec. To były moje dwa największe garby. Krowa i brat. Stale mi go dawano.

Zajmij się Lesiem! Weź, Lesia...

Tu chłopaki piłkę kopią na całego, a ja z Lesiem, kurczą. Ja cię kręcę! Nie będę przecież z nim stał. Ciach go na plecy i biegnę z tym garbem! Czasem udało mi się go ustawić pod drzewkiem i strzelić bramkę. Lesio darł się, ale gol ważniejszy. Raz zagrałem się tak w ataku, że go zgubiłem, kurczą. Urwał mi się gdzieś i polazł w krzaki, smark. Znalazłem go w końcu, wlałem mu przykładnie, potem ojciec mi wlał więcej. Stale za niego obrywałem. Bo Lesio skarżył się.

Donosił.

Uczyłem Lesia odwagi, bo ojciec też mnie uczył. Pamiętam, raz grał w domu w szachy, a jak grał w szachy, to wiadomo, że trwało to do rana. Matka poszła do ciotki Hanki Barabasz, która mieszkała jakieś dwa kilometry od nas, na drugim końcu Prudnika. Zagadała się u niej, było już ciemno i ojciec mówi do mnie: - Idź po matkę, żeby się sama nie bała po nocy wracać.

Mnie się nie bardzo chciało, zima, noc, widzę, że ojciec dalej gra w szachy, więc ja bęc do łóżka i śpię. W nocy ojciec sobie przypomniał, obudził mnie i kazał po matkę iść.

Była noc, ulice puste, zima, do ciotki kawał drogi. Miałem wtedy może z dziewięć lat i sporego pietra. Ale szedłem, nie było wyjścia. Jak przyszedłem, matka się zdziwiła. Oczywiście przenocowaliśmy u ciotki i wrócili dopiero nazajutrz. Ale ojciec specjalnie mnie tak wysyłał, żeby nauczyć odwagi. Posyłał mnie wieczorem po lekarstwa do apteki. A potem ja to samo robiłem z Leszkiem. On się strasznie bał piwnicy. Ledwie o niej słyszał, już darł się jak wariat. No, to ja go brałem pod pachę, zanosilem do piwnicy, wchodziłem z nim do środka i tłumaczyłem: - Czego ty się boisz, dumy? Tu nie ma żadnego diabła! Ani Baby Jagi!

- Jest! Jest! - ryczał. - Ja chcę do mamy!

- Zamiast odprowadzić do mamy zamykałem go, by się przekonał, że tam nic nie ma.

Mało ścian nie rozwalił. Ale ten zimny wychów działał. Powoli Lesio nabierał odwagi.

O, jeszcze mi się przypomniało. Ten Pultzer co wyjaśnił ojcu, jak trzeba zabezpieczyć rury, znał się na wszystkich pompach i urządzeniach i władze polskie specjalnie go prosiły, aby został, nie wyjeżdżał do Niemiec. Zwrócili mu zarekwirowany dom i dali dobrą pensję. On sobie w tym domu koło nas mieszkał z żoną i dwiema córkami. Lorą i Witą. Z Lorą chodziłem do szkoły.

Pultzer mówił po polsku, ale jego żona Niemka ni w ząb! Parę słów kaleczyła śmiesznie. Była to nerwowa i strachliwa kobieta, a przy tym gruba jak beczka, więc łatwy łup.

Spodobała się nam. Wszystkiego się bała, więc my, dawaj, ją straszyć. Jak podbiegaliśmy do niej i z pistoletu robili: Pif paf! - to ona podskakiwała i krzychała: - O, rhety! Rhety! - i łapała się za głowę. To nas, durnych, śmieszyło.

Dziś myślę, że ta Pulcerka, jak ją nazywaliśmy, musiała mieć ciężkie przejścia po wejściu Rosjan i z tego wszystkiego został jej uraz. Była może nawet lekko kopnięta, bo niezbyt normalnie reagowała na nasze wybryki. A nam w to graj! Im ona więcej się boi, tym my bardziej ją straszymy. Wiadomo. Dzieci - sadyści, kurczą. Gdyby ona tak nie krzychała i nie podskakiwała, to byśmy jej pewnie dali spokój. A tak - strasznie się nad nią znęcaliśmy. Straasznie! Do tego czuliśmy, że jako Niemka, boi się na nas poskarżyć, nikt jej nie będzie słuchał, więc byliśmy górami. Całkiem bezkarni. Chyba przez dziesięć lat była naszą ofiarą.

Jeszcze po mnie młodszy chłopcy się nad nią znęcali. Przezywaliśmy ją: „Gruba Szwabka”. Lesio tępak nic nie kapował, ale najgłośniejszy krzychał: - Głuba czapka!

Głuba czapka!

Ona dostawała szału. Raz z wściekłości rzuciła we mnie miednicą. No, to ja postanowiłem się zemścić. Znalazłem gdzieś na strychu portret Hitlera i żeby tę grubą Szwabkę całkiem pognębić, nasrałem na niego przykładnie i ten prezent podstawiłem jej pod drzwi. Zastukałem i, kiedy otworzyła, to zacząłem jak małpa skakać i ją przedrzeźniać. Pulcerka zaczęła mnie gonić, więc zagrałem jej na nosie i uciekłem do domu. Siedzę sobie spokojnie, a tymczasem, o dziwo, słyszę, że Pulcerka drapie się do nas po schodach. Uuu, niedobrze, myślę. Ojciec w domu, kurczą. Będzie manto. Ale nic. Nos w

książkę i robię lekcje. Po chwili stuk-stuk wchodzi zasapana Pulcerka i z tego wzburzenia zaczyna podskakiwać i tańczyć tak jak ja: - Herr Wawrhów! Herr Wawrhów! Mein Gott\ Un tak! - zagrała na nosie i zaczęła podrygiwać. Rodzice całkiem zgłupieli i nie wiedzieli, o co chodzi. To cholernie śmiesznie wyglądało. Za chwilę Pulcerka odsapnęła i zaczęła pokazywać na mnie: - Grhuba Szabka! Grhuba Szabka! Un na Hitler szajs pod majn drzwi zrhobył! No to ojciec już wiedział. Wstrzymał śmiech i zmarszczył brwi. Niewiele myśląc krzyknął: - Za Hitlera nie będę cię bił, ale za kupę całuj natychmiast panią Pultzer w rękę i przepraszaj. Ale to już! A jak pocałowałem, to zawołał: - A teraz w drugą!

Nie dało rady. Z ojcem żartów nie było. Stanowczy. Musiałem tę grubą Szwabkę w obie ręce całować. Ale po tych pocałunkach mi przeszło. Wstyd był straszny.

Unikałem jej jak ognia. Ojciec miał podejście. Teraz to widzę, kurczą...

Po południu wybraliśmy się z Majorem do jego sąsiadów Ukraińców, którym, wyjeżdżając, zostawia klucze, a oni doglądają mu „kotyczu”. Okazało się, że Iwan Rużyłło pochodzi z Tarnopola i przed wojną chodził do polskiego gimnazjum, a jego żona Anna - ze wsi Sosnów pod Podhajcami. Obydwoje mówią świetnie po polsku.

Dowiedziałem się, że Iwan Rużyłło jest głównym budowniczym miejscowej cerkwi, którą tu wzniosło z dużym poświęceniem kilkadziesiąt ukraińskich rodzin. Włożył w jej budowę wiele serca, spędzał tu całe dnie i większość rzeczy wykonał sam.

Instalował dzwon na dzwonnicy. Ta cerkiew jest jego dumą. Mówi, żebyśmy koniecznie do niej wstąpili. Najlepiej w najbliższą niedzielę. Będzie tam duży, tradycyjny praznyk - odpust połączony z piknikiem...

Do tego ukraińskiego święta w Cawaja nie mogliśmy zostać, ale zatrzymaliśmy się przed cerkwią tuż przed odjazdem do Toronto.

Cała z drewna, z cebulastą kopułką i tym dzwonem Rużyłły odbijała swym niezwykłym, galicyjskim kształtem od tutejszego krajobrazu i kanadyjskich „kotyczy”.

Prawdziwy skansen spod Tarnopola. W najlepszym guście. Przy wejściu pamiątkowa tablica po angielsku i ukraińsku: „Ukraińska katolicka cerkiew świętego Wołodomyra i Olgi zbudowana z inicjatywy Myrona Gerusa z pomocą wszystkich mieszkańców tej okolicy w milenium i ku uczczeniu przyjęcia chrztu na Rusi-Ukrainie 988 - 1988. Uroczystości otwarcia dokonał biskup Izidor Boreckij w dniu 9 lipnia roku bożewo 1989 w sossłużenij otciw duszpastiriw”.’ - Wołodomyra i Olgi - trąciłem Jarka.

- No, właśnie - westchnął.

Iwan Rużyłło, żegnając się z nami i zachęcając do obejrzenia cerkwi, rzucił na odchodnym: - Bo nas, starych, cośmy tę cerkwę budowali, coraz mniej. Powoli wymieramy.

Nasza Haliczyna odchodzi. A dla młodych to już abstrakcja... Ale w niedzielę przychodzi sporo ludzi - dodał po chwili. - Nasi, Polacy, Litwini, Kanadyjczycy.

I razem modlimy się. Bo Bóg jest przecież jeden. My mówimy Boh, wy Bóg, oni God.

Ale on jest jeden - dokończył.

- Mój Boże - westchnąłem patrząc na tę tablicę. - Dlaczego tak późno? I dopiero tu, w Cawaja nad jeziorem Huron, w tej małej poindiańskiej osadzie doszło w końcu do tego, co kiedyś w Kopyczyńcach było normalne w święto Jordanu?

- To był chyba czterdziesty szósty rok pod jesień - mówi Olga Wawrow - gdy ja pierwszy raz zobaczyła kogoś z mojej rodziny. Bo w Polsce była tylko rodzina Wicka. Moja została za Bugiem. W Hadyńkowcach...

I był to, proszę pana, Tońko. Antoszko Zacharczuk. Syn wujka Nykoły

i cioci Marynki. Siostry mamci.

- On pierwszy przyjechał z Hadyńkowiec?

- Ta gdzie! Z Berlina. Z Hadyńkowiec by go nigdy nie puścili. Z Niemiec przyjechał z armią. Bo ich po wojnie przetrzucili do Polski. I ja się z nim jako ruskim żołdatem spotkała w Legnicy. W ich bazie. To była jedyna szansa, by go zobaczyć. Ja się tam do niego wybrała z Jarkiem. Z dzieckiem zawsze bezpieczniej. Wcześniej my z Tońkiem zmówili się w liście, którym pociągiem ja przyjadę i gdzie on ma na mnie czekać. Wyznaczył mi miejsce. To był mały park blisko dworca. Napisał mi dokładnie, jak mam iść. Kiedy my z Jarkiem przyjechali, to kuzyn w tym parku już na nas czekał.

- W mundurze?

- Sure. Czapka z czerwoną gwiazdą, pagony, Rusek z niego, że hej! Ledwie ja go poznała. Ucieszył się. Mój Jarko fajno bawił się przy ławce, a my sobie wspominali, jak raki łowili w stawach na Tyklówce. Bo ja tam ciągle biegła do nich na te raki. Ciocia Marynka nam ich z koprem gotowała w dużym garn1 9 lipca roku pańskiego 1989 w koncelebrze ojców duszpasterzy. ku i wystawiała na zewnątrz. Bo taka gromada w domu by nabałaganiła. A tak my siedli sobie na trawce, te raki z garnka łowili, z garnka łatwiej niż ze stawu, nie? I z kuzynami, kuzynkami śpiewali, bawili się, fajno było u cioci Ma-rynki.

- To ile tych kuzynów i kuzynek było?

- Dużo. Najstarszy Misko, proszę pana. On jeszcze przed wojną rodzony. Jak Karol, Wicka brat. Misko to ten starosta, który przychodził do mego tata i walczył o pole. Po Miśku w kolejności szła Nastunia Zacharczuk, żona Jaśka Wawrowa, kuzyna męża. Następny był Tońko, z którym ja się na ławce spotkała. Mój body-guard. Potem młodszy Gienko, jaz nim najlepiej się znała, bo on w moim wieku był. Dalej szła Hanuśka i te dwa bliźniaki Mopsy: Milko i Iwanko. Iwaś.

Ich najmniej znała, bo oni małe chłopcy byli.

Na to spotkanie z Tońkiem w Legnicy ja mu wiozła paczkę i troszku pieniędzy, które mu przysłali jego krewni z Kanady na nasz adres w Prudniku. Tylko tą drogą mogli to robić. Wiadomo było, że - jako ruski żołnierz - za każdy kontakt z Zachodem byłby karany...

- I wtedy Tońko opowiedział coś więcej o pani rodzinie...

- Ta gdzie! On mniej wiedział niż ja. Jak go do armii razem z Wiekiem capnęli, tak dotąd siedział. Po wojnie domu swego nie widział. Ale coś mu ta w listach pisali, bo on pierwszy powiedział mi o śmierci swego brata, Milka. Jednego z tych bliźniaków co byli w UPA... A Iwanka też złapali, ale nie zabili. Siedział w łagrze i jakoś wyszedł. Wrócił potem do Hadyń-kowiec.

Tońko z tej kanadyjskiej paczki bardzo się cieszył. Z pieniędzy też, bo oni ten żółd mieli mały...

Ja mu wszystko oddała, proszę pana, i my się pożegnali. On poszedł do koszar i mnie już na dworzec nie odprowadzał. Bał się troszku swoich. Pełno ruskich patroli ich kontrolowało. Nie mogli tak chodzić sobie po mieście. Trzymano ich krótko. Ale mimo wszystko udało mu się raz czy nawet dwa przyjechać do nas na krótko do Prudnika.

Za jakiś czas my znów dostali dla Antoszki paczkę z Kanady i chcieli mu ją dać, ale nadeszła kartka z Legnicy od jego kolegi. W tej kartce kolega pisał, że Tońka w Legnicy już nie ma. Został odesłany do kraju. My długo nie wiedzieli, co się z nim stało. Dopiero podczas naszej pierwszej wizyty na Ukrainie w Hadyńkowcach w 1957 on sam nam powiedział, że to była kara za brata Milka. W nocy zerwali go i pod strażą odstawili do granicy. Po wielu przesłuchaniach i groźbie łagru puścili, wyrzucili z wojska i - wrócił do Hadyńko-wiec...

Kiedy spytałem Majora, czy coś pamięta z tej wyprawy do Legnicy i o spotkaniu na ławce z Tońkiem, odparł: - Ni w ząb! Ani ławki, ani Tońka.

Kompletnie nic. Pustka. Widać musiało być nudno w tym parku. Dla mnie przynajmniej.

Major oprócz pracy i udziałów w piekarni „Ontario Bread Company”, którą kieruje Leszek, ma swój duży sklep w Mississauga „Kraków Delicatessen”. Na co dzień świetnie prowadzi go jego żona - majorowa Hania Wawrow. Major zaś zdalnie kieruje wszystkim dowożąc towar z piekarni. Ale nie tylko chleb i chałki. Na Ossington Avenue wynajął u brata, Leszka, lokal i zbudował w nim dla swoich delikatesów prawdziwe zagłębie gastronomiczne. Małą fabryczkę zbrojeniową, która zamiast pocisków wypuszcza pierogi ruskie, uszka, gołąbki, ogórki kiszzone, bigos, flaczki, śledzie, fasolkę po bretońsku - wszystko co cieszy podniebienie każdego Polaka na całym świecie.

Kapustę i ogórki Major sam kisi i ugniata w beczkach. Widziałem go w tej akcji.

Oczywiście nie depcze jej na bosaka, jak w Hadyńkowcach, a w specjalnych zielonych rybackich gumiakach - w końcu Kanada, kurczą, postę - ale myślę, że ta kapusta nie odbiega w klasie od tej, którą Elo Hus wioził w beczkach ułanom do Trembowli, czy od kapusty jego babci Pawliny - z cebulką i marchewką, o której tak smakowicie opowiadała Olga Wawrow.

Ewa Prokop rzadko bywa w piekarni. Zajęta jest w swoim biurze podróży Westend Travel w Mississauga. Prowadzi je wraz z Anią Łabus, której mąż - Andrzej jest synem Halusi Łabus i wnukiem Marii i Józefa Antoniów. W Toronto Andrzej pracuje jako elektryk. Łabusowie mają dwoje dzieci, Jacka i Agatkę, które urodziły się w Australii.

- Mamy i Australijczyków w rodzinie. Małych, bo małych, ale marny. Nie myśl pan sobie, panie Jarku! Sroce spod ogona nie wypadliśmy - podkpiwał Major.

Ewa poszła w Wawrowych. Wysoka, przystojna blondyna o jasnych

siwych oczach, takich, jakie miała legendarna piękność rodzinna - Stasia Rasiewicz, siostra Marii Antoniów, która nigdy nie wyszła za mąż, bo chłopca nie chciała, a pan nie przyszedł.

Córka Jarka, Urszula Klich, jest do niej bardzo podobna. Tak samo córka Urszuli Marta, wnuczka naszego Majora, oraz Agata Łabus, ta urodzona w Australii.

Genetyczna powtórka jest zawsze tajemnicza i zadziwiająca.

Między tymi dwiema efektownymi blondynami stoi pani Olga - „ta moja taka mała żona”, jak rzekł o niej w dniu ślubu jej mąż Wicko, i z największą wprawą spokojnie tworzy gołąbki. Podziwiam jej palce. Jak zgrabnie wkłada farsz, dwoma ruchami zawija kapuściany liść - i gołąbek jest. Łąduje sobie obok innych ustawionych w równym szeregu - jak żołnierze - w podłużnej brytwannie.

- Niedługo dwadzieścia siedem! - ostrzegłem ją.

- Ta gdzie! Więcej ja ich dziś stworzyła - roześmiała się. - Tylko tamte w Kamieńcu Podolskim były z kaszą gryczaną, proszę pana, a te w Toroncie są z ryżem. Niestety...

Ta niepozorna, drobna kobieta dokonała rzeczy niezwyklej. Własnym przykładem nauczyła swoje dzieci szacunku do pracy. Każdej. A to nie byle co. Nikt z nich nie wstydzi się wyjść ze swego biura, zakasać rękawy i formować gołąbki.

Leszek, jak trzeba, staje przy piecu, sam robi ciasto i plecie chałki.

W tym samym duchu, że żadna praca w życiu nie hańbi prócz źle robionej, są chowani synowie Majora - Jarek Junior i Leszek II. Obydwaj chłopcy jak dęby, poszli w Wawrowych, mogliby śmiało w gwardii służyć. Jarek Junior po studiach komputerowych i teatrologicznych, żeby było ciekawiej, pracuje u swego szwagra Marka Klicha, męża Urszuli, który ma firmę przewozową. Ale jak trzeba - siada w „troka”¹ i wiezie towar na

Florydę. Podobnie Leszek II staje przy kasie w „Kraków Delicatessen” i pomaga swojej matce.

Moja faworytka Renia tak samo przez Irenę i Leszka jest chowana. Po przyjeździe ze Szwajcarii, zamiast wykorzystać wyjątkowo słoneczne tegoroczne lato i opalać się na plaży nad jeziorem czy oceanem, ciężko pracuje jako ekspedientka w wielkim magazynie Baya w stoisku z biżuterią i zegarkami męskimi.

I na tym polega siła ich rodzinnego biznesu. Zgoda, pracowitość i solidarność, także wzajemna pomoc w potrzebie - jak w wypadku tych gołąbków.

- Posłuch u dzieci musi być - odkryła mi rodzinne metody wychowawcze pani Olga.

- U mnie jak u mojej mamci, proszę pana. Ale pan się nie boi. Ja ta ich tak bardzo nie biła. Bardziej krzyczała. To Wicko troszku bił, ale za to nie krzyczał...

- Wiem. Leszek mi mówił, że jak ojciec tylko ściągał brwi, to on milkł. Bo wiedział, że za drugim razem ściągnie pasa...

- Lesio mało co ta od Wicka dostał. Gorzej Jarko. Ten miał zawsze puców-kę. Bo nie było dnia, żeby czegoś nie zbroił. I w powietrze nie wysadził. Tymi pociskami wciąż się bawił. Niewypałami. A to było niebezpieczne. My się z Wiekiem bali. Paru chłopców rozerwało. A on ciągle te granaty ponemieckie zbierał. Pistolety, ładownice, łuski, proch... - A jak nie broił, to żartował, proszę pana. Raz mnie tak przestraszył, że nie wiem! Ja sobie spokojnie w domu prasowała i na chwilę wyszła do kuchni. Lesio się bawił na podłodze, a Jarko był w szkole. Ja nic nie wiedziała, że on z tej szkoły wrócił, drzwi cichutko sobie otworzył, dał znak Lesiowi, żeby milczał, i skrył się w komórce. Ja wróciła, znów sobie spokojnie koszuli prasuję mężowi, a on nagle z tej komórki wyszedł w białym prześcieradle i wskazując

na mnie palcem ryknął: - Sledu1 Od ang. truck - ciężarówka.

juszczyl - Boże! Jak ja się złękła! Żelazko z rąk puściła, za serce się złapała, mało nie umarła! Pan rozumie. Tak nagle można człowieka na śmierć przestraszyć. To nie żarty. A on w śmiech! Ale szybko przestał, gdy Wicko wyszedł z sypialki, ściągnął pas z haka, wlepił mu kilka pasków i znów poszedł spać, bo spał po dyżurze. A mnie cały wieczór serce się telepało.

- Ale skąd ten sledujuszczypA - Z ruskiego filmu, proszę pana. On widział taki film, w którym pop wyławiał ludzi w cerkwie do spowiedzi wskazując palcem i mówił basem: - Sledu-juszczyl Następny. I mój Jarko go tak małpował. Potem my w domu powtarzali to sledujuszczyl'. Po tym figlu.

Jarko dość szybko z domu wyszedł, proszę pana, i mało co ta potem wiedział, co u nas się dzieje. Uczył się w technikum weterynaryjnym w Nysie, a potem poszedł do szkoły oficerskiej w Kętrzynie, kiedy Lesio z Ewą jeszcze małe dzieci byli. On od nich tyle starszy. Od Ewy aż o czternaście lat. Jarko był kawaler, kiedy ona ledwie chodziła.

Między nimi taka różnica jak między mną a Ircią i Sławciem.

- Pani dzieci podobnie jak pani rodzeństwo można dzielić, pani Olgo - zauważyłem. - Tylko nie na przedkanadyjskie i pokanadyjskie, a na wschodnie i zachodnie. Jarko zdążył się urodzić na ziemiach straconych, a Leszek z Ewą na odzyskanych.

- To prawda - zgodziła się. - Wszystko prawda...

Ja urodziła trzech synów, proszę pana - podjęła po chwili - ale całe życie marzyła o córce. Córka zawsze bliżej matki. Tak to w życiu jest. No i kiedy w 1952 roku przyszła na świat Ewunia, to ja była cała w siódmym niebie.

Oczekiwałam jej bardzo. Ale z dwójką małych dzieci łatwo nie było, pan wie. Ja prowadziła dom, gospodarkę. Pomocy żadnej, bo siostra męża, Józka, została przy chorej matce, teściowej Hanuśce, w Hadyńkowcach.

Dopiero w 1958 roku, po tej repatriacji za Gomułki, udało się nam z Wiekiem Józką do Polski ściągnąć. Bo przedtem to było niemożliwe. Granica na Bugu zamknięta. Żadnych kontaktów nie mieli. Rzadko ta jakaś kartka z domu przysłała... Ledwie parę oficjalnych słów i wsio... Czasem między wierszami ja się czegoś więcej doczytała. Na przykład dopiero w trzy lata po ślubie siostry, Irci, dowiedziała się, że ona w ogóle wyszła za mąż. Ale za kogo - pojęcia nie miała. A to, że wyszła za mąż, odgadła z kartki Sławcia, który wtrącił, że jego siostrzeniec Bohdan, syn Irci, już biega i cieszy się pokojem, który my tak ciężko dla niego wywalczyli w krwawej wojnie ojczyźnianej z niemieckim faszystą. To ostatnie zdanie Wicka tak zdenerwowało...

- Szczególnie Sławcio walczył! Na nocniku! - powtarzał. To aż śmieszne było to Wicka gadanie. Tak, że ja wtedy po tym liście sobie pomyślała: - Aha. Znaczy jak Ircia ma syna, to ta i męża musi mieć.

Tak to było, proszę pana. Dopiero po Październiku, jak Gomułka pojechał do Moskwy i z nimi załatwił, że kto się czuje Polakiem, ma w Polsce rodzinę, to może się zgłosić na wyjazd, my Józce wysłali zaproszenie i ona wreszcie do nas, do Prudnika, przyjechała. Boże, jaka była szczęśliwa! Nie mogła się nacieszyć, że znów jest z nami i że ten sen - ze świętym Józefem w rogatywce co wtedy krzyczał: - Będzie Polska! Będzie! - jej się sprawdził.

Ale nie na długo. Tylko rok w Polsce była, proszę pana.

- Boże! Jak mi tu u was dobrze - powtarzała. - Jak w raj. Jest co zjeść, nie trzeba po chrust do lasu iść, woda i wychodek w domu. Wy nawet nie wiecie, jak tu w Polsce macie fajnie...

Ona u nas odżyła. Jaja dobrze karmiła. Józka poprawiła się na twarzy. Tak ładnie wyglądała. Bo ona od śmierci swojej matki, teściowej Hanuśki, w 1947 roku przez dziesięć lat głodowała. My jaz Wiekiem fajno odkarmili. Siedziała sobie spokojnie w domu. Pomagała troszku przy dzieciach. Bajki im opowiadała. Józka dużo tych starych bajek znała. I historyjek, jeszcze z

austriackich czasów. Bo ona przecież za cesarza Franciszka Józefa żyła. Do szkoły za Austrii chodziła.

Cztery klasy skończyła. Mój Leszek wciąż ją o te bajki mordował: -
Ciocia Józka!

Mów! Mów! - zamęczał ją.

Bardzo ciotkę Józkę lubił. Oni razem w jednym łóżku spali nogami do siebie.

Lesio mały był. Miał dziesięć lat. Józka niewiele większa z tym swoim garbem, biedna, co go dzieckiem nabyła - to mieścili się. Mój Wicko zawsze żartował: - Dwoje krótkich, to nawet palcami jedno drugiego nie sięgnie...

Mój Lesio od dziecka ciągle pytał. Wszystko go ciekawiło. I Józka mu cierpliwie na te pytania odpowiadała. Bo my z Wiekiem go zbywali. Nie mieli nerwów. Często odpowiadali mu żartem. Ale on dalej pytał. Nie było rady z nim. W kółko męczył, by mu czytać. Ja nie miała tak czasu. W końcu mu powiedziała: - Naucz się sam... Ale znów pytał: - Co to za literka - z dwoma brzuskami? A to kółko?

Ale jak się nauczył, to był z nim spokój. Nos w książce i już. Tak jak u mego tata Martyna. Książki z biblioteki sobie pożyczał i czytał. Raz jedną ukradł, tak mu się spodobała. I w żaden sposób nie chciał zwrócić.

- Nie dam, nie dam! - płakał. - Chcę ją na zawsze mieć. Ona ma fajną okładkę i obrazki w środku - wołał. - Zostaw mi!

- Słuchaj, dziecko. Tak nie można. Nie wolno książek kraść. To brzydko - tłumaczyła mu troszku jak moja mamcia mnie, gdy ja kwiaty z ogrodu u Węgrów kradła. - Może drugi chłopiec będzie chciał tę książeczkę przeczytać i obejrzeć obrazki? A ty mu ją zabierasz?

To go przekonało i sam tę książkę do biblioteki odniósł...

- Leszek mówił, że ciotka Józka dość szybko zachorowała. Na płuca...

- Ja. To było związane właśnie z tym garbem, który się zrobił, gdy jako

dziecko spadła z drabiny. I na to umarła, proszę pana. Złamane żebra i kręgosłup zaczęły z czasem uciskać płuco, wdała się woda. My z Wiekiem zawieźli ją do szpitala. Tam Józkę wciąż badali, ale była coraz słabsza. Traciła apetyt. Nic nie chciała jeść, co ja jej w domu zgotowałam. Słabła z każdym dniem. I w tym szpitalu po miesiącu umarła...

Tak, że wiele się tą swoją Polską nie nacieszyła, biedna. A niestara była.

Sześćdziesiąt jeden lat miała, jak my jaw Prudniku na cmentarzu pochowali, 1 czerwca 1958 roku. Na trzy lata przed naszym wyjazdem do Kanady. I tak to było, proszę pana - pani Olga wygładziła ręką białą serwetę na stole. - Biedna Józka wielkiego szczęścia w życiu nie miała.

Na jej pogrzeb zjechała się cała nasza rodzina. Bo Józkę wszyscy bardzo lubili i żalowali. Myśleli, że dłużej z nami pobędzie. Dopiero co przyjechała. Był Alojzek Krasnowski. Ten marynarz, obywatel amerykański, co wojnę przesiedział na Tykłówce. On do Stanów nie wrócił. Bał się troszku, proszę pana. Bo on w sierpniu 1939 roku wyjechał jako marynarz marynarki wojennej. I jak wojna wybuchła, to on powinien się na swój statek stawić, a on się nie stawił. Potem w ambasadzie amerykańskiej to wszystko dobrze przebadali i mu powiedzieli, że po powrocie miałby kłopoty. To on wolał w Krzyżu zostać... On dobrze tam miał.

Ożenił się, a w Prudniku miał matkę i siostrę. Bo ciotka Aniela Krasnowska mieszkała blisko nas. Razem z córką Mańką Gnach.

- A co Mańka Gnach robiła?

- Raz siedziała u Lonki w Zgorzelcu, a drugi raz u Broni we Wrocławiu. Tej „małej gospodyni”, jak mówił o niej Władek Gnach...

Na tym pogrzebie Józki byli oczywiście wszyscy Rasiewiczowie, ciotki Karolki dzieci. Ciotka Karolka, jak i Aniela Krasnowska, była siostrą Fedki Waw-rowa, ojca Józki...

- A gdzie ciotka Karolka mieszkała?

- Zaraz po wojnie w Jeleniej Górze, proszę pana. A później z córką Hanią Barabaszwą w Prudniku w ładnym mieszkaniu naprzeciw parku.

I jeszcze najmłodszy syn ciotki Karolki, Leon Rasiewicz, też mieszkał w Prudniku - razem z nami na Matejki 23.

Córki ciotki Karolki - Mańka Antoniów, Staszka, Różia mieszkały w Jeleniej Górze. Wszystkie one tym drugim transportem z Czortkowa po śmierci Józka Antoniowa i Kaśki Rasiewicz przyjechały. Wiozły dwoje dzieci Kaśki - Krysię i Ryśka - do ich ojca Tadzika Rasiewicza, najstarszego syna ciotki Karolki.

Tadzik był w wojsku jak mój Wicko i wyszedł z wojny ranny w nogę. Tak troszku kulał. Dostał poniemiecką gospodarkę w Czarnym Strumieniu i tam gospodarzył. Oni wszyscy mieli gospodaraki. Mańka Antoniów, Różia. To pod Jelenią Górą ten Czarny Strumień, dziś pewnie miasto, ale wtedy wieś tam była. Tadzik Rasiewicz ożenił się drugi raz, miał nowe dzieci, a te po Kaśce chowały mu ciotka Karolka i Staszka... Ale to były już duże dzieci. Ta Krystyna i Rysio.

No i Krystyna Rasiewicz, córka Kaśki, proszę pana, poznała Wieska Antczaka i oni zaczęli się wodzić za ręce w tym Czarnym Strumieniu. I raz z Wieskiem przyszła do swojej kuzynki, też Krysi - Krysi Antoniów, siostry Halusi... Ten Wiesiek Antczak, jak zobaczył Krysię Antoniów, to się z miejsca w niej zakochał.

Ta druga Krysię bardziej mu się spodobała. I ja mu się ta specjalnie nie dziwię, bo Krysię Antoniów piękna była. Na Wawrowych się podała.

Wysoka, blondyna jak jej ciotka Staszka, też siwe, jasne oczy miała. Krysię Rasiewicz bardzo fajno się zachowała, widzi, że on się tak zakochał w Krysię Antoniów, i go swej kuzynce odstąpiła. I oni z tym Wieskiem pobrali się. W rok po ślubie urodził im się syn Jacek, proszę pana. Wszystko było cacy-gła-

cy, no i strzeż Boże - rak. Rak wyskoczył. Na raka nagle ta Krystyna zachorowała. Mówiono, że w upał na betonowej płycie siadła, i od tego. W każdym razie dwadzieścia sześć lat dziewczyna miała, gdy na tego raka w strasznych mękach umarła. W wieku mojego Jarka była, bo też przed wojną rodzona...

Ja na jej pogrzeb do Czarnego Strumienia pojechała, pamiętam - Mańka z Halusią strasznie rozpaczały. Taki pech! We wojnę stracić męża i ojca i wnet potem córkę i siostrę. Taką fajną i młodą. Los ta czasem kogoś naznaczy, jak ja to mówię.

Ten Jacek malutki, miał może z roczek, dwa. Dziś matki nie pamięta. Wiesiek sam z tym małym synkiem został. No, i wtedy ta druga Krysia, córka Kaśki Rasiewicz, znów się fajno zachowała i w jakiś czas po śmierci swojej kuzynki wyszła za niego za męża, i zajęła się tym Jackiem. Ona go wychowała razem ze swoją ciotką Staszka, która ją jeszcze chowała...

- A w jaki sposób Rasiewiczze do Kanady trafili?

- Przez Wieśka Antczaka. Wiesiek miał starszą siostrę, którą Niemcy wywieźli na roboty, i ona z wojny do Polski nie wróciła, tylko prosto z Niemiec wyjechała do Kanady. Mieszkała w Winnipegu. I ona Wieśka Antczaka z rodziną tu ściągnęła. Z Kryską, tym synem Jackiem, i nowymi dziećmi, które im się urodziły. I Staszka w Winnipegu te dzieci niańczyła...

- Leszek mi mówił, że widział Staszkę w Prudniku piękną i młodą. A potem drugi raz odwiedził ją w Winnipegu wraz z ojcem podczas Kongresu Polonii Kanadyjskiej, który tam się odbywał w 1980 roku.

- Wicko z Leszkiem wtedy działali w Związku Polaków.

- No, właśnie. I Wicko Staszce wtedy powiedział: - Staszka! Ty zawsze taka piękna. Najpiękniejsza w naszej rodzinie... - A ona mu odparła: - Widzisz jaką piękną. Zębów już nie mam...

To Leszek z tej wizyty zapamiętał...

Ale życie ucieka. Tych Rasiewiczów z Hadyńkowiec, co ja ich znała, coraz mniej.

Prawie ich nie ma. Staszka zmarła w Winnipegu, jej brat i'adzik Rasiewicz, ojciec Krystyny i Rysia, w Czarnym Strumieniu. Miał wypadek. Pracował przy wapnie i tak nieszczęśliwie mu prysnęło, że wypaliło jedno oko. Potem zaczął chorować i też zmarł na raka, proszę pana. Podobnie jak Leon Ra-siewicz w Prudniku. Miał pięćdziesiąt sześć lat, jak zmarł. Najdłużej z ich rodzeństwa, oprócz Mańki Antoniów, żyła Hania Barabasz, która zmarła niedawno w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat...

- Wiem. Leszek rozmawiał z nią w 1989 roku, jak był w Prudniku. Pytał, czy pamięta jego dziadka - Łysego Fedkę Wawrowa. Odparła mu wtedy: - Wujka Fedkę mniej, za to świetnie pamiętam drewnianego konia, którego wystrugał w drewnie. Był malowany z czarną grzywą. Bardzo go chciałam mieć i wujek mi go dał. Ale moja młodsza siostra, Mańka, podniosła krzyk, że ona też takiego konia chce mieć i zaczęła mi go wrywać. Ja nie chciałam jej dać. Wtedy wujek nas pogodził i dla Mańki też takiego samego konia wystrugał...

- To prawda, proszę pana. Ja te drewniane figury teścia pamiętam z domu. Mańka Antoniów już tylko jedna z całego rodzeństwa Rasiewiczów żyje w Jeleniej Górze.

Skończyła dziewięćdziesiąt lat. Ona o rok starsza od brata Wicka, Karolka. W Bydgoszczy jest syn Leona Rasiewicza - Zygmunt. My z Leonem mieszkali drzwi w drzwi. W jednym domu. Z jego synem Zygmuntem mój Leszek się chował jak z bratem.

Potem Leszek Zygmunta sprowadził tu do Kanady i on jakiś czas pracował w piekarni. Później wrócił do Bydgoszczy, a do Toronto przyjechał jego syn Marcin, który tu mieszka. Niedawno urodził mu się syn. Jacek Karol ten najmłodszy Rasiewicz ma na imię. Prawnuk Leona Rasiewicza...

- I praprawnuk ciotki Karolki, siostry Łysego Fedki Wawrowa.

- I drugi praprawnuk ciotce Karolce się urodził w Kanadzie. Po tym małym Jacku, synu pięknej Krystyny Antoniów, co umarła tak młodo na raka. Ten Jacek jak matka piękny, wysoki blondyn. Przyjemnie popatrzeć. I teraz urodził mu się w Winnipegu syn.

- Prawnuk Marii i Józefa Antoniów, kierownika młyna...

- Ja. A wie pan, jak ma na imię ten chłopiec? Wincenty. Wincenty ten praprawnuk ciotki Karolki ma na imię. Jak jej brat, co zginął pod Brzeżanami, ojciec Jaśka Wawrowa, i mój Wicko. Fajno, nie?!

Maria Antoniów, jak jej brat Tadzik, miała gospodarkę w Czarnym Strumieniu. Była tam ze swoją córką Halusią, która wyszła za mąż za Józka Łabu-sa. My na tym ślubie z mężem i małym Leszkiem byli.

Józek, tak jak mój mąż, pracował na kolei. Był maszynistą, proszę pana. On, podobnie jak my, urodził się na naszych ziemiach w Tarnopolskiem. Bo jego ojciec był legionistą, żołnierzem z wojny dwudziestego roku, osadnikiem wojskowym. Ale po paru latach wystraszył się, że tylko dwóch czy trzech gospodarzy Polaków jest na tej wiosce, reszta sami Ukraińcy, wrogo do nich nastawieni, i postanowił wrócić do centralnej Polski. Gospodarkę swoją sprzedał i w Wojniczu kupił za to taki wąski długi pasek pola idący aż do Dunajca. JÓZEK już w Wojniczu nad Dunajcem się chował i tej wsi na naszym Podolu, gdzie się urodził, mało co pamiętał...

- A nasz biedny Józek Antoniów, teść Józka Łabusa. On ta tak w swoje szczęście zawsze wierzył i widzi pan. Zgubiło go. Po wojnie mógł żyć z nimi w Czarnym Strumieniu i też mąkę mleć. A tak - ciała nawet nie znaleziono. Halusia Józka Łabusa tak bardzo kochała i kocha, że on też Józek. Jak jej ojciec. I Mańka bardzo Józka Łabusa lubi. Bo on fajny jest. Wesoły. Dobry mąż i ojciec.

Pracowity. Wszystko sam robi.

Do legendy przeszła historia jego domu, który budował w Wojniczu ponad trzydzieści lat. Z całej Polski zwoził do niego materiał, to cement, to deski, to papę. Przejeżdżając przez Szybowiec czy Dytmarów swym parowozem zrzucał to Wickowi na przechowanie i jechał sobie dalej. W powrotnej drodze zabierał. Raz szyna stropowa z Kłodzka, którą tym parowozem wioził i zrzucił, czekała na niego rok, nim ją wziął do Wojnicza. Już całkiem na deszczu zardzewiała. Leszek śmiał się, że on wszystko do swego domu w tym jednym parowozie przewiózł. Tę szynę stropową też. Józek bardzo solidny był...

- Jarek z Leszkiem mówili, że jak był tu, w Kanadzie, to tak porządnego pracownika jak on nigdy już w piekarni nie mieli. Wciąż pytał: - Co jeszcze zrobić? - A w końcu był już na emeryturze. Ten swój dom też pewnie tak solidnie budował...

- To prawda. A że trwało długo, cóż! - pani Olga rozłożyła ręce. - Sam go budował, bez pomocników, w wolnych chwilach. A praca na parowozie lekka nie jest. Józek zaczynał od palacza. Ile ta tego węgla musiał z tej węglarki zrzucić...

Na szczęście awansował na maszynistę...

- A jak było z przyjazdem jego syna do Kanady?

- To było tak. Jednego wieczora pod koniec maja 1988 roku, proszę pana, zadzwonił nagle jakiś młody gość i spytał, czy może rozmawiać z wujkiem Wincentym Wawrowem.

Ja mu odparła, że mąż nie może podejść do telefonu, bo miał wylew i po tym wylewie nie mówi... I zaraz myślę sobie, co to za rodzina, jak on nie wie, że mój Wicko od roku jest na wpół sparaliżowany. Dostał wylewu jak jego matka, teściowa Hanuśka. To troszku rodzinne. Ta choroba...

Ale zaraz wyjaśniło się, że to syn Halusi i Józka Łabusa, wnuk Mańki i Józefa Antoniów - tego młynarza zamordowanego przez banderowców w

Ha-dyńkowcach.

Prawnuk ciotki Karolki Rasiewicz, siostry mego teścia - Łysego Fedki Wawrowa...

I że on z rodziną przyjechał z Australii na stałe do Kanady, nikogo w Toronto nie zna, mieszka z żoną i dziećmi w hotelu przy lotnisku i nie bardzo wie, co dalej robić.

Ja zadzwoniła do Leszka i uradziliśmy, żeby oni przyjechali następnego dnia z rana do piekarni. Rano o jedenastej my byli w komplecie w piekarni Leszka. Mój Wicko ubrany odświętnie w garnitur, pod fioletowym krawatem, proszę pana, też był z nami, by się przywitać z rodziną. On świetnie wszystko rozumiał, tylko mówić nie mógł.

Oni przyjechali z lotniska wypożyczonym autem. Żona Ania zawsze uśmiechnięta i on, wysoki blondyn, całkiem jakby brat mojego Jarka i Ewy. Z nimi ich jasnoblonde dzieci: siedmioletnia Agatka i trzyletni Jacek - obydwójce urodzeni już w Australii.

Andrzej zaczął opowiadać, dlaczego przyjechali do Kanady.

- Po ośmiu latach w Australii bardzo brakowało mi zimy. Miałem dość spiekoty i wiecznego lata. Kanada nęciła mnie głównie z powodu śniegu. No i Kanada bliżej Europy. Osiem godzin - i j est się w Polsce, a z Australii leci się ponad dobę z kilkoma przerwami na tankowanie...

Przyjechaliśmy na własny rachunek. Mam fach, znam angielski. Kanada bez trudu mnie przyjęła. Przed przyjazdem do Kanady rozmawiałem z Krystyną w Winnipegu, to mi doradziła zostać w Toronto i podała telefon wujka Wincentego - spojrzał na męża.

Wicko kiwał głową i uśmiechał się. Pilnie go słuchał, proszę pana.

- Krystyna mówiła - ciągnął Andrzej - że w Toronto j est budowlany boom i że jako elektryk bez trudu znajdę pracę. W kanadyjskiej ambasadzie były polonijne gazety: „Związkowiec”, „Głos Polski” i wiedzieliśmy, że

Toronto najszybciej się rozwija. Najwięcej też Polaków...

- Tymczasem po tygodniu w tym hotelu - przerwała mu Ania - pieniądze na drogę nam się skończyły, poświadczono czeku na dziesięć tysięcy dolarów żaden bank kanadyjski nie chce nam zrealizować - każą czekać dwa tygodnie na zweryfikowanie, więc mówię do Andrzeja: - Na co ty czekasz?! Dzwon do wujka!

A on zwlekał. W końcu mu zagroziłam, że jak nie zadzwoni - to ja zadzwonię!

- I pod pistoletem zadzwonił! - krzyknął Jarek. - Bardzo dobrze! Tak trzeba!

Popieram, kurczą...

Pani Olga na chwilę przerwała, potem podjęła znów: - My wszyscy siedzieli na górze w piekarni, gdzie było kiedyś biuro, przed zainstalowaniem silosa z mąką, i słuchali Anki i Andrzeja. Ja nie miała wątpliwości, że on z Rasiewiczów, od ciotki Karolki. Miał te same siwe oczy co ta piękna Stasia Rasiewicz...

Moja Ewa zaproponowała, że u niej w domu jest wolne mieszkanie na trzecim piętrze i oni mogą tam zamieszkać...

Andrzej musiał czekać na kanadyjski certyfikat elektryka, bo bez tego firmy budowlane by go nie przyjęły, a póki co mój Leszek dał mu pracę w piekarni. A Ewa Ani załatwiła pracę ekspedientki w sklepie u Karola na Roncesvalles.

' Polskim drugim. Taki był ich, Ani i Andrzeja, początek, proszę pana. Potem na jesieni mieszkali u mnie w apartamencie, a na zimę poszli już do swojego mieszkania. Leszek im doradził kupić własny dom. Troszku im pomogliśmy i poszli na swoje. Andrzej jako elektryk pracował po różnych budowach, ale potem mąż Ewy, Janek Prokop, załatwił mu pracę w Hydro, gdzie sam jest jako inżynier, i Andrzej Łabus pracuje tam do dziś. Lubiany i

ceniony, bo on grzeczny, spokojny jest. I solidny, pracowity jak Józek. Urządził się więc szybko, dobrze zarabia, bo na rządowej posadzie w Hydro u nas płacą fajno, i chwala sobie Kanadę. Niedawno kupili nowy dom w Mississaudze, piękny bungalow z dwoma garażami. Jak kupili ten nowy dom, to zaprosili nas na swoje dziesięciolecie w Kanadzie. Ja - westchnęła. - Już dziesięć lat od tego telefonu do wujka. Mój Wicko trzy lata jak nie żyje. Czas szybko leci. Agatka już siedemnastoletnia panna, jak na nią patrzę, to tak jakby moją Ewę widziała. Taka podobna, proszę pana. A ten mały Jacek w tym roku pójdzie do high school1...

- Ja - westchnęła i wygładziła ręką obrus.

- A jego żona Ania - podjęła po chwili - to ja już panu mówiła. Razem z moją Ewą to biuro podróży Westend Travel prowadzi i bardzo fajno im idzie. Zgadza się ze sobą i jedna drugą wspiera. Tak, że i w Toronto są Rasiewicz. Od ciotki Karolki, siostry Łysego Fedka. Widzi pan - rzuciła z odcieniem dumy.

I w ten sposób, pomyślałem, wnuk męznego młynarza Józefa Antoniowa z Kopyczyniec - co tak wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę i nie bał się kostuchy, nawet wtedy gdy nocą ładowano go na furę wyprowadzając w białiznie z domu Stepana Bodnaruka, i którego ciała do dziś nie znaleziono - oraz Marii Antoniów - wciąż żyjącej w Jeleniej Górze, która wykupiła za litr spirytusu u komendanta łagru w Kopyczyńcach Edwarda Apanela, ratując go przed wywózką - elektryk Andrzej Łabus pracuje dziś w Hydro w Toronto. Żona Andrzeja prowadzi „Westend Travel” - co znów brzmi jak symbol - a ich dwoje dzieci: Jacek i Agatka - to dziś Kanadyjczycy z australijskim pochodzeniem w paszporcie.

Świat jest mały. Tylko Hadyńkowce wielkie...

- W Prudniku my mieli różnych sąsiadów - opowiada pani Olga. Większość z nich była z naszych stron, proszę pana. Obok nas mieszkali

Hadrysio-wie. Ona była ze Strusowa, a on przed wojną pracował przy wojsku. Był kucharzem w kasynie oficerskim w Chełmie. A przed wojną kucharz w kasynie to był kucharz. Oficerowie z pańskich domów przywykli dobrze zjeść.

1 Liceum. Hadryś śmiał się zawsze z obecnych kucharzy.

- To sąmigłance! Jak ci taki po technikum, czujny klasowo, zrobi jajko po wiedeńsku, to wiadomo, że będzie po moskiewsku. Kierowniczka stołówki zakładowej - wyrzekła - po kursie marksizmu-leninizmu, a u przedwojennej kuchy lekcje mogłaby brać.

- Taką przedwojenną służącą, o której myślał Hadryś, była u nas sąsiadka Sorokowska. Ona mieszkała koło Iwaniuczki z Pastusza. Przed wojną służyła u bogatego kupca żydowskiego w Czortkowie. Mój Leszek raz powiedział o niej: - Ta Sorokowska... - Ja go zaraz poprawiła: - Pani Sorokowska. Ona dla ciebie jest pani Sorokowska, Lesiu. I ty mi, dziecko, inaczej na nią nie mów, bo to brzydko...

- Dlaczego? Przecież ona była służącą...

- Może była w Czortkowie, ale tu, w Prudniku, jest panią...

- Po skończeniu podstawówki w Prudniku w 1952 roku dostałem się do Technikum Weterynaryjnego w Nysie - opowiada Major.

- Jak raz urodziła się Ewa i w ostatniej chwili udało mi się zwać do Nysy podrzucając baby Lesiowi. Niech on się z nią męczy i pozna smak braterskiej pomocy, kurczą...

- Dla niego Ewa była garbem, co?

- Ewa i koza. Koza Baśka, którą musiał po mnie paść. Obydwie dały mu w kość, oj dały - zatarł ręce.

Tego pobytu w Nysie źle nie wspominam. Warunki do nauki były, kto chciał się uczyć - ten się uczył. Raz na tydzień przyjeżdżałem do domu i wracałem do swoich starych zajęć. Już nie do krowy, którą sprzedano, tylko

do kozy. Ta koza Baśka była wyjątkowo sprytna.

- Leszek twierdzi, że kanapki robotnikom na stacji zjadała, za co wciąż obrywał lanie. Umiała też kopytkiem otworzyć sobie elewator, spuścić z niego zboże i je zjeść. Wciąż przychodziły na nią skargi...

- To za Leszka kadencji. Ja z Bašką nie miałem kłopotów. Poza wstydem, rzecz jasna. Kawalerować z kozą na sznurku nie należało do przyjemności, kurczą.

Starąłem się więc z nianie afiszować. Pasłem ją w rowach między torami, bo tam trawa była niczyja. Tak ją wytresowałem, że słuchała się mnie jak pies. Na gwizdnięcie przybiegała. Ja sobie szedłem po torach i czytałem książkę - a ona się pasła. Nie próbowała mi uciec, bo wiedziała, że zawsze ją dogonię i wleję...

Inaczej było z Leszkiem.

- Baśka to było moje przekleństwo. Zmora dzieciństwa. Wciąż lazała mi w szkodę.

Nie mogłem jej upilnować. Rodzice mi wytykali: - Jarko to daje sobie radę! Jego koza słucha. Ty tylko, Lesiu, gamoń. Zawsze ci ucieknie. - Jt mogła mi nie uciec, kiedy byłem mniejszy od niej? Porównywali mnie z Ja kiem, który był duży, widział ją jak na dłoni. Ja jak pasłem Baškę na torach, tylko po wystających rogach wiedziałem, gdzie jest. Nie sterczą znad trawy znaczy poszła w koniczynę albo na działki. Wróci z takimi bokami, a ja dostnę w tyłek.

Pamiętam, miałem chyba dziesięć lat albo mniej i kazali mi ją prowadzić c capa.

Dali dwadzieścia złotych, bo tyle to zapłodnienie wtedy kosztował Baśka z daleka wyczuła tego capa i biegła do niego tak, że parę razy mn wywróciła. Ledwie utrzymałem linkę w ręku. Wtedy pierwszy raz zobaczyłem jak to pokrycie wygląda.

Nie wiem, dlaczego rodzice tak wcześnie mnie w wprowadzali. Widać uznali, że to normalne i nie ma co ukrywać.

Kiedy podrosłem i jakoś tę Baškę ujarzmiłem, to zacząłem budować mo gniazdo na wierzbie. Dwa lata mi zeszło... Chciałem się odizolować. A wierzba była idealna.

U góry czub miała ścięty, a dookoła otoczona była ste czącymi witkami. Ja wniosłem na ten czubek deski, wyłożyłem je sianem powstał taki fotel, a witki pracowicie oplotłem robiąc z nich rodzaj kosza. ^ tym wierzbowym koszu sobie siedziałem i czytałem. Ciągłe go ulepszałem. Miałem zwodzoną drabinę, po której wchodziłem. Kiedy moja czytelnia by naprawdę perfekt - nadszedł czas wyjazdu do Kanady. Tak, że w zasadzie ii długo się nią nie nacieszyłem. I przez całe moje dwanaście lat w Polsce, jak p miętam, głównie z kozą Bašką wojowałem...

- Gdyby nie koza, proszę pana, na którą tak Leszek narzeka, świnie, indki, gęsi, kury i kawałek pola, to by my z pensji męża nie wyżyli - tłumaczy mi Olga Wawrow. - Musiałbym kraść - powtarzał Wicko. - A kraść nie chc więc zostaje gospodarka...

I jak wracał ze stacji, to zaraz szedł w pole. I mi pomagał. To była jego dr ga posada. Kiedy wreszcie się obrobił, to sięgał po gazetę i słuchał radia. Je < nym uchem Wolnej Europy, drugim radia Madryt. Próbował się przebić pra te trzaski.

Wicko pasjonował się polityką, ale społecznie się nie udzielał. N wstąpił nawet do Stronnictwa Ludowego, w którym był przed wojną. Uważi że po rozwiązaniu PSL i ucieczce Mikołajczyka ci ludowcy też czerwoni s Tylko pod zieloną flagą. I nie chciał do nich przystać. A to by mu pomógł Dlatego tak słabo na tej kolei awansował. Po Szybowicach dali go na Dytm rów i Chrapkowice. To były takie małe stacyjki pod Prudnikiem...

- A ojciec zdolny był, kurczę - przyznał Major. - Wciąż się szkolił. Op

nował perfektny alfabet morse. Mógł śmiało awansować, ale niestety. Nie był karierowiczem.

Jako młody podporucznik tuż po szkole zarabiałem dużo więcej od niego. Ojciec co prawda dorobił się w końcu czerwonej czapki, ale p(nią zachował swój sąd, nie krył się z tym - i zdołował go. Nie było siły. Nie podskoczył im mimo żelaznych rąk i znanego refleksu.

A refleks, kurczą, miał. Raz prawdziwie mi zaimponował. Wsiadł z wagonu i po przejściu przez tory nagle przypomniał sobie, że w przedziale zostawił rękawiczki. A to były takie fajne, skórzane rękawiczki, na podszewce, które przywiózł z wojny. Trofiejne niemieckie. Ja je jeszcze nosiłem... Żał mu się ich zrobiło. A pociąg już ruszył. Ojciec zdążył krzyknąć: - Trzymaj! - dał mi kolejarską torbę, a sam jednym susem przesadził wysoką siatkę między torami i wskoczył do jadącego wagonu. Wrócił z drugiej strony następnym pociągiem z rękawiczkami w ręku. Popisał się jak wtedy, gdy zwał Niemcom ze szkoły w Probużnej...

- Mnie to najbardziej bolało - dodał Leszek - że mojemu tatowi przysługuje druga klasa. Mundek i inni synowie kolejarzy dawno jeździli sobie pierwszą klasą, gdzie były miękkie, sprężynowe kanapy, dużo miejsca i czyste firanki.

- Kiedy tato dostanie pierwszą klasę? - dopytywałem się, gdy Mundek ze stryjkiem Leonem Rasiewiczem na wakacje do babci jechał pierwszą klasą.

- Jak będę w dziewiątej grupie - tłumaczył.

- A w której teraz jest?

- Dwunastej.

Tuż przed wyjazdem do Kanady - mówi Leszek - tato wreszcie awansował na dyżurnego ruchu w Prudniku i dostał dziewiątą grupę. Ale wtedy w PKP zmienili przepis i pierwsza klasa przysługiwała od ósmej grupy wzwyż. W ten sposób nigdy nie doczekałem się tej upragnionej kolejarskiej

pierwszej klasy. Mój tato też.

Gdy w 1976 roku przyjechał pierwszy raz do Polski, to jechał co prawda pierwszą klasą, ale niejako pracownik kolejowy tylko pasażer dewizowy. Na własny koszt! - „chrapnął” wesoło. - Ale z drugiej strony, jak dziś o tym pomyślę - podjął po chwili - to nie dziwię się, że tak wolno awansował. Tato nie cierpiał komunistów. I nie krył się z tym.

Do pierwszej klasy poszedłem jesienią 1955 roku. Śmierci Stalina nie pamiętam, ale jednego dnia tato przyszedł ze stacji do domu i powiedział, że ktoś potrzaskał portret Stalina i nikt go nie aresztował. Tato słuchał wciąż małego, kremowego pioniera. Przez trzaski ciężko mu się było przebić i nie pomagała nawet długa, miedziana spirala, którą zainstalował w pokoju. Ten pionier stał na stole, ucho tata było w radiu, a ręka na gałce, którą wciąż podkręcał między gwizdami.

- Co oni mówią? - pytałem mamy.

- Madryt i bolszewik - odpowiadała w złości przedrzeźniając te gwizdy.

Tata bałem się spytać, by mu nie przerywać. Nie rozumiałem, co to ten Madryt czy Monachium, ale wiedziałem, że stamtąd mówią z trzaskami i buczeniem, a z Warszawy i Krakowa czysto i wyraźnie...

‘ Zygmunt Rasiewicz.

W marcu 1956 roku w słoneczny dzień tato przyszedł do domu wesoło pogwizdując i rzucił na stół „Panoramą”. W czarnej ramce był portret Bieruta, a pod nim napis, który z trudem przeczytałem: „Prezydent Bolesław Bierut nie żyje!”

Tato wziął chemiczny ołówek i dopisał do „nie” - „ch”. Wyszło z tego: „Prezydent Bolesław Bierut niech żyje!”

Roześmiał się z tego żartu, a ja pomyślałem, że ta śmierć Bieruta to nie taka smutna rzecz. Chociaż w dwa dni później musieliśmy w świetlicy

słuchać spikera zdającego sprawozdanie z pogrzebu. Te słowa z radia, mówione grobowym głosem pamiętam do dziś: - Czarna trumna pokryta kirem spoczywa na armatniej lawecie, którą ciągną cztery karę konie. Kondukt żałobny posuwa się wolno, a za nim zrozpaczone, osieroczone twarze mieszkańców Warszawy.

Wszystko wolno, uroczyście, w takt marsza żałobnego. Z nudów zacząłem rysować karykatury Bieruta. Miałem już wprawę. Okrągła twarz, kwadratowe wąsy, grzywka, krawat. Dopisałem też do zdania z „Panoramy” to „ch”. Koledzy zaczęli się śmiać.

Nagle stanęła nade mną nasza wychowawczyni, pani Chorzewska. Nie kryła oburzenia. Uznała to, co zrobiłem za sabotaż. Kazała wezwać tatę do szkoły. To mnie dobiło. Zdruzgotany, teraz naprawdę w smutku słuchałem tego sprawozdania, które trwało wieki.

Tato przyszedł do szkoły. Pani Chorzewska opowiedziała mu, co ja zrobiłem, i pokazała gazetę: - Pan widzi! To „niech żyje” to skandal! Spojrzał na gazetę, zmarszczył brwi i wyjaśnił: - To „niech żyje” znaczy, że prezydent Bierut wiecznie żywy.

Nauczycielka nie bardzo wiedziała, czy tato mówi serio, czy żartuje. Ale kolejarski mundur i poważna mina zrobiły swoje. Tato zapewnił, że to się więcej nie powtórzy.

Pani Chorzewska była z naszych stron, z Czortkowa, sama się bała o SWOJE skórę i ta obietnica tata ją uspokoiła. Powtórzyła kierownikowi i sprawa uci chła.

W drodze powrotnej tato pouczył mnie: - Nie gada się w szkole tego, co się mówi w domu. Pamiętaj. Tylko myszy gene tak robi. Milcz, jeśli nie chcesz, by my obaj wpadli w większą „chałepę” niż dziś.

Ledwie ja z tego wybrnął. Rozumiesz?!

To zrozumiałem. I nigdy więcej nie myliłem prywatnego „niech żyje”

oficjalnym „nie żyje”, które w PRL różniło się, niestety, tak jak życie 01 śmierci.

- Dopiero w 1956 roku, po jedenastu latach naszego życia w Prudniku, przyszedł pan - mówi pani Olga - zjawiała się pierwsza szansa na odwiedzenie naszej rodziny w Hadyńkowcach. Bo do tej pory na żadne prywatne wizyty Rusczy nie zezwalali. Poza wszystkim my się baliśmy, że stamtąd nie wrócimy. Nie chcieli też, by przez nas nasi tam wpadli w jakąś chłepkę. Byli karani za kontakt z Zachodem.

Pan wie, jak to za Stalina i Bieruta było. Niby braterstwo kwitło cacyglacy, tylko brata nie szło odwiedzić. I przez granicę na Bugu przejść.

Mój Wicko nawet o pogrzebie matki nie wiedział. Był całkiem odcięty. My się dowiedzieli o śmierci teściowej Hanuśki w miesiąc po jej pogrzebie. Ona zmarła niedługo po naszym wyjeździe do Polski. Ja panu powiem więcej. Mój Wicko łatwiej dostawał listy od brata Karola z Toronto niż od siostr z Hadyńkowca. Karol z Kanady do nich nie pisał, żeby im nie szkodzić, tylko przez nas w listach dowiadywał się, co u nich słychać. A my im znów pisaliśmy, co u niego.

Dopiero po Październiku troszku poluzowali i my mogli jechać z wizytą. Trzeba było tylko mieć zaproszenie, wykupić ruble, a Rusczy dawali wizę. Nasz sąsiad z Matejki, Monastyrski z Pastusza, pierwszy z żoną pojechał i Wickowi objaśnił, co musi załatwić. Mój tato Martyn przysłał mi zaproszenie i my zaczęliśmy przygotowywać się do tej wizyty. Jarko z nami nie mógł jechać, bo po technikum pracował w PZU, i my wzięliśmy ze sobą tylko Ewunię i Lesia. Chcieli im pokazać rodzinę i Hadyńkowce. Lesio wtedy miał osiem lat, a Ewunia cztery, proszę pana.

Mąż wziął miesięczny urlop na kolei i my w lutym 1957 roku wyruszyliśmy do Hadyńkowca na cały miesiąc. Ale połowę 1956 roku to my się do tej podróży szykowaliśmy...

Leszek tak wspomina ten bogaty w wypadki 1956 rok: - Rodzice powoli zaczęli się szykować do wyjazdu na Ukrainę. Kupowali towar na sprzedaż. Z Katowic przywieźli kupon perkalu, a bawełnę udało im się dostać na miejscu w Prudniku, bo tu był PZPB - Państwowy Zakład Przemysłu Bawełnianego.

Cajg i perkal kupowali w Warszawie akurat w Październiku 1956 roku. Dopiero gdy wrócili, to od nas, w Prudniku, dowiedzieli się, że czołgi szły na Warszawę i interwencja wisiała na włosku...

Po Październiku pod tablicą w klasie pani Chorzewska postawiła twarzą do ściany trzy zdjęte portrety. Kiedy wyszła na dużą pauzę, zająłem, kto na nich jest.

Był tam Bolesław Bierut z dobrotliwym uśmiechem, Konstanty Rokossowski z medalami i łysy Cyrankiewicz.

Tato w domu powiedział: - Rokossowski już wrócił do Moskwy. To nie był marszałek Polski, ale Sowietów.

Nasłany Moskal...

Tato nigdy nie mówił jak my w szkole: Związek Radziecki - tylko Sowiecki. A na Rosjan - Moskale lub Ruski. Kiedy wybuchło powstanie na Węgrzech i Gomułka miał przemówienie, to nastawił radio na całą ulicę.. Wszyscy się cieszyli, że z Gomułki taki kozak. I stawia się Moskwie...

W szkole po ostatniej lekcji zaczęli uczyć religii. Kulawy katecheta uczył nas z Biblii. Ja już ją znałem, bo Biblię i historię Polski my mieli pożyczoną od ciotki Gnach - przywiezione jeszcze przez wujka Krasnowskiego, męża ciotki Anieli Krasnowskiej, z Ameryki...

Wreszcie nadszedł upragniony dzień naszego wyjazdu. Nie mogłem się doczekać, kiedy zobaczę dziadka i naszą kamienicę w Hadyńkowcach. Rodzice mówili, że dziadek Martyn ma dużo książek i zna bajki, które pięknie opowiada.

Gdy tato pakował zwoje materiału, mama na dole rozmawiała ze stryjanką Wandą o gospodarstwie, którego miała razem z Jarkiem doglądać. Zostały tylko kury i koza Baśka. Świniaki dawno poszły pod nóż. Jeden na Boże Narodzenie, a drugi na kupno materiałów. Gęsi i indyki mama wysprzedawała jeszcze na jesieni. Były z tego kupony wełny i bawełny.

Wiem, że wyjechaliśmy 8 lutego 1957 roku, bo jak przyjechaliśmy z powrotem, to katecheta napisał w podręczniku przygotowywującym do pierwszej komunii: „Był nieobecny od 9 lutego do 8 marca...” Pani Chorzewska wiedziała, że wyjechaliśmy na Ukrainę, a katechecie nikt nie powiedział i nie usprawiedliwił mojej nieobecności tuż przed komunią.

Wieczorem poszliśmy na stację. Jarek niósł jedną walizkę, stryjek Leon Rasiewicz drugą, tato taskał wór z materiałami i teczkę, a mama prowadziła mnie i Ewę za rękę.

- Jak sprzedacie materiał i zarobicie kupę forsy, to kupicie mi motor! - powtórzył Jarek, który męczył o to już od paru tygodni.

- Jaki motor? - zapytała mama, jakby pierwszy raz o tym słyszała.

- Iż - odpowiedział twardo Jarko. - Radziecki iż, mammo.

- Chyba ja ci mówiła, że o żadnym iżu nie ma mowy...

Pożegnaliśmy się z Jarkiem chłodnym machnięciem ręki.

Kolega taty, pan Szydłowski, przystojny brunet z wąsikami, w czerwonej dyżurnej czapce, z okrągłą tarczką w ręku czekał, aż my się załadujemy, a Jarko ze stryjkiem Leonem wyjdą z wagonu. Pan Brzosko stał koło pana Szydłowskiego na peronie i życzył nam szczęśliwej podróży.

Wreszcie lokomotywa gwizdnęła i pan Szydłowski machnął zieloną tarczką. Peron skrył się w kłębach pary. Powoli minęliśmy ekspedycję, składy belek i nasz dom - Matejki 23. Potem ostatni dom w mieście, nastawnię i działki pracownicze, na które tak często uciekała mi Baśka. Pociąg jechał już pełną parą na wschód.

- No jak? Może z tego coś być? - urwał Leszek. Spojrzał na mnie i zdjął okulary.

Siedzimy w salonie na Geoffrey Street zawałonej polskimi i angielskimi książkami. Jest to jedna wielka biblioteka.

Leszek podróż na Ukrainę dokładnie spisał na kartkach, korzystając z dzienniczka i notatek prowadzonych od lat. Te swoje zapiski czyta mi na głos.

- Od naszej wizyty na Ukrainie minęło czterdzieści lat - tłumaczy mi. - I ja staram się ją oddać oczyma dziecka. Jak wtedy to widziałem. Notatek z podróży, niestety, nie robiłem. Dopiero w cztery lata później zacząłem prowadzić swój dzienniczek. Jak czegoś nie pamiętam, dzwonię do ciotki Irki, która wówczas miała dwadzieścia sześć lat i świeżo wyszła za mąż za Antona Petry-ka. Jej syn Bohdan miał wtedy trzy latka. Matka Borysa, Łesia, była zaledwie o rok ode mnie starsza. Babę - trzecią żonę dziadka Martyna - zapamiętałem jako silną jeszcze kobietę dużo młodszą od dziadka. Ewa z tej podróży niewiele pamięta. Jednak legenda, że Ewunia i ja jako goście byliśmy nehidni - czyli niegrzeczni, w Hadyńkowcach zachowała się do dziś, i stale rosła. Nawet Borys urodzony w dziesięć lat po naszej wizycie potrafi dokładnie opowiedzieć, co Baba o nas mówiła. Wraz z postępującą sklerozą mogła zapomnieć o córce jedynaczce Łesi, mogła zapomnieć, że miała męża Martyna, naszego dziadka, ale nigdy nie zapomniła, jak Ewa stłukła garnuszek i co wtedy powiedziała.

Możliwe, że w Hadyńkowcach byliśmy nehidni i rozrabialiśmy jak dwa szczeniaki spuszczone ze smyczy. Tato zajęty był sprzedawaniem towaru i nabywaniem sprzętów domowego użytku. Przez ten ruski miesiąc nie miał czasu, aby swoim zwyczajem ściągnąć brwi, a jak to nie skutkowało - to pasek. Smagnął jedno, smagnął drugie i był spokój. A mama nie dawała sobie z nami rady. Niestety...

Mam tu jeszcze parę kartek, to dokończę, okay! - Nałożył z powrotem

okulary i zaczął czytać.

- My z Ewą zasnęliśmy prawie natychmiast kołysani miarowym stukotem kół na spojeniach szyn. Tato też ułożył się w kącie przedziału, przykrył brązowym płaszczem prochowcem i zaczął głośno chrapać.

- On może na cementowej posadzce gazetę rozścielić i zasnąć - powtarzała nie bez zazdrości mama. Sama nawet na chwilę nie zmrużyła oka.

Kiedy dojechaliśmy do Przemyśla, przebudzeni zostaliśmy dłuższym postojem, światłami i ranną krzątaniem bagażowych.

- Zaraz dojedziemy do Medyki - powiedział tato.

Wkrótce w niej byliśmy. Granicę przejechaliśmy gładko. Polscy celnicy uśmiechali się do nas przyjaźnie, gdy mama mówiła, że wiezie dzieci w odwiedzinach do dziadka, który ich jeszcze nigdy nie widział. Nie pytali, co dziadkowi wieziemy. Można było wszystko wywieźć. Rosyjscy celnicy też nie sprawdzali, co wieziemy w walizkach i w worze. W Mościskach, po drugiej stronie granicy, wymieniliśmy złote na ruble. Przesiedliśmy się z polskiego pociągu na rosyjski.

Szerokotorowy...

Szerokie wygodne wagony, miękkie kanapy, w przedziałach mieliśmy cicho i dużo miejsca - czytał dalej. - Nareszcie w Rosji nie ma drugiej klasy. Wszyscy jeżdżą pierwszą. Jak przystało na pierwszy kraj zwycięskiego socjalizmu.

Jechaliśmy do Lwowa. Po ułożeniu bagażu wszyscy po kolei poszliśmy do łazienki załatwić się i umyć. Napisy były wszędzie po rosyjsku i francusku, więc nie mogłem odczytać. Ale wiedziałem, gdzie ciepła i zimna woda, i że wodę w klozecie spuszcza się tak samo jak w polskich wagonach. Naciśnięciem na pedał. Jako syn kolejarza byłem zorientowany...

Gdy wróciłem, mama z tatem już przygotowali śniadanie. Bułki z masłem i wędliną.

Tata składanym nożem z wojny pokrajał plastry z wielkiej, wędzonej szynki.

Herbatę z sokiem mama wlała do grubych, podróżnych szklanek z dużej, litrowej flaszki z hermetycznym porcelanowym korkiem, na którym było napisane „Frantz Hirscher - Bierverlag Neustadt O/S”...

Po śniadaniu tato wyszedł na korytarz zapalić giewonta.

Siedzieliśmy przy oknie. Mama po jednej stronie - ja po drugiej. Był szary, mdły ranek. W takt stukotu kół uważnie obserwowałem mijany krajobraz.

Jakaś ponura ta Ukraina, pomyślałem. Wciąż szarobure trawy, krzaki i młode laski. Czasem mignęła blada biel śniegu. Nagle zobaczyłem, jak z małego lasku trzynastoletni może chłopak pędzi wychudłą, wybiedzoną, brudną czar-nobiałąkrowinę. Patrzyłem na niego dłużej, bo pociąg na zakręcie przyhamował i wolno jechał koło tego pastuszka, który pokornie stał i czekał, aż przejedziemy.

Miał w ręku krótką witkę. Był ubrany w jakiś stary chałat. Wyraźnie było widać jego szcerwieniałe, wybiedzone policzki i sine z zimna uszy...

Spod chałata wyglądały czerwone, gołe kolana i brudne, bose stopy. Na bosaka w lutym?! Nie mogłem w to uwierzyć...

- Mamo! Spójrz! On jest bosy! - zawołałem przejęty.

- To co ciebie to obchodzi? - mama wycodziła wolno.

- Ale tu straszna bieda!

Nagle „pahh”. Poczułem silne uderzenie w twarz. Nawet nie wiedziałem, kiedy ręka mamy przejechała po moim policzku...

- Milcz! - z naciskiem dotknęła palcem do ust. Siadła z powrotem na swoim miejscu wyraźnie zdenerwowana.

Zacząłem chlipać. Łzy mi kapały na składany stolik pod oknem. Nie widziałem już pastuszka i ukraińskiej biedy. Tato wrócił z korytarza i spojrzał

na mój ą rozmazaną twarz. Wzrokiem spytał mamy.

- Mówiłam mu, żeby trzymał j ęzyk za zębami - mruknęła cicho i stanowczo. Tato nie odezwał się. Widział, że mama jest zmęczona i podrażniona. Całą noc nie zmrużyła oka. Jeśli uderzyła, widać miała powód. Rzadko nas dyscyplinowała. Od dyscypliny był tato.

Trzeba uważać na mamę, pomyślałem rozcierając piekący policzek. Tato pierze za konkretne winy, za słuczoną szybę, bicie Ewy, a z mamą zanim się wytłumaczysz, już „pahh” i po wszystkim.

Pod wieczór dojechaliśmy do Lwowa. Szybko zebraliśmy bagaże, aby złapać pociąg do Tarnopola. Rano mieliśmy być w Tarnopolu, a po południu w Hadyńkowcach. Tato wziął walizki - my trzymaliśmy się rączek: Ewa z jednej strony, ja z drugiej, aby się nie zgubić. Mama w jednej ręce taskała teczkę z szynką, wódką i drożdżami, drugą ciągnęła wór z materiałami. Jakiś milicjant wziął od mamy ten wór pod pachę i powiedział do tata: - Nie bojsia gaspadin - pomogę do pociągu...

Pociąg doTarnopola już czekał na swoim peronie - szczęśliwie zdążyliśmy! Tato postawił walizki na peronie, podziękował za pomoc milicjantowi, który oddał wór mamie, otworzył drzwi do wagonu i chciał wejść po schodkach do środka. Nagle konduktor zatrzymał go i krzyknął: - Nielzja, tawariszcz, bieź biletów!

Więc tato wyciągnął bilety z portfela i pokazuje. Konduktor ogląda i dalej nie wpuszcza. Zasłania sobą drzwi przed tatem: - Bilety u was nie kampasirowane! Nada kampasirować! Tato zgłupiał i nic już nie rozumiał.

- Idi na kasu i kampasiruj! Musisz iść do kasy i na dworcu podbić każdy bilet...

Tato, jako kolejarz, dokładnie rozpisał wszystkie nasze darmowe bilety według rozkładu jazdy, żeby nigdzie nie czekać, ale całkiem nie znał radzieckiego systemu podróżowania...

Konduktor wytłumaczył mu, że jak będzie marnował czas na spór, to nie zdąży na ten pociąg. Każdy podróżny musi mieć swoje miejsce zarejestrowane na stacji przesiadki...

Rodzice więc szybko ułożyli bagaże i nasz wór na peronie, posadzili nas na wierzch i tato pobiegł do kasy. Bardzo długo nie wracał. I mama zaczęła się denerwować, tym bardziej, że dyżurny ruchu machnął już tarczką, parowóz gwizdnął i pociąg wolno odjechał...

Gdy tato wrócił, zastał pusty tor i nas na peronie jak rozbitków siedzących na wyspie z bagażu oraz mamę znużoną, opartą o worek... Wyglądał na cała - i - k - kiem przegranego. Głęboka bruzda pojawiła mu się po środku czoła u zbiegu krzaczastych brwi... \, - Była kolejka. Tłum rzucił się do kasy, a ten kasjer wywiesił sobie kartkę i zro-1"

bił przerwę, ścierwo! No, nic - westchnął. - Trza nam tu nocować. Nie ma rady.

Następny pociąg do Tarnopola mamy dopiero za dwadzieścia cztery godziny... 1 Dworzec we Lwowie był ogromny. Po szerokich, marmurowych schodach, które pięły się półkolem w górę, poszliśmy do sali „Dla matki z dzieckiem”, tylko dla zagranicznych gości. Były tam ławki, cisza i można było zgasić światło i zamknąć drzwi. Ale tatowi nie pozwolono z nami zostać.

- Nielzja! - znów powtórzyli. Z tym słowem „nie wolno” na wstępie się zetknąłem.

Na szczęście wolno było zostawić z nami bagaż.

W dworcowym bufecie tato kupił gorącej herbaty, kilka bułek i puszką byczków w tomacie. Otworzył ją swoim poniemieckim nożem i mruknął do mamy, gdy upewnił się, że nikt go nie słyszy: - Nikt mi nie powiedział, że te tu na każdej przesiadce każą podbijać bilety.

Niby chodzi im o rezerwację miejsc, a naprawdę chcą kontrolować każdy ruch pasażera. Tu wszystko na odwrót. Mokre horyt, Olga. Mokre się

pali i nic się nie zmieniło od śmierci Stalina. Daj mi kieliszek wódki i pójdę się zdrzemnąć.

Gdzieś znajdę krzesło w bufecie...

Nas ułożyli na płaszcach na ławkach, tato poszedł do bufetu odnieść szklanki i zdrzemnąć się. Rano w tej poczekalni omyłkowo obudziła nas zbyt wcześnie sprzątaczką. Mama po drugiej nocy czuwania miała silny ból głowy i przewiązała ją sobie kolorową chustką. Jej twarz była szara...

- Idę poszukać tata - mówię. Byłem wyspany, chciało mi się pić i pójść do łazienki.

Poszedłem, a potem po białych, marmurowych schodach zbiegłem na dół. Odmieniony na trzy piętra biały pomnik Stalina spojrzał na mnie groźnie. Powyżej jego głowy była w ścianie wielka płaskorzeźba Lenina, który jednym okiem też patrzył na Stalina groźnie. Dookoła cokołu, za ogrodzeniem z łańcuchów stał wieńce z kwiatami. Przy tych wieńcach stała kobieta w długim płaszczu, w wojkowej czapce, z czerwoną przepaską na ramieniu. Całą noc pilnowała wieńców i Stalina.

Otworzyłem ogromne, dębowe drzwi i wszedłem do poczekalni. Tato drzemał na ławce. Gdy podszedłem, otworzył oczy: - Zaraz otworzą bufet, to kupię herbaty i przyniosę wara na górę. Bufet za mknęli o północy i kazali się wynieść do poczekalni. Po śniadaniu stanę w kolejce kampaniarować nasze bilety. Idź, powiedz to mamie...

Podbiegłem do dębowych drzwi, ale zamiast tych, którymi przyszedłem przedtem, po lewej stronie, otworzyłem podobne z prawej. Takie same białe, marmurowe schody prowadziły na górę, tylko tu, odwrotnie niż tam, za miast Stalina stał pomnik Lenina, a Stalin z płaskorzeźby patrzył na niego groźnie.

Pewnie te schody z Leninem też prowadzą do sali matki z dzieckiem, po myślałem.

I rzeczywiście. Gdy otworzyłem z drugiej strony drzwi, to znów byłem w naszej sali. Ewa już wstała i chciała iść do łazienki. Odprowadziłem ją tam, a gdy wyszła, zbiegliśmy schodami do sali tata. Ewa nie mogła za mną nadążyć i wołała: - Poczekaaj! Poczekaj! Leszek! Kobieta z opaską na ramieniu poruszyła się. Obejrzała się dookoła i cicho spytała po polsku: - Wy dzieci z Polski?

A gdy zdziwiony potwierdziłem, powiedziała, że ona też jest Polką. Jak wszyscy wyjeżdżali, to ona nie mogła, bo miała chorą mamę i czekała na ojca, który był na Wschodzie.

Byłem pewien, że wszyscy Polacy razem z nami wyjechali na Ziemię Odzyskane.

Chciałem jeszcze porozmawiać z tą kobietą, ale Ewa pociągnęła mnie do dużych dębowych drzwi. Nawet w podskokach nie mogła dostać do klamki. Z trudem otworzyłem drzwi i poszliśmy szukać taty. Stał w kolejce po herbatę i kazał nam wracać do mamy.

Gdy tata przyniósł herbatę i zaczęliśmy jeść, powiedziałem, że ta kobieta z opaską, w mundurze, przed posągiem Stalina to Polka!

- Tu dużo Polaków - rzekł ojciec. - Wieczorem rozmawiałem z jednym bagażowym, a teraz jak kupowałem herbatę w bufecie, to Polak kasjer załatwił mi kampanowanie biletu bez kolejki przed otwarciem kasy...

Cały dzień z przerwana obiad krążyliśmy między tatą siedzącym na dole i mamą na górze w sali matki z dzieckiem. Zbiegaliśmy schodami Stalina, a wbiegali Lenina.

W pewnej chwili nam się to znudziło i wyszliśmy przed dworzec. Ogromne, żółte kolumny podtrzymywały dach. Ludzie z walizkami i tobołkami pchali się na siebie we frontowych drzwiach. Po drugiej stronie ulicy na domach wisiały czerwone transparenty z napisami, których nie umiałem odczytać. Blade, zimowe słońce przebijało się przez lekką, poranną

mgiełkę. Tramwaje i ciężarówki z hałasem mijały się przed dworcem. Chciałem wrócić z powrotem, ale nie mogłem trafić do drzwi, z których wyszliśmy. Rozglądałem się w strachu. Ewa musiała dostrzec mój lęk. Z czerwonymi od biegania policzkami, które odcinały się od jej niebieskich oczu, patrzyła na mnie przerażona.

Nie mogłem się nikogo spytać, bo rodzice zabronili mi mówić z obcymi. Zresztą bym się nie dogadał. W końcu ktoś otworzył duże drzwi i zobaczyłem rząd kas i napisy w głównej poczekalni. Poszukałem taty. Był. Siedział i drzemał na ławce.

Odetchnąłem z ulgą. Serce waliło mi w piersi. Puls w głowie huczał. Jednak się mocno przestraszyłem, że mogę się zgubić i ich nie znaleźć.

Przed wieczorem zaczęliśmy się szykować do pociągu. Mama do teczki z wódką i drożdżami wsadziła zawiniętą szynkę, bułki i pustą butelkę Hirsche-ra po herbacie. Od biegania po schodach Ewie zgrzały się nogi, mama więc zdjęła jej śniegowce i do tej teczki schowała. Znów ruszyliśmy z sali dla matki z dzieckiem karawaną z bagażami po schodach Stalina w dół do poczekalni i na nasz peron.

Tato niósł dwie walizki, my trzymaliśmy się za ich rączki, a mama zamykała pochód z teczką i worem. Było już ciemno, gdy weszliśmy na peron. Nasz pociąg stał i czekał na nas. Tym razem konduktor wpuścił m bez przeszkód. Wagon był prawie pusty. Tato uniósł mnie nad żelaznym schodkami i wsadził do środka. Obok mnie postawił walizki i teczkę. Sai pomagał mamie wejść z Ewą i workiem. Gdy wszyscy byliśmy już w korytarzu, mama spostrzegła, że nie ma teczki z szynką, wódką i śniegowcami Ewy.

Rodzice spojrzeli na konduktora, który stał przy mnie na korytarzu.

- Tu była teczka! My mieli jeszcze teczkę!

- Jaką teczkę?! - zdziwił się. - Żadnej teczki tu nie było, towarzysze...

Widziałem jednak, że w oczach pojawiły mu się błyski. Rodzice zaczęli wszędzie szukać, ten konduktor z nimi. Rozkładał ręce i wciąż powtarzał: - Ja niczego nie widział, tawariszczi. Niczego! - zaklinał się. Wreszcie tato, zdenerwowany, chciał otworzyć drzwi na korytarzu przy h zience, ale ten konduktor szybko zasłonił je sobą i krzyknął: - Nielzja, tawariszcz! To służbowe!

Każdy z nas wiedział, że ten konduktor ukradł teczkę. To było proste. Jec nym ruchem wziął z ziemi i zamknął za tymi drzwiami. Ale bezczelnie twiei dził, że żadnej teczki nie widział. Tylko te czujne błyski jak u żbika go zdn dzały. Nie było rady. Rodzice musieli się pogodzić ze stratą wódki, szynk drożdży i śniegowców Ewy. Potem mama przez okno widziała, jak ten konduktor na stacji przed Tarnopolem biegł z naszą teczką między torami, żeby j ukryć. Bał się widać kontroli.

Na dworcu w Tarnopolu powtórzyła się historia ze Lwowa. Tato musiał kampassirować w kasie bilety i nie zdążył na pociąg. Następny odchodził 2 dwadzieścia cztery godziny. Znow nocowaliśmy na dworcu, tylko nie w są dla matki z dzieckiem dla zagranicznych gości, ale w ogólnej poczekalni. Dworzec w Tarnopolu był w budowie.

Na wielkiej cementowej posadzce stała tylko jedna ławka, na której siedział jakiś weteran w mundurze i dwie st^o ruszki. Rodzice położyli nas na bagażach, a sami usiedli na płaszcach. Nag] do tej poczekalni wszedł duży oddział młodzieży. W milczeniu, bez słowa kh dli się pokotem jak łan zboża na tym nagim cemencie z głowami opartymi jec no o drugie, dziewczęta i chłopcy i za chwilę spali. Bałem się pytać mamy, p tej nauczce w pociągu, kto oni są. Potem dowiedziałem się, że to była młodzie z brygad pracy, które Chruszczow wysyłał na wielką Ukrainę, by zmienić ot liczę wsi. Jakiś pijak zaczął siusiać w rogu poczekalni, ale ktoś zawołał mil cjanta i ten wywlókl go za kark na zewnątrz.

Nazajutrz nudziliśmy się z Ewi bo tu nawet schodów Lenina i Stalina nie było.

Trzy doby jechaliśmy do Hadyńkowiec. Jak wreszcie wysiedliśmy na stację, rodzice od razu poznali dziadka. Wszyscy w płacz. Dziadek miał koisześćdziesiątki, krzepki mężczyzna w sile wieku, a płakał jak dziecko. Łz ciekiły mu po nieogolonych policzkach. Zaczął nas mocno ściskać i całować. Najpierw mnie, potem Ewę. Później znów mnie i ją. Za każdym uściskiem jego broda jak glanc papier ścierała mi skórę.

Widziałem, jak Ewa odchyła głowę, żeby tą ostrą szczecią dziadka nie być poglancowana.

Obok dziadka nieśmiało stał wujek Antoszek Petryk - mąż ciotki Irki. On przynajmniej był ogolony i tylko musnął nas w policzki. Przystojny, miły brunet.

Potem jak zobaczyłem zdjęcia kosmonauty Gagarina, to wujka Antoszka mi przypomniał. Wujek wnet zajął się z tatem walizkami i workiem. Dziadek wziął Ewę na ręce, bo błoto było straszne, a ona nie mogła iść z braku skradzionych śniegowców, co były w tej teczce z wódką i drożdżami.

Dom dziadka był duży, drewniany z gankiem, kryty cynkową blachą. W niektórych miejscach te płaty z blachy już zrudziały. W domu znów płacz. Ciocka Irka i babcia Maria, żona dziadka, ściskają nas, płaczą, pytają - co tak długo.

- My trzy dni na was czekali! - mówi ciotka Irka. - Co dnia Antoszek z batką czekali na wasz pociąg z Tarnopola. Bohu diakuwały szczo wypryjchały...

- A dlaczego wy nam nie napisali, że na każdej stacji trza bilet kampasiro-wać! - wyrzucali im rodzice.

- My nic nie wiedzieli! My sami nigdzie nie wyjeżdżali, gdzie by była

przesiadka - tłumaczyli się.

Rozmowa toczyła się po ukraińsku. Ale do mnie dziadek mówił po polsku. Śmieszył mnie jego akcent. Cudacznie przekręcał polskie słowa. Nie mogłem mu jednak powiedzieć, że łatwiej rozumiem go po ukraińsku. Z uporem do końca naszej wizyty mówił do mnie po polsku.

Na podłodze siedział trzyletni Bodzio. Nic nie mówił, tylko patrzył na nas wielkimi oczami. Takiego harmideru w życiu nie widział. Nad czołem miał krótką, śmieszoną grzywkę, a dalszą część głowy wygoloną na tysą pałę. U nas już tak nie strzygli. Wkrótce ze szkoły przyszła Łesia. Dziewięcioletnia córka dziadka.

Nieśmiała dziewczynka, która nie potrafiła mówić do mojej mamy, swojej przyrodniej siostry z Polski, Olga.

- Ty mi mów Olha. Taż ja twoja siostra - prosiła ją mama.

- Tak, ciociu - powtarzała Łesia.

Ja nie miałem zamiaru mówić jej ciociu. Była ledwie półtora roku starsza ode mnie. Smarkata. Łesia jednak nigdy ode mnie tego nie żądała. Odwrotnie niż Ewa, która od córki brata, Urszuli, to wymusiła. Urszula była od niej młodsza o dziesięć lat i jak powiedziała „Ewa”, nie „ciocia”, to Ewa nie reagowała.

Musiła jej mówić ciociu. Ewa miała wtedy dwanaście lat. Trochę więcej niż Łesia. Łesia zaś traktowała mnie jak ciut młodszego brata. Lubilem ją. Była poważna, miała gładką twarz i dwa warkoczyki.

Po rozebraniu się i umyciu dostaliśmy obiad. Mięsa w bród. Pieczone króliki, kura i rosół. U dziadka wszystko było. Tylko zamiast cukru podali nam brązową melasę. I sól była czarna, z ziemią... W domu dziadka było nam ciasno, bo mieli tylko dwie „kimnaty”. W jec nej spali rodzice i Petrykowie z Bodziem i Ewą. W drugiej na łóżku dziadek babcia Maria, czyli Baba, i Łesia na jednym bombetlu, a ja na drugim. Naz; jutrz po śniadaniu zaczęli

przychodzić do nas kuzynki, wujki i ciocie. D] mnie i Ewy przynosili prezenty. Zawsze były to ruble albo cukierki owocowe Te owocowe cukierki były okrągłe i nadziewane, w środku miały słodką ma jak nasze raczki. Z początku jedliśmy je, ale potem przejadły się nam. Pakc waliśmy te cukierki w szary papier, w którym nam je przynosili, zbijali d kupy w jedną kulę, walili pięścią i przylepiali do stołu. Z początku dziwiłem się, dlaczego nikt nam nie kupi czekolady, sezamek, andrutów czy krówel tylko wciąż przynoszą te owocowe i owocowe. Dopiero potem, jak tata wzię mnie do sklepu, to się przekonałem. W tym sklepie były tylko te owocowe tiulki. Takie małe rybki... W Polsce nazywają się stinki. I nic więcej nie było Dosłownie.

Pracował tam jakiś nasz krewny i tato go spytał: - A śledzie pocztowe macie?

- Jakie?! - wybałuszył na niego oczy. - Żadnych śledzi od roku nie ma... Ojciec wzruszył ramionami i wyszedł. A potem na błotnistej drodze powiedział: - Jak nie widział buciem sklepu, to zobaczył. Tiulki i owocowe. Biłom tilki dla prokurator^ - zaklął. - Jakby Żyd Mordko ujrzał ten ich handel, to b; krzyknął gwałt i złapał się za głowę!

Kiedy przyszła siostra tata Maria Procki w z mężem - czytał dalej Leszek - to mama powiedziała: - To jest twój wujek, Lesiu...

- To nie jest wujek, to jest dziadek - odparłem bezczelnie patrząc na dobro tliwego, starszego pana. Owocowe od niego zbiłem w kupę, a trzy ruble dałem tatowi na przechowanie. Tato był moją kasą. Potem miał mi za moje ruble ku pić, co zechcę. Ciotka mamy, Kalka-Natalka, przyszła ze swoją wnuczką, alf ona bała się wejść do środka.

- Ne chczu! - wołała z płaczem.

- Dlaczego?!

- Bo Poliaki przyjechały \ - i pokazywała na nas. Widać Polakami ją

straszyli - Najbliżej, z racji wieku, przebywałem z ciocią Lesią. Co prawda z rana m ósmą chodziła do szkoły, ale już o pierwszej wracała i przynosiła mi rzeczy które u niej zamówiłem. Zeszyty, ołówki, piórniki, linijkę. Oczywiście z gór> płaciłem.

Dzięki swym rublom byłem bogaczem. Lubiłem Lesie, bo zawsze z uśmiechem zgadzała się na wszystkie zabawy, które proponowałem. A byliśmy z Ewą bardzo nehidni.

Bezkarne korzystaliśmy z pn^v gości. Raz rodzi' Biłomor (gatunek papierosów) tylko dla pani prokurator.

ce wyjechali do Czortkowa z ciotką Irką i wujkiem Antoszkim, dziadek był na stacji w swojej budce strażnika kolejowego, a myśmy zostali sami pod opieką Baby. Zaczęliśmy się bawić w ganianego. Z ławy skakaliśmy na stół, ze stołu na bombetel, z bombetla na skrzynię, gdzie rodzice trzymali towar. Kuchnia zmieniła się w tor wyścigowy. Baba, która wałkowała ciasto na pierogi, patrzyła na nas przerażona. Nie poznawała swej spokojnej córki Lesi. Na jej prośby i uwagi nie reagowaliśmy. Nic nie pomagały jej słowa. My skakaliśmy i wariowaliśmy dalej.

Wtedy właśnie Ewa stłukła garnuszek. No i ona jej zwróciła uwagę: - Ewuniu, uważaj dziecko, bo stłuczysz jeszcze jeden. - A Ewunia odparła hardo: - Jak zechcę, to wszystkie garnuszki pobiję!

- To z czego my, dziecko, będziemy pić?!

- Wy możecie pić nawet z nocnika.

Baba nie wytrzymała i rozplakała się. Łzy ciekły jej po twarzy, gdy mówiła: - Czekaj! Powiem batce. Zobaczysz...

Wtedy przestraszyłem się. Wiedziałem, że z tatem żartów nie ma. Ściągnie brwi, potem pasek i dupę fest skroi. Wyciszyłem więc Ewę i Lesie i wyszliśmy na podwórko. Tam była piwnica słomą kryta. Zaczęliśmy z niej zjeżdżać.

Podchodziliśmy z boku do stromego dachu i z tej strzechy ślizgaliśmy się na pupach spadając w błoto. Tę naszą jazdę zobaczył wujko Antoszek, który wcześniej wrócił z Czortkowa.

- Co wy narobili?! Słomę z dachu całkiem pozdzierali! - przeraził się.

- To co? Da się nową! - zaśmiałem się.

- Gdzienową?! Skąd?!

Okazało się, że nowej słomy w Hadyńkowcach nie ma. Każda wiązka była na wagę złota. Od czterech lat panował nieurodzaj i nawet w siennikach słomy od dawna nie zmieniali. My o tym nie wiedzieli.

Kiedy rodzice wrócili z Czortkowa, patrzyłem na Babę, czy mnie nie wyda. Nie.

Milczała. To mi się bardzo podobało. Ale krewni potem pytali: - Czy wszystkie dzieci w Polsce takie?

Bodzio, który był bardzo grzeczny i tak przywiązany do swego ojca, że nawet do wychodka go odprowadzał i nie odstępował na krok, raz rozplakał się na podłodze.

Okazało się, że chciał skakać po błocie, jak Ewa. Ale mu nie było wolno.

Po naszym wyjeździe ciotka Irka napisała, że Bodzio teraz tak skacze na drodze, że błoto pryska w górę powyżej niego.

Dobrzy my byli, co?! - „chrapnął” Leszek. - Przez miesiąc kompletnie rozwalili dom i z grzecznego Bodzia i Łesi zrobili szatanów.

Raz myłem się nad miednicą i pochwaliłem się - Mamo! Ja już umiem mówić po ukraińsku! Wiem jak jest chlib, miał molokol Nagle „pahh”.

Uderzenie w twarz.

- Nie chcę, byś mi tu mieszał mowę!

Dziadka nie było, ale ciotka Irka zbaraniała. Nie wiedziała, co ta Olga ro Ale mama taka była. Wielka szowinistka polska. I w takim duchu mnie

wych wała.

Raz mama wzięła mnie i Lesie do swojej siostry Naści. Ciotka Naścia, w biedzona, wyglądała nieszczęśliwie. Miała głęboko zapadnięte oczy, skórę policzkach białą i strasznie smutny uśmiech. Jej syn Stefko Żurba był stars od swojej ciotki Łesi, ale ponieważ repetował rok, chodził z nią do jednej k sy. Z dumą pokazywał swoje zeszyty, w których królowały same dwóje i p, ki.

Już zaczynało się ściemniać, trzeba było zapalić lampę naftową i man która panicznie bała się nocy w Hadyńkowcach, pospiesznie zaczęła się 2 gnać. Do dziadka przyszlismy, gdy było już ciemno. Czekali na nas z kolac Naga żarówka już się paliła. W Hadyńkowcach tylko u dziadka był prąd elektryczny, przeciągnięty przez niego ze stacji. Po kolacji walczyliśmy z Łesij miejsce w łóżku z dziadkiem, który opowiadał nam bajki. Były długie i r kończyły się. Do dziś je pamiętam.

Wreszcie Łesia ustępowała. Pamiętam, jak z kąta rozlegało się jej chlipań Borys, syn Łesi, co do końca był z dziadkiem Martynem w Hadyńkowcach, bajki najlepiej zna. I wszystkie dokładnie może dziś powtórzyć.

Jednego dnia na stacji w Hadyńkowcach zobaczyłem w kiosku krówk wszystkie co były - wykupiłem. Po tych owocewich zjadłem je na miejsc nie chcąc się dzielić w domu z Ewą i Łesią. Potem poszliśmy z wizytą do Jj ka Wawrowa. Ojciec wziął mnie za rękę, a Ewę na plecy, bo po tym straszn) błocie bez śniegowców nie mogła iść. Ja też bym w nim utonął, gdyby te mnie nie wyciągał. U Jaśka Wawrowa na stole była słonina z solą i czar chleb. Trochę tego zjadłem i źle się poczułem.

Po tych krówkach i słonir pochorowałem się na żołądek. Mama wzięła mnie do ciotki Józki do ich stai go domu we wsi...

- Ale nie byłeś tam pierwszy raz? - przerwałem Leszkowi.

- Nie. Pierwszy raz musiałem ten dom zobaczyć zaraz po przyjeździe.

M czyłem mamę i wreszcie mnie wzięła - czytał dalej. - Szliśmy, pamięta przez podwórko ciotki Antoszki Rasiewicz, potem drogą z błotem po kost nie było mostku, nawet kładki, przeszliśmy rów, a ja wciąż nic nie widziałe - Gdzie nasza murowana kamienica? - dopytywałem się.

- Zaraz będzie. Chwilka, Lesiu - uspakajała mnie matka.

Wreszcie doszliśmy i mama rzuciła: - Ta masz swój ą kamienicą! Aż podskoczyłem rozczarowany: - To to jest ta kamienica?! Słomą kryta?! - Strasznie byłem zawiedziony, że oni mnie tak oszukali. Ale teraz już ten dom znałem.

Dostałem gorączki i wymiotowałem. Nie miałem sił iść trzy kilometry do dziadka.

Mama jednak bała się mnie zostawić u ciotki Józki.

- Czego się boisz?! Przecież to nasz dom! - tłumaczył jej ojciec. W końcu mama ustąpiła. Tato wziął Ewę na barana i poszli do dziadka.

Nocowałem wreszcie w tej murowanej kamienicy, co okazała się słomą kryta, w której urodzili się Jarko i mój zmarły brat Jaśko, przyszli na świat tato i stryj Karol z Kanady, i ciotka Józka. Ciotka Józka, która teraz tu sama stała na straży domu swych rodziców - Hanuśki i Teodora-Łysego Fedki.

Rano ciotka Józka przyniosła mi garnek rosółu. Czułem się lepiej. Żołądek po tych krówkach już tak nie bolał i gorączka spadła.

Pod koniec wizyty na Ukrainie rodzice coraz częściej wyjeżdżali na zakupy do miasta. Za zarobione ruble kupowali złote zegarki i obrączki, garnki, srebrne sztucce, duże radio z patefonem i płytami. Za moje ruble tato kupił mi rower, piłkę, kredki, porcelanowe figurki papugi i zająca z liściem kapusty.

To nowe radio tato zaraz wypróbował u dziadka. Łapało Wolną Europę bez żadnych zakłóceń. Głos był czysty, jakby ktoś mówił obok. Tato był zachwycony. Wujko Antoszko Petryk słuchał w „kimnacie1” wraz z tatem

i dziadkiem. Zawsze za spikerem lubił głośno powtarzać: - Tu mówi Radio Wolna Europa. Mówi głos wolnej Polski! Robił to bezbłędnie. Miał talent językowy...

Gdy pani Olga wysłuchiwała tego, co mi Leszek mówił, wyjaśniła: - Może go uderzyła w tym pociągu, proszę pana, chociaż Lesiu chyba przesadza, ale ja po prostu się bała. Wiedziała, jak on lubi pytać i gadać - a język nie furtka: nie zamkniesz go, szczególnie takiemu dziecku. To ja musiała mu troszku cugli skrócić. Inaczej on by nas z Wiekiem wpędził w „chałepę”. Ja troszku Ruskich znała...

- To trzy doby ta podróż z Prudnika do Hadyńkowiec trwała. Ale zawsze krócej niż w tamtą stronę - wróciłem do interesującego mnie tematu.

- W tamtą miesiąc...

- To tato Martyn się na was wyczekał...

1 Od ukr. kimnata - pokój.

- Siostra mówiła, że przez trzy dni wychodzili po nas na stację.

Codziennie wyglądali tego pociągu z Tarnopola. Na szczęście mieli blisko...

- Wyobrażam sobie, co to było za przeżycie. Zostawiła pani siostrę jako dziecko, a teraz Ircia sama miała dziecko. A brat Sławcio, który gonił na pani ślubie za psem Nerą, teraz miał ponad dwadzieścia lat i pewno kawalerował głośno...

- On nie kawalerował, proszę pana. Żonaty był. Miał żonę Gienię Mosiądz z polskiej rodziny. Mieszkali w Oryszkowcach. Mój tato ścisnął dzieci, a Wiekiem cieszył się jak synem. Potem mnie przytulił mocno i powiedział: - Sława Bohu, sława Bohu, Oldziu, dziecko, że wy w końcu do mnie przyjechali. Ja już nie wierzył! - otarł łzy z policzka. Wicko też płakał. My wszyscy płakali.

Dzieci patrzyły zdziwione i też zaczęły płakać, ale jak my się znów ze szczęścia śmiali, to i one. Jedno przez drugie mówiło, a mój Lesio najgłośniej.

Zaraz musiał wszystko wiedzieć i najmocniej szarpał mego tata: - A pokażesz mi naszą murowaną kamienicę? Dwupiętrową?

- Pokażę. Tylko najpierw obejrzysz mój zamek. - Tato zaczął się śmiać. Domyślił się, że my z Lesia żartowali i się włączył. Nie trza go było prosić. Jak to tato Martyn. Do żartów pierwszy.

My zaraz przeszli do domu przy stacji. Tam z tatą teraz mieszkała moja siostra Ircia ze swoim mężem Antoszką Petrykiem. Jedną połowę zajmował tato z Babą i Lesią, a drugą Irka z mężem i małym Bohdanem...

My z Wiekim cieszyli się, że u mego taty mieszkamy przy stacji, bo nim się wszyscy zwiedzieli, to troszku mieli czasu dla siebie. Mogli sami spokojnie pobyc, rozpakować się i odetchnąć. Potem, jak poszedł hyr, że my z Polski przyjechali, to każdy chciał się z nami zobaczyć. My przecież z Wiekim mieli pełno rodziny. Ciągnęli do domu tata jak do cerkwy...

- A do cerkwi chodzili?

- Teraz mało. Bali się. Z nami też ostrożni byli. Wiele ta nie mówili...

- A kościół zmieniono w magazyn soli?

- Nie, proszę pana. W Dom Młodzieży. Ścieli wieżę z krzyżem. Ksiądz katolicki wyjechał do Polski, a ksiądz Pawło Mykietin, ten co dawał nam z Wiekim ślub, w cerkwie był. Jak nas zobaczył, wzruszył się strasznie. - Jakie to fajne czasy - mówił - gdy się jeździło do bazylianów na Miodową do Warszawy. Boh ty mój! To już nie wróci. Teraz my przy cerkwi prawosławnej w Moskwie, nie przy Rzymie.

Papa rzymski Pius XII największy wróg. Takich czasów my dożyli. Serp i mołot-bida i holod - pokiwał smutno głową wciąż sprawdzając, czy ktoś nas nie słyszy. Choć my byli w szczerym polu, proszę pana. Nasz wielki Władyka Świętojurski Andrej - mówił dalej - wiedział, gdzie szatan. Wiedział. Szczęście, że w porę umarł. I nie męczą go tak jak metropolitę Slipyja czy biskupa Chomyszyna. A Szeptyckiemu nawet po śmierci nie dają spokoju i

wciąż w gazetach plugawią jego święte imię.

A wielki to był mąż. Wielki. Chwała mu wieczna - przeżegnał się szybko.

1Q7 My nie myśleli, że w Hadyńkowcach taka bieda. Gospodarzyć całkiem nie dali. Na fulwarku jeden wielki kołchoz. A pałacu nie było, bo pałac Cieleckich banderowcy spalili jeszcze w 1944 roku...

Ziemię wszystkim zabrali i nikt już nie był gospodarzem, proszę, pana...

- To Hryćko najlepiej zrobił. Zostawił żonę Łupachę w Kociubińcach i sam: - Hop!

Hop! Panie Nawrocki! W Kanadzie.

- Łupacha była w Polsce, proszę pana. W Kociubińcach jej już nie było.

- Jak to? Przecież to Ukrainka?

- Ale zięcia miała Polaka. Gródeckiego. Jeszcze przed wojną ich córka Stefka wyszła za mąż za Stacha Gródeckiego, kolegę Wicka z wojska. Stefa z Gródeckim miała dwoje dzieci. Córkę Marię nazwaną tak po babce (Łupacha miała na imię Maria) i syna Tadzia. Z początku Łupacha i Stefka nie chciały jechać do Polski i na transport z nami się nie zgłosiły, bo żal im było ziemię i majątek w Kociubińcach zostawiać. Łupacha miała dużą gospodarkę po swojej rodzinie i po Nawrockich. Gródecki się wzenił. Stefa to była piękna panna. Gospodarska córka, przystojna blondyna, proszę pana, poszła w Hryćka, nie w Łupachę... Tak, że kłopotu z mężem nie miała. Nawet memu Wickowi się podobała. I myślał się z nią żenić. Ale zmienił zdanie... A Gródecki wziął Ste-fę. Z frontu do Hadyńkowiec nie wrócił. Potem długo ich do Polski nie ściągał, bo mu na Stefę donieśli, że ona tam nie bardzo się prowadziła, jak jego nie było. Pan wie, jak to ludzie.

Lubią komuś przypiąć łatkę. Szczególnie jak ładny. Ta córka Marysia pisała do Gródeckiego, w tych listach prosiła: „Tatusiu! Sprowadź nas do

siebie! Ja nie chcę tu być!”

I on je w końcu sprowadził. Łupachę i Stefę z dziećmi. Jak my przyjechali, to one akurat wyjechały do Polski. My się z nimi minęli.

- Tak, proszę pana.

- A jak to było z Tońkiem po przyjeździe z Polski?

- Pod eskortą odstawili go z Legnicy do granicy, troszku siedział, z wojska go wyrzucili i potem wolno mu było wrócić do Hadyńkowiec. Ja mu teraz materiał na garnitur przywiozła z fajnej wełny. Granatowy w białe prążki... Na trzy garnitury my z Wiekiem kupony z wełny wieźli. Dla mego tata, dla brata Sławka i dla Tońka Zacharczuka. Reszta była na sprzedaż. Głównie cajt, bo oni w listach o cajt prosili...

A jak Milka Mopsa zastrzelili, a jego brata bliźniaka Iwanka złapali, to za karę aresztowali również Miśka Zacharczuka, co nic nie był winien, bo w UPA nigdy nie był, na boku się trzymał. Miśka skazali na dwanaście lat łagrów. Po sześciu szczęśliwie wyszedł.

Jak my byli w 1957 roku, to Misko pracował w sklepie. Iwanka Mopsa z łagru już wypuścili, ale nie wolno mu było wrócić do tej oblasti, do Hadyńkowiec. Miał zakazane. A ich siostra, Naścia Zacharczuk, żona Jaśka Wawrowa już nie żyła.

Wcześniej umarła. W 1948 roku. Tak to było z Zacharczukami, proszę pana. Dziećmi ciotki Marynki Nawrockiej, siostry mamci. Bo brat mamci i ciotki Marynki, Antoszko, zginął w Karpatach, zaraz jak go Rusczy wzięli do wojska wiosną 1944 roku. Tak, że Zofka została się sarna z córką Wirą.

- Ciotka Zofka was do siebie nie zapraszała?

- Czemu? Zapraszała, proszę pana. Zofka bardzo gościnna była... - Przeboleła stratę majątku na rzecz mamci?

- Co to teraz ważne, proszę pana. Nikt nic nie miał. Wszyscy bidniaki byli - uogólniła to Olga Wawrow.

Przypomniałem sobie, że przecież ukryła tę nagą prawdę i nie od niej o tym „kurzym” ziarnie i fatalnym goście synowej dziadka Panki Nawrockiego się dowiedziałem.

- A co z Zenkiem Węgrem od białego bzu w ogrodzie? Odwiedziła go pani? - zmieniłem temat.

- Zenko w Kanadzie, panie drogi! On poszedł na front, wzięty do ruskiej armii...

I jemu udało się jakoś z tej armii zbiec na Zachód. W Hadyńkowcach zostawił żonę Józkę Czornyj. On nie był zbyt za nią. Dzieci nie mieli.

- I ta Józka nie miała przykrości, że on zdezerterował na Zachód?

- Nie miała, bo z wojska przyszło zawiadomienie o jego śmierci, że Zenko poległ w bitwie o Berlin. Ona mu zrobiła fajny grób na cmentarzu i cały ten czas, proszę pana, pobierała za niego rentę pośmiertną dla zasłużonych, jako wdowa...

A to, że Zenko Węgier żywy, proszę pana, to wiem, bo jakieś pięć lat temu zadzwonił do mnie. Jeszcze mój Wicko żył. Co prawda Zenko sam nie mówił, tylko kolega, aleja słyszała jego głos. Kazał nas z Wiekiem pozdrowić. On stronił od nas, bo bał się, że my możemy jego żonie zaszkodzić i jej tę rentę po nim odbiorą...

- A co z Jaśkiem Wawrowem?

- My go z Wiekiem odwiedzili. Jego żona Naścia Zacharczuk już nie żyła i on był wdowiec. Z Naścia miał syna Bohdana i córkę Sławkę...

Jaśko z wojny wyszedł kaleką. Amputowano mu nogę. Nosił protezę i jeździł na inwalidzkim wózku. Szrapnel wyrwał mu też cały pośladek do kości. Jak my do niego przyszli, to pierwsze co powiedział: - Widzisz, Wicko, jak mnie urządzili?

Nie mam na czym sięś. Bo tu nie ma nic, a tam oberwane...

- Jaja. Wicko mówił potem: - Gdyby Jaśko mnie słuchał i poszedł z

naszą armią, a nie z ruską, to może by go tak nie poharatali. Bo Moskał przecież nic o swego żołnierza nie dbał. Gorzej niż bydło rzeźne gnał. Ale Jaśko uparł się, że on Ukrainiec, w rodzinę Zacharczuków wszedł - i nie ma ani rodziny, ani nogi...

Wicko bardzo nad tym bolał. Od dziecka był z Jaśkiem związany. Bardziej niż z bratem Karolem. Karol starszy, wcześniej wyjechał do Kanady, a oni razem rośli, razem we wsi kawalerowali, razem żenili się. To łączy, proszę pana.

- Wuj Jaśka, poseł Furmaniuk, Wickowi przecież ojcował, a stryjanka Kaśka była dla niego jak matka. Ale co poradzisz. Wojna wszystko pokręci.

A Jaśko piękny mężczyzna. Morowy. Wysoki blondyn. Podał się na Waw-rowych. I bardzo odważny. Na froncie odznaczył się. Miał wszystkie możliwe ordery.

Pokazywał Wickowi medale. Dlatego mu szybko przyznali wysoką rentę, dali protezę i ten inwalidzki wózek. On tym wózkiem sobie po wsi jeździł. Takim na trzech kołach z ręcznymi pedałami. Jak rower. Pedałował rękami i jechał...

Związał się z Milasią Szarawską, której pierwszym mężem był Romek Bodnaruk „Bomba” - oni po cichu zdążyli wziąć ślub w cerkwie.

Romek z Milasią miał syna Petra. Ale ten syn urodził się już po jego śmierci.

Romek „Bomba” go nie znał... I Jaśko się nim zajął. Milasią dała mu swoje panięskie nazwisko, żeby Ruscy za ojca się go nie czepiali, i on nazywa się Petro Szarawski, proszę pana. Ale Jaśko za syna go ma. Ten Petro bardziej o niego dba niż jego rodzony syn Bohdan, którego miał z Naścią Zacharczuk. Ten Bohdan wyjechał z Hadyńkowiec, zmienił sobie nazwisko na Ławrow i stał się Rusek. Mieszka z rodziną w Rostowie i Jaśkiem na tym inwalidzkim wózku mało co się przejmuje.

- Zawrócił rodzinę z powrotem nad Don. A Wawrowowie są już tylko w Toronto, pani Olgo. Jarek Junior i Leszek II. W nich cała nadzieja...

- Ja - przyznała. - Chyba, że Renia zostawi sobie nazwisko Wawrow. Jak chce Leszek. Tak też może być, proszę pana.

Co za finał! - pomyślałem: Jaśko Wawrow, syn Wincentego Ławro1 walczącego pod Brzeżanami, co na ochotnika chciał zabić jeszcze paru Moskali i przez to zginął, siostrzeniec polskiego posła Piotra Furmaniuka, bohater Armii Radzieckiej, chowa syna Romka „Bomby” z UPA, a jego własny syn Bohdan jest Rosjaninem Ławrowem. Jak sotnik Fiodor, który zaczął tę sagę.

Spytałem o Milkę Firmaniuk i Staszka Kulczyckiego z za stawów.

- Milka, proszę pana, jak tylko zwiedziła się, że ja jestem u mego tata, to zaraz przybiegła do mnie. Już w pierwszych słowach wypomnęła mi, że ja nic nie powiedziała, że do Polski jadę. Ale gdy ja jej opowiedziała, co mnie przed wyjazdem na Pastuszu spotkało, to mi przyznała, że na mnie we wiosce szykowali się, i powtórzyła, co Kłapoc Bajrak mówił: - Szkoda, że my Olgę wypuścili. - Pamięta pan?

- Tak. A Staszek Kulczycki też z nią przyszedł?

- Rozumie się! Oni razem z Milką przybiegli. Staszek popłakał się, jak mnie z Wiekiem zobaczył. Uściskali się jak bracia...

1 Taką formę nazwiska miał Wincenty w austriackim paszporcie. - Czy Staszek żałował, że został za stawami? I nie wyjechał?

- Może i żałował. On mnie nie mówił. Został dla Milki. I jej rodziny. Pan wie, ilu Firmaniuków u nas we wsi było...

Mój tato wtedy opowiedział mi, co było z jego żoną Marią, Babą, proszą pana.

Kradli paszę w kołchozie.

- Sam kołowa kołchospu1 kradł - mówił. - A Maryja była

odpowiedzialna za cielaki. Nie miała ich czym karmić, bo mleka nie było, siana też, nawet słomy.

Cielaki zaczęły padać, naczelstwo wyrznęło je na mięso i rozkradło.

Jak przyszła komisja, to musieli na kogoś zwalić. Sam kołowa kołchozpu, Petryk, wybronił się i zwałił wszystko na moją Maryję...

To był daleki krewny męża Irki, Antoszka, proszę pana, ten kierownik kołchozu Petryk - wyjaśniła Olga Wawrow. - Co było tym boleśniesz dla mego tata, że z rodziny zięcia ktoś go tak urządził. Babę skazali na rok przymusowych robót za sabotaż i wywieziono ją na Zaporozie. Tato musiał płacić karę za cielaki. Bardzo dużo pieniędzy...

- Kiedy to było? - spytałem.

- W 1952 roku. Jeszcze za Stalina. Tato został w domu z małą Łesią.

Irka mu trochu pomagała, bo była już duża panna. Baba wróciła do Hadyńkowiec po ośmiu miesiącach, zaraz po śmierci Stalina. Opowiadała, że jak zbierali w polu, to lód na kukurydzy był. Po tej robocie ubranie miała całe mokre. W nocy kładła je pod siebie i sobą suszyła, żeby na rano jej wyschło. Tak, proszę pana, było - dokończyła.

Ale mój tato Martyn na szczęście umiał sobie dawać radę. Raz wracał późno nocą przez fulwarek z urodzin od Zenka Żurby, swego zięcia, męża mojej siostry Naści.

W majątku Cieleckich teraz kołchoz był. Tato sobie troszku popił, wesoło podśpiewywał.

- Zima, sobota, dobrze po północy - opowiadał potem. - Wracam przez kołchosp do domu, a tu nagle gąsior z sykiem na mnie leci trzepiąc skrzydłami. Ktoś widać zapił i nie zawarł bramy z gęsiami. Obejrzałem się, widzę - nikogo nie ma, no to ja go łaps za szyję: - Ach, ty psubrace! - łeb chrup i gąsior mój. Nie wiem, co z nim robić, a tu drugi na mnie leci, nóg się czepia. No to ja go znów łaps za szyję, chrup, łeb ukręcił i idę dalej. Za nim

trzeci chce szczypnąć. Co jest?!

Ja sam się szczypię, czy aby te gąsiorzy nie rozmnożyły m się w głowie po tych urodzinach Zenka, ale nie. Gąsior biały, nie mysz. Syczy dziób szczyrzy. No, Martynku, myślę sobie, trza się bronić, jak on tak strasz] skrzydłami. - „Siarap”, psubracie! Nie sycz, zmijo - chrup go i znów idę da lej. No, ale ich zostawić nie mogę. Jeden, czy trzy - i tak leżę. Maryję wziel za durno, a tu trzy gąsiorzy! Wsadzą do „dżejla” i wysiana Sybir jak nic. A ja] 1 Tak Ukraińcy nazywali kołchoz. sobie wspomną, że ja uciekł z batalionów roboczych, to już żywy nie wyjdę.. A tu trzy nowe gąsiorzy biegną na mnie. Niech to gęś kopnie! Ja je znów za szyję: chrup, chrup, chrup! W czubie mi szumi i już nie wiem sam, co z tymi gęsiami robić. A tu jeszcze trzy. Żal zostawić. To i te trzy uchrupał. Razem dziewięć.

Hospodyl Coś ty Martynku zrobił? Przepadłeś z tymi gęsiami. Sam wyciągniesz szyję. Ale co tam! Trza się bronić. Zdjąłem pasek z płaszczu, ściągnąłem kłamrą cztery gąsiorzy z jednej strony, a pięć z drugiej. Przerzuciłem przez ramię, a z wierzchu nakryłem płaszczem zapiętym pod szyją na guzik jak burką i taszcę. Jak doszedłem do domu i Maryja z Irką zobaczyły, że ja gęś z kołchospu przyniósł, to zaczęły zawodzić: - Hospody! Pomyłuj! Szto ty zrobił?! - A jak huńkę1 zdjąłem i przed nimi dziewięć gąsiorów gęsiego ułożyłem - to ze strachu jak te gęsi padły...

- Za mniej ludzi rozstrzeliwali w 1952 roku! A ty tyle zabił?! - wołała Maryja.

Ta opowieść wydała mi się ciut przesadzona. Będąc z Leszkiem w domu Bodnaruków poprosiłem go, by spytał ciotkę Irkę o te gęsi w kołchozie.

- Olhaprawdu kaže - roześmiała się. - Ja na własne oczy widziałam. Bat-ko w nocy zbudził nas. Jak Baba mu drzwi otworzyła, to na progu wywalił się ze zmęczenia i te gęsi z bundy mu się wysypały. Martwe leżały, ale batko też ledwie żył.

Zmordowany strasznie...

- Miał z czego - „chrapnął” Leszek. - Żeby najchudsze były, to czterdzieści kilo pod bundą niósł. Gęsi nie kaczki. Martynek umiał skorzystać z okazji, jak mu weszła w ręce, co?! Nawet po pijanemu. Cap i już!

- Po trzeźwemu by nie capnął! - przerwała mu ciotka. - A tak skorzystał, a nam tylko zadał roboty. Musiałyśmy te gęsi skubać, parzyć, czyścić i schować. Do rana śladu nie mogło być. Pierze do worka, wnętrzności świniom, a gęsi za przepierzeniem w stodole ukryli. W schowku za podwójną ścianą. Tam gdzie we wojnę Ruta Brandman i ta zdolna Jankelowa dytyna się chowała. Co jej rysunki tak długo na belkach zostały.

I te gęsi z kołchośpu przez całą zimę nas żywiły...

- Po naszym przyjeździe, proszę pana - opowiadała Olga Wawrow - jak ludzie we wsi się zwiedzieli, że my ten cajtg i perkal dla nich mamy, to hurmem przyszli.

Ja nie wiedziała, że tu nic nie ma i po drodze sprzedała troszku bielizny. Jak jechała w pociągu ze Lwowa do Tarnopola, to do przedziału weszła kobieta i zaczęła mnie męczyć, czy ja nie mam czegoś na sprzedaż. Ja zmęczona, niewyspana, głowa mnie strasznie bolała, a ona mnie zagadała i ja jej sporo tej damskiej bielizny sprzedała. Zostawiła sobie tylko na prezenty. I potem 1 Huńka albo bunda - szuba. żałowała. Bo to handlarka była, za pół ceny ode mnie wzięła, a w Hadyńkow-cach ludzie by mi dużo więcej dali. Wszystko gotowi kupić, czego by człowiek nie miał...

- Czyli cajtg poszedł szybko...

- Oj, proszę pana! Jeszcze jak! Ja do Wicka mówiła: - Tej Ukrainy nie zatkasz! - W kolejce podchodzili. Temu na spodnie daj, temu na marynarkę... Wicko tylko mierzył i ciął. Był w swoim żywiole. Jak się rozłożył z tym kramem u mego taty w kuchni, z tymi materiałami, to rzekł z za stołu: - Wreszcie ja dopiął swego.

Zawsze chciałem być kupcem bławatnym. Mieć swój sklep w Hadyńkowcach. I mam.

Teraz ja buciem kolejarz, a bławatnik po cichu. Przechytrzyłem durnojobów - śmiał się.

Mój Wicko kochał się w materiałach. Znał się na nich świetnie. Z lubością brał je do ręki i taksował między palcami. Ja lubiła patrzeć jak on je ogląda i sprawdza. Gdyby nie wojna, to on by na pewno ten bławatny sklep miał...

Jak wspomnę ten czas, to do dziś strach mnie bierze. Oni się ze mnie śmiali, że ja, jak tylko mrok zapadł, to drzwi ryglowała. Gdy troszku później wracali i nie mogli się dostać, to żartowali: - Oho! Olga znów się zabarykadowała i nie wpuszcza!

Ale we mnie już ten strach został, proszę pana. Jak sobie przypomnę, co tu się działo. To prawda, że na tej wizycie ja patrzyła i nie wierzyła, że to wszystko mogło być. Teraz w Hadyńkowcach spokój był i cisza. Nikt nikogo w studni nie topił. Ja się nie bała, że ktoś tatowi siekierę na dach rzuci, czy drzwi nocą wywali, ale co z tego?! Jak życie było na kak... To wujko Polko Babyn, mąż ciotki Kalki-Natałki, tak mówił: - Pójdzie chłopak na dwa lata do wojska, wróci i już u niego wszystko na kak. A jak go spytasz - jak? To odpowie - kak. Po kacapsku...

Ruscy z fajnych gospodarzy i plantatorów, takich jak mój tato, wujko Polko czy Antoni Prockiwi, zrobili głodomorów. Kołchozowych złodziei. Gdzie by mój tato przed wojną komuś coś ukradł?

- Po plantacjach tytoniu też pewnie śladu nie było...

- Komu w głowie był tytoń! Najwyżej bimber! Bo pili ludzie strasznie. Za Austrii czy Polski tego nie było. My się fajno bawili bez wódki. Pijaków we wsi na palcach policzył. Nikt nie miał czasu pić. Pracował. A teraz udawał. Bo komu chce się za nic robić w kołchozie? Nikomu. Serce się ścisnęło, jak ja na

to patrzała, proszę pana. Co oni z naszych Hadyńkowiec zrobili...

Olga Wawrow przedstawiła mi też powojenny los domu Pohoreckich, tego ośrodka myśli narodowej w Hadyńkowcach.

- Jak my przyjechali, to stary Stepan Pohorecki, ojciec chrzestny Karola, co go kupił od sąsiada Fedki za parę austriackich grajcarów i wybawił od złych mocy, już nie żył, proszę pana. On umarł zaraz po wojnie. A z jego synów żył w Hadyńkowcach Ładźko Pohorecki, którego my z Wiekem odwiedzili. Wicko dużo z nim mówił. On wypytywał o brata Wicka, Karola, ale przede wszystkim o swego brata Jarosława, który tak jak Karol Wawrow był w Kanadzie. Sławko Pohorecki z Kanady do niego nie pisał, bo nie chciał mu szkodzić. Karol Wawrow po przybyciu do Kanady przez pewien czas mieszkał u Sławka i on mu dużo pomógł. To my już dokładnie dowiedzieli się. od samego Karola po naszym przyjeździe do Kanady, ale wtedy Wicko i tak wiedział wię-cej od Ładźki i co mógł, to mu przekazał.

- I tak to, Wicko, widzisz - wzdychał Ładźko. - Mój batko przed śmiercią zawsze powtarzał: - Za Austrii czy Polski nie dali nam Ukrainy, ale żyć dali. A dziś jest Wielka Ukraina, tylko żyć nie dają. Nasza Halicja jak milicja. Wię-cej w niej strażników niż kołchoźników. Jeden drugiego strzeże. Dawniej jak brat czy syn do Kanady wyjechał, to z tymi dolarami wrócił. I ziemię tu kupił. Nawet gdy ktoś uciekł przed aresztem czy wojskiem, jak mój Sławko czy Karol, i bał się do nas wrócić, to my mogli do niego jechać. I za granicą się z nim widzieć. A dziś za sam list z zagranicy Moskal wsadza. Umrę i mego syna nie zobaczę. - I tak było. Batko Sławka nie zobaczył. I ja go nie zobaczę, Wicko! Tak, tak - biadał Ładźko.

- Zobaczysz - pocieszał go Wicko.

- Nie, nie. Ty w Polsce prędzej swego brata zobaczysz niż ja. Ja tu w Saju-zie nie mam żadnych szans. Żadnych...

- W podobnym rajku żyjemy, Ładźko, i ja też szybko nie szykuję się

widzieć Karola. Mimo że piszemy do siebie. Już dwadzieścia osiem lat wnet minie, jak wyjechał do Kanady...

- Ale przynajmniej piszecie. A ja i tego nie mogę, bo by mnie zaraz wzięli za haltz1 i pokazali, co znaczy z bratem na zgniłym Zachodzie korespondować. Mnie tu stale mają na oku.

- A jak ja mówiłem, by nie szaleć z siekierami, bo na tym tylko Moskal zyska, to wy mnie mało nie zabili. Gdyby Ładźko Zygruj w porę nie nadbiegł i ja miał troszku słabsze ręce, stołu u Romanki Węgier się puścił, to by mnie wasi na furę wzięli i zarąbali. Jak Józka Antoniowa czy Władka Gnacha. Mądre to było?!

- To nie ja, Wicko. Wiesz, że ja siekiernikiem nie byłem. Od polityki stroniłem...

- I fajno. Bo byś zginął jak twój brat Myron...

Wicko dalej się wstrzymał, bo wiedział, że Ładźko Pohorecki nic nie winien. Do UPA i Bandery nie należał. Ładźko zresztą sam pod koniec rozmowy przyznał: - To prawda, Wicko. Ale kto mógł wiedzieć? My przed wojną przeciw Mazurom się burzyli, kolonistów uważali za najgorsze zło. Rusczy kolonistów wy1 Za kołnierz.

wieźli, a z nas zrobili kacapską kolonię. I żeby choć Zarembę! - zaśmiał się. - Swój chlew! Z kolonializmem walczą, a nas gorzej traktują niż Murzynów. My chachły \ ich białe negry. W swoim bogatym kraju z głodu zdychamy. I słowem własnym nielzja pisać. Bo zaraz jesteś ukraiński nacjonalista. Z prawicowym odchyleniem. Tu mokre horyt, Wicko - puknął się w czoło. - Nic dziwnego, że kto może stąd wiać, to wieje. Z Łaszka się żeni i składa papiery na wyjazd...

- Ta widzisz! Stalin rozumu nauczył - zadrwił Wicko. - Przedtem wy krzyczeli: - Za San Lasze, bo to nasze! - Matwiej przed moim sklepem wołał: - Swij do swoho!

Swij do swoho! - a teraz za San wiejecie, jak sami zostali w tym swoim kraju...

- Taż on nie nasz, Wicko! Ruska kolonia! Tłumaczę ci!

- Olgę wy chcieli zabić, że za mnie, Polaka, wyszła za męża, a teraz Łaszka dobra, co?! Nikt od hruni nie wyzywa! Siekierą żony nie rąbie! Jedzie do tych „zajmańców” Polaków...

Oba mocno popili i szczerzy byli. Ja Wicka troszku hamowała. Ale ja panu powiem.

Wicko jak czasem się napił, to on nie rozrabiał jak inni. Tylko głośny był.

Gadał, mądrował się, śpiewał. Ja wtedy do niego mówiła: - Wicko! Mundur na kupkę i spać!

I on słuchał. Grzecznie rozbierał się i kładł do łóżka. Teraz tak nie mogła zrobić, bo Wicko bez munduru kolejarskiego z wizytą na Ukrainę zjechał, ale dała sobie z nim radę. Oni szybko z polityki zeszedli i wy ściskali się jak bracia. Bo oni troszku przez Karola jak bracia byli, proszę pana...

- Te złe duchy ich połączyły...

- Tak jest. Zaczęli fajno śpiewać polskie i ukraińskie piosenki. Różne stare dumki, proszę pana. Tę o orle, którą śpiewał Janek Korsak, też Żeby orłem być - lot sokoli mieć!

Lotem orłem lub sokołem unosić się nad Podolem!

Tamtym życiem żyć. Tamtym życiem żyć...

Droga ziemia ta - myśl ją dobrze zna - tam najpierwsze szczęście moje, tam najpierwsze niepokoje...

Tam najpierwsza łza. Tam najpierwsza łza...

Tamta noc i dzień - jak zaklęty cień!

latał za mną jak wspomnienie pierś orzeźwił przebił tchnienie...

Boże w orła zmień. Boże w orła zmień...

Potem Ładźko Pohorecki prosił, jak my już wyjeżdżali, żeby Wicko przez Karola jego bratu w Kanadzie przekazał, co u niego i rodziny słyhać. Dał też Wickowi parę ostatnich zdjęć swego ojca, Stepana Pohoreckiego, i kilka rodzinnych pamiątek, aby z Polski do Kanady mu wysłał...

1 Chochoty - pogardliwe określenie Ukraińców, używane przez Rosjan, nawiązujące do noszonych niegdyś przez Ukraińców słomianych nakryć głowy. Tak, że Ładźko widział, po tej ruskiej kolonii, że koloniści na Zarembie nie byli najgorsi...

- Była tam pani może?

- Oczywiście, proszę pana. U ciotki Hanki Wynnychenko, siostry tata, i wujka Safrona Kostenki... My teraz na Zarembie byli na weselu ich syna...

- I jak ten ślub wyglądał?

- My na ślubie nie byli, tylko na weselu. Oni na nas czekali i jak z Wiekiem i Leszkiem tam przyszli, to powitali nas z orkiestrą. Ja się popłakała. Moje własne wesele mi się przypomniało...

- Czy coś z tego przedwojennego obyczaju zostało?

- Ta pewnie. Nie wszystko, oczywiście. Ale też groszem i ziarnem sypali na szczęście. I był biały, weselny kołacz. Mój Lesio mi wtedy wstydu narobił...

- Dlaczego?

- Białego chleba nigdzie nie było, tylko czarny. A na tym weselu kołacz zrobili, troszku białego chleba napiekli i każdemu po kromce na talerzu położyli. A mój Lesio jak szedł wzdłuż stołu, to tak po kolei ten biały chleb każdemu z talerza zgarniał i przed sobą na swoim miejscu położył. Tak o siebie zadbał...

Ciężko mu było odebrać. On się bardzo za tym białym chlebem na Ukrainie stęsknił...

- To wtedy tak z Hadyńkowiec Ukraińcy wyjeżdżali? - wróciłem do

tego, co Wickowi powiedział Ładźko.

- Ja - potwierdziła. Tak do Kanady wyjechał Stepan Bodnaruk, mąż mojej siostry Irki, proszę pana...

- Czy on podczas waszej wizyty jeszcze był w Hadyńkowcach?

- Oczywiście. Materiał na spodnie sobie kupił. Parę razy był w domu mego tata.

- I Irki, pani Olgo. Bo pani siostra Irka też przecież tam mieszkała. Może już wtedy wpadła mu w oko...

- Ee, chyba nie. Irka mężatką była, fajnego męża miała. Antoszek Petryk był bardzo przystojny, morowy gość. Ja go bardzo lubiła. Zawsze wesoły. Jego ojciec, Stach Petryk, za Polski był obchodnykiem na kolei, sprawdzał tory. Aby dostać państwową posadę, zmienił wiarę i stał się Polakiem. Wziął ślub z Polką Teklą Winnicką... Mój Leszek w piekarni zawsze z Bohdana się śmieje, że gdyby nie wojna, to on by był Polak, nie Ukrainiec. Bo już jego dziadek na kolei przeszedł na polskość. I to całkiem prawda, proszę pana. Antoszek chodziłby jak ojciec do kościoła i Irka wyszłaby za mąż za Polaka, nie Ukraińca. Jak ja. Tak by było. A jeśli chodzi o Stepana Bodnaruka, to on też miał żonę... Ożenił się z Ziuńką Bednarską, a jej rodzice jeszcze przed wojną mieszkali w Kanadzie. Bodnaruki z Hadyńkowic wyjechali do Warszawy jako repatrianci. A za jakiś czas jego teściowie ściągnęli ich tutaj. Tak, że on przez Polskę jechał. Dużo Ukraińców przez Polskę jechało. Od nas łatwiej było niż od nich... W Hadyńkowcach my byli krótko. Ze wszystkimi nie dało rady się spotkać. My widzieli się głównie z rodziną. Wiko z siostrami - z Paulina, Marią, Józka. My wtedy Józkę postanowili do Polski ściągnąć. Ona po śmierci matki, teściowej Hanuśki, sama została. Z nami zawsze była najbliżej. Bardzo się w Hadyńkowcach sama męczyła. Ja odwiedziła swoje ciotki, siostry i brata Sławka. On mieszkał z żoną w Oryszkowcach. Ona też była Polka. Z polskiej rodziny Mosiądz.

Miała siostrę w Chełmie...

- I brat nie chciał jechać do Polski?

- Nie. Ale wiem, że jego teściowa, matka żony, bardzo chciała. Złożyła papiery na wyjazd i dostała nawet polski paszport. Ale brat ten paszport jej podarł i zakazał do Polski jechać... Chciał, żeby z nimi została. Oni obydwój pracowali, a ona im dom prowadziła. Mieli troszku gospodarki. Teściowa bardzo pomocna im była. Bratu dobrze z nią było. A ona znów dla córki się poświęciła. I tak to, widzi pan. My z Wiekiem jeszcze troszku jeździli, żeby coś za te zarobione ruble kupić. To nam sporo czasu zajęło. Bo pan wie? To nie Kanada. Wszedł do sklepu i ma. Trza się było nabiegać, żeby dostać to co się chce.

- Iz czym wróciliście?

- Wicko bardzo chciał nowe radio. Żeby mógł lepiej łąpać zagranicę... On głównie Wolnej Europy słuchał. I my w Kopyczyńcach dostali takie fajne radio z adapterem i płytami. Na jednej z nich było nagranie znanej włoskiej pieśni Tiri-tomba, którą Jarek potem często puszczał. Przywieźli to wszystko do Prudnika. Dla Jarka my kupili złoty zegarek...

- A motor iż?

- Nie. Motoru iża mu nie kupili.

W przeddzień wyjazdu, pamiętam, ja była u Józki w naszym starym domu i postanowiła pójść na grób mamci pożegnać się. Pokazać też Leszkowi grób jego brata Jaśka i jego babci Pawliny. Z domu Wicka na cmentarz parę kroków, a od tata przy stacji kawał drogi. Trza drogą przez wieś iść, a ona o wiele gorsza była niż za moich czasów. Śnieg stopniał i błoto było po kolana. Murowan-ka nie lepsza. Tirami zjeżdżona...

Słońko już schodziło, w lutym dzień krótki. Zmrok szybko zapada. My weszły z siostrą Ircią między groby, Z cmentarza wyraźnie widać było tę nową Mohylę, którą Ukraińcy we wojnę dla siebie usypali...

- Bez jednego polskiego konia, jak chciał Kornelko?

- Ja. Ona teraz z czubka miała żelazny krzyż zdjęty i zamiast niego na cementowym słupie czerwona gwiazda stała. A dalej, wychylała się lekko z mgły ta stara Mohyła. Nad nią słońko tak fajno schodziło gasząc swym blaskiem tę czerwoną gwiazdę...

Ja sobie przypomniała opowieść mojej mamci o tym płonącym skrawku słońka oderwanym w Dzień Zaduszny, co z tej Mohyły jak balon wzleciał w górę i spadł jej pod nogi między grobami. Spojrzała na tę czerwoną gwiazdę i pomyślała, że tylko słońce albo jakiś cud może ją zgasić. Bo człowiek chyba nie.

Odkąd się tu zjawiała na szpiczastych czapkach żołdatów w szarych szynelach, zabrała mi wszystko. Ja ta nawet nie mogę w Zaduszki zapalić świeczek na grobie mamci i popatrzeć sobie jak migają. Gdyby tej gwiazdy nie było, to ja bym sobie dalej z moim Wiekiem tu mieszkała. Czego by mi było za Sanem szukać? Tu, w Hadyńkowcach, miała fajną gospodarkę, wszystkich bliskich, pracowałyby sobie w ogrodzie, na mojej plantacji tytoniu i w polu, co tak bardzo kocham. Blisko mego tata i całej rodziny. A tak mieszkam daleko, w Prudniku i nie wiem, czy kiedy drugi raz ich zobaczą...

Ja była pewna, że jeszcze zobaczę, bo w końcu miała dopiero trzydzieści sześć lat, proszę pana, więc patrzała wprzód, nie w tył. Miała nadzieję, że stojąca obok mnie młodsza siostra Ircia odwiedzi mnie w Polsce ze swoim mężem Antoszkem. Przez chwilę nie myślała, że ta czerwona gwiazda za cztery lata rzuci mnie znów w obcy świat i będę przed nią uciekać aż za ocean, do Kanady. A moja siostra Irka odwiedzi mnie nie w Prudniku, tylko w Toronto. I bez Antoszka.

Już jako wdowa. Ani mi to w głowie nie stało. Gdyby mi ktoś wtedy powiedział na tym cmentarzu, że tak będzie, to ja bym się bardziej zdziwiła niż moja mamcia tym skrawkiem słońca, który leciał na nią z tego starego,

tatarskiego kurhanu. A jednak tak właśnie się stało. Widać los, co nami rzuca, tak chciał. Komu co sądzone, to go nie minie, proszę pana. Jak z tym starym wróżbitem, co wtedy temu synkowi gospodarza Babyna śmierć w studni przepowiedział. Pamięta pan? Zabili ją deskami i nic nie pomogło. Podobnie ze mną. Co miało być, to było...

- Jak było podczas wizyty rodziców i rodzeństwa na Ukrainie? -
spytałem Jarka.

- Jak było? Pilnowałem dobytku. Ktoś musiał zostać. Wypadło na mnie. Wtedy już skończyłem Technikum Weterynaryjne w Nysie i dostałem nakaz pracy do PGR-u pod Szczecinem. Od tego nakazu uratował mnie ojciec. Gdzieś pojechał i swymi chodami załatwił, że mnie z tego PGR-u pod Szczecinem zwolnili i przydzielili do Państwowego Zakładu Ubezpieczeń. Pracowałem tam jako inspektor od obliczania szkód.

- I jak wypadła opieka nad kozą?

- Nad kozą okay, gorzej z kurami. Zachorowały mi na pomór kur. Tak to fachowo się nazywa. Choroba dla kur śmiertelna. Kwestia czasu. Miałem do wyboru: czekać aż padną lub zabić. W pierwszym wypadku ucztą dla robaków, w drugim dla mnie.

Rosółek z tego smaczny, a nawet dewolaje, jak ktoś umie zrobić, kurczą.

- Z chorej kury?!

- W tym rzecz, że ten zarazek jest groźny tylko dla kur. Dla człowieka ich mięso po przegotowaniu czy usmażeniu w stu procentach było bezpieczne. Jak z normalnej, zdrowej kury. Badania laboratoryjne dawno to wykazały. Ryzyko więc było tylko jedno...

- Jakie?

- Reakcja mojej matki po powrocie. Nie uwierzy, że kury były chore. W tej sytuacji postanowiłem trzy sztuki zostawić. Niech na własne oczy

przekona się. I koguta oszczędziłem, bo miał zdrowo. Ale wiedziałem, że padnie.

- I co było po powrocie mamy?

- Krzyk: - Co ty narobił, dziecko?! Taż kto to widział?! Kury-nioski rznąć!

- Kto cię prosił?! - warknął ojciec. - Miałeś je karmić! A nie wyrzynać! Nie chciało się robić, to cap za nóż! Najłatwiej tak...

Nazajutrz jednak kogut zamilkł. Ojciec wszedł do kurnika, zobaczył, że dwie kury padły, kogut osowiały na nogach się chwieje - i zamilkł też. Odtąd na temat pomoru ni słowa. Uwierzyli, kurczą, w moją diagnozę... Jako technik weterynaryjny miałem już doświadczenie. Musiałem wciąż wyceniać szkody w drobiu, zwierzętach.

A jak było, kiedy oni przyjechali bez motoru?

- Gdzie jest mój iz? - spytałem.

- Niema...

- To ja idę do wojska!

- To idź! - mruknął ojciec i wzruszył ramionami. Nie bardzo wierzył. A matka powiedziała: - Synu. Ty nawet jak do wojska pójdziesz na dwadzieścia lat, to kiedyś wrócisz.

A jak ci motor kupię, to ty do mnie nigdy nie wrócisz. Chyba, że w trumnie.

Pamiętam to do dziś. I miała rację, kurczą. Ja bym się chyba na tym motorze zabił. A tak z wojska wróciłem. Nawet do majora doszedłem...

- A jak to się, z tym wojskiem, zaczęło?

- Przez przypadek. Jak zwykle. Czesiek Szandała powiedział, że jedzie zdawać egzamin do szkoły oficerskiej WOP-u do Kętrzyna.

- To jadę z tobą - powiedziałem. - I pojechalśmy razem. Ja zdałem, a on nie. To był pierwszy rocznik po wojnie, któremu nie starczyło chęci

szczerej, aby zostać oficerem. Żądano matury. Czesiek jej nie miał i odwalili go.

Ja od dawna planowałem wyrwać się z domu. Tato miał twardą rękę. Uparty jak kozioł. Przyzwyczajony, że ojciec w rodzinie to Bóg Stworzyciel, syn ma go słuchać i w rękę całować. A ja mu się stawiałem. Póki mógł, to mnie lał, a potem nie dało rady. Ja te metody paska uważałem za wsteczne, feudalny przeżytek, kurczą, i miałem dość. Uważałem, że nie tędy droga. Swoje dzieci bez pasa chowałem, mimo że go miałem...

Matka znów najchętniej trzymałaby mnie przy sobie, żeby być spokojną i nie denerwować się. Więc chętnie z Prudnika do tej szkoły pojechałem. Zameldowałem się w niej zgodnie z wezwaniem 20 września 1957.1 odtąd by - łem elewem pierwszego roku oficerskiej szkoły Wojsk Ochrony Pogranicza w Kętrzynie.

- Ile ta szkoła trwała?

- Trzy lata. Po dwóch miesiącach odbyła się przysięga. I odtąd byłem już podchorążym. Do Prudnika przyjechałem dopiero na Boże Narodzenie, bo tylko raz w roku na święta puszczano nas do domu.

- To był chyba rok 1960, proszę pana. Jarko uczył się na oficera w szkole w Kętrzynie, gdy przyjechał do nas wujko Hryćko z Kanady.

- Ja. I to ze złotymi sygnetami na palcach, proszę pana. W fajnej marynarce w kratę, w słomkowym kapeluszu, z laseczką w ręku - z dala już widać było, że to lepszy dewizowy gość. Jak taksówką przed nasz dom zajechał, to cała ulica Matejki z okien wyjrzała, by zobaczyć, jak ten Kanadyjczyk wygląda. A Hryćko z cygarem, po pańsku zapłacił kierowcy i ten zaraz w ukłonach walizkę mu na górę wniósł.

- Co wy ta na ten komunizm brechacie? - mówił. - Fajny ustrój! Za dolara przede mną encyki biją i w rękę jak hrabiego Cieleckiego całują. W Kanadzie tak nie ma...

W tej walizce on Wickowi elektryczną maszynkę do golenia przywiózł i fajny kupon na garnitur, a mnie kolczyki z brylancikami. Bo Hryćko był mój chrzestny ojciec.

Starosta na weselu mojej mamci z tatem...

- A co go do Polski sprowadziło? Nie żona Łupacha chyba?!

- Żona Łupacha nie, ale córka Stefa i wnuki: Marysia i Tadzik. Hryćko w Kanadzie dalej kawalerował i bawił się na halach. I tu w Polsce była jego jedyna rodzina.

Chciał ją poznać. Dlatego przyjechał do zięcia Stacha Gródeckiego, który miał gospodarkę w Rzędzianach pod Lwówkiem Śląskim. A przy okazji nas w Prudniku odwiedził. My się od niego więcej dowiedzieli o bracie Wicka Karolu w Kanadzie.

Hryćko od Karola przywiózł paczkę.

Leszek w tym czasie wysłany został do Rzędzian i w gospodarstwie Gródeckich spędził długie wakacje. Tam poznał Łupachę, jej córkę Stefę i wnuki Nawrockich.

- Nudziłem się tam strasznie - mówił. - Wziąłem ze sobą powieść Quo vadis i w Rzędzianach ją dokładnie studiowałem. Ale ciężko mi szło. Nie wszystko rozumiałem. Dużo czasu spędzałem z wujem Stachem (bo Tadzik pracował w stolarni, a Marysia była już dużą panną). Zapamiętałem go jako miłego wujka. Dobrego gospodarza. Miał konie. Na jednej spokojnej kobyłe pozwalał mi jeździć. Nie miał siodła i podkładał mi koc. Ta kobyła miała bardzo kościsty grzbiet. Po dłuższej jeździe cały tyłek miałem odbity. Największą atrakcją tych wakacji był rower, który Hryćko kupił Stefie. Ale Stefa nie umiała na nim jeździć. Ciągle wywalała się i przeklinała ten rower. Nazywał go po ukraińsku diabłem, jak ja kożę Başkę, i za każdym upadkiem wołała: - Prakliatyj dytko! Ne хочzujechały...

Z tych upadków Stefy śmiałem się w głos, bo były śmieszne. Stara

baba, \ wieku mojej mamy, i wali się jak snop. Ma trzydzieści parę lat i nie umie zła pac równowagi, co ja mogę mając jedenaście. Ten śmiech Stefę wściekał i zemsty zamknęła przede mną rower w szopie. Sama nie wsiadła i mnie ni dała. Ale potem za namową Łupachy i męża jakoś ustąpiła i na tym rowerz trochę j eździłem.

Hryćko jak tylko przyjechał, to zamieszkał osobno. Nie zwracał uwagi n Łupachę i robił, co chciał. Jak kawaler. A ona mu usługiwała. Prała koszuli prasowała. On na nią mówił babka, a na siebie kazał wołać wujko...

- Czy naprawdę była taka brzydka?

- Przede wszystkim stara i zniszczona. On przy niej wyglądał jak młodzi!

Wytworny lord z Kanady. Palił tylko wawele, papierosy ze złotymi ustnikami Włosy na blond ufarbowane.

Śmiał się z tych, co dla morgów wzięli brzydkie żony: - Ziemię durny str; cił, a baba mu w domu została! Ja wiedziałem, co robię - pysznił się prze Łupachą.

Nic sobie z niej nie robił. Traktował ją jak kuchtę. Czasem zapomniałem, że jest jego żoną. Matką Stefy i babciajego wnuków. Dla mnie Hryć był hojny. Dawał pieniądze na cukierki, zabierał taksówką na wycieczki. Ri wybraliśmy się w Złote Góry, które tam były blisko. Pamiętam łąki całe dzikim kminku. Jadłem ten kminek garściami. Bardzo mi smakował. Mo. dlatego dodaję go teraz do chleba wawrowskiego. Ten smak z wypraw w Zł te Góry mi został.

- A to poniemieckie gospodarstwo Gródeckiego było duże? - spytałem.

- O, tak. Musiało dawniej należeć do dworu. Bo u wujka Stacha znalazłe szablę z napisem na rękojeści: „Graf von Dahlenberg” ... Tę szablę wujek Gr decki mi podarował. Owinąłem ją w gazetę i zabrałem do Prudnika. Żałuję, nie wziąłem ze sobą do Kanady. To była piękna, stara szabla.

W stodole znalazłem też ostrogi, jednak ich nie wziąłem. Nie miałem < czego przyczepić. Do moich trampek nie pasowały... Ale z szablą jechałem tej szkapie w Rzędzianach...

- Jak protoplasta rodu Fiodor Ławro w...

Od Irki Bodnaruk dowiedziałem się, że Hryćko Nawrocki był również Hadyńkowcach.

- Wyprawił duże party u bratowej Zofki i jej córki, ale nas na nie nie: prosił.

Nikogo z rodziny swojej siostry Pawliny, mojej matki, nie zaprosił. Nawet mego batki, swego szwagra Martyna, z którym razem był w Kai dzie, nie zaprosił i nie odwiedził - solidaryzował się ze swym bratem / toszkającego żoną. Zofka pamiętała to „kurze” ziarno. Nie mogła matce i batce darować, że zabrali im ziemię, choć dawno już należała do kolchozpu - zaśmiała się.

- Normalne - rzucił Stepan Bodnaruk. - Nawrococy pany. Znani byli z zadzierania nosa. I Hryćko się nie wyrodził. A jak z Kanady wrócił, to był jak jego ojciec.

Stary Pańko. Toczka w toczkę...

- Tyle, że ziemi od hrabiego nie mógł kupić - wtrąciłem...

- I bryczką nie jeździł, tylko „wyhajrował”1 sobie taxi - zaśmiał się Stepan Bodnaruk.

Spytałem Olgi Wawrow, jak to mogło być, że Hryćko w Prudniku ją odwiedził, prezenty nawet przywiózł, a jej brata i siostr w Hadyńkowcach nie chciał znać i nie zaprosił na rodzinne przyjęcie u Nawrockich?

- Kto mówił, że nie zaprosił? - spytała.

- Pani siostra - odparłem.

- Irka? - wzruszyła ramionami. - Ja ta nie wiem. Może i nie zaprosił. Ja tam nie była. Do mnie przyszedł. Karolko w Kanadzie prosił go, by przyjechał do nas porozmawiać. Może też i dlatego, że ja była jego chrestna córka. I

mieszkała w Polsce. A na oczach całej wsi się wstydził.

- Może Zofka go namówiła?

- Ja panu powiem. Hryćko Nawrocki za mądry nie był. Mogło mu się coś odmienić.

Albo Irce się zdawało. Tak też może być...

- Czy tu, w Kanadzie, widziała się pani z Hryćkiem?

- Tak, proszę pana. Gdy jechał „na Westy” załatwić emeryturę. Pod koniec życia sprzedał wszystko w Kanadzie i wrócił na stałe do Polski. Na początku lat sześćdziesiątych zamieszkał w Rzędzianach z rodziną. I tam pod Lwówkiem Śląskim umarł. Stefa pochowała go na miejscowym cmentarzu w grobie swej matki, przed którą kiedyś uciekł aż do Kanady. Widzi pan. Teraz leżą obok siebie jak mąż i żona...

- W szkole oficerskiej w Kętrzynie - ciągnął swoją opowieść Major - podzielono nas na liniowych i politycznych. Widzę, że liniowym strasznie dają w kość, a politycznym tylko chłam w łeb wbijają, więc zgłosiłem się na politycznego. Inni ganiali w polu, a ja siedziałem na sali i grałem w karty...

- Polityczny musiał być w partii - wtrąciłem.

- Liniowy też. Każdy. Nie dało rady. Całym rokiem gromadnie wstąpiliśmy do PZPR...

- I co na to oj ciec?

- Że jestem w partii?

- No. Do tego politrak - dodałem.

1 Od ang. hire - wynajmować.

- On wiedział o WOP-ie. WOP był dla niego jak KOP. Bliski skrót.

Przed wojną Korpus, teraz - Wojska Ochrony Pogranicza. Jeden czort. Też strażnice i pogranicze, tyle, że inne. A to, że jestem politrak, to się przed nim nie chwaliłem...

Z przełożonymi różnie bywało. Na przykład dowódca naszego

rocznika, kapitan Stanisław Huget, musiał pójść do cywila. Odkryli, że był w Hitlerju-gend. Ktoś go poznał i doniósł. Huget tłumaczył się, że jako młody chłopak musiał. Rodzice mu kazali. Nie sądzili go, ale z wojska wyleciał. Miłość do munduru go zgubiła, kurczą.

W lecie wyjeżdżaliśmy na strażnice. W różne końce Polski. Tych strażnic trochę zaliczyłem. Mógłbym napisać mały przewodnik. Strażnicę Kondratów na przykład, blisko Prudnika przy stacji Głuchołazy (my ją nazywaliśmy Głu-połazy), Kopę Biskupią, tam niedaleko w klasztoru był więziony kardynał Wyszyński, Rokitę, Pieńsk. W Pieńsku fajne ryby były. Z tych strażnic najbardziej spodobała mi się Rokita. Wszyscy służbę w niej traktowali jako zsyłkę, bo diabeł tam rzeczywiście mówił dobranoc...

Mnie się jednak, jak mówię, na praktyce ta Rokita spodobała. Fajny las, głusza, odpocznę sobie, myślę, i jak komendant spytał: - Gdzie chcecie Wawrów iść? - odparłem krótko: - Do Rokity, obywatelu pułkowniku!

- Do Rokity? - zbaraniał i z ulgą mnie tam skierował.

Tak więc po uroczystej promocji skierowany zostałem w randze podporucznika do Lubuskiej Brygady WOP-u w Krośnie Odrzańskim i tam jako zastępca dowódcy kompanii do spraw politycznych szkoliłem poborowych. Po przeszkoleniu żołnierzy zostałem wysłany do Tuplic.

Strażnica Rokita należała do obszaru działania batalionu Tuplice, który miał chyba siedem strażnic. Liczba żołnierzy zależna była od potrzeb strażnicy i długości granicy do pilnowania. Rokicie podlegał odcinek około czternastu kilometrów. Stanowisko zastępcy tamtejszego dowódcy objąłem w styczniu 1961 roku. Na południe od nas była strażnica Olszyna, przez którą biegła autostrada Wrocław-Berlin, ale dla samochodów osobowych była ona całkowicie zamknięta.

Puszczano przez nią tylko wojskowe transporty radzieckie. Podobnie było z przejściem kolejowym. Przez sąsiadującą z nami na północy strażnicę

Zasieki kursowały tylko składy towarowe między Rosją a NRD. Ruch pasażerski był całkowicie wstrzymany. Po naszej stronie nie było żadnej miejscowości, po drugiej małe miasteczko niemieckie z zerwanym mostem. Tego zerwanego mostu na Nysie pilnowaliśmy. Rokita była absolutnie unikalną strażnicą. Mieściła się na terenie dawnej fabryki broni i amunicji ukrytej głęboko w lasach i podobnie jak kwatery Hitlera w Kętrzynie świetnie zama - skowanej. Betonowe hale produkcyjne miały dachy w kształcie głębokiej niecki. W te niecki Niemcy sypali ziemię i sadzili tam drzewa. Z góry wyglądało wszystko na las. Doprowadzili bocznice kolejową i pobudowali betonowe drogi. W tym wielkim lesie tworzyły one labirynt, w którym łatwo było się zgubić. Kto nie znał drogi, mógł jeździć w kółko. Szczególnie w zimie, gdy wszystko było przykryte śniegiem.

Z Rokity Rosjanie oczywiście wszystko wywieźli, cały sprzęt, zostawiając nam gołe ściany. Ale warunki mieliśmy super. Urządzenia ponemieckie. Światło, centralne ogrzewanie, kanalizacja. Łaźnia z ciepłą wodą. Świetlica i sala kinowa. Czasem przyjeżdżał operator i puszczał nam filmy. Kręcił też zdjęcia dokumentalne ze strażnicy. Do Krosna z jakimiś rozrywkami było kilkadziesiąt kilometrów. Mieliśmy na wyposażeniu samochód łazik, ciężarówkę i wozy konne. Z wozów korzystało się najczęściej. Ale jak fest w zimie zawiąło, to tylko koń przez drogę przeszedł. I sprawdził się. Konno wtedy granicę objeżdżałem...

- Jak Fiodor Ławrow na strażnicy w Husiatynie. Gdy sypał drobny, suchy śnieg...

- Tak jest. W Rokicie były jeszcze konie...

Obok nas była baza wojsk radzieckich. Marnie ich karmili i oni po tych pięknych, bukowych lasach strasznie kłusowali. Z pepeszy strzelali do dzików i jeleni.

Trudno było przyjąć a ciół powstrzymać. Nasz las traktowali jak swój. W

ramach braterstwa całą zwierzynę wybili. Czasem i siebie, kurczą... Raz objeżdżałem granicę w czasie rykowiska jeleni i widzę - wiozą Ruscy fajnego byka na wozie.

Wraz z nim żołdat leży. Z początku myślę - zalał się w trupa. Ale krew na mundurze. Nogi bezwładnie dyndają się. Chyba martwy. Lejtnant na wozie ze smutkiem mruknął: - Wot nasz tawariszcz izza jolki wyszeł i taho-je nieszczastje.

Żal, żal...

Golnął łyk wódki i pojechał. Za chwilą rozległy się strzały. Nie przerwali polowania. Wtedy przekonałem się, że ojciec mówił prawdę. Oni ludzi nie szanowali. Jeleń czy człowiek - na tym samym wozie wieźli.

Jak już mówiłem, czasem jechaliśmy do Krosna, na film czy mecz. Na takim meczu na stadionie poznałem mój ą przyszłą żonę Hanię. Hania miała wtedy siedemnaście lat i mieszkała z rodziną w Krośnie Odrzańskim. Przyjechała tu w 1945 roku z wileńszczyzny. Wywieziona z Podbrodzia czy Pozejmiany krowiakami jak ja z Czortkowa. Tylko ona miała wtedy dwa lata i nic nie pamięta. Jej dziadek Antoni Misiukiewicz był przed wojną policjantem w Wilnie. Hania, śliczna dziewczyna, bardzo mi się spodobała i nas aż czterech do niej uderzało. Ja wygrałem ten mecz i się z nią ożeniłem. To było zaraz po wyjeździe moich rodziców do Kanady.

W lecie 1961 roku ojciec z matką przyjechali do mnie do Rokity. Pełniłem wówczas obowiązki dowódcy strażnicy, pod nieobecność mego szefa, który przebywał na urlopie. Rodzice zostawili mi Leszka i on spędzał swoje ostatnie wakacje w Polsce u mnie w Rokicie...

- Wiem. Opowiadał mi...

- O tym, jak uderzyłem go w twarz też?

- Też. Biedny Lesio wciąż był bity - zaśmiałem się.

- Nie miałem wyjścia. Wyjął mi spod poduszki pistolet, który tam

przez pomyłkę zostawiłem. Jak wszedłem, to wprowadzał pocisk do komory naboju, tylko nie umiał odciągnąć i nabój w połowie ugrzązł w lufie. Zamek się zaciął i Lesio manipulował przy nim z palcem na spuście, kręcąc tym pistoletem koło brzucha.

Musiałem zareagować, by mu go wybić. Zdenerwowałem się. Mógł się zabić, kurczą.

Tego by brakowało. I co jeszcze mówił?

- Że żołnierze różnie go traktowali. Jedni się na nim odgrywali za brata dowódcę. Ponieważ miał to samo nazwisko, to wołali: - Wawrow! Do mnie! Zbiórka!

- i robili sobie z niego żarty. Głównie uświadamiali seksualnie. Z detalami opowiadali, jak to jest z babami. Drudzy mu się podlizywali, żeby dobrze mówił o nich bratu. W sumie jednak było mu tam dobrze. Streszczał chłopakom Trylogię i inne książki, a oni go częstowali cukierkami...

- Lesio zawsze znajdzie sposób...

- Do Kanady całą swoją podręczną biblioteczkę wywiózł. W plecaku miał Sienkiewicza, Prusa, Żeromskiego. Przedwiośnie, które właśnie czytał. A resztę swoich książek spakował do pudła i nadał na statek...

- W Rokicie miał taki drewniany kuferek bardzo ciężki i w tym kuferku książki nosił. Ja się z niego śmiałem. Przed wyjazdem pojechałem z nim do Zielonej Góry po sandałki. Nie było jego numeru, kurczą, i kupiłem mu damskie. Dla dziewczynek. Ja się nawet na tym nie znałem, ale mama z miejsca spostrzegła. Nic mu nie powiedziała, bo by nie nosił. I w tych sandałkach go na „Batorego”

odprowadzałem.

- A jak to było z tym wyjazdem do Kanady?

- Proste. Tatu powiedział mi o tym w Rokicie i spytał, czy ten ich wyjazd całą rodziną za granicę mi nie zaszkodzi. - Nie - odparłem.

Co miałem mówić? Wiedziałem, że kłopoty będą, ale ważne było, żeby oni wyjechali. Jak im się uda, to i ja za jakiś czas dojadę, myślałem. Ojciec się uspokoił. Rodzice zdążyli poznać Hanię i jej rodzinę w Krośnie, bo ja ich powiadomiłem o swoich planach małżeńskich. Matka wyjeżdżając zostawiła Hani swoje futro. Ale na ślubie już nie była. Nikogo z mojej rodziny nie było. Tylko rodzina Hani i koledzy ze szkoły w Kętrzynie. Jeden był moim świadkiem.

- Ten ślub odbył się w Krośnie Odrzańskim?

- Tak. W Urzędzie Stanu Cywilnego. Kościelny brałem dużo później.

- Żadni krewni z Prudnika nie przyjechali? - Nie. Ale ja się. do tego przyzwyczałem. Sam wcześniej wyszedłem z domu.

Chciałem być wolny i samodzielny. I od piętnastego roku życia w zasadzie byłem.

Niczego z domu nie potrzebowałem. Miałem ambicję być samodzielnym. O! Tak będzie lepiej, kurczą. Pewnie, że po ich wyjeździe wesoło nie było. Nie będę kłamał. W końcu być takim starszym synem pułku, przygarniętym przez wojo, miło nie jest.

Tym bardziej więc chciałem mieć rodzinę. By nie być taką sierotą.

- I jak było z tym odprowadzeniem?

- Dostałem od dowódcy brygady zgodę na wyjazd do Gdyni i we wrześniu odprowadzałem ich na statek. Przy odprawie paszportowej okazało się, że służbę w porcie pełni Bohdan Dziuba, mój kumpel z Kętrzyna, kapitan naszej drużyny. Wtedy pierwszy i ostatni raz go widziałem po skończeniu szkoły. Bodek bardzo się ucieszył. Oczywiście pozwolił mi wejść z rodzicami na statek. Kiedy już byłem z nimi na „Batorym”, do kajuty zajrzał steward i widząc mnie w mundurze WOP-u spytał: - Są jakieś problemy z odprawą paszportową, poruczniku?

- Nie - odparłem i wyszedłem z kabiny. Wtedy on szeptem spytał

rodziców: - Czego chce ten pies? Co się was tak czepia?

- Nic, nic. Wszystko w porządku - odparł ojciec nie przyznając się, że ten pies to jego syn i jako syn, nie strażnik WOP-u, go odprowadza...

- Pewnego lipcowego dnia w 1959 roku grałem w piłkę na łące obok naszego domu - opowiada mi Leszek. - Patrzę - a tu mama i tato idą z miasta. Tato w garniturze, a mama w szarym kostiumie w brązową kratę. Ma oczy czerwone, zapłakane. Tato spokojny, poważny...

- Co się stało? - pytam.

Mama przycupnęła obok mnie na trawie, objęła czule ramionami i głaszcząc po głowie powtarzała: - Nic, nic, synu. Nic się nie stało...

Po latach dowiedziałem się, że wtedy ważył się mój los.

Od urodzenia cień stryja Karola ciążył nade mną jak zły duch. Może to dziwne, ale dopiero po jego śmierci moja karta się odwróciła. Ochrzczony zostałem 1 stycznia 1949 roku i rodzice uhonorowali mego stryja dając mi na drugie imię Karol. Gdy tato napisał do brata, że urodził mu się drugi syn, Leszek Karol, to stryj odpisał: - Ty masz dwóch synów - a ja żadnego. Może bym jednego sprowadził do Kanady?

Urodziłem się 15 grudnia 1948 roku, gdy PPR łączyła się z PPS-em, by stworzyć PZPR. W tym czasie granice były szczelnie zamknięte i na razie plany stryja i moich rodziców nie mogły się spełnić. Gdy w 1952 roku urodziła się moja siostra Ewa, rodzice coraz poważniej myśleli, co by tu zrobić, żeby Leszek Karol odziedziczył majątek po bezdzietnym stryju. Przyszedł Październik, można już było wyjeżdżać na Zachód i odwiedzać rodziny w kraju. Plany ożyły.

Tego lipcowego dnia rodzice właśnie wracali z sądu, gdzie wniesli pozew o zgodę, na moją adopcję przez stryja i stryjankę. Brat Jarek był już w szkole oficerskiej i w domu zostałem tylko jaż Ewą. Sędzia powiedział: - Państwo mają na utrzymaniu tylko dwoje dzieci. Mąż nie jest pijakiem.

Żyjecie dobrze. Po co wysłać dziecko w nieznane? Czy pani zna bratową? - zwrócił się do mamy.

- Nie - odparła.

- No, więc? Skąd pani wie, jaką będzie matką? Matka rozplakała się i sędzia odrzucił petycję.

Kiedy moja adopcja upadła, stryj napisał, że w tej sytuacji chce sprowadzić całą rodzinę. Ojciec z matką wahali się i zastanawiali. Listy szły tam i z powrotem.

7 listopada 1960 roku ojciec pisał do stryja: „I tak, kochany Bracie, stałem w kolizji, narobiłem Tobie kłopotu, bo musiałeś poczynić starania, a tu wychodzi z tego nic. Ale myślę, że to jeszcze i tak nie najgorzej, bo byłoby gorzej, gdyby przyszło się wracać jak Gliwowej - dopiero byłoby zmartwienie. Roboty w Kanadzie, jak mówiła ta pani, ciężko dostać. Twoje mieszkanie musiałyby jeden lokator opuścić, bo gdzieś by trzeba było zamieszkać, a to wszystko kosztuje grube pieniądze, to nie na tydzień, żeby posiedzieć jak gość, ale parę miesięcy zakłócić między wami spokój i zrobić nieporozumienie. Nie bardzo to się uśmiecha, bo może bratowa powiedzieć, że nie na to ja pracowała całe życie, ażeby Twoją rodzinę utrzymywać, i słusznie by powiedziała. I w takiej kolizji człowiek stanął, że po prostu nie wie co robić. Ciężko nieść i żal rzucić”.

Stryj musiał wysłać do ojca gniewny list, bo odpowiedź była już inna: „Kochana Rodzino! Ja wcale nie zrezygnował z wyjazdu. Może Wy nie zrozumieli, jak ja pisał. Ja tylko zapytywał, co to może być za przyczyna, że żona Gliwy wróciła z dziećmi do domu, a on został. To właśnie bardzo dziwna historia, o której prawdy nie można się dowiedzieć, i Olga się tym bardzo przejęła”.

Stryjanki krajanka pani Wur, sąsiadka z jej rodzinnego Miłkowa na Łemkowszczyźnie, wysłana przez nią z Kanady latem 1960 roku, by wyjaśnić

i przyspieszyć nasz wyjazd, swą wizytą w Prudniku tylko wzbudziła więcej niepokoju i wahań. Znow musiał przyjść gniewny list od stryja, który stawiał rodziców w sytuacji: wiz alboperewiz - jedzicie do Kanady lub wycofuję promesę i pieniądze na „Batorego”. W końcu rodzice przewyciężyli strach przed nieznanym. Matka zapewniła ojca, że jeśli nawet on nie dostanie pracy w Ka - nadzie, to ona pójdzie do roboty na farmę tytoniową. Zna się przecież na tym.

Miała plantację tytoniu w domu. Wysłali więc do stryja telegram, że paszporty już mają i mogą przyjechać. Ojciec na wszelki wypadek zabezpieczył się w pracy i wziął bezpłatny roczny urlop na kolei.

22 września 1961 roku wypłynęliśmy ostatnim jesiennym rejsem „Batorego” do Kanady. Brat jako podporucznik WOP-u został w Polsce bronić naszych granic przed sojusznikami...

Stryja i stryjankę ujrzałem po raz pierwszy w budynku immigracyjnym w porcie w Montrealu - opowiada dalej Leszek. - Podczas odprawy paszportowej zobaczyliśmy tłum rodaków. Stryjkę poznałem ze zdjęć. Przystojna, wysoka tleniona blondyna.

Ruchome barierki z rurkowego metalu w kolorze pomarańczy przysły na boki i rzuciliśmy się ścisnąć i całować. Stryj Karol niski, grubawy, lekko łysiejący starszy pan z krótko strzyżonym wąsikiem. Duże, wyłupiaste oczy miał zaczerwienione i zażawione. W ręku trzymał kapelusz. Tato w zamieszaniu zręcznie podrzucił mu dużą, skórzaną torbę i szepnął, by się nią zaopiekował.

Kiedy policja kanadyjska zamknęła znow barierki i oddzieliła pasażerów od stęsknionych krewnych - piętnaście butelek spirytusu, żytniówki, zubrówki i wyborowej w tej skórzanej torbie było już zabezpieczonych i znajdowało się po oclonej stronie pod opieką stryja. Przed naszym wyjściem z podręcznym bagażem i dokumentami stryj zdążył już tę

torbę z alkoholem wsadzić do bagażnika swego wozu. Cięższe rzeczy - kryształ, pierzyny i moje książki w wiklinowych koszach pojechały osobno koleją do Toronto.

Przed samochodem stryj uśmiechnięty od ucha do ucha błysnął zdrowymi, białymi zębami i ustawił nas do pamiątkowego zdjęcia. Widać było, że jako fotograf nie ma wprawy, bo stryjanka Iwa wciąż mu przypominała: - Zdejm zasłonę, trzymaj równo aparat, nie zatykaj palcem obiektyw... Gdy ładowaliśmy się do samochodu, torba z alkoholem musiała pójść na wierzch bagażnika. Stryj przy tej okazji otworzył zębówkę.

- Muszę skosztować to wasze świństwo - rzekł z czarującym uśmiechem.

Było wczesne popołudnie. Do Toronto kawał drogi. Przebijaliśmy się od portu przez całe miasto. Po godzinie tłoku pruliśmy swobodnie setką po autostradzie.

Dla mnie była to oszałamiająca szybkość. Po dłuższej jeździe stryj zatrzymał wóz na poboczu.

- Muszę sprawdzić, czy wszystko okay w „tronku” - tak mówił na bagażnik. - Chodź Wicek ze mną!

Tato żwawo wyskoczył. Siedziałem w wozie między stryjem i tatem z przodu nad garbem wału napędowego, a Ewa z tyłu nad tym samym garbem między stryjanką a mamą. Uniesiona maska bagażnika nie pozwalała mi widzieć, co stęsknieni za sobą po trzydziestu dwóch latach bracia tam robią. Gdy wrócili, stryjanka Iwa powiedziała po ukraińsku: - Karolku nepyjl - Szczo ty durna! Dejapju!\ - stryj odparł hardo.

Jeszcze dwa razy po drodze sprawdzał, czy wszystko jest okay w „tron-ku”. Po tych kontrolach jechał coraz wolniej. W końcu stryjanka zdecydowała: - Trzeba zanoć w motelu. Ty dalej nie możesz jechać...

Tym razem stryj posłusznie usłuchał. Zjechał z autostrady i zaczął

szukać noclegu. Było piękne, słoneczne popołudnie. Babie lato, które w Kanadzie nazywa się Indian Summer. 4 października po szóstej słońce już czerwono zachodziło.

Stryj skręcił w wąski przejazd nad rowem do motelu. Biorąc zakręt w prawo za wcześnie skręcił kierownicą i tylne prawe koło zaczęło się wolno osuwać do rowu.

Samochód zachybotał. Stryj błyskawicznie wyłączył sprzęgło i dał na gaz. W chmurze kurzu i pryskającego żwiru znaleźliśmy się znów na drodze. Mama jęknęła: - Matko Boska! - bo zdawało się jej, że lecimy w przepaść. Ale było już po wszystkim.

- Szco ty robisz! - krzyknęła stryjanka.

Stryj w milczeniu wziął prawidłowy zakręt i zaparkował wóz przed domkiem z napisem Office. Spokojnie zgasił motor.

- Niczo. A teper bud tycho, Iwal - rzekł groźnie. Pod tym spojrzeniem stryjanka zmiłkła i więcej się nie odezwała.

Nazajutrz bez przeszkód przyjechaliśmy do Toronto. Stryj był właścicielem nowego piętrowego domu, który miał trzy mieszkania. Na każdej podłodze był osobny apartament z wejściem z przodu i z tyłu. Na parterze i piętrze dwu-sypialniowy, a w „bejsmencie” 2 jednosypialniowy. Zamiast drugiej sypialni był furnace room, czyli kotłownia. Stryj mieszkał na parterze, aby lokatorzy nie narzekali jedni na drugich, zresztą parter był najwygodniejszy. Dom zbudowany był dwa lata przed naszym przyjazdem w podmiejskiej dzielnicy Mi-mico - blisko Royal York i Evans.

Stryj był z niego bardzo dumny. Nas ten dom całkiem oszołomił. Ciepła woda w łazience, papier toaletowy, pomarańcze, winogrona, banany, oranżada, czekolada - no Kanada. Jedną sypialnię stryjki oddali mamie i Ewie - tato w salonie miał tapczan rozkładany w łóżko, a ja dzieliłem sypialnię na piętrze z pięcioletnim synem lokatorki, Billym. Przyjechaliśmy z

dwupokojowego mieszkania ze wspólną łazienką bez ciepłej wody. W Prudniku w jednej sypialni spało nas pięcioro: rodzice, Ewa i ja pośrodku dwóch zestawionych łóżek (worek z sianem przykrywał twarde ramy), Jarek zaś na połowym łóżku. Gdy Jarek poszedł do wojska, to ja z ciotką Józ1 Na każdym piętrze.

2 Od ang. basement - suterena. ką spałem na tym połowym łóżku. Po takim ścisku w Prudniku dom stryja w Toronto wydał się pałacem.

Na drugi dzień po przyjeździe stryj zaprowadził mnie do sklepu i kupił nowe buty. O wiele później dowiedziałem się., że sandałki, które kupił mi w Zielonej Górze Jarek, były dziewczęce. Nigdy bym ich nie włożył. Stryj zaprowadził również mnie i Ewę do podstawowej szkoły. Tatowi zaś kuzyn z Hadyńkowiec - Nykoła Hryb, załatwił pracę w Brantford Washing Machines. Mama poszła do roboty jako pomoc kuchenna w restauracji na Lakeshore. Rodzice szybko mogli sporo zaoszczędzić, bo za życie i mieszkanie stryjki nie brali od nas pieniędzy.

Jadąc do Kanady rodzice mieli dwa plany. Plan A przewidywał, że jeśli wszystko pójdzie „cacy-glacy”, to całą rodziną zostaniemy w Toronto, a jeśli im się nie powiedzie, to zarobią kilka tysięcy dolarów, zostawią mnie stryjkom, a sami z Ewą wrócą do Prudnika. Mostów za sobą nie palili. Bezpłatny urlop gwarantował ojcu spokojny powrót do pracy na kolei i etat aż do emerytury. Mieszkanie będzie to samo albo kupią za dolary nowe lub dostaną z przydziału w magistracie.

Komunizm ich nauczył, że przecież wszystko im się należy: praca, mieszkanie, szkoła, wczasy, darmowy lekarz i dentysta.

Po miesiącu czy dwóch matka zdecydowała jak Gliwowa, że w Kanadzie nie zostanie, i w sekrecie przed stryjkami plan B wszedł w życie. Ojciec bardzo niechętnie zgodził się na powrót matki do Polski. Pamiętam, jak jadąc w sobotę tramwajem do centrum miasta spokojnie tłumaczył jej swój

punkt widzenia. Rodzice tylko w tramwaju mogli swobodnie porozmawiać, bez obecności stryjków. Mnie brali za przewodnika i tłumacza.

- Popatrz. Ja za tydzień pracy mam pięćdziesiąt dolarów, ty - dwadzieścia, razem siedemdziesiąt. To jest siedem tysięcy złotych, a na siedem tysięcy złotych ja muszę pracować pół roku - przekonywał ojciec.

- Ale tu za mieszkanie trza płacić siedemdziesiąt dolarów miesięcznie, a w Polsce tyle co za darmo - odpowiadała matka.

- Tu za godzinę pracy kupię sobie kilo masła, a w Polsce muszę na to trzy dni pracować i nie zawsze jest. Nie kupisz dzieciom pomarańczy ani bananów, a cytryny dostaniesz tylko, jak rzucą...

- Nie chcę się dalej męczyć w Kanadzie. Tu głowa mnie wciąż boli...

- W Polsce też cię bolała...

- Ale mniej. Nie tak...

Jako niemy świadek słuchałem tych rozmów. Nikt się ze mną nie liczył. Nie pytał o zdanie. Byłem dzieckiem - nie do mnie należała decyzja. Byłem rozbity. Nie umiałem się w tym świecie znaleźć. Wszystko było inne. W Polsce tato był stanowczy, władczy, pewny siebie. Decydował o wszystkim. Tu stał się zagubiony, zahukany, zmęczony i zgaszony. Mama rządząca w Polsce domem i gospodarstwem, ale zawsze posłuszna woli ojca - teraz zrobiła się uparła i harda. Całkiem głucha na jego argumenty. Żaden jej nie przekonywał. W końcu tato ustąpił i pojechaliśmy do biura podróży Leona Garczyńskiego przy Queen and Bathurst, w samym sercu pierwszej polskiej dzielnicy w Toronto. Ojciec jeszcze przez drogę próbował mamie wybić z głowy powrót do Polski, ale mama zacięła się jak dziadek Nawrocki i nie chciała o niczym słyszeć - ona wraca z Ewą jak najszybciej, ja po roku szkolnym, a tato, jak zarobi pięć tysięcy dolarów.

Do Kanady przyjechaliśmy w 1961 roku ostatnim rejsem „Batorego” i następny był dopiero 5 maja. Mama nie mogła wcześniej wrócić. Z bólem się z

tym pogodziła i liczyła dni, by jak bocian zlecieć na wiosnę pod ojczystą strzechę. Pan Leon Garczyński, stary Kolumbus, który przyjechał do Kanady w 1928 roku, zdziwił się, gdy my tuż przed Bożym Narodzeniem zjawiliśmy się u niego w biurze. Znał wszystkie kłopoty ze sprowadzeniem nas z Polski od stryja, który u niego kupił „szyfkartę” na naszego „bołta”¹. Rodzice słowem nie wspomnieli stryjkom o swych planach. Kilka dni później Garczyński zadzwonił, by powiadomić rodziców, że trzeba dla mnie wyrobić paszport konsularny (bo byłem na mamy paszporcie i jak wyjedzie, zostanę bez dowodu). Pech chciał, że stryj był w domu i jak zwykle odebrał telefon. Nie zdradził się w rozmowie, że o niczym nie wie, i obiecał Garczyńskiemu powiadomić o wszystkim brata.

Przyszła sobota. Dzień, w którym zawsze byliśmy razem. Stryj milczał łypiąc od czasu do czasu na nas swym wybałuszonym okiem. Na wstępie wypił butelkę piwa i golnął kilka „szatów” canadian dub2 jeden za drugim. Stryjan-ka lwa, która zwykle kłóciła się ze stryjkiem, gdy za dużo pił, tym razem w milczeniu robiła porządki.

Siedliśmy do śniadania. Stryj raz jeszcze wszedł do kuchni i strzelił jednego „szata” nad zlewem. Potem wrócił i spokojnie zaczął: - Czy wy myślicie, że ja jestem durny i możecie mnie okłamywać? Wy jeszcze do domu nie wrócili, jak Garczyński już do mnie zadzwonił. Ja długo czekał, że może któreś z was odezwie się i powie. Wy myślicie, że ja i lwa nic nie wiemy?!

Stryjanka przezornie zeszła do „bejsmentu” prac. Ewa patrzyła na sobotnie kreskówki, a my siedzieliśmy przy stole. Śniadanie utknęło mi w gardle: jajko na boczku z tostem, które zrobiła stryjanka.

Tato siedział ze spuszczonejmi oczami. Matka hardo wytrzymywała wściekły wzrok stryja.

- Co ty Wicko, myślisz, że możesz mnie uderzyć wyżej niż w czubek głowy?! Czy ty myślisz, że ja jestem durniejszy od ciebie?! - stryj podniósł

głos.

1 Od ang. boat - statek.

2 Od ang. shot ~ „setka” whisky.

- My ci za podróż zwrócimy - rzuciła twardo matka.

- Tu nie chodzi o zwrot, ale robienie ze mnie durnia! Ja was sprowadził, a wy mi za plecami takie figle robicie?! Ja do Kanady po to wyjechał, by ty Wicko w domu był gospodarz, a ty mi się tak wyplącasz? - stryj już nie krzyczał, a ryczał.

- Thats enough! - przecięła stryjanka, która wróciła z „bejsmentu”.

Coś tam między sobą poszwargotali po angielsku, jak mama mówiła złośliwie, i stryj wyszedł do garażu coś robić.

Kłótnie czy ściślej wrzaski stryja nasilały się. Zwykle stryj zwracał się do mamy wiedząc, że ona jest głównym motorem powrotu do kraju.

- Mógłbym zrozumieć, że chcesz wrócić do Hadyńkowiec! Ale do Prudnika? Co cię ciągnie do tych poniemieckich murów?!

(Stryj przedrzeźniał mowę mamy twierdząc, że jest przesiąknięta śląskim akcentem: „Ona mówi, że pieszo by szwa gdyby nie morze, albo w lejku by się utopiwa. Wlazwa by do wody, dupę umoczywa i zaraz wyszwa!”). Stryj, jak większość Halicjan, zamiast polskiego „eł” miał miękkie „el” i to polskie „eł” odbierał jak „wu”).

W kłótniach stryja padały obelgi, których nie rozumiałem. Ich źródło tkwiło w Hadyńkowcach, z których razem pochodzili. Stryj nazywał dziadka Martyna swynopas, a mama odwdzięczała mu się za to Łysym Fedką.

- Dlaczego stryjek mówi na dziadka swynopas! - pytałem.

Mama zbywała mnie. Nie przyznała się, że dziadek Martyn był biedny, bez ziemi.

To by mi zresztą nic nie mówiło, bo po wojnie ziemia była bez wartości. Rodzice przecież mogli wziąć gospodarkę, a nie wzięli. Woleli żyć w

Prudniku. Nie rozumiałem tego przedwojennego głodu ziemi.

Nie mogłem się połapać w tych hadyńkowieckich porachunkach. Dla mnie dziadek Martyn z opowiadań mamy i taty był wzorowym gospodarzem, a tu nagle taka obelga.

Te docinki stryja bardzo mnie bolały. Nigdy nie słyszałem, by o ojcu, powszechnie szanowanym dyżurnym ruchu w Prudniku, ktoś coś złego powiedział. Ani o matce. Była wzorową gospodynią. W domu zawsze miała czysto, bielizna i pościel wyprana, wyprasowana i wymaglowana, jedzenie ugotowane na czas. Oprócz prowadzenia domu mama trzymała kozę, dwie świnię, kury, kaczki, gęsi, indyki, miała ogród warzywny pod domem, sad na działce kolejowej, za stacją pole na zboże i ziemniaki. Nigdy nie chodziła po chałupach na plotki. Sąsiadki czasem przychodziły do niej, ale mama nigdy. Nie przerywała wtedy pracy. W tym czasie obierała kartofle, świniom szykowała jeść lub prasowała. A tu stryj wyśmiewa mamę i obraża jej ojca? Mój świat wirował jak zwariowana hulaj-baba.

‘Już dosyć!

T) T Stan mego ducha najlepiej oddaje dzienniczek, w którym zanotowałem w czwartek 8 marca 1962 roku: „Dnie mijają za dniem, termin odjazdu mamy daleki jeszcze, ale nieubłagany. Nie mogę sobie wyobrazić odjazdu mamy. Gdzie będę mieszkać? Co będę robić? Nie wiem, czy ze stryjem i stryjanką się zostanę, czy będę z tatą mieszkał”.

Co sobotę rodzice przed południem jeździli do miasta na zakupy w związku z wyjazdem mamy. Wciąż jeździłem z nimi jako tłumacz. Na Queenie, w dawnej polskoukraińskiej dzielnicy, było wszystko. Biuro Garczyńskiego, apteka Rothbartsa, sklep wysyłkowy Firczuka, „Związkowiec”, sklepy z materiałami, odzieżą i sprzętem domowym. Rodzice kupili szatkownicę do kapusty, ręczne maszynki do mielenia mięsa lub tarcia bułki, młynki do kawy, pieprzu i ziela angielskiego.

Na Augusta powyżej Dundas West był żydowski market. Tu już rodzice obywali się bez tłumacza. Wszyscy sklepikarze mówili po polsku.

Tato postanowił mamie kupić futro z karakułów. Jadąc do Kanady zostawiła swoje czarne cielaki przyszłej synowej Hani. Rodzice nie chcieli, by stryjki o tym wiedzieli. Stryjanką bowiem po trzydziestu latach w Kanadzie wciąż futra się nie dorobiła. Rodzice zaplanowali pojechać na Queen i u Żyda w sklepie z futrami kupić mamie karakuły, zapakować i dopiero w Polsce otworzyć. Konspiracja była pełna. W obawie, bym się nie wygadał, pojechali do miasta sami.

- Jedziemy pooglądać parę rzeczy i wrócimy - zapewniali.

Przyjechali przed wieczorem z kilkoma małymi paczkami. Obydwoje nadzwyczaj zadowoleni. Tato uśmiechał się. Srebrne koronki błyszczały, a mama, zwykle od przyjazdu do Kanady zgaszona - tym razem była żywa i radosna.

- Cóżście tam kupili? - spytał przyjaźnie stryj.

- Takie ta małe rzeczy. Kapy na łóżka, sweterki, a nawet szatkownicę. Siedem dolarów, austriacka, będzie czym szatkować - mama rozpakowała i pokazała - Nie trza będzie pożyczać od sąsiadów...

Rozmowa zesłała na dawne szatkownicę w Hadyńkowcach i trwała do późnego wieczora.

O karakułach ni słowa.

We wtorek czy środę stryjek obojętnie spytał mamy, jak to było na Quee-nie.

- Czy wstąpili do tego Żyda z futrami, co ma shop przy sklepie z szatkow-nicami?

- Nie. My sobie popatrzali na futra na wystawie, ale do sklepu nie weszli, bo po co? - odparła ostrożnie mama. Stryj łypnął oczami i nic nie rzekł.

Przyszła sobota. Znów siedliśmy razem do stołu. I scena się

powtórzyła. Stryj strzelił w kuchni kilka „szatów” a stryjanką zniknęła, „bejsmencie”. Tato z mamą wymienili ze sobą spojrzenia. Dostrzegłem w ich oczach lęk. W końcu stryj wszedł do jadalni i zaczął: - Ja pytam Olgi, czy była w sklepie z futrami? Nie. Tylko z szatkownica-mi. Z futrami nie bywa, tylko patrzywa! - przedrzeźnił mamą. - Ona nie wie, że jeszcze do domu nie wróciwa, a już Żyd do mnie zadzwonił! Co wy myślicie?! Ja wielką depresją1 przeżył, Kanadę i Amerykę przejechał i we własnym domu dam się oszukać?! Wyżej niż czubek głowy nie uderzysz mnie! Do końca miesiąca wyprowadzajcie się! Jak macie na futro i na podróż - to i na rent1 macie!

- Dobrze, Znajdę mieszkanie i wyprowadzimy się - odparł ojciec stanowczo.

Pojechaliśmy na Queen po to nieszczęsne futro. Rodzice dali wcześniej zadatek i tej soboty planowali je odebrać. Kuśnierz miał zrobić drobne poprawki i wyszyć inicjały właścicielki. I tu wyjaśniła się tajemnica wiedzy stryja. Właściciel zapisał sobie na rachunku imię ojca - Wincenty, ale zapomniał imienia mamy i zadzwonił na podany numer, by zdobyć informację. Stryj jak zawsze odebrał telefon i znów odkrył machinację brata i bratowej za swymi plecami.

W tramwaju ojciec powiedział do matki, że znalazł mieszkanie w polskiej dzielnicy na Roncesvalles.

- Dość mam tych wrzasków i chcę się wyprowadzić...

- On, jak wytrzeźwieje, to się uspokoi. Po co na kilka miesięcy wyprowadzać się?

Do pracy bym miała daleko i dwa bilety w jedną stronę trza by było płacić...

Miała rację. Do następnego wybuchu stryj nie wspomniał o przeprowadzce.

Mój dzienniczek z 11 marca 1962 roku tak ilustruje tamtą atmosferą:

„Dziś rano jak wstałem z łóżka, nic złego się nie spodziewałem. Wszystko było w porządku.

Zjadłem śniadanie i poszedłem do kościoła angielskiego. Przyszła do nas pani Rybaczkowa i zaczęła z mamą rozmawiać. Stryjko poszedł spać. Przyszli do nas później inni goście i dalej toczyła się rozmowa o wyjeździe mamy i Ewy. Stryjko wstał i słuchał wszystko bez komentarza. A później powiedział, żeby się na 15 marca wyprowadzić. Goście się porozchodzili, a mama, tato i stryjanka zaczęli uradzać. Stryjko pojechał odwiedzić panią Rybaczek.

Stryjanka zgadzała się, żeby ja został z nimi, a rodzice pojechali do Polski.

Gdy poszedłem spać, jeszcze stryjko nie wrócił. Dalej nie wiem, co ze mną będzie. Czy zostanę ze stryjkiem i stryjanką, czy pojedę do Polski. Nie wiem, czy mama, tato i Ewa wyprowadzą się, ale myślę, że wszystko będzie dobrze.

Zobaczę, co stryjko powie, gdy wróci z pracy”.

Na drugi dzień w szkole dopisałem: „Stryjko, jak przyszedł z pracy, nic nie mówił - wszystko było w porządku”. Dziś nie mogę pojąć tego optymizmu i 1 Wielki kryzys lat trzydziestych.

2 Czysz., pewności siebie. Świat się wali, nie wiem, czy zostaną w Kanadzie, a jeśli zostaną, to nie wiem z kim, a ja piszę „ale myślę, że wszystko będzie dobrze”.

Brat, gdy w 1983 roku przyjechał do Kanady, to powiedział, że ja jestem hurra optymistą. Irena mówi, że gdy coś planuję, to nigdy nie biorę pod uwagę, że może mi się nie udać. Kiedy mamy otrzymać dziewięćset dolarów, to mówię, że mam tysiąc, a ona, że osiemset. Jestem realistą i z góry nie martwis się. Kiedy coś złego nagle wyskoczy, wtedy naprawiam i modyfikuję swój plan. Bo jeśli nic nie wyskoczy, to po co z góry martwić się?

Tato wychodził z założenia, że nic mu się nie uda. Ja uważałem, że wszyst ko się uda. Trzeba tylko chcieć, być cierpliwym i czekać na odpowiedni mo ment. Stryj miał takie fajne powiedzonko: „Nie martw się Olga. Wszystko i tal wyjdzie na kozaka!”

Co prawda zajęło nam aż dwadzieścia pięć lat, żeby „wszystko wyszło n kozaka”, ale wyszło.

Wtedy, w poniedziałek 2 kwietnia 1962 roku, mój zwykły optymizm by przygaszony.

Nie miałem pojęcia, jak to wszystko „wyjdzie na kozaka” i kie dy. W dzienniczku napisałem: „Dzisiaj jestem trochę chory. Wczoraj rzyga łem. Teraz już wiem, że się ze stryjkami nie zostanę. Stryjko wczoraj otwarci powiedział, że mnie nie chce. Nie wiem, czy do Polski pojedę, bo w Kanadzi nie mam ochoty być”.

Ta zwięzła notatka nie oddaje całego dramatu i trudnego okresu w życi naszym i stryjów. Nie chcę nigdzie szukać winnych, chcę tylko dojść prawd? która nawet dziś boli.

Wieczór Prima Aprilis 1962 roku pamiętam jak dziś. W salonie na kanapi siedzi mama z tatem, a naprzeciw w fotelach stryjanka ze stryjem. Ewa śpi1 sypialni obok. Jest około dziewiątej. W piżamie i z pierzyną na kolanach przerażeniem słucham rozmowy, która mnie dotyczy. Mówią tak, jakb mnie nie było. Atmosfera jest napięta. Stryjanka i tato bladzi milczą. WałŁ toczy się między matką a stryjem. Stryj normalnym, zdecydowanym głosei dąży do wyjaśnienia spraw, które od kilku miesięcy wzbierają jak wrzoi Resztką sił hamuje się od krzyku. Widać, że nie chce tej rozmowy skończ) wrzaskiem. Mama ma cichy, spokojny głos, ale bliska jest płaczu. Twarci mówi, że wraca z Ewą do Polski, a mnie im zostawia - przecież stryj chci mnie adoptować.

- Chciałem, ale teraz za późno - stryj odpowiada równie twardo.

- Dlaczego?

- Jakby on przyjechał dwa lata temu, to by już umiał po angielsku. A tak na co mi on?

Stryj przygotował się z tą odpowiedzią i wytrącił mamie argumenty. Na odezwanie się stryja racje mamy się skończyły. Bardzo spokojnym głose jakby zza grobu oświadczyła: - W takim razie pójdzie mieszkać z Wiekiem, a jak się szkoła w czerwcu skończy, to sprowadzę go do Polski...

Wziąłem swoją pierzynę i poszedłem na górę. Billy, synek lokatorki, już spał w swoim łóżeczku. Nie świeciłem lampy. Nie chciało mi się czytać. W żołądku poczułem mdłości. Poszedłem cicho do łazienki i zwymiotowałem. Głowa paliła mnie. Byłem w szoku.

Nikt mnie tu nie chciał.

- Po ich odpłynięciu „Batorym” wróciłem znów na strażnicę Rokita i zdałem pisemny służbowy raport z podróży. Zeznałem w nim, zgodnie z prawdą, że moja rodzina wyjechała na stałe do Kanady. Nie będę przecież tego ukrywał. Głupota. I tak dojdą - opowiada Major. - No i za jakiś czas wezwał mnie dowódca brygady i oświadczył, że zwalnia się miejsce zastępcy dowódcy kompanii w Krośnie i że mogę tam przejść.

To było niezwykle, żeby młodego oficera zdjęli z Rokity. Nikt tam nie chciał iść. Każdy marzył, by stamtąd się wyrwać. Dla mnie to było jasne, że chcą mnie odsunąć od granicy po wyjeździe rodziców i to jest pretekst. Dalsza moja służba to potwierdziła. Zawsze po szkole awans na porucznika dają po czterech latach.

Mnie dali po siedmiu. I tak dziwię się, że w ogóle dali. Po moim wariackim wystąpieniu z partii - zaśmiał się.

- Kiedy to było?

- W 1965 roku. Wiadomo, że z partii sienie występuje. Ona mogła wyrzucić, ale nikt jej nie rzucał. Szczególnie w wojsku. Chyba że wariat.

Zaskoczenie więc było pełne, gdy na jednym zebraniu wkurzyłem się i oświadczyłem, że składam legitymację partyjną.

Gdy o tym mówił, przypomniał mi się jego przodek Fiodor Ławrow. Czyn Majora w PRL był równie szalony, co skok Fiodora na koniu przez skutny lodem Zbrucz...

- Trzeciego maja 1962 roku wieczorem - snuje dalej swe wspomnienia Leszek - mama z Ewą wyjechały pociągiem do Montrealu. Ani stryjek, ani stryjanka nie pojechali na stację. Zawiózł nas wszystkich i odwiózł mnie i tata do nowego mieszkania Pawłyk Chomyszyn, kuzyn mieszkający blisko stryja na Royal York. Z płaczem żegnaliśmy się na Union Station.

Kanada szczęścia nam nie dała. Nic tylko krzyki, płacz i niepewność jutra.

Właścicielem domu, w którym wynajęliśmy mieszkanie, był Białorusin, którego żona niedawno przybyła z Polski. Spaliśmy z tatą na jednym podwójnym łóżku. Kuchnia i łazienka były wspólne z gospodarzami.

Tato pracował dalej w Brantford Washing Machines - ja kończyłem rok. Nie uczyłem się angielskiego, bo po co, skoro za miesiąc czy dwa miałem wrócić do Polski.

Ważniejsze dla mnie było nie zapomnieć po polsku. W tym celu zacząłem znów czytać Przedwiośnie i Potop. Z szóstej klasy nie zdałem i gdybym został w Kanadzie, musiałbym iść do szóstej klasy trzeci raz. W Polsce byłem już prawie miesiąc w siódmej. Tu dali mnie o klasę niżej i zostałem. Nie przejmowałem się tym. Po co mi kanadyjska szkoła? Szykowałem się jechać do Polski. Bibliotekę podręczną, którą przy wiozłem do Kanady, spakowałem do paczki, aby wysłać osobno. Nie mogłem wszystkiego taskać sam. Do walizki włożyłem plastikowe rewolwery, łuki indiańskie (madę in Taiwari), szkatułki, dolary, pierwszy zeszyt szkolny w Kanadzie i mój dzienniczek. Paszport konsularny był już wyrobiony...

Czekałem tylko na list od mamy, kiedy mam się zebrać z Kanadą, stryjami, tatem i wracać do Polski.

Tato pracował, a ja chodziłem do katolickiej szkoły letniej. Nudziłem się bardzo. Nie było co czytać, z kim się bawić, czułem się osamotniony i niepotrzebny. Czekaliśmy na pozwolenie z polskiego Ministerstwa Skarbu, aby opłacić „Batorego” w złotówkach. Bilet kupiony za złotówki w Polsce kosztował, po przeliczeniu na czarnym rynku 100 dolarów, a tu Garczyński brał 500. Różnica więc wielka, a ja do września i tak miałem czas.

W piątek 6 lipca odnotowałem w dzienniczku: „Mama już napisała dwa listy. Ja nadal mieszkam u Mary, do stryjanki chodzę prawie co dnia. Już są wakacje, chodzę do summer school¹. Niedługo mam jechać do Polski. Jeszcze nie wiem, czy pojedę. Teraz piszę notatki o moim przodku Ławrowie. Przed wyjazdem do Polski myślę jechać do Ameryki. Nie wiem, czy stryjek zechce. Już minęło dwa miesiące od wyjazdu mamy”.

8 lipca 1962 roku czerwonym długopisem napisałem: „Cały ten czas myślę tylko o wyjeździe do Polski - myślę, że to będzie bardzo ładnie”.

Dwa tygodnie potem przyszedł list od mamy, który poraził mnie jak niespodziewany cios w głowę. Mama w nim pisze: „Po co dziecko ciągnąć przez wodę? Tu nie jest tak, jak ja myślała. Nie można dziecku robić krzywdy. Nie widzę tu dla niego przyszłości. Pozwolenie opłacić złotówkami otrzymałam, ale myślę, że lepiej się wstrzymać i zobaczyć jak to wyjdzie”.

Nie wiedziałem, dlaczego mama napisała, aby mnie nie sprowadzać do Polski. Przez długi czas uważałem, że robi mi krzywdę nie pozwalając wrócić do Prudnika, do siebie, Ewy, Jarka, Zygmunta Rasiewicza, belek, łąki, pól, ogrodów i mojej wierzby z gniazdem na czubku. Nie rozumiałem też, dlaczego tato tak szybko, bez wyjaśnień, zapytań, od razu powiedział: - Do Polski nie pojedziesz.

Wpis w dzienniczku z soboty 21 lipca 1962 roku wskazuje na mój stan

du1 Letnia szkoła.

cha. Ołówkiem krzywo w dół napisane jest tylko kilka słów: „Ja do Polski już nie pojedę.”.

Siedzimy z Olgą Wawrow na Indian Grove. Próbują poznać jej prawdę. Jak wyglądał ten powrót z Ewą do Polski.

- Pojechałam, bo chciałam, proszę pana. Miałam dość. Z bratem męża nie dało się żyć. On przede wszystkim był pijak, od tego się zaczyna. My o tym z Wiekim w Polsce nie wiedzieli. A z pijakiem życie, pan wie. Nie życie. Coraz bardziej nie układało się. Ja w takim wielkim mieście jak Toronto nigdy nie mieszkała i ten huk, harmider męczył mnie. Pracy ja się nie bała, ale mimo tych dolarów, które my z Wiekim zarabiali, życie w Polsce wydało się lepsze. Wiele rzeczy u nas w Prudniku mi się bardziej podobało. Przyznaję. Pomyliła się. Kanady dobrze nie znała. Gdyby my nie do Karola z Wiekim przyjechali, a zamieszkali sobie sami, pewnie by tego zamieszania z moim powrotem nie było. Ja by łatwiej ten pierwszy okres zniosła. Wiadomo. Dla każdego emigranta najcięższy.

A tak w Karola domu mój Wicko był nie mój. Ulegał Karolowi, no bo starszy brat - to trza go słuchać. A że brat krzyczy, awanturuje się, mnie obraża, to go nie obchodziło. - Ta przesadzasz. Za wiele chcesz - łagodził. Bał się Karolowi stawiać. A jak ja mu się stawiała, to Wicko kręcił, nie bardzo mnie bronił i najchętniej by uciekł w szachy grać. Mnie się to całkiem nie podobało. Ja była jego żona. Miała o to do męża żal, że on nie taki jak w Prudniku. Bratu ulega.

Pan wie, jak to jest. Mieszkać z kimś. Człowiek nie u siebie. Wciąż w gościach.

A jak długo można być w gościach? Sprzykrzy się. To chciała do domu. W Polsce był syn Jarek, rodzina, pełno znajomych. A tu ja musiała na palcach tańczyć jak mamcia koło dziadka Pańki. Ale dziadko Pań-ko przynajmniej nie

pił i nie awanturował się jak Karol.

- Karol chciał jak najlepiej. Zaprosił całą rodzinę...

- Pan wie. Czasem ktoś chce najlepiej, a wyjdzie najgorzej. Ja by była niesprawiedliwa, gdyby coś na brata Wicka i bratową powiedziała.

Szczególnie Ewa, Karol ją wołał lwa, dobra kobieta była. Ona sama dzieci nie mogła mieć.

Karol o tym wiedział i się z nią ożenił. I lwa go za to bardzo kochała. Mimo że on ciężki był. Bardzo ciężki. Jak wypił, to hałaburdnik straszny, proszę pana.

Niestety.

- Nie jak Wicko...

- Ta gdzie! Gdyby ja Karolowi powiedziała: - Mundur na kupkę i spać! - to by dopiero mną potelepał! Jak Bazyłykut swoją Helenką. A kiedy go we młynie banderowcy zamordowali, to Helenka po nim tak strasznie rozpaczała. Widzi pan. W małżeństwie różnie jest... I nie trza w te zagadki wchodzić. Nawet w bliskiej rodzinie. Dlatego ja miała tego życia dość i z Ewą wyjechała. W porcie w Montrealu, gdy nadawała bagaż na statek, bagażowy spytał mnie: - Pani z córką wraca?

- Tak. A mąż zostaje z synem w Kanadzie i dojedzie...

- Oj, źle pani robi. W Kanadzie lepiej. Nie jest jeszcze za późno. Niech pani bierze bagaż i wraca do Toronto...

- Nie. Ja Toronta mam dość - odparła mu, a w duchu pomyślała: - Niech ta zginę, a do Kanady nie wrócę...

Pokazałam paszport. Strażnik przybił stempelek i przypieczętował mój los. Cofnąć się nie było jak. Wolno weszłam z Ewą po mostku na pokład. Drzwi za Kanadą zatrzasnęły się. Tu była Polska.

- Witamy na „Batorym” - rozległo się w megafonie i orkiestra zaczęła grać...

Wiedziała, że te parę kroków, które z Ewą zrobiła, oddzieliły mnie od mego Wicka i Lesia o cały ocean. A może więcej. Nie wiadomo ta, kiedy znów się zobaczymy.

Ale stało się. Przeszła przez ten mostek. Wiz albo perewiz - jak mówił Wicko.

Ja sama tego chciała.

„Batory” zatrąbił, proszę pana, i wolno odbił od brzegu. Popłynęliśmy rzeką Świętego Wawrzyńca w stronę oceanu. Zmęczona długą podróżą pociągami, nerwami i hałasem, kołysana w kajucie zasnęła szybko. Tej pierwszej nocy śnił mi się Wicko i Leszek, że stoją obok mnie tuż, tuż. Lesio skrzywił się i zaczął płakać. Wicko zmarszczył brwi i krzyknął: - Wróc się! - Ja idę! - odkręciła się plecami do statku jak kiedyś na tej kładce od Stacha Kulczyckiego i schodzę z mostku na ziemię. Wicko trzyma na rękach Ewę. Śmieje się: - Co ty maku se najiła! Nie szalej. Bądź mądra. Robak w chrzanie siedzi i marchwi nie zna, to chrzan mu słodki! A ty marchwi miała dość. I cytrusów! - naciął banana Ewuni tym swym trofejnym nożem z wojny. Rączką noża uderzył w barierkę, aż zadzwoniło.

Obudziłam się. Otwieram oczy i widzę, że ja jestem w kabynie „Batorego”. Obok mnie śpi Ewunia.

- Niech ta zginę, a do Kanady nie wrócę - powtórzyłam.

Po jedenastu dniach, 15 maja, w Zofii przyплыnęliśmy do Gdyni. Był mglisty, chłodny ranek. Śniadanie dali nam wcześniej na statku i zeszliśmy na ląd. W porcie czekał na nas Jarek, który przyjechał sam, bez żony. Hanię zostawił w Katowicach u jej wuja. Jarek z Hanią, jak mój tato Martyn z mamcią, wzięli ślub w Krośnie Odrzańskim, gdy my z Wiekiem byli w Kanadzie. Nikt mu żony nie wybierał. Sam sobie wybrał...

- A pani też nie Pańko Nawrocki, pani Olgo. Nie miałyby pani go z czego wydziedziczyć po tym powrocie z Kanady. Najwyżej z kozy i tego

skrawka kolejarskiej działki - zaśmiałem się.

- Kozy Baški już nie było, proszę pana. I czemu by miała \”
ydziedziczyć? Wybrał wedle serca. To fajno. Gdyby my go wydali jak
dziadko Pańko Krycia, to by płakał i uciekł, a tak miał ładną żonę... i - I
pilnował jej na strażnicy...

- Ja. Tamte czasy były za nami wraz z morgami, proszę, pana. Z portu
w Gdyni my z Jarkiem przejechali na dworzec kolejowy. Widzę, że Jarko całą
noc jechał do Gdyni pociągiem, późny ranek, a on nic nie jadł. Głodny jest.

- Idź do bufetu, kup kilka bułek, sera, szynki, zrobię ci kanapki -
mówię. Wraca z żółtym serem.

- Nie ma bułek, a o szynce mama zapomni - odparł.

Ale widzę, że ludzie wchodzą do poczekalni ze świeżym chlebem,
więc gdzieś przy dworcu piekarnia musi być. I znów go posłała. Za chwilę
przyniósł ćwiartkę świeżutkiego, pachnącego chleba, para jeszcze z niego
szła. Kupił w bufecie herbaty, wzięłam ten ser i zrobiłam mu kanapek. Jarko
je te kanapki, je, proszę pana, a ja się tak patrzę dookoła, patrzę i widzę, że ci
ludzie takie wybiedzone, nędznie ubrane, smutne. Za cały pobyt w Kanadzie
ja nie widziała żadnego żołnierza, a tu co trzeci w mundurze. Jak nie w
czarnym, to w zielonym.

Z moim synem na czele. Nic tylko albo on, albo jemu ktoś salutuje.
Jakby w koszarach był. To samo na Ukrainie. Jeszcze gorzej. „My w
mundurach walczyliśmy o pokój, a oni w sweterkach chcą wojny”. Tu się
przecież tak wciąż wojną straszycie, prawda? To z czego niby te ludzie miały
się cieszyć? Nie było z czego. Ale co ta! - pomyślała. - Ludzie tu żyją, to i ja
będę.

W Katowicach Hania czekała na nas u swego wujka. Na obiad podali
chleb z dżemem i herbatę. Myślę, trza kupić kawałek mięsa i wędliny, żeby
mieć co zgotować, gdy przyjedziemy do Prudnika. Wyciągam pieniądze i

mówię do Jarka, żeby poszedł do sklepu, kupił mięsa i wędliny...

- To mama zapomniała? Dziś bezmięsny poniedziałek. Wszystkie mięsne zamknięte.

- A ryba jest?

- Jest. Po drodze na dworzec kupimy...

Idziemy na dworzec, Jarek stanął przed kioskiem z gazetami i kupił „Trybunę Ludu”. Co on w tym wojsku taki gorliwy komunista stał się? - pomyślała. Jarko widzi, że ja się na niego dziwnie patrzę i mówi: - A w co rybę zawinę? Jak nie w organ centralny?! - zaśmiał się.

Ja całkiem zapomniała, że to nie żydowski market na Kensingtonie, gdzie rybę ci wyczyszczą, łuskę fajnie końskim zgrzebłem zeszkrobią, zawiną w papier, dadzą do plastikowej torby, tę plastikową torbę włożą jeszcze do większej shop-ping bag¹ i na koniec z uśmiechem pozdrowią: - Pani ze smakiem jedz te rybki i przychodź po następne. Niech mąż i dzieckaperfect się na niej chowają.

Do dobrego człowiek szybko się przyzwyczaja. Ja była już niezadowolona z tej Polski. Ale wciąż myślała: - Niech ta zginę a do Kanady nie wrócę.

Wieczorem my przyjechali do Prudnika na Matejki 23. Kuzynka Wanda 1 Torba na zakupy.

Rasiewicz przygotowała fajną kolację i za cały dzień mieliśmy wreszcie coś konkretnego...

Nazajutrz, myślę, pójdę do sklepu, zrobię zakupy. Weszłam do mięsnego, kolejki nie ma, ucieszyłam się, fajno.

- Poproszę wołowe na roladę - mówię.

- Na roladę?! Coś pani?! Żadnego mięsa nie ma! - zaśmiała się ta za ladą. - Pani przyjdzie jutro. Może coś rzucą!

W głowie mi się zakręciło. Ale znów powtarzam swój okrzyk. I

pocieszam się.

Kupiłam kielbasy, sera, chleba, soli, cukru, herbaty i idę do domu. Zapo-mnęła o warzywach. Więc mówię do Ewy: - Idź, kup mi główkę kapusty, zrobię kapuśniak... Za chwilę Ewa wraca i mówi: - Kapusty nie ma.

- Jak to nie ma?

- Gdy o nią spytałam, to pani w sklepie puknęła się w czoło: - Dziecko, co tobie jest?! Gdzie ty w maju znajdziesz kapustę?!

Ja całkiem zapomnęła, że warzywa u nas tylko w sezonie i kapustę, pomidory można kupić dopiero na jesieni.

Sytuacja z mieszkaniem zaczęła się komplikować. Kuzyni Wicka też do dobrego się przyzwyczaili i z wielką niechęcią oddali nam z powrotem jeden przejściowy pokój z kuchnią. W drugim wciąż mieszkali i robili wszystko, żeby nas z niego wyrzucić. Całkiem już zapomnęli, że my przed siedemnastu laty do tego domu na parter ich wprowadzili. Dla nas wtedy po wojnie pięć pokoi w jednorodzinny domu było za dużo. A teraz oni cały dom chcieli. W naszej byłej sypialni spał Leon Rasiewicz z synem Zygmuntem i z hałasem przechodzili przez nasz pokój. To nie było życie, a męka. Ja we własnym domu czuła się jak u Karola i lwy. Znów z wizytą i w gościach, proszę pana. Oni byli chaziaji...

Na szczęście Mańka Gnach, która miała swoje mieszkanie w Prudniku niedaleko głównego rynku, przebywała z córką Lonką w Zgorzelcu albo z drugą córką, Bronką, we Wrocławiu. Widząc moją sytuację powiedziała: - U mnie jest puste mieszkanie, to się wprowadź. Ja bywam tu parę razy w roku, żeby podatki opłacić i na grobie matki na Wszystkich Świętych być. Co masz się z Maganami męczyć?! - Ona na kuzynów Rasiewiczów wołała „Ma-gany”.

- Co to znaczy?

- Tyle, co chytre...

Jej córka Lonka, Leontyna Gnach-Wachowicz, była projektantką mody

w państwowej firmie w Zgorzelcu. Ja ją bardzo lubiła. Ona mi dużo pomogła. Pisała podania do Warszawy, aby pozwolili mi zapłacić bilet Leszka na „Batorego” w złotówkach.

Prośbę swoją ja uzasadniała tym, że w Kanadzie mąż nie ma pieniędzy, a my tu sprzedali meble, to złotówki mamy. Szybko ta zgoda przyszła.

Lonka akurat była w Prudniku i zatrzymała się w domu swojej mamy, gdzie my teraz z Ewą mieszkamy. Pamiętam, po południu ja z Lonką siadła sobie na ławeczce na podwórku przy ulicy Wiejskiej i mówią: - Dostała zgodę na opłatę „Batorego” w złotówkach. I Leszek może już przyjeżdżać.

Lonka zamyśliła się i rzekła: - Wująnciu. Niech wująncia jeszcze troszku poczeka. Nie śpieszy się z tym kupnem biletu. Do Polski Leszek zawsze może wrócić. A z powrotem nie. Jak wuj ańcia weźmie Leszka tu do siebie, to Kanada już wam przepadnie. A kto wie? Może do Kanady wująncia jeszcze pojedzie?

Lonka całe życie żałowała, że jej dziadek Krasnowski nie sprowadził swojej żony, Wicka ciotki Anieli, z córką, zięciem i wnuczkami do Ameryki. - Gdyby my wyjechali przed wojną do Ameryki, to mój ojciec by żył. Banderowcy by go nie zabili - powtarzała ze smutkiem.

Ale widzi pan. Ciotka Aniela tęskniła za Tyklówką jak ja za Prudnikiem i wróciła.

Gdyby nie wróciła, to Władek Gnach może by żył w Stanach, ale mój Leszek w Kanadzie na pewno nie. Ja by go jednak ściągnęła mając ten bilet za złotówki. To Lonka Gnach-Wachowicz mnie przekonała. I za to ja jestem jej bardzo wdzięczna.

Że mogę tu sobie z panem w Toronto porozmawiać. Tego samego dnia siadła i zaczęła pisać ten list do Wicka, w którym napisała: „Po co dziecko ciągnąć za wodę? Tu nie jest tak, jak ja myślała. Nie można dziecku robić krzywdy... myślę, że lepiej się wstrzymać...”

Mój okrzyk, którym się tak pocieszała, zmienił się: - Niech ta zginę, a do Kanady wróć! Tylko jak? - zaczęła się zastanawiać.

Na razie nie miała czasu się martwić, bo Ewunia po szkole stała w kolejce za mięsem i chciałam ją zmienić. Niech przyjdzie coś zjeść, a ja dostoję, aż rzucą ten kawałek wołowiny na zupe.

Nazajutrz wysłałam list do Wicka. Byłam już pewna. Ma rację Lonka. Niech Lesio w tej Kanadzie sobie posiedzi. Do czego ma się spieszyć? Do kolejki za mięsem, żeby mnie z Ewunia zmienić, zawsze zdąży. To miejsce ma zarezerwowane. Nie ucieknie mu.

I nie wykupiła tego biletu za złotówki na „Batorego”, proszę pana.

- Przez cały sierpień nie było ani jednej notatki - wspomina Leszek. - Dopiero 25 września napisałem: „Ja mieszkam u stryjka. Chodzę do szóstej klasy do Mrs.

Harrison”.

Czerwonym długopisem dopisałem: „Mrs. Harrison ma czerwone włosy. Jest to bardzo ładna przyjemna osoba”.

Dziennik zawsze trzymałem w szkole, żeby stryj nie czytał. Młoda nauczycielka zauważyła, że notuję po polsku i spytała, co ja tam piszę i czy czasem nie o niej? Ale tylko swoje nazwisko Harrison zrozumiała w tym dzienniczku, więc resztę mogłem bajerować i ukryć swoją tajemnicę. Mrs. Harrison była moją ważną miłością. Dzięki Mrs. Harrison poszedłem z szóstej klasy od razu do ósmej. Ale nie czas mówić o Mrs. Harrison, bo chcę opowiedzieć, jak znalazłem się u stryja po dwóch miesiącach mieszkania z tatem.

Gdy mama zdecydowała, bym nie wyjeżdżał, tato był zagubiony. Nie wiedział, co robić. W Kanadzie zarabiał bardzo dużo w przeliczeniu na złotówki.

- Popatrz - mówił. - Ja tu zarabiam piętnaście razy więcej niż na kolei.

Jak dłużej popracuję, to za odłożone dolary mogę w Prudniku kupić dom, samochód, pralkę, telewizor, lodówkę i jeszcze mi zostanie. A pracę w Polsce zawsze znajdę, bo mi się należy do emerytury. Ty do tej pory skończysz zawodówkę i będziesz elektrykiem. To najłżejsza praca. Jak skończysz osiemnaście czy dziewiętnaście lat, to ja wrócę do Polski do Ewy i mamy, a ty zobaczysz.

Będziesz dorosły. Sam zdecydujesz...

Nie miałem jeszcze czternastu lat i ten czas do dojrzałości wydał mi się wiecznością.

Niespodziewanie stryj wyraził zgodę, by mnie wziąć na próbę z powrotem. Dostałem sypialnię po Ewie i mamie. Tato zamieszkał w polskiej dzielnicy przy Roncesvalles. Przez długi czas nie mogłem mówić o stryju bez emocji. Stryjek mnie nie lubił, a ja go nienawidziłem. Igrał z moim czternastoletnim życiem.

Wyrzucał do ojca, wrzeszczał, denerwował mnie, a ja jego doprowadzałem do pasji swoją drwiną, szyderstwem i śmiechem oraz podstępными pytaniami. Wiedziałem, że mnie nie uderzy - w Kanadzie dzieci, do tego cudzych, nie wolno bić, więc sobie używałem.

Teraz, gdy stryjanka umarła, a stryj dawno nie żyje, mogę spróbować inaczej niż w dzienniczku opisać jego życie. Brat Jarek jak usłyszał, że mam zamiar pisać o stryju Karolu, to prosił o wyrozumiałość. Łatwo mu było mówić, bo stryja prawie nie znał. Gdy przyjechał do Kanady, stryj już nie żył.

Tuż po jego śmierci, dwadzieścia pięć lat temu, stryjanka wyciągnęła jakąś skrzynkę i zaczęła wyjmować różne papiery i dokumenty. Prawa własności do domów dawno sprzedanych, testamenty wielokrotnie zmieniane i płócienny portfel z wyblakłymi napisami. Były w nim ich paszporty, na których przyjechali do Kanady.

- Czy potrzebujesz ich? - spytałem ostrożnie.

Znałem stryjanki szczodrobliwosć, wiedziałem, że jeśli jej ktoś powiedział, że podoba mu się kwiat, kryształ czy kieszonkowy zegarek - z miejsca go dawała.

Teraz też, gdy zobaczyła, że chętnie bym je dostał, dała mi z radością portfel z obydwoma dokumentami, szczęśliwa, że jej archiwum¹ też chcę wziąć, nie tylko wawrowskie, które zbieram od przyjazdu do Kanady.

¹ Mowa o archiwum jej rodziny łemkowskiej. Stryj nie lubił opowiadać o swoich przejściach. Ja jednak wciąż zamęczałem go pytaniami.

- Stryjku! Dlaczego ty wyjechałeś do Kanady?

- A co miałem robić? Na jesieni chcieli mnie brać do wojska. Dwa lata zmarnować i wracać na gospodarkę? Żenić się nie było z czym, bo ziemia podzielona. Ani ja, ani Wicek byśmy z niej nie wyżyli. Trzeba było jechać w świat. Papiery mi pomógł załatwić Sławko Pohorecki, syn mego chrzestnego, Stepana, matka sprzedała krowę i pożyczyła od ciotki Antoszki Rasiewicz 500 dolarów. Ciotka Antoszka, młodsza siostra matki, miała w Kanadzie męża. Krowa i sto złotych wystarczyło na „szyfkartę” na „bołta”...

O przybyciu do Kanady stryj mówił tak: - Siadłem na pociąg w Halifaxie i jadę „na Westy”. Jechałem z tydzień na fałszywych papierach do nieistniejącej kobiety. Do dziś pamiętam jej nazwisko.

Nazywała się Maria Kamińska i mieszkała w Winnipegu. Gdzieś w Saskatchewan przez okno wagonu usłyszałem ukraińską mowę. Złapałem walizkę i poszedłem za tym chłopem. Był z naszych stron. Z Halicji...

- Pierwsze dziesięć lat stryja w Kanadzie znam ze strzępów zdań. Miał pecha przybyć do Kanady w roku, w którym zaczęła się wielka depresja. W Europie trwała cztery lata, w Kanadzie i Ameryce dziesięć - aż do wybuchu wojny w 1939 roku.

Przez te lata stryj nie miał stałej pracy. Najmował się wszędzie: na farmy, do naprawy kolejowych dróg, wyrębu lasu. Praca była krótka.

Sezonowa. Dola stryja jako imigranta ze słabą znajomością języka była podwójnie ciężka.

- Przyszedłem do biura, gdzie hajrowali chłopów - mówił. - Spytali o nazwisko.

Jak im powiedział Wawrow, to kazali iść do drugiej kolejki, gdzie emigranty. Dla nas roboty nie mieli, tylko dla swoich. Dla bezrobotnych nie było zasiłku, dla biednych welfare¹, dla bezdomnych dachu nad głową. Za pracą jeździło się koleją bez biletu i na dachach towarowych wagonów wędrowa-lim z jednego krańca Kanady na drugi...

Po drodze dopadł stryja alkoholizm. Nie wiem, kiedy się zaczął. W Polsce, czy w Kanadzie, ale nie wypadało się o to pytać. Dopiero na początku wojny stryj znalazł stałą pracę w Barrymore Carpet Manufacturing - potężnej fabryce dywanów i chodników. W czasie wojny ruszyła pełną parą produkcja dla wojska - koce, wojluki, materace, koje i hamaki. Wojna zmiotła depresję jak zły sen. Zaczął się boom i koniunktura. Stryj pracował tam do wczesnej emerytury. Przerwał pracę ze względu na ciężką chorobę - raka krtani.

Czasem dawał do zrozumienia, że gdyby nie zły los, to byłby milionerem.

- Na początku wojny mogłem kupić biznes za dwieście dolarów! Pieniądze i Opieka społeczna. miałem, ale nie mogłem się zdecydować. Potem dolary rozeszły się. Krajan kupił ten sklep i dziś jest bogacz. Jeden jego syn „lojer”¹, a drugi do-chtór...

Nie mogłem zrozumieć, jak pieniądze mogły się rozejść, ale druga opowieść mi to wyjaśniła. Gdy jechaliśmy któryś już raz z rzędu do wodospadu Niagara i St Catherines, gdzie mieszkał sąsiad i krajan stryja z Hadyńkowiec Majk Lisowycz, piękną szeroką szosą, stryj wskazał na strome skarpy po obu stronach drogi żmudnie wykute w skale: - To ja tę „strekę”² budował...

- Kiedy?

- Za depresji. Tu, w Niagara-on-the-Lake, były takie work camps³. W tych obozach tysiące chłopów gnieździło się w barakach i namiotach pracując przy budowie dróg, mostów i guberniańskich budynków. My pracowali tylko za jadło i mieszkanie. Co za płacili?! Siedem dolarów na miesiąc. Co za to kupił? Dwie „batle”⁴ wódki i po pensji. Rozeszła się... - westchnął.

Silniejsi od stryja załamywali się. On nie zawsze jednak całą pensję przepijał.

W 1934 roku wysłał swojej matce i bratu pieniądze na pokrycie blachą stajni, a w 1936, gdy jego szwagier Kostiw wracał do Hadyńkowiec, przesłał memu tatowi beżowy sweter, brązowe rękawice i biały jedwabny szalik. (To w tym kanadyjskim szaliku i swetrze Wicko kawał ero-wał głośno, pomyślałem, i zrobił takie wrażenie na swojej przyszłej żonie Oldze...).

Stryj lubił się chełpić swymi zdolnościami - ciągnął Leszek.

- Zaraz na początku w „lamber kampie”⁵ przy wyrębie lasu były same Francuzi. W dwa tygodnie czytałem gazetę po francusku - pochwalił się.

- A stryj rozumiał, co czyta? - nie powstrzymałem się.

- Przestań się mądrować, ty mydłku! - Najczęściej z pogardą tak mnie nazywał.

Wiedziałem, że słabo czyta po angielsku, przeważnie nagłówki „The Satur-day Star” i telewizyjny „Guide”. Prenumerował „Związkowca”⁶, którego czasem czytał nakładając grube, rogowe okulary. Przeważnie jednak mnie zmuszał do czytania na głos, czego nie cierpiałem. Szło za powoli. Nie mogłem ‘ Od ang. lawyer - prawnik.

2 Od ang. trach - tor.

3 Obozy robotników.

4 Od ang. bottle - butelka.

5 Od ang. lumber camp - kwatery dla robotników.

6Była to jedyna ogólnokanadyjska gazeta polska założona w 1933 roku przez Alfonsa Sta-niewskiego. Odegrała ważną rolę w życiu Polaków przybyłych do Kanady. W latach sześćdziesiątych jej redaktorem był Benedykt Heydenkorn, przedwojenny dziennikarz, stały współpracownik paryskiej „Kultury”. sobie sam czytać dalej, ale musiałem stryjka słuchać. W jego domu nie było ani jednej książki. Gdy zapytałem o to stryjanki, odparła: - Karolko żadnej książki nie przeczytał, za to ja czytałam Biblię.

Moimi książkami stryj nigdy się nie zaciekał. Musiałem się nimi chwalić, bo stryj wciąż mnie karmił: - Znów się mądrujesz, ty filozof! - gdy dziwiłem się, że stryj czegoś nie wie.

Czasem w najlepsze oglądaliśmy sobie w telewizji film Captain Blood z Errolem Flynnem, Uncle Toms Cabin, czy Adventure of Tom Sawyer lub historyczny o Rzymie, Napoleonie czy Anglii i ja stryjowi mówiłem dalszy ciąg.

- Skąd wiesz? - dziwił się.

- Czytałem. To każdy wie...

- Stryj od dziecka pracował fizycznie i czytanie uważał za błahą rozrywkę.

Przeszedł przez ciężką szkołę życia. Gdy mój dziadek Teodor zmarł w 1920 roku, stryj miał jedenaście lat. Cała gospodarka spadła na niego. Musiał pomóc mającej pod sześćdziesiątkę matce w pracy i wychowaniu młodszego brata. Mówił, że do szkoły nie chodził, bo w wojnę zamknęli szkoły. Moja babcia Hanuśka, Rusinka, była chłopką. Od 1914 roku Ruś Halicką okupowali Rosjanie i nikt nie myślał o uczeniu chłopskich dzieci.

- Kiedy otworzyli już polskie szkoły - mówił stryj - miałem czternaście lat.

Tyle co ty. Byłem już podkawaler. Jak mogłem z takimi małymi dziećmi chodzić do pierwszej klasy? Wstyd. Na drugi dzień rzuciłem szkołę...

- Wiedziałem, że stryj umie pisać, bo znałem jego listy z tymi kanciastymi kulfonami. Wszystkie zdania zaczynał z małej litery, a słowa pisał fonetycznie: fszystko, muwił, czeba...

- A gdzie się stryj nauczył pisać?

- Sam się nauczyłem. Bez szkoły - odparł chętnie. - Trochę siostra Józka pokazała, a reszty sam musiałem się nauczyć. Po polsku, ukraińsku, no i po angielsku...

Nie pamiętam, by stryj rozczulał się nad swym losem. Zawsze wszystko było dobrze i musiało wyjść na kozaka. Ten optymizm mam chyba po nim.

- Miałem z dziewiętnaście lat - raz zwierzył się - byłem duży parobek i nie chciałem usłuchać matki. Stawiałem się jej. Wtedy mało co myśląc złapała za ryskał, który stał przy drzwiach, i żelazną stroną chciała rąbnąć mnie w głowę.

Gdybym nie uskoczył, byłoby po mnie! - zaśmiał się swymi białymi, wawrowskimi zębami. - Po tym zajściu nie próbowałem się jej stawiać. Aż do wyjazdu respektowałem to, co mówiła...

- Do sanacyjnej Polski - mówił dalej Leszek - stryj całe życie czuł wielką niechęć. Gdy chciał kupić ziemię, jakiś urzędnik w gminie powiedział mu: 1 Szpadel.

- Ty jesteś za mały Polak, abyśmy ci sprzedali...

Dyskryminowany był za matkę Ukrainkę Annę Hryb. Mimo że ona sama, wierna przysiędze złożonej w kościele mężowi, chowała synów dalej w wierze katolickiej i kulturze polskiej zawsze powtarzając: - Idę chłopakom zgotować rosół, by wiedzieli, że mają Wielkanoc...

Wielka depresja i urazy do sanacyjnej Polski ukształtowały światopogląd stryja.

Mimo że w 1961 roku był już dumnym właścicielem swego

trzy poziomowego domu i raczkującym kapitalistą, miał poglądy prokomunistyczne. Był to komunizm chłopski wyrobiony przez własny życiorys i ciężką pracę. Sanacyjna Polska nie dała mu szansy na dobrobyt, Kanada przez pierwszą dekadę nie hołubiła. Stryj nie lubił prezydenta Kennedy'ego.

- Ten bogaty mydłek - mówił - co nie zaznał biedy i nie rozumie robotnika.

Bresze, durny, i szczyrzy zęby w telewizorze. Chruszczow to jest przywódca! - I Sekretarz KPZR był stryja idolem. - To morowy chłop! - wołał. - Do wszystkiego własnymi rękami doszedł. Jak ja. Nikt mu nic nie dał! Sam zdobył wykształcenie, władzę i on zbawi świat! Komunizm zlikwidował bezrobocie, zmorę dwudziestego wieku. Ja ją poznałem na własnej skórze, to wiem. Najgorsza franca! W Rosji każdy robotnik ma mieszkanie, pracę, darmową szkołę, opiekę lekarską i dentystyczną!

- Tylko dostaje w zęby i paszportu mu nie dają! - krzychałem.

- A na co mu paszport?! Paszportu nie zje. Ważna praca!

- To niebawale! - przerwałem Leszkowi. - Karol Wawrow, którego całą rodzinę, zarówno ukraińską, jak i polską, tak okrutnie doświadczone w 1939 roku, w czasie gdy I Sekretarzem WKP(b) Ukrainy był tenże morowy chłop Chruszczow, mógł go sobie wybrać na idola?! I Jarosław Pohorecki, któremu zabili wtedy brata, nie wybił mu tego z głowy?! Nie mówiąc o innych świadkach - Stepanie Bodnaruku, czy rodzonym bracie Wieku?!

- Tato był bezradny. Nic do stryja nie trafiało. Był głuchy na wszystkie argumenty. Łagry, wywózki i masowe mordy do niego nie przemawiały. Liczyło się prawo do pracy, darmowe studia i pełna opieka socjalna, której w Kanadzie w 1962 roku jeszcze nie było.

- I dziwić się, że zachodni intelektualiści, którzy nigdy w tym „raju” nie żyli, ulegali temu czarowi... Zaprawdę. Diabelska to siła...

- Stryj Karol w Boga nie wierzył - ciągnął dalej Leszek - był wojującym ateistą.

Do kościoła chodził tylko na pogrzeby i śluby. Gdy sobie popił, to pamiętam, jak na jednym weselu, gdy ksiądz wstał pobłogosławić dary Boże i zmówić modlitwę, tylko stryj i kuzyn Pawłyk Chomyszyn nie wstali i demonstracyjnie głośno dowcipkowali...

Z perspektywy czasu całkiem inaczej na stryja patrzę. Gdyby nie on i stryj-janka, to nie byłoby nas w Kanadzie. To ich zasługa. Odegrali wielką rolę w życiu naszej rodziny. Rozumiem też, że byłem straszny. Przemądrzałek i zadu-fek.

Mogłem doprowadzić stryja do szału. Stryj wiele mnie nauczył. Przede wszystkim tolerancji. Wychowany na Ogniem i mieczem i Łunach w Bieszczadach, opowieściach o krwawych wyczynach hajdamaków i okrucieństwie banderowców, w duszy nienawidziłem Ukraińców. Matka w Polsce nigdy mi nie mówiła, że jest z pochodzenia Ukrainką. Uważałem się za rdzennego Po-laka-Kresowiaka, który broni polskości przed czernią ukraińską. Musiałem się na ten temat znów mądrować, bo stryj w końcu wybuchnął: - Kto cię zrobił takim nacjonalistą polskim? Księża?!

- Książki - odparłem.

- Ukrainką tobie pierze, gotuje, dogląda ciebie, a ty mówisz, że Ukraińców nienawidzisz?!

Nie myślałem, że stryj zwraca uwagę na moje głupie gadanie i że to boli stryj ankę, która pochodziła z Łemkowszczyzny, mówiła po polsku i nie zwracała uwagi, kto jest jakiego pochodzenia. Wśród przyjaciół stryjków byli zarówno Polacy, jak i Ukraińcy. Dziś wstydzę się, że byłem taki. Ale byłem - wzruszył ramionami. - Nic na to nie poradzę...

W trzydzieści lat po starcie stryja w fabryce, w 1964 i dla mnie znalazła się tam praca. Stryj załatwił to z szefem, Mr. Western, i przez siedem wakacji,

prawie do końca studiów pracowałem w Barrymore Carpet. Matka po powrocie do Kanady przepracowała w „karpetowni”¹ aż do emerytury - dwadzieścia lat. Tam startowała także córka brata, Urszula, zanim nie poszła do angielskiej szkoły, jak również żona brata, Hania, aż do 1991 roku - to znaczy do ostatniej recesji, która doprowadziła do likwidacji zakładu.

Teraz dopiero rozumiem, że ta fabryka chodników była naszą pierwszą, najtrudniejszą ścieżką życia, przez którą stryj Karol nas przepuścił. Tu postawił nas na dywaniku i wykuwał nasze charaktery zgodnie ze swą dewizą, by nie martwić się, bo i tak wszystko „wyjdzie na kozaka”. I wyszło. Potrwało to tylko trochę. I on tego nie dożył.

Wtedy, w 1962 roku, próba wspólnego zamieszkania ze stryjkami nie powiodła się.

Po dziewięciu miesiącach wróciłem do tata. Wszystko, co robiłem, drażniło stryja. Lubił mnie niszczyć. Gdy po pisemnym egzaminie na prawo jazdy poprosiłem go, by zaczął mnie uczyć, kazał mi od razu tyłem wjechać do wąskiego garażu. Nie bardzo mi to wyszło.

- Nigdy nie będziesz jeździł samochodem - zawyrokował. I drugiej lekcji już nie było.

Jak już mówiłem, jego duch prześladował mnie wszędzie.

Stryj do końca twardo pił. Już po operacji, ciężko chory, z przerzutami raka, 1 Tak nazywano fabrykę dywanów, wykładzin i chodników: Barrymore Carpet Manufactu-ring.

na dwa tygodnie przed śmiercią wygrał na loterii skrzynkę wódki i na zdrowie pił butelkę dziennie. Po dwunastej butelce dostał krwotoku i wzięli go do szpitala.

Nie cierpiałem go do tego stopnia, że gdy leżał umierający, z trudem się przemogłem i po usilnych prośbach stryjanki odwiedziłem go w szpitalu. Siedział wychudły na łóżku. Jego wybałuszone oczy były jeszcze bardziej

wytrzeszczone.

Czaiła się w nich śmierć. Spytałem z przymusu, jak się czuje.

- Widzisz - odparł krótko. Po operacji strun charczał i bulgotał. Ciężko go było zrozumieć.

Po dwóch dniach stryj umarł.

Stryjanka dała mi pieniądze i prosiła, żebym zamówił Mszę. Spełniłem to ochoczo. Ksiądz nie bardzo chciał się zgodzić, bo stryj nie należał do parafii, ale go przekonałem. Odprawiona została niezwykle uroczysta Msza żałobna z dodatkowo zamówionym przeze mnie śpiewem w kościele św. Kazimierza na Roncesvalles, do którego stryj nigdy nie chodził i który głośno wyśmiewał.

Słuchałem modłów księdza z mściwą satysfakcją. Nie było to najpiękniejsze, przyznaję, ale chichotałem w duszy. Prawdziwa ironia losu.

Sama stryjanka Iwa ostatnie swoje lata spędziła w domu dla seniorów, które tu, w Kanadzie, są luksusowe. Nie mogłem się zdobyć, by ją w ostatnim czasie odwiedzić i odkładałem tę wizytę tak długo, aż nie zdążyłem.

Po jej śmierci dowiedziałem się dwóch rzeczy, które mną wstrząsnęły. Po pierwsze, stryjanka okazała się tak wielkoduszna, że pomimo mego zachowania zapisała mi w spadku kilkadziesiąt tysięcy dolarów, na które całkowicie nie zasłużyłem. Po drugie, ta sąsiadka-krajanka, pani Wur, zdradziła mi, że to nie stryj, a stryjanka Iwa tak parła do naszego przyjazdu. Skoro sama nie mogła urodzić dzieci swemu ukochanemu mężowi, chciała mu dać rodzinę, a przynajmniej syna: Leszka Karola. Właśnie mnie...

- Po wyjściu z partii, o dalszej karierze wojskowej przestałem marzyć. Chciałem jednak wykorzystać moje weterynaryjne wykształcenie z Technikum w Nysie.

Szczęśliwie w wojsku też chcieli. Najpierw odsunęli mnie od granicy. Teraz od ludzi i dali do zwierząt. Uznali, że koniom moje antypartyjne

odżywki mniej zaszkodzą niż żołnierzom. Chłopcy w kadrach myśleli, kurczą - zaśmiał się Major.

Tym razem siedzieliśmy w domu Majora na Westminster Street. Rodzina Olgi Wawrow mieszka w polskiej dzielnicy jak w Hadyńkowcach. W centrum - jak tam pośrodku wsi - na Geoffrey Street: syn Leszek, wnuk Jarek Junior, teść córki, Ewy, Leon Prokop, i siostra synowej, Ireny Wawrow, Danusia Żu-chowski. Na równoległej, następnej, Westminster Street - Major, a trzy ulice dalej, na Wright Avenue, córka Ewa.

Teraz Borys Kotański, syn Łesi i wnuk Martyna Wynnyczenki, kupił dom na Garden Avenue tuż koło kościoła św. Kazimierza. Córka Majora, Urszula, też mieszka stosunkowo blisko. Najdalej, tak jak kiedyś w domu przy stacji, tu zaś przy przystanku metra na Keele, mieszka pani Olga na Indian Grove. Obok niej Bohdan Petryk - syn jej siostry Irki. Żona Borysa Kotańskiego, Maryjka, sprowadziła niedawno do Kanady swoją starszą siostrę Nadią i jej męża Wołodę Semczuka.

Wołodia ma już Insurance number1 i pracuje w piekarni razem ze szwagrem Borysem.

Semczukowie są najszczęśliwszymi ludźmi w Toronto. Przez wiele lat nie mogli mieć dzieci. Już prawie zrezygnowali. W rok po przyjeździe do Kanady urodził im się piękny syn. W Yalentine Day, więc jest Walenty. Ich szczęście nie ma granic.

Hadyńkowce zatem mocno wzmocniły polską dzielnicę, a ja mam najnowszych świadków.

- Stary felczer z wojny odszedł - Major opowiada o drugiej placówce WOP-u, w Krośnie Odrzańskim - i ja po nim objąłem stanowisko szefa służby weterynaryjnej batalionu. Jeszcze koni w brygadzie było dużo, ale wiedziałem, że konie w brygadzie znikają, wszystko motoryzuje się i służbę weterynaryjną w batalionach likwidują. Pomyślałem więc o zdobyciu nowych

kwalifikacji. Zapisalem się na zaoczne studia w Poznaniu do Wyższej Szkoły Oficerskiej Służb Kwatermistrzowskich im. Mariana Buczka.

Tę szkołę skończyłem z wynikiem dobrym. Nie celującym, niestety.

W 1968 wezwał mnie dowódca brygady i spytał, gdzie chcę iść: do finansów czy do cywila. Iść do cywila po dziesięciu latach służby, na pięć lat przed wczesną wojskową emeryturą-bezsens. Traci się prawo do mieszkania, opieki lekarskiej, wszystkiego. Mój wyjazd do Kanady oddalał się i stał pod znakiem zapytania.

Miałem rodzinę. Nie byłem sam. Urodziła mi się córka Urszula. Nie mogłem tak szaleć. Odparłem więc krótko: - Do finansów, obywatelu pułkowniku.

I posłyszałem, że wysyła mnie do Słubic na szefa zaopatrzenia finansowego batalionu.

Zbaraniałem. Wiedziałem, że o to miejsce starało się paru kolegów, a jednego forsował sam zastępca dowódcy brygady. Uważał, że miał to miejsce już w kieszeni. Ale dowódca nie lubił swego zastępcy, zrobił mu na złość i zamiast tamtego - wsadził mnie. Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta...

Na granicy w Słubicach urodził mi się w 1969 roku syn Jarek. Drugi syn, Lesio, przyszedł na świat również w Słubicach. Tuż przed moim wyjazdem do Chełma. W 1974 roku...

1 Jest już ubezpieczony. Jako szef służby finansowej batalionu miałem pozycję super. Wszystko mi chłopcy zrobili. Trzymałem kasę. Wydawałem pobory oficerom. Udzielałem pożyczek. Każdy chciał ze mną dobrze żyć. Wręczałem im gaże sam w kopercie lub jeździłem do nich na strażnice.

- Konno?

- Nie. Łazikiem. Miałem też swój prywatny wóz. Wziąłem pożyczkę, rodzice mi pomogli i kupiłem sobie syrenkę. Z tego pyrkającego dwutaktu byłem bardziej dumny niż dziś z mego forda aerostar XLT z napędem na

cztery koła, kurczą.

Ze Słubic pamiętam barki na Odrze... Granica na rzece żeglownej biegnie głównym nurtem, a na nieżeglownej środkiem rzeki. Barki po Odrze były ciągnięte przez holowniki albo popychane przez pchacze. Według prawa takie barki nie mogły przybijać do brzegu. Gdy mijaly kolejne punkty strażnicze, były bacznie obserwowane i kontrolowane, czy prawidłowo płyną. W przypadku awarii holownika czy pchacza - tragedia. Musiały zakotwiczyć się po środku rzeki i czekać na zmiłowanie. Wtedy podpływalismy łodzią motorową. Ta łódź miała motor pozaburtowy Schneidera.

Często jeździłem do Kunowic - to przejście graniczne też nam podlegało. Tam był sklep „Baltony”. Litr żubrówki kosztował wtedy kanadyjskiego dolara, pamiętam.

Przejścia graniczne właśnie odbierano milicji i dawano znów pod WOP.

- A nie były pod WOP-em?

- Przez pięć lat. W walce frakcyjnej Moczar podporządkował je sobie, Go-mułka mu teraz odbierał. A za Moczara myśmy strzegli granicy, a na samym przejściu przy szlabanie stali milicjanci i milicjantki. Bzdura całkowita. Jak myśmy te przejścia przejmowali, to strażnicy czasem mieli dawną bluzę milicyjną i pas, a nowe wojskowe spodnie i buty. Powoli wycofywano kobiety, które jeszcze były.

- To znaczy na czym polegała ta reorganizacja?

- Zwyczajli milicjanci wcielani byli do WOP-u, a służby specjalne wycofywano do MSW. Podobnie kobiety odsuwano od granicy i dawano do służby cywilnej. U nas w WOP-ie przecież kobiet nie było...

W roku 1970 do Słubic przyjechał Lesio, po raz pierwszy od wyjazdu z Polski. Na Jarka chrzciny - był jego ojcem chrzestnym. Wyszło

nieporozumienie z matką chrzestną, która wyjechała na wczasy i Lesio musiał czekać dwa tygodnie aż wróci. Źle zgrałem terminy, kurczą. Ale Lesio sobie poradził. Pojeździł trochę.

Z tymi chrzcinami to były hece. Wszystkie były spóźnione, kurczą. Urszuli zbiegły się chyba z komunią. Coś tak. Leszka też. Jak przyszliśmy z nim do kościoła, to ksiądz odruchowo rzekł: - Dziecko, które mi przynieśliście do chrztu, przepraszam, przyprowadzili. - Nie mógł Lesia wziąć na ręce, bo on stał - a miał prawie dziesięć lat - to przechylił mu głowę i tak polał...

- Te opóźnienia wynikały ze strachu?

- Trochę tak. Jasne. W wojsku to nie było tolerowane. Wszyscy brali śluby i chrzcili, ale po cichu. Jak się wydało - był kłopot. Szczególnie za Gomułki.

Tak, tak - zamyślił się i poprawił w krześle.

W Słubicach awansowany zostałem na kapitana. Pod koniec 1974 roku wezwał mnie znów dowódca brygady i rzekł, że zwalnia się etat szefa finansowego w Nadbużańskiej Brygadzie WOP-u w Chełmie...

- Mogę iść - odparłem.

- Naprawdę? - zdziwił się. Był pewien, że odmówię.

Chełm traktowano w WOP-ie jak u nas Rokitę. Jako zsyłkę. Nikt nie chciał tam iść. Każdy chciał na Zachodzie. Nad Odrą. Nikt nie pchał się nad Bug. Bliżej Zachodu - lepiej, kurczą.

Pojechałem więc do Chełma. Dostałem mieszkanie: trzy duże pokoje z kuchnią, łazienką... Sufity wysokie. Białe piece kaflowe. Kuchnia na węgiel. W łazience też piec węglowy, z żeliwną wielką wanną. Podhajcowało się w tym piecu i pływało w tej wannie jak w basenie.

W Chełmie były świetne warunki. Sala kinowa, gimnastyczna, odkryty basen. Własne przedszkole. Pracownia fotograficzna. Modelarska. Był też tor przeszkód.

Strzelnica kbks. W strzelaniu z karabinka małokalibrowego moja Urszula była dobra. Zawsze pierwsze miejsca zgarniała na mistrzostwach - bo mieliśmy zawody dla dzieci kadry. Rzut granatem...

Mnie tam znali. Prowadziłem finanse całej brygadzie. Jak dowódca mnie bliżej poznał, to kiedyś w przypływie dobrego humoru powiedział: - Żebyś ty wiedział, głupi, co ja z tobą miałem! Przez tydzień studiowałem twojąteczkę, nim się zdecydowałem. Ale oni tam cuda na ciebie powypisywali!

Chcesz, to sobie weź. Poczytaj, chuju... - Jak nasz dowódca zwracał się do kogoś per „chuju”, to nie należało się bać. Był to wyraz ojcowskiej serdeczności. Ale jak rzekł oficjalnie „obywatelu majorze” - uuu - to wtedy objeżdżał strasznie.

To był stary frontowy oficer z wojny.

Szybko skorzystałem i pobiegłem do kolegi z kadr. Dał mi mój ą teczkę personalną. Rzeczywiście, lektura była pouczająca. Paru kolegów poznałem po charakterze pisma.

Najostrzejszy raport do dowódcy WOP-u napisał taki jeden gnojek, który przyjechał do nas na inspekcję z Warszawy. On u nas w Krośnie gadał jakieś głupoty o rewolucji październikowej. Ja się z nim ściałem. Napisał, że miałem wypowiedzi antyradzieckie, jestem niepewny politycznie i nie powinienem pełnić służby nad granicą. Szczególnie zachodnią. To dali mnie na wchodnią. Ale też z trudem, jak widać. Dowódca przyjął mnie na własne ryzyko. Pilno - wanie wschodniej granicy uważano za formalność. Bracia z drugiej strony strzegli jej lepiej od nas. Myśmy nie musieli...

- Mielicie jakieś kontakty z kolegami po drugiej stronie granicy?

- Czasem bratnie spotkania przyjaźni na szczęblu dowódców. Wtedy w dziesięć osób zjadaliśmy tyle co batalion...

- Towarzysze byli tacy zgłodniiali?

- Spragnieni. Dowództwo dawało nam nieograniczony limit na żarcie i ani złotówki na alkohol. No to trzeba było wpisywać więcej najdroższych dań mięsnych, pomarańczy, zagranicznych puszek, papierosów, żeby mieć na wódkę, którą piliśmy w dużych ilościach. Absolutna fikcja. Nie wiem, po co ją wprowadzono. Ich delegacja przyjeżdżała często w święta państwowe. Oczywiście na 22 lipca, które to święto obchodziliśmy w Chełmie szczególnie uroczyście. Z defiladą i orkiestrą, kurczą...

Siedzę znów z Olgą Wawrow na Indian Grove. Przez krzesło przewieszony jest lniany ręcznik na którym odczytuję napis: „Radiowy Festiwal Piosenki w Opolu - 1965”.

- Ja wtedy byłem w jury tego festiwalu - pochwaliłem się.

- A ja ten ręcznik robiła. W naszych zakładach PZPB w Prudniku. Pracowała tam jako brakarka...

Jak mąż pracował na kolei, to ja była przy nim w domu. Pan wie, jak to jest. Jak się jest przy mężu, to mąż myśli, że tylko on pracuje. A żona garnkami się tłucze. I po kuchni szwęda. Szczególnie mój Wicko taki pewny był. Co to on nie jest. Wciąż powtarzał: - Gdyby nie ja, to by wy z głodu poumierali. Na mnie się wszystko opiera. Ja muszę myśleć za całą rodzinę...

Mnie to bardzo bolało, że ja może ciężiej od niego pracuję, a on tego nie widzi.

Nie podobało mi się też, że on tak domu nie trzyma się. Biega na te szachy, biega i ze mną ta nic się nie liczy. A ja chciała mieć męża dla siebie, nie dla ludzi. Matka Filki Kostiw miała rację, gdy mówiła, że dla niego ludzie ważniejsi niż żona. Żony on nie będzie szanował. I tak było: - Co ty ta wiesz, durna! - to jego słowa. Niestety.

Raz, jeszcze w Hadyńkowcach, posłał mnie po papierosy. Zatrzymała mnie sąsiadka i pyta: - Gdzie ty lecisz?

- Do sklepu.

- No, tak - zaśmiała się. - Wicko ma rację, gdy chwali się: - Ja tylko w palce pstryknę i Olga zrobi, co chcę...

- Ja to bardzo przeżyła. Do dziś pamiętam. On mnie ciągle za małą dziewczynkę, młodszą od siebie miał, co to ją trza wiecznie pouczać i za rączkę wodzić. A ja może więcej od niego widziała. Gdyby nie ja, proszę pana, to on by nigdy do tej Kanady nie wyjechał. Bał się strasznie stracić posadę na kolei. Ja go dopiero przekonała i wzięła pod włos: - Co ty Wicko?! Niby taki kozak jesteś, a bardziej od mego tata czy dziadka Pańki się lękasz. To oni przed wojną z Hadyńkowiec nie bali się jechać w daleki świat, a ty, dyżurny ruchu, się boisz? Nie ruszysz się nawet z opłaconym przez brata biletem. Stawiasz się, a w środku drżysz...

- Nie drzę, ale nie jestem sam. Mam rodzinę!

- A oni co mieli?

- Nie jechali wszyscy naraz jak my...

- Pomogę ci. Znam się na uprawie tytoniu. Korsak mnie wyuczył. Tam na pewno dużo na plantacji roboty jest. Ja się pracy nie boję. Razem będzie nam lżej...

I pomalutku, pomalutku, jakoś go na ten statek wepchnęła. Mąż oczywiście myślał, że sam na niego wsiadł...

- No, właśnie. Leszek twierdzi, że Wicko puszył się, że on tu głowa domu, a pani tą głową po cichu kręciła. W myśl hasła - my rządzą światem, a nami kobiety!

Bez pani nie byłoby nic...

- Troszku Lesio ma rację - przyznała skromnie. - Ale Wicko w domu rygor trzymał.

Dzieci go słuchały. Bez niego ja by sobie z nimi nie dała rady. Leszek miał jedenaście lat, jak już mi uciekał.

A mamcia mieli rację, jak mówili: - dać dzieciom wolę, to sobie

niewolę...

Nauczycielka skarżyła się, że jak Lesio nie czyta pod ławką, to swawoli. I ona w klasie lekcji nie może prowadzić. Gdyby ja go do Polski ściągnęła, to by musiała Wicka wezwać na pomoc, bo sama w Prudniku nie dałaby sobie z nim rady. Z Ewuniąbyło mi ciężko. Ja przecież od rana szła do fabryki. Ale praca mi dużo dała. Ja uwierzyła w siebie. Że na państwowej posadzie ja nie gorsza od Wicka.

Też umie pracować. Tyle co on jako dyżurny ruchu zawsze zarobię. A z premią eksportową - i więcej. Często ją dostawała, bo kierownik zawsze mnie chwalił: - Olga ta nie wypuści braku! Pewny eksport. Jak przez Olę tę bawełna przejdzie, to i Kanadyjce ją puszcza - powtarzał.

I puszcza. Tylko ja nie mogła przejść. Nasza bawełna na eksport do Kanady szła, a ja nie mogła. Wicko mi wciąż zaproszenia nie przysyłał. Biletu na statek też nie opłacił. Zły był, że ja go nie usłuchała, wstydu przed bratem narobiła, postawiła na swoim i wyjechała. Na pewno jak ja mu list z prośbą o bilet na „Batory” wysłała, to chwalił się: - Mówiłem: bądź mądra! Nie szalej! Zachciało się jej Polski - niech siedzi! Baba z wozu, koniom lżej!

Ja, ja. Na pewno śmiał się tak do brata Karola. Ja go troszku znała, tego mojego Wicka. Zagniewał się na mnie, że ja mu się tak stawiała. On, głowa rodziny, postanowił w tę stronę.

„-V 244 - A pani jako szyja skrzyła w drugą...

- Tak jest. I chciał mnie za to ukarać, proszę pana.

Leszek czyta mi kolejną partię swych wspomnień, spisanych na liniowanym papierze, o pobycie w kanadyjskiej szkole, do której chodził w 1962 roku.

- Siedziałem w pierwszej ławce blisko Mrs. Harrison i nie mogłem jak w zeszłym roku, gdy siedziałem w ostatniej, czytać sobie polskich książek, „Związkowca”

lub pisać listów do kolegów z Prudnika. Początkowo nic nie rozumiałem po angielsku, a nauczyciel Mr. Richardson miał całą klasę i tylko po szkole, parę razy na tydzień mógł ze mną zostać po lekcjach i uczyć mnie słówek, ortografii i kaligrafii, bardzo tu ważnej. Całymi godzinami ćwiczyliśmy na przykład pisanie „W” albo innych liter. Ja z Ewą byliśmy jedynymi imigrantami w tej szkole. Ewie w drugiej klasie szło lepiej, bo więcej tam było zabawy niż nauki. W końcu Mr.

Richardson dał mi spokój i nie przeszedłem do następnej klasy, a Mrs. Harrison zaraz kazała mi usiąść przy sobie w pierwszej ławce. Cały czas włączała mnie w dyskusje. Mój przyjaciel Fred, który był Polakiem urodzonym w Kanadzie, przeszedł do siódmej klasy, a ja zostałem sam na drugi rok bez tłumacza. Ale prawie wszystko już rozumiałem. Tylko z mówieniem było kiepsko. Mrs. Harrison zauważyła, że znam odpowiedź, tylko wstydę się podnieść rękę. Wtedy kazała mi wstać i odpowiadać. Gdy z trudem wydukałem, chwaliła mnie przed całą klasą: - Widzicie?! Leslie nawet rok nie jest w Kanadzie, a już wie, kto jest naszym premierem, co dzieje się w Europie i zna wszystkie wydarzenia na świecie!

Moi jedenastoletni koledzy i koleżanki nie czytali gazet, a ja dwa razy w tygodniu czytałem u stryja „Związkowca” i raz na tydzień dodatek dla dzieci pod redakcją Barbary Głogowskiej. Stryj, gdy widział, że czytam, pytał: - I co tam znowu wypisują?

- Nic.

- I pół godziny już to „nic” czytasz?

- No, piszą o spotkaniu Chruszczowa z Kennedym...

- To czytaj!

Z nienawiścią to robiłem, ale musiałem. Tato oddał mnie na próbę, a sam wyprowadził się do polskiej dzielnicy na Roncesvalles. Plany były takie, że jak zarobi pięć tysięcy dolarów, to wróci do Polski, a ja, jeśli się zadomowię

u stryjków, to zostanę w Kanadzie, by w przyszłości pomóc Ewie i Jarkowi.

Oczywiście nikt mnie nie pytał o zdanie. W dzienniczku z 1 października 1962 roku tak wylałem swoje żale: „Jutro już będzie rok, jak ja jestem w Kanadzie.

Półtora roku temu nie myślałem, że los będzie mnie tak rzucał. Były chwile wesołe, ale mało kiedy. Mama, Ewa, Jarek w Polsce. Tato też sam na Pearson Avenue, a ja u stryjka. Na początku myślałem, że stryjanka taka dobra, ale ona nie jest. Tylko tak udawała. Stryjko dużo gada, ale on w sercu jest dobry. Napisałem list do mamy. Muszę napisać do Mundka i Jarka. Nic więcej nie ma”.

Te żale podsumował bilans spraw sercowych: „Ja nadal lubię Linde, Klarę i Krysę. Ale Linda jest koło mnie, więc jest najmiłsza”. Praktyczna strona wzięła górę. Zamieniłem miłość do dwóch rodaczek nie z mojej szkoły na siedzącą obok Irlandkę Linde.

- Postąpiłeś, Lesiu, jak hrabia Artur w pałacu. Brałeś to co pod ręką...

- Zgadza się - parsknął śmiechem i czytał dalej.

„Krysia Leoszkiewicz była moją starą miłością z piątej klasy w Prudniku. A Klarę poznałem na „Batorym”, gdy wracała z wakacji w Polsce. Nie wziąłem jej adresu, bo wiedziałem, że jedzie do Toronto. Byłem pewien, że ją na drugi dzień spotkam jak w Prudniku. Tymczasem okazało się, że Toronto to wielkie miasto i zgubiłem ją. Tylko raz widziałem Klarę, jak jechałem w niedzielę ze stryjkiem wozem. Na skrzyżowaniu Bloor i Jane szła z rodzicami i starszym bratem. Ale jak miałem stryjowi powiedzieć, żeby się zatrzymał? Dziewczyny i miłość były wtedy rzeczą wstydliwą”.

- Jedynie raz napisałem w dzienniczku - opowiada dalej Leszek - że stryj ma dobre serce, a stryjanka nie, tylko tak udawała. Dziś zmieniłem zdanie. Wtedy jednak miałem prawo tak sądzić. Złapałem ją na gorącym uczynku. W sobotę pod wieczór siedziałem jak zwykle w kuchni i odrabiałem

lekcje dla Mrs. Harrison, które zadała mi ekstra. Staralem się wszystko zrobić w sobotę, bo w niedzielę zawsze jechaliśmy ze stryjem i stryjanka albo do St Catherines do Majka Lisowycza na cały dzień, albo wsiadałem na rower, by odwiedzić tata. Stryj wypłacał mi sześćdziesiąt centów kieszonkowego tygodniowo. Stryjanka była hojniejsza i często dawała mi dolara czy dwa na lody czy cukierki. Ja je odkładałem i jak wyszedłem od stryjków do tata, to miałem sześćset dolarów. To była duża suma. Pensję od stryjka wydawałem na cukierki, a resztę odkładałem.

Tej soboty stryjanka rozmawiała w salonie z Alice, żoną Pawłyka Chomyszyna.

Alice знаła tylko parę słów po ukraińsku i rozmawiała po angielsku. Strykowie nie spostrzegli, że po roku ja już wszystko rozumiem, bo z nimi zawsze mówiłem po polsku. No i w tej rozmowie nagle usłyszałem: - Hę doesn 't give a shit what we do for him* Pierwszy raz usłyszałem taki wulgarny wyraz w ustach stryj anki.

- Yes - podchwyciła Alice - Hę does not appreciate allyou do for him.2 Appreciate, trudne słowo, dokładnie go nie rozumiałem, ale domyśliłem 1 On ma w dupie to, co dla niego robimy.

2 On nie docenia tego wszystkiego, co dla niego robicie. się, że albo nie jestem wdzięczny, albo że nie lubię, co stryjki dla mnie robią.

Dalej nie słuchałem, bo było o myciu i kolorowaniu włosów. Alice była fryzjerką. Miała swój zakład na Royal York, parę kroków od domu stryjków. Kiedy Alice po herbacie wyszła, stryjek przyszedł z dworu, gdzie grabił liście, i rzekł z wyrzutem: - Nie mogłeś prędzej wyjść, żeby mi pomóc?

Wstałem od stołu i włożyłem kurtkę. Nie odezwałem się. Ze stryjkiem nie było rozmowy. Zawsze miał rację. Stale też na mnie narzekał. Ale stryjanka pierwszy raz mnie obmawiała. Kiedy zgrabiliśmy liście i wróciliśmy do domu, zachowywała się tak, jakby sienie nie stało. Nie podejrzewała, że ja

zrozumiałem jej rozmowę z Alice.

Poszedłem do łóżka rozgoryczony. Nikt mnie nie lubi. Nikogo nie mam. Mama, Ewa, Jarek w Polsce. Tato, chociaż w Kanadzie, też mnie nie chce i mieszka sam na Pearson. I ja mam być wdzięczny stryjance i stryjkowi? Za co? Za to, że sprowadzili mnie do Kanady? To ich wina, że mi tu tak źle. Jakby mnie zostawili w Prudniku, to by było dobrze. W Prudniku zawsze mi było dobrze. Miałem kolegów na ulicy Matejki i w szkole numer dwa, kuzynów, kuzynki, wujków i stryjków! A tu kto? Fred poszedł do siódmej klasy i nie chce ze mną rozmawiać. Jego matka, idiotka, powiedziała: - Nie baw się z nim, bo on nie ma mamy...

To dlatego, że moja mama wyjechała, ja już jestem przestępcą?
Mordercą?

Jedynie Mrs. Harrison była jasnym punktem w szarzyźnie mego życia. Nie mogłem doczekać się poniedziałku, kiedy znów się z nią zobaczę. Przychodziłem do szkoły wcześniej, by pokazać jej odrobione nadprogramowe lekcje. Potem cały dzień w pierwszej ławce podziwiałem jej piękną twarz, częsty promienny uśmiech, smukłą figurę i czerwone włosy. Coraz częściej podnosiłem rękę. Nawet wtedy gdy mnie ominęła, chcąc zapytać inne dziecko, głośno wykrzykiwałem odpowiedź. Mój akcent wzbudzał huragan śmiechu. Widziałem, że Mrs. Harrison nie jest zadowolona z moich wybryków, ale od poniedziałku do piątku regularnie zostawaliśmy sami w klasie i uczyła mnie gramatyki i wymowy. Zaczęła od czytanek z czwartej klasy, które przerobiliśmy w tydzień. W weekend odrobiłem wszystkie pytania. Z piątą klasą też poszło szybko. Nie mieliśmy słownika polsko-angielskiego i słówka, których nie znałem, tłumaczyła mi tak długo, aż zrozumiałem. Siedzieliśmy w klasie do czasu, gdy woźny o szóstej nie zamknął szkoły. Wtedy wychodziliśmy i jeszcze na ulicy rozmawialiśmy i żartowali.

W dzienniczku zapisałem: „W niedzielę 30 września 1962 roku w Toronto był piękny dzień”. Tu nie ma wiosny, jest wariacka zima ze zmienną pogodą i skokami temperatury, a po niej nagle wybucha upalne lato i długa piękna jesień. W Polsce nazywa się to złota jesień i babie lato - tu Indian Summer. W zeszłym roku indiańskie lato trwało aż do połowy listopada. I potem bez ostrzeżenia spadła temperatura - minus piętnaście stopni. Mój pierwszy dzień mrozu w Kanadzie pamiętam świetnie. Bo był to pierwszy dzień pracy mamy, zanim na wiosnę nie wyjechała „Batorym” do Polski.

Stryjanka dowiedziała się, że ktoś potrzebuje kobiety do pomocy w kuchni w restauracji na Lakeshore. Zadzwoiła i okazało się, że urodzony w Kanadzie Ukrainiec prowadzi małą restaurację, do której szuka pomocy. Mama bała się sama jechać. Stryjek, stryjanka i tato bardzo wcześnie szli do pracy i zostałem tylko ja. Dali mi kartkę z adresem i telefonem, powiedzieli, gdzie mam wziąć autobus na Royal York, a potem jak przesiąść się na tramwaj na Lakeshore. Po pięciu tygodniach w Kanadzie moja znajomość angielskiego była zbliżona do biegłości w angielskim mamy, ale zostałem oficjalnie mianowany tłumaczem. Z tą kartką odwiozłem matkę do restauracji, a potem sam wróciłem do szkoły na dziewiątą.

Zagapiłem się w autobusie i zamiast wyjść na Melrose pojechałem aż do Queensway.

Nie miałem więcej biletów i musiałem przebiec prawie kilometr tylko w letniej kurtce, bez czapki. Wiatr przeszywał mnie na wskroś. Na wiadukcie nad autostradą Queen Elizabeth Way tak dęło, że ledwie mogłem złapać dech. Z mrozu zatkało mnie, a uszy myślałem, że mi odpadną...

Ale tej ciepłej niedzieli 30 września nie myślałem o mrozie, który za pięć tygodni miał przyjść. Stryjkowie planowali po śniadaniu jechać do St Catharines odwiedzić Majka Lisowycza i jego żonę Annie.

Od poniedziałku do piątku widziałem stryjków tylko wieczorem.

Rano, gdy budziłem się o ósmej, nikogo już w domu nie było. Stryj najpierw odwoził stryjankę do pracy u „Swifta” w wielkiej masarni, a potem sam jechał na siódmą do Barrymore.

Robiłem sobie szybko chude śniadanko. Do szkoły miałem parę kroków. Na obiad wracałem do domu, otwierałem puszkę zupy, spaghetti lub ravioli. Brałem też pocztę. Klucze od skrzynki schowane były w szafce. Przypadkowo na nie natrafiłem. Otwierałem skrzynkę, sprawdzałem listy i, jeśli były adresowane do mnie od mamy lub Jarka - otwierałem nad parą koperty, czytałem i z powrotem wkładałem do skrzynki. Potem spokojnie czekałem, aż cenzura stryja je przepuści.

Trwało to kilka dni. Później, kiedy stryj miał czas je przeczytać, oddawał mi nieudolnie zaklejona kopertę. Udawałem radość.

W sobotę i niedzielę śniadania były obfite. Boczek, kiełbaski lub szynka z jajkami, które smażyła stryjanka, tost z masłem i kawa specjalnie parzona w pojemniku ze szklanym oczkiem.

Majk Lisowycz, szwagier stryja, jak go nazywał, miał w St Catherines dwa domy.

Chociaż Ukrainiec, przez grzeczność rozmawiał ze mną po polsku. Annie, ukraińskiego pochodzenia, urodzona w Kanadzie mówiła tylko po angielsku do męża, stryja i stryjanki. Kiedy przyjechaliśmy na obiad, Lisowycz spytał: - No i gdzie lepiej?

- W Polsce. W Polsce wszystko lepsze - odparłem.

Pod wrażeniem Ogniem i mieczem wszyscy Ukraińcy byli dla mnie rizinny. Mordowali Polaków w siedemnastym wieku, tak jak i podczas okupacji. Stryj i Lisowycz wyjechali z Polski przed wojną, nie znali zbrodni UPA i późniejszej nienawiści.

Nie przeżyli też rzeczy, które moja mama z tatą przeżyli...

- On gada jak za sanacji! - śmiał się stryj.

- Tak jest! - podchwycił Lisowycz. - Polska od morza do morza... Ale zapomnieli dodać, że trzeba by jeszcze troszku za morzem ziemi zostawić, żeby się było gdzie wysrać - dorzucił. Obaj ryknęli śmiechem. Byli już po dużej wódce.

Ukraińcy to jednak straszna dzicz. Prawdziwa czern, pomyślałem. Mądrzejsi, jak Helena Kurcewiczówna czy moja mama, dawno przeszli na polskość. Tylko nieudaczniki zostali Ukraińcami.

Oni tymczasem wspominali dawne czasy, gdy razem budowali tę „strekę”, po której mknęliśmy z Toronto. A potem objęci jak bracia śpiewali polskie i ukraińskie piosenki, znane im z młodości. Ich głosy jak dzwon niosły się hen, aż po wodospad Niagara...

- Brat Wicka Karol z żoną Ewą, lwa, jakjąnazywał, przyjechał z wizytą do Polski na wakacje 1964 roku i odwiedził mnie w Prudniku, proszę pana - mówi Olga Wawrow.

- Byli krótko, trzy dni. Jeden dzień nocowali u mnie, a resztę u Leona Rasiewicza. Leon ich zawiózł do wsi Kaliska pod Białym Borem, gdzie żona Karola miała rodzinę. Ja panu już mówiła, że ich z rodzinnego Miłkowa, z Łemkowszczyzny, po wojnie wysiedlili.

- W ramach akcji „Wisła”.

- Ja. I oni w tej Kalisce mieli dużą gospodarkę. Rodzina Ewy Wawrow, znaczy się.

Ona jak moja Ewa się nazywała. Ja z nią próbowała rozmawiać, od niej też dowiedziała się o Wieku i moim Lesiu, do którego ja bardzo tęskniła. Ona troszku na Lesia żaliła się, że hardy i nie bardzo słucha, ale więcej Karol narzekał. Że Lesio filozof i mąduje się. Za dużo książek czyta, mydłek. A w domu nie pomoże.

Sobek. Że Wicko pracuje i odkłada do Polski dolary. Myśli za dwa, trzy lata wrócić. O tym, że ja wrócę do Kanady, mowy nie było i ja wiedziała, że

po moim wyjeździe z Toronto oni mnie tam nie chcą. Wicko wolał, żeby ja w Prudniku z Ewą na niego czekała. Po trzech dniach oni pojechali do tej wsi Kaliska, a że to wakacje były, to wzięli ze sobą moją Ewę. Żeby tam na wsi na świeżym powietrzu pobyła. Mleka i masła wiejskiego najadła się. Jarko z Hanią mieli do nich z Krosna Odrzańskiego dojechać. Ja upiekła dwie blachy fajnego piernika, on może długo stać, żeby Wickowi i Lesiowi zawieźli. Potem Ewa mówiła mi, że stryjanka tym piernikiem codziennie do herbaty częstowała, aż rozczęstowała i do Toronto nie dojechał. - A w tej wiosce, to oni rano budzili mnie, żeby ja do krów szła. I w poleje gna - ła. Ja tam żadnych wakacji nie miała, mam - żałowała się potem moja Ewu-nia. I tylko przyjazdu Jarka wyglądała, by Jarko od tych krów ją zbawił. Jarko z Hanią potem do Prudnika Ewę odwieźli i ze mną troszku pobyli.

- Ja w tej wsi Kalisce pierwszy raz ujrzałem stryja Karola. I ostatni. Bo jak przyjechałem do Kanady, już nie żył - wspomina Major. - Słyszałem przedtem wiele o nim od ojca, ale całkiem inaczej go sobie wyobrażałem. Stryja w kraju nie było od wyjazdu z Hadyńkowiec w 1929 roku. Tej Polski w ogóle nie znał i niczego, co pamiętał z młodości, nie mógł odnaleźć. Jako dewizowy gość, po wymianie dolarów na czarnym rynku był krezusem. Chyba nigdy w życiu nie był tak bogaty jak za Gomułki.

- Co wy tak na ten komunizm wyrzekacie?! - dziwił się. - Very nice Country1.

Bezrobocia nie ma, praca jest, jedzenie jest, rent tańszy niż w Toronto. Perfect kraj!

- Dla stryja...

Wszystko w zasadzie mu się podobało poza jednym. Że 22 lipca nie mógł dostać wódki.

Bo o horyłkę mu tylko chodziło. Że sklep z gorzałą zamknięto. Ten sklep to był główny cel. Od niego zaczynał dzień.

W Prudniku stryj miał ordynansa, Zygmunta Rasiewicza, który wtedy miał piętnaście lat i przydzielony został do niego. Stryj z rana wstawał i wydawał dyspozycje: - Zygi! Taxi!

- Rozkaz, stryju! - Trzy taksówki w Prudniku już go znały i zaraz któraś podjeżdżała pod dom.

- Torbę masz?

- Mam! - meldował Zygmunt.

- Okay. To do alkoholowego! Lets go2! - komenderował. - Tam napelniali skórzaną torbę butelkami i wracali. Kiedy taksówkarz wydawał resztę, to stryj ze wzgardą mówił do Zygmunta: - Weź ten garbagel Ja się tego śmiecia nie tknę! Marne hroszy...

I Zygmunt te hroszy zgarniał. Złotówkami miał wypchane kieszenie, kurczą. Był najbogatszym chłopakiem w Prudniku. Stryj mógł pić non stop. Dosłownie. Miał łeb twardszy niż rusczy pogranicznicy. A to zawodnicy niezli. Ze szklanką obyci.

Stryj Karol był lepszy. Ja padałem, a on świeży trącał mnie kieliszkiem i wołał: - Pij, Jarko! Na zdrowie! Stryjanka po jego śmierci mówiła: - Karolko tak#yw na zdorowie ażpomer.

1 Bardzo miły kraj.

2 Idziemy!

I to prawda. Wódka go zgubiła. Niestety. Rak gardła i cześć. Nie ma siły, kurczą. Tak to jest ze szklanymi kozakami - Major pokiwał smutno głową.

Leszek wyjął ze swego rodzinnego archiwum trzy listy, które najlepiej świadczą o dramacie rodzinnym, który rozgrywał się od 1962 do 1964 roku. Zaczął je czytać.

W pierwszym liście z 4 grudnia 1962 roku Olga Wawrow pisała:
„...Kochany Lesiu!

Tak jak stryjanka pisze, to Ty też dobrze uczysz się. To mnie cieszy. Lesiu! Ty pytasz, gdzie jest lepiej? Ty sam wiesz gdzie lepiej. Ale robak zalizie w chrzan i mówi, że mu dobrze. Kochany Syneczku! Ty piszesz, żeby ja taty prosiła, żeby mnie i Ewy zabrał do Kanady. Ty jesteś bliżej i proś taty. Bo tato pisze do mnie, że nie chce mnie zabierać. Pisze, że ja już nie będę w Kanadzie. A Ty jesteś bliżej, to mów tatowi. Tylko nie mów, że ja Ci pisała. A tato jak zechce, to ja wrócę. Bo tu samej być to też nie robota. No, się dobrze denerwuję.

Pomówisz z tatem i stryjanka i mi napiszesz. Ty nie czekaj, żeby ja napisała, tylko pisz do mnie z częsta. Wesołych Świąt! Posyłam Ci opłatek, który organista zostawił dla Ciebie. Podziel się nim ze stryjanka, stryjkiem i z tatem. Całuję was wszystkich, bądź zdrów! Czekam na szybką odpowiedź”.

Teraz list pani Olgi do stryjenki Leszka z 29 maja 1963 roku.

„Kochana Rodzino! Karolu! Kochana Ewuniu! Ty zapytujesz, czyja chciałabym wrócić z powrotem do Kanady? Dzisiaj bym jechała i to nawet nie oglądała się. Jak mi się to wszystko wjadło w skórę. Wiesz, jak to kobiecie samej. Byś najskromniejsza była, to ludzie zawsze coś znajdą...” - Stryj narobił tu intryg, naopowiadał głupot i mama to wyjaśnia - wyjaśnia mnie z kolei Leszek.

„Czy zachorujesz, to kogo ja tu mam? Dużo ja się zawiodłam na Jarku. On kiedyś przyjeżdżał do domu prawie co miesiąc. A dzisiaj on ma swoją rodzinę. A teraz ja nie wiem, czyja dam radę Wicka przeprosić. On pisze, że nie ma o tym mowy.

Kochana Rodzino! Ja prawdę powiedzieć nie chcę, żeby Wicek tu przyjeżdżał. Tak powiedzieć po prostu nie ma po co. Ale z czasem to on się przyzwyczai i sam nie zechce tu jechać. A my tu nie mamy nikogo oprócz Jarka. A w Kanadzie jest nas więcej. Mnie jeden mówił, że Gliwa żałuje, że wrócił z powrotem. Dlatego ja piszę, żeby nie było za późno. Moja Ewunia

bardzo żałuje za Kanadą. Mówi, że jej w Kanadzie było lepiej. Ja nieraz do niej żartuję, jak ja jestem chora, że jak umrę, to zostawisz się sama. To ona mi odpowiada: - Wtedy pojedę do taty i tam będzie mi lepiej. To czemu dziecku żałować tego dobra? Ja źle zrobiła, że z Kanady pojechała. A Wicko jak przyjedzie do Polski, to będzie całkiem do niczego. Wiele mego zdrowia poszło, że mogło się bez tego obejść.

Tak. Kochany Karolu nie ma komu powiedzieć do mnie: - Olga! Na zdro - wie! Może coś się napijemy? I tak jak rok długi, to nikt mnie nie spytał: - Czy ty jadła i czy masz co? Aleja sama sobie narobiła tego, a dzisiaj ciężko to naprawić. Tak moi Kochani. Będę kończyć tych kilka słów, proszę do mnie pisać, całuję Was oboje, do miłego zobaczenia - Olga i Ewa”.

- Strykowie właśnie wybierali się z wizytą do Polski i dlatego mama tak skończyła ten list - wyjaśnił Leszek. A teraz ostatni list od Jarka do tata. Z 14 sierpnia 1964 roku.

Najpierw pisze o mnie i przyznaje rację ojcu i stryjowi: „Bo Leszek umie powiedzieć i odpowiedzieć jak trzeba i jak nie!”

- Dobrze, co? - „chrapnął” wesoło. - Cały mój brat: „Jak trzeba i jak nie”. W krótkich, żołnierskich słowach skwitował mnie. A dalej jest o mamie.

„Teraz powrócę do jednej sprawy, którą uważałem za załatwioną. Ja sądzę, że jednak trzeba mamę z Ewą ściągnąć do Kanady i tam zostać. Masz dobrą pracę.

Trochę zarobisz i będziesz żył dużo lepiej niż w Polsce - co każdy umie stwierdzić. Zresztą, który człowiek chce sobie pogorszyć? Nadzór nad Ewą też powinien być Twój. Wprawdzie ona przestępstwa żadnego nie popełniła, ale dużo rzeczy złych - stryjek też będzie o tym trochę mówił...” Chodzi o to, że Ewa z koleżankami poszły w szkodę, podeptały pole rzepaku czy coś i mama przez stryja o tym mówiła...

„Mama straciła dobrą pracę, przenieśli ją do gorszej. Zresztą rób, jak

uważasz.

Ja miałem już o tym nie pisać..." - Tato widać w poprzednim liście zabronił mu wtrącać się do spraw, o których już zdecydował. A zdecydował mamy z Ewą nie sprowadzać, tylko samemu do nich wracać...

„Ja miałem już o tym nie pisać, ale uważałem, że jeszcze raz napisać należy.

Moje zdanie znasz. Więcej ja do tego wracać sam nie będę, chyba że Ty coś będziesz pisać. Dziękuję za wszystkie rzeczy, postaram się posłać Leszkowi parę ładnych znaczków, kończę, pozdrawiam serdecznie - Jarosław Wawrow”.

- Pełnym nazwiskiem się podpisał?

- Tak. Proszę - pokazał list. - A znaczki posyłał, bo wtedy byłem namiętym filatelistą.

I tym listem ostatecznie ojca przekonał. Argument z Ewą przeważył. Ojciec to zrozumiał. Zrozumiał, że ona w tym wieku musi mieć jego nadzór. I mama sama sobie z nią nie da rady. Jeszcze się wykręcał, ale to były pozory. Dla zachowania twarzy. I ja go wtedy docisnąłem: - Widzisz? Nawet Jarek mówi, że trzeba ich sprowadzić.

- No, tak, ale ja nie mam pieniędzy...

- A te cztery tysiące dolarów co masz w banku?

- Dałem na certyfikat i przez dwa lata nie mogę wybrać.

Zablokowane...

- Dobrze. To ja mam dziewięćset dolarów i będzie na podróż...

- No, ale meble potrzebne. Nic nie mamy... - Podróż będzie kosztować sześćset dolarów, a reszta na meble. Tego lata znów pójde do pracy, to wszystko ci oddam...

Ojciec już nie miał argumentów. W tej sytuacji po trzech latach zdecydował się w końcu mamę z Ewą sprowadzić. Tak to w skrócie

wyglądało - dokończył i dał mi te listy...

- Lekko mi przez ten czas nie było, proszę pana - opowiada Olga Wawrow. Ja bez męża w Prudniku lepiej zrozumiała moją mamcie, kiedy ona po ślubie sama się została ni to panna, ni mężatka. Z wiankiem na głowie. Kiedy to tato prosto z wesela na koń wskoczył i przez Zbrucz na Husiatyń popędził dognać swoich.

- I po roku wrócił chowając się za wojskowy furgon?

- Ja. Do mnie też słano starostów. Pan nie myśli. Kobieta młoda, z dzieckiem, mąż w Kanadzie, to co ta se żałować? Kawalerów chętnych było. I ja musiała politykować, jak im tę furtkę delikatnie przed nosem zamknąć, by nie mścili się na mnie jak Jakem Firmaniuk na mojej mamci...

- A jak to było z tym futrem? Co Karol po powrocie naopowiadał?

- Ja tego futra prawie nie nosiła, bo się bała. Nie chciała nim ludzi kłuć w oczy. Żeby mówili: - Patrzcie! Przyjechała z Kanady i obnosi się, hrabina. - Ja go nawet u siebie w domu w szafie nie trzymała, tylko u sąsiada Klatki...

Zamożne, samotne małżeństwo. Ja to futro parę razy miała na sobie. W Boże Narodzenie szła do kościoła i gdy Jarko przyjechał. W jego asyście się nie bała.

Oficer w mundurze to mnie ta obroni, nie? Miała znów swego body-guard.

Security. Jak Tońka Zacharczuka w Hadyńkowcach - zaśmiała się. - Ale prawdę powiedziawszy, to ja tego futra nie lubiła. Ono mi szczęścia nie dało, proszę pana. Troszku w złości i nie z serca dane. Wicko mi kiedyś wprost powiedział: - Ja ci to futro kupił nie po to, by tyje miała, tylko żeby ludzie widzieli...

I mnie to bardzo bolało. Ja wrażliwa jestem. Pomyślała, że ja na to nie zasłużyła. Na takie słowa. Poza tym te karakuły ciepłe nie były. Futro na wierzchu nie grzeje. Ja troszku goła w nim się czuła. W kościele często w

mróz krzyże podwiewało. To było futro trzy czwarte, z pelerynką...

- Wróciło z panią do Toronto?

- Ja. Ja je przedłużyła u kuśnierza Greka na Spadina, on mi je fajno wypuścił za kolana, ale po tej przeróbce też go nie nosiła. W szafie wisiało. Co je włożyła, to sobie przypomniała słowa Wicka i traciła chęć. Pechowe te czarne karakuły były. A pojawiły się modne baranie kozuszki, to ja sobie kupiła. Baran ciepły, z futrem w środku, fajno grzał. A potem znów coś sobie kupiła. Jakiś nowy chałat.

Pan wie? Czy to nie ma w co się ubrać w Toronto? Stale coś nowego na „sejlach”¹ rzucają. A te karakuły dała siostrze Irce, jak tu do Kanady przyjechała. W 1979 roku, proszę pana. Spytała wpierw Wicka, a on mi mówi: - Ja ci je kupił i rób z nimi, co chcesz. Twoje są...

No, to ja Irci dała. Ona się bardzo ucieszyła. Te karakuły jak raz na nią. Bo ona troszku mniejsza ode mnie. I tak to z tym futrem było, proszę pana. A ten barani kozuszek też długo nie ponosiła. Ktoś skopał mi ogródek i potem wracał do Polski. Ja wdzięczna mu za to była i ten barani kozuszek z szafy wyjęła.

Strasznie mi dziękował. Nawet nie powiem panu kto. Zapomnęła już. Ja do rzeczy nie przywiązuję wagi. Jak dać - to dać. Niech komuś służy. Nigdy nie żałuję. Tak, że karakuły zostały w Kanadzie, a kozuszek pojechał do Polski...

W Prudniku cały czas pracowała w fabryce na eksporcie i w wykańczalni. Tam była nawet czysta robota. My w białych fartuszkach chodziły. Ja nieźle zarabiała, mnie płacili tak, że Wicko nie musiał nam nic pomagać. Mnie starczało.

Mieszkanie kosztowało coś siedemnaście złotych. Tyle co nic. A reszta, byle co dostać. W sklepach kolejki. To ja prosiła Ewę, ona wcześniej ze szkoły wracała, by zajęła mi ogonek. I ona chętnie stawiała, biedna. Potem ja ją z tej

kolejki ledwie mogła wycisnąć. Tak ją ludzie gnietli. Wtedy o mięso było trudno. W Warszawie może z zaopatrzeniem było lżej, ale w Prudniku niczego nie było. Jak człowiek dostał ochłap sonej wołowiny, to się cieszył. Gdyby ja nie żyła w Kanadzie, to by tego nie widziała. Nie wiedziała, że bez kolejki jest coś lepszego. Tak, że jak ja z Kanady wyjeżdżała przysięgając sobie, że ziemię będę w Polsce całować, zginę, a tam już nigdy nie wrócę, to teraz zmieniła zdanie.

Przede wszystkim nie chciała, by moje dzieci tak się tu męczyły. Jak widziała mój ą biedną Ewunię w tej kolejce zmarzniętą siną jak to mięso, między ludźmi ściśniętą, to mi się serce krajało. Pisała do Wicka, by on nie wracał, i prosiła go, by przysłał nam bilet, ale on ta się nie śpieszył. Chciał mnie pokarać, jak ja już panu mówiła. I ja powoli traciła nadzieję...

Aż na trzeci rok dostaję list od Wicka, w którym nagle pisze mi: „Jak Ty długo za tablicą w tej fabryce będziesz stać i materiały przebierać? Czas ci wracać!

Ja bilety dla was kupił. Wsiadajcie na samolot i przylatujcie. My tu z Leszkiem na was czekamy...”.

No, to ja w krótkich abugach², proszę pana, zaczęła robić starania. Ale to wcale nie było takie łatwe. Jarko przyjechał z Krosna, by z paszportami mi pomóc, wypełnił papiery i pojechał z nimi do Opolu, ale wrócił z niczym. Nic ta nie załatwił. Wtedy ja zwolniła się z pracy, akurat dostała premię eksportową pięćset złotych, wzięła ze sobą Ewę, bo zawsze z nią czuła się lepiej, i pojechała do tego Biura Paszportowego w Opolu. Na kurytarzu w milicji stanęła przed żelaznymi drzwiami do pokoju. Były zamknięte, ale ja coś czuła, że trza 1 Od ang. sale - wyprzedaż. 2Od niem. Abzug - odstęp.

mi czekać. Ktoś do tych drzwi przyjdzie. I rzeczywiście. Po chwili nadeszła młoda dziewczyna i otworzyła je z klucza. Ja myk z Ewą za nią do środka.

- Pani widzi, że my dziś nie pracujemy, że biuro nieczynne.

- Ja tylko na trzy słówka...

- Proszę wyjść...

Aleja zaczęła ją prosić, by mi pomogła, mówiąc, że ja specjalnie zwolniła się z pracy, kawał drogi jechała, i szybko wsunęła jej do kieszeni tę kopertę z premią eksportową. Ona ją wzięła i powiedziała, że tylko tyle może zrobić, że moje papiery położy na wierzch. Dobrze i to. Ja jej podziękowała i wróciła z Ewą do Prudnika. Na drugi dzień ta dziewczyna przychodzi nagle do mnie do domu i przestraszona mówi: - Pani mi dała kopertę z pieniędzmi. Ja się boję, że to może być podstęp. Ja mogę przez panią stracić pracę i pójść do więzienia. Mnie tego nie wolno robić...

Jajaprzekonała, że może sienie bać. Ja nikomu nie powiem, to tylko między nami, ja z córką wyjeżdżam do męża do Kanady i nikt się o tym nie dowie...

Ona się uspokoiła. Była w drodze do matki i dziecka i do mnie wstąpiła.

- Premię eksportową wzięła?

- Ja. Może za tydzień ja już paszport miała. Ja wierzę, proszę pana, że jak ma być dobrze, to j est. Czują coś, że teraz tak będzie i trza to wykorzystać. Jak dostała ten paszport, to mówię do Ewy: - Jedziemy po wizę. Co ta!

I prosto z Opoła z tymi paszportami my pojechały do Warszawy. Konsul kanadyjski tak popatrział na mnie, popatrział, widzi - ja z dzieckiem. Ja mu przez tłumacza powiedziała, że wracam do męża i syna do Toronto i z moją rodziną chcę się połączyć. I on mi wizę od ręki dał. Ja sama się dziwiła, że mi tak gładko poszło. Jak by tym kto z nieba kierował. Może w jakies dwa tygodnie od listu Wicka ja już była gotowa. Wszystkie dokumenty miała i mogła jechać. Wzięła z pracy urlop. Większość rzeczy z domu, dywany,

firanki, zostawiła Mańce Gnach i Broni za to, że one takie dobre dla mnie były. Troszku wziął Jarek, który z Hanią i małą Ula przyjechał do mnie do Prudnika, by nas na lotnisko odprowadzić.

- Ja sporo dała mojej koleżance z pracy, Marysi Jankowskiej. Jej mąż pijak, ona miała dwoje dzieci i ciężko jej było. Jeszcze, pamiętam, w kuchni stał garnek z rosółem, co my nie zjedli, a garnek duży, nowy, więc mówię do sąsiadki, pani go pomyje i bierze. Ona ucieszona do swej córki woła: - Nieś do domu i podgrzej!

Ta bez grzania już na schodach ten zimny rosół zaczęła jeść, bo on fajny był, na kurze, z makaronem, który ja sama robiła...

Na lotnisku w Warszawie my się pożegnali i Jarek zrobił mi jeszcze zdjęcie z trzy letnią Ula. Jak ja ją trzymam na rękę przed tym odlotem do Kanady.

To zdjęcie ja tu gdzieś mam, proszę pana - i sięgnęła do grubego albumu, by mi je pokazać.

- To był najcięższy dzień w moim życiu - opowiada Leszek. - Wyprowadziłem się już od stryjka i zamieszkałem z tatą na trzeciej podłodze1 w domu przy 104 Pearson Avenue. Tuż za greckim kościołem w polskiej dzielnicy. Stąd parę kroków.

Tylko przebycie tych paru kroków, żebyśmy sobie spokojnie mogli mówić tu, na Geoffrey Street w moim własnym domu, zajęło mi trochę czasu. Wtedy ważyły się moje losy. Miałem szesnaście lat. Mieszkaliśmy tam na górcie, „w gołębniku” - jak śmiał się z nas stryj. - Ty, Wicko, w gołębniku żyjesz jak pocztowy gołąb - mówił. - Ja takie gołębie w Hadyńkowcach hodowałem. Więcej miejsca było u mnie w klatce niż tu na tym strychu...

Ten pokój wynajmowały nam dwie stare babcie, które też z nas się śmiały, że my zawsze z ich domu wychodzimy w dwie różne strony. Stary w lewo, młody w prawo.

Albo odwrotnie. Ale nigdy razem. I tak było...

Tato tego dnia leżał w łóżku chory na zapalenie płuc i chciał, żebym jaz nim pobyl. A ja zacząłem się ubierać. No to mi oświadczył, że jeśli wyjdę z domu, to żebym nie ważył się wracać.

Byłem umówiony zjedna Basią, starszą ode mnie o cztery lata, która zaprosiła mnie do kina, i nie chciałem się spóźnić. Film skończył się o wpół do dwunastej i ja po cichutku otworzyłem drzwi. Na palcach zacząłem wspinać się do naszego „gołębnika”. Liczyłem, że ojciec już śpi. Tymczasem światło w pokoju paliło się, a on w drzwiach zastąpił mi drogę.

- Gdzie ty idziesz? - spytał.

- Do domu.

- Natychmiast wracaj się i idź tam, skąd przyszedłeś...

Do kina nie mogłem iść. Zamknięte. Pobiegłem do Kazika Wawrzonka, mojego przyjaciela ze szkoły i późniejszego drużbanta na moim weselu z Ireną. Na szczęście jeszcze nie spali. Z głupią miną spytałem, czy mogą mnie przenocować, bo tato mnie wyrzucił i nie mam gdzie spać. Pościelili mi na kanapie w dinning room², ale nie mogłem zasnąć. Do rana biłem się z myślami. Jak tata słyszał, że mówię - biję się z myślami, to zawsze kpił: - Dobrze, że z myślami, a nie z gównem, bo byś się cały wysmarował...

A teraz biłem się naprawdę. Nie cierpiałem go. Wściekłość z nienawiścią miotają mną na przemian. Co mam robić? Jestem w dziesiątej klasie. Mam 1 Na drugim piętrze.

2 Jadalnia.

szesnaście lat. Pójdą z domu, to musze, iść do pracy. A pracowałem już i wiem, jak traktują ludzi bez wykształcenia. Najniższa kategoria. Jak nie pójdę, to muszę zostać i słuchać tego starego durnia. A mam go dość. Przewracałem się z boku na bok i o świcie dopiero zasnąłem.

Rano pani Wawrzonkowa dała mi śniadanie, zrobiła kanapki.

Wypiłem herbatę, wziąłem kanapki i poszedłem do szkoły. Po lekcjach wróciłem do domu. Ojciec czekał w ciepłym swetrze i chodził po pokoju.

- No, co? Przyszędłeś się pakować? Walizka jest tam! - wskazał szafę.

- Zaraz się będę pakował - mruknąłem i siadłem przy swoim stoliku. Z szufladki wyjąłem swój dzienniczek i pod datą 14 lutego 1965 roku napisałem po angielsku, żeby tata nie zrozumiał: „Najgorszy dzień w moim życiu. Nie wiem - iść tędy czy tamtędy?” I wyrysowałem czarnym długopisem trupa czaszkę ze skrzyżowanymi dwoma piszczelami...

- Czemu się nie pakujesz? - spytał ojciec. Milczałem.

- To słuchaj uważnie. Jeśli ty chcesz zostać u mnie, to wiedz, że ja tu jestem dyktatorem. Jeśli ci się to nie podoba, pakuj walizkę i idź. Jeśli chcesz zostać, to na moich warunkach. Będziesz się uczył, będziesz dzieckiem, to ja ci pomogę. Jeśli ty jednak uważasz, że ty jesteś już taki dorosły i dasz sobie radę sam - droga wolna. Ja cię trzymać nie będę... Milczałem dalej.

- Więc jak? Wiz czy perewiz! Decyduj. Idziesz, czy zostajesz?

- Zostaję - mruknąłem, a w duchu pomyślałem: - Czekaj, stary durniu.

Niech ja tylko skończę szkołę, to ci pokażę!

- A teraz coś panu pokażę - Leszek parsknął śmiechem. Sięgnął do swego archiwum i wręczył mi duży arkusz papieru.- To nasz kontrakt z Renią. Spisany między mną, Ireną i kochaną naszą córunką. Renia mając szesnaście lat stawiała się mnie identycznie jak ja ojcu. Była tak samo harda, wiedziała najlepiej i z nami się nie liczyła. Kiedy przebrała się miarka, wyrzuciłem ją z domu. Irena w duszy przeżywała katusze, ale stanęła po mojej stronie. Rozumiała, że to dla Reni dobra. Nawet babcia Ola, która Renie uwielbia, powiedziała, że „Reni trza troszku lejc skrócić. Bo poniesie”...

Po jakimś czasie Renia wróciła i milczała. Wtedy ja powtórzyłem dokładnie to, co tato powiedział mnie: - Listen \ Renia! Chcesz u mnie zostać, to na moich warunkach. Ja tu jestem dyktatorem. Chcesz się uczyć, chcesz być

kimś, skończyć studia, być dzieckiem, to ja ci pomogę. Ale jak uważasz, że jesteś już taka mądra, że dasz sobie radę sama - droga wolna! You can go! 2 1 Słuchaj.

2 Możesz iść.

I Renia zdecydowała zostać. Wtedy podyktowałem ten kontrakt, który podpisała w obecności świadka - mojej siostry Ewy Prokop. W tym kontrakcie zobowiązała się mieć wyniki w nauce powyżej 70 punktów, przestrzegać curfew, czyli godziny policyjnej - być w domu najdalej o dwunastej, żadnych decybeli i puszczenia dysków na fuli, tylko w słuchawkach i tak dalej - pokazał u dołu cztery podpisy.

Nawet moja Irena przeciera dziś oczy. Renia jest innym dzieckiem. Uczy się świetnie, w czasie wakacji pracuje w stoisku u Baya, Spoważniała i coraz bardziej rozumie, że to, co teraz ma, nie spadło nam z nieba. Doszliśmy do tego ciężką pracą. Bardzo ciężką. I ona, jeśli w życiu chce być kimś, do czegoś dojść, też musi pracować. Nie bimbać sobie i odcinać talony.

Ciekawe jak to się dziedziczy, co? Mając szesnaście lat byłem the same¹. Dlatego mogę łatwo zgadnąć, co Renia myśli. I jak chce tego starego durnia wykiwać! Ale nie wyszło.

- Mój Wicko w eleganckim garniturze i krawacie czekał na mnie na lotnisku, obok stał Lesio - opowiada Olga Wawrow. - Ja Lesia nie poznała. Zostawiła chłopca, a tu stał kawaler, mężczyzna jak Wicko. Też fajno ubrany, w skórzanej kurtce i modnych kowbojskich kozakach...

Wręczył mi bukiet kwiatów, jak trza. Pocałował w rękę, choć mógł mieć żal, że ja go tak na trzy lata samego z tatem zostawiła. On na pewno to przeżył. Dzieckiem był i nie wszystko rozumiał. Ja zaczęła go tulić i całować. Wiedziała, jaką w nim mam podporę i ile mi pomógł, że ja tu znów jestem. To już nie był ten mały Lesio z Prudnika. Ja to zaraz wyczuła. Po angielsku swobodnie szwargotał, rozmówił się, zarządził i my ta tylko za nim szli. Oni

Ewuni też nie poznali.

Mój Wicko całe życie miał do niej słabość i ona mogła z nim robić, co chciała.

Jak teraz rzuciła mu się na szyję z okrzykiem: - Tata, ty jesteś! Ja się ciebie doczekać nie mogła! - no, to mój Wicko tylko nosem szurnał i brwi mocniej ściągnął, by nie zapłakać. Mocno to przeżył. Ja go znała. Na urodę Ewy nie mógł się napatrzeć. Bo ona blondynka, wysoka, z siwymi oczami - w Wawrowych poszła.

Mając trzynaście lat już dużo wyższa ode mnie była.

Ja do Wicka powiedziała: - Ty, Wicko, taki elegant, wysztafirował się w tej Kanadzie, że ty musiał tu beze mnie nieźle kawalerować! Jak w Hadyńkowcach przed ślubem! Tato ta żadnej pannie pewnie na zabawie tańca nie darował. Co Lesiu?

- Ja ta nie wiem, mamó - odparł Lesio. - Ty mnie nie pytaj. My z tatem w różne strony chodzili...

1 Taki sam. - Przyznaj się, Wicko!

- Ja tylko w szachy z kolegami grał - zaśmiał się.

Zaraz powieźli nas z Ewą do siebie na Pearson Street...

- Do „gołębnika”...

- Ja. Ja w tym „gołębniku” szczęśliwa była jak gołębica, proszę pana, rada, że znów sama z moim Wiekim bez stryjków jestem. Bo gdyby my z nimi nie zamieszkali, to może ja by do Polski nie wyjechała. Bo od tych kłótni z Karolem się zaczęło. Że ja mu nie dała Wiekim tak rządzić. I Karol zły na mnie był.

Ktoś musiał być winien, to na mnie gniew wylał. A teraz z tymi babciami spokój był. U córki z matką my ten strych rentowali i one już obie stare były. Bo pani Stefa miała pod siedemdziesiątkę, a jej matka dziewięćdziesiąt trzy. My im płacili rent i one się nas nie czepiały. Ja

niewygodę tylko miała, że kuchnia na dole była. Ale to dało radę przeżyć. Ja zaraz do pracy poszła, do „karpetowni”, gdzie Karol pracował na Barrymore, i zaczęła zarabiać. Teraz postanowiła sobie, że na podłodze klęczeć będę, ręce po łokcie urobię, a w Kanadzie zostanę. I staniemy na nogi. Pokażemy Karolowi, że my też coś warte. Wicko miał już parę tysięcy złożone w banku i ja myślała dom kupić, by swój mieć i obcym nie płacić, ale mąż wciąż nie mógł się zdecydować. Do Prudnika chciał wracać i tam dom kupować. Tych swoich dolarów nie dał ruszać. Za jakiś czas brat Karol nowy bungalow sobie kupił i mówi, by my do jego domu na jedną podłogę się wprowadzili.

- Na razie będziecie płacić mi rent, a potem ja go wam sprzedam...

Ja się troszku bała, bo znała, jaki on zmienny jest, i spytała Leszka, co on o tym sądzi. A Leszek to samo powiedział, że ze stryjkiem w żadne spółki nie trza wchodzić, bo u niego raz tak, raz tak. I ja Wicka przekonała, że my sami czegoś dla siebie powinni szukać. Ale Karol przewrotny był i im my więcej od niego tego mieszkania nie chcieli, tym on bardziej je nam wpychał.

Wreszcie kiedyś w „karpetowni” podszedł do mnie i przy wszystkich powiedział: - Masz klucze! I wprowadzajcie się do mnie z Wiekiem na drugą podłogę!

My się wprowadzili i zaczęli się urządzać. Ja z pudeł rzeczy wyjmowała i sobie układała. Dzieci po kościele poszły do Wawrzonków na cały dzień i my sobie z Wiekiem siedzieli sami. Spokój, cisza, ja naprawdę odpoczywała. Po obiedzie przyszała sąsiadka Kazimierzczka, ja jej dała herbaty i my sobie gadały. Nagle wpadł Karol z Ewą i na nas: - Jak wy domu pilnujecie?! Lokator z góry skarży się, że za płotem pijaki się całują!

- Lokator sam policjant, niech im zwróci uwagę! Ja nie patrzę, co jest za płotem. I nic takiego nie widziała! Wino sobie pili...

‘Na pierwsze piętro. - Nie mądruj się jak Leszek! - krzyknął. - Jak lokator mówi, to wie! Po paru piwach czepiał się. Jak to Karol. Z nim był jakiś

Słowak, wskazał go i mówi: - On jest z real estate1 i ja ten dom sprzedaję!
Dość mam kłopotów!

- Panie Wawrow - Kazimierzczuczka mu wprost powiedziała. - Oni jeszcze pudeł nie rozpakowali, a pan już im każe się wynosić i dom sprzedaje...

- Słuchaj Karol - mówię mu. - Jak ty ten dom sprzedajesz, to my z Wiekiem chętnie go od ciebie odkupimy...

- Ja nie będę szedł na drugi mortgage2 - odparł. A żona Karola dodała:
- Skąd ty weźmiesz tyle broszy?

My by oczywiście musieli wziąć w banku mortgage, ale by mu wszystko spłacili. No i w końcu on ten dom komu innemu sprzedał za trzydzieści dwa tysiące dolarów, a my dużo gorszy kupili z Wiekiem na Sunnyside za dwadzieścia siedem. Karola dom był nowy, z balkonami, wygodny, każda podłoga z oddzielnym wejściem. My go mogli lepiej rentować i z lokatorami by się tak nie męczyli jak w tamtym. Ale cóż.

Interesy z bratem Wicka ciężko zrobić. Niestety. Nie dało się, proszę pana...

- Miałem wtedy osiemnaście lat i chociaż głównie interesowałem się dziewczynami, nie miałem jeszcze steady girlfriendP - mówi Leszek. - Raz na lodowisku w High Parku poznałem szesnastoletnią dziewczynę, Yvonne...

Na tym lodowisku była ze starszym bratem Bronkiem, a ja z czternastoletnią Ewą.

Yvonne bardzo mi się spodobała. Drobna blondynka o kędzierzawych włosach. Mimo silnego mrozu była tylko w czarnych spodniach i niebieskim sweterku. Spod niego sterczały twarde, wydatne piersi. Wiedziała, że są ładne i je demonstrowała. W tym obcisłym sweterku i spodniach była wyjątkowo zgrabna. Jak figurynka z porcelany. W końcu nie wytrzymałem i zapytałem, czy chce ze mną jeździć ręką w rękę. Zgodziła się i zaczęliśmy jeździć we

dwoje.

Powiedziała mi, że przed dwoma laty wyjechała z Frydmana za Zakopanem przy granicy słowackiej. Sprowadziła ją wraz z matką i bratem starsza siostra Marysia, która wcześniej wyszła tu za męża. Ojciec zginął w wypadku. Yvon-ne wtrącała czasem góralskie słowa, które bardzo mi się podobały. Jej brat Broniek zaproponował, że odwiezie nas do domu. Miał sportowy wóz thunder-bird rocznik 1, który w 1968 roku był szczytem marzeń. Broniek, jako stolarz, dobrze zarabiał. Jak każdy góral - złota rączka. Okazało się, że chodziłem z Yvonne do jednej szkoły. Tej samej handlówki co Ewa i Janek Prokop - Western Technical and Commercial Highschool...

1 Z nieruchomości.

2 Kredyt hipoteczny.

3 Stała dziewczyna.

Janek, późniejszy mąż Ewy, był moim kolegą z klasy. Urodził się w Niemczech i nigdy w Polsce nie był. Ale dobrze mówił po polsku. Jego ojciec, Leon Prokop, który mieszka na tej samej ulicy co ja, jest ostatnim polskim ułanem. Zdążył przed wojną służyć w kawalerii. Brał udział w 1939 roku w bitwie pod Kutnem...

Kiedy podjechaliliśmy tym sportowym thunderbirdem pod nasz dom na Sun-nyside, zaprosiłem wszystkich do siebie na herbatę.

- Mielicie już swój dom?

- Tak. Na jesieni 1967 roku, w dwa lata po przyjeździe mamy z Polski, rodzice kupili duży jednorodzinny dom przerobiony na kilka mieszkań. Na parterze był living room \ gdzie stał telewizor i kanapy, dining room, z tej jadalni rodzice zrobili sypialnię, i duża, staromodna kuchnia - centrum naszego życia. Z kuchni szło się do małej komórki nad schodami, gdzie stało łóżko Ewy. Ja miałem swój własny pokój na drugim piętrze. Resztę pokoi wynajmowaliśmy, żeby były pieniądze na spłatę pożyczki za dom.

- Znaczy taki mały hotel?

- Dokładnie. Obok mnie mieszkał samotny mężczyzna z Nowej Funlandii, na pierwszym piętrze stare małżeństwo z dorosłym synem baskijskiego pochodzenia i bezdzietne małżeństwo Łotyszy. Baskowie mieli własną kuchnię, ale dzielili łazienkę z Łotyszami, Łotysze zaś w „bejsmencie” mieli kuchnię, której dyskretnie używali przechodząc przez naszą. Na dole my mieli prysznic, łazienkę i pralnię, a Łotysze stół, piecyk gazowy i szafki.

- To lepiej niż w Prudniku. Bo mama ze swego domu musiała się wyprowadzić ze względu na przejściowy pokój...

- Łotysze delikatniejsi od Rasiewiczów - „chrapnął” Leszek. - Bywa. Ale mama im po chrześcijańsku wybaczyła. Sprowadziła ich potem nawet do Kanady. Zygmunt Rasiewicz pracował u nas w piekarni.

Wracając do hotelu na Sunnyside, to przez trzy tygodnie mieszkały nawet u nas trzy prostytutki z Nowej Szkocji. Tato się nie zorientował i wynajął im. Dopiero się połapał, jak gości na noc zaczęły sprowadzać. Wtedy, przerażony, im wymówił.

Skłamał, że te pokoje potrzebne nam są dla rodziny, która nagle przyjeżdża. Nie chciały się wyprowadzić. W końcu się wyniosły, przyrzekły, że zapłacą, oczywiście nie zapłaciły, ale rodzice byli szczęśliwi, że się ich pozbyli. W tym domu tato z mamą sprząтали, prali, zmieniali pościel jak w hotelu. Wszystko po swojej pracy w fabryce. Pamiętam, jak ojciec jeździł odkurzaczem po korytarzu.

Mama przyzwyczajona była do moich gości, lubiła ich karmić, więc jak tylko weszliśmy, zaraz zaprosiła wszystkich na herbatę.

1 Salon.

Okazało się, że siostra Yvonne i Bronka to Marysia Dębal, z którą mama pracowała w Barrymore Carpet i od której wiele o nich słyszała. Gdy tato wrócił z szachów, to oni jeszcze byli, ale już się żegnali. Memu tatowi

Yvonne bardzo się spodobała.

Po tym pierwszym spotkaniu długo nie widzieliśmy się, tylko przelotnie w szkolnej kafeterii, czyli stołówce. Mama często wspominała o Yvonne. Widać w pracy o nas z Marysią rozmawiały. Jaka to by z nas była dobra para...

- Yvonne za trzy lata skończy handlowkę - mówiła - i może iść do pracy za sekretarkę. Zrobimy wesele i ona pomoże ci skończyć uniwersytet... - musiałem się wtedy zacząć dobrze uczyć, skoro mowa była o uniwersytecie.

Mama jak w Hadyńkowcach od wyprawiania wesela zaczynała życie.

- A potem będzie z dziećmi w domu - agitowała dalej.

- Mamo, daj mi spokój! Gdzie mi do żeniaczki? Trzy lata szkoły, cztery lata uniwersytetu, jeszcze trzy lata prawa, żebym był adwokat jak stryjko Iwanko - bo rodzice tak chcieli...

- Wszystko da radę zrobić. Yvonne jest robotna jak wszystkie góralki, dobrze się uczy, dwa lata w Kanadzie, a już perfektnie mówi po angielsku, do tego bardzo ładna jest - mama niemal codziennie zaczynała te wywody.

- Mówiłeś, że weźmiesz albo warszawiankę, albo krakowiankę, a góralka lepsza niż krakowianka. Góralki są zaradne, pracowite i dobrze prowadzą dom, a ty do pracy masz dwie lewe ręce. Jeszcze weźmie młotka i obraz ci przybije. A Broniek półki na książki zrobi. Twój pradziad Ławrow wziął szlachciankę z krakowskiego, a ty mówiłeś, że nie ożenisz się z Ukrainką jak twój tato - więc teraz masz krakowiankę z gór. Trza ją brać, Lesiu...

Na wakacje poszedłem pracować do Barrymore Carpet Manufacturing i któregoś dnia Marysia zaczepiła mnie: - Umówiłeś się wreszcie z Yvonne?

- Najpierw za pierwszą pensję muszę kupić sobie garnitur. Nie mogę twojej siostrze zrobić wstydu. I wyglądać jak dziad - zażartowałem.

- Ty nie zwalaj na ubranie, nie zwlekaj, bo dziewczucha ładna i ino dym

po niej pójdzie - ostrzegła mnie.

Marysia ma rację, pomyślałem. Warto się z tą Yvonne zobaczyć i gdzieś pójść.

Przeczytałem ogłoszenie na Roncesvalles, że Związek Narodowy Polski organizuje niedzielne zabawy taneczne dla młodzieży w budynku na Que-enie róg Dovercourt.

Zaprosiłem więc Yvonne.

W niedzielę przyjechałem do jej domu na Royal York. Mieszkała tam z matką, bratem Bronkiem i Marysią Dębal z mężem i dziećmi. Pojechaliliśmy tramwajem po Bloorze do Dundasu, metra jeszcze wtedy nie było, a później Kingiem do Queenu, Queenem zaś do Dovercourt. Dwie przesiadki, trzy tramwaje i już róg Dovercourt i Queen, gdzie jest Dom Polski. Pamiętam, że był to ogromny budynek z czerwonej cegły, obok Mental Hospital, szpitala psychiatrycznego, w stylu późnego wiktoriańskiego baroku z mnóstwem wieżyczek, dekoracji i załamania dachów. W środku tętnił polonijnym życiem. Na parterze była redakcja „Głosu Polskiego”, drukarnia, biura Grupy I. i Zarząd Główny ZNP. Gdy się weszło po stromych schodach na pół-piętro, to był tam duży, drewniany bar z wysokimi stołkami. Za barem lustrzana ściana z półką butelek wyglądających jak grzbiety książek - biblioteka egzotycznych trunków. Nad całością królował wielki portret Józefa Piłsudskiego. Stary Marszałek wsparty na szabli smętnie patrzył, zadumany, ze zwieszonymi wąsami na tego pijących rodaków za barem. Na przeciwległej ścianie by duży napis: „Bóg - Honor - Ojczyzna” - zawołanie Związku, a pod nim skrzyżowane sztandary Polski i ZNP.

Z tego baru wchodziło się na główną salę.

Przyszliśmy z Yvonne w sam raz. Zabawa się jeszcze nie zaczęła. Bileciar: w ramach promocji miał wpuścić piętnaście dziewcząt za darmo. Na sali się działo dopiero sześć, więc Yvonne, jako siódma, weszła z&free. Nie

musiałem za nią płacić biletu, tylko za siebie. W środku było stado chłopaków. Obsiedli stoły i czekali na wolne dziewczyny. Kilkunastu rezerwowych piło w barz gotowych do akcji. Ewa z Jankiem byli już. Mieli dla nas zarezerwować miejsc, ale nie musieli. Siedzieli sami w końcu stołu. Przysiedliśmy się do niego. Powoli sala wypełniała się. Przybyło trochę dziewcząt, ale chłopcy mieli miażdżącą przewagę.

Nie przejmowałem się. My z Jankiem mieliśmy swój dziewczyny przy stole.

Orkiestra Edzia Guzy ruszyła ostrą polką wszystkimi instrumentami: „Hej hej!

Kawalerowie! Nie zwracajcie dziewczynie w głowie!” - zaśpiewa dziarsko.

Kawalerowie ruszyli spod ścian do nielicznych dziewcząt.

- Jadzie bolt, jadzie bolt, wilsa się turnują!’ - ciągnęli dalej chłopcy z orkiestry.

Wziąłem Yvonne do tańca. Tańczyła świetnie. Góralki taniec mają we krwi. Po kilku szybkich kawałkach orkiestra wzięła przerwę, a po przerwie o tank z moją partnerką poprosił mnie jeden z chłopaków. Zgodziłem się chłodno. Yvonne śmigła po parkiecie wesoło jak na lodowisku w High Parku, a przy ciężkiej odmówić, jak Ewa, która innemu powiedziała, że Janek był pierwszy i jemu taniec obiecała.

Yvonne już nie wróciła do naszego stołu. Było mi strasznie głupio przy siostrze i Jankiem. Z trudem nadrabiałem minę. Po paru kawałkach oni przestali tańczyć i solidarnie siedzieli ze mną, bym nie był sam. Strasznie się męczyłem. Kiedy odegrali hymny, odetchnąłem z ulgą. Podeszedłem do Yvonne i powiedziałem: Jedzie statek, jedzie statek, koło się obraca. Działem, że zawiozę ją do domu. Chciała jechać ze swoim tancerzem, ale nie zgodziłem się: bo to ja Yvonne wziąłem z domu i ją do domu odstawię.

Nadęta ruszyła z nami. Wypomniała mi, że nie zapłaciłem za nią bilet - sama weszła i sama mogła wyjść. Czułem jednak, że czeka na moje słowo. I chce się przeprosić. Pewna, że jutro i tak zadzwonię. Zaczęła o czymś mówić, jakby się nic nie stało, co mnie jeszcze bardziej wściekło. Nie było o czym mówić. Durna.

Nic nie rozumie. Gdy podeszliśmy pod jej dom, powiedziałem tylko: - To bye, bye, Yvonne. Dalej już trafisz sama. - I szybko odwróciłem się, by nie widziała mojej miny.

- Zadzwon! Afternoon Sunday mam wolne! - rzuciła za mną. - I nie bądź taki, jerk! W Kanadzie to śmieszne! Jeśli zaszalałam, to sorry \ W przysługę niedzielę masz u mnie taniec poza kolejką. Ekstra! - zaśmiała się.

Nie odezwałem się i szybko podrażowałem do domu na piechotę. Musiałem wymaszerować to wszystko. Nawet nie wiedziałem, kiedy znalazłem się w domu.

Klapnąłem smutno na krzesło. Tato był w kuchni. Widział mój a przegrana minę. I wtedy właśnie opowiedział mi tę historię o Ryście Kapustyńskiej. I swoim z nią rozstaniu w dworskiej alei lipowej w Hadyńkowcach przed wielu, wielu laty. I to mi bardzo pomogło...

W 1968 roku wstąpiłem do zespołu tanecznego „Biały Orzeł” przy Grupie 1. Związku Polaków w Kanadzie - opowiada dalej Leszek. - To była najstarsza, założycielska grupa ZPwK, powstała w 1921 roku - nazywano ją matką organizacji. Ten zespół pociągnął mnie głównie z powodu dziewcząt. Jedna Basia tam tańczyła i raz ją odprowadziłem na próbę. Zobaczył mnie Paweł Dubicki, który ten zespół prowadził, i mówi: - Chodź, spróbuj! Jak oni tańczą, to i ty możesz...

Brakowało mu chłopców, bo miał tylko trzech na siedemnaście dziewcząt. On ten zespół z poświęceniem prowadził, a Broniek Łukasiewicz grał na harmonii. Wziąłem Basie pod boki i zakręciłem w polce. Uznał, że jak

na pierwszy raz - nie jestem zły, i spytał, czy chcę wstąpić do „Białego Orła”.

- Whynot? Mogę...

Zacząłem przychodzić na próby do sali Grupy I. na Claremont Street. Za mną przyszedł mój ojciec. Wybrano go do Komitetu Rodzicielskiego i wkrótce został jego przewodniczącym. Szybko mianowano go sekretarzem protokółowym Grupy I., a jak poznano się na jego talencie organizacyjnym i gospodarności - zaczął pełnić odpowiedzialne funkcje najpierw w Grupie 1/7, największej w ZPwK - a 1 Od ang.jerk - szarpnąć - postrzeleniec, wariat. potem w Zarządzie Głównym, gdzie przez sześć lat był sekretarzem finansowy!

Związku. Dbał o jego fundusze jak o swoje i starał się powiększyć występując różnymi inicjatywami. Doświadczenie ze sklepu i z promocyjnych zabaw i festińów w Hadyńkowcach bardzo mu pomogło. Tu też organizował pikniki, występ gry i loterie fantowe, z których dochód przeznaczał na potrzeby Związku. Za panowania Tadeusza Glisty i Henryka Łopińskiego Związek Polaków w Kanadzie ni miał długu, rósł w siłę i dysponował potężną bazą finansową. Tato pomagał kupować potrzebny sprzęt. Inwestowali. Nabył nowy lokal na Bloor Street, w którym miał swoje biura, redakcję i drukarnię „Związkowca”.

Osobiście trzem ludziom ze starej emigracji najwięcej zawdzięczam - cis gnał Leszek. - Ci trzej muszkietierowie, jak ich nazywam, są moimi mentonami i ojcami duchowymi. Pierwszy z nich to Benedykt Heydenkorn¹, redaktor „Związkowca” w latach sześćdziesiątych, drugi Rudolf Kogler, trzeci Wociek Krajewski. Pod ich kierunkiem wzrastałem. Mieli do mnie anielską ciepliwość. Przecież ja dużo nie wiedziałem. Byłem synem chłopca, nie inteligenta. Mimo że pożerałem książki na wierzbie. Pojęcia nie miałem o wyższej kulturze. Przyjechałem z małego miasteczka, prostej rodziny. Ci „trzej muszkietierowie” mnie edukowali. Odkryli przede mną świat przedwojennej polski*

inteligencji. Uczyli historii, polityki, języka - podsuwali lektury. Korygowa moje błędy. Pan Benedykt poprawiał mnie wciąż: - Nie mówi się, drogi Lesh „my byli”, jak u ciebie, synku, w domu na Kresach, tylko „my byliśmy”. Lu po prostu „byliśmy”. - I ja mu za to dziękowałem.

Dzięki temu my dziś ni „spotkali się u mnie na Geoffrey Street, siedli sobie fajno i gadali”, jakby pc wiedziała moja mama...

- Tylko „spotkaliśmy się. I gadamy”. Po prostu.

- Tak jest. Dokładnie - „chrapnął” wesoło. Tak, że on był moim profesorem.

Chciałem się uczyć, on to widział i uczył mnie. Pozostali dwaj też.

Wszyscy trzej byli zdeklarowanymi antykomunistami, tak jak mój tata. Tyle, że ukazali mi komunistyczne rządy od strony intelektualnej. Ale zalecane przez nich źródła polskie czy angielskie w pełni potwierdzały doświadczenie moich rodziców z Hadyńkowiec. Powtarzały historie, które słyszałem o dziecka.

Każdy z tych trzech moich mentorów prezentował inną osobowość i światopogląd.

Benedykt Heydenkorn, przedwojenny krytyk teatralny i korespondent Ha vasa w Warszawie, to liberał-demokrata. W czasie wojny walczył jako żołnierz II Korpusu generała Andersa, był dziennikarzem wydawanego na Bliskim Wschodzie „Orła Białego”...

1 Niestety nie doczekał wydania tej książki, na którą bardzo czekał - zmarł w Toronto 1 października 1999 roku. Rudolf Kogler¹ nauczył mnie rzetelnej, skutecznej pracy społecznej. Jak mój ojciec, od wczesnej młodości był skarbnikiem. I zajmował się organizacją i finansami. Już w Gimnazjum w Wadowicach kierował szkolną kasą i udzielał swemu koledze Karolowi Wojtyłce pożyczki na kostiumy i dekoracje do przedstawienia, które przyszył. Papier w kółku teatralnym reżyserował.

Wojciech Krajewski niestety już nie żyje. Był świetnym inżynierem z Rzeszowa po Politechnice Lwowskiej, o poglądach narodowych spod znaku Dmowskiego, innych niż moje, co nie przeszkadzało nam razem świetnie współpracować. Każdemu pomagał.

Mnie z własnej kieszeni bez słowa pożyczył dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, gdy znalazłem się w trudnej sytuacji.

- Czy mamy iść do adwokata? - spytałem.

- Nie trzeba. Znam twego ojca. Wystarczy, że on zagwarantuje. Odda mi pan, kiedy pan będzie miał. Na razie mi się nie śpieszy - powiedział.

Na głowie stanąłem, by mu szybko zwrócić. Ten gest całe życie będę pamiętał.

Wsparł mnie nie tylko finansowo, ale duchowo. Nie mogłem go zawieść.

Od 1964 roku przez siedem kolejnych wakacji pracowałem w Barrymore Carpet Manufacturing, tam gdzie mama i stryj Karol. Zacząłem w kotłowni farbiarni, ale była to bardzo trująca, niezdrowa praca. Po paru godzinach głowa mnie bolała.

Całkiem wyczerpany klapnąłem na cementową posadzkę. Na drugi dzień przenieśli mnie do suszarni. Zaczynałem o siódmej rano i kończyłem o trzeciej trzydzieści.

Stałem przy wielkiej maszynie, „dryerze”, dolewałem kauczuku w płynie i pilnowałem, by jego równo rozprowadzona warstwa połączyła się z dywanową tkaniną chodnika. Chodnik wchodził do tej maszyny jako pas czystego materiału, a wychodził z gumowanym spodem. Ta maszyna pod ciśnieniem prasowała i spajała tkaninę dywanu z gumowym podkładem.

Maturę zdałem w 1969 roku, ale jeszcze w pierwsze wakacje na studiach chodziłem do „karpetowni”...

Mama w tej fabryce pracowała od przyjazdu z Polski przez

dwadzieścia lat - aż do 1986 roku. Na półtora roku przed emeryturą przydarzył jej się wypadek. Przez nieuwagę pracownik uderzył ją głową dużą sztabą, którą wyjmował z maszyny.

Doznała silnego urazu czaszki. Odwieziono ją do szpitala, w którym przeleżała parę dni. Lekarz chciał jej dać zwolnienie i przedterminowo wysłać na emeryturę.

Mama się nie zgodziła. Powiedziała, że musi dopracować w fabryce do końca.

- Inaczej nie byłoby fajno, Lesiu - upierała się. - Trza mi tak zrobić.

I nie było siły. Uparta strasznie. Nie w pełni zdrowa stanęła przy maszynie.

Absolutnie zgodnie z kanadyjskim prawem mogła odejść i wziąć odszkodowanie. Ja bym tak zrobił. Nie oszukam, ale jak mi się coś prawnie należy - to biorę. Why not? I każdy chyba tak. A moi rodzice nie. Mieli silne poczucie honoru. Choć pochodził z austriackiej rodziny, po I wojnie osiadłej w Wadowicach, stał się gorącym polskim patriotą. Zmarł w zimie 1999 roku. Nie wiem. Uważam, że to uczciwość posunięta do granic głupoty. Ale tak byli.

Jak mamę. dyrektor fabryki żegnał i wręczając pamiątkowy dyplom, którego do dziś jest dumna, podkreślił, że trzy pokolenia Wawrowych przepracowały w Barrymore Carpet Manufacturing, bo stryj, moja mama, ja, żon brata Hania oraz ich córka Urszula, i że mama dawała nam przykład - to był najszczęśliwsza. I to jej wystarczyło.

- Widzisz, Lesiu - powtarzała. - Trza mi się było uprzeć. Inaczej szef b mnie tak nie żegnał. - Publiczne uznanie było dla niej najważniejsze...

Przez całe moje studia na wydziale historii University of Toronto, zgodni z danym mi słowem, ojciec za mnie płacił. Uczyłem się, byłem dzieckiem więc mi pomógł i pieniędzy na naukę nie żałował...

Na Uniwersytecie występowałem w grupie teatralnej „Arabeska”.
Zacząłem pisać do studenckiego pisma „Echo”, którego potem byłem
naczelnym redaktorem i wydawcą.

Tam po raz pierwszy wydrukowałem po angielsku nowelę o moim
stryju. Z własnych doświadczeń emigranta...

- A kiedy poznaliście się z Ireną? - spytał Leszka.

- Jak byłem w dwunastej klasie. Znałem siostrę Ireny i poprosiłem, b
przyprowdziła ją na naszą zabawę. Przedtem, nie chcąc powtórzyć błędu
Yvonne, zawarłem z chłopakami pakt, że nikt jej nie poprosi do tańca. Jednym
przekupiłem, a najgroźniejszego rywala, Napoleona, wziąłem pod włos i przy
pomniłem, że ja mu kiedyś odstąpiłem Kasie, to żeby on mi teraz zostawi
Irenę.

I on się zgodził. Chłopaki dotrzyмали słowa. Przez całą zabawę żaden
d Ireny nie podszedł. Była tym tak zszokowana, bo zawsze miała duże
powodzenie, że - jak po latach przyznała mi się - rozżalona powiedziała do
siostry: - Co to jest?! Tylu/lne boys na tej zabawie było, żaden ze mną nie
zatań czył, tylko ten jeden mały, czarny i krótki nie odstępował mnie na krok!

- Dobry byłem, co? - zaśmiał się chętnie. - Wiedziałem, jak biznesów
rozegrać partię. I pozbyć się konkurencji.

Chodziliśmy ze sobą dwa lata i wyjechałem na wakacje do Polski, aby
być ojcem chrzestnym Jarka Juniora. Tam nakupiłem sporo prezentów,
między innymi trochę złotej damskiej biżuterii, którą bałem się sam wieźć.
Rozdzieliłem ją więc między koleżanki. Jedna wiozła mi kolczyki, druga
zegarek, trzecia łańcuszek. I na lotnisku odbierałem to od nich. Między
innymi zaręczynowy pierścionek dla Ireny. Koleżanka zdjęła go z palca i mi
oddała. Pech chciał, że Irena to widziała. Kiedy jej go wręczyłem mówiąc, że
jest dla niej na nasze zaręczyny; poczuła się dotknięta. Fatalnie to przyjęła. Nie
wzięła tego pierścionka twierdząc że to za wcześnie. Na razie nie myśli

wychodzić za mnie za mąż. Jest młoda i we lałaby przez jakiś czas być wolna. Okay. Rozstaliśmy się w zgodzie i każde z na zaczęło chodzić oddzielnie. Ja osobno, Irena osobno. Tak trwało przez dwa lat< Po dwóch latach spotkaliśmy się znowu i uznaliśmy, że to jednak jest bez sensu Tymczasem dojrzałem, wykawalerowałem się dość i doszedłem do wniosku, że Irena jest właśnie tą, z którą chciałbym założyć dom, mieć rodzinę i dzieci...

Starosty do jej ojca nie posłałem. W Kanadzie wykształcenie to majątek i targów o ziemię nie było. Sami zdecydowaliśmy o zaręczynach. Tym razem Irena ten pierścionek z Polski wzięła i włożyła na palec. Nasze narzeczeństwo trwało znów dwa lata - bo ja kończyłem studia, a Irena szkołę. Tak, że nim doszło do naszego ślubu w kościele św. Kazimierza na Roncesvalles, to od poznania minęło sześć lat...

Drużbantem na tym ślubie, jak już mówiłem, był mój przyjaciel ze szkoły, Kazik Wawrzonek, który przygarnął mnie wtedy, gdy ojciec wyrzucił mnie z domu.

Niestety Kazik już nie żyje. Umarł tragicznie - zaczadził w garażu.

A świadkiem był Janek Prokop, wtedy już mąż Ewy. Z Jankiem zawarłem pakt podczas tej zabawy, kiedy Yvonne szalała z chłopakami, a ja siedziałem z nosem na kwintę. Na papierowym białym obrusie spisaliśmy umowę, że ja będę jego świadkiem a on moim. I tak było.

Po studiach w 1973 roku otrzymałem propozycję od senatora Stanleya Haidasza zostania jednym z jego sekretarzy. Haidasz stanął na czele nowo utworzonego Ministry of Multiculturalism w rządzie Pierre'a Trudeau. Tę kuszącą ofertę oczywiście przyjąłem. Przeniosłem się do Ottawy. Ze względu na znajomość polskiego i ukraińskiego Haidasz uczynił mnie swym sekretarzem od spraw Polonii, mniejszości ukraińskiej oraz innych krajów słowiańskich i bałtyckich. Pod względem materialnym był to złoty okres. Wysoka rządowa pensja i diety. Podczas licznych wyjazdów samoloty,

pociągi pierwszej klasy i luksusowe hotele. W biurze praca rutynowa i prosta, którą szybko opanowałem. Z czasem stała się monotonna i nudna. Moim zadaniem było wyręczanie ministra Haidasza w kontaktach z Polonią i innymi mniejszościami: przeglądanie napływającej korespondencji, segregowanie jej, referowanie ministrowi i pisanie odpowiedzi, towarzyszenie mu w spotkaniach i konferencjach, obsługiwanie tych imprez, w których sam minister nie mógł wziąć udziału. Często miał ich po kilka i musiał tylko najważniejsze wybierać. Na resztę wysyłał mnie. Było ich mnóstwo w całej Kanadzie. Jeździłem z Ottawy na te wszystkie jubileusze, zjazdy i rocznicowe uroczystości.

W czasie tej pracy dochodziło do ciekawych spotkań. Między innymi zetknąłem się z Andrejem Banderą - synem Stepana. Ukraińcy czcili go jak bohatera narodowego.

Wszędzie na zebraniach był fetowany. Niski, podobny do ojca. Mówiono, że kopia Bandery. Urodził się już po wojnie. Był w moim wieku. Pracował w sekcji angielskiej pisma „Homin Ukrainy”. Przyjechał z delegacją do Ottawy starać się o grant rządowy¹. Po części oficjalnej odciągnąłem ‘ Dotacja rządowa. go na bok i powiedziałem, że chciałbym z nim porozmawiać prywatnie, nie jako kanadyjski urzędnik, ale Polak, na tematy ukraińskie, które mnie interesują.

Zgodził się chętnie. Poszliśmy na kolację. Rozmowa toczyła się po angielsku.

Mówił bez akcentu. Kończył tu szkoły. Nie ukrywałem swego zdania* i powiedziałem mu wprost: - Chodzi mi o twego ojca. Ty wiesz, że u nas nie cieszy się dobrą opinią. Twierdzi się, że to on wydawał rozkazy mordowania Polaków. I jest odpowiedzialny za te wszystkie straszne rzezie!

- Wiem - odparł - że taka opinia o moim ojcu jest. Ale jest niesłuszna. Mój ojciec siedział w niemieckim obozie koncentracyjnym i nie miał wpływu

m bieg wypadków. Za głównego wroga uważał Sowietów, nie Polaków. Sprzeciwiał się tym akcjom, ale był bezsilny. Prawdziwe dowództwo UPA Rosjanie wymordowali i wprowadzili tam swoich ludzi. Sterowali tymi akcjami i podsycali rzezie.

Komuniści zniszczyli ukraińską inteligencję, ucięli łeb naszemu narodowi, pozostał sam motłoch, łatwy do manipulacji. A zbrodnie zwałili r&meo ojca.

Wszystko poszło na konto Bandery. - Tak to tłumaczył. Był świetnie zorientowany w sprawach polskich. Czytał „Kulturę” paryską. I nasze książki. Musiał znać polski. Inteligentny, bystry gość. Tylko się zapił na śmierć. Legenda ojca mu nie pomogła.

- Nie żyje?

- Od dawna. Umarł bardzo młodo.

Po roku tej rządowej posady - ciągnął Leszek - i sekretarzowania w Otta-wie doszedłem do wniosku, że kariera urzędnicza nie dla mnie. W sumie praca jałowa, nie wymagająca większego trudu i inicjatywy, dość ogłupiająca. Mogłem oczywiście wstąpić na drogę polityczną, zabiegać o mandat i wybór, bo dwujęzycznych działaczy polskich z wyższym wykształceniem wbrew pozorom tak dużo nie było. Ale to mnie nie pociągało. Irena nie chciała mieszkać w Ottawie - i w końcu postanowiłem złożyć rezygnację. Minister Haidasz bardzo się zdziwił. Był zaskoczony moją decyzją i gorąco mnie namawiał, bym został na rządowej posadzie.

Powiedziałem, że względy rodzinne nie pozwalają mi i muszę wrócić do Toronto.

Może zajmę się biznesem...

Heydenkorn, jak usłyszał, że ja zamierzam kupić sklep spożywczy, to złapał się za głowę: - Tyś oszalał, Lesiu. Ja chciałem, żebyś ty po mnie objął Instytut Badawczy.

Zajął się historią naszej Polonii...

- Historia Polonii chleba mi nie da. A w piekarni sam sobie upiekę. I jeszcze panu przyniosę - odparłem. - I przynoszę. - Jak już wspomniałem, po służbie w Słubicach trafiłem do Chełma. Gdy tam byłem, udało mi się pójść na zaoczny wydział prawa i administracji na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie - opowiada Major, który majorem został w 1976 roku-i coraz poważniej myślałem o wyjściu z wojska. Na szefa sztabu naszej brygady przyszedł wtedy mój kolega ze szkoły w Kętrzynie, sytuację więc miałem dobrą i postanowiłem napisać podanie o zwolnienie z wojska. Prośbę tę uzasadniałem tym, że weszły nowe przepisy finansowe i ja już nie bardzo daję sobie radę. Nowy dowódca brygady, wykształcony kulturalny gość, wziął to podanie i oświadczył: - W to nikt nie uwierzy. To nie ma sensu. - I własnoręcznie dopisał: „Major Wawrow ma rodzinę w Kanadzie i planuje w przyszłości połączyć się z nią.

Popieram jego podanie i zezwalam na wyjście z brygady”. I podpisał się. W 1978 roku przyszła zgoda i w wieku czterdziestu lat przeszedłem na wcześniejszą emeryturę. Mieszkanie i wszystkie beneficja zachowałem. Dowódca brygady bardzo elegancko się zachował, zaprosił mnie do swego gabinetu na małą uroczystość pożegnalną i przy kawie i koniaku podziękował mi za dotychczasową służbę w wojsku, mówiąc, że rozumie moją decyzję i ma nadzieję, że rozstajemy się w przyjaźni.

Po przejściu na emeryturę dostałem dobrą pracę w Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska w Chełmie i jako rewident jeździłem po sklepach „GS” sprawdzając stan finansowy...

Był ze mną kłopot, bo nie piłem i nie brałem forsy, ale do teczki wędliny czy jajek nie odmówiłem. Wepchnęli. Nie dało rady. Teczka zawsze była pełna.

W 1979 roku postanowiłem skorzystać z dłuższych wakacji i odwiedzić

mego dziadka i wujka Sławka w Hadynkowcach. Nie byłem tam od wyjazdu w 1945 roku. Wujek Sławko, młodszy brat mamy, wysłał mi zaproszenie. Napisał też, co im mam przywieźć. Szczególnie prosił o składaną parasolkę, bo potrzebował jej na prezent dla swego kierownika, aleja o tym nie wiedziałem i tej parasolki mu nie kupiłem. Zapomniałem, kurczą. Wuj był niepokieszony i do końca wizyty mi wymawiał. W tę podróż zabrałem Urszulę, która miała już szesnaście lat...

- Czy też kazali wam bilet kampasirować!

- Nie. Pojechałem pociągiem przez Terespol. Terespol podlegał naszej brygadzie.

Wszyscy mnie tam znali. Wziąłem trochę towaru, bo chciałem, żeby mi się podróż zwróciła. Normalne. Wiozłem też kupę prezentów dla rodziny. Granicę z obydwu stron pokonaliśmy bez trudu, ale pociąg włókł się i dopiero pod wieczór dotarliśmy do Tarnopola. Było już ciemno i nie chciałem w nocy jazdy ryzykować.

Urszula była zmęczona i zatrzymaliśmy się w hotelu. Ten hotel był bardzo przyzwoity. Od razu babka-etażowa rzuciła się na mnie i wykupiła damską bieliznę - tak, że z miejsca miałem forsy w bród. Przyjechaliśmy do wujka nazajutrz z rana do Oryszkowiec, bo on z żoną tam mieszkał.

Pracował jako magazynier w cukrowni, więc powodziło mu się nieźle. Pierwsze co zrobił, to pokazał mi swoje bogactwo. Otworzył szafę i rzekł z dumą: - Spójrz! To wszystko moje! Nie zabraknie. - A tam stały same litrowe butelki wódki. Miało to swoje konsekwencje, rzecz jasna. Wujek był trochę chłopek-roztropek i umiał żyć z ludźmi. Zawsze worek cukru wyniósł, a to był kapitał. Rubel stał mocno. Wujek zarabiał coś osiemdziesiąt rubli na miesiąc. Bogdan1 miał stypendium czterdzieści rubli. Pół litra wódki kosztowało chyba rubla.

- Nic dziwnego, że wszyscy pędzili samogon...

- Tak. A wujek z workiem cukru był krezusem. Oczywiście pojechaliśmy do dziadka Martyna i do ciotki Irki. Jej mąż Antoszek Petryk już nie żył. Bohdan studiował medycynę we Lwowie, a Borys, syn ciotki Łesi, chodził do szkoły. Jego matka, córka dziadka, Łesia wtedy jeszcze żyła. Ta moja ciotka była młodsza ode mnie, w wieku Lesia. Ja tak zniszczonych rąk u kobiety, jak u niej, w życiu nie widziałem. Straszne, kurczą.

- Od czego?

- Od pracy w polu...

- Przecież była lekarką?

- Felczerką. Ale ciężko fizycznie pracowała w domu. Poza tym była dawcą krwi.

Miała poszukiwaną zerową grupę i często robiono jej transfuzję w szpitalu. Z tego krwiodawstwa się utrzymywała.

Pensji nie starczało. Każdy dorabiał. Żył głównie z działki przyzagrodowej.

Trzymał krowę, świnie, kawałek ogrodu, pola - i to był grunt, podstawa. Ciotka Irka miała nawet byczka, pamiętam. Właściciel krowy musiał przymusowo odstawić kontyngent mleka do kołchozowej zlewni. I tych kilkanaście prywatnych krow w wsi dawało więcej mleka niż kilkaset w kołchozie. Mimo że one miały pastwiska, a wieś nie. Trawa w rowach przez te wiejskie krowy była tak wygolona jak moja twarz. Dosłownie. Takich łysych rowów nigdzie nie widziałem. Działy się cuda, kurczą. Rekord urodzaju w skali światowej bili nauczyciele. Swoje działki złączyli w jedną kolektywną, tak że kombajn mógł tam wjechać. W czasie żniw wynajmowali go z kołchozu. Za pół litra kombajnista zajeżdżał pełnym kombajnem i przy okazji prac żniwnych zrzucił ziarno na pole. Nauczyciele zgarniali je do worków i kolektywnie dzielili się.

- Nikt ich nie wydał?

- A skąd! Każdy miał dziecko w szkole. Tak, że nauczycielska wydajność z tego kawałka gruntu była wyższa od kanadyjskiej...

- Tylko ze słomą krucho.

- O, tak. Ciotka Irka dwa tygodnie pracowała w kołchozie, b/ dostać trochę słomy po wymłóconym zbożu. Słomą jej płacili, kurczą. Słomianym rublem - zaśmiał się.

1 Bogdan Petryk, syn Irki, siostry Olgi Wawrow. - A same Hadyńkowce zmieniły się?

- Domy tak, ale droga przez wieś była ta sama. Może nawet gorsza niż za mego dzieciństwa. Jak spadł deszcz - błoto po kolana. Utonąć można było.

Inaczej było z murowanką. Każdy był na niej dróżnikiem. To był ciekawy system.

Jechał wóz ze żwirem i tłuczniem i co jakiś czas zrzucał materiał na przemę.

Każdy przy swoim domu miał obowiązek załatać dziurę w drodze. Inaczej milicja wlepiła mandaty. Potem przyjeżdżał walec i wyrównywał. Zalewał smołą i okay. Ta murowanką nawet nie była taka zła...

Dziadek Martyn już dawno nie pracował na stacji jako strażnik. Był bardzo stary.

Cały czas już siedział i trzeba go było podnosić z krzesła. Przywiozłem mu z Polski sandały. Wziął je do ręki i powiedział: - Ja już ich chyba nie schodzę...

Byłem świadkiem smutnej sceny. Robili porządki i wynieśli skrzynię papierów dziadka. Wyciągnęli wszystkie dokumenty kupna ziemi, notarialne zapisy rodzinnych podziałów jeszcze z austriackich czasów i za Polski i to palili.

Dziadek mówił, że to już na nic. Śmiecie. Płakał i powtarzał: - Bullshit. Całe moje życie to jeden wielki bullshit! Boh ty mój!

Wtedy nie znałem angielskiego, domyślałem się tylko, co to znaczy. Wiedziałem od mamy, że dziadek był w Kanadzie. Parę jego dokumentów wzięłem na pamiątkę i przywiozłem Leszkowi. Do jego rodzinnego archiwum. O śmierci dziadka dowiedziałem się w Kanadzie. I tak to, kurczą...

Z krewnych ojca widziałem się ze stryjem Jaśkiem Wawrowem...

- Jeździł inwalidzkim wózkiem?

- Nie. „Zaporożcem”. Jako bohaterowi Wielkiej Wojny Ojczyźnianej przydzielono mu inwalidzki wóz i tym wozem jeździł. Na gaz.

Wujek Sławko, mój przewodnik i gospodarz, miał głupi zwyczaj nie uprzedzać mnie o niczym i działać przez zaskoczenie. Raz śpię sobie smacznie po jakimś ostrym picciu, nagle wujek budzi mnie, otwieram oczy, kurczą, i widzę, że nade mną stoi panna młoda w długiej sukni z białym welonem. Kłania mi się nisko i żegna nabożnie parę razy.

- Co jest? Czego ona ode mnie chce? - pytam wuja.

- Ona cię zaprasza na swój ślub...

- To czego wuj wcześniej nie uprzedził? Nie mam nawet prezentu...

- Nie szkodzi. Tu jest taki zwyczaj, że mężczyźni dają w prezencie pół litra, a kobiety robią tort. Ty jesteś mężczyzna, i ja dla ciebie wódkę mam.

Ta panna młoda była ciotki Gieni chrześniaczką i wujek Sławko na tym weselu był starostą. Okay. Poszliśmy. Ceremonia oficjalna odbyła się w Sił-Radzie, a po niej przeszliśmy do cerkwy i na wesele. Dzień był upalny. Szliśmy dość długo przez całą wieś, a potem trochę łąką. Ta cerkwa była bardzo mała. Stara, drewniana kaplica. Wszyscy ludzie nie mogli się zmieścić. Przec wojną zaczęto budować nową cerkwę, ale nie dokończono i obok sterczał tylko niskie fundamenty, na których niektórzy posiadali. Ślub nie mógł się odbyć, bo księdza wciąż nie było. Państwo młodzi i my długo czekaliśmy na niego przed cerkwą. Wreszcie ktoś po niego poszedł. Okazało się, że ze starości zapomniał.

Ale sakramentu ślubnego udzielił szybko, w krótkich, żołnierskich słowach - i w pięć minut było po wszystkim. Przeszliśmy do weselnych stołów, które stały w polu. Jeden dla gości panny młodej, a drugi - pana młodego. I zaczęła się tak zwana zapraszka i zaliwka, kurczą. Widzę, że bimber leje się szklankami i żywy z tego wesela nie wyjdę. Ale wuj Sławko wziął mnie w obronę: - On gość z Polski, bimbru nie pije, tylko wódkę. I w kieliszku - wyjaśnił im.

Uszanowano jego wolę i zaraz ktoś podał mi honorowy kieliszek. I nalał monopolowej wódki. Wujek tej butelki pilnował. W ten sposób zostałem wyróżniony.

Ale gdyby nie ta ochrona starosty, to nie wiem, jak by to było. Jeden Ukrainiec, jak sobie popił, to zaczął mnie się czepiać: - Lach z Chełma, hadyna! A mniepriaklaty Lachy w Chełmie całą rodzinę zabiły. Ja jeden żywy zostałem! Słyszysz ty? Ja wam tego nigdy nie daruję! - i zaczął mi wygrażać.

- Stul mordu! - krzyknął na niego wujek. - On nie z Chełma, tylko z Hadyńkowiec. Mój siostrzeniec. W gościach jest. W Chełmie go wtedy nie było...

I ten dał spokój. Na tym weselu podali gołąbki z kaszą, i z prosem, których nie jadłem od dzieciństwa. Bardzo smaczne. Oczywiście był weselny kołacz i biały, domowy chleb, który specjalnie na tę okazję piekli...

- Czyli trochę tradycji zostało...

- O, tak. Wszystkiego nie dało rady zniszczyć. Ale robili, co mogli. Ludzie ciągle się bali. Na tematy polityczne nikt ze mną nie rozmawiał. Nawet po wódce.

Najlepszy przykład - Bohdan. Oprowadzał mnie wtedy i słowem nie pisał o swoim życiu. Dopiero tu przyznał się, że był w Egipcie w wojskach raketowych. Jak za pierwszym razem przyjechał sam do Kanady, bez rodziny - to my z Leszkiem dziwiliśmy się, kurczą, co ten Bodzio tak ciągle

trzyma ręce w kieszeni i nie wyjmuję. Dopiero za drugim razem, po przybyciu na stałe, wyjawiał nam, że wtedy wezwało go KGB i uprzedziło, że w Kanadzie policja i CIA będą chciały mu podrzucić materiały szpiegowskie do kieszeni, żeby uważał. I on uważał.

Paradował tak - wciąż w pogotowiu - zaśmiał się Major.

Po powrocie do Hadyńkowiec wezwało go KGB i pytali, co widział. Mówił, że nic, bo cały czas chorował i leżał u matki w domu. Wtedy kazali mu podpisać jakiś artykuł. Potem ten artykuł ukazał się w prasie. Bohdan skarżył się w nim, jak źle mu było w Kanadzie. Nikt by o tym nie wiedział, gdyby ktoś życzliwy nie przesłał tego wycinka do Toronto. I doszło to do ciotki Irki. Biedny Bodzio musiał się tłumaczyć, że to nie on pisał, tylko ktoś inny...

Raz na jakimś przyjęciu - ciągnął dalej Jarek - po dużej wódce dyrektor kołchozu rozochocił się i serdecznie zaprosił mnie do zwiedzenia swego gospodarstwa.

- Pokazu wam sawhoz! Obaczycie, jaki harny. Kombajny, maszyny...

Nazajutrz wytrzeźwiał, zadzwonił i przeprosił, że coś mu wypadło i niestety nie może. Uznał, że bezpieczniej będzie gościowi z Polski tego nie pokazywać. Obcy, inastraniec z Zachodu. My dla nich wciąż byliśmy tym Zachodem. Przepaść między nami była straszna. Straaszna! Inny świat, kurczą. Mięso w sklepach kładziono klientowi prosto na rękę. Bez papieru. A nawet gazety. To samo w ciastkarni.

Wystawiałeś łapę i ci kładli. Toaleta na dworcu w Czortko-wie była wspólna.

Kobiety i mężczyźni załatwiali się obok siebie. Wszyscy stali lub kucali nad jedną dziurą. To u nas w polowej latrynie był większy komfort i kultura.

Przynajmniej belka pod tyłek była. Moja Urszula nie chciała tam wejść. A oni szli normalnie - starzy, młodzi, dzieci. Nikt się tym nie krępował.

Urszula była wstrząśnięta...

- Miałam o tej sprawie nie mówić, ale w końcu Leszek mnie przekonał, że nie ma co kryć - zaczęła Olga Wawrow. - Chodzi o mój rozwód z Wiekiem, proszę pana...

- Rozwód? - zdziwiłem się.

- Tak. Ja w końcu zdecydowała się od niego odejść. On mi już bardzo dokuczył, ten mój Wicko. Matka Filki miała rację, gdy mówiła, że on domu nie będzie się trzymał i ludzie dla niego ważniejsi niż żona. Tak było. On żony nie szanował. Niestety. Nie cenił mojej pracy. Mnie to bardzo bolało. Ja uważała, że na to nie zasłużyła. Wciąż podkreślał, co to on, że bez niego ja zginę. Kiedy odzywała się, machał ręką: - Co ty ta wiesz?! Lepiej siedź w domu i pilnuj garnków! - Ile razy my poszli na jakąś zabawę, to zawsze mnie zostawił. Wszystkie panie fajno obtańcował, a ze mną ani raz nie zatańczył. Ja siedziała jak wdowa. Gdy mu zwracała uwagę: - Jak ty tak możesz robić?! Przecież ja twoja żona! - Odpowiadał hardo: - A co to za chłop, co się baby trzyma?! I śmiał się. Ja od dawna postanowiła to zrobić, ale wstrzymywała się przez dzieci. Czekąca do ślubu Ewy.

Upредиła o tym Wicka, ale on nie wierzył.

Kiedy Leszek o tym usłyszał, wykrzyknął: - To do Ewy ślubu mama czekała, a do mojego nie? Mnie przed ślubem chce zrobić ten wstyd? - No, to ja czekała do ślubu Lesia z Ireną.

A w 1974 roku, po ślubie Leszka, proszę pana, Ewa kupiła nowy dom i my urządzili dla niej house party. Oni wszyscy się fajno bawili, Wicko śpiewał, tańczył, jak to Wicko, a ja wstała, powiedziała, że mnie głowa boli i chcę do domu. Nie zwrócił na to uwagi, bo mnie często głowa bolała, i bawił się dalej do rana. W domu ja już miała wszystko przygotowane, swoje rzeczy wyniesione i tylko wzięła ze sobą torbę. Na stole zostawiła Wickowi kartkę: „Odeszł bo musiała”. Tak to było, proszę pana.

- Dla nas nagłe zniknięcie mamy było szokiem - mówi Leszek. - Nikt s tego nie spodziewał, a najmniej tato. Co prawda mama często odgrażała się, 2 odejdzie od niego, ale on nie brał tego poważnie. Traktował to jako typów babskie gadanie.

Kiedy więc wrócił i przeczytał tę kartkę, całkiem zgłupiał. Co musiała?! Kto jej kazał?! Gdzie znów poszła?! - wykrzykiwał. Zaraz zi dzwonił do mnie i powiedział, że matki nie ma.

- Jak to nie ma?!

- No, nie ma. Napisała jakieś dwa durne słowa i zniknęła! Idź po nią i przj prowadź! - rozkazał mi.

- Kiedy nie wiem gdzie! - odparłem.

- Jak to nie wiesz?! Nie rób ze mnie idioty! Ma tu być! - Nie mógł uwie rzyć, że zarówno ja, jak i Ewa nic o tym nie wiemy. Mama działała w całk witej tajemnicy i wszystko z góry zaplanowała. Sprawę rozwodową pro wadz jej świetny adwokat Aleksandrowicz, który doradzał, jak ma postąpić. Mam wystąpiła o podział majątku. Ojciec absolutnie niczego się nie spodziewał. T był klasyczny blitzkrieg¹. Raz mama po jakiejś awanturze podsunęła mu kart kę do podpisania. - Co to jest? - spytał. - Ja cię tu proszę, by ty przy kolegac] źle na mnie nie mówił, nie przeklinał, nie groził mi śmiercią, że mnie kiedy w nocy poduszką udusisz. - Co ty znów za durnoty pleciesz? - zaśmiał się podpisał. Mama schowała tę kartkę pod bieliznę, potem adwokat ją przetłuma czył, przedłożył sądowi jako dowód rzeczowy. Stał się on jedną z głównycl podstaw do otrzymania przez mamę rozwodu.

Drugą rzeczą, która zaważyła na werdykcie, był fakt niestawienia się ojc; na żadną rozprawę sądową. Jak przychodziły wezwania, pytał mamy: - Olga? Co to jest?

- Zobacz, przeczytaj - odpowiadała. - Do sądu?! Ty coś (tym wiesz? -

Nic - mama wzruszała ramionami. Tato pokazywał ten pozew mnie, ja też go

lekceważyłem. - Garbage! Wrzuć do kosza i już! - radził mi i ojciec wrzucał. A potem okazało się, że sąd wydał wyrok zaocznie Orzekł rozpad małżeństwa, zarządził podział majątku między małżonkami przyznał mamie połowę praw do posiadanego wspólnie domu. Jako stronie pokrzywdzonej, należały się jej również meble. Tato się uparł, że ich mamie nie da! Był całkiem ogłupiały i długo ten werdykt sądu do niego nie docierał. Nie rozumiał, co się stało. Chciał rozmówić się z mamą, ale mamy nie było. Działała przez adwokata. Nikt z nas nie wiedział, gdzie jest.

Potem okazało się, że mieszkała obok nas na Grenadier Street. Przenrowadziła ten rozwód po mistrzowsku. Nikt z nas ją o to nie podejrzewał. Zacięła się i postawiła na swoim. Nie na darmo była wnuczką Pańki Nawrockiego. Pokazała Wojna błyskawiczna. I ojcu charakter i pazur. Biedny tato z pana i władcy, co to tylko pstryknął i żona była, stał się opuszczonym mężem. Bez mebli i żony, która sobie od niego „odeszła, bo musiała”. Szczęście, że stryj Karol nie dożył tego rozwodu brata.

Dopiero by się śmiał z biednego Wicusia, co? - „chrapnął” z uciechy Leszek.

- Ja część mebli mnie zasądzonych Wickowi zostawiła, bo nie chciała z nim wojny, proszę pana. Wróżka mi powiedziała: - Nie zachodź w żaden biznes, tylko kup dom.

- Ja tak zrobiła. Za połowę otrzymanych pieniędzy ze sprzedanego naszego sześciomieszkaniowego domu kupiła dom na Westminster Street, gdzie mieszka dziś Jarko. Ja już wtedy z myślą o nim go kupowała. Dom był tani, ale bardzo zniszczony. Ja go musiała remontować. Wszystko wymieniać. To mnie kosztowało wiele pracy i pieniędzy.

Przez pierwsze dwa miesiące nie miała z nikim z rodziny kontaktu, co było dla mnie bardzo ciężkie. Oni mnie szukali, ale ja nie chciała z nimi mówić, żeby się nie załamać i wytrwać w decyzji. W pracy kazała nie

podawać mego adresu i telefonu. Bała się, że przed „karpetownią” któreś z nich mnie złapie, ale na szczęście nie. Wickowi było trudno, bo sam pracował, Leszek był jeszcze w Ottawie, a Ewa, jak się później okazało, była na mnie zagniewana, że ja ojcu to zrobiła, i wzięła jego stronę. W końcu Leszek pierwszy jakoś zdobył mój telefon i zadzwonił. To była ciężka rozmowa. On mi mówił, że tato cierpi, bardzo to przeżywa i chce, by ja do niego wróciła.

- To dla tata wielki cios - przekonywał.

Ja sobie jednak przyrzekła, że na razie mowy o tym nie ma. Najpierw muszę skończyć remont domu, a potem może do niego wrócę. Chciała mu pokazać, że bez niego ja też dam sobie radę, nie zginę i potrafię własny dom postawić. Niech on nie myśli, że on taki pan. Najważniejszy. I pomiata mną jak służącą, proszę pana.

Ja na takie życie nie zasłużyła i miała go już dość. Wołała być sama...

- Dom rodziców udało się nam sprzedać za sześćdziesiąt pięć tysięcy i po opłaceniu podatków mama dostała coś dwadzieścia pięć tysięcy, a tato trzydzieści - opowiada Leszek. - Ja wtedy wróciłem z Ottawy i postanowiłem założyć własny biznes. Namówiłem do tego tata, on mnie poparł i dał mi wszystkie swoje oszczędności. Za te pieniądze plus swoje i pożyczkę z „Credit Union” kupiłem dom ze sklepem, w którym zaczęliśmy wspólnie prowadzić „Wawrow Foods”. Ja, tato, Ewa i Irena. Na zapleczu tego sklepu uruchomiliśmy własną wytwórnię wyrobów chętnie spożywanych przez naszych klientów. Robiliśmy ulubione potrawy Polaków, typu bigos, gołąbki, pierogi i flaki. Oczywiście śledzie i ogórki kwaszone. Tato wtedy wykorzystał wszystkie swoje dawne, jeszcze z Hadyńkowiec, umiejętności.

Zarówno w samej produkcji, jak i marketingu, jak byśmy to dziś nazwali. Był przecież urodzonym kupcem i sprzedawcą. Ja wtedy nauczyłem się robić wędliny. Stałem się doświadczonym masarzem. Dochód mieliśmy nie tyle ze sklepu, co z imprez prowadzonych na zewnątrz. Obsługiwaliśmy

wszelkiego rodzaju party i uroczystości, śluby, wesela i pikniki serwując na sali gotowe już dania. W tym czasie zetknęliśmy się z Janem Korsakiem, który podobny biznes prowadził. Wtedy z ojcem zgadali się, że znają się jeszcze z Hadyńkowiec. Korsak w tym wstępnym okresie dużo nam pomógł. Miał więcej doświadczenia niż my.

W tym sklepie kupował Stepan Bodnaruk, który był już rozwiedziony ze swoją żoną.

Poznał ciotkę Irkę, którą rodzice zaprosili do Kanady na wizytę, i postanowił się z nią ożenić. W ten sposób ciotka Irka została już na stałe, potem sprowadziła Bohdana, zapoczątkowując nową falę ukraińskiej emigracji naszej rodziny do Kanady. Ale to było później, po powrocie do domu mojej mamy, która była głównym motorem ściągania tu krewnych z Hadyńkowiec. Na razie tato mieszkał na górze nad sklepem, a mama u siebie.

Pracowaliśmy wszyscy, wciąż bez mamy, dzień i noc w tym sklepie. Cały czas czułem ciężar odpowiedzialności. Namówiłem przecież tata do tego biznesu. Zaufał mi i powierzył wszystkie swoje oszczędności. Dorobek całego życia. Nie mogłem sobie pozwolić na bankructwo. Gdybym to głupio stracił, tato by tego nie przeżył. Mógłby sobie palnąć w łeb. Wiedziałem o tym i postawiłem wszystko na jedną kartę. Wiz cypereviz. Nie miałem wyjścia. Musiałem wygrać.

Rodzice nie utrzymywali ze sobą kontaktu. Spotykali się tylko na świętach rodzinnych, takich jak wigilia Bożego Narodzenia u mnie czy u Ewy. To już na nich wymusiliśmy. Te wspólne spotkania były bardzo śmieszne, bo rodzice rozmawiali ze sobą przez tłumaczy, czyli przez nas. Tato często docinał mamie, wtedy ona mówiła: - Powiedz temu panu, że to nieprawda i on bresze. Dochodziło do starć, które szybko przerywaliśmy mówiąc, że ich sprawy nas nie obchodzą, są z nami i my nie chcemy słuchać tych kłótni. Nie po to spotkaliśmy się przy wigilijnym stole. Wtedy

następowało chwilowe zawieszenie broni.

- Na co dzień się nie spotykali?

- Nie. Mama do „Wawrow Foods” nie przychodziła. Prowadziła oddzielne życie.

Pracowaliśmy z tatem i Ewą sami. Z tym, że tato łączył to ze swoją pracą w „Globe and Mail”.

Nasz rodzinny sklep powoli rozrastał się. Zatrudnialiśmy do pomocy ludzi. Między innymi jedną młodą kobietę, która świeżo przybyła z Polski. Miła i ładna.

Inteligentna, po studiach. Mój tato całe życie był czuły na punkcie pań. Ta jego słabość brała często górę nad żyłką kupiecką. Wystarczyło, że w sklepie zjawiła się ładna klientka i odpowiednio go zagadała: - Kochany panie Wawrow - a kochany pan Wawrow już podrywał się jak kawalerski koń, grzywą potrząsał, zęby szczyrzył i gotów był jej oddać towar za pół ceny. A nawet za darmo. Jak się ładnie uśmiechnęła...

- Zniżkę za urodę. 50 procent - wtrąciłem.

- Dokładnie. Mogliśmy z torbami pójść. To było niebezpieczne. Trzeba było tata pilnować. Pod tym względem nasz Wicko się nie zmienił...

No i szybko zwrócił uwagę na tę kobietę. Zaczął ją wyróżniać i adorować. Była od niego młodsza o jakieś dwadzieścia lat. Rozwódka. Syna zostawiła w Polsce i chciała go tu sprowadzić. Ta Jola coraz bardziej podobała się memu tatowi. On jej zresztą też. Wicko umiał być miły dla pań, odpowiednio je uszanować, być szarmanckim. Tylko z Oldziemu nie wychodziło - „chrapnął” Leszek. - No i na wynik nie trzeba było długo czekać. Tato samotny, Jola samotna, prędko się dogadali. Jola zaczęła zostawać w kuchni po godzinach na przyuczeniu. Tato jej pokazywał, jak fachowo dzielić tusze, była pojętna i szybko przeniosła się do niego na górę.

Kiedy romans rozkwitł na dobre, uznałem, że trzeba powiadomić o

tym mamę. Rozwód rozwodem, ale niech wie. Ewa była innego zdania. Uważała, że nie należy się wtrącać. Zatelefonowałem do mamy i powiedziałem jej, że tato ma kogoś. Przyjęła to chłodno. Pomyślałem, że na tym się skończy. Tymczasem wieczorem zadzwoniła do sklepu.

- Poproś ojca - powiedziała. - Chcę z nim pomówić. To bardzo ważne - dorzuciła twardo. To było dziwne. Od rozvodu nie mówiła na tata ojciec, tylko pan Wawrow.

Albo on. Zawołałem ojca. Szybko zszedł. Dojrzałem na jego twarzy szczere zdumienie. Zmieszany powtarzał: - Tak, tak, Oldziu. - Potakiwał jak starosta Smuczok dziadkowi Martyno-wi przy targu o ziemię. Potem poszedł na górę, szybko zmienił pościel i zaczął robić porządek. Następnie ubrał się w elegancki garnitur. Kupił kwiaty i oświadczył krótko: - Jadę po matkę. Ona chce się tu przenieść...

- Kiedy mi Leszek powiedział, że Wicko kogoś ma, to w pierwszej chwili pomyślała, niech ta sobie ma. Nie moja sprawa. Nie mój mąż, co ta! Dość ja się z nim namęczyła. Niech się inna męczy i zazna tej rozkoszy. Pozna, jaki on jest.

My po rozwodzie trzy lata byli, każde osobno mieszkało, nie spotykali się, tylko w święta u dzieci. On mi na rocznicę ślubu czy w imieniny kwiaty zawsze słał.

Parę razy też prosił, by ja do niego wróciła. Twierdził, że się zmienił, zrozumiał, będzie inny, uszanuje mnie jako żonę, aleja póki co nie chciała. Dom remontowała. Teraz ten dom był gotów i ja go dała w rent. By dochód jakiś mieć.

Była całkowicie niezależna. Wciąż pracowała w „karpetowni” i oni byli ze mnie zadowoleni. Kiedy Leszek nadmienił mi, że tato może się nawet ożenić i założyć nową rodzinę, pomyślała: Czeka, no czeka. Czy ty aby Oldziu dobrze robisz, że mu na to pozwalasz? Troszku ja mego Wicka znała.

Wiedziała, że jak on w tę rodzinę wejdzie i ona nim fajno zakręci, to on o swojej już całkiem zapomni. Wsiąknie jak Jaśko Wawrow w rodzinę Zacharczu-ków.

Dzieci nasze, co prawda, duże były i już na swoim, Leszek i Ewa jego wsparcia tak bardzo nie potrzebowali, ale był Jarko. Jemu trza było pomóc. Ja ani na chwilę nie zrezygnowała, by go tu sprowadzić. To był mój cel. Po to ja ten dom szykowałam. Bo na co mi był?! A w tej sytuacji wiedziała, że Wicko nie pomoże. O swoją młodą żonę będzie dbał. I jej syna prędzej sprowadzi niż Jarka. A dla mnie dom i rodzina były wszystkim. Dlatego po namyśle wzięła za słuchawkę i zadzwoniła do Wicka, by on po mnie jechał. Tak to było z tym naszym rozwodem, o którym ja nie chciała panu mówić - wygładziła dłonią serwetę.

- Dlaczego? Przecież to dopiero jest wielkie. Gdy żona w małżeństwie opiekuje się chorym mężem - to normalne. Ale gdy po rozwodzie - to zmienia postać rzeczy...

- Właśnie dlatego nie chciała o tym mówić. Bo ja nie wróciła, żeby się nim opiekować. Wtedy jeszcze nie był chory. On nie był zły, a ja dobra. Pan wie. W małżeństwie racja pośrodku. Ten co przeżyje - górą. Mój Wicko nie może się bronić. Ja nie chciała, by on wypadł źle, bo w sumie dobry był. Każdy ma swoje wady. Ja go z tymi wadami kochała. I wciąż Kocham, proszę pana.

- Udało mi się skończyć zaoczne studia prawa i administracji. Wtedy pracowałem jako rewident w GS-ie - opowiada Major. - W tym czasie przyjechał do mnie wujek Sławko z Hadyńkowic. On tu miał rodzinę żony. Siostra ciotki Gieni mieszkała na wsi pod Chełmem. Odwiedziliśmy ją wspólnie...

- I ta siostra nie miała żalu, że jej matki do Polski nie chciał puścić? Podarł jej paszport...

- Może i miała. Nic nie mówiła. Była bardzo serdeczna i gościnna.

Dużo prezentów wujkowi dała. Wracaliśmy obładowani...

- A ciotka Gienia nie przyjechała?

- Wtedy nie. Widać pracowała. Ale w ogóle odwiedzała siostrę. Tylko nie za moich czasów. Ojciec, kiedy był z wizytą w Polsce w 1976 roku, przyjechał do mnie do Chełma. Leszek od czasu chrzcin Jarcia w 1970 nie był w Polsce przez siedemnaście lat. Od późnego Gomułki do późnego Jaruzelskiego. Przerwaną dekadę towarzysza Gierka opuścił, kurczą. No, to wtedy z ojcem rozmawialiśmy na temat Kanady. Tatu namawiał mnie, bym w czorta rzucił wojsko i przyjeżdżał do nich z rodziną. - Nie jest nam lekko - mówił - pracujemy ciężko, ale razem damy sobie radę. Leszek skończył studia i z czasem powinno być lepiej...

Po paru latach brat mi napisał, żebym składał papiery, bo oni na mnie czekają.

Powoli klauzula o ochronie tajemnicy wojskowej traciła moc.

Dostawałem jednak wciąż odmowy w biurze paszportowym.

W 1981 roku wstąpiłem do „Solidarności”, nosiłem znaczek. W stanie wojennym nic nie zrobili. Pracowałem dalej w GS-ie, ale w listopadzie 1982 roku powołali mnie znów do wojska. W sztabach wojewódzkich zabrakło ludzi i sięgnęli po rezerwy. Zostałem zastępcą komisarza.

Przydzielono mnie do nadzoru Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego „Autobusy Chełmskie”.

No to pojechałem do Kanady, kurczą, pomyślałem. Załatwili mnie. Mój wyjazd odwlecze się co najmniej o nowe dwa lata. Albo i pięć!

Co jakiś czas jeździłem do zajezdni autobusów i gadałem z ludźmi. Wiedzieli, że jestem z rezerwy i byłem w „Solidarności”. Znaczek odpiąłem, bo nie wolno go było nosić, ale miałem w kieszeni.

Cała moja praca w sztabie była fikcją. Wiedzieli o tym, że chcę jak

najszybciej wyjść z wojska. W styczniu 1983 roku, po trzech miesiącach, wreszcie mnie puścili, ale to nic nie zmieniło. Paragraf o tajemnicy wojskowej znów mnie objął. Wiedziałem więc, że mój wyjazd do Kanady odwlecze się znów. Jak pech - to pech. Inni piją, po mnie widać. Wszystko wyglądało beznadziej - nie. Znajomy szef Biura Paszportowego w Chełmie powiedział mi wprost: - Warszawa nie zgadza się na wasz wyjazd. Radzę wam jednak nie szukać bocznych dróg. I nie próbować nic obejść. Bo to jeszcze gorzej. Po co ktoś ma mieć nieprzyjemności? Wylecieć albo pójść siedzieć...

Dawał do zrozumienia, że łapówka nie wchodzi w grę.

- To co radzicie?

- Czekać. Innego wyjścia nie ma...

Zrezygnowałem więc. Tym bardziej, że także podwójną odmowę otrzymałem w ambasadzie kanadyjskiej. Gdy odwołałem się od decyzji, konsul oświadczył mi, że emeryt Ludowego Wojska Polskiego jako imigrant Kanady nie interesuje i on wizy wjazdowej mi nie da. Sorry. Vis maior. Siła wyższa. Zadzwoiłem więc do brata i powiedziałem mu: - Ja już wyczerpałem wszystkie środki. Nie licz na mój szybki przyjazd.

- Okay. W takim razie ja zacznę działać. Składaj papiery...

Jak tak mówi, znaczy coś myśli. Pole manewru w Kanadzie miał większe. W końcu z obozów ludzi wyciągano, niby dlaczego z Chełma nie można? Cuda się zdarzają. Ale nadziei zbytnej nie miałem.

Jednak papiery złożyłem, bo w końcu przyrzekłem bratu. Chciałem być wobec niego fair. Nie chodziłem nawet do Biura Paszportowego: Co się będę wygłupiał? - myślałem. - Naczelnik ma rację. Są granice i cześć. Nie ma co podskakiwać. Paru kolegów ze studiów w Lublinie, którzy po dyplomie magistra szybko awansowali w MSW, też po zapoznaniu się z moją sprawą rozłożyło ręce twierdząc, że nic nie mogą zrobić. Po wyjściu więc do cywila w styczniu 1983 roku byłem święcie przekonany, że wcześniej niż za dwa lata

nie wyjadę. Uprzedziłem o tym żonę i córkę, powiedziałem, żeby zapomniały o Kanadzie. One zresztą po tych odmowach jeszcze mniej na to liczyły.

Urszula była już nauczycielką w Chełmie, miała chłopca, którego kochała, i inne plany w głowie.

W parę tygodni po rozmowie z bratem spotkał mnie ten sam major, szef Biura Paszportowego, i ucieszony zawiadomił, że właśnie Warszawa wyraziła zgodę na nasz wyjazd.

Domyśliłem się, że to wynik działań Leszka. Oczywiście major wiedział, że to poszło boczną drogą. Ale nie ja ją uruchomiłem, tylko Leszek...

Po przyjeździe do domu powiedziałem do Hani i Urszuli: - Coś czuję, że paszporty będziemy mieli najdalej za miesiąc.

- Akurat! Za rok ich nie będziemy mieli - wyśmiały mnie zaraz.

Założyliśmy się o tysiąc złotych.

Oczywiście przegraliśmy. Paszporty były równo w miesiąc...

- A wizy?

- Konsul kanadyjski też zmienił zdanie. Już teraz, mimo że emerytowany major LWP, interesowałem go. I wydał nam wizy na pobyt stały.

Pozostała już tylko sprawa biletów lotniczych. Tato prosił, żebym kupił za złotówki, bo to o wiele taniej wyniesie. Ale wszystkie miejsca do Toronto za złotówki były wykupione i termin odlotu bardzo odległy. Kiedy Leszek o tym usłyszał, zrobił awanturę - kazał natychmiast brać za dolary i ani chwili nie czekać. Szybko opłacił w biurze LOT-u nasze bilety z Warszawy do Toronto i z powrotem. Z miejscami za dewizy nie było kłopotu. W trzy miesiące od wyjścia z wojska leciałem do Kanady. Wciąż w to nie wierzyłem.

W pośpiechu zaczęliśmy wyprzedawać rzeczy. Miałem dwa auta, starą syrenkę, którą mi pomógł kupić ojciec, i fiata 125 p. Jakby szczęścia było mało, tuż przed wyjazdem wygrałem na książeczkę samochód. Ponieważ panowała

wtedy galopująca inflacja, a samochodów nie było - zwracali równowartość w złotych. Dostałem za tego fiata, pamiętam, sto dwadzieścia pięć tysięcy złotych. Za to pojechaliśmy do Kurowa i kupiliśmy dwa kozuchy. Dla Hani i Urszuli. Tam, w Kurowie, byli słynni kuśnierze i po cichu je robili. Każdy kozuch kosztował czterdzieści tysięcy. Byliśmy szczęśliwi, że dokonaliśmy trafnego wyboru.

Słyszeliśmy, że w Kanadzie zima sroga i kozuch z Kurowa się przyda. Po przyjeździe ani Hania, ani Urszula nigdy ich nie włożyły. Ale skąd mogliśmy wiedzieć? Byliśmy całkowicie odcięci.

Ukazały się świeżo srebrne monety tysiącłotowe z Papieżem. Każda kosztowała w 1983 roku po siedem tysięcy złotych. Kupę forsy. Tyle co moja pensja. Ale kupiłem parę sztuk na prezenty. Dla Leszka, ojca, Ewy. Część bagażu nadałem na statek, a resztę zmieściliśmy do walizek. Na lotnisko Okęcie w Warszawie odprowadzała nas siostra Hani Marysia z mężem. Mieliśmy trochę nadbagażu i im zostawiliśmy.

Gdy zajęliśmy miejsca w samolocie, z przodu i z tyłu stanęli żołnierze z pistoletami kałasznikowa, wyprężeni w pogotowiu, z martwą twarzą. Po chwili weszli moi koledzy z WOP-u i oświadczyli: - Prosimy wszystkich o spokojne pozostanie na miejscach i okazanie dokumentów.

Lista pasażerów nam się nie zgadza - i przystąpili do kontroli paszportowej.

No, to koniec, pomyślałem. Jak mnie teraz wezmą pod pachy i wysadzą, to znaczy, że nie dane mi było nigdy żyć w Kanadzie...

Pochyliłem głowę i okazałem paszport. Po chwili usłyszałem głos nad sobą: - Pan wstanie łaskawie, weźmie rzeczy i pozwoli z nami...

- Dlaczego?! Przecież mam wszystko w porządku!

- To się okaże. Proszę nam nie utrudniać i nie wstrzymywać lotu. I tak jest opóźniony.

- Ależ, panowie! Ja nic nie rozumiem!

- Zrozumie pan.

O, kurczą, odetchnąłem. To ja mogłem być.

Facet przede mną w rozpaczy wziął z półki swój płaszcz i teczkę i posłusznie podążył za żołnierzami. W ślad za nim opuścili pokład dwaj chłopcy z pistoletami kałasznikowa.

- Wyjaśniło się. Można startować - rzucił wopista do stewardesy.

Byłem pewien, że paszport załatwiony boczną drogą przez Leszka właśnie się wydał. I moi koledzy z WOP-u ściągną mnie w ostatniej chwili z pokładu na ziemię ojczystą.

Na szczęście siedziałem wygodnie w fotelu z zapiętym pasem i patrzyłem przez okno, jak odrzutowiec Ił-62 produkcji radzieckiej wolno rusza z pasa startowego na zachód, w kierunku Kanady. Wciąż wydawało mi się to snem. I pełną nierzeczywistością, kurczą. Jeśli mam być szczerzy...

- Jedynym sposobem na sprowadzenie brata - opowiada Leszek - była pomoc konsulatu PRL: - Musisz szukać z nimi kontaktu. Innej drogi nie ma - poradzono mi. Byłem wtedy działaczem Związku Polaków w Kanadzie, podobnie jak ojciec, i nigdy moja noga nie stanęła w konsulacie. Obydwaj znani byliśmy z twardej postawy wobec PRL. Szczególnie po wprowadzeniu stanu wojennego nikt do konsulatu nie chodził. Dom przy Lakeshore powszechnie bojkotowano. Często oblegany był przez tłum demonstrantów. Sam brałem udział w protestacyjnych akcjach. Ze swymi zaryglowanymi drzwiami przypominał raczej strażnicę obronną niż placówkę dyplomatyczną. Zabarykadowany personel bronił się przed rodakami jak załoga w Zbarażu przed kozakami. Wizyta w tej warowni nie była miła. Nie widziałem jednak innego wyjścia. Znajomy twierdził, że konsul W. za łapówkę może sprowadzić brata. Podał mi jego nazwisko. Po namyśle postanowiłem z nim porozmawiać.

Przedtem poinformowałem o tym policję kanadyjską. Na to spotkanie w konsulacie poszli - śmy we troje, całą rodziną: ja, mama i tato.

Przedstawiliśmy sprawą od strony ludzkiej. Powiedziałem, że rodzice się starzeją, potrzebują opieki, chcieliby się wreszcie połączyć z synem. Konsul przyjął nas miło. Zapisał mój telefon i przyrzekł, że zadzwoni. W trakcie rozmowy weszła sekretarka i powiedziała, że chce ze mną rozmawiać konsul generalny. Zostawiłem więc rodziców i poszedłem do niego na górę. Zaczął się skarżyć na napaści prasy polonijnej na konsulat PRL.

Byłem wtedy przewodniczącym dysekcji prasowej „Związkowca”. Chciał, bym wpłynął łagodząco na redakcję. Rozmowa przedłużyła się tak, że gdy od niego wyszedłem, rodzice czekali już zdenerwowani, czy czasem mnie nie porwali.

Po paru dniach zadzwonił konsul W. i oświadczył, że chce się ze mną spotkać na neutralnym gruncie. Zaprosiłem go do restauracji na lunch. Tam rozmawialiśmy już dużo swobodniej. Powiedział mi, że sprawa jest trudna. Zbadał ją. Brat przede wszystkim musi znów złożyć wniosek o paszport, bo inaczej nic nie można ruszyć.

Obiecał, że spróbuje się tym zająć, ale wiąże się to z pewnymi kosztami. Nie chodzi o niego, ale o tych w Warszawie. Odparłem, że jestem przygotowany.

Zapłacę, ile potrzeba.

Ustaliliśmy sumę. Wziął połowę na pokrycie wstępnych kosztów, a drugą połowę miałem mu wręczyć po przyjeździe brata. Tak się stało. Okazał się partnerem niezwykle uczciwym. Do dziś jestem mu wdzięczny. Bez niego Jarek długo by jeszcze nie przyjechał. To on ostrzegł mnie, by brat ani chwili nie czekał i zaraz wsiadał w samolot, bo mogą mu cofnąć paszport. Dlatego natychmiast kupiłem tu bilet za dolary. Po przyjeździe Jarka do Toronto z radością zapłaciłem konsulowi drugą ratę i razem z bratem wzięliśmy go na

dużą wódkę. Cieszył się z jego przyjazdu nie mniej niż my. Forsa bardzo mu się przydała, bo w konsulacie mało płacili. Żalił się, jak wszyscy pracownicy cierpią, że my ich w Toronto tak bojkotujemy.

- Przecież ja też Polak. Chociaż na placówce - skarżył się. Ta placówka drogo go kosztowała. Sumienie mocno gryzło i ostro zapijał robaka. Był z dobrej, kresowej rodziny. Ojciec legionista. Konsul W. zapłacił wysoką cenę za swą dyplomatyczną służbę. Nic nie zdołało jej wyrównać. Nawet moje honorarium, na które w pełni zasłużył. Po jakimś czasie wrócił do Warszawy. Wkrótce dowiedziałem się, że zmarł nagle na serce, stosunkowo młodo. Po czterdziestce. Wódka i kac moralny miały w tym chyba swój udział.

- Na lotnisku w Toronto - opowiada Major - czekał na nas Leszek z Ireną, tato z mamą, Ewa z Jankiem i Czyżyki.

- To znaczy?

- Lusia, Renia i Iwonka. One były wtedy małymi dziewczynkami i w samochodzie śpiewały piosenkę o czyżyku, trochę myląc słowa, bo łapały na słuch i zamiast: „ot i tak”, one śpiewały „łot i da”! To „łotida” bardzo mnie śmieszyło i od tej piosenki mówiłem na nie „Czyżyki”. I to się przyjęło. Dziś wiadomo, że Czyżyki to one, kurczą - zaśmiał się.

Wsadzili nas zaraz w samochód i powieźli autostradą wzdłuż jeziora. I patrzyłem na wszystko jak ciałą na helikopter. Przede wszystkim uderzyły mnie dwie rzeczy.

Rozwiązania komunikacyjne: wiadukty, autostrady, mosty, i olbrzymi wybór towarów. Przywieźli nas do „Wawrow Foods” i tam w jednym ich sklepie było więcej towaru niż w naszym „Peweksie” w Chełmie. Zatrzesienie pomarańczy, cytryn, mandarynek, bananów, które u nas zjawiały się od wielkiego dzwonu. Na Boże Narodzenie i Wielkanoc, kurczą...

Na razie zainstalowano nas w pokojach nad sklepem, dopóki z przygotowanego dla nas domu na Westminster, w którym teraz mieszkam,

nie wyprowadzą się lokatorzy.

Trwało to parę miesięcy. Zaczęliśmy z bratem szukać dla mnie pracy. Powiedziałem Leszkowi: - Jestem za stary, żeby nic nie robić. Nie mam czasu. Muszę się śpieszyć...

Obliczyłem, że mam tyle lat, co tato, gdy przyjechał tu, do Kanady. Czterdzieści pięć. On coś zdziałał, to i ja mogę. Pracy się nie bałem. Ale jej nie było.

Akurat trafiłem na mały kryzys, który Kanada cyklicznie przechodziła. Na razie więc jeździłem z bratem wozem dostawczym i woziliśmy chleb. Jako chlebowi „trokerzy”¹ uzupełnialiśmy się świetnie: Leszek znał super angielski i Toronto, a ja biegi. Skrzynia biegów w tej ciężarówce była ręczna, a on na standardzie nie jeździł, tylko na automatiku. Leszek krzychał: - Jedź na północ! - Jaką północ?! Mów mi w prawo, w lewo, baranie! - noc, ciemno, skąd mogę wiedzieć gdzie północ, gdzie południe. Wtedy nie miałem zielonego pojęcia, że tu ulice biegną po osiach północ-południe, wschód-zachód.

To była stara ciężarówka. Szczególnie w zimie były z nią kłopoty. Gdy przewody elektryczne zawilgły i ciężko ją było zapalić. Ale po moim doświadczeniu z woja, gdzie nawet czołgi ruszało się na pych i sposobem - z tym gratem też daliśmy sobie radę. Jak na poligonie na ćwiczeniach czołg na bagnie osiadł, nie mógł ruszyć, a spod niego żołnierz krzychał, że go przygniata i nie może wyjść - też znalazła się rada. A już myślałem, że z chłopca będzie placek. Cały czołg miał na hełmie. I wyciągnęliśmy go... Więc ten grat - też no problem. Benzyna nie reglamentowana, tania jak barszcz, łało się jajak wodę, bez kolejki - i cześć!

Na co tu narzekać? Kanada, kurczą! Zdobyć tylko forszę na bak i wio! Byłe do przodu. A takie możliwości były! Wiedziałem, że nie dziś, to jutro się otworzą.

Nie ma siły! I mówiłem do brata: - Powoli, Lesiu, nie śpieszyć się, a wszystko będzie dobrze. Tylko spokojnie, kurczą. Nie denerwować się, żeby nie zrobić głupstwa. Bo to najgorsze...

Byłem wielkim „optymistienko”. Nic nie zdołało mnie zrazić po zaprawie 1 Od ang. truck - ciężarówka: kierowcy TIR-ów.

na granicy w Rokicie, Słubicach i Chełmie. Byłem bezgranicznym entuzjastą. W najcieńszych chwilach potrafiłem bratu dodać otuchy i rozśmieszyć go... A takich chwil nie brakowało.

Brat mówił, jak doszło do kupna tej piekarni?

- Trochę.

- Też powoli i bez nerwów. Udziałowców w niej było kilkunastu. Sami bracia Bugajscy już byli starzy i nie piekli. Pracownicy pili i kradli. Bez właściciela i gospodarza piekarnia podupadła. Jednym z udziałowców, który miał swoją stałą drogę, czyli sklepy, do których woził chleb, między innymi do „Wawrow Foods”, był Roman Niewójt. Zwierzył się kiedyś ojcu, że on chętnie by sprzedał swój udział wraz z tą drogą. Tato powtórzył to mnie i Leszkowi. Uznaliśmy, że to dobry sposób na pracę dla mnie. Miałbym swój chleb i byłbym niezależny. Rodzice z Leszkiem znali Niewójta od lat. Był to jeden z najbardziej prawych i uczciwych ludzi z powojennej emigracji. Przedwojenny oficer, kapitan Armii Krajowej1.

Od niego więc kupiliśmy ten pierwszy udział w piekarni. Były kapitan AK sprzedał go byłemu majorowi LWP i w ten sposób udało się wojsku zbudować pierwszy przyczółek na Ossington Avenue, kurczą - zaśmiał się Major.

Drugi udział, od Stefana Malinowskiego, kupił dla siebie Leszek. Z tymi dwoma udziałami byliśmy daleko od opanowania piekarni. Inni udziałowcy pilnie jej strzegli, nie chcąc, byśmy w zarządzie mieli większość i mogli dyktować warunki.

Ale sytuacja nam sprzyjała. Stara kadra udziałowców wykruszała się. Piekarnia przynosiła straty. Była przestarzała, wypadła z rynku. Zniechęceni wspólnicy nie widzieli dla siebie przyszłości i interesu. Następny udział Leszek kupił na Irene i powoli, krok po kroku, spokojnie przechwyciliśmy 51 procent udziałów, stając się współwłaścicielami piekarni z głosem decydującym. Wtedy przekonałem brata, że to bzdura piec chleb w dzień i dostarczać do sklepów po południu.

Należy go piec w nocy, jak w Polsce. Roz-pici i leniwi piekarze protestowali.

Nie chcieli się zgodzić na zmiany. Tak jak było do tej pory - było im wygodnie.

Musieliśmy ich zwolnić, szukać nowych. Na razie sami nauczyliśmy się piec.

Leszek został ciastowym, ja piecowym. Wspólnie zaczęliśmy działać.

Po paru miesiącach, w grudniu 1984 roku, Leszek zadzwonił do mnie w niedzielę rano i mówi: - Chyba nie będziesz musiał dziś jechać do piekarni, bo nie ma do czego...

- Jak to nie ma?!

- Spaliła się. W nocy był pożar i wszystko poszło z dymem...

Zaraz pojechaliśmy na Ossington - i rzeczywiście. Obraz nędzy i rozpaczy.

Dach się dopalał, strażacy go jeszcze gasili, w środku woda po kostki, za1 Walczył w słynnych „Jędrusiach”. Wsławił się wieloma akcjami bojowymi. Po wojnie był w zbrojnym podziemiu i zagrożony aresztowaniem uciekł przed UB przez zieloną granicę.

marznięta, bo mróz duży, mury zwęglone... Patrzyliśmy z bratem na to pogorzeliśko, strażacy dali nam jeszcze gorącej kawy, i tylko płakać. Jak po pogromie. Do tego okazało się, że piekarnia była źle ubezpieczona i Insurance

mało nam zwróci.

- U-jo-joj, lekko nie było, kurczą - westchnął Major. - Nie było...

Po krótkiej sztabowej naradzie zdecydowaliśmy, że nie przerwiemy dostaw chleba.

Dalej będziemy go wozić do sklepów, by nie stracić naszych dróg i nie wypaść z rynku. Dogadaliśmy się z „Future Bakery”, z Borysem Wrześniewskim. On dla nas piekł partię chleba, resztę braliśmy z innych piekarni. Ten chleb cięliśmy w garażu u Ewy, pakowali w nasze firmowe torby i rozwozili po sklepach, tak jakby się nic nie stało. A tymczasem wzięliśmy kredyty i pożyczki i wsparci solidarnie przez całą rodzinę przystąpiliśmy do odbudowy piekarni. Trzeba ją było unowocześnić i przestawić na większą produkcję. Ten remont trwał coś sześć miesięcy, nim mogliśmy znów piec u siebie. Ale jak ten okres minął, to wiedziałem już, że dalej poleci z górki. Wygramy i szybko staniemy na nogi. Tak też się stało, co widać na załączonym obrazku.

Ale to była próba sił i charakterów. Tato dużo nam pomógł. Był wtedy w pełni sił. Do czasu wylewu miał cholerną krzepę. Raz w jakimś komisie kupiliśmy używaną żeliwną wannę. Już nawet nie wiem, do czego nam była potrzebna. I musieliśmy ją załadować na wóz. Miała chyba ze dwieście kilo. My z Leszkiem chwyciliśmy ją z jednej strony, a tato z drugiej. Ojciec uniósł ją lekko, a my stękając we dwóch ledwie dźwignęliśmy.

- No, co z wami? - śmiał się. - Co to ja mam synów wypierdków?

Młode chłopaki - podkpiwał z nas. Ostatkiem sił dotrzyaliśmy mu kroku. A podchodził pod siedemdziesiątkę. Jego wyprostowanej ręki obaj z Leszkiem nie mogliśmy zgiąć.

Żelazne miał łapy, kurczą. Nic dziwnego, że wtedy, przed laty, płot w Probużnej tak lekko przesadził..

Stoję na terminalu II z napisem „Arrivals” i jak przedstawiciele

rodziny Wawrowych patrzą na tablicę przylotów. Zielone światełko przy Ukrainian Airlines Kijev już się pali. Znaczący jest. Tym samolotem wylądował na lotnisku Pearson w Toronto profesor Bohdan Wynnyczenko, syn stryjka Iwanka, zaproszony w imieniu całej rodziny przez Leszka na dwutygodniową wizytę do Kanady. Koło mnie stoi Olga Wawrow w białym kapeluszu i rękawiczkach, a obok niej jej córka Ewa i siostra Irka z synem Bohdanem, Leszek i Borys. Major został na straży w piekarni. Ktoś musi pilnować chleba.

Jest słoneczny dzień 16 września 1998 roku. Liście na drzewach z wolna żółcą się, pogoda ciepła i letnia. Przybył w samą porę. Kanada wita go swym złotym Indian Summer w kolorowej, królewskiej szacie.

- Ciekawe ta, czy ja go poznam - niepokoje się pani Olga. - Ostatni raz ja go widziałam u mego taty w Hadyńkowcach. Przyjechał ze stryjkiem Iwaszem z Melnicy. Miał chyba pięć lat. Mały chłopiec był...

- On był u naszego brata Sławka w Oryszkowcach - wtrąca Irka Bodnaruk i dodaje, że parę razy widziała go przed swoim wyjazdem do Kanady w 1979 roku. Jest więc w lepszej sytuacji niż starsza siostra. Z rozpoznaniem kuzyna nie będzie miała kłopotu. Podobnie stosunkowo na bieżąco jest jej syn Bohdan, który często widywał stryjka podczas studiów we Lwowie. Wynnyczenko prowadził na Uniwersytecie ćwiczenia z chirurgii. Spotykali się też u wujka Sławka w Oryszkowcach. Borys Kotański również go widział u swego dziadka Martyna w domu przy stacji. Tylko ja, Leszek i Ewa będziemy go widzieć pierwszy raz.

Wreszcie wyszedł. Z daleka zamachał do nas kapeluszem. Krępy, niski starszy pan o energicznych ruchach. Z lekkością niósł swój bagaż. Borys ruszył mu naprzeciw i wyrwał walizkę z ręki. Razem podeszli do nas...

Profesor mówił po polsku. O książce wiedział. Przywitaliśmy się serdecznie. Jego zaraźliwy śmiech i ciepły głos zachęcał do rozmowy.

Odetchnąłem. Najgorzej trafić na drętwego bohatera. Jego przynajmniej nie trzeba będzie ożywiać. Tylko obserwować i opisywać.

Program wizyty był ściśle ułożony. Leszek z Jarkiem podeszli do tego ze sztabową precyzją. Każdy z rodziny dostał stryja na jakiś czas. Ewa z biura podróży też miała udział w tej strategii. Głównym pilotem stryjka mianowano Bogdana Petryka, ze względu na ten sam zawód i znajomość języka. Profesor zakwaterowany został u Olgi Wawrow na Indian Grove. Tam miał najlepiej. Blisko High Parku. Dowiedziałem się, że zamierzał w Toronto rzucić nadwagę. Tu miał pecha. U pani Olgi trudno.

Hadyńkowiecka gościnność po mamci znana. Ale Bohdan Wynnyczenko twardo nie poddawał się. Codziennie z rana biegał po parku chcąc spalić gołąbki i fajny rosół na kurze swej nadgościnnej kuzynki.

Zgodnie z programem na trzeci dzień Jarek zabrał stryja do siebie do „ko-tyczu”

Cawaja i mnie w to włączył. Uznaliśmy, że Cawaja nad Georgian Bay będzie najlepszym miejscem do pogadania przy hirkiej, czyli gorzkiej, krórą przywiózł profesor, a on sam, Bohdan Wynnyczenko, też na pewno tym malowniczym, poindiańskim zakątkiem się zachwyci. Popruliśmy więc przez Barrie znaną trasą tym razem nie fordem aerostar XLT Majora, lecz moim nissanem-maximą i ja byłem za kierownicą. Wiązało się to z częstymi uwagami mego pilota z tyłu, który jako rasowy dowódca i kierowca, przywykł do rozkazów. Przyjmowałem tę musztrę z pokorą, którą Bohdan Wynnyczenko podziwiał: - Ja bym cię, Jarko, po tych uwagach z mego wozu wysadził - stwierdził.

Po drodze dowiedziałem się od profesora rzeczy, o których nie wiedziałem.

Okazało się, że aresztowanie Iwana Wynnyczenki w Melnicy w 1939 roku odbyło się inaczej, niż to opisałem. Z większą perfidią. Po wejściu Rosjan

do miasta ich komendant oświadczył, że daje mieszkańcom pełną swobodę wyboru burmistrza.

- Szanujemy waszą demokrację, obywatele! - zapewnił.

Na tej podstawie wybrany został Iwan Wynnyczenko. W miesiąc potem wezwano go do Rajkomu, z którego już nie wrócił.

Tysiąc pięciuset mieszkańców Melnicy podpisało się pod petycją o zwolnienie z aresztu Wynnyczenki. Spotkały ich za to represje. Chodziło przecież o wykrycie jednostek najbardziej aktywnych.

Pozostawiony sam w domu Bohdan nie doczekał się powrotu ojca. Zamiast niego zjawili się nazajutrz miejscowi chłopci, którzy go zabrali i ukryli u siebie.

Pamięta, że wędrował z chaty do chaty, pamięta też silny zapach oleju rzepakowego, który w izbach panował. W końcu odstawiono go do matki do Kołomyi.

Wynnyczenko, jako krzewiciel oświaty, wśród ludu był bardzo na wsi szanowany...

Bohdan zdążył chodzić rok do polskiej szkoły. Z tego okresu zna wierszyk-dialog: „- Kto ty jesteś? - Polak mały”. Jego najlepszym przyjacielem w klasie był Polak Rysio, którego nazwisko zapamiętał jako Zimmer i wie, że jego ojciec zginął w Katyniu.

Brat matki, Roman Łazarenko, przed wojną skończył Politechnikę w Poznaniu i podczas okupacji walczył w Armii Krajowej. Aresztowany, siedział w niemieckim obozie. Opowiadał, że gdy z niego wyszedł, Niemcy zwrócili mu wszystkie zarekwirowane rzeczy, między innymi cenny zegarek. Ledwie znalazł się za bramą, radziecki patrol zatrzymał go i ściągnął mu ten zegarek z ręki. Niemcy go zwrócili, wyzwolители wzięli. Taki był jego pierwszy dzień wolności. Bohdan utrzymywał kontakt z wujem Romanem i kuzynem Tadeuszem¹. Parę razy odwiedzał ich w Poznaniu. Podobnie jak

jego matka Jarosława. Roman Łazarenko był znanym inżynierem. Natomiast gorzej było z rodziną w Hadyńkowcach.

- Moja matka - opowiada Bohdan Wynnyczenko - miała żal do stryjka Martyna, że nie zainteresował się losem brata i nigdy nas w Kołomyi nie odwiedził. Ani po aresztowaniu taty, ani potem. Ja w zasadzie stryjka nie znałem. Tak było przez wiele lat.

Zdażyłem skończyć studia i byłem lekarzem w Tarnopolu. Któregoś dnia dyżurna pielęgniarka zadzwoniła, że w izbie przyjęć ktoś na mnie czeka i twierdzi, że jest moim krewnym. Był to stryjek Martyn. Gdy go spytałem, dla1 Kuzyn Bohdana Wynnyczenki - syn brata matki, Jarosławy. czego dopiero teraz przyszedł, odparł szczerze, że się bał. Dopiero teraz, w 1960 roku, odważył się.

Zaraz poszliśmy na obiad - ciągnął Bohdan Wynnyczenko - i parę godzin przegadali. Stryj prosił o przebaczenie. Oczywiście mu wybaczyłem i często potem odwiedzałem w Hadyńkowcach. Opowiedział mi wiele rzeczy o moim ojcu i dziadku Danyle Wynnyczence, których nie znałem. Świetnie opowiadał..

Podobnie zacząłem odwiedzać kuzyna Sławka w Oryszkowcach, Sławkę1 i Bohdana.

Bohdana na studiach nie chciałem egzaminować, żeby nie mówili, że pomagam siostrzeńcowi. On zresztą też ambitnie nie korzystał z protekcji. Tak, że widywaliśmy się. W końcu to moja jedyna na Ukrainie rodzina ze strony ojca.

Reszta jest tu, w Kanadzie. Ale moja mama nie widziała się ze stryjem Martynem nigdy. Aż do śmierci...

Zajechałem przed przeszklony dom Majora z kanadyjskimi sosnami i starym klonem w ogrodzie. Zgasilem motor.

Wkrótce zasiedliśmy za stołem. Po pierwszym kieliszku Bohdan

Wynnyczenko zaczął.

Uściśliłem parę dat. Asystentem na katedrze chirurgii we Lwowie został już w 1969 roku, obronił dysertację w 1971. Jego pracę habilitacyjną, tak jak pisał w liście, uznano dopiero w 1992 roku, wtedy też nadano mu tytuł profesora i wybrano na prorektora Uniwersytetu Lekarskiego. Wytłumaczył mi, że nazwę tę przywrócono wraz z niepodległością Ukrainy. W Sowietach były zcentralizowane instytuty i akademie zaniżające rangę uczelni.

Nie wiedziałem, że Bohdan Wynnyczenko był wybitnym działaczem i współorganizatorem Stowarzyszenia „Ruch”. Brał w nim aktywny udział od pierwszych dni. Ostra walka polityczna i próba sił zaczęła się w 1989 podczas wyborów do Rady Najwyższej ZSRR. Po raz pierwszy dopuszczono do list niezależnych kandydatów. Wtedy to powstała społeczna komisja wyborcza mająca na celu nadzorowanie wyborów. Została oficjalnie zatwierdzona przez władze partyjne. Na uczelniach lwowskich utworzono grupy - po pięciu studentów i profesor, które wyruszyły w teren. Wynnyczenko pojechał do Brodów. Zjawił się w lokalu wyborczym, ale spotkał się z wrogim przyjęciem miejscowych działaczy partyjnych.

- Widzę, że to nie przelewki - opowiada Bohdan Wynnyczenko - nie ma co przeciągać, lepiej na miejscu wyjaśnić sprawę. Udałem się więc do Rajkomu2.

Podaliśmy nazwisko i cel wizyty. Sekretarka oświadczyła, że sekretarz zajęty, nie może mnie przyjąć. Odparłem, że sprawa wagi państwowej, przyjechałem specjalnie ze Lwowa i nie ruszę się stąd, dopóki mnie nie przyjmie. Po dłużej Mowa o Irenie Bodnaruk.

2 Rejonowy Komitet.

szej chwili drzwi się otworzyły, stanął w nich sekretarz i nie prosząc mnie do środka warknął: - Czego?

Okazałem mandat komisji i Towarzystwa Ukraińskiego Języka.
Zacząłem mu spokojnie tłumaczyć, na czym polega moja misja w Brodach.
Nie dosłu-chał do końca i krzyknął: - Won mi ze swoją ukraińską mową!

- Ukraiński to mój język. A wasz jaki? Mongolski, tatarski? - uniosłem się.

- Słyszysz? Ten chachoł meni chamit! - krzyknął po rosyjsku do zastępcy.

- Brać go i na piętnaście dni za obrazę władzy! - rozkazał i wściekły trzasnął drzwiami.

Nim zdążyłem wyjść, chwycono mnie pod pachy na schodach Rajkomu i zaciągnięto do więziennej karetki. Moi studenci, widząc, że idę w kajdankach, podnieśli krzyk.

To była już pieriestrojka i ludzie się tak nie bali. Szczególnie młodzież.

Zamknęli mnie w celi. Przed aresztem zebrał się tłum i skandował: - Wypuścić lekarza! Wypuścić lekarza!

Komendant chciał się mnie pozbyć. Wezwał na przesłuchanie i zaczął: - Wy lekarz. Lekarz dba o chorych, nie o wybory. Od wyborów jest partia i władza radziecka, którym wy, w braku obywatelskiej postawy, przeszkadzacie. Ponieważ chorzy na was czekają, w drodze wyjątku zwalniam was. Tylko pamiętajcie, żeby wasza noga więcej w Brodach nie stanęła, bo będzie gorzej - i kazał mnie odstawić na dworzec i wsadzić do pociągu...

Po powrocie do Lwowa zwołaliśmy niezależny wiec na stadionie. Przyszły tysiące ludzi. Wystąpiłem na nim i powiedziałem, jak wyglądają wolne wybory w Brodach gwarantowane nam przez władzę: - Partia co innego głosi, co innego robi! Stoi dziś nad przepaścią i musi upaść.

Musi upaść, skoro dopuszcza na stanowiska ludzi, którzy krzyczą do nas „won” i twierdzą, że się ich obraża i chami mówiąc do nich po ukraińsku!

Wolą w obcym języku. Czy my jesteśmy kolonią?!

- Niece! Won! Haj żywe Ukraina! - odkrzyknęli mi. Od lat czekali na te słowa.

Wpadli w zbiorowy szał! Tym przemówieniem zdobyłem sobie wielki mir. Ludzie podchodzili do mnie, płakali, rzucali mi się na szyję, dziękowali. Szczęśliwi, że dożyli tej chwili...

To była moja największa i najbardziej ryzykowna operacja w życiu. Odcinanie Ukrainy od Rosji - zaśmiał się pan Bohdan. - Ale w pełni udana. Chociaż były pooperacyjne komplikacje...

Nazajutrz wezwał mnie sekretarz partii i oświadczył: - Nie będziemy tolerować waszych wystąpień. Wnioskujemy o usunięcie was z Instytutu i skierowanie sprawy do prokuratora.

9 on Usunąć jednak nie mógł, Instytut wystąpił w mojej obronie i tylko na jakiś czas zawiesił mnie w czynnościach akademickich...

- Czy wasi kandydaci wtedy przeszli? - zapytałem.

- Tak. To było pierwsze nasze zwycięstwo. Drugim był marsz trzystu tysięcy ludzi ulicami Kijowa. Wciąż pod rządami Sowietów. Na czele pochodu nieśliśmy trumnę.

Po bokach były napisy: „Śmierć komunistycznej partii! Śmierć rosyjskim kolonistom!”. Z przodu portret trumienny Lenina z czarną piracką przepaską na oku i podpisem: „Kat ukraińskiego narodu...”.

Po raz pierwszy nieśliśmy w tym pochodzie nasze narodowe sztandary. Sino-żółte ukraińskie flagi. Policja stała z boku i nie interweniowała. To był znak, że Moskwa słabnie, a nasz „Ruch” rośnie.

W 1990 roku odbyły się wybory do parlamentu Ukrainy. Studenci rozpoczęli swój słynny protest. Rozstawili namioty na placu Rewolucji. Chodzili potrząsając kajdanami. Ogłosili strajk głodowy domagając się całkowitego wyjścia Ukrainy z ZSRR...

- Ilu było studentów na tym placu?

- Około dwustu. Nie tylko Ukraińcy. Poparli ich Rosjanie, Gruzini, Bałto-wie, Bułgarzy. Jako lekarz, opiekowałem się nimi. Niektórych, zbyt wyczerpanych, trzeba było ratować w szpitalu. To była walka na śmierć i życie. Moskwa milczała. Wszystko wisiało na włosku.

W marcu 1990 roku nasz parlament w Kijowie ogłosił Deklarację Niepodległości.

Dla uzyskania wiarygodności zwrócił się do narodu. Na 1 grudnia 1991 roku wyznaczył w tej sprawie referendum. Wszyscy jeździliśmy po całej Ukrainie mobilizując ludzi do głosowania. Liczyliśmy, że jak 50-60% opowie się za niepodległością, to będzie wielki sukces. Opowiedziało się 81 %. To przeszło nasze oczekiwania. Dowiedliśmy Moskwie i światu, że to nie jest kaprys kilkuset posłów, ale wola większości narodu. I to, że rząd polski w Warszawie, jako pierwszy na świecie, uznał rząd niepodległej Ukrainy w Kijowie, było dla nas wtedy bezcenne. I my, Ukraińcy, to pamiętamy. I diakuje-mo wam za to, panowie - wznosił toast lwowską gorzką...

- Bo sytuacja była wciąż płynna - ciągnął dalej. - Kiedy brałem udział w obchodach 700-lecia Kołomyi, w Moskwie doszło do komunistycznego puczu i unieważnienia wszelkich uchwał. Wśród nich Deklaracji Niepodległości Ukrainy.

Gorbaczow był na Krymie. Przez trzy dni ważyły się nasze losy. Liczyłem się z najgorszym. Córka, która mi w Kołomyi towarzyszyła, spytała przerażona: - I co teraz z nami będzie, tato?

- Nie wiem. Ty wracaj do Lwowa. Może wyjdiesz cało. Aleja boję się, że podzielę los mego ojca. Mnie nie darują. W najlepszym razie wyląduję na Syberii. - Ale wszystko skończyło się dobrze.

- A na ślady ojca udało się panu trafić? - Częściowo. Pisałem już, że moja matka nigdy się ze śmiercią mego ojca nie pogodziła. Jego duch wciąż

żył w naszym domu. Potrafiła stworzyć atmosferę, że on jest. Jeśli nawet nie wrócił, to patrzy na nas z góry. Wierzyła, że ojciec pewne rzeczy pochwala, pewnych nie. Często mawiała: - Twój tata nigdy by się na to nie zgodził. Nie możesz mu tego zrobić! Ludzie go pamiętają, choć wydaje ci się, że nie... - I ja tego nie robiłem. Nie zapisałem się do partii, tak jak ona nie wyszła drugi raz za mąż. To po prostu nie wchodziło w grę. Choć chętnych było wielu. Na pewno żyłoby się jej lżej. Podobnie jak mnie z partią. Też miałem propozycje. Pamiętam, jak raz spotkał mnie kolega szkolny Łazar Timofiejew i serdecznie zaprosił do siebie: - No, Bohdan, kopę lat! Wpadnij do mnie. Żona wyjechała. Pogadamy pa duszom jak czekista z czekistą!

Nie bardzo chciałem, bo on akurat był czekistą i w Tarnopolu w KGB pełnił wysoką funkcję. Ale poszedłem. Po dłuższej męskiej wódce spytał mnie wprost: - Jak to jest, Bohdan, że ty wciąż nie jesteś w partii?

- No jak ja mogę być w partii, Łazar, kiedy mi ojca zabili? Pomyśl!

- Kiedy zabili?

- W 1939 roku. Aresztowali w Melnicy i odtąd ślad po nim zaginął...

- To jaki ty jesteś syn, że go nie szukasz? I nie dowiesz się?

- Dowiadywałem się. Ale na żadne pisma moje i matki nigdy nie dostałem odpowiedzi...

- Bo nie umiesz pisać. Dawaj, napiszemy razem. Jak ja napiszę, to odpowiedź będzie. Chodź! Wyślemy do Gorbaczowa. W trybie głośności powołał teraz nowy wydział dla tych spraw. Mam adres...

Siadł do maszyny i z wprawą machnął prośbę, że ja, Bohdan Wynnyczen-ko, porządny i lojalny obywatel sowiecki, z zawodu lekarz, chcę znać całą prawdę o aresztowanym w 1939 roku moim ojcu Iwanie Wynnyczenko, bo to pomoże mi przezwyciężyć dotychczasową nieświadomość i lepiej pracować dla dobra naszej socjalistycznej ojczyzny. I tak dalej. Kazał mi to podpisać. Włożył do koperty, zaadresował i rzekł: -

Chodź! Idziemy wrzucić!

Tym razem odpowiedź była. Z nadzieją otworzyłem kopertę. W liście znalazłem trzy zdania na standardowym druczku z ręcznie wpisanym nazwiskiem mego ojca. Ten druczek stwierdzał krótko, że Iwan Wynnyczenko syn Dany-ły: „Nie sądzony, nie represjonowany, nie figuruje w naszych rejestrach”. Kropka. Pokazałem tę odpowiedź Łazarowi. Zaklął i przysiągł, że on tego nie popuści.

Za jakiś czas odezwał się do mnie i oznajmił, że informację o moim ojcu ma prokurator w Czortkowie, podał mi jego nazwisko i telefon. Zadzwoniłem powołując się na Łazara. Prokurator przyjął mnie bardzo serdecznie. Wyjaśnił, że z akt wynika, iż ojciec mój siedział tu w więzieniu w Czortkowie i stanął przed sędziowską „trojką” w grudniu 1939 roku. Za przynależność do UND< i „Proswity” w pańskiej Polsce oraz skrajny petlurowski nacjonalizm ukraiński, jako wróg ludu i sowieckiej władzy, skazany został przez tę „trojkę” na karę śmierci. Wyrok wykonano. Gdzie jednak i kiedy, tego dokładnie w aktach ni ma. I trudno będzie dojść.

W drodze powrotnej Bohdan Wynnyczenko opowiedział nam jeszcze jedną historię.

- Kiedy w 1944 roku powtórnie weszli Rosjanie, zajęli na kwatery nasz duży dom w Kołomyi. Zainstalował się w nim sztab dywizji. Byli to mili frontowi oficerowie. Nie żadne NKWD. Raz jeden kapitan powiedział: - Chodź Bohdańczyk, pokażemy ci coś fajnego. Rozerwiesz się...

Wsadził mnie obok siebie na wóz i ruszyliśmy. Miałem wtedy jedenaście lat. Przed nami jechała odkryta ciężarówka, na której stał młody więzień przepaską na ustach i tabliczką na piersiach: „Wróg naroda”. Na środku rynku czekał już drewniany szafot i szubienica. Obok grała orkiestra wojskowa Wokół tłum gapiów.

Ciężarówka zrównała się z podestem. Więzień sań wszedł na stołek i

stanął pod szubienicą. Kat zarzucił mu pętlę na szyję. Zdjął przepaskę z ust. Skazaniec zdążył krzyknąć: - Haj żywe samostijna Ukraina Kat wykopał spod niego stołek i szarpnął za sznur. Mocno pociągnął za niego stopy. Więzień konwulsyjnie wierzgnął nogami i zastygł w powietrzu jak kukła.

Orkiestra cały czas grała marsza zwycięstwa. Był to jeden z banderowców, których oni trzymali w piwnicy i kolejno, co drugi dzień, wyciągali na wierzch na tę paradę.

Nasz kapitan był z sądowej „trojki”, która wydawała wyroki. Nie tylko banderowców, ale również Niemców, dezertersów i kolaborantów. Kiedy wstrząśnięty opowiedziałem to w domu, moja mama dostała szału. Rzuciła się na oficerów z pięściami i zaczęła krzyczeć: - Kto wam pozwolił brać mego syna?! Czy wy wiecie, coście zrobili?! Te podłość!

Ohyda! Jesteście zbrodniarze! Oni dziwnie pokornie to przyjęli.

- My nie wiedzieliśmy. Przepraszamy - tłumaczyli się. Oni świetnie wiedzieli.

Specjalnie mnie wzięli. Żebym pamiętał, co się robi z takim, co próbuje walczyć o samostijna Ukrainu - dokończył.

Z okazji przyjazdu Bohdana Wynnyczenki do Kanady udało się wreszcie Leszkowi przemóc opór Jarosława Pohoreckiego i doprowadzić do „okrągłego stołu” w mieszkaniu ciotki Irki i Stepana Bodnaruka.

- Na tym spotkaniu - mówi Leszek - najważniejszą rzeczą była dla mnie rehabilitacja mego dziadka Martyna. To nie było tak, jak twierdził Bohdan Wynnyczenko, że nie interesował się on losem swego brata Iwana. Ciotka Irka wyjawiała, że pamięta świetnie, jak późną nocą przyjechała do nich, do Hadyńkowiec, żona stryjka Iwanka, Jarosława, i zaklinała jej ojca, by nigdy ich nie odwiedzał, bo mógłby tylko zaszkodzić Bohdanowi, który świeżo wstąpił na medycynę: - Tyś uciekł z Syberii! - mówiła.

- Ciotka Sławka - opowiadała dalej ciotka Irka - bała się, że swym

przyjazdem do nich mój batko wzbudzi czujność władz, które przypomną sobie nagle o Wynnycence i wyrzucą Bohdana ze studiów: - Martynku! Na pamięć twego brata zaklinam cię!

Daj mu spokój. Niech on się uczy. Bohdan o niczym nie wie. Wie, że ma stryja Martyna, ale on się nie chce z nim zadawać. Tak musiałam mu powiedzieć, by i j ego nie zniszczyli j ak Iwanka, rozumiesz?! - błagała batkę.

I mój batko przyrzekł jej, że nigdy Bohdana nie odwiedzi. Pojechał dopiero wtedy, gdy usłyszał, że Bohdan skończył studia i jest doktorem. Załadował wóz, wziął jedzenie i udał się do Tarnopola. A tamtego dnia ciotka Sławka nawet u nas nie nocowała, bo bała się, że ktoś ją rozpozna, i tej samej nocy wróciła do Kołomyi. To jeszcze za Stalina było - dokończyła.

- Widzi wuj! - wykrzyknąłem. - To dlatego mój dziadek tak późno wuja odwiedził!

Wujka mama sama go o to prosiła. - Kazałem ciotce Irce to dwa razy powtórzyć. Po tym świadectwie lżej mi się zrobiło na sercu. Mój dziadek Martyn w niebie na pewno poczuł się lepiej, że został zrehabilitowany. I miło mi było, że zarówno Bohdan, jak i Pohorecki o tym od ciotki Irki usłyszeli.

Wuj Bohdan na tym spotkaniu - mówi dalej Leszek - powiedział nam, że jego matka siedziała sześć miesięcy na Gestapo za pomoc ofiarom wojny: - Moja mama, żeby ukryć sprawę ojca, działała za Sowietów w Komitecie pomocy uchodźcom i za to jąpotem Niemcy aresztowali... Ja wtedy zachowywałem się strasznie - wyznał. - W domu babcia mnie wciąż błagała: - Idź, Bodziu, po mamę, proś, by ją puścili, może to coś pomoże. - Nie - odpowiadałem twardo. - Nie pójdę, mama sama przyjdzie!

I kiedy tak po raz kolejny mówiłem, mama właśnie weszła. Obyło się bez mojej interwencji. Mało by ona na Gestapo pomogła... - zaśmiał się.

Na spotkaniu z Pohoreckim Bohdan Wynnyczenko dowiedział się nowych rzeczy o swoim ojcu. Okazało się, że Iwan Wynnyczenko był twórcą

artylerii Strzelców Siczowych w armii austriackiej. Strzelcy Siczowi, tak jak polscy strzelcy w Legionach, byli zalążkiem przyszłej narodowej kadry dowódczej. Ukraińcy na dworze cesarza mieli wpływowego protektora. Był nim książę Wilhelm Habsburg, przezywany Wilhelmem Harasimką z racji częstego paradowania w wyszywanej, ludowej koszuli - „harasimce”. Książę Wilhelm uwielbiał folklor rusiński. Tańce i śpiewy. Tę jego słabość wykorzystano do celów politycznych. Budowy ukraińskiej armii.

Jarosław Pohorecki twierdził, że Iwan Wynnyczenko ukończył wojnę 1920 roku w stopniu majora, czyli atamana. Jako atamana też atamana Petlury, internowano go w obozie w Kaliszu. Taborze, jak nazwał go po ukraińsku. Za tem nie w Szczypiornie, a w Kaliszu.

Inna ważna informacja, która zburzyła nieco moją wiedzę, dotyczyła genealogii rodziny Wynnyczenków. Otóż Jarosław Pohorecki stwierdził, że widział na własne oczy u księdza Sonewickiego akt ślubu Danyły Wynnyczenki, który z prawosławia przeszedł na obrządek grekokatolicki. Danyło nie był chłopem, a synem ziemianina z Włodzimierza nad Kłazmą, dawnej historycznej stolicy Wielkiego Księstwa Włodzimirskiego. Pochodził ze znanej rodziny Wynnyczenków, tej samej, z której wywodził się pierwszy premier niepodległej Ukrainy - pisarz i polityk Wołodymyr Wynnyczenko. Tak więc, gdy sądziłem, że przyszły premier pisał do polskiego „Świtu” w Kijowie i nie był krewnym moich bohaterów, to nie miałem racji.

A świadectwo Jarosława Pohoreckiego, w końcu notariusza, zasługuje na wiarę.

Gratulował on Bohdanowi Wynnyczence nie tylko bohaterskiego ojca - zasłużonego w armii narodowej atamana - ale również dziadka, którego znał jako światłego i dobrego księdza Sonewickiego, drugich co do wielkości posiadaczy majątku Cieleckich. Pańko Nawrocki był przy księdzu bidniak. Sonewicki miał kwitnący folwark z mnóstwem służby i prosty swynopas nie dałby rad nim

zarządzać. Według Pohoreckiego, Danyło Wynnyczenko, ze względu1 najpewniej politycznych, zbiegł z rodzinnych stron za Zbrucz i zaczął tu no \ \ życie. Historia więc podobna jak z Fiodorem Ławrowem, tyle że o sto lat po; niejsza.

Przy końcu spotkania, dążący do zgody i pojednania Leszek zaproponowi wspólne wypicie toastu za wolną Polskę i wolną Ukrainę. Za Ukrainę Jarosła Pohorecki spełnił toast ochoczo - do drugiego się nie palił. Zagadywał, ja mógł. Bohdan Wynnyczenko wreszcie go przycisnął: - Był toast za wolną Ukrainę, musi być za wolną Polskę! Haj żywe! - wznosił kieliszek w stronę seniora kanadyjskich Pohoreckich.

- Pohorecki w końcu wypił. Ale trzeba było widzieć jego minę! Jakby p piołun, nie koniak! - „chrapnął” z uciechy Leszek.

Mijaliśmy Niagara-on-the-Lake, jadąc wzdłuż „strefy” Karola Wawrov zbliżaliśmy się do wodospadu. Tym razem za kierownicą siedział Leszek. I drodze Bohdan Wynnyczenko opowiedział, jak to w lutym 1998 roku za n mową przyjaciół wystartował jako niezależny kandydat na posła do Parlame tu w Kijowie. Z łatwością zebrał trzy tysiące podpisów. Komisja zatwierdzi jego kandydaturę w okręgu lwowskim i przystąpił do kampanii. Podobnie jak ojciec Iwan miał wrodzony dar wymowy i łatwość nawiązywania kontaktu z wyborcami. Znano go jako wybitnego lekarza i odważnego działacza Stowarzyszenia „Ruch”. Wszystko wskazywało na to, że zostanie wybrany.

Ale gdy raz wychodził z Uniwersytetu, napadnięty został przez nieznanych sprawców. Nie ograbiono go, tylko pobito. W ciężkim stanie odwieziono do szpitala. Kolega z Uniwersytetu, też kandydat na posła, zmarł nie odzyskawszy przytomności. Profesor wyżył, ale kampanię wyborczą miał za sobą.

Zaparkowaliśmy koło wodospadu - światowej atrakcji, jak głosi tablica reklamowa.

Bohdan Wynnyczenko patrzył na rozlewisko rzeki przed wodospadem.

- Jak u nas, na Dnieprze - wskazał na żelazny wrak statku, który utkwiał między porohami na kilkaset metrów przed wielkim spadem. Kiedy pierwszy raz byłem nad Niagarą, też miałem to skojarzenie...

Nagle zaczął opowiadać o innej turystycznej atrakcji - Pamirze, Dachy Świata.

Pojechał tam z wyprawą naukową, by poznać ludową medycynę tamtejszych nomadów.

Mieli oni swe odwieczne metody kuracji ziołami i jadem żmij. Bardzo skuteczne.

Tych żmij wiele rodzajów i gatunków żyło w Pamirze. Prawdziwe żmijowisko...

(Jak w Podwisience, która stała się Hadyńkowcami - pomyślałem.)

- Żmije cieszą się u Tadżyków wielkim kultem - mówił pan Bohdan - szczególnie naja-naja, czyli kobra, jadowita okularnica, której ukąszenie, jak wiadomo, jest śmiertelne. Dla nas. Bo oni są uodpornieni. Nie tylko na jad żmij, ale i Moskwy.

Marksizm-leninizm spływał po nich jak woda. Żyli sobie pod Pikiem Komunizmu w swoim obyczajach i języku...

Podeszliśmy do kasy kupić bilety na „Maid of the Mist”. Za chwilę zawinięci w żółte płaszcze płynęliśmy na pokładzie statku, by z dołu podziwiać spiętrzoną wodę. Żywioł spadał w dół z ogromnym grzmotem, niezdolny jednak wybić nam z głów politycznych jadów, wsączanych w nie od lat. Wciąż byliśmy na to mało odporni.

Nawet tu, nad Niagarą. Pod tym niebem z fantastyczną, kolorową tęczą.

- W marcu 1987 roku, proszę pana, my postanowiliśmy razem wyjechać na

Florydę - opowiada Olga Wawrow. - Ewunia z Jankiem i dziewczynkami, Iwonką i Lusią, i ja z Wiekiem. Jeszcze postanowiła zabrać ze sobą małego Lesia, syna Jarka, żeby się pokąpał w ciepłym morzu. On nigdy na południu nie był. Wicko powiedział, że jechać nie chce, podróż długa męczy go, na Florydzie za ciepło i woli zostać... Nie, to nie. Nie będę go wlec na siłę.

Przed wyjazdem my podjechali do domu i wysiadając ja zostawiła torebkę w wozie.

Nigdy tego nie robiła. Pan wie. Torebka u kobiety jak ręka. A tu na gacie została.

Oni mi ją przynieśli, ale ja wciąż myślała: - Coś to pechowo będzie. Źle się zaczyna...

Ale nic. My wyruszyli. Janek z Ewą zmieniali się za kierownicą i dość szybko my na Florydę przyjechali. W sobotę po południu ja zaraz zadzwoniłam do Wicka.

Telefon nie odpowiadał. W niedzielę to samo. Dopiero w poniedziałek o pierwszej godzinie my go chwyciliśmy. Okazało się, że był na urodzinach i Stepana Bodnaruka.

A teraz czuje się nie za bardzo, jest jakiś słaby.

To był poniedziałek. Właśnie szesnastego marca Lesio miał urodziny i mi mu kupili fajny „kejk”¹ czekoladowy z wiórkami. Wieczorem Janek mówi: Zadzwonię do rodziców. - Wykręcił numer i po chwili oddał słuchawkę Ewie. Z tej rozmowy ja czuję, że Irena z Renią tam są. - Dziwne, pomyślała, bo Leszka Irena z Renią rzadko do starszej pani Prokop chodziły.

Po tym telefonie Ewa zaproponowała, żeby pokroić Lesiowi „kejka” i odśpiewać mu „Happy birthday”. My zapalili świece na „kejku”, odśpiewaliśmy mu fajno sto lat, oni się bawili, a Ewa odprowadziła mnie do drugiego pokoju i mówi: - Wiesz, mamo, ty się nie strachaj. Nic strasznego nie jest, ale nasz tata dostał „strołka”.

On lekki ten wylew jest i tato żyć z nim będzie! - uspokoiła mnie. -
Lesze z Jarkiem się wszystkim zajęli i nie kazali nam wracać...

Ale pan wie. To nie wakacje. Floryda nie cieszy. Człowiek na plaży się
dzi i myśli o chorobie. W końcu ja nie wytrzymała, oni widzieli, że się mą cę,
i my te wakacje skrócili. Właściciel hotelu, Żyd, słysząc nasze rozmowy, bo
my dzwonili z jego biura, zwrócił nam resztę pieniędzy. Coś sześćsc dolarów.
Miał chętnych na te pokoje, bo one bardzo ładne były. Z widokiem na morze i
tarasem.

My w krótkich abcugach wsiedli w wóz i wrócili do Te ronto. Ja z
miejsca pobiegła do męża do szpitala. Przyszła i widzę-jest mc Wicko. Żyje.
Chodzi po kurytarzu. No, to ja odetchnęła. On ucieszył się i objął mnie mocno,
ale nie mówi.

Coś ta markocze pod nosem pokazując n usta.

- To się cofnie - pociesza mnie „norsa”, pielęgniarzka. Ale po paru
minutach ja już wiedziała, że to nie mój Wicko. Nie ma z kim mówić. Całkiem
imr Niby rozumie, kiwa głową, ale jakby z daleka. Troszku jak dziecko. Pytai
Jarka, on też mówi: - To nie nasz tato, mamó.

1 Od ang. cake - tort. To wszystko stało się na szachach, w parku. W
parę tygodni po tym wypadku zadzwonił do mnie partner szachista, z
którym Wicko rozegrał tę ostatnią partię w życiu. Tam zawsze zbierała się
grupa szachistów i kibiców różnych narodowości.

Ukraińcy, Polacy, Węgrzy, Słowacy, Litwini. Ten Ukrainiec powiedział
mi, że Wicek wygrał tę ostatnią grę. Z satysfakcją zapalił papierosa, zaciągnął
się nim mocno i zaczął szykować figury do następnej partii. Nagle prawa ręka
opadła mu i zaczęła zmiatać figury z szachownicy. Głowa osunęła mu się na
stół.

- My wiedzieli, że to „strołk”. Szybko zadzwonili na emergency i jego
zaraz zabrali. To była trzecia po południu - mówił ten Ukrainiec.

Tyle ja się dowiedziała o tej ostatniej grze Wicka.

I widzi pan. Szachy. Całe życie ja z nimi walczyła i nie dała rady. Przy nich upadł. Jakby na swoją zgubę szedł. Dla nich został i nie wyjechał na Florydę.

Może gdyby się z nami zabrał, to by nie dostał tego „strołka”? Kto wie? Ale zawsze coś go do nich gnało. Jakaś diabelska moc. Choć one z drewna były, liczyły się dla niego bardziej niż ja. Ja mu często mówiła - Wicko! Ty od komunistów gorszy mąż! Bo oni swych żon dla partyjnych pionków i figur nie rzucają, a ty mnie zawsze. Tylko partia szachów się szykuje, ty już myk, nie ma cię! - Dzień, noc. To był nałóg, proszę pana. Nie wstrzymasz go. Jak nie wstrzymasz pijanicy, tak jego od szachów. Grał, grał, aż przegrał. Dały mu mata.

A mnie zostawiły wszystko na głowie.

Trza było się nim zająć. My go zaraz wypisali ze szpitala. Potem posłali na rehabilitację. Coraz lepiej chodził, ale nie mówił. Troszku próbował pisać, co chce, ale głównie ja pytała, a on oczami dawał mi znaki. Mógł sam się poruszać i chodzić na spacer. Bardzo się starał. Wciąż uparcie ćwiczył. Nie chciał być ciężarem. Po roku wrócił od lekarza i zapłakał. Bo lekarz powiedział mu, że już nigdy nie będzie mówił. Ten „strołek” był lekki, ale głęboki. I nie należy się więcej spodziewać. Jak do roku nic nie wyszło, to nie wyjdzie. Już tej mowy z niego się nie wyciągnie. Niestety. Trza z tym żyć. I my z tym żyli przez dziewięć lat, proszę pana. Co mieli robić?

Tak, że moje złe przeczucie, gdy bez tej torby przed domem pierwszy raz w życiu wysiadła z wozu - sprawdziło się. Nasza podróż bez Wicka na Florydę najszcześniejsza nie była, widzi pan. Niestety.

- Tego pamiętnego dnia, szesnastego marca - mówi Leszek - w piekarni zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem silny głos ojca. Tato nigdy nie przedstawiał się i nie witał, tylko z miejsca przystępował do rzeczy.

Teraz też.

- Mama dzwoniła z Florydy, że szczęśliwie dój echali... A ja idę do parku na szachy. I trach słuchawką, bez good bye czy „Cześć”. Po prostu - trach i już. Taki był tato. Skąd w nim tyle siły? - dziwiłem się.. - O takich ludziach w książkach pisze się, że są niespożytej energii. Chłop nie do zdarcia. Ma siedemdziesiąt dwa lata, a jeszcze haruje od rana do nocy. W sobotę o szóstej był już w piekarni i kierował brygadą porządkową. W gumiakach i starym kombinezonie pilnował mycia maszyn, zamywania hali, składania i czyszczenia tac i skrzynek po weekendowej produkcji. Sam dawał przykład. - Szczęście, że wy się wreszcie odczepili. I przestali mnie doić. A ja na siebie mam. Starczy mi - wymawiał mnie i Jarkowi drwiąco.

To prawda. Przestał nas wspomagać dopiero wtedy, gdy zaczęło nam dobrze iść w piekarni. A przedtem wciąż dofinansowywał. Mnie prawie do czterdziestki, Jarka niemal do pięćdziesiątki. A to dał Jarkowi na ciężarówkę, a to mnie na wykończenie piwnicy. Dobrze, że przestał wypominać, że tylko ślizgamy się po jego garbatych plecach. A jak ich zabraknie, to zdechniemy z głodu. To było jego ulubione zdanie. Te garbate plecy, po których ślizgamy się przez życie.

Zaprzątnięty poniedziałkowym młynem w piekarni, mnóstwem zamówień i jakichś napraw nie myślałem o ojcu. Ojciec był tak, jak co dnia poranek. Przywykłem do niego jak do powietrza. Powietrza się nie widzi, prawda? Jest.

Wieczorem patrzyłem na wiadomości. Nagle zadzwonił telefon. Byle nie awaria w piekarni - pomyślałem. Zawsze gdy dzwonił telefon, moją pierwszą myślą było: Co oni tam znów narobili?

Tym razem odezwał się żeński głos po angielsku. To była lokatorka rodziców.

Powiedziała, że był u niej policjant - szukał mamy i Ewy. Okazało się,

że ojciec jest w Saint Joseph Hospital na Queensway.

- Ale co się stało?! Miał wypadek?!

Tato był fatalnym kierowcą. Jak szczęśliwie wjechał do garażu i cało wysiadł, to śmialiśmy się: - Tato miał dziś wypadek. Bez wypadku wrócił do domu...

Pytałem się, co się stało, ale ta kobieta nie umiała mi wyjaśnić.

Podziękowałem więc jej i szybko zadzwoniłem po brata. Przybiegł zaraz i pędem poleciliśmy do szpitala, który jest o krok. Cały czas głowiliśmy się, co też tatowi mogło się stać? Po pierwszej przecież dzwonił, że idzie na szachy. No, a potem czort wie, gdzie go poniosło?

W szpitalu w wąskim korytarzu oświetlonym jarzeniówkami po obu stronach pod ścianami leżeli chorzy. Tato siedział w szpitalnej koszuli. Zaraz go zobaczyłem.

Jego ubranie leżało w koszyku pod łóżkiem.

- Co się stało? - pytaliśmy na przemian z bratem.

W milczeniu podniósł lewą ręką swoją prawą i pomachał nią jak pustym rękawem.

Wybełkotał coś. Strach w oczach i charakterystyczny grymas warg dopowiedziały resztę. Koniec. Chyba wylew i paraliż. Posiedzieliśmy trochę z nim próbując go pocieszyć, ale siedział zrezygnowany.

Zawsze był pesymistą, teraz stał się jeszcze większym. Nie wierzył, że wszystko wyjdzie na kozaka, jak mawiał stryj Karol.

Wracaliśmy do domu w milczeniu. Nie wiem, co myślał Jarek. On do ojca miał inny stosunek.

Ja wiedziałem jedno. Że ten dawny ojciec z dzisiejszego poranka się skończył.

Nie ma go i nigdy nie będzie. Nie usłyszę już jego niskiego głosu z tym wschodnim, śpiewnym akcentem. Spokojnego, gdy w grę wchodziła polityka,

podniesionego, gdy kłóciliśmy się w sprawach rodzinnych. Chciał, bym został elektrykiem. Może nawet inżynierem czy adwokatem jak stryjko Iwanko. Ale przez niego właśnie skończyłem historię. On mnie nią zaraził. Gdy jeszcze nie umiałem czytać, to brał mnie na kolana i czytał Historię Polski wydaną w Chicago w 1919 roku. Polska wtedy już była wolna po stu dwudziestu trzech latach, ale nie zdarzył się jeszcze „cud nad Wisłą”. Te Historię, Biblię i atlas przywiózł dziadek Krasnowski z Ameryki dla swoich wnuczek: Lońki i Bronki Gnach. Chciałem te książki wziąć ze sobą do Kanady, spakowałem już, ale ojciec mi zabronił.

Kazał wyjąć i oddać. Kiedy protestowałem, rzucił krótko: - Nie twoje. Te książki są z Ameryki, więc je sobie kupisz. A im zostaw, niech też mają prawdziwą historię...

Tato zawsze był ze mną - nawet wtedy gdy mieszkałem u stryja i odwiedzałem go raz na tydzień w jego „gołębniku” w polskiej dzielnicy. Razem czytaliśmy i dyskutowaliśmy „Związkowca”, „Kulturę” paryską i inne książki, o których było głośno.

Ta ręka, która teraz bezwładnie wisiała, nieraz wymierzała mi szybką sprawiedliwość. Twarda, ciężka włochata łapa, którą musiałem posłusznie całować po oberwaniu lania. Nigdy w życiu mnie nie pogłaskała, ale też nigdy nie zawiodła, gdy potrzebowałem na uniwersytet, dom czy biznes...

- Poza snem mojej siostry Irki - opowiada Olga Wawrow - której w tym dniu przyśniły się dwa białe aniołki na czarnej trumnie, co zawsze czyjaś śmierć zwiastuje, nic jej nie wróżyło, proszę pana. Irka mi zresztą o tym śnie dużo później powiedziała. Mąż czuł się dobrze, ciągle ćwiczył, słuchał lekarzy i starał się być samodzielny. Nie lubił, by koło niego robić. Zawsze dawał znaki: Ja sam, ja sam! - i wyrywał mi chałat z ręki. Ja musiała politykować. Ostrożnie z nim jak z dzieckiem. By mi ta czasem nie obraził się. Ten mój Wicko. Bo on strasznie ambitny był. Miał dokładny plan dnia. I trzymał się go

jak w zegarku.

Z rana zawsze pił kawę. Od kawy zaczynał dzień. Ja mu ją zgotowała albo sam jej sobie naparzył, potem jadł śniadanie i szedł na spacer. Bardzo tego spaceru pilnował, by mieć siły samemu sprawić się. A silny wciąż był. Chociaż gdy czasem na niego patrzała, jaki on bezradny jest, to mi się płakać chciało. Co choroba z człowieka robi? Mój Wicko, co płót w Probużnej przesadził, teraz z trudem suwał nogami. Ale szedł. Nie dawał się. Codziennie chodził na spacer aż do apteki na Roncesvalles. Tam sobie sam wykupywał lekarstwa.

- Podczas tego spaceru pierwszy i ostatni raz go widziałem - wtrąciłem. - Mąż szedł pochylony, wspierał się o lasce, ale dzielnie sobie radził...

- Ja. Pod koniec życia mocno go wygięło. Więc pamięta go pan? Wicko wrócił ze spaceru, sam się rozebrał i siadł tu - wskazała krzesło.

- Tak jest. Nie mówił nic, ale kiwał głową i przenikliwie patrzył. Wzrok miał bardzo ostry. Niemal przesywający. Takim go zapamiętałem...

- Bo on tymi oczami mówił, proszę pana. Z oczu i gestu ja zgadła, co on chce, proszę pana.

No i tego dnia wszystko było normalnie. Po śniadaniu ubrał się i chce na spacer.

A wtedy mróz był straszny. Więc go wstrzymuję: - Nie idź, Wicko! Ty zmarzniesz! Nie wolno ci! - ale gdzie ta! Uparty. Poszedł.

Po chwili wraca. Tupie nogami, trze ręce.

- Zimno?

- Au! Au! - kiwa głową. Przekonał się.

Potem mu zgotowała obiad, ale nie bardzo chciał jeść, dał znać, że później sam sobie weźmie. Ja nie jadła, bo była zaproszona do Maryjki, żony Borysa, na urodziny małego Boryska. On akurat rok kończył. Więc mówię do

Wicka: - Ty tu sobie siedź, nigdzie mi nie chodź, a ja wrócę wieczorem...

Wiedziała, że nie pójdzie. Teraz ja naprawdę go miała dla siebie.

Trzymał się domu. Musiał przyjść „stroik”, by mego Wicka wreszcie usadził.

Z tych urodzin Boryska wróciła, proszę pana, wchodzę, Wicka nie ma. W sypialce łóżko ścieli.

Lampa się pali...

- Ja przyniosła ci kawałek „kejka” od Maryjki - mówię. - Chcesz?

- No - zaprzeczył głową.

Widzę, że wszystko zjadł, bo naczynia złożył w zlewie. Wyszedł z sypialki i na dłoni pokazał, że taki mały kawałek tego „kejka” to on zje. Ja mu dała i zjadł.

Jeszcze poprosił o troszku babki, co na lodówce stała. Ja mu masłem posmarowała i też zjadł. On tę babkę od Leszka bardzo na wieczór lubił.

Tego dnia miała go kąpać. Ale zmęczona była, więc mówię mu: - Ja cię Wicko jutro wykapię. Mocniejsza będę. - On kiwnął głową: znaczy dobrze. Rano ja go fajno wykapała. Obcięła nożyczkami paznokcie u rąk i nóg, bo on sam nie mógł, i zgotowała obiad. On tego obiadu tknął tyle ta co nic. Smaku już nie miał, widzi pan. I lewą rękę wciąż tarł. Skarżył się na nią.

- Cierpnie ci?

- Ech, ech - wymamrotał.

Potem poszedł do sypialki, poprosił o świeżą pizamę i za chwilę zawołał, żeby mu stopy kremem natrzeć. Ja mu nasmarowała, jeszcze powiedziała: - Ty Wicko odczekaj, niech krem fajno wsiąknie, bo mi w prześcieradło wetrzesz. Przed samym snem w łazience nożyczkami przed lustrem dokładnie wszystkie włoski sobie w nosie wyciął. Na tyle siły miał. On do końca bardzo dbał o swój wygląd. Koszulę, krawat. Ja się położyła, a on w sypialce jeszcze oglądał wieczorne „ńjusy”¹.

Całe życie polityką się ciekawił.

Ja poszła spać, ale tłuła się z boku na bok, nie mogła zasnąć. Bardzo się męczyła. W nocy spadł śnieg. Rano się obudziła - cisza. Patrząc na zegar - dziesiąta. Ja tak długo jeszcze nigdy nie spała. Myślę: nie słyszała, jak Wicko wstał. Weszła do kuchni. Kawa nie nastawiona, on zawsze ją robił. Wbiegła do jego sypialki - lampa przy łóżku świeci. Dziwne. On zawsze na noc ją gasił.

Wołam go: - Wicko! Wstawaj! - nic. Śpi. Nie rusza się. Potrząsam go - zimny.

- Matko Boska! Wicko! - krzyknęła. - A mój Wicko już nie żył! Gdy ja w nocy tłuła się za ścianą obok, on umarł. Ja nic nie słyszała. Musiał nastąpić „strok”. Lekarz mówił, że ten drugi będzie śmiertelny. Ta cierpna lewa ręka była sygnałem. I ja myślę, że Wicko na śmierć czekał. Gdy zrozumiał, że mowę na zawsze stracił, na nic ćwiczenia, on kaleka na łasce innych - to tego życia nie chciał. Za ambitny był. Często dawał mi znaki. Leszek też twierdzi, że tato nie chciał żyć. Wolał do Hadyńkowiec...

- Do Hadyńkowiec?

- Ja. Kiedy ja patrzyła, jak on idzie coraz bardziej zgięty, prawie pokorcz Kornelko, jak z uporem wspiera się na lasce suwając za sobą tę nogę i idzie, idzie, z oczami we mgle, to ja wiedziała, że on nie na Roncesvalles idzie, proszę pana, ale do siebie. Do naszych stron. Za granicę świata, którego już nie ma, lecz on wiedział, że jest. I dlatego tak uparcie szedł, nawet w mróz, by do niego dojść. I doszedł. Myślę, że tam jest szczęśliwy...

Przerwała na chwilę i otarła łzę chusteczką.

- I ja wkrótce do niego dojdę - podjęła znów. - Spotkamy się u studni. Z chłopcem wargatym w pumpkach. I koniem Jackiem w placki...

- Gdzie czerepańki dziadka Pańki i białe romany?

- Ja. Będziemy przez nie skakać. Czemu by nie? Na Pańskiej Dolinie można. On ta pewnie kawaleruje. Ten mój Wicko. I żadnego tańca nie

przepuści. Jak go znam...

Z ceremonii pogrzebowej 31 stycznia 1996 roku zapamiętałem odkrytą trumnę z wystawionym ciałem, który to obyczaj przywędrował tu ze Wscho1 Od ang. news - wiadomości. du. Kłękających u jego zwłok krewnych, żegnających go pocałunkiem i modlitwą.

Tak od wieków żegnano się w Hadyńkowcach. W szeregu przy trumnie stała najbliższa rodzina. Żona, córka, synowie, wnuki i prawnuki. Olga Wawrow kredowo biała. W czarnym kapeluszu. Biel przebijała spod żałobnej woalki. To jednak, co najbardziej mnie uderzyło, to widok dwóch synów u trumny - Jarosława i Lesława.

Stali w smokingach i białych gorsach, w czarnych krawatach. Podobni do siebie mimo różnicy wieku i urody. Jednakowo wzruszeni. Leszek odczytał życiorys ojca.

Nazajutrz, 1 lutego 1996 roku, odbyło się nabożeństwo żałobne w kościele św.

Kazimierza na Roncesvalles. Znow uczestniczyło w nim wiele osób, a ksiądz Kazimierz Kozicki wygłosił pogrzebową homilię.

Gdy wyszliśmy z kościoła, śniegu na ulicy było coraz więcej. Pługi nie nadążały odgarniać. Sypało non stop. Prawdziwa burza śnieżna. Prawie taka jak wtedy nad Zbruczem, gdy przodek Wincentego, Fiodor Ławrow, objeżdżał na koniu podległe mu strażnice.

Wincenty Wawrow pochowany został na cmentarzu Greenwood w Water-ford. Po angielsku to tyle co bród. Przejście przez rzekę. Udało mu się znad Zbrucza granicę przejść i w kanadyjskim Brodzie sto kilometrów na zachód od Toronto, jadąc w kierunku Niagary i granicy amerykańskiej, spocząć na wieki.

- Tato bardzo lubił tam jeździć. Patrzyć na las, który przypominał mu Pańską Dolinę w Hadyńkowcach. I w tym wiejskim, cichym ustroniu chciał

być pochowany.

My z mamą uszanowaliśmy jego wolę. Mama też chce leżeć obok niego. Na tym cmentarzu Waterford - dokończył Leszek.

- I takie to życie ludzkie jest, widzi pan - westchnęła Olga Wawrow. - Wszystko pomalutku kończy się. Parę dni temu otrzymałam list od mego brata Sławcia z Hadyńkowic, że Jaśko Wawrow, syn stryja Wincentego Ławro-wa, zmarł... Teraz więc nie ma już w Hadyńkowcach Wawrowych.

A tu - już trzeci rok w styczniu będzie, jak Wicka nie ma. Mimo że przez dziewięć lat on nic nie mówił, w chorobie był troszku jak dziecko i ja musiała się nim zajmować, uwiązana w domu - dziś bez niego pusto. Człowiek nagle umiera, lampa po nim gaśnie, kroki milkną, krzesło wolne stoi, a życie toczy się dalej.

Zostaje pół człowieka, pół serca, pół domu, połowa wszystkiego. Bo my byli z Wiekiem związani sześćdziesiąt lat. Tyle co nasz Jarko ma dziś. Ja od małej dziewczynki tego Wicka wargatego znała - wskazała portret męża na ścianie. - Jaki był, to był, każdy ma swoje wady, ale był. Ja go bardzo kochała. I nikt mi go nie zastąpi. Ciężko to zrozumieć. I ciężko z tym żyć. Trza robić dobrą minę do dzieci, do wnuków i nie odstraszać ich swym smutkiem, bo uciekną. Potrzebną im być. Fajne gołąbki zrobić, by pamiętały, że takie tylko u babci Olgi jadły. I one pamiętają. Chwalą je sobie. Bardzo lubią, co ja im zgotuję. Renia, Lusja, Iwonka. Jak ptaszki do mnie zlatuj ą na Indian Grove, widzi pan.

Dużo się pisze o sercu kobiety. Przeważnie młodej. Lecz takiej jak ja, co to jeszcze się rusza i w środku nie całkiem stara, to mało co piszą.

Ale mnie wciąż interesowały dawne sprawy.

- Od Leszka dowiedziałem się - zagadnąłem Olę Wawrow - że pani dopiero kilka dni temu przyznała się, że bunkier banderowców był w pani stodole. I że w tym bunkrze ukrywała się Olga Bandura. Z Kornelką

Stefaniukiem. „Stepowym”.

- Czy ona - to nie wiem, bo ja w nocy nie chodziła. Ale ten bunkier był dla niej wygodny, bo ona miała z niego parę kroków do swego domu. Dom Ban-dury był blisko naszego, proszę pana.

- I to prawda, że jak pani zabiła świnie, to kładła w stodole ćwierć tuszy i mówiła: - Może ta kto głodny, to niech się pożywi...

- No, tak. Ja udawała, że nic nie wiem, i dawała im. Inaczej oni by mnie zabili, proszę pana.

- I to prawda z tym bunkrem?

- Ja. Mój Lesio ze mnie wycisnął. On ta gorszy od czekisty. Tak pyta, pyta, aż się dopyta. Ale tego niech pan nie pisze. Nie trza. Na co?! - skrzywiła się. - Różni tu mieszkają. Pan wie. Nie muszę panu mówić.

- A co z Janem Korsakiem? Przychodzi wciąż?

- Nie. Wystraszył się. On ta też bardzo ostrożny. Boi się, że ja może chcę za niego wyjść i czyham na jego majątek. Nie tyle on się lęka, co jego dzieci. Że im wszystko zabiorę. A mnie jego majątek na co? Swego mam dość. I nigdy nie myślała wyjść za niego. Ale fajno czasem razem wyjechać, zwiedzić coś, zobaczyć.

Ja wciąż ciekawa jestem, mam chęć, póki troszku tych sił jest. A samej głupio.

No i kiedy chciała wyjechać, to on zadzwonił, że córka Kika mu nie pozwala, niezbyt z tego zadowolona. To mu podziękowała. Ja całe życie wolna była, nie po to ciężko pracowała i walczyła o siebie, by na stare lata jakaś Kika mi mówiła, co trza mi robić, a co nie. A na co mi, panie, ten kłopot?! Niech idzie do Kiki.

I swej rodziny. Ja mam swoją. On czasem dzwoni, ale już nie przychodzi. Fajno było z nim razem gdzieś pójść, pogadać o rzeczach, które już tylko my znamy, ale nie, to nie. Jest granica. Wolność ważniejsza. Ja tak

uważam, proszę pana. Tak.

Wszystko pomalutku kończy się. I z Jankiem Korsakiem też się skończyła ta dumka o sokole, co nam ją śpiewał.

Stoimy z panią Olgą i Leszkiem na cmentarzu w Greenwood Waterford przed marmurowym, czarnym obeliskiem z napisem: „Wincenty Wawrow urodzony w Hadyńkowcach w 1915 - zmarły w Toronto 1996”. A pod nim wykute litery: „Olga Wawrow ur. 1921” z pustym miejscem na datę śmierci.

- Kiedyś dołączę do mego Wicka, żeby mu ta nie było smutno, proszę pana - rzuciła pani Olga zapalając lampkę na grobie męża.

- My z Ireną też mamy tu wykupione miejsce - dodał Leszek wskazując na sąsiednią kwaterę.

Na tym cmentarzu pełno nazwisk ukraińskich i polskich. Nad paroma nazwiskami tryzuby. Nad jednym faszystowski z trzema ostrzami niemieckich bagnetów i krzyżem żelaznym u góry.

- Początkowo był to przekrój gołębiczy lecącej głową w dół. Tu dziób, a tu skrzydła - tłumaczył mi Leszek. - Znak pokoju... Potem dokonano skrótu, który zmienił rysunek w trzyzębne widły, a nawet bagnety, jak w przypadku tego tryzuba z SS „Galitzien”.

Mnie najbardziej zdumiało - ciągnął po chwili Leszek - kiedy wuj Bohdan powiedział mi, że we Lwowie przemieniono ulicę Lenina na Stepana Bandery.

Cokolwiek by jego syn Andrej o nim nie mówił i jak go nie bronił, to zbrodnie UPA z jego nazwiskiem się łączą.

- To prawda. Z Banderą mordo wali. Niestety - pani Olga poprawiała czarny kapelusz.

Wsiedliśmy do wozu i podjechali do farmy Leszka. Przy szosie stał piętrowy dom z zabudowaniami gospodarczymi, a w głębi parterowy

pawilon.

- Kiedyś była tu suszarnia tytoniu, proszę pana, którą mój Lesio przerobił sobie na tymczasowy „kotycz”. A ten duży dom rentuje...

- Tak jest - podchwycił Leszek. - Te zabudowania z ziemią kupiłem od Węgra, który przyjechał tu jeszcze przed wojną. A las dokupiłem ostatnio i mam teraz wszystko w jednym kawałku. Czterdzieści pięć hektarów, siedemdziesiąt dwie morgi, sto siedemnaście akrów. Dwa razy więcej niż Pańko Na-wrocki i trzy razy tyle co mój dziadek Martyn. Kazałem to dokładnie przeliczyć...

- Ten las jak Pańska Dolina hrabiego Cieleckiego w Hadyńkowcach - pani Olga zatoczyła szeroko ręką. - To wy sobie idźcie, panowie, obejrzyjcie dobra Leszka, a ja tu zostanę, bo się troszku zmęczyła, prawdę powiedziawszy - i siadła na ganku.

Szliśmy między ornymi polami. Mimo połowy grudnia byliśmy bez kurtek. Słońce grzało wiosennie.

- Waterford leży w najcieplejszym kącie Kanady - tłumaczy mi Leszek.

- To typowy teren rolny. Pola i farmy. Z plantacjami tytoniu i uprawą pszenicy.

Największy problem tych stron to susza. Brak deszczu. Niebo prawie zawsze jest czyste.

- Burzy nie nawiewa?

- Przechodzi bokiem. O, tu - wskazał czerwony palik wbity w ziemię - jest granica mojej posiadłości. Biegnie wzdłuż strumyka. Tam dalej był kiedyś duży staw, który całkiem zarósł i mam zamiar go odtworzyć.

Po tym obchodzie wróciliśmy do pawilonu, gdzie na ganku wciąż siedziała pani Olga zapatrzona nieruchomo w otaczający ją kanadyjski krajobraz.

- No jak ten fulwarek Lesia, panie? Fajny, nie? Brakuje tylko pałacu i

dworskiej alei - ocknęła się z zamyślenia.

- Aleja już jest, mam. Lipy rosną - Leszek wskazał na rząd drzewek biegnących do szosy - a pałac stanie tu - wszedł na lekkie wzniesienie. - Tu będzie podjazd.

Mam dokładny plan. Miniatura dworu w Hadyńkowcach, takiego, jakim był za czasów moich rodziców. Bez bocznego skrzydła. Współczesny...

- Współczesny spłonął, Lesiu. Pałac Cieleckich banderowcy spalili jeszcze w 1944 roku. Jak ja była w Hadyńkowcach - poprawiła go pani Olga.

- Znaczą tylko u mnie będzie. W Waterford - rzekł niespieszony.

- I Lesio będzie z za stawów, pani Olgo. Jak Staszek Kulczycki - wtrąciłem.

- Staszek Kulczycki umarł, proszę pana. Milka mi w ostatnim liście o tym pisała - odparła przeciągle. - Podobnie jak umarł mój młodszy brat Jarko. Ja panu o tym nie zdążyła powiedzieć...

- Sławcio? Ten co otwierając szafę z wódką chwalił się swoim majątkiem?

- Ten majątek go zgubił, panie. Za często po niego sięgał. Już miesiąc jak leży na cmentarzu w Oryszkowcach. Ja, ja - splotła mocniej dłonie na kolanach.

- A jak się pobuduję, przekażę piekarnię kuzynom i osiadę tu - zmienił temat Leszek. - Będę mógł wreszcie robić, co zechcę. Czytać, pisać. Studiować historię. Organizować sympozja. Dążyć do dialogu polsko-ukraińskiego. W końcu nie samym chlebem człowiek żyje. Dość się go w życiu napięciem. Chodźmy. Mama idzie. Przeziębienie się. Robi się chłodno...

- Ja, ja - odparła cicho zapatrzona wciąż w to niewielkie wzniesienie, na którym Leszek planował wznieść swój pałac. I jakby żegnając się ze swoim światem, głucha na jego zaproszenie, mruknęła ni to do mnie, ni to do siebie: - I tak to pomalutku wszystko kończy się, proszę pana. - Dała tym do

zrozumienia, że nikt nie jest w stanie przenieść tu, do Kanady, jej Hadyńkowiec, które ona tylko pamięta i wraz ze sobą zabierze do grobu. Zakończenie - Is the concert in the park1 - David Craig zapowiedział swą stałą audycję prezentującą orkiestrę dętą na antenie kanadyjskiego radia Classical 96,03 - stacji muzyki poważnej, której często słucham.

Otworzyłem oczy. Na białym futrze spał Webster. „Marsz Radetzkiego” właśnie się kończył. Za chwilę ten sam głos zapowiedział chór Armii Czerwonej imienia Aleksandrowa z pieśnią Saławiowa-Siedoja, którą znałem od dziecka: -”Jednak szkwał. Grooźny!” - przeciągnąłem się. „I tak to pomalutku wszystko kończy się, proszę pana” - powtórzyłem słowa Olgi Wawrow. - Mój a saga też...

Wstałem i wyrząłem przez okno. Od trzech dni w Toronto szalał sztorm, który sparaliżował miasto. Odwołano zajęcia w szkołach. Nawet metro na jakiś czas stanęło. Takich opadów śniegu nie widziano od kilkudziesięciu lat. Natura pokazała swój pazur. Webster skuczał cicho. Egzekwował swój spacer bez względu na pogodę. Zjechaliśmy windą w dół i wyszliśmy na ulicę. Ciął ostry wiatr.

Mleczna zamieć skryła wszystko. Pługi nie nadążyły odgarnąć śniegu z bocznych ulic, St Mary Street pozostawiając swemu losowi. Brnęliśmy wąskim tunelem.

Skarpy po obu stronach sięgały ramion. Przy bramie Yictoria College ujrzałem wystające ze śniegu siodełko. Ślad po zasypanym rowerze. (Taką zimę zapamiętałem z 1940 roku). Webster był w swoim żywiole. Z pasją wspinał się na najwyższe zbocza. Radośnie pruł je nosem wyrzucając w górę fontanny śniegu. Czasem grzązł w zaspie po ogon, ale twardo pchał pysk w głąb w nadziei, że coś znajdzie. Jego wiara we własny nos imponowała. Śnieg sypał jak wtedy, gdy szukałem tego pierwszego, kluczowego zdania.

Teraz postawiłem ostatnie.

1 Oto koncert w parku. Aneks „Stosunki ukraińsko-żydowskie nigdy nie były zadawalające. Ukraińcy zarzucali Żydom współpracę z Polakami i podziw dla kultury polskiej, natomiast Żydzi nie mieli zaufania do Ukraińców. Cienie Chmielnickich, Bulbów i Petlurów stały zawsze na drodze do pojednania. Na płaszczyźnie indywidualnej jednak było wiele przyjaźni i nawet wspólnych interesów. Wyrosłem między Ukraińcami i z przyjemnością wspominam zaproszenia do sąsiadów na Świąty Wieczór i śpiewanie kolęd. Do dziś ukraińskie piosenki wzbudzają we mnie dziwne uczucie nostalgii.

Kilka lat przed wojną nacjonalizm ukraiński zaczął przybierać charakter skrajny... Z niepokojem śledziłem jak moi znajomi i przyjaciele ukraińscy gorliwie zabrali się do nauki języka niemieckiego. Jeden z nich tak się chwalił: - Jakby ne der, die, das, bułyby prawdiwi Nimciznas...”

Pamiętam koncert pieśni żydowskich w sali „Sokoła” wiosną 1941 roku. Chór żydowski prowadził były kantor synagogi Reif. Nie mógł już uczyć pieśni biblijnych, więc zorganizował chór śpiewający pieśni ludowe. Na koncercie po odśpiewaniu kilku piosenek żydowskich solista tego chóru, Juda Alt-schiller, odśpiewał dwie piosenki polskie z repertuaru Jana Kiepury. Były burzliwe oklaski. Moja matka ze wzruszeniem ocierała łzy z oczu.

6 lipca 1941 roku w godzinach popołudniowych pojawiły się pierwsze motocykle wojskowe, a trochę później pierwszy czołg niemiecki ozdobiony kwiatami, a na nim jako przewodnik jeden z miejscowych Ukraińców. Nad siedzibą byłego Kółka Rolniczego i budynku starostwa powiewały już sztandary ze swastyką i sino-żółte chorągwie ukraińskie. Dla Ukraińców ten dzień był dniem nieopisanej radości, dla Polaków oznaczał tylko zmianę okupantów. Wśród Żydów wzbudzał najgłębsze obawy i w rzeczywistości okazał się początkiem końca istnienia środowiska żydowskiego w Kopyczyńcach i powiecie.

Oficjalnie powitał wkraczający Wehrmacht chlebem i solą oraz

kwiatami doktor Kornowa, jeden z czołowych skrajnych nacjonalistów ukraińskich. Już w drugim dniu nowej okupacji pierwszą ofiarą oprawców był Abraham Hal-czer, kupiec. Niemcy weszli do jego mieszkania i na oczach rodziny zamordowali go. Na ulicach miasta pojawiły się rzesze młodzieży ukraińskiej w mundurach, z bronią i bez broni. Ich pierwszym zadaniem było odnowienie tradycji „Siczy”. Bez powodu wkraczali do mieszkań żydowskich bijąc i gwałcąc. Schwymano siedmiu komunistów, między nimi syna adwokata Andermana. Waliach, Rosental, Szapiro zostali zasądzeni na śmierć przez na gwałt zorganizowany sąd ukraiński na czele z byłym dyrektorem ukraińskiej szkoły. Do masowego pogromu w Kopyczyńcach nie doszło, może dzięki interwencji umiarkowanego nacjonalisty Kapuśtyńskiego...

Przypisywano Żydom wszelkie przestępstwa, włączając najnowsze, np. „żydokomunę”.

Nie pomogły nawoływania metropolity Szeptyckiego we Lwowie i w naszym Husiatynie księdza greckokatolickiego, Raczenki, potępiających z ambony barbarzyńskie krwawe orgie, „których Bóg nie rozgrzeszy ani ludzie nie wybaczą”... Do naszego mieszkania pewnej nocy wszedł Homonko z dwoma policjantami. Był kiedyś moim i mojej siostry nauczycielem. Szukał pod łóżkiem rzekomo ukrytych komunistów, zabrał moją kolekcję znaczków zagranicznych. Na czele bandyckiej policji ukraińskiej stanął Hnatiwskij, „wykształcony” zaciekły nacjonalista z Wasylkowców. Osiadł później w Ameryce i prawdopodobnie kupił dużą farmę... Już w pierwszych dniach okupacji władze niemieckie zarządziły utworzenie Judenratu.

Utworzono również „Ordungdienst”, coś w rodzaju policji. Członkom Judenratu i tej policji zapewniono przywileje i nietykalność. Szefem Judenratu został Herman Roller. Gestapo objęło nadzór nad ludnością żydowską...

W okolicach Tarnopola w trzech wsiach zorganizowano obozy śmierci. W Kamionce, Borkach Wielkich i Głuboczku. Największym z nich była

Kamionka, której komendantem był Niemiec z Sudetów - Tamanek, sądzony po wojnie przez sąd niemiecki. Jednym z cudem ocalałych świadków na tym procesie był Jankiel Salzberg z Kopyczyniec, który na proces przyjechał z Brazylii. Głuboczek był kamieniołomem. Okrucieństwo w tych obozach było podobne jak na Majdanku czy w Oświęcimiu.. Z Borek Wielkich nikt z życiem nie uszedł...

W jednej z obław zostałem złapany, ale udało mi się zbiec. Zimą 1942 roku w getcie kopyczyńskim pozwolono na otwarcie „Judische Selbsthilfe” - Żydowskiej Samopomocy, która otworzyła kuchnię dla biedaków. Na jej czele stanął inżynier Silberstein wywodzący się z rodziny byłego posła do Sejmu RP, który uciekł do Szwajcarii. Inżynier Silberstein został wezwany na przesłuchanie do gestapo w Czortkowie. Wkrótce słuch o nim zaginął... Wiosną 1942 roku getto zostało wstrząśnięte nowym okrucieństwem. Wczesnym rankiem Judenrat był zmuszony dostawić Niemcom sto dziewcząt na przymusowe roboty w okolicach Jagłelnicy.

Wyciągano z domu wiele dziewcząt za włosy, bito kijami i wrzucano do czekających samochodów ciężarowych... W połowie września ukazały się na ulicach obwieszczenia, że nastąpi „akcja wysie - dleńcza Żydów”... Nikt nie wierzył w przesiedlenie. Każdy próbował po swojemu jakoś tę akcję przeżyć. Jedni znaleźli schronienie u swych katolickich przyjaciół, inni znów zaryli się w ziemię. Zaczęto budować bunkry... Pod niektórymi domami ciągnęły się całe katakumby... Niektóre bunkry przetrzymały wszystkie akcje i nie zostały odkryte, mimo że w wielu wypadkach Niemcy używali tresowanych psów. Często wentylacja zawodziła i ludzie ginęli z braku powietrza.

Znam wypadki, że sami się zasypywali nie chcąc się oddać w ręce Ukraińców lub Niemców...

We środę 30 września 1942 roku w słoneczny, jesienny poranek miasto

zostało otoczone jednostkami gestapo, żandarmerii i ukraińskiej policji. W tej akcji brała również udział straż pożarna. Z krzykiem *Juden raus* z domów wyciągano zastraszonych Żydów. Straż pożarna w poszukiwaniu ukrytych siekierami rąbała podłogi i ściany zaglądając nawet do kominów. Chorzy i ułomni, nie mogący dotrzymać kroku, likwidowani byli na miejscu. Około pięćdziesięciu zostało zastrzelonych podczas ucieczki, tylko kilku zbiegło. Przed wieczorem popędzono około tysiąca dwustu Żydów na stację kolejową, gdzie przygotowano wagony towarowe. Policja niemiłosiernie znęcała się nad ofiarami. Miejscowego rabina i jego żonę bito bez przerwy. Najwięcej nad Abrahamo-wiczem znęcali się niejaki Marak oraz policjanci ukraińscy Kotek i Cicko, no i Bełko, który nie był policjantem i robił to z „zamiłowania” oraz z wrodzonego sadyzmu. Z tej grupy wybrano siedemdziesięciu zdrowych mężczyzn do osobnych wagonów, ich przeznaczeniem był obóz śmierci na ulicy Janowskiej we Lwowie. Żaden z nich nie przeżył. Reszta zatrzymanych, po przymusowym oddaniu pieniędzy i biżuterii, musiała się całkowicie rozebrać i wtedy zaczęto właczać do wagonów po sto nagich kobiet, mężczyzn i dzieci. Wyrywano małe dzieci matkom i wrzucano do innych wagonów. Kilku ludzi zastrzelono, bo nie było miejsca w wagonach, a każdy musiał mieć równą setkę więźniów. Pociągi obładowane żywą masą ludzką ruszyły na północ do Bełżca. Co w tych wagonach się działo, nie mieści się w ludzkiej wyobraźni. Jednemu młodemu chłopakowi z Chorostkowa udało się podważyć deskę w wagonie i nocą wyskoczyć. Goły doszedł do jakiejś chaty, gdzie mu udzielono pomocy. W tym samym dniu identyczne akcje odbyły się w Chorostkowie i w Probużnej.

1 października 1942 roku władze niemieckie i ukraińskie mogły się z dumą pochwalić przed szefem gestapo we Lwowie, Katzmanem, że połowa ludności żydowskiej w powiecie kopyczyńskim została wysiedlona, czyli zlikwidowana...

Pozostałych Żydów przeniesiono do Kopyczyniec. Przygarnęliśmy krewnych z Husiatyna, Wasylkowiec i Mikuliniec, było nas teraz trzynaścioro... Były plany nabycia broni. Nikt jednak z aryjskiej strony nie był gotów nam nawet za pieniądze broni dostarczyć. Tylko nielicznym jednostkom udało się dołączyć do grup partyzanckich... Michał Glanz nawet dostał się do sztabu partyzanckiego armii Kowpaka. Michał Hirsch z Kociubiniec podczas jednej z łapanek poderżnął gardło ukraińskiemu policjantowi, wskoczył do Niczławy i mimo pościgu zdołał uciec do Kociubiniec, gdzie znajomi chłopcy go ukrywali nie zważając na to, że Ukraińcy obiecali za jego głowę, wysoką nagrodę. Po wyzwoleniu służył w Wojsku Polskim, odznaczył się pod Warszawą i pracował w sztabie marszałka Żymierskiego...

Nasze getto było teraz pod ścisłą kontrolą gestapo w Czortkowie. Do tego celu władze wyznaczyły trzech gestapowców. Prawie co tydzień ta trójka zjawiała się w Kopyczyńcach, a jej „gościnne występy” były zawsze połączone z rozlewem krwi.

Nazwiska tych zbirów pamiętam do dziś: Ruks, Bretschneider i Paal. Ruks miał ogromnego wilczura, który rozszarpywał ofiary, Bretschneider był zwyczajnym mordercą, Paal bez wahania zabijał. Po wojnie sądono go w Niemczech za zbrodnię w Kopyczyńcach. Osobiście świadczyłem przeciw niemu w konsulacie niemieckim w Nowym Jorku. Prokurator, który mnie przesłuchiwał, miał dokładną mapę i wiele fotografii Kopyczyniec, gdyż chodziło zwłaszcza o jedno wydarzenie. Pewnego ranka ta trójka gestapowców zjawiała się w Judenracie i zażądała dostarczenia w przeciągu trzech godzin trzech flaszek francuskiego koniaku. Było to zadanie wprost niemożliwe do wykonania. Judenratowi udało się dostać tylko dwie butelki u znajomych Polaków. Wówczas Paal spokojnie wyciągnął rewolwer i zabił Halperna z Judenratu na miejscu, ciało jego zrzucił ze schodów, po czym

gestapowcy ze śmiechem odeszli.

15 kwietnia 1943 roku w piękny dzień wiosenny rozpoczęła się w Kopyczyńcach druga akcja eksterminacyjna. Jednym z głównych kierowników tej akcji okazał się naczelnik poczty Trautner oraz jego żona, która konno szukała Żydów. Akcja wiosenna nie była całkiem udana, ponieważ Niemcy zdołali schwytać tylko pięciuset Żydów, dobrze zamaskowane bunkry uchroniły wielu...Złapanych zagnano do lasu kolejowego. Tam były nigdy nie używane okopy, zostawione przez cofającą się Armię Czerwoną... Każdy ze skazańców zmuszony był rozebrać się do naga i każdy dostał tylko jedną kulę w tylną część głowy... Zosia Adler, modystka mówiąca płynnie po niemiecku, przed egzekucją na głos powiedziała Niemcom: - Z nami już wojnę wygraliście, ale nigdy jej nie wygracie ze światem cywilizowanym.

Wypędzą was zewsządjak wściekłych psów. Tu znów będzie Polska!
Niech żyje Churchill, niech żyje Roosevelt, niech żyje Stalin!

Wtedy jeden z Niemców ostrym bagnetem ściał jej pierś i zastrzelił ją. Policja getta nocą zasypała groby... Po tej krwawej akcji my wszyscy doszliśmy do przekonania, że mamy tylko krótkoterminowe odroczenie wyroku... Ukraińska policja rozjuszona i zachęcana przez Niemców po prostu strzelała do Żydów na ulicach. Tak zginął Schwartz bez powodu zastrzelony przez Koty-ka, jednego z najbardziej barbarzyńskich Ukraińców. Nawet Myroszko (nazwiska już me pamiętam)

kiedyś członek orkiestry Klesnerów przekształcił się w potwora. Policja z getta zgodnie „z duchem czasu” nabrała cech brutalności, pan Roller stał się niedostępny, kogo nie chciał widzieć, tego zrzucał ze schodów. Taką opinię mieli również dr. Schmeterling, Schindler, Kupferberg, Festing, Elish, Weber z Chorostkowa i J. Bakfan.

Szef policji getta Yosel Schmeterling, przystojny młody mężczyzna,

były podoficer, bratał się z Niemcami i Ukraińcami. W maju 1943 roku po jakiejś pijatyce znaleziono u niego rewolwer. Współbiesiadnicy nałożyli worek na jego głowę i bili go do śmierci...

Na początku czerwca 1943 roku, nastąpiła końcowa akcja likwidacji getta. Duży oddział Einsatzkommando przez parę dni dokonywał egzekucji w lesie... W przerwie obiadowej Niemcy pili piwo, jedli kiełbasę, częstowali swoich ukraińskich pomocników, podczas gdy skazańcy czekali swojej kolejki...Jednej dziewczynce z Buczacza udało się zbiec, napisała książkę *My name is Alicja* gdzie opisała sceny egzekucji na skraju lasu. W tym dniu trzy tysiące Żydów zostało zgładzonych.

Wielu w tych masowych grobach było tylko lekko postrzelonych, wiele małych dzieci wrzucano żywcem. Przez dwa dni obserwowano, jak te groby podnosiły się.

Potem polano je wapnem...

Podczas tej masakry - pisze Diener - ukrywaliśmy się u naszych dawnych sąsiadów na Baworowszczyźnie, państwa Hałambców. 11 czerwca moja matka, po upewnieniu się, że jest spokój, wróciła sama do miasta, aby sprawdzić nasz dom, i tam zaskoczyła ją obława. Do mieszkania wszedł Marak ze straży pożarnej i zaraz zawołał Kocha z niemieckiej żandarmerii, który matkę zastrzelił na progu naszego domu. Ukrywaliśmy się u Hałambców do 13 czerwca. Nigdy nie zapomnę, jak Bełko bębnił niedaleko naszej kryjówki i wykrzykiwał kalecząc język: - Kto ukrywa Żyda, będzie śmierć dla Żyda i tego co ukrywa...

Karol Hałambiec też to słyszał, mimo groźby i otaczających jego dom ukraińskich sąsiadów okazał się prawdziwym doboroczyńcą, spełniając godny podziwu moralny obowiązek. Tymczasem Bełko na własną rękę udał się na poszukiwanie Żydów ukrytych w łanach kukurydzy. Słyszeliśmy, jak wyciągnął schowanego w pobliskim ogrodzie Grosa z dwoma córkami...

15 czerwca wróciliśmy do miasta. Zetknąłem się z widokami, jakie prześladowajmniej po dzień dzisiejszy. Prawie wszystkie ulice były białe od pierza, intensywnie szukano w bebecach złota. Nagle doszły do moich uszu dźwięki skrzypiec. Z niedowierzaniem zobaczyłem wśród pierza Walerkę (była nauczycielka, potem zwariowała) grającą jakąś starą melodię żydowską. Obraz ten chyba na zawsze zachowa się w mojej pamięci... Na ulicy Kolejowej stały furmanki, na które ładowano wszystko, co zostało po Żydach...

Dowiedziałem się, że w pierwszym dniu akcji wielu policjantów getta odmówiło posłuszeństwa. Pierwszym był Sommerstein z Husiatyna. Niemcy i Ukraińcy zakatowali go pałkami. Po tym wypadku większość policji rozbiegła się, schwytanych rozstrzeliwano. Herman Roller wraz z żoną, córką i bratem uciekł w lasy. Kilka tygodni później wszyscy zostali powieszani na drzewach koło swojej kryjówki. Rosenstock, weterynarz, wraz z rodziną i przyjaciółmi zażył truciznę, w momencie kiedy ich bunkier był odkryty, draż Thalera zabito w trumnie. Była to robota policji ukraińskiej, może według instrukcji doktora Kornowy.

Kęskowi Weisglasowi pozwolono umrzeć razem z Glinią Uslip. Trzymali się za ręce podczas egzekucji, ponieważ kochali się od dziecka...

Tej nocy spaliśmy na strychu na ulicy Kolejowej.

28 czerwca przed budynkiem Judenratu zgromadzono większość Żydów, którzy cudem przetrwali. Pan Kimmel, nowy szef Judenratu, przedstawił nam sytuację.

- Otworzą getto w dwóch ciasnych uliczkach koło synagogi, gdzie pomieszczą tylko pięćset osób. Reszta będzie przeniesiona do Czortkowa. Z pozostałych, tych, którzy znajdują się na robotach polnych, utworzone zostaną brygady rolne - powiedział.

Za jego poradą zgłosiliśmy się do prac na folwarku Baworowszczyzna. Ojciec znał doskonale roboty polne, gdyż urodził się na folwarku w

Peremiłowie. Getto zostało zamknięte 20 czerwca. Około trzystu pięćdziesięciu Żydów wysiedlono do Czortkowa i tam zostali zlikwidowani. U nas nadzorcą Żydów był B. Jałowski i jego pomocnik Zbyszek Baranowski, obaj okrutni.

20 lipca 1943 roku rozpoczęła się ostateczna likwidacja Żydów kopyczy-nieckich.

Tylko nielicznym udało się nocą zbiec na aryjską stronę do lasu lub do tych, którzy w tak krytycznych chwilach jednak odezwali się na głos sumienia. Kilku z nas na folwarku miało broń. Obronę zorganizował inżynier Hutes. Mimo że sprawa żniw była ważna, nocą na początku sierpnia ukraińska policja otoczyła trzy folwarki na Baworowszczyźnie, gdzie została przez obrońców ostrzelana. Większość z nas w tę jasną noc księżycową rozproszyła się po polach, mimo to Ukraińcom udało się jednak schwytać i rozstrzelać dwadzieścia osób. Ja i ojciec zbiegliśmy pod huraganem świszczących kul, siostra nie spała tej nocy na folwarku. Wielu Żydów popełniło samobójstwo, podpalając barak i ginąc w płomieniach.

Po czerwcowych i lipcowych masakrach kilkuwiekowa historia Żydów w Kopyczyńcach dobiegła końca... Ukraińska policja i nacjonaści zabrali się teraz do odszukiwania niedobitków. Ja i ojciec dwukrotnie cudem uniknęliśmy schwytania. W październiku na skutek denuncjacji sąsiadów odkryto u Niem-czuków rodzinę Warmanów (starszy Warman był kiedyś najlepszym piłkarzem Trumpeldoru) i zabito ją razem z ośmioletnią córeczką na podwórzu. W listopadzie 1943 roku schwytano na folwaku Baworowszczyzna pięć dziewcząt, w tej liczbie i moją siostrę. Po zgwałceniu zamordowano je i pochowano pod dużym dębem obok folwarku...

Z końcem grudnia udało się nam nocą przez pola dostać do Peremiłowa, gdzie nas przechowywał Ukrainiec, który służył kiedyś razem z ojcem w austriackim wojsku w Bośni, Serbii i we Włoszech. Ojciec pomógł

mu wtedy z narażeniem życia przeprowić się przez rzekę Piawę podczas odwrotu. Po naszym wyjściu z kryjówki złapali nas trzech banderowcy w mundurach sowieckich. Mieli zamiar nas zabić, ale nie wiedzieli, jak się obchodzić z automata - mi niemieckimi. Udało się, nam zbiec do Chorostkowa. Przy życiu zostało około stu Żydów. Jedni wyszli z lasów, inni przechowali się, u dobrych ludzi. Żadna rodzina w całości nie ocalała. Uratowani rozproszyli się, po świecie. Księża rzymskokatolicy uratowali tylko jedną rodzinę. Buchsbaumów.

Po bohatersku zachowali się: Karol Hałambiec, Mikołaj Antoniów, Longin Gomułkiewicz, Janina Sołeczka, Władysław Szepelowski, Stanisław Grochol-ski, Runiewicz, Mikołaj (stróż w „Sokole”), Niemczukowa, Jarema Kusnir, Sztokal i wielu innych, których nazwiska czas zatarł. Uznanie należy się tym, którzy z bojaźni nie chcieli nas przechowywać, ale nie odmawiali posiłku i noclegu podczas mroźnej nocy w ich stodole. Nigdy nie zapomnę moich dawnych kolegów z ławy szkolnej: Józia Ruńki, Junia Hrymnaka, Piotra Kaszczy-szyna, którzy mimo oficjalnych przestróg i zakazów zjawili się u mnie z najnowszymi wiadomościami i nawet pismami podziemnymi, informując co się dzieje w świecie i nie szczędząc pocieszenia.

W samych Kopyczyńcach nowe władze nie znalazły ani czasu, ani chęci postawienia nawet skromnego nagrobka na mogiłach masowego mordu około siedmiu tysięcy Żydów, byłych obywateli miasta i kraju. Obydwa cmentarze żydowskie zostały zaorane lub zburzone. Stare zabytkowe nagrobki użyto do naprawiania chodników. Wickowa synagoga, która uszła Hitlerjugend, służy teraz jakiejś autobazie. W pobliżu masowych grobów powstał nowy dworzec autobusowy.

Tragedię lat 1941-1944 już niewielu pamięta. Związek Żydowskich Uchodźców z Kopyczyniec w Nowym Jorku i Izraelu przestał istnieć. Istnieje jeszcze w Brooklinie mała bożnica nazywana kopyczyniecką i na jednym z

większych cmentarzy żydowskich w Nowym Jorku znajduje się oddzielny cmentarz kopyczyński, gdzie dawni emigranci byli grzebani. Dla młodego pokolenia Kopyczyńce to już pojęcie abstrakcyjne...

Kończąc moje wspomnienia, pragnę serdecznie podziękować ludziom tej ziemi (szczególnie gorąco mojemu drogiemu koledze z lat szkolnych, Józefowi Ruńce) za inicjatywę ufundowania w Udaninie tablicy pamiątkowej ku czci ofiar wojny narodowości polskiej i żydowskiej. Serdecznie Bóg zapalać. Wiem, że już nigdy mieszkańcy naszych stron rodzinnych nie ujrzą w wieczory piątkowe zapalonych świec, nie usłyszą psalmów Dawidowych, nie spotkają starego siwobrodego Żyda w chałacie, potomka narodu, który dał ludziom wyobrażenie Jedyne Boga i zachował język, w którym Chrystus głosił miłość do wszystkich ludów świata.

Nie jestem mistykiem, ale chciałbym wierzyć, że dusza starego rabina z Kopyczyniec, pogrzebanego na nieistniejącym już cmentarzu, unosi się teraz nad masowymi grobami pomordowanych mężczyzn, kobiet i dzieci, a w rocznicę masakry czerwcowej i lipcowej zanosí skargę Chrystusa na krzyżu: ELI, ELI, LAMA SZABBACHTANI - Boże, Boże, czemuś mnie opuścił?